Armaged-dom

Marina i Siergiej Diaczenko

SHOUT
SHARE
IT

- Marina i Siergiej Diaczenko
- PROLOG
- Rozdział 1
- Rozdział 3
- Rozdział 4
- Rozdział 5
-
- Rozdział 7
- Rozdział 8
- Rozdział 9
- Rozdział 10
- Rozdział 11
- Rozdział 12
- Rozdział 13
- Rozdział 14
- Rozdział 15

Marina i Siergiej Diaczenko

Armaged-dom

(Armagied-dom)

Przełożył Andrzej Sawicki

Data wydania oryginalnego i polskiego 2004

PROLOG

Prowadząca program miała uśmiech jak pęknięty w poprzek arbuz. Uśmiechała się tak szeroko, że musiało jej to sprawiać ból.

- A teraz czas na nasz ulubiony konkurs - „Pępek Świata”! Asystenci rozdali już znajdującym się w studio gościom laserowe czapki-wskaźniki. Kierunek, w jakim patrzy każdy nasz gość, będzie widoczny jako barwny laserowy promień! A teraz, uwaga! Powitajmy głównych uczestników konkursu!

Kamera prześlizgnęła się po siedzących w studio widzach i utkwiła „wzrok” w zmyślnie oświetlonej konstrukcji, która obróciwszy się wokół pionowej osi, ukazała oczom widzów sześć ciemnych sylwetek.

- Otóż i oni, bohaterowie dzisiejszego spektaklu! Oksana, laborantka! Wiktoria, nauczycielka tańca! Aleksander, kierowca! Eugeniusz, scenograf! Igor, dozorca w ogrodzie zoologicznym! Jegor, wydmuchiwacz szkła! Przyjaciele, proszę zajmować miejsca!

Pośrodku studia wznosiło się sześć okrągłych platform, obciągniętych światłoczułą, srebrzystą tkaniną. Sześcioro jednakowo odzianych uczestników programu ruszyło, każde ku swojej kolumnie; wszyscy młodzi, mieli mniej więcej po osiemnaście lat i tylko jedna kobieta była z pokolenia rodziców Lilki - zbliżała się do czterdziestki.

- Wstydziłaby się - orzekła mama, przyjrzawszy się dobrze zakonserwowanej damie.

- Drodzy goście! - zaczął prowadzący prezenter i jego wzmocniony mechanicznie głos przerwał szum panujący w studio. - Jak pamiętacie, zadanie każdego uczestnika konkursu polega na przyciągnięciu do siebie waszej uwagi na jak najdłuższy czas! Wasza uwaga to laserowe promienie waszych czapeczek - gdzie skierujecie spojrzenie, tam trafi i promyczek! Nasze przyrządy pomiarowe będą mierzyły poziom światła skierowanego na każdego z uczestników konkursu! A teraz poproszę operatorów, żeby pokazali nagrodę, która czeka na...

- No, niech mnie! - odezwał się ojciec.

- Samochód dają! - westchnęła mama.

Nagrodą był samochód, lśniący i okrągły niczym bombka na choinkę.

- A jakże, tylko dla swoich - stwierdził ojciec. - Wszystko pewnie z góry ukartowane!

Mama chrząknęła.

- A teraz - ciągnął prowadzący - drodzy zawodnicy, za trzydzieści sekund zadźwięczy sygnał rozpoczęcia! Wasz czas wynosi trzy minuty!

Powinniście zrobić wszystko, żeby to na was patrzono! Dla wyrównania szans, zaczynacie w jednakowych strojach i żadne z was nie ma żadnych rekwizytów, takie są warunki konkursu! Każde z was przygotowało niespodziankę dla publiczności! A więc, zostało pięć sekund... trzy sekundy... start!!!

Lidka mimo woli pochyliła się ku przodowi. A było na co popatrzeć.

Światła w studio rozbłysły jaśniej. Sześć ciemnych sylwetek na chwilę zastygło w bezruchu; i wtedy rozległa się pieśń. Śpiewała kobieta - albo laborantka, albo nauczycielka tańca. Głos był silny, wysoki i balansował na krawędzi pisku; śpiewaczka - okazało się, że to owa dojrzała dama - podrygiwała na swojej kolumnie, zadzierając nogi ponad głowę. Nie, laborantka tego nie potrafi...

Śpiewającą nauczycielkę na sekundę oblał iskrzący się światłami deszcz spojrzeń. Ale trwało to tylko sekundę, dlatego, że druga dama poszła na całość - rozpruła błyskawiczny zamek swojego kombinezonu aż do samego pępka. Światełka spojrzeń zamigotały niepewnie - i dama, nie chcąc rozczarować widzów, zręcznie wysunęła się z kostiumu.

Laserowe punkciki zbiegły się w jednym miejscu czarnej, koronkowej bielizny.

- Wiesz, Lidka, poszłabyś spać - odezwał się ojciec znacząco.

- Mam już piętnaście lat - odgryzła się dziewczyna zwykłym, obojętnym tonem.

- Młodzieży, nie zostawaj w tyle! - zawołała prezenterka, którą zapał uczestników porwał do tego stopnia, że na chwilę zaczęła zachowywać się prawie naturalnie. - Dalejże! Eugeniuszu, Igorze, Aleksandrze! Jegorze, nie śpij!

W pokoju panował półmrok, jedynymi źródłami światła był telewizor i stojąca lampa, pod którą usadowił się papa. Lidce zupełnie nie podobał się ten głupi program, ale lekcje miała już obrobione, rajstopy wyprane, kolację zjedzoną; znaczy, nadszedł czas, by się rozsiąść przed telewizorem i o niczym nie myśleć.

Odpoczynek.

- Zostały dwie minuty czasu! No, dalej, chłopaki!

Nauczycielka wciąż jeszcze śpiewała, zdzierając sobie struny głosowe. Potem rzuciła mikrofon, padła na brzuch, wygięła się i dotknęła pośladkami karku.

- Co za giętkość - odezwała się mama. - W jej wieku...

Kierowca tymczasem stanął na rękach, a artysta scenograf szczekał, po mistrzowsku naśladując buldoga. Dozorca z ogrodu zoologicznego naciągnął dolną wargę na nos, a nawet wyżej.

- To niesmaczne - oceniła mama.

Jeden z chłopców - chyba dmuchacz szkła - w żaden sposób nie

mógł się włączyć do gry. Niezdecydowanie dreptał w miejscu, mruczał coś pod nosem i rozglądał się, jakby czekając na tramwaj. Nikt prawie na niego nie patrzył.

Najwięcej spojrzeń zgarniała laborantka. Jej bielizna leżała już na usianym świetlistymi punktami szczycie kolumny, a to, co wyłoniło się spod koronek, rzeczywiście było godne uwagi.

- To najłatwiejsze - mama ziewnęła. - W tym konkursie zawsze ktoś się rozbiera. Ale żeby tak zupełnie do naga...

- Zostało półtorej minuty! - zachęcił uczestników prowadzący.

Wyglądało na to, że nikt już nie odbierze zwycięstwa nagiej laborantce. Co prawda, tańczyła kiepsko - w czym wcale jej nie pomagały podskakujące opornie rozłożyste pośladki.

Sekundy biegły jedna za drugą. Wydmuchiwacz szkła, który pobladł i zsiniał, wciąż jeszcze mruczał coś pod nosem i dreptał w miejscu, ale pozostali uczestnicy konkursu wywijali koziołki, nadymali się, miauczeli, gryźli żyły, piszczeli i zwijali się w węzły. Laborantka szybko utraciła poklask publiczności - jej nagość zdążyła się już ludziom opatrzyć.

- Trochę się przeliczyła - stwierdził papa ze współczuciem w głosie. - To jak bieg na długi dystans - nie można od razu ujawniać wszystkich atutów...

- Zostało pięćdziesiąt sekund! - zawołała prezenterka.

Akurat w tym momencie scenograf, czując, że szansę na zwycięstwo wymykają mu się z rąk, z głośnym okrzykiem zdarł z siebie kombinezon, przyjął dostojną pozę i w naturalny sposób zrosił audytorium, niebywale udatnie naśladując znaną całemu miastu fontannę. Struga - niezwykle długa i rzęsista, tańczyła w świetle reflektorów, a spojrzenia promyczki zaczęły się niepewnie miotać. Mama sięgnęła po omacku, szukając na tapczanie pilota.

- No, tego już za wiele. Tfu, do czego to dochodzi...

- Wygra - stwierdził filozoficznie papa. - Ale nie wyłączaj, zaraz mu się wyczerpie zbiorniczek...

- Brawo! - kwiczała prowadząca. - Nasz Eugeniusz wygra konkurs! Jeszcze trzydzieści sekund i...

Wydmuchiwacz szkła, który do tej pory jakby nie brał udziału w konkursie, wyciągnął skądś tubkę, która Lidce wydała się podobna do flakonu perfum i nie wiadomo dlaczego, zaczął oblewać swój kombinezon.

- A mówili, żadnych akcesoriów - z naganą w głosie stwierdził papa. - Wykluczą go za złamanie reguł.

- I tak nic mu się nie świeci - orzekła mama.

- No, dalej, chłopcy! - prezenterka zaczęła podskakiwać, ryzykując, że połamie wysokie obcasy pantofelków. - Jeszcze dwadzieścia pięć sekund i...

Wydmuchiwacz szkła nagle uniósł ręce nad głową i krzyknął: - Śmierć!

Głos miał, jak zgrzyt żelaza po szkle. Załamujący się i jednocześnie silny, przenikający słuchaczy do szpiku kości. - Śmierć! Wszystkim! Dziewiątego... czerwca... Wydmuchiwacz szkła miał godną aktora dykcję - w każdym razie każde z jego słów wszyscy usłyszeli bardzo wyraźnie.

- Dziewiątego czerwca... już niedługo! Tak będzie ze wszystkimi!

Poruszona niespodziewanym oświadczeniem publika zaszumiała, ale wydmuchiwacz szkła już umilkł. W jego dłoniach pojawił się przedmiot, który Lidka widywała na tysiącu rozkładanych straganów, w setkach sklepików i u ulicznych sprzedawców. Tania zapalniczka; Lidka nie zdążyła nawet westchnąć. Pośrodku studia nagle rozgorzała żywa pochodnia.

- A-a-a!

Wyjąc i skacząc, ogarnięty płomieniami wydmuchiwacz szkła stoczył się ze swojej platformy. Widzowie zerwali się z miejsc, przewracając stołki.

- Opróżnić studio!
- Pożar! Pali się!
- Na pomoc!
- Ratunku!
- Wyłączyć kamery!

Operatorzy ani myśleli o tym, żeby przerwać transmisję obrazu - przeciwnie, wszystkie kamery skierowały swe żądne sensacji obiektywy na ogarniętego płomieniami człowieka. Dźwięku też nie wyłączono w porę i Lidce wydało się, że przez trzask i huk płomieni wciąż jeszcze słyszy te same słowa - „dziewiąty czerwca” i „śmierć”.

Wspaniały, będący nagrodą samochód stracił jeden z reflektorów, wybity przez walący się nań żelazny stojak. Przed wyjściem ze studia zrobił się zator. Laserowe czapeczki wskaźniki padały na podłogę i gasły deptane obcasami. Żywa pochodnia toczyła się przez studio, przewracając statywy i stoły, uderzając w monitory, z których każdy pokazywał ten sam obraz - człowieka w ogniu.

Przez tłum przedarli się ludzie w uniformach, z gaśnicami w rękach. W tańczącą pochodnię jednocześnie z kilku stron uderzyły wąskie strumienie piany.

„Dziewiątego czerwca...” po raz ostatni usłyszała - a może tylko jej się tak wydało - Lidka.

Ekran powlókł się czernią. Zaraz potem zastąpił ją urywek jakiejś reklamy, a potem matka, której udało się wreszcie znaleźć pilota, wyłączyła transmisję.

Na pewien czas w pokoju zapadła cisza.

- Ale numer! - odezwał się brat, który - jak się okazało - cały czas

stał za oparciem krzesła Lidki.

- A co tam? - sennym głosem zapytała z kuchni siostra.

- No, Janka, ale widowisko straciłaś...

- Spać! - odezwała się mama takim tonem, że Timur umilkł, jakby go zamurowało.

Podniesiony głos mamy jakby zerwał w głowie Lidki jakąś napiętą sprężynę - i dziewczyna wybuchła płaczem.

Przez własne łkania słyszała, jak papa sypał przekleństwami, zawodziła Jana, mama namawiała wszystkich do zachowania spokoju; Lidce podsunięto pod nos watę nasączoną jakimś paskudnie pachnącym płynem, potem dano jej do wypicia jakieś krople, a na koniec dostała kilka razy w twarz. Mięśnie brzucha bolały ją od spazmów; dziewiąty czerwca, skaczący w ogniu człowiek, dziewiąty czerwca...

Potem Lidka długo leżała w pościeli, nie wypuszczając z ręki maminej dłoni i słyszała, jak w sąsiednim pokoju ojciec grzmi, że wyrzuci „tę skrzynkę" przez okno. A potem wreszcie przyszedł sen, głęboki, czarny i bez przywidzeń.

W środku nocy całą rodzinę wyrwał ze snu jej krzyk.

Rozdział 1

Historyk Michaił Feoktistowicz miał osobliwą manierę prowadzania zajęć. Wykładał spokojnym i obojętnym tonem i nagle, ni z tego, ni z owego sprężał się, podnosił głos i zaczynał wykrzykiwać zdania ostrym, prawie gniewnym tonem. „Jakby mu ktoś nadepnął na ogon” - mówiła Jana, siostra Lidki. Lidka także wyobrażała sobie, że za katedrą, skryty przed ludzkim wzrokiem, leży ogon wykładowcy - długi i żebrowany, jak wąż odkurzacza. A gdy czyjaś okrutna stopa nań następuje, przemądrzały Feo wytrzeszcza oczy.

- Władza Rady Tymczasowej skończyła się w nocy z drugiego na trzeciego grudnia! Aresztowano stu dwudziestu ludzi, których prawdopodobnie natychmiast rozstrzelano! Jednocześnie masowe represje...

Lidka rysowała człowieczka. Jednego za drugim - od początku wykładu pojawiło się ich już dziewięciu. Mogłoby być ich więcej, ale Lidka bardzo starannie rysowała wszelkie szczegóły - buty na nogach i nawet sznurówki.

Siódmego listopada. Siódmego. Środa. Do dziewiątego czerwca, który także przypadnie w środę, zostało równo osiem miesięcy.

Osiem. Po skórze przebiegły jej ciarki. Wczoraj wieczorem w kuchni dudniły przyciszone głosy obojga rodziców, którzy myśleli, że Lidka ich nie słyszy. „Pozwolić dzieciom na oglądanie telewizji po dziesiątej... Nawet w sobotę... To niedopuszczalne! Twój liberalizm... Dziesiąta i do łóżek! Koniec dyskusji!”

Ostatnio marna częściej niż zwykle okazywała zły humor. We wczorajszych „wiadomościach” był wielki artykuł. Sobotnie widowisko rozrywkowe „Pępek Świata” z wielkim hukiem wyleciało z programu.

Do dzwonka piętnaście minut. Właściwie już tylko czternaście.

Siedzący z Lidką w jednej ławce Igor Rysiuk podniósł rękę.

- Michaile Feoktistowiczu, można zadać pytanie?

Igora od czasu do czasu napadała chętka na odgrywanie wielkiego mądrali; Lidka nisko nachyliwszy się nad ławką, rysowała ludzikowi marynarkę.

Nauczyciel zmarszczył brwi.

- Pytania, Igorze, można zadawać wtedy, gdy poproszę o ich zadawanie... A więc, początek kataklizmu zbiegł się w czasie z proklamacją Imperium. Klęski żywiołowe doprowadziły do tego, że będące dotąd jedną całością państwo, rozpadło się na mnóstwo oddzielnych i zamkniętych w istocie społeczności... - w tym momencie Feo znów się spiął, jakby mu ktoś nastąpił na ogon. - Imperium upadło

samo z siebie! Był to jeden z ostatnich i najcięższych jego kryzysów...

- Rysować na lekcji nie wolno - szepnął Igor do Lidki. - Szukał cię Sławek Zarudny.

- Po co? - zapytała Lidka, niejako automatycznie.

Igor wzniósł oczy ku niebu:

- Miłość!

- Idiota! - bywało, że Lidka czuła do Rysiuka prawdziwą odrazę.

Siedział w pierwszej ławce wcale nie z powodu krótkiego wzroku. Lubił pchać się nauczycielom do oczu - a Lidka, przeciwnie, wcale tego nie lubiła, ale nie miała wyboru; nie bez powodu nazywano ją Chucherkiem. Była najmłodszą osóbką w najmniej licznej klasie, i niekiedy jej samej wydawało się, że jest najmniejsza na świecie. „Późne dziecko", „dziecko z granicy ryzyka", „ostatnie dziecko cyklu". W pierwszym dniu nauki posadzono ją za pierwszą ławką, pod nogi trzeba było jej podstawić maleńki stołeczek, a pod siedzenie poduszkę. „Lida jest maleńka, nie krzywdźcie jej". „Lida jest od was młodsza, zostawcie ją w spokoju". Od tego czasu minęło dziewięć lat, ale niewiele się zmieniło.

- Panowie licealiści, pięć minut do dzwonka. Igorze, o co chcieliście spytać?

Igor wstał:

- Michaile Feoktistowiczu, czy można dokładnie przepowiedzieć datę *mrygi?*

Znieruchomieli nawet ci, którzy zaczęli się niespokojnie wiercić w oczekiwaniu na przerwę. Lidka skuliła się, a jej ołówek drgnął i nagłym sztychem przekreślił całą kartkę.

Feo podniósł na Igora spojrzenie mądrych, wyblakłych oczu.

- Po pierwsze, Igorze, nie mówi się *mryga,* a apokalipsa. Po drugie, takich prognoz po prostu nie ma. To obliczone na idiotów szamaństwo, histeria i mistyfikacja. Weźmy, na przykład, ten ostatni skandal w telewizji. Wy, jako inteligentni, młodzi ludzie, oczywiście nie oglądacie takich nędznych programów... Na oczach widzów zdarzyło się tam samospalenie. Do udziału w programie dopuszczono młodzieńca charakteryzującego się w dość oczywisty sposób sporą odchyłką od normy psychicznej... co nie powinno nikogo dziwić, ponieważ podobne programy skupiają wokół siebie debilów... nawóz, wybaczcie wyrażenie, przyciąga muchy... Możecie uwierzyć staremu człowiekowi - przed każdą apokalipsą zaczyna się swojego rodzaju psychoza. Ludzie, którzy uważają się za inteligentnych, nie mogą się temu poddawać. Dokładne przepowiadanie daty, a tym bardziej zapewnienia, że ta apokalipsa będzie - jak to mówią - ostatnia i ostateczna, nie ma żadnych podstaw, ponieważ...

W okno uderzył kamień. Szkło pękło z łoskotem, do klasy sypnęły się odłamki, a poryw jesiennego wiatru wniósł czyjś śmiech i tupot

nóg...

* * *

Wypracowanie
UCZENNICY MŁODSZEJ GRUPY
Klasy IV B
LIDII SOTOWEJ
na temat: „Gdzie kryją się ludzie?”

Koniec świata nazywa się naukowo apoka... [skreślone]...lipsą. Zdarzają się wtedy wielkie nieszczęścia. Padają ogniste deszcze. Wszyscy ludzie by zginęli, gdyby nie Wrota.

Nikt nie wie, jak są zbudowane. Łamią sobie nad tym głowy naukowcy z całego świata. Niektórzy mówią, że Wrota stworzyli Kosmici, ale to ante... [skreślone] antynaukowa bzdura.

Wrota otwierają się tam, gdzie ludzie mogą je znaleźć. Otwierają się one w kilku miejscach. Ludzie wkraczają we Wrota i przebywają tam straszny czas. Wewnątrz Wrót mija zaledwie trzydzieści sześć godzin. Potem oni wychodzą z Wrót - i rozpoczyna się nowy cykl życia.

Ten, kto w porę nie zdąży dostać się do Wrót, oczywiście zginie. Dlatego ludzie powinni spieszyć do nich bardzo szybko. Mężczyźni powinni przepuszczać do Wrót kobiety i tych, co nie mogą szybko biegać.

O tym, gdzie otworzyły się wrota powiadamia służba O.P. Trzeba bardzo uważnie słuchać radiowych komunikatów i biec nie ku najbliższym Wrotom, a ku tym, które wskaże służba. W przeciwnym razie we Wrotach zrobi się zator...

OCENA: cztery minus

UWAGI: Ucz się formułować myśli bardziej jasno. Dlaczego cały czas używasz słów „oni”, „one”? Staraj się wybierać inne słowa.

ZADANIE: Napisz dwadzieścia razy w zeszycie słowo: „apokalipsa”.

* * *

- Dziewiąta B! Proszę się nie rozchodzić!

O tej porze liceum wydawało się niezwykle obszerne. Starsza grupa opuściła jego mury wiosną, zostawiając budynek na pastwę średniaków i młodszych. Znikł gdzieś zwykły tłok na korytarzach, rozkłady lekcji zmieniły się na dogodniejsze, ale nad wszystkimi - osobliwie podczas pierwszych dni - wisiało poczucie straty.

Jesienią na zajęciach pojawi się tylko młodsza grupa. Oczywiście, jeżeli w ogóle będzie jakaś jesień...

- Ej, Chucherko, co się tam u was stało?

Ktoś chwycił Lidkę za rękaw; szarpnęła się, jakby uderzono ją

prądem.

- Coś ty? - zdziwił się Sławek Zarudny.

Lidka wstrzymała oddech; serce waliło jej w piersi jak oszalałe.

- Więc co się stało?

- Szybę wybili... Już drugi raz.

- To te łobuzy z dwieście piątej szkoły. - Sławek spochmurniał. - Przedwczoraj Miszka oberwał po dziobie.

- No to teraz wy im obijcie dzioby.

Sławek się uśmiechnął.

- Widzicie ją, mądralę...

Ujął ją za rękę. Nie ścisnął mocno, tylko tak, leciutko:

- Jaką macie następną lekcję?

Lidka mimo woli rozejrzała się wokół, czy nie widać gdzieś Rysiuka prześmiewcy.

- Matematyka...

- A ja mam dyżur w muzeum... - oznajmił Sławek jakimś osobliwym tonem.

Z na poły otwartych drzwi klasy ciągnęło chłodem. Wybite okno pospiesznie zakrywano jakimś arkuszem kartonu.

- Słyszysz, Chucherko? W muzeum, będę kurze ścierał. Zwolnili mnie z wuefu.

- Winszuję - skwitowała Lidka.

Sławek lekko się zmieszał:

- No to... będziesz wiedziała, dokąd przyjść, jeżeli u was odwołają matematykę?

- Nie odwołają - dziewczyna wzruszyła ramionami. - Sam zobacz, ile pustych klas...

- No to sama sobie odwołaj...

Lidka uśmiechnęła się nie bez kpiny.

W grupie średniaków owszem, można było czasem opuścić lekcję. Ale nieobecność Lidki matematyczka zauważy natychmiast - puste miejsce w pierwszej ławce, pod samym nosem. Nawet gdyby Rysiuk niczego nie mówił, ale on oczywiście nie będzie milczał...

Zabrzęczał dzwonek na lekcję i pojawiła się matematyczka, dzwoniąca kluczami niczym strażnik więzienny - na jej zajęcia oddano gabinet obrony cywilnej, zwykle zamknięty na trzy spusty. Znajdowały się w nim maski przeciwgazowe, akwalungi, rakietnice i inne drogie urządzenia, łakomy kąsek dla złodziejów. A kradzieże ostatnio stały się zjawiskiem powszechnym, nawet w liceum, pomimo nieustannych dyżurów milicji.

Uczniowie młodszej B korowodem ruszyli po schodach w górę, a spojrzenie matematyczki zatrzymało się na Lidce:

- Sotowa, przynieś, proszę, kilka kawałków kredy z magazynku, w gabinecie O.C. zawsze jej brakuje. Tylko szybko, na jednej nodze.

- Aha... - zgodziła się Lidka. - Zaraz...

Popłynęła pod prąd - koleżanki i koledzy z klasy szli w górę, ona w dół. Na drugie piętro, po nawoskowanym parkiecie, na prawo i prosto korytarzem - tam, gdzie obok pokoju nauczycielskiego i niewielkiego szkolnego muzeum, znajdował się magazynek.

Na widok zwykłego tu ruchu zapomniała o strachu. Nauczyciele wyglądali, jakby nic się nie stało; a znajome ściany zdawały się mówić: nic ci się nie stanie, bo nic ci się stać nie może. Świat jest niewzruszony... dopóki dorośli zachowują spokój.

Na chwilę wstrzymała oddech i zmusiła się do uśmiechu.

W drzwiach muzeum stał Sławek Zarudny. Gestem gospodarza kręcił kluczem nałożonym na palec. Ujrzawszy Lidkę, uśmiechnął się szeroko i chyba nawet poczerwieniał.

- Odwołali lekcję?

- Nie, przyszłam po kredę - odparła Lidka, nie patrząc mu w oczy.

Sławek pomarkotniał. Miał już prawie siedemnaście lat, ale do tej pory nie nauczył się ukrywania swoich uczuć.

- Posłuchaj, Chucherko, a może po lekcjach?

- Po lekcjach przyjdzie po mnie ojciec - Lidka zrozumiała, że przykro jej jest skwitować prośbę Sławka odmową. Sławek to dobry chłopak, kręcą się koło niego przynajmniej trzy dziewczyny i każda z nich na miejscu Lidki natychmiast zapomniałaby o matematyce.

- A co mi chciałeś pokazać? - spytała, zwodniczo obojętnym tonem. - Może minuta wystarczy?

- Minuta?! - poderwał się Sławek.

Wizyty w muzeum znudziły się Lidce już w drugiej klasie. Zakurzone eksponaty znała niemal na pamięć - oczywiście tylko tę ich część, którą wystawiono dla zwiedzających. Uczniowie mówili, że w zamkniętej części muzeum, do której wstęp mieli tylko nauczyciele i absolwenci, od trzech już lat znajdowała się mumia: - okopcony trup człowieka, który swego czasu nie zdążył dobiec do Wrót; ciała nieszczęśników zwykle zamieniają się w popiół, ale archeologom (albo zwykłym budowlańcom) zdarza się niekiedy znaleźć w jakiejś piwnicy takie właśnie okopcone ciała. I tylko archeolog potrafi orzec, czy taki człowiek żył przed dziesięcioma cyklami, czy znać go mogli jeszcze w zeszłym cyklu twoi rodzice...

Lidka nie lubiła takich myśli i nawet się ich bała.

- Poczekaj, Zarudny.

Weszła do składziku. Wzięła trzy kawałki kredy - czerwoną, niebieską i białą. Zawinęła je w papier - nie znosiła zapachu kredy na palcach; dlatego też nie lubiła odpowiedzi przy tablicy.

Sławek czekał przy wejściu do muzeum.

- Posłuchaj. Chucherko, wejdź choć na minutkę...

Lidka przystanęła. Zważywszy w dłoni kredę, doszła do wniosku,

że jeżeli zatrzyma się na chwilkę w muzeum, a potem pogna po schodach jak wicher, to zdąży do klasy w tym samym czasie, w jakim dotarłaby do gabinetu O.C, idąc równym krokiem.

Sławek cofnął się w głąb, zapraszając Lidkę, by weszła. Gdy dziewczyna przekroczyła próg, Sławek natychmiast zamknął drzwi na klucz.

- Czemu to robisz? - zdziwiła się Lidka.

- Wicedyrzyca do spraw technicznych wścieka się, kiedy są otwarte. Takie tu panują porządki...

Lidka postawiła teczkę i położyła zwitek z kawałkami kredy na wierzchu.

- No, to pokazuj, co tam masz...

W muzeum nie było okien. Na ich miejscu umieszczono barwne malowidło podświetlone od spodu elektrycznymi lampami - dawne miasto o zapomnianej już nazwie, zniszczone kiedyś całkowicie przez apokalipsę i odtworzone z zachowanych grawiur. Naprzeciwko, w oszklonej gablocie leżały na długich poduszeczkach okopcone kawałki metalu, a wyżej, na ścianie, ułożone z miedzianych liter czyjeś powiedzenie: „Dopóki pamiętamy o zaginionych cywilizacjach, historia toczy się dalej".

Lidka spięła się wewnętrznie.

- Chodźmy. Chucherko...

- Mam swoje imię - odcięła się dziewczyna, raczej dla zasady. Dawno już przestała się irytować z powodu przezwiska, a w ustach Sławka brzmiało ono prawie pieszczotliwie.

- Chodźmy, pokażę ci nowy eksponat...

Fotografia w istocie była nowa, matowa i barwna. I wielka - miała prawie metr wysokości: przez dym i języki ognia patrzyła na Lidkę jak żywa wielka i paskudna glefa.

Lidka aż się żachnęła.

- Przestraszyłaś się? - umyślnie niedbałym tonem zapytał Sławek.

- Obrzydlistwo - stwierdziła Lidka, nie patrząc na fotografię. - Po co to pokazywać?

- A po to, że niedługo one zaczną wyłazić z morza - Sławek pouczająco podniósł palec do góry. - Powinniśmy być przygotowani...

- Wcale nie zamierzam ich oglądać!

- A widzisz, stchórzyłaś! A są tacy odważni, ci, co je fotografują! To autentyczna fotografia, osiemnaście lat była pod specjalna ochroną...

Lidka jeszcze raz obrzuciła fotografię szybkim spojrzeniem. Potem spojrzała na Sławka i drwiąco zmrużyła oczy:

- Pod specjalną ochroną? Osiemnaście lat? Posłuchaj, to podróbka. W dzieciństwie też rysowałam glefy. Mistyfikacja...

Sławek nadął się z urazą.

- Powtórz to.

- Mi-sty-fi...

Sławek szybko się pochylił i chwycił wargami dłoń Lidki. Dziewczynę natychmiast obleciał strach i zrobiło jej się głupio: nigdy by nie podejrzewała sympatycznego skądinąd chłopaka o zdolność do takich głupich postępków.

- Dureń...

Wyrwawszy się, odstąpiła o krok i usiadła na włochatym dywanie. Byłaby sobie potłukła pupę, gdyby Sławek w porę jej nie chwycił.

- Dureń jesteś, Zarudny! Odbiło ci, czy co?

- Chucherko... - stęknął Sławek żałośnie. - Zdążysz jeszcze na tę swoją matematykę...

Ręce miał jak dorosły - żylaste, twarde i jednocześnie piękne, o długich palcach. Sławek skończył szkołę muzyczną.

- Co ty się tak na mnie gapisz, jakbym była kotką?

- A jak mam się gapić, Chucherko?

- Nijak... Puść...

Nie pozwolił jej wstać. Przeciwnie, zwalił się na nią i znów się zabrał do całowania. Lidka postanowiła, że minutkę pocierpi - kiedyś przecież mu się znudzi i przestanie?! A na przyszłość trzeba będzie uważać - Zarudny jest bałwanem...

Ale Sławek wcale nie zamierzał przestawać. Przeciwnie - wsunął Lidce dłoń pod spódniczkę, a na to nie mogła pozwolić w żadnym wypadku.

- Odbiło ci?! Jak się zaraz rozedrę...

- Czemu byś miała się drzeć? Co się wygłupiasz?

- Puszczaj!

- No przestań...

- Puszczaj, mówię!

Wciąż jeszcze miała nadzieję na to, że chłopak w końcu się opamięta i na razie nie szarpała się z całej siły. Wrzeszczeć też nie chciała, a potem nagle okazało się, że Sławek zamknął jej usta swoją gębą i trudne stało się nie tylko wydawanie dźwięków, ale nawet oddychanie. A gdy zaczął z niej zdzierać rajstopy i stało się jasne, że to nie przelewki, Lidce nagle zabrakło sił. Wyrywała się teraz ledwo ledwo i Sławek z pewnością doszedł do wniosku, że dziewczyna sprzeciwia się tylko dla zachowania pozorów.

- Pusz...czaj, bałwanie!

I wtedy rozległo się pukanie do drzwi.

Nowa trwoga dodała Lidce sił. Udało jej się wyrwać. Na czworakach odpełzła na bok, wciągnęła rajstopy i gorączkowo zaczęła poprawiać spódniczkę. Bolały ją i piekły wargi - wydało jej się, że ma rozerwane usta, od ucha do ucha, jak cyrkowy klown.

- Zarudny, proszę otwórz. Wiem, że tam jesteś!

Lidka rozejrzała z udręką. Pod gablotami się nie schowasz, drzwi do Sali Eksponatów Niejawnych zamknięte na szyfrowy zamek. A Sławek stchórzył - pobladł i zaczęły mu się trząść wargi.

- Otwieraj natychmiast! Albo będziesz miał nieprzyjemności, słyszysz?!

Stukot obcasów po parkiecie; i jeszcze czyjeś głosy. Ilu ich się tam zebrało? I kiedy sobie pójdą?!

Sławek postanowił najwyraźniej nie otwierać. Jej też machnął ręką. Jakby chciał powiedzieć: siedź cicho, wszystko rozejdzie się po kościach...

- Przynieście drugi klucz! - głos wicedyrektorki był napięty jak struna. - Jelizawieto Pawiowa, poproszę o drugi klucz...

Lidka zdążyła jeszcze tylko pomyśleć, jak łatwo przebijają się dźwięki przez wzmocnione stalą drzwi muzeum.

Potem szczęknął zamek i drzwi, powoli, jak w koszmarnym śnie, zaczęły się otwierać.

Sławka już stał, przyciskając jedną dłoń do twarzy, a drugą do piersi, jakby w ostatniej chwili postanowił udać atak serca.

Lidka nie bardzo miała co udawać. Siedziała pod gablotą, przy ostatkach unicestwionej cywilizacji i widziała się jakby z boku - przestraszoną, rozchełstaną dziewczynkę z napuchniętymi wargami.

Weszli: zastępczyni dyrektora do spraw technicznych, matematyczka i dyrektor. Przez chwilę panowała cisza, a potem wicedyrektorka odezwała się ponuro: -"W świętym dla nas miejscu..."

Na Sławka nikt nawet nie spojrzał.

* * *

Szkoda jej było tylko mamy.

Mamie opowiedziała, jak wszystko było naprawdę, ale wcale jej to nie ulżyło. Brat demonstracyjnie unikał rozmów z upadłą siostrą, ojciec chodził przygaszony i milczący, ale Janka w żaden sposób nie umiała utrzymać języka za zębami:

- Idiotka! Kretynka! Co ty masz w głowie, siano?! Doigrałaś się, głupia, wylecisz z liceum i trafisz do dwieście piątej... Cackali się z tobą, i wyniańczyli cię... debilkę, imbecylkę, idiotkę...

- Przestań - odzywał się ojciec i Jana przestawała, ale jej wewnętrzny silnik pracował na jałowym biegu najwyżej dwie minuty, a potem znów się zaczynało:

- Idiotka... Kretynka... Początkująca dziwka... zobacz, do jakiego stanu matkę doprowadziłaś...

Ojciec trzy razy chodził do dyrektora. Wyglądało na to, że powinno się wydalić obydwoje winowajców - Zarudnego i Lidkę, ale od samego początku było jasne, że dyrekcja nie zadrze z ojcem Sławka - akademikiem i posłem do Parlamentu.

Lidka nie miała sił na to, żeby siedzieć w domu, ale łazić po ulicach też nie było za bezpiecznie - a nuż natkniesz się na znajomego albo kolegę z klasy. Do gmachu liceum nie chciałaby podejść nawet na odległość wystrzału z działa, dlatego od samego rana szła na brzeg morza, wchodziła na skały i siadała skulona na stosie odłamków - ni to masztów, ni innych belek, przeżartych solą, poczerniałych, połkniętych kiedyś przez morze, a potem wyplutych.

Kilka razy zdarzyło jej się zobaczyć dalfiny - daleko od brzegu, z absolutnie bezpiecznej odległości, ale i tak przenikał ją mróz. Marzła zresztą i bez tego; a myśl o tym, żeby zachorować i umrzeć nie wydała jej się taka głupia. Dzień jej urodzin przeszedł normalnie i bez radości. Czternasty października, znów środa. Do wyznaczonego terminu zostało siedem miesięcy i trzy tygodnie.

Zamiast obiecanych wrotek dostała bombonierkę i jakieś nudne książki. Przez pół wieczoru popłakiwała pod kołdrą - sama nie wiedząc, czy płacze przez te wrotki, liceum, czy ze strachu przed skorą i nieodwracalną śmiercią.

A po tygodniu okazało się, że skoro w żaden sposób nie można wyrzucić Zarudnego, to nie będą ruszać i Sotowej. Dali jej publiczną naganę i zostawili - niech pamięta, jaką jej okazano łaskę.

Ojciec przyszedł z liceum spięty, ale rumiany i z blaskiem w oczach. „No, jakoś się udało” - powiedział mamie. - „A ty milcz” - zwrócił się do Janki, która chciała już coś wtrącić. Do Lidki się uśmiechnął i pogłaskał ją po głowie, jakby chciał powiedzieć: no, wszystko w porządku, jutro zbieraj się do szkoły.

Lidka wyobraziła sobie, jak to będzie, gdy wejdzie do klasy. Jak usiądzie w pierwszej ławce z Rysiukiem. A dwadzieścia par oczu będzie się na nią gapić, jakby wszyscy zobaczyli ją pierwszy raz...

Spojrzała na rozkład zajęć - dwudziesty pierwszy października, środa - i włożyła do teczki odpowiednie podręczniki. Ale nie poszła do szkoły, tylko nad morze.

Obłoki wabiły wzrok rozmaitymi odcieniami szarości, a niebo wyglądało tak, jakby ktoś obsypał je brudnymi i nastroszonymi piórami. Wyglądało, jak leżąca na plaży zdechła mewa. Od morza dął nieprzyjazny wiatr; Lidka usadowiła się pomiędzy kamieniami i otworzyła książkę. Najbardziej nudną z nudnych powieści na świecie „Biedną Annę” należało zgodnie z programem przeczytać jeszcze w zeszłym roku, ale Lidka zabrała się do niej dopiero niedawno, przedzierając się przez długie opisy przyrody i niekończące się monologi. Bohaterka nie mogła mieć dzieci, zbliżała się do końca okresu płodności, a jej mąż zamierzał odejść do innej kobiety; Lidka przewracała kartki, o niczym prawie nie myśląc. Ależ problemy mają ci ludzie... przecież przeżyli bezpiecznie swoją *mrygę,* i teraz przed nimi dwadzieścia lat beztroskiego życia...

Lidce zostało siedem miesięcy i dwa tygodnie.

W ostateczną apokalipsę wierzą tylko idioci. Ona, Lidka, uczyła się historii. Jest mądra.

Litery zlewały jej się przed oczami.

Gdzieś tak koło południa do zatoki ze wszystkich stron spłynęły kutry patrolowe. Zatrzymały się daleko od brzegu - tam, gdzie Lidce udało się przedtem zobaczyć dalfiny. Czarne sylwetki rozciągnęły się w łańcuch od cypla do cypla. Okrętów było nie mniej niż dwadzieścia, a od strony bazy Obrony Państwa nadleciały dwa śmigłowce. Przeleciały się nad morzem, zrobiły kilka kręgów i odleciały. Lidka wstała, żeby odejść.

- Co ty tu robisz?

Niespodziewane pytanie prawie wytrąciło jej teczkę z rąk. Patrol wyrósł jak spod ziemi - dwaj żołnierze i oficer, uzbrojeni, w maskujących mundurach polowych.

- Co ty tu robisz, dziewczynko?

- Wagaruję - odpowiedziała Lidka cichutko.

Żołnierze wymienili spojrzenia. Uczciwa i szczera odpowiedź nastroiła ich mniej wrogo.

- Ogłoszono stan wojenny - ostrym głosem oznajmił oficer. - Dzieci powinny siedzieć po domach.

Lidka mocniej ścisnęła teczkę. Wargi zaczęły jej drżeć wcześniej, niż zrozumiała sens tego, co jej powiedziano.

- Jak to... co się...

- Chodź, szybko!

Ujęli ją pod łokcie i poprowadzili - nie za szybko, ale i tak co chwila się potykała. Ze strachu zatkało jej uszy.

Po betonowych schodkach wyciągnęli ją na nabrzeże - z kramów zostały tu tylko metaliczne szkielety, pod nogami szeleściły pomięte gazety i nikogo już tu nie było - ani handlarzy, ani spacerowiczów. Tylko same wojskowe samochody z siatkami na oknach. I ludzie z OP, z których co drugi miał radiotelefon. Składane anteny trzęsły się miarowo i wyglądały jak wąsiska karaluchów.

Był jeszcze Igor Rysiuk. Stał przylepiony do jednego z pojazdów i patrzył gdzieś w bok, jakby to wszystko go nie obchodziło.

- Ej, ty... to ta dziewczyna?

Rysiuk rzucił na Lidkę krótkie spojrzenie i natychmiast się odwrócił: - Ta.

- Ta, co opuszcza lekcje?

- Przeżywa osobisty dramat - odpowiedział Rysiuk, prawie nie otwierając ust. - Nieszczęśliwa miłość.

Ktoś zachichotał.

- No dobra, mały... wygląda na to, że nie kłamałeś. Dokąd was oboje odwieźć... może do punktu rozdzielczego?

- My niczego nie zrobiliśmy - odezwała się Lidka cienkim, nieśmiałym głosikiem.

- A jednak, nie wolno łazić, dokąd się chce... Adres?

- Co? - dość głupio spytała Lidka.

- Gdzie mieszkacie? Daleko?

- Na Kątowej...

Igor się nie odezwał. Mieszkał znacznie dalej, na Zielonej Górce.

- No dobra... Do Kątowej was podrzucimy, ale potem nigdzie mi nie łazić! Jasne?

Wspięli się do ciasnego wnętrza wozu w ślad za nieprzyjemnie i ostro pachnącym żołnierzem. Maszyna drgnęła - Igor i Lidka mimo woli objęli się rękoma.

- Czemu nie przyszłaś do szkoły? - zapytał Rysiuk kłótliwym szeptem.- Zarudny chodzi i nic...

- Odczep się...

- Czemu jesteś taka nieuprzejma?

- A czemu ty jesteś takim kretynem?

Gdzieś wyła syrena. Jej wycie najpierw narastało, trwało przez chwilę, a potem cichło, jakby się oddalała. Samochód z syreną pognał w przeciwnym kierunku - ku morzu.

- A w szkole, co było?

Rysiuk wzruszył ramionami.

- Alarm. Wszystkich odesłali do domów.

- A ty skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Skąd ci przyszło do głowy, że cię szukałem?

Lidka ugryzła się w język.

- Hej, dzieciaki - odezwał się kierowca. - Na Kątowej który numer?

- Dwadzieścia siedem - wymamrotała Lidka. - Obok domu towarowego.

Wóz wydostał się na ulicę i ruszył szybciej.

- Posłuchaj, Rysiuk...

Pytanie zamarło jej w krtani.

- *Mryga!* Dzisiaj? - drwiąco zapytał Igor. - A co z twoją ulubioną datą? Co z dziewiątym czerwca?

Lidkę ogarnęła fala gniewu. Nagle zapragnęła strzelić niewysokiego Igora w pysk, żeby ten jego krótko ostrzyżony kaczan walnął o burtę wozu.

- Nie bój się, to zwykły kryzys - uśmiechnął się Igor. - Jakiś wojskowy zamach stanu, czy coś w tym guście. Gdybyś się porządnie uczyła historii, to byś wiedziała, że kilka lat przed każdą apokalipsą następuje...

Wóz zahamował.

- No, dzieci, spadajcie! I żebym was więcej na mieście nie widział,

jasne?

- Nie jesteśmy już dziećmi... - warknął Rysiuk pod nosem. - Wiesz, zdążyliśmy już przywyknąć...

Kierowca dodał gazu i maszyna pomknęła dalej, zostawiając obojgu na pożegnanie falę smrodu z rury wydechowej.

* * *

Wypracowanie
UCZENNICY MŁODSZEJ GRUPY
Klasy III B
LIDII SOTOWEJ
na temat: „Ludzie i dalfiny”

Pewna dziewczyna poszła kiedyś nad morze. Pogoda była piękna. W wodzie pluskały się rybki. Świeciło słońce. Dziewczyna postanowiła, że się wykąpie.

Weszła za daleko w głąb morza i zaczęła się topić. Zaczęła wzywać pomocy, ale nikt jej nie usłyszał.

I nagle z głębi morza przypłynął dalfin. Dziewczyna się przestraszyła, ale dalfin popchnął ją ku brzegowi i uratował.

Dziewczyna się bardzo ucieszyła. Dalfin pływał obok niej i pokazywał jej grzbiet. Zaprzyjaźnili się. Dziewczyna często zaczęła chodzić nad morze i spotykać się z dalfinem.

Potem dziewczynka dorosła i nastąpił koniec świata. Dalfiny pozrzucały skóry i prze... [skreślone] się w poczwarki, to znaczy w glefy. Wyszły na brzeg. Dziewczynka [skreślone]. On ją poznał i nie zjadł. Ale ją poranił. I dlatego nie zdążyła dostać się do Wrót, do Schronu.

Dalfiny to niebezpieczne stworzenia. W okresie cyklu pływają daleko od brzegu i nie wychodzą na brzeg. Ale gdy następuje koniec świata, stają się larwami glefami i wychodzą na ląd. Dzieci powinny uważać!

OCENA: trzy z plusem
NIESTARANNIE! I myśl, Lido, o czym piszesz.

* * *

W domu powitała ją cicha panika. Cicha, dlatego że wróciła z Rysiukiem. W obecności kolegi z klasy nie bardzo wypadało robić Lidce sceny.

Rysiuk zaszedł, żeby zadzwonić i nawet zdążył burknąć do słuchawki: „Żyję, nic mi się nie stało, jestem u Sotowej”, gdy telefon umilkł, jakby słuchawkę napchano watą. „Teraz jeszcze łączność!” - wycedził przez zęby ojciec Lidki. Rysiuk pożegnał się i ruszył ku drzwiom.

- Igorze, nigdzie nie pójdziesz - odezwała się mama spokojnie. - W

najlepszym przypadku zabierze cię jakiś patrol.

- A w najgorszym? - zdziwił się Rysiuk.

Po całym mieszkaniu były porozrzucane rozmaite rzeczy. A na progu stało pięć plecaków - jak na obrazku w podręczniku OP.

- No, wywal wszystko, co tam masz w torbie - odezwał się Timur, brat Lidki do Rysiuka, który nagle jakoś ucichł. - Jeżeli ogłoszą ewakuację...

- Zatokę już zamknięto - stwierdziła Lidka.

- Z pewnością leżą już glefy - zażartował beztroski Timor.

Jana zaczęła płakać. Ojciec ją zbeształ - ale bez gniewu, uczynił to raczej machinalnie.

Telewizor stał włączony, ale migotał szarym bielmem pustego ekranu. Jak się weń długo wpatrywać, można ulec złudzeniu, że po ekranie łażą tysiące drobnych muszek. Lidka odwróciła głowę.

Rysiuk bez słowa wytrząsnął z teczki na podłogę kilka podręczników, aktówkę z zeszytami, dziennik, piórnik i jakieś drobiazgi. Do pustej teczki włożono mu termos, zawinięty w polietylen pakiet z racją żywnościową i apteczkę. Ta wymiana podziałała przygnębiająco na Lidkę - poszła więc do swojego pokoju i włączyła magnetofon - na szczęście baterie jeszcze działały. Zamknąwszy oczy, można było sobie wyobrazić, że nic się nie stało.

- Byłem wczoraj w dwieście piątej - odezwał się Rysiuk.

- Po co? - spytała Lidka bez nadmiernego zainteresowania w głosie.

- Tak sobie... Najpierw było ciekawie... dziewczyny poprzychodziły w tym, co tam która miała... a niektóre prawie bez niczego...

- Bardzo interesujące - wtrąciła Lidka sarkastycznie.

- Owszem... ale potem nażarli się jakiegoś świństwa i zaczęła się rozróba. Ledwo zdążyłem zwiać. Ty z tym Zarudnym... to poważnie, czy tylko tak?

Lidka milczała. Dziwna sprawa... do dziewiątego czerwca zostało wszystkiego siedem i pół miesiąca, a ona irytuje się na tego nudziarza i pajaca Rysiuka. Który zresztą celowo się z nią drażni.

W sąsiednim pokoju zatrzeszczał telewizor. Zapiszczał - i na ten pisk z różnych pomieszczeń zbiegli się Timur z Jana, mama, papa i Lidka z Rysiukiem.

- Drodzy mieszkańcy naszego miasta...

Czyjaś młoda, pociągła twarz. Na poły znajoma - Lidka nigdy nie interesowała się polityką i nie oglądała telewizyjnych wiadomości, ale domyśliła się, że przed kamerą nie siedzi dziennikarz ani lektor.

- Drodzy mieszkańcy naszego miasta, nadzwyczajna sytuacja została opanowana. Prosimy wszystkich o zachowanie spokoju. W stolicy wykryto spisek, wymierzony w prawowity rząd i mający na

celu obalenie konstytucyjnego...

„Skąd ja go znam" - zaczęła się zastanawiać Lidka. I prawie w tejże samej chwili usłyszała nad uchem syk Rysiuka:

- Niech go cholera... To przecież...

- Kto? - zapytała lekko podenerwowana.

- Zarudny - odpowiedział ojciec. - Deputowany Zarudny.

Z ekranu patrzył na nich ojciec Sławka.

Rozdział 2

Swietka mieszkała piętro wyżej i była o rok starsza od Lidki. Uczyła się w dwieście piątej i w przeciwieństwie do Lidki miała czas na przesiadywanie w „złym towarzystwie". Przechodząc obok ławeczki, na której wieczorami zbierało się to właśnie towarzystwo, Lidka spinała się wewnętrznie i pozdrawiała wszystkich najbardziej obojętnym kiwnięciem, na jakie mogła się zdobyć w tej sytuacji.

Podczas ostatnich miesięcy wszystko się zmieniło i nie udało się ukryć tej zmiany. Lidka przestała chodzić na zajęcia pozalekcyjne, co więcej, ośmielała się opuszczać ostatnie lekcje. W liceum czuła się jak karaś na zimnej patelni - niby nie piecze, ale i przyjemne to też nie jest. Lepiej już na ławeczce przed domem...

Ale najważniejsze było to, że ze Swietką można było rozmawiać o dziewiątym czerwca. Swietka nie wybuchała histerycznym śmiechem, dając całą postawą do zrozumienia, jak ją śmieszy głupota Lidki i nie kręciła palcem przy skroni. Swietka zdobywała nawet jakieś nowe wiadomości - okazało się, że istniały całe organizacje poświęcone Ostatniej Apokalipsie. Jakby dwa przeciwstawne nurty - jedni poświęcali ostatek życia na „wyzwolenie duszy", rzucając picie, palenie opuszczali rodziny i poświęcali się pracy z ludźmi. Inni - przeciwnie, nie zamierzali niczego rzucać, a chcieli po prostu na koniec pożywać sobie życia; sprzedawali mieszkania, a za otrzymane pieniądze organizowali orgie, zabawy, hulanki, kupowali bilety na morskie podróże i w ogóle oddawali się uciechom. Jeżeli idzie o morskie podróże, to Lidka sama chętnie by się w taką wybrała, ale o tym, czym ludzie zajmowali się na orgiach, pojęcie miała dość mętne.

Urodziny Swietki wypadały w niedzielę. Dwudziestego drugiego stycznia - obliczyła Lidka, kierując się starym nawykiem.

Goście zebrali się około pół do ósmej. Chłopaków było sześciu, dziewcząt - razem z Lidką - tyle samo. Najwyraźniej był w tym jakiś zamysł - wypiwszy po lampce mocnego, mętnawego płynu, goście podzielili się na pary - jak w przedszkolu. Miejsce obok Lidki zajął blady, niezdrowo wyglądający dryblas, mniej więcej osiemnastoletni i najwyraźniej krótkowidz, ale wstydzący się noszenia okularów.

Po pierwszym toaście Lidce zakręciło się w głowie i od razu jej ulżyło; nie musiała już o niczym myśleć - a w każdym razie o niczym

nieprzyjemnym.

W nowym towarzystwie licealiści nie cieszyli się najmniejszym szacunkiem. Wszyscy goście, oprócz Lidki, byli uczniami szkoły dwieście piątej z młodszej i średniej grupy, a siedzący obok Lidki chłopiec był ze starszej i na dodatek powtarzał rok. Mówiono o nauczycielach - wyjątkowo głupich, paskudnych i prymitywnych typach. Każdy z nich miał jakieś przezwisko. Lidce dość szybko wszystko się pomieszało i nie mogła się zorientować, kto kogo dokąd posłał i kto komu przygrzał linijką. Naiwnie przyznała się do tej nieświadomości - i natychmiast znalazła się w centrum uwagi. Jeden przez drugiego goście zaczęli jej wyjaśniać:

- ...chemica - Decha Przysecha. A matematyczka - Fenia Chrzanowna. A peowiec...

Pozostałe przezwiska nie nadawały się do druku, były jednak śmieszne. Lidka wybuchała końskim śmiechem i głośno powtarzała najbardziej smakowite przezwiska. Z niemałą satysfakcją przymierzała je do licealnej zastępcy, matematyczki i dyrektorzycy; dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo nienawidzi całą trójkę. Za ponure gęby na progu muzeum, za patetyczną odżywkę: „W tym świętym dla nas miejscu...” I za to, że jej nie wylali. Niechby ją wydalono ze szkoły... ale nie, zmarszczyli się z pogardą, popatrzyli z obawą na Zarudnego i zostawili. Żeby za każdym razem, wzywając ją do tablicy, sceptycznie zaciskać wargi.

A w dwieście piątej, której numerem straszono licealistów aż do dygotu w kolanach, nikt warg na zaciskał. Tam nauczyciele klęli, krzyczeli, rzucali podręcznikami, tłukli linijkami po łbach i wzywali rodziców - ale warg zaciskać nikt by tam nie zaciskał. Po pierwsze, dlatego, że wszyscy uczniowie byli uważani za zepsutych z definicji i nikt się po nich nie spodziewał niczego dobrego. A po drugie, uczciwiej jest raz dać dziewczynie w gębę, niż miesiąc po miesiącu pogardliwie się marszczyć na jej widok.

- A tamten chłopak podwędził starszemu klucze od wozu i zaprowadził Angelikę do garażu. Uruchomili silnik, żeby ogrzać budę i wleźli na tylne siedzenie. A wóz taki, że nie daj Boże! I zaczęli się kotłować - a garaż zamknięty! Zasnęli oboje i się otruli... znaczy, nawdychali się spalin. Pochowano ich razem...

- Tobie śmiech, a mnie stara teraz kluczy nie chce dać...

- A co, na tamten świat ci się zachciało?

- Wszystko lipa, chłopaki, jeden gościu z naszej klasy postawił w piwnicy obok rury rozkładane łóżko, cieplutko tam...

- ...zdejmuję siostruni tę torbę z głowy, a ona już sina, ledwo ją obudziłem. Pogotowia nie wzywałem, żeby rachunku nie wystawili.

- ... no dobra, myślę, forsę jakoś skombinuję, nie pierwszy raz, ale żeby mu tyłka nadstawiać...

- ...kupiłem petardę i psorce do szuflady. Ale wrzeszczała!

Lidka popijała i chichotała coraz głośniej. Każde słowo wydawało jej się niezwykle zabawne, ale nie wiadomo czemu, natychmiast ulatywało z pamięci.

Całe towarzystwo już po godzinie uznało ją za swojaka. Blady drugoklasista zaczął śpiewać, akompaniując sobie na gitarze. Miał na imię Giena i Lidce podobał się z każdą chwilą coraz bardziej - taki dorosły, z błękitnymi, nieustraszonymi oczami i lekko zachrypniętym, zmęczonym głosem...

Potem zapalono dwie świeczki i zgaszono górne światła. Włączyli jakąś muzykę i Giena zaprosił do tańca nie Lidkę, ale jej długonogą sąsiadkę z prawej. I od razu podczas tańca wetknął jej rękę pod króciutką spódniczkę mini.

Lidka, chwiejąc się na nogach, wydostała się jakoś zza stołu, przecisnęła pomiędzy tańczącymi i znalazła łazienkę. Usiłując się skupić, długo patrzyła w swoją pijaną twarz, natężając wzrok.

A niech wszystko porwą diabli. Tak i tak już niedługo *mrygnie*. Dlaczego ona, Lidka, nie ma prawa robić tego, na co ma ochotę? Choćby w przeddzień nieuchronnej śmierci...

- Hej, mała! Dawaj tu! Będzie zabawa!

Pokój pływał w papierosowym dymie. Ze stołu pozdejmowano puste talerze, a solenizantka przyniosła dziecięcy bączek na przyssawce i ze strzałeczką. Z towarzyszeniem ogólnego śmiechu uruchamiano bączek i ten, na którego wskazywała strzałka, zdejmował z siebie część odzieży. Serce zamierało w słodkim oczekiwaniu, było strasznie i radośnie, goście kolejno zdejmowali buty, skarpetki, koszule, paski. Potem siedzący naprzeciwko Lidki został w samych gatkach i zaczął się drzeć, że dość ma już tej zabawy, ale zaraz go zakrzyczano, wołając, że podczas gry nie wolno się wycofywać, a zasady są zasadami. Umilkł więc i tylko hałaśliwie okazywał radość, gdy strzałka wskazywała na kogoś innego.

Lidka popadła w jakiś gorączkowy nastrój. Najpierw zdjęła pantofle, potem pas, rajstopy. Któraś z rozchichotanych dziewcząt siedziała już w bieliźnie, która okazała się bardzo fikuśną i do której skromna bielizna Lidki miała się tak, jak szept do krzyku. Bączek się kręcił, serce zamierało, w końcu jako tako ubrani zostali tylko Lidka i jej krótkowzroczny sąsiad, i zaczęto pod ich adresem puszczać żarty. Potem bączek trzykrotnie wskazał na rudą dziewczynę uczesaną w koński ogon i ta, choć utyskiwała, że to nieuczciwe, rozebrała się do naga. Lidka wytrzeszczyła oczy - nie spodziewała się, że dojdzie aż do tego...

Ech, zaprosić by tu zastępicę i matematyczkę! I popatrzeć na ich miny!

Tak czy kwak *mryga,* stwierdził ktoś wewnątrz jej pijaniutkiej

głowy. Co za różnica?

Jestem zepsuta, zrozumiała nie bez zdziwienia. Jestem złą dziewczyną, strasznie złą dziewczyną... i jakie to bycze uczucie! Bycie złą.

W tej właśnie chwili zabawa się skończyła i muzyka buchnęła głośniej.

Ktoś tam zbierał z podłogi swoje rzeczy, innym wcale nie chciało się trudzić. Długonoga dziewczyna w minispódniczce tańczyła na stole; Giena mrużąc oczy krótkowidza łaził w jednym bucie i szukał pod nogami drugiego. Okazało się, że na nagim ramieniu ma tatuaż, który najwyraźniej był dziełem jakiegoś artysty amatora z klasy, bo bardzo przypominał rysunek z zeszytu - krzywonogi krokodyl o wściekłym spojrzeniu.

Wszędzie unosił się zapach perfum, potu, papierosowego dymu i resztek jedzenia. W mrocznym kącie ktoś się kokosił z chichotem - i gnieździły się tam na oko przynajmniej trzy półnagie ciała.

Na kanapie solenizantka Swietka całowała się z chłopakiem, którego imienia Lidka nie pamiętała.

Ledwo odnalazła swoje pantofle. Rajstopy gdzieś wcięło. Pas też. Jutro trzeba będzie się przejść po sąsiadach: „Przepraszam państwa, czy nie ma u was moich rajstop?"

Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi. Zeszła piętro niżej. W kieszeni dżinsowej sukienki odszukała klucz. Wzięła go ze sobą na ten właśnie wypadek - żeby móc wrócić cicho, nikogo nie budząc. Żeby nie obwąchiwali jej podejrzliwie i nie mierzyli wzrokiem.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Lidka wtopiła się w zapach swojego mieszkania; w przedpokoju było ciemno, w salonie też i tylko migał błękitem przeklęty telewizor.

Zdjęła pantofle i na bosaka ruszyła przed siebie, licząc na to, że niepostrzeżenie przemknie do swojej sypialni.

- ...przez ekspertów, są zgodne co do sekundy... za dwieście dni, dziewiątego czerwca przyszłego roku, o godzinie szesnastej dwadzieścia jeden... i Bóg już się nad nikim nie zlituje...

Lidka zamarła w bezruchu.

W pokoju rozległ się podniesiony głos mamy; a Lidka jak zahipnotyzowana zrobiła jeszcze jeden krok ku przodowi i wparła się wzrokiem w telewizor.

Z ekranu patrzyła na nią żółtawa, pomarszczona, przepojona smutkiem twarz jakiegoś starszego człowieka. Na pierwszym planie widać było podrygujący w czyjejś dłoni mikrofon i wyglądało to tak, jakby leteksowa grusza szykowała się do zatkania ust mówiącemu.

- Wszystkich obliczeń dokonano według metody Brodowskiego-Filke. Prawdopodobieństwo popełnienia błędu jest bliskie zera. Zostało nam jeszcze dwieście dni na to, żeby pożyć i wziąć od życia

wszystko, co się da. Bądźcie gotowi, dziewiątego czerwca...

Kamera cofnęła się razem z prezenterem.

- Oglądacie państwo program „Kontakt". Gościem naszego studio był... - dziennikarz poruszył ustami jak ryba, wyciągnął spod pachy jakąś teczkę i zerknął do notatek - ...przedstawiciel ruchu „O czystość duszy".

Ekran zgasł. Lidka cofnęła się w głąb korytarza.

- Dobrze, że małej nie ma - chwilę ciszy przerwał dopiero głos Jany.

- Diabelskie pudło - orzekła mama gniewnym głosem.

Lidka niepostrzeżenie przemknęła do swojego pokoju.

W nocy mama znów ją musiała leczyć kroplami. Na dodatek mama złożyła przysięgę, że nigdy już nie puści Lidki do Swiety. Ani na krok.

* * *

- ...ty się jeszcze doigrasz, Sotowa. Dwójka na okres, na półrocze, a potem egzaminy, których nie zdasz z takim przygotowaniem... zostaniesz wydalona ze szkoły nie z powodów dyscyplinarnych, a za nieusprawiedliwione nieobecności. Rozumiesz?

W gabinecie zastępicy było ciepło. W powietrzu unosił się nikły zapach kwiatów - chyba astrów. Jak na pogrzebie, pomyślała Lidka.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz, Sotowa?

- Do egzaminu jeszcze pół roku - odezwała się Lidka, patrząc w podłogę.

- I myślisz, że to sporo czasu? Że jeszcze zdążysz? „Od poniedziałku wezmę się do roboty", co?

- Nie - Lidka wzruszyła ramionami i po raz kolejny doznała wrażenia, że kurteczka szkolnego mundurka jest za ciasna i pije ją pod pachami. - Tylko... Co za różnica? Apokalipsa...

Zapadło milczenie, zakłócane tylko cichym, dobiegającym z kąta pomrukiem ogrzewacza.

- I co z tego? - odezwała się zastępica zupełnie innym tonem. - Czy to po raz pierwszy w historii? Czy po tym ma się skończyć życie... *Twoje* życie, Lido?

- Może i nie po raz pierwszy - odezwała się Lidka sama zdziwiona własną śmiałością. - Ale z pewnością po raz ostatni. Dla wszystkich.

I znów umilkła, nie odrywając wzroku od podłogi.

* * *

Rysiuk zajął pierwsze miejsce w olimpiadzie historycznej i zdobył prawo wstępu na uniwersytet bez egzaminów.

Lidka dostała pałę z pracy kontrolnej i pałę na okres - po raz pierwszy w życiu.

Daremnie myślała, że w ogóle jej to nie ruszy. Bycie złą i zepsutą w pełnym półmroku i papierosowego dymu pokoju, w towarzystwie takich samych wyrzutków, to jedna sprawa. Inna rzecz - odbierać swój dzienniczek na końcu i iść ku nauczycielskiemu stolikowi pod ostrzałem pełnych niedowierzania spojrzeń kolegów i koleżanek. Patrzeć w oczy Michaiłowi Feoktistowoczowi. I wysłuchiwać suchego i krótkiego jak wyrok: „Sotowa - niedostatecznie".

Podświadomie czekała na drwiny Rysiuka. Albo na gniewne zapytanie: „Odbiło ci, czy co?"

Rysiuk tymczasem się nie odezwał i nawet nie spojrzał na koleżankę z jednej ławki. Jakby w ogóle go nie interesowały dalsze losy najgorszej w klasie uczennicy. Spoglądając tępym wzrokiem przez okno na boisko, gdzie średnia grupa ćwiczyła kręgi na łyżwach, Lidka przypomniała sobie, jak Rysiuk nazywa uczniów dwieście piątej. „Prymitywy" - tak o nich mówił. Jego dzisiejsze milczenie nie było przypadkowe - co więcej, z ławeczki równych Lidka stoczyła się oto na ławeczkę „prymitywów", co oznaczało, że dotychczasowa kłótliwa z nim przyjaźń skończyła się.

Poczuła gniew. Celowo, choć udając, że nieumyślnie, zrzuciła książkę Rysiuka na podłogę.

Huk był taki, jakby zwaliła na ziemię żeliwne koryto. Cała klasa spojrzała na pierwszą ławkę - a Rysiuk schylił się i znów nie patrząc na Lidkę, podniósł podręcznik i pozbierał rozsypane zakładki.

W wyklinanej dwieście piątej nikt nie wydawał wyroków o ludziach na podstawie ich ocen.

Lidka zagryzła wargi. A tam, wszystko jedno. Dziś dziewiąty grudnia, środa...

Zostało równo pół roku.

* * *

Przed wejściem na stację szybkobieżnego tramwaju ktoś jej wsunął do ręki ulotkę. Z początku uznała, że to zwykła reklamówka albo kolejne ogłoszenie dotyczące „wygodnej pracy" - ale rozwinąwszy ją mechanicznie, aż się potknęła.

Mężczyznę na fotografii poznała od razu, choć ulotka była czarno biała i nie oddawała żółtawego odcienia jego twarzy. Mimo wszystko był to jednak ten sam człowiek - tym bardziej, że w górnej części ulotki wydrukowano surowymi, czarnymi literami: „O czystość duszy", a w prawym dolnym rogu widać było emblemat - stylizowany wizerunek ogarniętego płomieniami człowieka. „Tak będzie ze wszystkimi".

- Dziewczynko, co z tobą?

- Nic, nic...

Wydostała się z tłumu. Przylgnęła do mozaikowej ściany, drżały

jej kolana.

Nic. Nic... Wie, i to dobrze, że dowiedziała się wcześniej. Zawsze można zdążyć najeść się nasennych środków. Żeby nie zamienić się w tańczącą pochodnię, jak tamten wariat... A może nie był wariatem, może to bohater, wskazujący drogę...

Dziś jest dwudziesty pierwszy grudnia, poniedziałek... Zostało... Ile to zostało?

Usiadła na wąskiej ławeczce - przechodzący ludzie patrzyli na nią z ukosa i ze źle skrywanym zdziwieniem w oczach - i wyciągnęła z teczki dziennik. Każdy dzień zaznaczony był liczbą w kółeczku. Znaczy, dziś dwudziesty pierwszy...Zostało sto osiemdziesiąt dwa dni.

* * *

- Nie odrabiasz zadań, bo ich nie zapisujesz?

Chemica oderwała wzrok od leżącego na stole nauczycielskim dzienniczka Lidki.

- Zadania domowe cię nie obowiązują, Sotowa?

Lidka zamrugała powiekami. Chemica wzięła ze stołu krwiście czerwony długopis i znów pochyliła się nad dzienniczkiem Lidki, ale tym razem już w zupełnie konkretnym celu. Jeszcze przed dwoma miesiącami Lidka ujrzawszy coś takiego, oblałaby się zimnym potem.

Teraz nie przejmowała się już uwagami w dzienniczku.

- A to co takiego? - zapytała ze zdziwieniem chemica, na sekundę zawiesiwszy w powietrzu iskrzący się groźbami długopis.

Na dzisiejszym wtorku zapisano liczbę sto siedemdziesiąt jeden. Na jutrzejszej środzie - sto siedemdziesiąt. Kolejny czwartek miał liczbę sto sześćdziesiąt dziewięć.

- Liczysz dni do egzaminu? - zapytała chemica, sama najprawdopodobniej pojmując głupotę takiego przypuszczenia.

Lidka nie odpowiedziała.

* * *

- Znam takie towarzystwo - oznajmiła Swietka. - Prywatny domek na przedmieściu. Tam się zbierają. Znam jednego chłopaka... mówi, że jak są razem, nie czują strachu. Że koniec świata będzie ostatni i taki sam dla wszystkich. On już sprzedał swój motor. Po cholerę mi teraz, mówi, motocykl...

Swietka przysunęła się bliżej, dławiąc Lidkę bijącym z jej ust zapachem nikotyny:

- A ósmego czerwca, znaczy, w przeddzień, urządzą sobie bal debiutantów. Sami tak go nazywają. Zbiorą się razem, zabawią się, złapią ostatni kajf i po cichutku posną. I wszystko.

Lidka milczała. Splatała i rozplatała palce.

- Pójdę do nich - odezwała się Swietka po pauzie. - Popatrzę, czy

jest tam tak pięknie, jak mówi ten nygus. Pójdziesz ze mną?

- Kiedy? - spytała Lida cichutko.

Swietka się zamyśliła:

- No... jutro zmywam się z dwóch ostatnich lekcji. Albo w ogóle nie pójdę do szkoły. Wyśpię się. Gdzieś tak na dwunastą... pasuje?

Lidka kiwnęła głową.

Szatniarka patrzyła na nią podejrzliwym wzrokiem. Lidka ostatnio dość często zabierała swój płaszcz przed końcem lekcji.

I co z tego?!

Przy bramie stały rzędem samochody. Beżowe, zielone i biało-żółte, podobne do woskowych jabłek w śniegu. Wyróżniał się tylko jeden, czarny, podobny do przyczajonej pantery. W tym wozie pracował silnik - z rury wydechowej wydobywała się nitka spalin.

Lidka zwolniła kroku.

W zasadzie chyba od samego początku wiedziała, że nigdzie ze Swietką nie pójdzie. Kumpela trochę poczeka, a potem pójdzie na przedmieście sama; potem będzie jej można coś zełgać. Swietka co prawda nie uwierzy i zupełnie słusznie oskarży przyjaciółkę o tchórzostwo, ale czy to nie wszystko jedno?

Ale jeżeli nie pójdzie dziś ze Swietka, to znaczy w ogóle nie będzie miała co robić. Na siedzenie w parku za zimno, a powrót do domu o tej porze oznacza pakowanie się w awanturę. Wydawałoby się, drobiazg, zwykła domowa awantura, ale mimo wszystko wcale się jej to nie uśmiecha...

Niepokój okazał się tak silny, że niewiele brakło, a wróciłaby do szkoły. Pokornie oddała swój płaszcz szatniarce i usiadła w swojej pierwszej ławce, na oczach całej klasy... czyściutkich, porządnych uczniów, którzy doskonale radzą sobie z nauką. Obok Rysiuka, który jest już prawie studentem. Który wierzy, bałwan, że będzie studentem! Popiołem będzie, a nie studentem, szarym stożkiem pod ruinami gmachu liceum!

A może jednak pójść ze Swietką?

Podniosła zamarzniętą grudkę śniegu. Starannie wymierzywszy, cisnęła w siedzącą na płocie wronę. Chybiła. Wrona nawet nie wzbiła się w powietrze, tylko pogardliwie łypnęła na Lidkę, przechylając łebek.

Zdenerwowana nie na żarty Lidka podniosła kolejną śnieżkę. Dobrze byłoby znaleźć nieco cięższą.

- Lida!

Wyprostowała się z grudką lodu w dłoni.

Obok czarnego wozu stał, wetknąwszy dłonie w kieszenie długiego, czarnego płaszcza, mniej więcej czterdziestoletni nieznajomy mężczyzna.

Nie, nie. Lida go poznała. Gdzieś już widziała tę twarz, tylko

gdzie to było...

- Dzień dobry. Lido. Zajęcia już się skończyły?

Mocniej ścisnęła swoją grudkę lodu. Rękawiczka zdążyła już przemoknąć.

Stojącym obok czarnego samochodu mężczyzną był deputowany Zarudny. Kilka razy spotkała go w szkole - ale to było dawno, przed paru laty. Częściej pokazywał się teraz w telewizorze. Zwłaszcza ostatnio, po jesiennej próbie przewrotu.

A trzasnąć by tą grudką w przednią szybę, podpowiedział jej wewnętrzny, rozweselony głosik. Fajnie by było. Co prawda te szyby są z pewnością z pancernego szkła... Albo chociażby mu napaskudzić. Chociaż nie. To *on* może jej napaskudzić. Dopóki należy do kręgu najbliższych doradców Prezydenta, ojca Sławki nie tknie żadna zaraza.

- Widzisz, Lido, dawno już chciałem z tobą porozmawiać. Można?

Lidka odwróciła głowę.

No jasne. Szklane drzwi były pokryte rozpłaszczonymi o szyby nosami. Jak muchy do miodu...jakby przed minutą nie brzęczał dzwonek na lekcje.

- O czym?

Słowa padły jednocześnie z grudka lodu, którą Lidka upuściła sobie pod nogi.

Deputowany Zarudny uśmiechnął się. Jego gęste, lekko już osrebrzone włosy sterczały niczym kolce jeża - deputowany nie bał się mrozu i nie nosił czapki. Zresztą, w samochodzie było z pewnością ciepło i wygodnie.

Nie ma z nim o czym rozmawiać. Incydent został dawno „wyczerpany" (wedle idiotycznego określenia Rysiuka),

- Widzisz, Lido... Bardzo bym nie chciał, żebyś sobie myślała, że mój syn został wychowany w małpim gaju. A ty z pewnością tak myślisz, prawda?

Rozdział 3

Wiosna się spóźniała. Ulice przekształciły się w kanały ściekowe i wszyscy klęli w żywy kamień miejskie służby porządkowe.

Na przystanku pospiesznego tramwaju było mokro, pod butami szeleściły nieuprzątnięte papierki po cukierkach, strzępy porwanych woreczków i ulotki, teraz już znane wszystkim ulotki z wizerunkiem płonącego człowieka, z których przenikliwym, ostrym wzrokiem spoglądał starszawy mężczyzna o żółtej twarzy.

Na podjeździe grupka nieco starszych od Lidki wyrostków zabawiała się kopaniem pustej butelki. Lidka mocniej przycisnęła do siebie teczkę. W sztucznym ścisku bez trudu można wyciągnąć komuś portmonetkę, albo nawet wyrwać teczkę czy torebkę - Lidka sama znała chłopaków z dwieście piątej, którzy zajmowali się tym procederem. Co prawda jednego z nich dopadli i stłukli milicjanci - i teraz mówią, że nie doczeka *mrygi.*

W centrum było cicho i spokojnie, ale pancerne żaluzje na witrynach sklepów pozostały opuszczone do połowy. Wzdłuż trotuaru dreptał odźwierny ochroniarz z miotłą i w fartuchu z odstającymi połami, pod którymi widać było zarys przedmiotu przypominającego rękojeść pistoletu.

Lidka znała dozorcę, on zaś na jej widok uśmiechnął się i podniósł z pulpitu słuchawkę telefonu:

- Klaudia Wasiliewna? Przyszła do was Lida Sotowa. Tak. Dobrze. Właź na górę - to było już do Lidki.

Klaudia Wasiliewna była matką Sławka. Znaczy, deputowanego nie ma w domu... A Lidka liczyła na to, że będzie mogła się z nim zobaczyć. Właśnie dziś.

Drzwi otworzył jej Sławek.

- Cześć.

- Cześć - odpowiedziała Lidka, wdychając zapach mieszkania Zarudnych; składała się nań niepowtarzalna mieszanka woni drewna, skóry i czegoś jeszcze, co nie dawało się bliżej określić.

Stosunki Sławka z Lidką przypominały teraz wzruszającą dziecięcą przyjaźń, taką, jaką opisują w książkach. Trwało to od dnia, w którym deputowany Zarudny przekonał Lidkę, że nie jest ona dla Sławka obiektem zainteresowania seksualnego, ale łączy go z nią więź raczej romantyczna. Że jeden głupi postępek jest wybaczalny i nie można od razu stawiać na człowieku krzyżyka. Że dla niego, deputowanego, bardzo ważne jest psychiczne zdrowie syna. Deputowany przełamał jeszcze inne wątpliwości Lidy, nie od razu i nie bez trudu, ale w końcu przekonał ją, dlatego, że dziewczyna chciała

zostać przekonaną... a deputowanemu zdarzało się przekonywać ludzi znacznie bardziej opornych i wrogo doń nastawionych, niż Lidka Sotowa. Kimże w końcu byłby dziś, gdyby nie potrafił przekonywać?

W pokoju Sławka wyjęła z teczki dwie kasety w podniszczonych futerałach.

- Masz... Tak jak się umawialiśmy.

- Dziękuję - odparł Sławek.

Dawniej powiedziałby: „Dziękuję, Chucherko". Teraz jednak nie nazywał Lidki Chucherkiem. Nigdy.

Włączył telewizor i wsunął w otwór odtwarzacza pierwszą z kaset Lidki. Na ekranie pojawiły się pasy, a potem obraz pojaśniał. Amatorskie zdjęcia, pierwszy września w liceum, starsza grupa przechodzi do trzeciej klasy, średnia do drugiej, a oto i pierwszoroczniacy...

Kaseta miała prawie dziewięć lat. W niektórych miejscach taśma była już uszkodzona, ale i tak film był ciekawy. Dziecinne gębusie... no, no... Lidka zdążyła już zapomnieć, jak wyglądają dzieci. Rysiuk był tak zabawny, że nie dało się powstrzymać śmiechu. Jej rówieśnicy... a i sama Lidka wcale nie wyglądała lepiej. Pulchne policzki i biała kokarda na czubku głowy.

- A to ja - odezwał się Zarudny, kiedy obiektyw kamery przeniósł się na dzieciaków ze średniej grupy.

Lidka kiwnęła głową z roztargnieniem:

- A ja już zdążyłam zapomnieć o tych taśmach. Tam są jeszcze urodziny, Nowy Rok...

Dłużej niż dwie minuty nie dało się patrzyć na dzieci. Jakby to nie była przeszłość Lidki, ale jakieś zupełnie obce, irytujące bachory. Pulchne policzki, krótkie rączki i nóżki...

- Kiedy wróci twój ojciec? - zapytała, gładząc wałek kanapy.

- Nie wiem - odezwał się Sławek po chwili milczenia. - Nigdy tego nie wiem... A co?

- Nic - westchnęła Lidka. - Wiesz... w dzisiejszej „Robotniczej" jest spory artykuł o tych... no, co przepowiedzieli apokalipsę...

- Znowu?! - Sławek mocno spochmurniał. - Kurczę, ty wciąż jeszcze czytasz takie rzeczy? Ile nam zostało... siedemdziesiąt dwa dni?

- A ty skąd to wiesz? - zapytała Lidka po chwili. - Liczyłeś?

Sławek mocno się zmieszał. Poczerwieniał po same uszy i rozpieklił się niczym pchła:

- Akurat! Nie mam nic lepszego do roboty, tylko liczyć!

- Ale przecież policzyłeś... - stwierdziła cicho Lidka.

Sławek parsknął gniewnie:

- Tylko nic nie mów ojcu. Wyśmieje mnie.

Na ekranie tarmosiły się obco wyglądające dzieciaki. Sławek

odsunął się w drugi kąt kanapy i podwinął pod siebie nogi; Lidka patrzyła na niego i nie mogła się nadziwić, że ten chłopak najpierw jej się wariacko podobał, potem ją przeraził, a wreszcie wzbudził w niej odrazę. Z jakiegoś powodu jego drwiny były jej całkowicie obojętne, a pochwały i komplementy wcale jej nie interesowały. Powie: „Głupia jesteś", a jej nie zechce się nawet wzruszyć ramionami. Ale gdyby powiedział: „Ojciec uważa, że jesteś głupia..."

Teraz pójdzie do kuchni i przyniesie mrożoną kawę. U Zarudnych podawano niezwykle smaczną kawę. Mieli nad wyraz wygodną skórzaną kanapę. I doskonałe wideo.

- Wyłącz - machnęła ręką w stronę ekranu, na którym kręcił się korowód siedmioletnich rówieśników Lidki. - Puść jakiś nowy film... Masz coś dobrego?

- Oczywiście - ożywił się Stawek.

Ciekawe, że deputowany Zarudny przekonał także syna. Wystarczy, jak to się mówi, udać, że nic się nie dzieje - i wszyscy wkrótce zaczną w to wierzyć, a po jakimś czasie okaże się, że rzeczywiście nic się nie stało.

Teraz nawet zastępica uśmiecha się do Lidki przyjaźnie. I matematyczka o wszystkim zapomniała. A chemica nie kwituje jej przyjścia dyskretnym chichotem. Mądrego ojca ma ten Sławek, gdyby nie był taki mądry, nie zostałby radcą stanu.

Wejściowe drzwi otworzyły się z cichym szczękiem. Lidka drgnęła. Tak, bez dzwonka i bez uprzedzenia wchodzi tylko pan domu.

Dziewczyna wstała.

- Trzeba się chyba przywitać?

Sławek także wstał:

- Poczekaj, zaraz zobaczę. Może jest przemęczony... jeżeli tak, to nie trzeba mu przeszkadzać.

I wyszedł. Lidka znów usiadła na kanapie i wyciągnęła przed siebie nogi w miękkich, kosmatych papciach.

Gra w dziecięcą przyjaźń, w którą dała się wciągnąć wbrew swojej woli, oprócz swoich osobliwości miała i plusy. A udobruchanie szkolnych zrzęd nie należało do najbardziej smakowitych.

Najbardziej tłustym kąskiem był ojciec Sławka. O ile wracał z pracy przed północą. I kiedy nie wracał „przemęczony".

- Lidka! - zawołał Sławek z korytarza, a dziewczyna z jego głosu natychmiast zrozumiała, że filmu oglądać nie będzie trzeba. - Wszystko w porządku, ojciec czuje się doskonale i zaraz wyjdzie spod prysznica...

Lidka rzuciła okiem na swoje odbicie w zwierciadle.

* * *

O Andrieju Igorowiczu Zarudnym opowiadano wiele historii. Niektóre z nich były niemiłe, inne po prostu brudne. Lidka doskonale wiedziała, że będący przy władzy człowiek nie może jej sprawować, nie narobiwszy sobie wrogów i nieprzyjaciół, którzy niczym wieniec otaczali mu szyję.

Jedna ze zbyt śmiałych gazet została zamknięta po tym, jak deputowany Zarudny, wymieniony w jednym z artykułów, wytoczył jej i wygrał proces „w obronie czci i godności". Inni redaktorzy i autorzy artykułów bulwarowej prasy tak daleko się nie zapuszczali; dogryzali deputowanemu jakby mimochodem i niechcący, a na pierwsze żądanie drukowali sprostowania. Jednocześnie popularne prorządowe dzienniki nie żałowały miejsca na rozumne artykuły Andrieja Igorowicza, obszerne wywiady i fotografie szczupłej, stanowczej twarzy. Deputowany Zarudny był u szczytu swojej popularności.

Albo zbliżał się do niego w szybkim tempie.

Mówi się przecież - i to coraz głośniej, że właśnie Zarudny zostanie kolejnym Prezydentem. Och, jakby to było fajnie! Lidka Sotowa osobiście zna Prezydenta!

Lidka nie chciała się przyznać przed sobą, że przelotna znajomość z niepospolitym człowiekiem jej pochlebia. Tylko dlatego zresztą podjęła grę ze zniechęconym Sławkiem i siedząc na skórzanej kanapie, ogląda wideo lub pije mrożoną kawę. Wszystko dla takiego szczęśliwego przypadku - deputowany wrócił wcześniej, nie jest przemęczony pracą i bez sprzeciwu może spędzić jakiś czas w towarzystwie syna... i z gościem syna, który przypadkiem jest akurat w domu.

Różowy po kąpieli deputowany miał na sobie obszerną domową koszulę. Mokre włosy sterczały mu jak tamtego zimnego dnia, kiedy Lidka rozmawiała z nim po raz pierwszy. Kiedy czekała na wyrzuty, zamaskowane oskarżenia i diabli wiedzą, co jeszcze...

A przecież... Gdyby nie tamto spotkanie, to możliwe, że polazłaby ze Świętka na przedmieścia i wpakowałaby się w jakąś historię, przystałaby do jednego z tych młodzieżowych „ogniw", których uczestników - o ile zostaną złapani - bez gadania odwożą do punktu pomocy psychicznej i napychają tabletkami. Znaczy, tak robią teraz. Wtedy, w zimie, o tych „ogniwach" jeszcze nie wiedzieli.

Ojciec Sławka już wtedy opowiedział jej o budowie tych „ogniw". I o łajdakach, którzy je „skręcają". Lidka od razu poczuła się dorosłą i mądrą... taką, której na plewy nikt nie nabierze.

Dobrze, że głupia Swietka tylko jeden raz poszła na zebranie „ogniwa". I że jej nie przyłapali.

Och, gdyby licealna dyrektorzyca miała w głowie choć połowę tego rozumu, jaki posiadł deputowany Zarudny! Co prawda, wtedy

dałaby sobie spokój z prowadzeniem liceum i zajęłaby się polityką.

Lidka uśmiechnęła się do swoich myśli.

- Jak tam wyniki w szkole?

Wyniki były mizerne. Z dwójek wylazła, ale z trójek wyjść się nie udało. Zupełnie straciła zainteresowanie nauką - co prawda, podobny los przypadł w udziale większości jej rówieśników. Wszystkie te probówki, równania i dyktanda wydawały się teraz takimi niepotrzebnymi i niewiele znaczącymi na tle nadciągającej katastrofy. Później, mówili sobie jeszcze wczorajsi celujący uczniowie. Kiedyś tam, później... przecież nie wiadomo, jak to się wszystko ułoży, po cóż więc niepotrzebnie zamartwiać się przed czasem.

W melancholię popadały osobliwie dziewczęta. Ich wyjaśnienia brzmiały jak muzyka: trzy-cztery lata po *mrydze* można uznać za wyrwane z życia. Mówią, że po urodzeniu dziecka kobieta traci połowę intelektu, znaczy, jak urodzi dwoje, zgłupieje do cna. Potem pieluchy i nocniki, miną najmniej trzy lata, zanim maluchy będzie można oddać do żłobka. Co zostanie w głowie po takim okresie? Jakie równania?

Lidka uśmiechała się i kiwała głową. Ot, hymn żywotności! Wszystkie dziewczęta wierzą, że przetrwają apokalipsę, wszystkie wierzą, że będą żyć potem i rodzić te... jak im tam... dzieci...

Dziewczyny przekonywały jedna drugą. Z przesadnym zapałem. Za bardzo się przy tym unosiły. Jakby starały się zdusić w sobie własną, godną potępienia niepewność.

Dziewiątego czerwca...

Lidka doskonale wiedziała, że w dwieście piątej dawno już nikt się nie uczył. Niektórzy jeszcze przychodzą na zajęcia, grają pod ławkami w karty i irytują nauczycieli. Ci z kolei, w miarę możliwości starają się odegrać. Swietka mówi, że szkolny dziennik zrobił się ostatnio czerwony od niedostatecznych. Nikt się nie dziwi, widząc siniak po uderzeniu nauczycielską linijką. Najbardziej rozpuszczonych nauczyciele wuefu łapią i tłuką w zamkniętych szatniach.

Na zajęciach opowiadano im o „podstawach wiedzy", „solidnym fundamencie" i o „dorosłym życiu", które czeka ich w kolejnym cyklu. Licealiści patrzyli jeden na drugiego i wzdychali. No, powiedzmy, chłopcy... niech będzie. Chłopaki od razu po liceum mogą uczyć się i pracować. Rysiuk, na przykład, już otrzymał studencki indeks...

Co prawda, wielu na jego miejscu by uważało. Chociażby po to, żeby nie zapeszyć. Mieszkańcy tych miast, które zostały unicestwione, też snuli plany na przyszłość. Zresztą i przy najzwyklejszej apokalipsie trafiają się pechowcy, którzy nie zdążą w porę dostać się do Wrót...

Lidka westchnęła.

- Co, ciężko? - cicho zapytał Andriej Igorowicz.

Dziewczyna w milczeniu kiwnęła głową.

- Rozumiem - odezwał się Zarudny po chwili milczenia. - Pierwsza apokalipsa zawsze jest trudna. Druga zresztą wcale nie jest łatwiejsza, możesz mi wierzyć... Bać się o dzieci jest jeszcze gorzej.

Lidka kątem oka zerknęła na Sławka. I zaraz potem uciekła spojrzeniem w bok. Wcześniej nigdy by jej nie przyszło do głowy, że można się bać o takiego drągala. I że jej rodzice boją się o nią, o Janę i Timura...

- Lida, jesteś dziś jakaś smutna. Sławek, daj no tu stolik, zagramy kilka szybkich partyjek.

Ze wszystkich zabaw deputowany Zarudny najbardziej lubił stołowy hokej. Trajektorie plastykowych hokeistów przypominały tory, po jakich poruszali się żywi ludzie z kijami; Lidka dość szybko nauczyła się poruszania dźwigniami i wygrywała ze Sławkiem trzy partie na pięć, tyle że ze Sławkiem grało się nieciekawie. Podczas gry młodszy Zarudny nie wydawał zrozumiałych dźwięków, tylko zaciekle sapał i buczał - radośnie albo żałośnie, w zależności od sytuacji. Sławek, choć starszy od Lidki o dwa lata, wydawał jej się w takich chwilach dzieciakiem podobnym do tych którzy chodzili parami na ekranie widiku...

Dziwne było i to, że ów dzieciak potrafił zdobyć się na napaść w muzeum. Jeszcze trochę i Lidka mogłaby zacząć współzawodnictwo z najbardziej zuchwałymi dziewczynami z dwieście piątej, które, jak się okazuje, przekłuwały kołnierzyki szpilkami z główką. Taka szpileczka oznaczała: „Jestem już kobietą", a pierwszy koralik na szpilce koniecznie musiał być czerwony. Liczba koralików oznaczała zaliczonych potem chłopców, przy czym - jak mówiono - niejedna uzurpatorka dostawała od kumpelek po gębie za kłamstwa lub przesadne chwalenie się sukcesami.

Myślenie o tym wszystkim, szczególnie gdy się patrzyło na grającego Sławka, tym bardziej na Sławka grającego z ojcem, było co najmniej dziwne. Papa przyszedł z pracy i razem z synem gonią po stole plastykowy krążek. A ten syn, na dodatek, to jeszcze prawdziwy dzieciak. Co mają do tego zwyczaje z dwieście piątej?!

Ot, jak mylące bywają pozory.

Lidka westchnęła.

Andrzej Igorowicz grał, jak to mówią, tylko jedną ręką. Krążek latał z kąta w kąt, ale Zarudny starszy miał też czas na niespiesznie prowadzoną rozmowę:

- Co tam jeszcze u ciebie. Lido? Bratu już się poprawiło?

Przed tygodniem Timur trochę kaszlał. Chorobą nazwać tego się nie dało. A deputowany Zarudny pamiętał...

- Dziękuję, już wszystko w porządku - odpowiedziała odruchowo. I niespodziewanie dla siebie samej dodała: - A co tam słychać u was w Parlamencie?

Właściwie, czemu nie miałaby zapytać? Przecież ludzie pytają jedni drugich, co słychać w szkole, w domu, w pracy.

Wyglądało na to, że Andriej Igorowicz także się zdziwił. Nawet puścił gola. Sławek radośnie zahuczał.

- Sprawy takie, jak zwykle - odparł Zarudny powoli. - Jeżeli cię to naprawdę interesuje, mogę ci dać zszywkę „Wiadomości Parlamentarnych". Są tam wszystkie przemówienia praktycznie bez skrótów...

Lidka usiadła na jeszcze ciepły stołek i wrażenie obcego ciepła sprawiło, że drgnęła i od razu puściła gola.

- Wyszłam z wprawy - stwierdziła przepraszającym tonem.

Sławek nie poczuł urazy.

- Papo, zagrajcie od początku!

- Poczekaj - deputowany Zarudny zatrzymał Lidę, wstającą od stołu. - Sławek, bądź tak uprzejmy i przynieś z kuchni herbatę... przy okazji zapytaj mamę, powinny zostać jeszcze jakieś pierożki...

Sławek zmarszczył się gniewnie, ale wstał bez sprzeciwu. I zamknął za sobą drzwi; Zarudni mieli tak rozległe mieszkanie, że Lidka do tej pory nie zdążyła się zorientować, gdzie u nich jest kuchnia.

Andriej Igorowicz usiadł na miejscu Sławka i pogładził palcem po hełmie żółtego, plastykowego bramkarza:

- Co, Lida? Może zagramy?

Kiwnęła głową. Nie wiadomo dlaczego, nagle zaschło jej w gardle. Wiedziała, że gdy wróci do domu, bez końca będzie odtwarzać w pamięci te właśnie, mknące teraz szybko sekundy - Sławek siedzi w kuchni, a ona z deputowanym stoją w odległości metra jedno od drugiego i ze skupieniem w oczach kręcą rączkami.

- Ciężko być najmłodszą z rodzeństwa?

Lidka podniosła głowę. Jej zielony hokeista zamachnął się na krążek, ale nie trafił.

- Urodziłam się przypadkowo. - Wiedziała, że JEMU można to powiedzieć. - Mama chciała... no, przerwać. Jej okres macierzyństwa już się prawie skończył. Jana i Timur urodzili się razem, a potem mama... no, nie zachodziła w ciążę. I myślała, że to już koniec. I wreszcie... no, krótko mówiąc, dwaj lekarze powiedzieli, że może urodzić, a trzej, że lepiej nie...

- Masz dzielną matkę - stwierdził Andriej Igorowicz.

- Poważnie? Nie żartuje pan?

- A czy z takich rzeczy można sobie stroić żarty? Z czystym sumieniem mogłaby uniknąć ryzyka, tym bardziej, że miała już dwójkę dzieci. - Wiesz, Lida... - westchnął deputowany. - Kiedy miałem mniej więcej tyle co ty lat, oczywiście byłem trochę starszy, przeżywałem moją pierwszą apokalipsę... Ile masz?

- Skończyłam szesnaście...

Zarudny się uśmiechnął:

- No, do apokalipsy jeszcze zdążysz podrosnąć. Miejmy nadzieję, że mimo wszystko nie nastąpi już jutro.

- Nie jutro? - wyrwało się Lidce.

- Nie - deputowany pokręcił głową. - Jest jeszcze czas.

- A... - dziewczyna się zająknęła. - Wie pan dokładnie?

- No, nie - Zarudny znów się uśmiechnął. - Wiem, że to dla ciebie bolesny temat... przewidywania, prognozy, przepowiednie. To dla nas wszystkich bolesne sprawy. Ale zboczyłem z tematu. Byłem w starszej grupie i moja pierwsza apokalipsa zastała mnie w wieku prawie dwudziestu lat. Oczywiście, byłem wtedy bardziej dojrzały. Ale wyobraź sobie, zupełnie nie mogłem zrozumieć swoich rodziców. Wydawało mi się, że są nudni, drobiazgowi, tchórzliwi... że denerwują się bez powodu...

Lida poczerwieniała. Mimowolnie, ale za to jak pomidor. - Ja wcale nie...

Deputowany uśmiechnął się i Lida pojęła, że powiedziała za wiele.

- Nie twierdzę, że jesteś taka sarna, jak ja osiemnaście lat temu. Ale Sławek w wielu aspektach zachowuje się podobnie.

Lidka otworzyła szeroko oczy: - Sławek?!

Nie mogła pojąć, jak *takiego* ojca można uznać za nudnego, drobiazgowego czy tchórzliwego i tak dalej...

- Owszem, wyobraź sobie! Nie dlatego, że jest głupcem albo że my z żoną jesteśmy głupcami. Po prostu tak wyszło. Każda nowa apokalipsa jest powtórką pomyłek i błędów popełnionych za poprzedniej. Sławkowi tego powiedzieć nie mogę, pomyśli, że mu się podlizuję. Ale tobie mogę oświadczyć z czystym sumieniem: twoi rodzice wcale nie są takimi nudnymi osobnikami, jak ci się teraz wydaje. Wcale nie. Są bardzo dzielni. W swoim czasie to zrozumiesz...

Otworzyły się drzwi i do pokoju wsunęła się stopa Sławka w domowym pantoflu, a potem tacka z parującymi naczyńkami.

Hokej przestawiono na kanapę. Lidka stukała łyżeczką w porcelanowe filiżanki i myślała o tym, że mama niedługo będzie miała urodziny. Dobrze byłoby wymyślić coś takiego... takiego...

A potem opowiedzieć o tym Andriejowi Igorowiczowi.

- A Lidka wypytywała o przepowiednie - wtrącił Sławek skarżypyta. - Tatku, u was w oddziale jeszcze nie zebrali prognoz astrologów?

- Zebrali - starszego Zarudnego to pytanie wcale nie zbiło z tropu. - I astrologów, i proroków, i innych takich... Co prawda, połowę z nich trzeba było od razu przekazać psychiatrom. Pij, Lido, pij. Niczym nie można wzgardzić, dzieci, niczym... nawet przepowiedniami od

natchnionych i nawiedzonych. Choć niewielki, a właściwie żaden z nich pożytek. Jedne są sprzeczne z drugimi. W dokumentach jest pełno wzmianek: taki to a taki przepowiedział apokalipsę na trzydziesty jakiegoś tam kosmatego cyklu, inny na czterdziesty pierwszy... Ale gdy bierzesz te dokumenty w ręce - nie po to, iżby otrzymać honorarium w gazecie, ale żeby się w nich choć trochę zorientować - to okazuje się, że większość z tych przepowiedni dotyczy wydarzeń, które już się stały. To znaczy, że wylazłszy z Wrót, prorok oznajmia: „A uprzedzałem”!

Lidka łyknęła herbaty, która w ogóle nie miała chęci stygnąć i okropnie piekła w język.

- ...a pozostałe proroctwa albo są niedokładne, albo dwuznaczne i niejasne. A niektóre w ogóle są podróbkami. Tylko jednemu człowiekowi udało się przewidzieć dzień i godzinę z dokładnością do jednej minuty. Ale ponieważ był to jedyny wypadek podczas bardzo długiego szeregu cykli, prościej go uznać go za przypadkowe trafienie. Ten prorok zresztą nie przeżył przepowiedzianej przez siebie apokalipsy. Został stratowany przez tłum na podejściu do Wrót - od tej pory zresztą istnieje przesąd, że dokładna przepowiednia jest niebezpieczna dla zdrowia.

Lidka odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem na śmiech deputowanego.

- ...ale uwierzcie mi, że prowadzi się badania we wszelkich możliwych kierunkach. Przegląda się mapy lokalizacji Wrót. Żadnej prawidłowości. Wszystko jedno, czy liczyć ręcznie, czy zdać się na liczniaki. Apokalipsę można przewidzieć mniej więcej z taką samą dokładnością, jak obliczyć układ rozsypanych przypadkiem na podłodze groszków. Całe instytuty, ogromne zespoły ludzi usiłują zrozumieć, lub choćby z grubsza jakoś sobie wyobrazić, czym są Wrota... skąd się biorą i jaka jest ich struktura... wszystko bez rezultatu, i tak już od dziesiątków cykli... Ale najważniejsze - deputowany nagle zmarszczył brwi - najważniejsze jest nie to, żeby zrozumieć konstrukcję Wrót, ale to, żeby ludzie nauczyli się do nich wchodzić nie tratując jedni drugich. Rozumiecie?

- „Prawidłowa organizacja ewakuacji ludności daje niemal stuprocentową przeżywalność podczas apokalipsy - zacytował Sławek z pamięci. - Należy mieć przy sobie zapas wody i żywności na trzydzieści sześć astronomicznych godzin. Dokładnie wykonywać polecenia komisarzy i instruktorów OP”. Myjcie ręce przed jedzeniem. Przechodźcie ulice tylko na zielonym świetle. Tato, ty zawsze przechodzisz na zielonym?

- Ostatnio dość rzadko chodzę po ulicach - mruknął starszy Zarudny. - Ale kiedy chodziłem... tak, bywało, że przejść nie szukałem...

- O, właśnie! - Sławek podniósł palec.

W tej chwili uchyliły się drzwi. Do pokoju zajrzała blada, mizernie wyglądająca mama Sławka, kiwnęła Lidce głową i zwróciła się do deputowanego:

- Andrieju, chciałabym..

- Już idę - starszy Zarudny kiwnął głową. - Dzieci, pozwólcie, że was pożegnam... A przy okazji, która to godzina? Żeby Lida się nie zasiedziała i nie musiała wracać po nocy...

Nigdy nie proponował Lidzie samochodu z kierowcą ani pieniędzy na taksówkę. Najwyraźniej doskonale wiedział, jakie są granice zwykłej uprzejmości.

- Chciałabym gazety - pisnęła Lidka, starając się okrasić czymś rozstanie. - „Wiadomości Parlamentarne”...

- Sławku - kiwnął głową deputowany - daj Lidce zszywkę z ostatnich kilku miesięcy... Jak ci się spodoba, weźmiesz więcej. - Lidce wydało się, że po twarzy Andrieja Igorowicza przemknął lekki uśmieszek. Nie bardzo wierzył w to, że Lidka poprosi o kolejne zszywki.

- Przeczytam - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

- No i dobrze... Zajrzyj do nas jeszcze, Lido.

- Do widzenia.

Drzwi się zamknęły.

- Tam jest drobny druk - stwierdził Sławek nie bez niezadowolenia w głosie. - I żółty papier.

- Mam dobry wzrok - odpowiedziała Lidka, usiłując uporać się jakoś z poczuciem osamotnienia, które nagle zastąpiło wir wydarzeń tego wieczoru. - Sławek...

- Co?

- A tak w ogóle, to kim chcesz zostać? Także politykiem?

- Ojciec nie jest politykiem! - zirytował się zapytany. - Przede wszystkim jest uczonym, a dopiero potem... ja też będę uczonym. Archeologiem. Skończę uniwerek i pojadę daleko... na południe. Na wykopaliska artefaktowych Wrót.

- Sławek... - głos Lidki drgnął nagle. - A jak... mimo wszystko... to nas będą odkopywać? I rozgarniać *nasze* popioły?

- Panikara... - skwitował Sławek zmęczonym głosem. - No, masz te swoje gazety... Chodźmy, odprowadzę cię.

* * *

Okazało się, że Sławek miał rację. Z początku Lida w ogóle nie mogła czytać „Wiadomości Parlamentarnych”. Nawet wtedy, gdy zmuszała się do wodzenia oczami po wierszach, już od drugiego akapitu przestawała rozumieć, o czy mowa.

I wtedy się poddała. Zaczęła przeglądać tylko uwagi w nawiasach;

były to uwagi, jak w teatralnych sztukach. Tu oklaski. Tam wrogie okrzyki. Tu członkowie jakiejś tam frakcji wstali i opuścili salę. A tu... deputowany taki to a taki spróbował złapać deputowanego Zarudnego za klapy, ten jednak uchylił się, i deputowany taki to a taki, potknąwszy się o stopień, uderzył głową w trybu...

To Lidkę zaciekawiło.

Ojca Sławka jedni nienawidzili, dla drugich był jednak kimś w rodzaju duchowego przywódcy. Lidka zaczęła przeglądać tylko wystąpienia deputowanego Zarudnego - i to ją wciągnęło. Wystarczyło sobie tylko wyobrazić, jak Andriej Igorowicz wstaje, opiera się o trybunę, celnymi uwagami kwituje wypowiedzi przeciwników. Nieważne było, co mówił, choć mówił, jak zwykle, mądrze i dobitnie.

Przez kilka dni Lidka napawała się swoim maleńkim gazetowym teatrzykiem. A potem górę nad nią wzięła wiosna.

Rankami słońce tak niemiłosiernie świeciło prosto w okna, że trzeba było zaciągać zasłony. W klasie pustoszały kolejne miejsca; licealiści zaczęli wagarować jak ostatni chuligani z dwieście piątej - a Lidka nie chciała być gorszą od innych. Chodzili nad morze, rozpalali ogniska, piekli ziemniaki, wędzili kiełbaski na długich patykach; od czasu do czasu trafiały się wojskowe patrole, których członkowie mierzyli wagarowiczów ponurymi spojrzeniami spod przezroczystych osłon przy kaskach i szli dalej. Nikt się nimi nie interesował, bo też i nikt do niczego nie miał serca. Każdy chciał uszczknąć z życia swój kęs radości... dopóki jeszcze można, dopóki dają...

O urodzinach mamy Lidka przypomniała sobie w przeddzień i wieczorem. Nie miała prezentu ani laurki, o której myślała wtedy u Zarudnych.

Wstała z łóżka. Odziana w nocną koszulę podeszła do stołu, wyrwała kartkę z jakiegoś starego albumu i odręcznie, flamastrami narysowała pocztówkę z pozdrowieniami. Uszy paliły ją ze wstydu - widać było, że pocztówka została namalowana pospiesznie i niedbale. Porwała ją na strzępy i namalowała drugą, która wcale nie wyszła jej lepiej, ale tej już nie zniszczyła - i tak nie miała niczego lepszego.

Długo nie mogła ponownie zasnąć. Wiercąc się na łóżku, przypominała sobie to, co powiedział jej Andriej Igorowicz - o tym jak dzielną była jej matka. Ze spokojnym sumieniem mogłaby jej nie urodzić... a proszę, urodziła.

Niespodzianką było, że mama bardzo ucieszyła się z pocztówki narysowanej niezdarnie przez Lidkę. Nawet miała łzy w oczach. Długo jej dziękowała; Lidka nie pamiętała, kiedy w domu ostatnio panowała taka radość i kiedy wszyscy odnosili się do siebie tak serdecznie...

W liceum wysiedziała całe trzy lekcje, ale w końcu uciekła nad morze. Zebrało się tam spore towarzystwo - czterech chłopaków ze średniej grupy, czterech z młodszej i tylko trzy dziewczyny. Ziemniaki

kupili po drodze, a na kiełbasę zabrakło pieniędzy.

Ledwo zdążyli rozpalić ognisko na kamieniach, kiedy pojawiła się nieprzyjaźnie nastawiona delegacja trzymających łapy w kieszeniach chłopaków z dwieście piątej. Ich terytorium znajdowało się nieco dalej, koło molo z rampą rozładunkową, doszło więc do jawnego, choć niespodziewanego naruszenia granic. Dziesięciu chłopaków podeszło bez słowa, każdy miał papieros w kąciku ust i Lidka, dokonawszy pobieżnego zestawienia sił, wpadła w panikę. „Nasi" byli znacznie mniej liczni, jeżeli nie liczyć dziewcząt, a w razie bijatyki liczyć na nie było głupotą.

Okazało się, że była w błędzie. Licealistki doskonale sobie poradziły.

Rozmowa była krótka i prawie całkowicie niecenzuralna. Obcy przyszli specjalnie, żeby porozbijać pyski „licealnym czyścioszkom": prawie wszyscy napastnicy mieli kastety i w pierwszych sekundach bójki kilka licealnych pysków rzeczywiście uległo rozbiciu.

Według wszelkich reguł chłopcy z dwieście piątej powinni byli nasycić się widokiem zakrwawionych twarzy przeciwników, porwać zdobyczne ziemniaki i zwycięsko odmaszerować.

Ale wszystko się pokiełbasilo.

Jedna z licealistek, Zoja, miała zbiorniczek gazu. Druga, Inga znalazła w torebce szydło; gaz od razu wytrącono Zoi z ręki, ale szydło okazało się bronią znacznie skuteczniejszą.

- A-a-a... Kurwa jedna!

Lidka poznała tego chłopca w najmniej ze wszystkich odpowiednim momencie. Był na urodzinach Swietki, a teraz nadziawszy się na prowizoryczny sztylet Ingi, skulił się, zaciskając obie dłonie na ranie. Koszula na brzuchu szybko mu poczerwieniała, a tymczasem jego kompan, którego Lidka także mętnie sobie przypominała, zwalił już Ingę z nóg i kopał ją w piersi i w głowę.

Lidka zaczęła krzyczeć.

Ktoś padł w ognisko. Ktoś inny rzucił celnie kamieniem, a ktoś nadział się piersią na ostry kamienny występ i bezwładnie zsunął na ziemię.

- Mamo! - darła się Lidka.

Wszystko się powtarza, stwierdził jej wewnętrzny głos z intonacją Andrieja Igorowicza.

Odwróciła się i rzuciła do ucieczki. Natychmiast też potknęła się, rozcinając o muszle policzek.

* * *

- Powiedz mi, dlaczego? Dlaczego cię tam nieustannie ciągnie, jak świnię do błota? Dlaczego znajdujesz błoto, gdzie tylko się da? Dlaczego?!

Szkoda jej było mamy. W końcu to jej urodziny.

Po bójce na brzegu pięć osób trafiło na oddział intensywnej terapii. Po dwóch chłopaków z dwieście piątej i z liceum. I Inga, która następnego dnia umarła.

Były łzy i krzyki. Lidce wlepiono też kilka policzków, po których aż dziw, że nie odpadła jej głowa. W liceum zarządzono zebranie uczniów, potem zamknięte zebranie rodziców, a następne dni były pełne pytań prowadzącej śledztwo funkcjonariuszki: kto zadał śmiertelny cios? Ten? A może tamten?

Na wszystkie pytania Lidka odpowiadała jednakowo i tępo: nie pamiętam... nie zauważyłam... przestraszyłam się i nie widziałam... Prowadząca śledztwo, szczupła młoda kobieta, darzyła ją coraz głębszą pogardą i nienawiścią. I nawet nie za bardzo się starała, by ukryć te uczucia.

- Wygląda na to, że niektórzy z tych chłopców bardzo kiepsko rozpoczną swoje nowe życie... Na początku cyklu trafić do karnej kolonii - ponure perspektywy, szczególnie dla młodego człowieka.

- Najpierw niech pani dokaże tej sztuki i przeżyje apokalipsę - odezwała się Lidka niespodziewanie dla siebie samej.

Prowadząca dochodzenie spojrzała na nią, zmarszczyła się i zrezygnowała z odpowiedzi. Lidka nie podniósłszy głowy, wyszła z gabinetu dyrektorzycy, w którym odbywały się przesłuchania, zeszła na drugie piętro, zastukała w drzwi klasy i weszła. A potem usiadła na swoim miejscu.

Rysiuk gapił się na nią. Paliło ją ucho od jego wzroku. Wytrzymała trzy minuty, a potem odwróciła główkę i wyzywająco spojrzała sąsiadowi w oczy:

- Co się gapisz?

W przeciwieństwie do wzroku prowadzącej śledztwo, w oczach Rysiuka nie było pogardy. Ale nie było i współczucia.

Lidka odwróciła głowę, żeby Rysiuk mógł sobie dobrze obejrzeć plaster na jej policzku:

- I jak? Podoba się?

- Ej, co to za rozmowy w pierwszej ławce? - bez entuzjazmu skarciła ich chemica.

- Nie, wcale mi się nie podoba - Rysiuk uciekł ze wzrokiem w bok. I odezwał się, mówiąc jakby sam do siebie i nie spodziewając się, że ktokolwiek go usłyszy: - Burdel... Cholera, co za burdel... Nikt się nawet nie uczy...

Lidce wydało się, że gdzieś już to słyszała.

Spodziewała się, że w całym mieście zapanuje wzburzenie, a we wszystkich gazetach pojawi się fotografia Ingi w żałobnych ramkach; ale nic podobnego się nie stało. Sąsiadka Swietka oznajmiła, że w dwieście piątej już były podobne ofiary. Że w wybuchu wielkiej paniki

w siedemdziesiątej siódmej trzech chłopaków skopano na śmierć. „Nie znasz życia” - mówiła Swietka, nie bez kpiny w głosie.

Ale w liceum kotłowało się. Lidka słyszała, jak chłopcy ze średniej grupy głośno rozprawiali o zemście. I o nieuniknionej wojnie; okazało się, że do niedawna jeszcze pozornie spokojnym licealistom potrzebna była tylko iskra, by rozgorzało w nich pragnienie wystawienia łobuzom z dwieście piątej rachunku „za wszystko”. Koleżanki Ingi z tej samej klasy głośno i demonstracyjnie zalewały się łzami - biedna dziewczyna chyba nigdy w życiu nie miała tylu przyjaciół i przyjaciółek. Ktoś proponował, by wykorzystać stosunki rodziców, większość jednak wzgardziła pomocą dorosłych. Otwarcie mówiono o broni i dynamicie, a Lidce od tego wszystkiego robiło się niedobrze. Bolał ją poraniony policzek. Wstyd jej było patrzeć na swoje odbicie w lustrze. I oczywiście nie miała ochoty na spotkania ze Sławkiem Zarudnym.

Sławek jednak sam podszedł do niej na przerwie, kompletnie ją tym zaskakując.

- Ojciec pyta, co u ciebie?

- Wszystko w porządku - pogładziła plaster na policzku. - Przyniosę ci te zszywki jutro do liceum.

- Jutro mnie nie będzie.

- To pojutrze.

Sławek milczał przez chwilę.

- W ogóle już nie będę chodził do liceum. Zrobię kurs eksternistyczny, z prywatnymi nauczycielami.

Teraz umilkła Lidka.

- Wszystko przez tę głupią rozróbę?

- Owszem - Sławek wcale się nie wypierał. - A w ogóle to ojciec mówi, że to dopiero początek. Będzie jeszcze gorzej...

* * *

- Dokąd idziesz? - zapytała mama. - Prosiłam cię... nie wychodź z domu!

- Do Zarudnych - wymamrotała Lidka, cofając się o krok. - Umówiłam się telefonicznie.

- Nie możesz poczekać kilku dni? - zapytała matka nieco łagodniej. - Dopóki się to wszystko nie uspokoi?

- Nigdy się już nie uspokoi! - zawołała Jana ze swego pokoju. - Trzeba siedzieć w domu!

- Przesadzacie - odezwał się ojciec z kuchni. - Niech idzie. W końcu to nie wojna. A zresztą, idzie do Zarudnych!

- Mam coś oddać Andriejowi Igorowiczowi - stwierdziła Lidka, ośmielona interwencją ojca.

I matka się poddała:

- Ale żebyś wróciła, jak będzie jeszcze jasno! I obowiązkowo przedtem zadzwoń, Timur wyjdzie po ciebie na przystanek pospiesznego...

Lidka skwapliwie kiwnęła głową.

Z drzew owocowych opadały już płatki kwiatów, którymi usypane było całe podwórze. Lidka obejrzała się bojaźliwie. Za każdym rogiem mogła czaić się bojówka z dwieście piątej. Albo po prostu bezimienna gromada uczniów, dla których idąca samotnie dziewczyna to prawdziwy skarb.

Ojciec nie docenił położenia. To nie wojna, nie. To coś gorszego od wojny. Dobrze, że mama jednak nie wie o wielu rzeczach...

Wkrótce się dowie i wtedy Lidkę przestaną wypuszczać z domu nawet do szkoły...

Pospiesznie przeszła do wyjścia na ulicę - tam, pomiędzy dorosłymi, było o wiele bardziej bezpiecznie. Nieco dalej była pełna ludzi stacja pospiesznego tramwaju, a potem dzielnica, gdzie mieszkali uprzywilejowani i krążyły patrole. Droga względnie bezpieczna.

Ławeczka, powycierana spodniami miejscowych młodzików, była pusta. Podejrzanie pusta. Jeszcze bardziej podejrzane było to, że nieopodal, w odległości dosłownie dwóch kroków, w dziecięcej piaskownicy siedziała wprost na ziemi jakaś nieznajoma dziewczyna.

Lidka najpierw zwolniła kroku, a potem znów przyspieszyła. Nie ma głupich. Zaczynać rozmowy z nieznajomymi, zwłaszcza, jeżeli siedzą na ziemi z opuszczoną głową.

Niedobrze, że tamta siedzi tak blisko przy ścieżce. Lidka przez chwilę zastanawiała się, czyjej nie obejść dookoła, ale potem poczuła wstyd.

Dziewczyna podniosła głowę i spojrzała... nie, nie na Lidkę. Przez nią. Miała sinawą twarz i wielkie, bezmyślnie patrzące oczy, ale nie one przeraziły Lidkę.

Siedząca na ziemi okazała się Świętką z czwartego piętra. Zupełnie nieznajomą Swietką, w dziurawej kurtce zdjętej z kogoś innego i z obcymi, znieruchomiałymi oczami.

Lidka zwolniła.

- Swieta...

Odpowiedzi nie było i być nie mogło. Swietką znów opuściła głowę na piersi. Potem miękko upadła na plecy, przekręciła się na bok i zastygła w pozie embriona, podciągnąwszy nogi do piersi.

Lidka szybko rozejrzała się dookoła. Na ten placyk wychodziły okna dwóch sporych domów, w tym i okna mieszkania Swiety i można by cisnąć w okno kamieniem, ale do czwartego piętra Lidka nic dorzuci.

Wahała się najwyżej minutę. Swietka co prawda nie podziękuje jej za taką „pomoc", jak się ocknie, ale gorzej będzie, jak ją znajdzie

patrol. A w ogóle, dziewczyna może tu umrzeć...

Biegiem do bramy. Przy swoich drzwiach Lidka trochę zwolniła: może przekazać sprawę mamie? Ale wtedy z pewnością zabronią jej wychodzenia z domu. Jak zobaczą *to* nie w gazecie, ale tuż obok, raptem piętro wyżej...

Trzeba było dość długo dzwonić w drzwi mieszkania Swietki. Lidka z rezygnacją zaczęła już podejrzewać, że nikogo nie zastała.

W końcu, po długich i podejrzliwych „ktotamach" drzwi otworzyła matka Swiety. Lidka aż się cofnęła, poczuwszy gęsty, ciężki zapach, jakim zaleciało z głębi mieszkania; pachniało spalenizną i czymś jeszcze, co najczęściej można zwęszyć na dworcach.

- Czego chcesz? - zapytała mama Swietki i Lidka zrozumiała, że kobieta ledwo porusza językiem.

- Ze Świętka jest źle - odpowiedziała, nie wdając się w szczegóły. - Leży na podwórku.

- Jak to, leży? - sąsiadka przez chwilę potrząsała głową, aż w jej oczach pojawił się błysk rozumu.

Lidka bez słowa machnęła ręką, pokazując w dół i na podwórko. Mama Swietki odepchnęła ją, i jak stała, w szlafroku i papciach, szurnęła po schodach.

Po minucie na dziedzińcu rozległy się głośne lamenty. Gdzieś trzasnęło okno; potem Lidka usłyszała, że piętro niżej otwierają się drzwi do jej własnego mieszkania i ktoś, chyba ojciec, wygląda zobaczyć, co się dzieje.

Rzuciła się po stopniach, ale nie w dół, tylko w górę. Dostała się na piąte piętro, po żelaznych schodkach wydostała się na strych; kłódkę w klapie na dach dawno już ukręcono, żeby otworzyć właz wystarczyło odpowiednio przekręcić klamkę. Lidka wiedziała, jak należy to zrobić - wiadomości te pochodziły zresztą od Swietki.

Na dachu powitały ją promienie świecącego prosto w oczy słońca. Gdyby nie las anten i plątanina przewodów, byłoby tu nawet fajnie, a jeszcze lepiej byłoby, gdyby dach nie był widoczny z dołu i ze wszystkich stron. Lidka pochyliła się jak partyzant i przelazła do drugiego włazu. Spróbowała podnieść klapę. Ta nie ustąpiła - najwyraźniej dozorca po raz kolejny zechciał się wykazać. Oto problem: za dobre uczynki zawsze dostaje się po uszach. Mogłaby przecież zostawić Swietkę leżącą na podwórku, ktoś w końcu otworzyłby okno i dostrzegłby leżącą dziewczynę. Ale nie, musiała pobiec z zadartym ogonem...

Nie wstając z kolan, przedostała się do trzeciego włazu. Szarpnięcie - i niewiele brakło, a zardzewiała klamka zostałaby jej w ręku, ale klapa łaskawie się otworzyła. Ciesząc się z uśmiechu losu, Lidka wsunęła się w szczelinę. Podrapawszy sobie dłonie, zeszła po żelaznych uchwytach - i oblała się potem, usłyszawszy za sobą ponury

chichot.

Stali na schodach, kilkoma rzędami zagradzając jej drogę w dół. No, a jak mieli stać, skoro było ich sześciu, zdrowych byków, a schody było wąskie, zaś podest niezbyt obszerny?

Wszyscy palili, ale bijący od nich zapach był niedobry. Nieprawidłowy. Lidka aż się zakrztusiła.

- No, no... to już po strychach łażą?

- Ej, mała, chcesz się sztachnąć?

- Mała, dawaj tu...

Za sobą mieli drzwi mieszkań z piątego piętra. Gdyby tylko krzyknąć dostatecznie głośno...

- Idę do deputowanego Zarudnego - odezwała się, nie poznając własnego głosu. - Jak powiem, wszystkich was wsadzą! Ty - drżącym palcem tknęła w pierś najbliższego draba - mieszkasz pod sto drugim!

Prosto w twarz puszczono jej smugę paskudnie pachnącego dymu.

- A... mała z pierwszej bramy...

- Wygrzewa Zarudnemu łóżeczko?

- Aha... chyba tak?

Zrozumiała, że nie zdąży wydostać się ponownie na dach; czyjaś lepka łapa wczepiła się w jej nadgarstek; ale jednocześnie piętro niżej na szerokość łańcuszka otworzyły się czyjeś drzwi i piskliwy kobiecy głos zaalarmował cały dom:

- A no jazda stąd, paskudy jedne! Dzwonię po milicję, jasne? Znaleźli sobie miejsce na wyprawienie swoich świństw... zaraz zjawi się tu patrol!

Chłopaki jak jeden odwrócili się w tył, a wtedy Lidka skoczyła przed siebie i roztrącając łokciami miękkie, jakby gumowe ciała, wyrwała się na placyk podestu piątego piętra.

Krzykliwa dama z trzaskiem zamknęła drzwi; ale Lidka gnała już po stopniach na dół, a za nią leciały sprośne uwagi i leniwe, obrzydliwe chichoty.

* * *

- Prawidłowo - oznajmił Sławek. - Społeczeństwo samo się oczyszcza. Ja bym to świństwo sprzedawał nie spod lady, a zorganizowałbym masową produkcję. Żeby w każdej aptece były tego pełne półki. Kto chce... proszę bardzo. Wąchać, palić, kłuć się... im wcześniej, tym lepiej. W chwili *mrygi* będzie znacznie mniej ludzi. I wtedy każdy będzie miał czas na ewakuację. Każdy *normalny* człowiek...

- Twój ojciec też tak myśli? - zapytała Lidka cichym głosem.

Sławek parsknął lekko.

- Co ma do tego ojciec? On musi się trzymać swojego wizerunku humanisty. No, ale powiedz sama uczciwie i szczerze: żal ci tej

Swietki?

Lidka zamyśliła się. Ale przyszła jej na myśl nie Swietka, a te chłopaki na schodach. No, tych to jej żal nie było! Im szybciej pozdychają, tym lepiej dla innych!

A potem przypomniała Sławka takiego, jakim był w muzeum. Rzuciła krótkie spojrzenie spod oka na syna parlamentarzysty - powiedzieć mu to, co jej teraz przyszło do głowy? Ale wtedy nastąpi koniec „przyjaźni", a także koniec spotkań z deputowanym Zarudnym.

- Wiesz co? Obejrzyjmy sobie tamten film - zaproponowała w odpowiedzi na jego zdziwione spojrzenie. - Czasu mam niewiele... obiecałam, że wrócę przed nocą.

* * *

Do dnia ostatecznej apokalipsy, obliczonego wedle metody Brodowskiego i Filke, zostało czterdzieści pięć dni.

Teraz już Lidkę odwożono do szkoły i zabierano stamtąd z powrotem. Zbliżały się egzaminy, a przy wejściach na schody stali ochroniarze.

W siedemdziesiątej siódmej jakiś kretyn przytaszczył na lekcję pistolet i postrzelił czterech kolegów z klasy.

W dwieście piątej pod czyjąś ławką eksplodowała bomba domowej roboty. Kogoś oddano pod sąd, kogoś odesłali do karnej kolonii, ale i tak nie było ani jednego dnia bez jakiejś awantury. Nauczyciele przestali liczyć połamane nosy - liczyli tylko porozbijane czerepy. A zabitych - tych było już pełno w całym mieście.

Liceum odwiedził kaznodzieja. Na przerwie zebrała się wokół niego grupka ciekawskich; Lidka najpierw krążyła wokół niej niby obojętnie, ale potem zaczęła słuchać.

Kaznodzieja mówił spokojnym, a nawet nieco zmęczonym głosem o ludzkich grzechach, które po raz kolejny przepełniły czarę Jego cierpliwości. Radził, żeby rozejrzeć się dookoła i popatrzeć na siebie z boku - wszyscy unurzani są w grzechu i któż wie, czy tym razem On się zlituje i otworzy łaskawie ratunkowe Wrota, żeby dać ludzkości jeszcze jedną szansę...

Z nieba spadnie ogień. Z morza wyjdą potwory. Wszystko będzie jak zwykle.

Lidka poczuła, że gdzieś w jej brzuchu rodzi się zimna kula, która powoli zaczyna unosić się ku gardłu.

Tablica ogłoszeń była cała zaklejona kartkami. Nowymi ulotkami, a fotografie żółtawej twarzy też były nowe i doskonałej jakości. Słowa „dziewiąty czerwca" były wydrukowane grubymi, czerwonymi literami. A w dole wyginała się sylwetka ogarniętego ogniem człowieka.

Ulotki te pokrywały ściany i ogłoszeniowe słupy, trzepotały

krawędziami przy wejściu do bramy domu Lidki, a jedna przylgnęła do drzwi akurat na wysokości oczu.

I Lidka mimo woli przeczytała:

Z zaginionych cywilizacji nie zostało nic oprócz popiołu. Mieszkańcy unicestwionych miast także wierzyli w życie wieczne... Obywatele! Mieszkańcy naszego miasta! Nasz świat przeżywa ostatnie dni! Pospieszmy oczyścić nasze dusze, ponieważ jedynie czyści zostaną... dziewiątego czerwca...

Dolna krawędź ulotki była oderwana. Spod nierównego brzegu wyglądał wulgarny rysunek i Lidka natychmiast pojęła, kto go nakreślił jeden z niefortunnych kawalerów Swietki.

Ale przecież ten kaznodzieja w liceum mówił, że choć On pała gniewem, litość, być może, znów weźmie górę w Jego sercu i Wrota się otworzą!

Kaznodzieja nie podawał dokładnej daty. Mówił „niedługo” i na potwierdzenie swoich słów zataczał szeroki krąg dłonią, jakby zapraszał do bliższej znajomości z oblegającymi wszystkich niegodziwościami.

Drzwi otworzyła jej Jana.

- Co z tobą? Znów dostałaś pałę?

Lidka w milczeniu przeszła obok, odnalazła swój pokój i szczelnie zamknęła za sobą drzwi.

* * *

- Sławka nie ma w domu - stwierdziła Klaudia Wasiliewna Zarudna, żona deputowanego i mama Sławka. - Jest u lekarza, leczy zęby. Zadzwoń jutro, Lida.

Dziewczyna zebrała całą odwagę:

- Proszę o wybaczenie... ale czy Andriej Igorowicz jest w domu?

Pauza.

- Andriej Igorowicz jest w domu - odpowiedziała Klaudia Wasiliewna z uprzejmym zdziwieniem w głosie. - Ale jest zajęty.

By przydać sobie odwagi, Lidka napięła mięśnie brzucha.

- Proszę wybaczyć... Ale... czy mogłaby pani poprosić go do telefonu?

Pauza.

- Lida, on jest zajęty - temperatura głosu Klaudii Wasiliewny opadła do lodowej. Za chwilę Lidka będzie mogła porozmawiać jedynie z dzwonkiem..

- Bardzo panią proszę! - Lida niemal krzyknęła i w jej głosie zabrzmiało widać coś, co sprawiło, że Klaudia Wasiliewna nie odwiesiła po prostu słuchawki, ale odłożyła ją na stolik. Płytka stolika drgała niczym membrana, pozwalając Lidce usłyszeć dalekie kroki, które najpierw się oddalały, a potem wróciły.

- Lida, on jest jednak *bardzo* zajęty. Zadzwoń później.

Lidka przez pewien czas siedziała jeszcze na podłodze przed stolikiem, a potem wróciła do stołu, na którym leżały porozrzucane bezładnie podręczniki.

Co prawda, można już było przestać udawać, że przygotowuje się do egzaminów. Mama nie miała do tego głowy, a ojciec tym bardziej. Nawet Timur nie uśmiechał się znacząco i Jana przestała się czepiać. Wszyscy byli zajęci udawaniem, że nic szczególnego się nie dzieje. Wszystkim nie wiedzieć czemu zależało na zachowaniu pozorów zwykłego życia. Mówiono o lecie, strzyżono się i barwiono włosy, chodzono na zakupy do nowo otwartego marketu. Prowadzono z szefem rozmowy o lipcowym urlopie. Hodowano w doniczkach kwiaty, przeprowadzano konsultacje przed egzaminami, zajmowano się przygotowaniami do pożegnalnego wieczorku dla uczniów szkolnej średniej grupy, a wszystko to czyniono z absolutną niemal pewnością, że ani urlopu, ani lipca, ani pożegnalnego wieczorku *nie będzie*...

Jutro, na trzydziestego pierwszego - dopuszczenie.

Drugiego - matematyka. Piątego - historia. Dziewiątego - chemia.

Dziewiątego.

Lidkę zebrało na sen. Położyła się na kanapie i przykryła kocem - razem z głową. W pokoju było duszno i gorąco, ale te dreszcze...

Sen nie nadchodził.

Usiadła na kanapie. Targały nią dreszcze, że ząb nie trafiał na ząb.

Zachorowała.

Nie, jest zupełnie zdrowa. Po prostu koszmarnie zmęczyło ją oczekiwanie. Strach. I jeszcze te egzaminy, jak stary kataplazm, którego nie wiadomo czemu nie można zdjąć. Człowiek umiera, a ci jeszcze pakują mu na pierś plaster rozgrzewający i nie wolno zsunąć śmierdzącego papieru... nie wiedzieć czemu, nie wolno...

Wyszła na balkon.

Było ciepło i wilgotnie. Pachniało mokrym pyłem.

Naparła na balustradę i spojrzała w dół. Pod samym domem widać było wąskie pasmo asfaltu. Gdyby tak spaść głową w dół...

W pewnej chwili zwidziało jej się, że nie tylko może to zrobić, ale że nie potrafi tego uniknąć. Przejdzie ponad poręczą i - jak ją uczyli na pływalni - skoczy głową w dół. Raz - i niczego już nie będzie...

Trzecie piętro. Trochę za nisko. Gdyby mieszkała na siódmym, nawet by się nie zastanawiała, ale tak... istnieje możliwość niepowodzenia, bólu... i życia ze złamanym kręgosłupem. Gdyby wejść na dach... Ale do tego trzeba opuścić mieszkanie, dokądś pójść, spotykając po drodze sąsiadów i odpowiadając na ich głupie pytania...

Lidka rozluźniła zaciśnięte na balustradzie palce. Cofnęła się do pokoju i włączyła telewizor. Zrobiła to zupełnie odruchowo.

- ...starsi ludzie doskonale pamiętają, jak podczas przedostatniego kryzysu, pod koniec pięćdziesiątego pierwszego cyklu, to znaczy przed ponad czterdziestu laty, banda takich samych fanatyków usiłowała wykorzystywać zwykły ludzki strach przed apokalipsą! W swoich ulotkach posługiwali się dokładnie takimi samymi hasełkami, zgadza się nawet czas rozpoczęcia kampanii: dwieście dni przed ogłoszonym terminem, który zresztą wybrano ze skrajnym cynizmem - w przeddzień balów maturalnych, jakie chcemy wyprawić naszym dzieciom!

Policzki i uszy Lidki zapłonęły, zapiekły ją i zrobiły się oślepiająco czerwone.

- Witajcie, Andrieju Igorowiczu...

I jakby w odpowiedzi, deputowany Zarudny energicznie kiwnął głową:

- Tak jest! Pierwszy cios wymierzono z całą siłą właśnie w nich, czekających na swoją pierwszą apokalipsę! W nich, którzy nie wiedzą, ile są warte uliczne ulotki! Właśnie wśród ostatniego pokolenia, w średniej i młodszej grupie zastraszająco szybko rośnie liczba samobójstw! Mnożą się młodzieżowe sekty... a powiem otwarcie, że wolałbym ujrzeć swego syna w jakimś gangu nastolatków niż w takim klubie samobójców!

Lidka zachichotała głupawo. Wyobraziła sobie Sławka w młodzieżowym gangu - tego Sławka, który teraz siedzi zamknięty na trzy spusty.

- A my, rodzice? - Andriej Igorowicz pochylił się ku przodowi i spojrzał Lidzie prosto w oczy. - Czy poświęcamy czas na to, żeby rozwiać przedwczesny strach naszych dzieci? A może mu się poddajemy... skrycie, ale się poddajemy?

Deputowany Zarudny odczekał chwilkę.

- Patrzcie!

Boczna kamera pokazała dokument, trzymany przez ojca Sławka w dłoniach. Lidce przypomniał się stołowy hokej i to, jak zręcznie te dłonie manipulowały plastykowymi graczami.

- Przyjrzyjcie się! Ta ulotka ma prawie czterdzieści lat... „Z zaginionych cywilizacji nie zostało nic oprócz popiołu. Mieszkańcy unicestwionych miast także wierzyli w życie wieczne... Nasz świat przeżywa ostatnie dni! Dwudziestego września nastąpi objawiona apokalipsa, ale Wrota się nie otworzą...”

Deputowany Zarudny ostrym ruchem rozpostarł ulotkę na stole i spojrzał Lidce prosto w oczy:

- Gdyby w tej ulotce było choć słowo prawdy, ani ja, ani żaden z ludzi zbliżających się teraz do czterdziestki nie urodziłby się! Ale to kłamstwo najczystszej wody, przy czym kłamstwo, które przyniosło swojemu autorowi konkretne korzyści... Był nim niejaki Aleksander

Brodowski, psychoanalityk, profesor, akademik... jak się wyjaśniło, samozwaniec. Apokalipsa nastąpiła wtedy szesnastego kwietnia kolejnego roku, Wrota otworzyły się i nasi rodzice wkroczyli w nowy, pięćdziesiąty drugi cykl! A teraz...

Lidka nagle odsunęła się od ekranu, z którego spojrzała na nią znajoma, żółtawa twarz przedstawiciela ruchu „O czystość duszy" i mistrza obliczeń wedle metody Filke-Brodowskiego. Zdjęcia wykonano z profilu i en face.

- A teraz - przemawiał zza ekranu przenikliwy głos deputowanego Zarudnego - zechciejcie spojrzeć na tego człowieka. Oto Wiktor Aleksandrowicz Brodowski, rodzony syn autora tamtej ulotki, który stawia czoła już trzeciej swojej apokalipsie... przejąwszy i wzbogaciwszy metody działania ojca. Aktualnie przeciwko dwudziestu trzem jego poplecznikom prowadzi się dochodzenie, a przynajmniej setkę czekają jeszcze aresztowania. Pozostali zostaną zatrzymani za rozpowszechnianie fałszywych wiadomości dotyczących czekającej nas apokalipsy, dokonane ze szczególnym cynizmem przy pomocy środków masowego przekazu. Za chciwość, próby przekupstwa urzędników państwowych, rozpowszechnianie oszczerstw, bezprawne zajmowanie i okupację budynków społecznego użytku, okazywanie nieposłuszeństwa wobec władz, uchylanie się od płacenia podatków...

Lidka wstrzymała oddech. Wydało jej się, że z każdym słowem deputowanego fotografia żółcielca robi się coraz bardziej ponura i odpychająca, policzki Brodowskiego nabierały ceglastej barwy, a pod płonącymi oczami pojawiały się coraz głębsze, posępne cienie. Po sekundzie, na ekranie pojawiła się już surowa, skupiona twarz papy Sławka.

- Parlamentarna komisja do spraw zbliżającej się apokalipsy dała mi pełnomocnictwa, na mocy których pragnę oświadczyć, że w całym kraju położono kres działalności licznego i dobrze zorganizowanego ugrupowania antyspołecznego. Rozpowszechniane przez jego członków rzekomo naukowe obliczenia mówiące o tym, że dziewiątego czerwca nastąpi nie kolejna apokalipsa, a ostateczny koniec świata, są pozbawione wszelkich podstaw, to po prostu cyniczne kłamstwo. Daty apokalipsy nie sposób obliczyć! Tylko od nas, ludzi, zależy, ile ofiar pociągnie za sobą kolejny kataklizm! Wzywam pokolenia, by się zjednoczyły! Dziesiątego czerwca czeka nas ogólne święto - bale maturalne średnich grup licealnych, nasze dzieci, wnukowie i bracia wkraczają w dorosłe życie... niechże ten dzień stanie się dniem demonstracji jedności pokoleń wobec apokalipsy, w którym położymy fundamenty pod nowy, pełen spokoju i powodzenia cykl...

Andriej Igorowicz wstał. Lidce wydało się nagle, że patrzy na nią. W tej właśnie chwili - patrzy na nią...

* * *

Wypracowanie egzaminacyjne
UCZENNICY MŁODSZEJ GRUPY
Klasy V B
LIDII SOTOWEJ
Temat „Rola młodzieży w nowym cyklu”

My, przedstawiciele młodego pokolenia, stajemy wobec swojej pierwszej apokalipsy z nadzieją i obawami. Dla nikogo nie jest sekretem, że z powodu braku odpowiedzialności, złej organizacji, egoizmu i niskich pobudek, a także społecznego zbydlęcenia społecznego wobec perspektywy kryzysu, droga do Wrót dla wielu ludzi może się okazać drogą ostatnią. My, młodzi, powinniśmy jednak ufnie spoglądać w przyszłość, Powinniśmy się uczyć i przygotowywać do dorosłego życia. Na początku nowego cyklu to właśnie na nas spocznie obowiązek odtworzenia przemysłu i zapewnienia ludzkości potomstwa, to znaczy rodzenia dzieci. Powinniśmy śmiało patrzyć w przyszłość, zadzierzgiwać mocne więzy przyjaźni i pamiętać wszystko, co dała nam szkoła. Powinniśmy szanować rodziców i starszych. I nasz rząd, oraz parlament, a szczególnie członków komisji do spraw apokalipsy. Jest to obecnie najbardziej potrzebna z komisji. Wiemy, że w nowym, pięćdziesiątym czwartym cyklu czeka na nas wiele ciekawej pracy. Przygotowujemy się do niej już teraz...

OCENA: cztery
UWAGI: w zasadzie myśli uczennicy idą w pożądanym kierunku.

* * *

Bała się, że słuchawkę podniesie Klaudia Wasiliewna. Mama Sławka uważa z pewnością, że czas deputowanego jest zbyt drogi i na uroczystą rozmowę z uczennicą nie warto tracić nawet minutki..

Zaraz po balu maturalnym Sławka rodzice mieli wywieźć na jakieś letnisko i Lidka straci wszelkie preteksty, by dzwonić na domowy telefon Zarudnych. Dlatego liczyła na to, że słuchawkę podniesie Sławek i wtedy, pogadawszy przez chwilę o niczym, będzie się można umówić na wizytę.

Ale przecież nie mogła się spodziewać, że...

- Lida? Aaa, witaj... Jak tam egzaminy?

Zamknęła oczy, kurczowo ściskając w dłoni słuchawkę.

Chciała powiedzieć Andrzejowi Igorowiczowi, że ją uratował i przywrócił życiu. Że gdyby nie on, to któregoś dnia z pewnością

rzuciłaby się z balkonu, choć to tylko trzecie piętro. Że strasznie żałuje, iż ostatnio nie mogła się z nim spotkać, porozmawiać i pograć w stołowego hokeja. Ale liczy na to, że zobaczą się, na przykład na maturalnym balu, choć najbardziej ze wszystkiego na świecie chciałaby zobaczyć się z nim w jego domu.

- Dzień dobry, Andrieju Igorowiczu...Jakie egzaminy?

Uśmiechała się głupio i przyszło jej do głowy, ze to dobrze, iż rozmówca nie może zobaczyć jej szczenięcej radości...

Z matematyki mimo wszystko dostała tróję. Choćby nie wiedzieć jak długo ślęczało się nad podręcznikiem w ostatnią noc przed egzaminem, nie sposób uzupełnić straconych na półrocznym wagarowaniu wiadomości. Może by się jakoś wyrobiła na starych tematach, które przerabiali jeszcze w ósmej klasie - ale pechowo trafiła na kartkę z równaniami. Za to z historii otrzymała piątkę: Michaił Feoktistowicz nawet nie dosłuchał do końca obszernej odpowiedzi, machną ręką, postawił „bardzo dobrze" i Lidka oddała się bezgranicznej radości, którą tylko troszeczkę psuła świadomość, że u Feo *wszystkie* dziewczyny otrzymały oceny bardzo dobre. „Mądry staruszek - oznajmił Rysiuk. - Domyśla się, że na uniwerek i tak żadna z was się nie dostanie i bal debiutantek zobaczycie jak własne uszy bez lustra. Absolutnie nieszkodliwa, darmowa masa piątek".

Lidka radośnie potrząsnęła głową:

- Andrieju Igorowiczu, z historii dostałam „piątkę"!

- Gratuluję! - ucieszył się szczerze rozmówca, a Lidka nagle się przestraszyła, że zaraz uprzejmie złoży jej życzenia i położy słuchawkę.

- Andrieju Igorowiczu, przyjdziecie na bal maturalny Sławka? - zapytała pospiesznie i nie było to pytanie, a sformułowanie życzeń, stworzenie prawdopodobieństwa, sprzyjającego ziszczeniu się jej pragnienia. Zdaje się, że nazywano to „warunkiem powodzenia".

- Nie - odpowiedział deputowany Zarudny, jednym słowem unicestwiając wszystkie jej plany. - W żaden sposób nie dam rady, Lido. Sprawy bieżące...

Lidka milczała. Rozmówca nie mógł zobaczyć jej twarzy, z pewnością trzeba było powiedzieć coś w rodzaju: „Jakże mi przykro".

Z jakiegoś powodu, którego sama nie potrafiła sprecyzować, liczyła na ten wieczór. Po uroczystym powitaniu absolwentów zacznie się kolacja, potem tańce, i będzie można jeśli nie porozmawiać, to chociaż postać obok.

- Andrieju... Igorowiczu... chciałam wam powiedzieć...

Pauza.

- Co, Lido?

Drogocenne sekundy czasu deputowanego płyną bez pożytku i wsiąkają, jak woda w piasek.

- Chciałaś mi powiedzieć coś ważnego?

Lidka otworzyła oczy.

- Tak. Coś ważnego.

- To przyjdź do zoo - odezwał się wesoło deputowany, Lidce zaś wydało się nagle, że się przesłyszała.

- Co?!

- Za godzinę mam oficjalne spotkanie z dyrektorem kompleksu zoologicznego. A potem będę miał wolne pół godziny. Kiedy ostatni raz byłaś w zoo?

* * *

Wypracowanie
UCZENNICY MŁODSZEJ GRUPY
Klasy VB
LIDII SOTOWEJ
Temat: „Zwierzęta w warunkach naturalnych. Las zimą"

Zimą w lesie widzieliśmy ślady zająca. Łapy zająca bielaka podobne są do śnieżnych rakiet. Mają szerokie, pokryte futerkiem stopy. Dzięki temu nie zapada się w śniegu i może uciekać przed prześladowcami.

Tylko ssaki mają ciała pokryte sierścią albo futrem. Tylko samice ssaków wytwarzają mleko, którymi karmią małe. W naszym rezerwacie zimą ustawia się karmniki dla dzikich zwierząt - zający, wiewiórek i łosi. Drapieżniki - wilki i lisy - pełnią rolę sanitariuszy, które tępią chore i słabe zwierzęta.

Ssaki, podobnie jak ludzie, nie są zdolne do przeżycia apokalipsy poza schronami. Instynkt samozachowawczy kieruje zwierzęta do Małych Wrót, w których kryją się przed śmiercią. Po apokalipsie pogłowie zwierząt zmniejsza się niemal dwukrotnie, ale pozostała po-pu-la-cja jest zdolna do samoodtworzenia. Pogłowie zwierząt domowych (większej i mniejszej rogacizny, świń, ptaków i zwierząt futerkowych) zmniejsza się trzykrotnie, a nawet czterokrotnie. Dlatego na początku każdego cyklu w gospodarce odczuwa się niedostatek produktów pochodzenia zwierzęcego. Stąd, z ekonomicznego punktu widzenia ważna jest produkcja konserw. Nienaruszalny zapas konserw jest przechowywany w podziemnych skarbcach do początku każdego nowego cyklu...

OCENA: trzy.

UWAGI: Nie należy żywcem przepisywać zdań z podręcznika!

* * *

Bardzo dawno temu, przed dziesięcioma laty, kiedy wszystkie dzieci nowego cyklu były w istocie dziećmi - ogród zoologiczny był ogromny i chodziły tam kolejno wszystkie klasy wszystkich szkół; tam

przeprowadzano zajęcia z przyrody, tam w wolne dni ustawiały się kolejki - z rodzicami, lizakami i balonikami...

Lida kupiła bilet - oczywiście dla dorosłych. Gdzieś w ognioodpornych sejfach przechowywane są do tej pory żółte bileciki z napisem „Ulgowy" - ale będą musiały jeszcze poczekać na swój czas. Wedle najnowszych przewidywań - przynajmniej z pięć lat.

Rozejrzała się nerwowo: owszem, koło budynku dyrekcji zebrały się czarne rządowe maszyny. Znaczy, oficjalne przyjęcie na cały gwizdek...

Alejki były prawie puste. Od klatki do klatki przechadzały się nieliczne parki zakochanych. W pewnej chwili Lidka okropnie się przestraszyła - obok przeszła grupa chłopaków o mętnych spojrzeniach. Chłopcy nie zwrócili na Lidkę uwagi, ona jednak długo jeszcze po ich przejściu rozglądała się nerwowo, zaciskając w torebce bezużyteczny pojemnik z gazem.

Po wybiegach brodziły ponure łosie, dzikie kozy i jeszcze jakieś rogate bydło, którego nazw Lidce nie chciało się czytać. Na początku udawała, że tak ją zaciekawił żujący bawół, iż gotowa jest podziwiać go przez kilka najbliższych godzin. Potem znalazła bardzo wygodną ławeczkę: przed spojrzeniami postronnych widzów krył ją rozrośnięty krzak, a dyrektorski domek widać z niej było jak na dłoni.

Pod ławeczką leżały w kurzu i pyle niedopałki ze śladami jaskrawej pomadki. Lidka czekała i tęskniła. Samo czekanie było tak głębokie i pełne, że radości tego oczekiwania wystarczyłoby jej na cały dzień.

Potem drzwi dyrektorskiego domku otworzyły się i w stronę samochodów ruszył tłum surowych i oficjalnych aż do bólu zębów ludzi.

* * *

- Widzisz, ten żubr został oznakowany. Oznakowane egzemplarze są tylko cztery w całym ogrodzie zoologicznym. Szkoda, że nie masz ochoty zająć się biologią.

Żubr żuł trawę. Sekundy przeciekały pomiędzy palcami. Lidka wiedziała, że dziś wieczorem zacznie przypominać sobie kolejno każdą z nich. I każde powiedziane słowo.

Co ją obchodzi ten żubr? Żubr niczego nie wie o życiu. Za kilka tygodni wywiozą go do lasu, i przez jakiś czas będzie łypał z niedowierzaniem na otaczający go świat bez ogrodzeń. Potem poczuje coś niedobrego i jeżeli zdąży, dobiegnie do Małych Wrót... Zawsze znajdują się badacze samobójcy, gotowi do podejrzenia i opisania Małych Wrót i do schowania się w nich wespół z ukochanymi zwierzętami. Żaden z tych śmiałków jeszcze nie wrócił: na początku każdego cyklu łażą po lesie z lekka oszołomione, oznakowane przed

katastrofą zwierzęta, które, oczywiście, nie potrafią powiedzieć, gdzie się podział ten chłopak, co ostatnie pół roku wszędzie włóczył się za stadem małp. Albo inny, który nigdy się nie rozstawał z ukochanym koniem. Lub trzeci... mało to było zapaleńców, którzy chcieli złożyć swoje żywoty na ołtarzu nauki o „biologii kryzysu”?

Szli obok klatek i wolier - pustych lub na poły pustych. Ewakuacja ogrodu zoologicznego rozpoczęła się od zwierząt egzotycznych; klatki i akwaria ponakrywane były tarczami, na każdej z nich namalowano wizerunek ewakuowanego zwierzęcia. „Pangolin. Ze względu na zbliżającą się apokalipsę przewieziony do właściwego mu otoczenia klimatycznego”. „Drzewny długopięt. Ze względu na zbliżającą się...”

- To także zasługa naszej komisji - odezwał się Zarudny z chłopięcą niemal chełpliwością. - W zeszłym cyklu, na przykład, nikomu nic przyszło do głowy, żeby zająć się ogrodem zoologicznym. Kryzys gospodarczy, transportowy, epidemia... wszystkie te zuchy zostały tutaj i zginęły w klatkach. A w tym cyklu zatroszczyliśmy się o nie wcześniej...

Z tyłu, w odległości pięćdziesięciu kroków, brnęli dwaj na oko obojętni na wszystko goryle. Oddychali swobodnie i jakby przelotnie przyglądali się wszystkim ławeczkom i krzaczkom po obu stronach alejki.

Zarudny zatrzymał się. Powiódł dłonią po ogrodzeniu, sceptycznie spojrzał na swoją rękę i postanowił wstrzymać się od poszukania oparcia.

- No i dożyłem czasu, kiedy mój syn osiągnął pełnoletniość... - odezwał się niegłośno, spoglądając w niebo. - Kto mógłby pomyśleć... Lida, chciałaś mi coś powiedzieć?

Wstrzymała oddech. Zaraz mu powie. No, raz, dwa, trzy...

- Popatrz!

Ogromne, na poły uschnięte drzewo wyglądało na całkowicie pokryte przez wiewiórki. Po chwili okazało się, że wiewiórki są tylko dwie i że bawią się, ścigają, tańczą i oplątują pień iście kaskaderską feerią sztuczek, uprawiając jakąś wiewiórczą wersję drzewnego berka. Lida patrzyła na wiewiórki i czuła dłoń deputowanego na swoim nadgarstku. Dłoń była gorąca.

Zapragnęła nagle, żeby ta dłoń pogładziła ją po głowie. I po ramieniu. I po policzku. Zapragnęła ująć tę dłoń... i nigdy już jej nie puszczać. A jeszcze lepiej byłoby przylgnąć do niej wargami...

Wiewiórki się rozbiegły; jedna z nich przeskoczyła przez ogrodzenie, wbiegła do drewnianego koła i zaczęła drobić łapkami jak na przyrządzie treningowym.

- Ot, i my biegamy tak w kółko - głuchym głosem stwierdził deputowany Zarudny.

- Co? - zapytała Lidka, bojąc się nawet poruszyć.

On jednak i tak puścił jej nadgarstek.

- Co chciałaś mi powiedzieć, Lido?

Lidka przełknęła ślinę. W tej chwili najbardziej ze wszystkiego chciałaby go poprosić, żeby znów wziął ją za rękę. Jednak milczała.

- Jutro dziewiąty czerwca - stwierdził Zarudny, badając strzałkę wskaźnika. Podwinął mankiet marynarki. Na krótko błysnęła spod niego tarcza drogiego zegarka.

Lidka milczała.

- Lido... ty przecież już się nie boisz? Tej... objawionej apokalipsy?

Spojrzała mu w oczy.

- Nie. To pan mnie nauczył, jak się nie bać.

Ot i wszystko. Wszystko zostało powiedziane.

Zarudny roześmiał się. Wiatr targał jego krawatem - wąskim, ciemnym, o nieokreślonym, drobnym wzorze..

- Podejrzewam, że masz rację. Te gady siedzą w więzieniu i już z pewnością nikogo nie nastraszą. A pojutrze Sławek będzie miał bal maturalny. - Umilkł. Lidka czekała. - Ale apokalipsa... mimo wszystko nastąpi. Za pół roku, może za rok...

Lidka z uporem zagryzła dolną wargę.

- Wszystko jedno. Nie boję się.

- Tak. - Deputowany Zarudny pierwszy uciekł ze spojrzeniem w bok. - Z pewnością masz rację... Lido. Ale widzisz...

Gdzieś na dalekim wybiegu wrzasnęło jakieś nie wywiezione jeszcze zwierzę.

- Moja matka zginęła podczas ostatniej apokalipsy - stwierdził Zarudny z niepojętą dla Lidki urazą w głosie. - Myślisz, że spalił ją gorący obłok? Albo że zatruła się gazami? Albo dopadły ją glefy?

Lidka milczała. Nagle zrobiło jej się zimno.

- Nie. Stratowano ją... przed samymi Wrotami. Ludzie gnali na oślep, wiedzieli, że za kilka chwil będzie za późno... a ona się potknęła.

Teraz Lidka jego wzięła za rękę. Dotknięcie było jak porażenie prądem - aż w piętach poczuła gorący dreszcz.

- Lido... najgorsze, co może być, to nie stwory z morza i nie deszcz meteorytów. Najgorszy jest tłum przed Wrotami. Uważaj na siebie, bardzo cię proszę.

Lidka wprost pożerała go wzrokiem.

- Z każdym nowym pokoleniem ludzie stają się coraz wyżsi. Płacą za to bólami w kręgosłupie, ale - rosną. Uczniom nie objaśnia się, czemu tak jest. Ale... niżsi ludzie mają gorsze szansę w tłumie. Mówię to nie po to, by cię przestraszyć. Chcę, żeby w chwili katastrofy. Lido, ktoś był przy tobie. Ktoś dostatecznie silny, kto będzie mógł cię podtrzymać.

Lidka mocniej ścisnęła go za rękę. „Jakże bym chciała, żebyś to był ty”.

Ta myśl z pewnością odbiła się na jej twarzy.

- Lido... - odezwał się powoli Zarudny. - Za dwa dni na pierwszym programie będzie bardzo ważne wystąpienie. Moje. Obiecaj mi, że będziesz oglądała.

- Oczywiście - odpowiedziała szeptem.

- Myślę, że będzie to zasadniczy zwrot... w losie nas wszystkich. Bardzo na to liczę. A teraz... wybacz, ale nie mogę ci już poświęcić ani minuty dłużej.

Zrozumiała, że wciąż jeszcze trzyma go za rękę. I że to może wydać się dziwne, że trzeba za wszelką cenę rozewrzeć palce - choćby przyszło jej to zrobić zębami.

Wracali w milczeniu. A za nimi szli dwaj milczący ochroniarze. Nie wiadomo dlaczego, wiewiórki nie spuszczały z nich wzroku - pewnie czekały na poczęstunek.

- Sławek szykuje się na wydział historyczny? - zapytała Lida powoli.

Deputowany kiwnął głową.

- Ja chyba też - stwierdziła niespodziewanie dla samej siebie.

Odwrócił się nagle.

- Tak?!

I objął jej ramiona. Szerokim ruchem dorosłego, którego uradował jakiś uczynek dziecka. Ale nie po ojcowsku... raczej po bratersku.

Lida wstrzymała oddech. Wetknęła nos w cienki krawat i całą swoją osobą chłonęła zapach Zarudnego, żeby potem dokładnie go sobie przypomnieć. Żeby wspominać tę przeciągającą się chwilę z najmniejszymi, najdrobniejszymi szczegółami.

- Zuch! - stwierdził deputowany Zarudny. - Zuch dziewczyna!

* * *

Ranek dziewiątego czerwca był słoneczny, pełen ptasich trelów i nieskończenie piękny. Pod obowiązkową marynarkę mundurka Lida wdziała odświętną, białą bluzeczkę; nowe pantofle nieco ją cisnęły. Nieco.

Na wilgotnej po nocnym deszczu ławeczce siedziała Swietka z czwartego piętra i paliła długiego papierosa.

- Na egzamin? Niu-niu... A ja rzuciłam tę głupią szkołę. Cholera jej w bok...

- Chodźmy, Lido - odezwał się ojciec, który wyszedł za Lidką i teraz otwierał samochód.

Wcisnęła się na ciasne, tylne siedzenie i położyła na kolanach bukiecik drobnych, kolczastych róż - dla chemiczki. Od czasu do czasu jakiś kolec przebijał celofan i kłuł Lidkę w palce - a dziewczyna

krzywiła się boleśnie.

Serce biło jej chyba gdzieś w krtani.

Dziewiąty czerwca. Dziewiąty; ojciec Sławka wyśmiałby ją, ale ona mimo wszystko jeszcze troszeczkę się boi.

Troszeczkę.

...wymęczyła czwórkę.

Chemiczka uśmiechała się z zadowoleniem; kolczaste róże zrobiły na niej wrażenie. Dyrzyca złożyła wszystkim gratulacje z powodu zakończenia roku szkolnego; w auli powtórzono przemówienie dla średniej grupy, ale Lidka nie brała już w tym udziału.

Szumiało jej trochę w głowie, jak po lampce wina. Szukała Sławka, nigdzie go jednak nie mogła znaleźć.

Wszędzie pachniało kwiatami; przy wyjściu jakiś chłopak ze średniej grupy podarował Lidce bukiecik dzwonków. Lidka się roześmiała, podziękowała i wybiegłszy z gmachu liceum, skierowała się na przystanek pospiesznego.

Awanturnica, drzazga niesiona prądem. Było jej tak radośnie, wesoło i dobrze, że zaryzykowała i uległa nagłemu pragnieniu. Wyskoczywszy z wagoniku w centrum, zagłębiła się w dzielnicę, gotowa uśmiechem kwitować spojrzenia zamiataczy ulic, milicjantów i ochroniarza.

Chociaż nie. Dozorcy ochroniarza nie było na miejscu - co zdarzało się dość rzadko. Podczas wszystkich wizyt Lidki u Zarudnych coś takiego zdarzyło się może dwukrotnie.

Przez chwilę postała przed otwartymi drzwiami służbówki. Potem wzruszyła ramionami, potrząsnęła swoimi dzwoneczkami i chyba nawet usłyszała, jak dzwonią.

Potem ruszyła schodami w górę, do znajomych drzwi. Co tam ukrywać - do bardzo kochanych drzwi...

A te były lekko uchylone. No, czegoś takiego Lidka jeszcze nie widziała.

Zadzwoniła. Żadnej reakcji; dość długo stała pod drzwiami, ale nic się nie działo. W końcu wstrzymując oddech w piersiach, pchnęła drzwi, by uchylić je szerzej i wetknęła główkę do środka.

Do bukietu niepowtarzalnych zapachów mieszkania Zarudnych wmieszał się jeszcze jakiś, niemal nieuchwytny. Była jeszcze woń jej dzwoneczków w bukieciku, od którego ciągnęło zapachem łąki...

- Sławek!

Cisza.

Weszła, podświadomie spodziewając się jakiegoś podstępu. Zaraz z jakiegoś kąta wyskoczy na nią Sławek w gumowej masce; głuptas, do tej pory uważa, że to śmieszne...

Uśmiechnęła się z wyższością.

- Sławek! Klaudio Wasiliewna!

I, nabierając tchu w piersi, jakby się bała głośno wyśpiewać swoją nadzieję:

- Andrieju Igorowiczu!

Cisza.

Pomyślała, że powinna się odwrócić i odejść. Mimo wszystko to obce mieszkanie, a ona weszła bez zaproszenia i dzwonka.

Drzwi do saloniku były uchylone. Lidka nie znała wszystkich tajemnic ogromnego służbowego mieszkania, ale do salonu zwykle ją wpuszczano i dlatego uznała za dopuszczalne zajrzenie tam jednym okiem.

Pusto. Bezładnie porozrzucane rzeczy. Otwarta walizka. Na podłodze pełno papieru pakunkowego.

Patrzyła... a bukiet dzwoneczków opuszczał się coraz niżej i niżej.

Ślady pospiesznego pakowania. Ucieczki. Ewakuacji. Miga uporczywie pusty ekran niewyłącznego telewizora.

Cofnęła się do korytarza... dywanik był przekrzywiony, jakby taszczono po nim coś ciężkiego. Kawałki szpagatu. Pomięte kartki papieru. Nigdy wcześniej w mieszkaniu Zarudnych nie widziała takiego bałaganu.

Wszystkie drzwi były lekko pouchylane.

Uciekli - pomyślała Lidka, oblewając się zimnym potem. Mimo wszystko uciekli w przeddzień dziewiątego czerwca. Jakby... jakby...

Za jej plecami coś ciężko uderzyło o podłogę. Lidka drgnęła i wypuściła bukiecik ze zmartwiałych nagle palców.

Okazało się, że to spadła fotografia wisząca na ścianie w ramce pod cienkim szkłem. Lidka odruchowo się pochyliła i podniosła fotografię z ramką.

Na zdjęciu widnieli chłopak i dziewczyna, w których z trudem, ale można było rozpoznać Andrieja Igorowicza i Klaudię Wasiliewna. Oboje mieli po około dwadzieścia lat. Chłopak miał na ręku wzruszające zawiniątko, przewiązane wstążką. Z zawiniątka wystawał zadarty nosek. Dziwne. Sławek wcale nie miał zadartego noska... a może to tylko wszystkie niemowlaki są takie brzydkie?

Dlaczego nigdy wcześniej nie widziała tej fotografii? *Ten* Andriej Igorowicz mógłby spokojnie uczyć się w ich liceum... w starszej grupie. Lidka spotykałaby go na przerwach.

Zapragnęła nagle cisnąć zdjęcie na podłogę. Zdołała się jednak powstrzymać. Położyła ramkę na stole obok dzwoneczków. Wyszła na korytarz. Przez chwilę stała, przestępując z nogi na nogę, nie wiedząc, dokąd pójść i co zrobić.

Strachu prawie nie czuła. Ale dławiły ją wstyd i gniew... wydało jej się, że krtań ma pełną kwasu.

Ciężkie drzwi gabinetu.

Pantofle cisnęły już wprost niemiłosiernie.

Dlaczego? Dlaczego tknęła i bez tego na poły otwarte drzwi?

Krok. Jeszcze krok.

Gabinet. Półki. Komputer. Telefony. Porozrzucane książki...

W roboczym krześle z wysokim oparciem siedział człowiek.

- Andrieju Igorowiczu... - odezwała się Lidka cichym głosem.

Deputowany Zarudny spoglądał na nią szeroko otwartymi, szklanymi oczami.

Jego pierś pokrywała krwawa, zastygła, poszarpana masa...

Rozdział 4

Kolejka była długa niczym zima.

Minęła prawie godzina, zanim powolny, ludzki potok wniósł Lidkę do wnętrza sklepu. Drzwi trzaskały, wpuszczając podmuchy wilgotnego wiatru, ceramiczne płytki posadzki pokryte były grubą na palec warstwą brudnego, mokrego błocka. No cóż, jeszcze pięćdziesiąt minut...

Jeszcze wczoraj ludzie w kolejce klęli jeden drugiego, gniewnie i paskudnie. Dziś już milczeli i patrzyli w ziemię.

Za ladą stały dwie kobiety - dorosła i młoda. Młódką okazała się Swietka z czwartego pietra. Nie zatrzymując się nawet na sekundę, specjalną stalową struną cięła śmietankowe masło. Cięła i kładła na wadze. Jasnożółte kęsy gromadziły się jeden na drugim jak sztabki złota.

Starsza kobieta przyjmowała pieniądze i wydawała resztę. Patrzyła na Lidkę, jakby ta była przezroczysta, Swietka zresztą spoglądała dokładnie w taki sam sposób, ale Lidka nie poczuła urazy - Swietka pracuje tu już miesiąc, jako uczennica otrzymuje zapłatę, stoi za ladą po dwanaście godzin dziennie, bolą ją nogi i ćmi jej się w oczach, ale i tak szykują się, by zwolnić ją w przyszłym miesiącu, przygotowują miejsce dla jakiegoś znajomka...

Lidka bokiem wyrwała się z tłumu czekających. Na następną kolejkę nie miała sił. Niech postoi Jana - i tak jest bezrobotna. Albo Timur - organizatorzy tych jego kursów przygotowawczych szykują się do ich zamknięcia...

Przy wejściu do sklepu stał ciemnoczerwony wóz z przyklejonym do szkła ogłoszeniem: „Na sprzedaż". Drugie, umieszczone nieco niżej oznajmiało: „Prawnik, ekonomistka ze znajomością języków obcych, poszukuje pracy".

Lidka westchnęła.

W podziemnym przejściu pachniało jak w noclegowni. Ramię w ramię stali tu handlarze; Lidka przechodziła obok nowych i lekko znoszonych sweterków, szkatułek, skarpetek i pierników, zawiniętych w polietylenową folię bułek, starych książek, szalików i sportowych dresów. Szła, wstrzymując oddech i nie rozglądając się na boki, dlatego że spojrzeć znaczyło znów popaść w przygnębienie. Świadomość tego, że i ona sama, Lidka, i jej mama prędzej czy później mogą wylądować w tym przejściu.

Przy wylocie przejścia ktoś wypisał sprayem na szarożółtej ścianie: „Krwiopijcy zabili Zarudnego!". O dziesięć metrów dalej - na ścianie wiaty przystanku autobusowego: „Krwiopijcy zabili..." Dalej

ścianka była rozbita. Groźnie starczały z niej kły szklanych odłamków.

- Przyniosłaś? - zapytała mama.

Już drugi tydzień nie czuła się dobrze i nie wychodziła z domu.

- Tylko masło - odpowiedziała Lidka.

- No i dobrze - stwierdziła matka po chwili milczenia. - A ile?

Lidka się stropiła:

- Trzysta... - Trzysta?!

- Mamo, znów wszystko prawie dwa razy podrożało.

- No... to rozumiem - odpowiedziała matka, nie próbując nawet ukryć znużenia.

Ledwo słyszalnie pomrukiwał telewizor. „Jeżeli załamie się system ubezpieczeń społecznych - denerwował się niewidzialny dla Lidki mówca - to po apokalipsie czeka nas życie w pieczarach... epoka kamienna, oto co nas czeka. Wojna domowa, bunt, grabież wszystkiego, co zostanie... skończymy się jako społeczeństwo cywilizowane...”

Lidka westchnęła. Ojciec pracował w ubezpieczeniach i wszyscy jeszcze niedawno mieli absolutną pewność, że gdzie jak gdzie, ale w tej niewzruszonej organizacji żadne nieszczęścia nie grożą.

Przeszła do swojego pokoiku i usiadła za pustym, roboczym stolikiem. Stolik był całkowicie pusty, tylko pośrodku leżała pod szkłem duża, kolorowa fotografia. Wycięta z jakiegoś tygodnika tak starannie, żeby nie było widać nawet śladu czarnej, żałobnej obwódki.

W tym roku chłody nadeszły bardzo wcześnie. Obiecują wyłączyć światło. Mówią, że na ogrzewanie braknie pieniędzy, gazu, ropy i czegoś tam jeszcze. Niedawno wszystko było - i nagle okazało się, że niczego nie ma... Więc gdzie się podziało, jeżeli wolno zapytać?

Zadzwonił telefon. Lidka odruchowo odczekała trzy sygnały, a potem przypomniała sobie, że przecież mama leży w łóżku i podbiegła do przedpokoju.

- Lida?

Podczas kilku ostatnich miesięcy głos Sławka zupełnie upodobnił się do głosu jego ojca. Wcześniej Lidka aż podskakiwała na jego dźwięk, ale zdążyła już przywyknąć.

- Masz czas... żeby pogadać?

- Ile chcesz... - odpowiedziała, zabierając telefon do swojego pokoiku.

- Wiesz... naradzaliśmy się tu z mamą - odezwał się Sławek po chwili milczenia. - Rozumiesz, coś w tym wszystkim nie... Ale to rozmowa nie na telefon. Nie mogłabyś do nas wpaść?

Lidka milczała.

* * *

W służbówce dozorcy było pusto. I dawno nikt nie przynosił

kwiatów. A przecież wtedy, w czerwcu, schody były nimi wprost zasypane...

- Cześć - przywitał ją Sławek. Bardzo schudł po chorobie i zaczął upodabniać się do matki, a nie do ojca. Tylko głos został taki, jak przedtem.

Lidka podała mu czerwony goździk. Sławek machinalnie odwrócił go w dłoniach:

- No, właź... od razu przejdź do gabinetu.

Weszła.

Ze ściany patrzył na nią deputowany Zarudny. Lidce ten portret się nie podobał, ale oczywiście rządziły tu nie jej upodobania, tylko wola mamy Sławka. Nie było tu już komputera ani telefonów, uwolniony od nich stół zajmował pół pokoju, a na całym jego blacie leżały stosy teczek z dokumentami, zszywki czasopism i sterty zapisanych kartek.

Sławek tak samo machinalnie jak przedtem wetknął goździk do metalowego wazonu.

- Zostało po ojcu - westchnął. - Nieuporządkowane archiwum. Część papierów zabrali ci z OP, część potem zwrócili... te osobiste. Wszystko przetrząsnęli... całe archiwum. Rozumiesz?

Lidka kiwnęła głową.

W oficjalnych dokumentach napisano o niej „przyjaciółka syna, przypadkowy świadek". Przypadkiem ona pierwsza odkryła śmierć Andrieja Igorowicza; przesłuchiwano ją trzykrotnie i za każdym razem wybuchała płaczem. Nie tylko dlatego, że ból był świeży i obezwładniający. Za każdym razem wydawało jej się, że przesłuchujący jej nie wierzą i w każdym słowie wietrzą fałsz.

Po co przyszła? Przecież nie była umówiona? Dlaczego nie zadzwoniła? Dlaczego bez pytania weszła do obcego mieszkania? Dlaczego...

Wszystkich przesłuchujących, ludzi o surowych twarzach i przenikliwych, świdrujących spojrzeniach najbardziej interesowało jedno. A może deputowany Zarudny jeszcze żył? Mógł mówić? Więc jak było: mówił czy nie?

Okazało się bowiem, że Andriej Igorowicz w istocie żył jeszcze w chwili, kiedy Lidka otwierała drzwi wejściowe. Ale kiedy weszła z bukietem do gabinetu, był już martwy - w końcu trafiono go kilkoma kulami pod rząd...

Ale co z nieporządkiem w mieszkaniu? Czyżby nieproszeni goście przeprowadzili swoje poszukiwania jeszcze wtedy, gdy deputowany żył?!

Nie, nie słyszała wystrzałów. Nie, nie zobaczyła nikogo i niczego - o tym, co widziała, już opowiedziała. Nie, on nie mógł mówić... był podziurawiony jak sito...

Mama dawała jej trzy razy dziennie krople na uspokojenie. I woziła do lekarza.

A potem odbyło się ostatnie przesłuchanie. Poprowadził je człowiek z OP. Lidka nigdy go wcześniej nie spotkała, był tęgi, smutny, i długo opowiadał Lidce o swoich ciepłych stosunkach z nieboszczykiem Andrzejem Igorowiczem. Cóż to był za człowiek... ech... Giną sami najlepsi... Więc jak, naprawdę niczego nie słyszała? Szkoda, pomogłaby w śledztwie. Nic? No, szkoda. Więc tak, idź dziewczyno i ucz się dobrze... Andriej Igorowicz byłby zadowolony...

Wezwania do gmachu OP urwały się.

Lidka westchnęła.

- Zabrałem się do porządkowania tych dokumentów. Głos Sławka drgnął. - Ale... jakoś mi to ciężko idzie... I nie mam czasu... przecież się uczę...

Mówił, jakby zamierzał się usprawiedliwiać. Lidka opadła na krzesło dla gości:

- Co, chcesz, żebym ja się tym zajęła?

- No... tak... - Sławek ucieszył się z jej domyślności.

Zabójców Andrieja Igorowicza znaleziono po tygodniu - na dnie zatoki. Czego zresztą należało się spodziewać. Lidka nabrała zaś zwyczaju przeglądania programu oficjalnych wiadomości rządowych; nie słuchała prawie słów, ale uważnie wpatrywała się w twarze. Kontrakt mógł wystawić każdy. Dosłownie każdy.

Ale podczas minionego miesiąca oglądała rządowy program coraz rzadziej.

- To... poważna praca... archiwalna. Trzeba posortować na kolejne roczniki, według tematów... sporządzić katalog...

Sławek obrzucił ją szybkim spojrzeniem i poczerwieniał.

- Co? - zapytała Lidka.

- Trudna robota - odpowiedział chłopak. - Pracochłonna...

- Wiesz, że mam eksternistyczne egzaminy. Z czasem u mnie kiepsko.

- No tak - Sławek wciąż jeszcze był czerwony i patrzył gdzieś w bok. - Ale marna... Mama by chciała...

Lidce poczuła krótkotrwały napływ litości.

- Chciałaby... częściowo opłacić tę pracę... - wykrztusił wreszcie z siebie Sławek. - Nie mamy za wiele pieniędzy... ale... Tylko się nie obraź!

Lidka się uśmiechnęła.

- Z pewnością się nie obrażę. Ojcu przestali płacić, mama nie ma pracy... Cała rodzina bez pieniędzy... Nie, Sławek, nie obrażę się.

* * *

- Telefon do ciebie - oznajmiła mama. - Kolega z klasy.

- Słucham? - spytała Lida obojętnie.

- To ja - odezwał się Rysiuk. - Jak tam sprawy?

- Nijak.

- Zdałaś wszystkie kontrolne egzaminy?

- A co mi tam do egzaminów, kiedy nie ma co żreć? - zapytała, umyślnie ordynarnie. Prawdę mówiąc, trochę przesadziła - zostało im jeszcze trochę makaronu. I pół worka ziemniaków, których miała powyżej uszu.

- Pamiętasz, gdzie mieszkam? - odezwał się Rysiuk po chwili milczenia.

Zamyśliła się na moment.

Autobusy kursowały rzadko i Lidka, zarzuciwszy plecak na plecy, puściła się szybkim truchtem. Dawno niesprzątany trotuar pokrywała warstwa lekko już zbutwiałych jesiennych liści. Ściany domów upstrzone były fragmentami ogłoszeń, ulotek i plakatów; „Odstąpię mieszkanie", „Krwiopijcy zabili Zarudnego", „Wszyscy na plac! Wszyscy na zebranie!" „Pomóżcie w znalezieniu..."

Zeszła do przejścia. Cisza, szelest licznych kroków i żadnego głosu - strasznie, ale już przywykła. Przebiegła przez tory kolejowe i nie zmieniając tempa, przebiegła na przeciwległy peron. Wiatr niósł odpychającą woń - tak pachniało w poczekalniach albo w tym podziemnym przejściu, w którym starsze kobiety sprzedają skarpetki, chleb, domowej roboty kapcie i tkane na drutach swetry. Przed wejściem do „punktu obrony porządku prawnego" leżał na bagażowym wózku mężczyzna o nabrzmiałej twarzy, odziany w pomięte ubranie. Trup. Lidka obeszła go łukiem.

Nieopodal, na rogu, handlowano gorącymi parówkami z wózka, który na boku miał jeszcze na poły zatarte litery „Lody". Lidka przypomniała sobie, jak przed dziesięciu laty przechodząc tędy z mamą kupowała tu cukrową watę.

Ale może i tego tu nie było.

Ktoś potrącił ją walizką i to tak, że ledwo utrzymała się na nogach. Trzeba się było pospieszyć, do domu, w którym mieszkali Rysiukowie zostało jeszcze z dziesięć minut szybkiego marszu.

- ...kto tam? To ty, Sotowa?

Rysiuk zamknął za nią drzwi. Lidka od razu spostrzegła, że drzwi są nowe, wzmocnione żelazem i z dwoma solidnymi zamkami.

- Chodźmy...

Podczas ostatnich kilku miesięcy nie widzieli się, a tymczasem Rysiuk mocno się zmienił. Wszyscy się zmienili, pomyślała Lidka z melancholią. A to dopiero początki zmian...

- Dawaj swoje wypracowanie. No tak, wariant uproszczony, dla dziewcząt i zaocznych...

- Nie wszystkich stać na opłacanie studiów dziennych -

stwierdziła Lidka, rozglądając się po pokoju.

Rysiuk odwrócił się od stołu. Miał przejrzyste oczy, jak zamyślona, wielka ryba.

- Przepraszam.

- Za co? - zdziwiła się Lidka. - Byłeś ordynusem i ordynusem umrzesz...

Rysiuk pokrył zmieszanie ni to kaszlem, ni to śmiechem:

- Na razie nie wybieram się na tamten świat. Siądź za tamtym biurkiem. Na razie zajmę się czymś innym, a ty narysuj tabelkę w zeszycie - na cztery wiersze. Poradzisz sobie?

- Postaram się - odpowiedziała, nie reagując na kpinę.

Chłopak wziął kartkę i zabrał się za rozwiązywanie przykładów Lidki. Lidka kreśliła linijki czerwonym ołówkiem, starannie i z uwagą.

- Wiesz, kto zabił Zarudnego? - zapytał Rysiuk półgłosem.

Lidka nawet na chwilę nie przerwała zajęcia.

- Wiem. Tych dwóch, których znaleziono w zatoce.

Rysiuk oderwał wzrok od rozwiązywanego przykładu i zajrzał jej w oczy:

- Więc uważasz, że tamci „oczyszczacze dusz" mieli powód, by go zabić?

Lidka zaciekle kreśliła. Aż sypał się czerwony pył z kredki.

- No, wersja nie gorsza od innych... „Krwiopijcy zabili Zarudnego" brzmi trochę prymitywnie. Oczywiście, oligarchowie mieli powód do tego, żeby go zabić... Nie zawsze należy wierzyć w to, co wszyscy widzą. A wszyscy widzą, że śmierć Zarudnego zainicjowała procesy, które doprowadziły do kolejnej katastrofy...

- Zaprosiłeś mnie po to, żeby poćwiczyć sobie wymowę uczonych słówek? - niezbyt głośno zapytała Lidka. - Mnie, jako osobę, która Zarudnego znała osobiście?

Rysiuk westchnął i odłożył długopis:

- Co tam u Sławka?

Lidka wzruszyła ramionami.

- Pochyło...

Sławek skarżył jej się, że ktoś obserwuje ich mieszkanie. Lidka nie miała pojęcia, czyjego podejrzenia mają jakieś podstawy, czy są tworem wyobraźni, tym bardziej, że mama Sławka podejrzewała wszystkich o wszystko - dochodziło do tego, że zabierała się do obszukiwania Lidki, kiedy ta wychodziła z ich mieszkania: „Zechciej zapamiętać, Lido, że tych pomieszczeń nie powinien opuścić ani jeden dokument... sama rozumiesz". Lida burzyła się i z trudem zachowywała spokój, przypominała sobie jednak, że ta kobieta przeżyła tragedię, która sprowadziła na nią łagodną formę obłędu. Otwierała nawet swoją teczkę, demonstrując, że nie przywłaszczyła sobie ani jednego dokumentu należącego niegdyś do Andrieja

Igorowicza...

Ale tego wszystkiego nie zamierzała omawiać z Rysiukiem.

- Lidka - odezwał się Rysiuk głuchym głosem - z pewnością pomyślisz sobie, że wtykam nos w nie swoje sprawy. Ale w przeciwieństwie do ciebie, czytałem monografię Zarudnego i jego prace w dziedzinie historii...

- Aha - odezwała się obojętnym tonem. - Wiesz, on nawet o tobie mówił. W waszej klasie jest taki niezwykle utalentowany chłopiec, nadzieja historii kryzysów...

Rysiuk umilkł i Lida nie bez satysfakcji stwierdziła, że poczerwieniały mu uszy.

- A owszem! - stwierdził wyzywająco chłopiec i niezbyt mocno uderzył pięścią w zakurzony blat stołu. - Chcę zostać kryzysologiem i nim zostanę! Mam dość informacji, by stwierdzić... żeby sformułować podejrzenie, że Zarudny dość niebezpiecznie zbliżył się do stworzenia teorii apokalipsy. Odkrył fakty, pozwalające na sformułowanie pewnych ogólnych wniosków...

- Aleś ty mądry - odezwała się Lidka. - Nikt się nie domyślił, tylko ty...

- Gdyby nikt się nie domyślił - odparł Rysiuk szeptem - to Zarudny pozostałby przy życiu. Czyżbyś naprawdę myślała, że za jego śmiercią stoi ten bałwan Brodowski i jego banda od czystości duszy? Albo ci bliżej nikomu nieznani „polityczni przeciwnicy”? Lida... Lidka, co ci jest?!

Teraz już ryczała. Dławiła się łzami.

I dlatego nie wspomniała Rysiukowi o tym, co jej wtedy powiedział Zarudny.

Ta myśl z pewnością odbiła się na jej twarzy.

„...Na pierwszym programie będzie bardzo ważne wystąpienie. Moje. Myślę, że to będzie zasadniczy zwrot... w losie nas wszystkich. Bardzo na to liczę...”

* * *

- Wszystko okazuje się bardzo proste - rzekł Andriej Igorowicz. - Od tysiąca lat ludzkość się kręci, niczym wiewiórka na cyrkowym kole. Czas jednego cyklu z trudem wystarcza na to, żeby odtworzyć to, co zniszczone. A gdy wreszcie zaczyna narastać potencjał potrzebny do dokonania przełomu, wszystko zaczyna się od początku. Rozkład, chaos, apokalipsa... balansujemy na krawędzi i wcale się nie rozwijamy, choć i nie staczamy się ku barbarzyństwu. Kto stworzył Wrota? Ten, kto chce, żebyśmy pozostali wiewiórką w tym kole, żywą, zabawną i nieszkodliwą wiewiórką...

Siedział na barierce otaczającej pusty wybieg. Za jego plecami płonęły płynące po niebie obłoki.

- Lido, Lideczko, nie płacz. Miałem dobre życie i zrozumiałem, że...

- Wstań. Wstawaj! Wstawaaaaj!

Ciemność. Czyjeś ręce szarpią ją za ramiona, mocno, że język można połknąć.

- Lida! Wstawaj! Zaczęło się! No, wstawaj, już!

Co za okropny sen, pomyślała i uszczypnęła się w rękę. Zabolało. Ból był tępy, ale doskonale wyczuwalny.

- Lidka, zaczęło się... Ubieraj się... Żywo!

Cały pokój był pogrążony w czerwieni. Ciężkie światło przebijało się przez kiepsko zasunięte zasłony.

- Mamo?!

- Pobudka! - warknął ojciec z przedpokoju. - Żadnych sarkań i narzekań! Za minutę wychodzimy.

Wyglądało na to, że nawet się ucieszył. I jakby urósł - nie był już mizernym bezrobotnym, który dla oddania długów sprzedał już wszystko, ale mężczyzną, ojcem rodziny, gotowym bić się aż na śmierć o przetrwanie maleńkiego oddziałku powierzonego jego opiece.

Szuranie nóg, jak w podziemnym przejściu. Tak się przynajmniej wydało obudzonej nagle dziewczynie.

- Lido! Odejdź od okna!

Co nieco zdążyła zobaczyć. Niebo nierównomiernie podświetlone było czerwienią. Z podwórek i bram wypływały strumyczki ludzi. Cała ulica była już zatłoczona.

Dopiero teraz poczuła strach. Wtedy, kiedy zobaczyła morze poruszających się głów. Morze głów płynących w jednym kierunku.

- Tu sztab OP - rozległ się głuchy głos z radioodbiornika. - Do wszystkich. Zagrożenie od morza. Linia obrony przebiega wzdłuż ulic Morskiej, Popowa i alei Styczniowej. Uwaga! Kierunek ewakuacji - północny wschód, wzdłuż linii podmiejskiej kolejki osobowej. Obowiązuje zakaz używania jakichkolwiek środków transportowych! Za wykorzystanie samochodów w strefie ewakuacyjnej grozi natychmiastowa śmierć przez rozstrzelanie!

Podłoga zakołysała się miękko. Zadzwoniły naczynia w szafie, zadrżały lustra, chybnęła się stojąca na parapecie waza.

- Cisza! - krzyknęła mama.

Timur wymamrotał coś niezbyt zrozumiałego.

Nisko, nad samym dachem, przeleciał śmigłowiec. Huk był taki, że wszyscy na chwilę ogłuchli.

Szarpiąc się i myląc rzemienie, Lidka włożyła plecak. Uprząż miała zatrzask na piersi, żeby w razie czego można było szybko zrzucić brzemię.

Timur wciąż jeszcze coś mówił do siebie. Lidka wzięła szalik z wieszaka. Ojciec chwycił ją za rękę.

- Zostaw. Sprawdźcie, czy nikt nie ma czegoś na szyi. Timur, ty mnie słyszysz, czy już zdążyłeś się napier...

Lidka drgnęła. Ojciec nigdy w życiu nie klął, a tym bardziej w domu i przy dzieciach.

- Nie... nic mi nie jest - odezwał się Timur po chwili milczenia.

- To zaopiekuj się mamą. Ja wezmę dziewczęta. Idziemy.

Za nimi szczęknęły drzwi. Lidka poczuła nagły przypływ bojaźni - szczęknięcie zamka położyło kres ich poprzedniemu życiu. Wszystko działo się na serio. Wszystko się skończyło. Trzask!

- Nie bój się - ponurym, drżącym głosem pocieszyła ją Jana.

Lidka milczała. Bohaterskim wysiłkiem powstrzymując cisnące się do powiek łzy.

Sąsiedzi też uciekali. Na dole szybko trzasnęły drzwi wyjściowe, szczęknął zamek na drugim piętrze, ktoś tam pospiesznie przekręcał klucz. Czy w ogóle było warto się trudzić?

Schodzili w dół, a znajome od dzieciństwa schody wyglądały jak ogromna fotograficzna ciemnia - przez zalewającą wszystko czerwoną poświatę. Z przodu szła mama z Timurem, z tyłu ojciec prowadził Lidkę i Janę. Prowadził je za ręce, jak dzieci.

- To nic - powtarzał, ściskając spoconą dłoń Lidki. - To nic, wszystko się ułoży.

Podwórze. Ławeczka. Nie świeci się w żadnym oknie, nie płonie ani jedna latarnia, ale i tak jest dość światła. W niskich chmurach odbija się blask łuny, która płonie gdzieś za horyzontem. Nad morzem.

I zapach spalenizny zmieszanej ze zgnilizną. I ani jednego powiewu wiatru.

- Trzeba szybko przejść po Narożnej - stwierdził ojciec, mówiąc do pleców Timura. - Najszybciej jak można. To wąska ulica.

- Uwaga! - odezwał się radioodbiornik, który ojciec przyczepił sobie do pasa. - Ogłoszenie sztabu OP. Niebezpieczeństwo od strony morza. Linia obrony przesunęła się na Plac Targowy. Uwaga, uwaga! Linia obrony ciągnie się wzdłuż ulic Małej Narożnej, Lipskiej, Targowej...

Milczący ludzie równocześnie przyspieszyli kroku. Lidka, która na chwilę straciła z oczu mamę i Timura, wyszła z podwórka na ulicę.

Tu był już prawdziwy tłum. Timur i mama mignęli im gdzieś z przodu i znów przepadli; ojciec przyspieszył kroku, usiłując ich dogonić. Ze wszystkich stron rozległy się okrzyki:

- Ostrożnie!

- Gdzie się pchasz!

- Przez takich właśnie robi się ścisk!

- Nie przyspieszaj, kretynie!

Nad głowami tłumu znów przeleciał helikopter. Lidka nie patrzyła w górę, bojąc się oderwać wzrok od pełnego śmieci asfaltu. Powiał

wiatr, który zamiótł kurz i osłabił wstrętny zapach.

Okropnie się wstydziła za ojca. Obrzucono go wszelkiego rodzaju przekleństwami - za to tylko, że nie chciał stracić z oczu mamy i Timura. Mimo wszystko jednak przepchał się ku przodowi, ciągnąc za sobą Janę i Lidkę. Teraz wyraźnie widzieli idących przed nimi mamę i Timura - co Lidkę znacznie uspokoiło.

- Sztab OP - rozległo się z wiszącego gdzieś nieopodal głośnika, ale tym razem głos zabrzmiał po ludzku, nie jak automat. - Niebezpieczeństwo od morza! Bardzo groźna sytuacja dla ulic Narożnej, prospektu Wolności, Prospektu Odrodzenia...

Ojciec szarpnął Lidkę za rękę i krzyknął Timurowi: - W prawo!

Wielu ludzi postąpiło tak samo. Rzucili się na boki, zaczęli przeskakiwać przez tych, którzy upadli, tamci jednak jakoś się podnosili. Poleciały szkła mieszkań na parterze - ludzie pchali się w wąskie zaułki, włazili w okna, chwytali za niskie balkoniki. Wiedzieli to, czego nie wiedziała Lidka...

- Trzymaj się!

Depcząc po chrzęszczącym, rozbitym szkle, zdołała jakoś złapać czyjąś wyciągniętą rękę i wdrapać się na balkon, porośnięty suchą winoroślą.

Więc to tak...

Po ulicy Narożnej potoczyła się fala paniki. Ci, co napierali z tyłu, gnali teraz na złamanie karku, to już nie był tłum, ale kompletnie nieuporządkowany ludzki potok. Lida patrzyła i wydawało jej się, że czuje, jak się jej rozszerzają źrenice.

- Trochę za wcześnie... - wychrypiał ktoś obok.

- Za mną - odezwał się ojciec.

Drzwi balkonu były otwarte. Lidka, Jana, ojciec i jeszcze jacyś ludzie przeszli przez obce mieszkanie, opustoszałe i piękne, pachnące kroplami na serce, staroświecko umeblowane, z okrągłymi serwetkami pod talerze na jedynym stole i porcelanowymi figurynkami na jedynej szafie. Lidka nie wytrzymała i zapłakała - ni to ze strachu, ni z litości nad samą sobą.

Dom był sześciopiętrowy. Właz na dach był już otwarty i ludzie wydostawali się jeden za drugim, jedni gorączkowo, inni pozornie przynajmniej zachowywali spokój, ale wszyscy bardzo się spieszyli.

- Naprzód...

Przewody na dachu były pozrywane i pętały się pod nogami. Anteny stały niczym żelazny, pochylony w jedną stronę las. Lidka szła i nie mogła pozbyć się myśli, że wszystko to już kiedyś było... Lazła po dachu...

Mostek! Z dachu na dach ktoś przerzucił przeciwpożarową drabinę - trzeba było przejść z dziesięć metrów po żelaznych szczeblach, trzymając się jedynie cienkiej poręczy. Lidka zagryzła

wargi...

- Nie patrz w dół - odezwał się ojciec głuchym głosem.

Na dole jeszcze byli ludzie. Jedni biegli, inni leżeli bez ruchu. Lidka starała się nie patrzeć.

Żelazo było nieznośnie zimne. Lidka jakoś by to ścierpiała, ale od chłodu sztywniały palce i traciły czucie - a z tyłu ją popychano... szybciej, pospiesz się...

Mostek skończył się zejściem na sąsiedni dach. Lidka zeskoczyła niezbyt zręcznie, ale ojciec zdążył ją w porę złapać i postawić na papie. Obok ciężko sapała Jana.

- Naprzód!

Ruszyli niemal biegiem, zresztą, wszyscy obok też biegli; potem biegnący przodem mężczyzna zatrzymał się nagle i Lidka z rozpędu wpadła mu niemal na plecy.

- Patrzcie! Tam...

Na sąsiednim dachu rozległy się przeraźliwe krzyki. Darła się kobieta... nie, raczej dziewczyna w wieku Lidki. Lidka w odpowiedzi też zaczęła wrzeszczeć, a do krzyku przyłączyła się Jana i ktoś jeszcze...

Ocknęła się od uderzenia w twarz.

- Zamknij gębę! Naprzód...

Biegnąc w kierunku, w którym ją popychali, zdążyła się obrócić i zobaczyć to, co trzęsącymi się palcami pokazywali panikarze. Zobaczyła na szczęście tylko kątem oka.

Glefa. Sięgała grzbietem chyba do drugiego piętra. Poruszała się pionowo. Mokra. Z na poły otwartej paszczy zwisał jej, niczym ogromna chusteczka, skrawek płótna z reklamowego panelu „Twoja Kawa", na którym był uśmiechający się radośnie blondyn z parującym kubkiem w ręku.

- Naprzód, głupia!

Grzmot. Wprost z nieba opadł śmigłowiec i Lidce się wydało, że pęd powietrza zdejmie jej głowę z ramion. Z czyjejś głowy sfrunął puchowy beret, a helikopter przechylił się w bok i poczęstował glefę serią - a przynajmniej nikłe i z filmów wzięte doświadczenie Lidki powiedziało jej, że to była seria. Tatatatata... Potwór od razu zmniejszył się z dwa razy...

- Obrońcy - płaczliwym głosem odezwał się ktoś za plecami Lidki. - Przyszedł wasz czas, dzieci...

Lidka biegła, wysoko unosząc kolana, bojąc się potknąć o jakiś leżący przewód albo fałdę papy. W biegu przypomniała sobie swoje stare wypracowanie, chyba z trzeciej klasy, o przyjaźni dziewczynki i dalfina.

Kolejny żelazny mostek. Ludzi na dachu było coraz więcej, w pewnej chwili ojciec krzyknął: „Timur!". Lidka natychmiast

spostrzegła brata i mamę. Mama nie czuła się najlepiej. Ciężko oddychała.

Huk helikopterów. Nowy wicher. Wystrzały. Seria. Kadłub helikoptera zawracającego nad sąsiednią ulicą. Lidka zrozumiała, że zazdrości pilotom, którzy nie muszą się bać i rozpychać łokciami, są wszechmogący, latają i tak pięknie bronią spokojnych mieszkańców miasta.

W następnej chwili, gdzieś z tyłu, od morza, rozległ się grzmot wybuchu. W czerwone niebo wzbił się dym z ogniska płonącego nad resztkami rozbitego helikoptera. Timur powiedział coś, czego Lidka nie usłyszała. Teraz nie dało się usłyszeć nawet najgłośniejszego krzyku...

Ojciec szarpnął ją za rękę.

Kolejny właz. Drabina w dół. Stopnie jakieś mokre. Kupa śmieci - guziki, papiery, podeptane rękawice. Zapach moczu. Wyjście na podwórze. Klomb stratowany, że widać tylko glinę. W poprzek klombu leży rozciągnięty człowiek w ciemnym płaszczu.

Ojciec na sekundę się zatrzymuje. Odwraca leżącego na plecy. Nieznajomy ma może z sześćdziesiąt lat i patrzy w niebo szklanym wzrokiem. Trup.

Biegną dalej, bez słowa. W łukach bram - wciąż ta sama ulica. Teraz jechały po niej samochody, chyba cofających się oddziałów OP. W powietrzu unosi się zapach spalin.

- Koniec Narożnej - oznajmił ojciec z wyraźną ulgą w głosie. Mama milczała i wstrzymywała dech.

Wydostali się pod łukiem bramy wprost w tłum innych zasapanych uciekinierów. Niektórzy ich wyprzedzali, inni wyraźnie odpadali z konkurencji. Jakiś człowiek w hełmie okrywającym mu całą twarz klął aż się dymiło i krótką pałką pokazywał, w którą stronę należy biec. Drugi, w takim samym hełmie, tkwił w wieżyczce pancerki, która zatrzymała się w poprzek Narożnej. Za jego plecami kłębiła się ściana nieprzeniknionego dymu. Ulica stała w ogniu.

- Wrota! - zawołała mama, podbiegając do pancerki. - Chłopcy, Wrota się jeszcze nie otworzyły?!

Ten z pałką sypnął jeszcze cięższymi przekleństwami. Tkwiący we włazie wieżyczki pokręcił przecząco hełmem.

Lidka poczuła, że jej serce zapada się gdzieś w głąb brzucha. Leci w dół, ale wciąż się telepie. Jeszcze chwila - i będzie mogła wysrać własne serce, razem z ogniem, zapachem spalenizny, jak roztańczoną pochodnię. „Tym razem Wrota się nie otworzą”.

- Naprzód! - rozkazał ojciec. Lidka nie usłyszała słów, ale odczytała je z ruchu jego warg. Jednocześnie syknęła z bólu, bo ktoś brutalnie szarpnął ją za rękę.

Wybiegli na Aleję Odrodzenia, oszałamiająco szeroką w

porównaniu z Narożną. Tu ludzie szli względnie luźno. Lidka postarała się dostosować do powszechnego tempa i odzyskać spokojny oddech.

Wrota się otworzą. Po prostu jest jeszcze za wcześnie. Na razie za wcześnie. Druga godzina od początku *mrygi*... A może już trzecia?!

Apokalipsa zaczęła się wtedy, gdy zabójcy wsadzili sześć kul w pierś Andrieja Igorowicza Zarudnego.

Nie, apokalipsa zaczęła się wcześniej...

Nogi są za krótkie. Głowa za blisko ziemi. Co to mówił Andriej Igorowicz o niskim wzroście?

Po raz pierwszy pomyślała o Sławku i jego matce. Po raz pierwszy - i dlatego poczuła wyrzuty sumienia. Centrum... Stamtąd łatwiej się wyrwać. Sławek to silny chłopak, na pewno się wydostaną...

Nagle zatrzeszczało milczące do tej pory radio. Odezwały się jednocześnie odbiorniczek ojca, czarne pudła głośników na fasadach budynków i wylotowe kielichy na pancerkach.

- Do wszystkich. Niebezpieczeństwo od strony wzgórz. Wzmożona aktywność sejsmiczna w rejonie osiedli Czarny Las, Ozierowo, Migowo. Zmiana kierunku ewakuacji. Powtarzam - zmiana kierunku ewakuacji... Północna linie kolejowa, Suchowo-Górny Bolt. Utrzymuje się niebezpieczeństwo od strony morza. Do bezpośredniego zagrożenia z powietrza zostaje jeszcze około dziesięciu godzin. Powtarzam...

Lidka się potknęła. Przez chwilę myślała, że upadnie, ojciec jednak w porę chwycił ją pod pachę.

- Patrz pod nogi...

Zatrzęsła się ziemia. Zakołysały uliczne latarnie. Gdzieś zabrzęczały ostatnie szyby z okien. Luna zapłonęła jeszcze jaśniej.

Ja już dalej nie mogę, pomyślała otępiała ze zmęczenia Lidka. To niesprawiedliwe... mężczyźni i kobiety na tych samych warunkach... jedni mają nogi krótsze, inni dłuższe. Ten jest atletą, a tamten starcem...

Przypomniały jej się szydełkowe serwetki na stole w tym mieszkaniu, do którego się włamali podczas ewakuacji.

Naturalne selekcja, powiedział Andriej Igorowicz. Głos należał do niego, Lidka jednak za nic nie mogła uwierzyć, że Zarudny mógł powiedzieć coś tak okrutnego i bezwzględnego.

„Osobnicy o niższym wzroście mają większe szansę na to, by zginąć w przepychance i ścisku..."

No, na razie szczególnego ścisku nie ma. Tyle, że Lidka wiedziała, iż nie wytrzyma tak długiego, szybkiego marszu. Ale wokół też nie same okazy zdrowia. Zmęczą się i zwolnią...

„Chcę, żeby w chwili katastrofy. Lido, ktoś przy tobie był. Ktoś dostatecznie silny, kto będzie mógł cię podtrzymać".

Dziewczyna kątem oka zerknęła na ojca. Z dumą. Jak robiła to wtedy, gdy miała osiem lat. Ojciec wszystko robi jak należy. Jakoś się

z tego wykaraskają.

Nowy podziemny wstrząs. Lidka na własne oczy ujrzała, że zachwiał się dziewięciopiętrowy dom, jak giętka, składana wędka. Wszystko było jak na panoramicznym filmie. Zachwiał się, na chwilę jakby się rozmazał w przestrzeni, kiwnął górnymi piętrami, ale nie runął.

Gdzieś w tłumie ktoś zaczął wrzeszczeć - co prawda krzyk zaraz ucichł.

- I tak już do końca, na piechotę? - zapytała Lidka, starając się nie przygryźć sobie języka.

Nikt jej nie odpowiedział.

Tempo marszu rzeczywiście spadało. Szli po alei już ponad godzinę - a była bardzo długa. Aleja Odrodzenia, najdłuższa ulica w mieście. Od czasu do czasu radio podawało nowe szczegóły, wszystkie jednak dotyczyły innych rejonów. Gdzieś tam przebiło się „zagrożenie od strony morza", gdzie indziej śmigłowiec zaczepił o linię energetyczną i spadł na ludzi. Lidka szła, coraz mocniej wspierając się na ramieniu ojca.

Aleja kończyła się placem, którego nazwy Lidka nie pamiętała. Ludzki potok rozdzielił się tu - ojciec bez wahania skręcił w prawo, a mama z Timorem i Lidka z Jana ruszyli razem z nim.

Minęli cmentarz. Nie ten centralny, pompatyczny, na którym pochowano Andrieja Igorowicza. Zwykły, podmiejski cmentarz. Stary i od dawna zamknięty dla pogrzebów.

Zbliżał się ranek. Czerwone światło przybladło, mieszając się z szarzyzną przedświtu.

- Ani jednego ptaka - stwierdził Timur i Lidka uświadomiła sobie, że brat ma rację. Nie było ani wron na nagich klombach, ani wróbli, ani miejskich, żerujących na śmieciach gołębi.

- Lidka, nie śpij, bo cię ukradną...

- Już dalej nie mogę - stwierdziła tonem przeprosin.

Załamało się niedawne silne pobudzenie, a zwaliło na nią zwykłe znużenie. Szary poranek, kolumna ludzi wychodzących z miasta na otwartą przestrzeń. W oddali rysują się budynki fabryki cementu. Szuranie nóg po błotnistej drodze. Krok, krok, jeszcze jeden krok... Wszystko, jak w złym śnie.

- Naprzód! - jak zwykle pogonią ją ojciec. - Siły jeszcze ci się przydadzą... Jeszcze...

Nie dokończył zdania. Nagle zatrzeszczało radio.

- Uwaga! Do wszystkich! Zagrożenie od morza, linia obrony przebiega wzdłuż promienia Przerywna, Lewy Zjazd, Gajowa.

Lidka drgnęła. Sam środek miasta. Glefy wdarły się bardzo głęboko.

- Uwaga na trasie północnej! Nie zanotowano zagrożenia

sejsmicznego. Proszę kontynuować marsz. Uwaga na trasie Wielkiej Promieniowej! Ruch dalej niż do punktu Dąbki jest bezcelowy. Rozdział obciążenia na Wrota...

- A Wrót wciąż nie ma... - odezwał się ktoś z tyłu za Lidką. Ogarnięta strachem nawet się nie obejrzała.

* * *

Zatrzymali się pośrodku rozległego pola. Jedni stali, inni woleli usiąść. Lidka łykała herbatę ze skórzanego kubka, a ojciec, gdy tylko się oglądała, dolewał jej z termosu. Lidka małodusznie udawała, że tego nie widzi.

Stali pośrodku pola, a Wrót nigdzie nie było widać. Nigdzie. Zaczynało się robić coraz cieplej, na ziemię spadały płaszcze, czapki i swetry; powietrze nad polem lekko drżało. Od strony wzgórz nadlatywał gorący wiatr.

Lidka siedziała na swojej rozłożonej kurtce. Od dawna chciała już udać się do toalety, ale toalety nigdzie nie było, a ludzie wokół tłoczyli się jak na centralnym placu w dzień świąteczny.

Niebo miało niedobrą, sino czerwoną barwę. Wyglądało jak siniak.

Do ogłoszonego „bezpośredniego zagrożenia z powietrza" zostało jeszcze dwie godziny. Według obliczeń z ochrypniętego radioodbiornika. W rzeczywistości czasu mogło być mniej - fioletowy nieboskłon już nie raz błyskał, przecięty śladem, jaki ciągnął za sobą rozżarzony, spadający z nieba kamień.

Gdzieś tam otwierały się paszcze wulkanów. Gdzie indziej z dna morskiego podnosiły się fale tsunami. Jeszcze gdzie indziej stawały w ogniu pola naftowe.

Tu, na otwartej przestrzeni było cicho i spokojnie. Zbierało się na upał. Timur, naśladując innych chłopaków, rozebrał się do pasa, choć niepotrzebnie - na jego rzeźbionych mięśniach drgała blada, gęsia skórka.

- Uwaga - odezwał się znużony radioodbiornik. - Do wszystkich. Nie ma danych o otworzeniu się Wrót. Uwaga na Wielkiej Średnicowej - możliwość zagrożenia termicznego od północnego zachodu...

Tłum wokół poruszył się niespokojnie.

- Uciekać...

- Wrota...

- Nie ma żadnych Wrót, sam widzisz... Lidka słuchała z zamkniętymi oczami.

Wrota pojawiają się w pobliżu osiedli ludzkich. Wokół miasta powinno ich być wiele. Im dalej, tym mniej. Ale na razie nigdzie ich nie ma.

Nigdzie.

Niczym żywa pochodnia tańczy tamten szklarz... „Zagrożenie termiczne od północnego zachodu...” Zbliża się ognisty obłok.

Wody. Och, gdyby tak dać nura w czystą toń i poleżeć w nadciągającej kipieli...

Majaki. Majaki wywołane przez zmęczenie i skwar... i strach. W sinym półmroku odnalazła rękę mamy:

- Mamo... byłam taka głupia. Wybacz mi.

- Lidka, coś ty?

Przypomniał jej się dzień urodzin. Ten sam, w którym nie kupiła kwiatów, ale wpakowała się w nieprzyjemną historię. Zamiast podarku...

- Lidka... Uspokój się. Weź się w garść. Jeszcze trochę...

Jeszcze trochę.

Lepiej by im było, gdyby zwalił im się na głowy strącony śmigłowiec. Lepsze to, niż...

Skwar. Piekielny.

Wszyscy pogrążyli się w grzechu i któż może wiedzieć, czy tym razem On zechce się zmiłować i otworzyć zbawcze Wrota, żeby dać ludzkości jeszcze jedną szansę...

Z nieba spadnie ogień. Z morza wyjdą potwory. Wszystko będzie, jak zawsze.

Nie będzie tylko Wrót.

Mama położyła jej na czole zmoczoną w occie chusteczkę. Skąd tu ocet? Mama wiedziała i zabrała trochę... na wszelki wypadek...

- Lida, spróbuj się przespać. Zobacz, Jana już śpi... Pośpij trochę. W razie czego obudzimy cię.

Obudzi ją ogień, spadający z nieba. Obudzi ją raz i na zawsze.

* * *

Ponownie zatrzeszczało radio. Lidka jeszcze się nie ocknęła i nie wiedziała, czy to sen, czy jawa.

- Do wszystkich. Do wszystkich. Zanotowano pojawienie się Wrót. Zanotowano pojawienie się WRÓT! Współrzędne dla znajdujących się na trasie Północnej... Współrzędne dla znajdujących się na trasie Obwoźnej... Na Wielkiej Średnicowej... Na wybrzeżu.

Podniesiono ją z ziemi. Jeszcze sekunda - i wszyscy leżący zostaną stratowani.

- Ręka! Dawaj rękę! To blisko... zdążymy. Musimy zdążyć! Wszystko będzie...

Lidka nie mogła się zorientować, czy słowa te były skierowane do niej, czy mówiła je sama do kogoś innego. Może zresztą tak było.

- Dziewczęta! Timur! No, dalej!

Pociemniało jej w oczach.

Pole stało prawie pionowo. Było nierówne, całe pokryte koleinami

i bruzdami, w których tak łatwo jest skręcić kostkę w biegu. Zaciągnięte było rzadkim dymem i wszystko wyglądało tak, jakby ludzie biegli po kolana w wacie.

A potem zobaczyła Wrota.

Nie były podobne do wizerunków czy opisów, znanych z opowiadań naocznych świadków. Nie były ani piękne, ani wspaniałe. Były nijakie - jak wielkie drzwi pomalowane białą farbą. I nie były nawet osobliwie duże.

Lidka jeszcze w biegu zrozumiała, do czego są podobne. Tak wygląda wejście na stację pospiesznego tramwaju - tylko nie w centrum miasta, ale gdzieś na peryferiach.

Ku Wrotom ze wszystkich stron biegli ludzie. W okamgnieniu Wrota znikły jej z oczu, zasłonięte licznymi podskakującymi plecami.

Jana zapiszczała. Wykręciła sobie nogę na jakiejś nierówności i teraz kwiliła, jak postrzelony zając. Lidka nigdy nie była na polowaniu - porównanie było obce, literackie i nie bardzo pasujące do sytuacji.

Ojciec zarzucił Janę na plecy. A potem zduszonym głosem krzyknął do Timura:

- Pilnuj Lidki!

Lidka ujrzała wyciągniętą w jej stronę rękę brata. Rzuciła się ku niemu, ale w tejże chwili wpadli na nią ci z tylu, popchnęli ją daleko do przodu, i w plecy uderzył ją rozpaczliwy krzyk mamy:

- Biegnij sama! Nie oglądaj się, tylko biegnij!

Pobiegła.

Z przodu miała czyjeś plecy. Z tyłu ktoś dyszał jej w kark. Z prawej i lewej rytmicznie poruszały się czyjeś łokcie. Nieba nie było - głowy, głowy, głowy, jakby zabłądziła w gęstym lesie. Wygra ten, kto jest wyższy i kto ma dłuższe nogi...

I ten, co chce żyć.

Syk nad głowami. Krzyk. Wstrząs, od którego drgnęła ziemia. Lidka nie myślała już o niczym.

Popłoch. Pod nogami coś miękkiego, ale zdążyła przeskoczyć i nie potknąć się.

Mamo! Mamusiu!

Biegła wciśnięta w tłum, wbita w tłum jak kółeczek. Nie mogła ocenić piękna i wielkości tego, co działo się wokół.

Masy ludzi płynęły niczym kisiel, ze wszystkich stron ku jednemu celowi, do którego podążał też mierzwiąc ziemię gąsienicami jedyny ocalały wóz pancerny OP. Nie bardzo było wiadomo, czy jego dowódca liczył na to, że dotrze do Wrót przed innymi. Nikt się też tego nie dowiedział, ponieważ transporter się spóźnił.

Ci, co biegli z przodu, także nie zdążyli. Zderzenie; przez kilka pierwszych sekund wyglądało na to, że ciężka bojowa maszyna ma przewagę nad biegnącymi bezbronnymi ludźmi, ale tocząca się po

polu fala nie była już tłumem. Nie była zbiorowiskiem ludzi, niechby nawet i oszalałych, niechby i walczących o życie.

Była obcą istotą. Wobec siły tej nowej istoty opancerzony transporter nie był nawet muszką - był pyłkiem kurzu. Odrzuciło go w bok, przewróciło podwoziem do góry i dopiero wtedy sunąca po polu istota instynktownie rozpełzła się na boki, opływając przeszkodę, otulając żywym ciałem, a potem nakrywając i pełznąc po niej.

Lidka niczego już nie widziała. Przestała cokolwiek odczuwać, przestała istnieć. Przeistoczyła się w cząstkę ogromnej, niesłychanie żywotnej ameby.

Przy samych Wrotach różne części pełznącej istoty zetknęły się ze sobą. Spiętrzyły się, wyrzucając w górę falę ciał, a potem spłynęły w zbawczy otwór, coraz szybciej i szybciej... ruch jakoś się uporządkował, trzeszczały żebra, ale spływająca ku Wrotom istota nie odczuwała bólu.

Szybciej... Szybciej...

Niebo płonęło. Pełznąca po równinie istota wyczuwała instynktem, że upływają ostatnie zbawcze minuty.

Po wyczerpaniu się wyznaczonego czasu niebo otworzy się, nie chcąc już dłużej powstrzymywać kłębów ognia i duszącego gazu.

Kto nie zdążył, ten przegrał na zawsze. Istota na równinie doskonale o tym wiedziała, jakby miała to zapisane w genach i dlatego tak szybko wciągała rozproszone jeszcze po polu nibynóżki.

Do Wrót!

Lidkę już niosło. Prawie nie tykała nogami ziemi; nie czuła bólu gniecionych niemiłosiernie pleców i żeber, próbowała tylko oddychać. Tylko oddychać. Choćby tylko raz! I jeszcze raz!

Istota na równinie była coraz mniejsza. Spływała ku Wrotom, jak po kąpieli do wylotowego lejka wanny spływa piana.

Lidka straciła świadomość, ale nie upadła - podtrzymywali ją ci, co przepychali się obok.

A potem i dla nich wszystko zgasło.

Objął ich zbawczy mrok Wrót.

* * *

Z pewnością wszyscy mogli się uratować. Ogień z nieba spadł dopiero po godzinie - i wtedy zaskwierczała wszelka wilgoć na opustoszałej już równinie.

Rozdział 5

Szła, wetknąwszy ręce głęboko w kieszenie kurtki.

Było zimno. Kolejna, nieprzyjemna, wilgotna wiosna.

Przed ławką, odremontowaną i uzupełnioną nowymi deskami stały dziecięce wózki. Połowa była nowa. No proszę, już produkują wózki, szybko się otrząsnęli...

- Cześć Lida! - odezwała się Swietka z czwartego piętra, rumiana i tęga teraz młoda kobieta. Jej chłopczyk wczoraj skończył pierwszy miesiąc.

- Cześć! - Lidka pomachała jej ręką. I natychmiast poczuła w rękawie liźnięcie zimnego wiatru. Najeżyła się i ponownie wsunęła ręce w kieszenie, a zrobiła to tak energicznie, że szpara w pękniętym szwie zewnętrznym jeszcze się powiększyła.

Dziura w kieszeni... jeszcze i to!

Sąsiadki plotkowały, nie zwracając na Lidkę uwagi. Do sześciu młodych mam podeszła mama potencjalna; wyglądało na to, że chyba nosi bliźniaki - szerokie palto ledwo jej się schodziło na niezwykle rozdętym brzuchu...

Na ulicy Lidkę dopadło słońce. Wyskoczyło jak bandyta z zasadzki, wpakowało się w każdy kąt, w każdą szczelinę, oświetliło blade twarze przechodniów - głównie kobiet w rozmaitych etapach ciąży. Skoczyło do wózków - nowe pokolenie zmrużyło ślepka, i zmarszczyło gębusie, a najstarsi jego przedstawiciele zaczęli się przeciągać, uwalniając spod kocyków krótkie rączki w kaftanikach.

Lida podniosła głowę i głęboko odetchnęła.

Zapachu pieluch miała już po same uszy i wyżej. Cała kuchnia pozawieszana była schnącymi płachetkami. Timur chełpił się dziewczynką, jego żona miała na imię Sania i Lidka gotowa byłaby się założyć, że brat poznał żonę najwyżej tydzień przed ślubem. Teraz nieustannie się z nią kłóci, a zapominając się, niekiedy nazywają Jana...

Lidka zagryzła wargi i ruszyła dalej, patrząc pod nogi.

Jana, Janka. Janka, kłótliwa i wiecznie zabierająca Lidce zabawki. Została tam, w tamtym cyklu. Na równinie, przed Wrotami. Nie zdołali jej doprowadzić. Wszystkich nie doprowadzisz...

Myśli o Janie prawie nie budziły już w niej bólu. Płynęły jak zwykle. Timur dał swojej córce na imię Jana, a mama chyba będzie miała chłopczyka. Ciekawe, jak go nazwie?

Ojciec ostatnio niemal rozkwitł i wyraźnie odmłodniał. Co prawda przychodzi z pracy śmiertelnie zmęczony, ale od jednego spojrzenia na brzuch mamy twarz mu się rozjaśnia, jakby padły na nią wszystkie

promienie wiosennego słońca i jakby usłyszał śpiew szpaków. Z punktu widzenia Lidki w tych brzuchach nie ma niczego zachwycającego. Dziwactwo jakieś. No nic, kiedy mama urodzi, Timur będzie jednocześnie niańczył córeczkę i braciszka...

Gdy wyszła za róg, wiatr zadął z nową siłą. Podniosła ramiona i odwróciła się doń plecami, chroniąc twarz przed przenikliwymi porywami. Mama nieraz napomykała, że przy maleńkim braciszku przyda się jej pomoc Lidki. A Lidka odgryzała się, że w tej sprawie lepiej niech na nią nie liczą...

Minęła jakąś budowę. A potem jeszcze jedną. Później przeszła obok domu, który odbudowano jeszcze na jesieni. Nowiutkie ramy okien, nowiutki dach, tylko dolne piętra straszą okopconymi ścianami.

Na lato obiecują ostateczne odbudowanie trasy pospiesznego tramwaju. A na razie trzeba podróżować jak się da... choćby licząc na uprzejmość kierowców.

Lidka wyszła na skrzyżowanie i podniosła rękę. Natychmiast niemal zatrzymał się jakiś samochód.

- Do centrum? Wsiadaj.

Za kierownicą siedział chłopak podobny do Timura. Co prawda, to w tamtym cyklu mówiono „chłopak". Teraz mówi się „mężczyzna".

- Zamierzasz się przejść po sklepach? - chłopak prowadził niedbale, ale z wyczuciem i był w bardzo dobrym humorze. Można pogadać...

Lidka pokręciła głową.

- Nie, jadę w gości. Do narzeczonego.

Tak właśnie. Zdanie zatrzask. W przeciwnym wypadku - o czym Lidka nieraz już się przekonała - natychmiast pojawiały się warianty: „Masz męża? Wyglądasz tak sympatycznie".

Dlatego, że w tym cyklu Lidka natychmiast straciła prawo do uważania samej siebie za dziewczynkę czy dziewczynę. Jest kobietą, a to że bardzo niedawno skończyła dopiero siedemnaście lat - mało kogo obchodzi.

Niedobrze jest urodzić się jako późne dziecko... Jak to mówiła mama? „Pomyśl o tym, Lido. Okres płodności jest krótki, nawet nie zdążysz się obejrzeć, jak minie... i wtedy już nie zajdziesz w ciążę, uczyłaś się przecież biologii... Zostaniesz bezdzietną kobietą. Może nie warto czekać? Sama zobacz, wszystkie twoje koleżanki szkolne..."

Lidka skrzywiła się, jakby ją coś nagle zabolało, aż zaniepokojony kierowca zapytał z troską: - Nic ci nie jest?

Normalna troska. Każdej kobiecie może się zrobić słabo na ulicy, albo w sklepie, i natychmiast rzucą się do niej cale hordy przechodniów i samarytan: „Nic pani nie jest? Może wezwać lekarza?"

- To tutaj. - Otwierając drzwi, Lidka wsunęła chłopakowi do ręki zmięty banknot. Wysiadła pod znakiem zakazu zatrzymywania się -

dobrze, że w pobliżu nie było widać żadnego milicjanta.

„Tato, ty zawsze przechodzisz na zielonym?" - Dawno temu, przed tysiącem lat Sławek drażnił i prowokował ojca, jeszcze wtedy żywego, spokojnego i pewnego siebie.

Dom Zarudnych zachował się w całości. Oszczędziły go podziemne wstrząsy, nie zwalił się nań płonący śmigłowiec, nie spaliły go niebieskie ognie i nie runęła nawała meteorytów. Mówią, że zachowały się nawet niektóre szyby... Lidka weszła w znajomą bramę.

Budkę dozorcy dawno już rozebrano. Na jej miejscu poustawiano wózki - plecione, z ceraty, czerwone, niebieskie i różnobarwne. Na razie w domu dla uprzywilejowanych jest ciasno i tłoczno, ale za jakieś pięć lat władze spojrzą nań baczniej. Jednych zostawią, innych przeniosą do nowych budynków.

Lidka zadzwoniła do drzwi wejściowych. Trzy razy, tak jak się umówili. Otworzył jej Sławek; i dziewczyna natychmiast poczuła wszechobecny zapach pieluch.

W dawnym mieszkaniu Zarudnych koczowały teraz cztery rodziny mające w sumie trójkę niemowląków. Sławek z Klaudią Wasiliewną zajęli dawny gabinet deputowanego; Zarudna nigdzie nie pracowała, a Sławek nigdzie się nie uczył. Andriej Igorowicz zostawił im pewną sumę na koncie ubezpieczeniowym - na życie im wystarczało. O ile, oczywiście, można to było nazwać życiem.

Sławek był nieogolony, miał na sobie pomięty sportowy dres, a na nogi wdział wydeptane, domowe kapcie. Oczy mu błyszczały. Niedobry, gorączkowy blask, pomyślała Lidka.

- Kiedyś ty gdzieś był... choćby na ulicy?

Sławek machnął ręką:

- Właź...

Obszerny korytarz z gołymi ścianami. Ale w gabinecie nie sposób się obrócić - ściągnięto tu meble i przedmioty, których nie dało się sprzedać. Samo archiwum, zgromadzone w kartonowych paczkach, piętrzyło się niemal do sufitu.

Lidka rozejrzała się dookoła. Klaudii Wasiliewny nie było w pokoju.

- Mama w kuchni - uprzedził Sławek pytanie gościa. - Lida... ona chce się przeprowadzić.

- Dokąd? - odruchowo zapytała Lidka.

- Gdzieś pod miasto. Do jakiegoś dwupokojowego mieszkania... Nas tu zresztą tak czy tak nie zostawią. Dom należy do kwaterunku...

W głosie Sławka wyczuwało się prawdziwy ból. W tym domu wyrastał od dziecka. To jego dom. Każdy szczegół przypomina mu zabitego ojca. Przeprowadzka, to nowa strata.

- Sławek... - odezwała się Lida głosem dojrzałej kobiety, który ją samą zaskoczył i zdziwił. - Nowy cykl, to nowe życie. Zamierzasz

chyba mieć dzieci? A może będziesz się użalał nad sobą, jak Biedna Anna?

- Jak kto? - tępo zapytał chłopak.

- Trzeba czytać klasyków - stwierdziła Lidka, rada z tego, że choć na chwilę oderwała jego uwagę od bieżącej chwili. - I mógłbyś się ogolić. Aż nieprzyjemnie na ciebie popatrzeć...

Sławek się odwrócił:

- Będziesz się śmiała... Wczoraj przylazł ten Retielnikow, powiedział słowo w słowo to samo, co ty. Nieprzyjemnie na ciebie popatrzeć, powiada. No to ja mu - ja was nie zapraszałem, nie musicie na mnie patrzeć...

- Jaki Retielnikow? - teraz zapytała już Lidka.

- Grubas - westchnął Sławek. - Ten z OP, który chyba przyjaźnił się z ojcem.

Lidka zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć grubasa z OP. W głębi pamięci drgnęło coś nieokreślonego... Gruby i smutny... Idź dziewczyno i ucz się dobrze...

Uśmiechnęła się do swoich myśli. Wtedy jeszcze uważano, że dziewczyny powinny się uczyć. Teraz ten grubas powiedziałby jej - idź dziewczyno i jak najszybciej zabieraj się do rodzenia.

- Czego chciał?

Sławek wzruszył ramionami:

- Niczego. Ot tak, przyszedł, po starej przyjaźni...

Uchyliły się drzwi i pokazała się w nich Klaudia Wasiliewna z gorącym garnkiem w rękach.

Lidka otworzyła usta, żeby się przywitać, ale nie zdążyła.

Klaudia Wasiliewna wyciągnęła przed siebie ręce, starając się utrzymać garnek z daleka od siebie. Zrobiła krok, nie patrząc pod nogi i potknęła się o wystający róg stołowego hokeja. Krzyknęła, żachnęła się w tył, wypuszczając z rąk garnek i wpadła plecami na spiętrzone kartonowe pudła.

- Trzymaj!

Wieża chyliła się powoli, jak w złym śnie. W końcu runęła, rozbijając szkło na stoliku pod gazety; pusty garnek przez chwilę jeszcze tańczył, pobrzękując na podłodze w kałuży barszczu, a po komnacie rozleciały się luźne, różnokolorowe papiery - górne pudło pękło pewnie od uderzenia i rozrzuciło swoją zawartość.

Na korytarzu zaszurały kapcie. I rozległ się gwar głosów:

- Klaudio Wasiliewna, czy coś się stało?

Drzwi się uchyliły, odsłaniając patrzące ciekawie, młode i nieznane Lidce twarze. Tym damulkom się udało - co prawda ich domy zostały zniszczone, ale wartości ich polis ubezpieczeniowych pozwoliły im na zgłoszenie pretensji o przydział nowego, zupełnie przyzwoitego mieszkania.

Gdzieś w głębi mieszkania, gdzie Lidce ani razu nie udało się zajrzeć, zapłakało jednocześnie dwoje niemowląt.

Klaudia Wasiliewna była tak roztrzęsiona, że wyszła z pokoju, nawet się nie obejrzawszy. Sławek przez chwilę stał nieruchomo, potem pochylił się i zaczął zbierać papiery. Lidka poszła za jego przykładem.

Ileż to trzeba pracy, by zebrać papierzyska i poukładać pudła jak stały! Sam Sławek sobie z tym nie poradzi. Trzeba będzie poprosić dozorcę o przenośną drabinę... i zwrócić się do współlokatorów z prośbą o pomoc.

- Sławek... przynieś jakąś szmatę. Trzeba wytrzeć tę kałużę.

Sławek wyszedł bez słowa sprzeciwu. Kiedy Lidka pracowała z tym archiwum, nie wolno jej było czytać treści tych pism - miała tylko wpisywać do zeszyciku bieżący numer pisma i datę. I nie naruszała tego zakazu. No... prawie.

„Droga Klaudeczko, kwiatuszku mój najpiękniejszy, kiedyż znów was zobaczę? Sławek już pewnie mnie nie pozna; piszesz, że zaczyna już chodzić..."

Walcząc z pokusą, Lidka wsunęła list w głąb koperty. Podniosła oczy i wymieniła spojrzenie z portretem Andrieja Igorowicza. Nie należy czytać cudzych listów. Szczególnie, jeżeli są przepojone tęsknotą. A przecież... nowy cykl, to nowe życie.

Ci z OP w swoim czasie też przeglądali pisma prywatne. Lidka ujrzała to oczami wyobraźni: obojętny typ z rękawicami na dłoniach siedział tu, w gabinecie, pod portretem i przekładał kopertę za kopertą. Nie, czytać nie czytał, miał widać za mało czasu...

- Papiery spadły - powiedział Sławek, zwracając się do kogoś za uchylonymi drzwiami. - Co? Nie, to ty możesz sobie wyrzucić swoje szmatki, a ja ojcowskie dokumenty zostawię, dobrze? Pozwalasz?

I od razu, bez zmiany tonu:

- Przyniosłem szmatkę, Lido...

Lida siedziała pod stołem, usiłując wyciągnąć ze szczeliny starą, rozklejoną kopertę. Czart jedynie wiedział, jak ona się tam dostała.

- Szmatkę? Poczekaj chwilkę...

Okazało się, że trzyma w dłoni kartkę papieru, pożółkłego i pokrytego dziecięcymi bazgrołami: „Kochany tatusiu! Robię wszystkie ćwiczenia, które mi pokazałeś. Nauczyłem się nawet nurkować..."

Spod pierwszej kartki wysunęła się druga. Znacznie twardsza, pokryta drobnym pismem maszynowym. Z drukarki.

Pod stołem było ciemno. Lidka odruchowo podniosła kartkę do oczu.

- Jolki pałki! - zaklął Sławek, usiłujący wytrzeć apetycznie pachnącą kałużę. - Cały dywan w barszczu...

Obywatele!

Lidka drgnęła. Wydało jej się, że słyszy ten głos. Spokojny, pewny, znajomy aż do bólu...

Obywatele, parlamentarna komisja do spraw apokalipsy poleciła mi, bym w jej imieniu...

- Co tam robisz? - szorstko zapytał Sławek. - Zasnęłaś, czy co?

- Koperta gdzieś się zawieruszyła - odpowiedziała Lidka niespodziewanie dla samej siebie. Zamiast po prostu wyjść spod stołu i zapytać prawnego spadkobiercy: „Zobacz... co to może być?"

- Zostaw to... Chodź, pomóż.

- Już idę.

...naruszyć interesy wszystkich znajdujących się u władzy, wszystkich wybrańców narodu, którzy sprzedali swoich wyborców. W Deklaracji Praw Człowieka zapisano: Każdy człowiek ma prawo poznać położenie Wrót w tej samej sekundzie, w której ta wiadomość dociera do dowództwa OP. Chciałbym was poinformować, że praktyką rządu naszego kraju już od wielu cyklów stało się...

Drzwi znów się otworzyły. Pod stołem przeleciał przeciąg.

- Sławek - odezwała się głuchym głosem Klaudia Wasiliewna. - Zostaw tę szmatkę. Pomóż mi znaleźć nitroglicerynę...

Lidka znieruchomiała pod stołem, jakby jej tam wcale nie było.

...tak zwane „umówione opóźnienie". Owo „umówione opóźnienie" to czas, jaki upływa pomiędzy otrzymaniem pierwszych sygnałów o pojawieniu się Wrót, a przekazaniem ich do publicznej wiadomości. Czas ten jest różny, nigdy jednak nie jest krótszy od połowy godziny i dłuższy od dziewięćdziesięciu minut. W tym czasie specjalny transport dociera do Wrót i spokojnie się ewakuuje, przy zachowaniu wszelkich warunków bezpieczeństwa. Spis ludzi włączonych w skład tego transportu jest trzymany w najgłębszej tajemnicy, ale każdy z was bez wysiłku może go sobie odtworzyć, przypomniawszy sobie nazwiska najwyższych urzędników państwowych, zaczynając od prezydenta i kończąc...

Złożyła papier, ale wcale nie go wsunęła do koperty, w której był list zaczynający się od słów: „Kochany Tatusiu!" Najwyraźniej nie tam było miejsce tej kartki. Wszystko na to wskazywało... ale dlaczego akurat tam się znalazła?

Kiedy wylazła spod stołu, jej policzki przypominały barwą młodą ćwikłę. Całe szczęście, że można to byto wytłumaczyć niewygodną pozycją - człowiek skulony pod stołem może złapać zadyszkę...

„Zechciej zapamiętać, Lido, że tych pomieszczeń nie powinien opuścić ani jeden dokument... sama rozumiesz..."

- Sławek, tu się jeden list zawieruszył... Masz, bierz... Podała Sławkowi pożółkłą kopertą pokrytą dziecięcym, niezdarnym pismem.

A pod swetrem, za paskiem dżinsów, zdradziecko zatrzeszczała szorstka kartka białego papieru. Lidce wydało się, że ten szelest

słychać w całym domu. Dziwna rzecz - ani ponury Sławek, ani blada Klaudia Wasiliewna niczego nie usłyszeli.

* * *

Kleptomanka...

Czemu to zrobiła?

Bez powodu. Kierowała się intuicją.

Żeby podkreślić swoje prawo do spadku po Andrieju Igorowiczu. Prawo istniejące tylko w jej wyobraźni.

Cóż się właściwie stało? Nic wielkiego. Przeczyta i odda. Niepostrzeżenie wsunie w którąś z szuflad biurka.

Wieloletnie badania potwierdzają jedynie to, co i tak rzuca się w oczy. Wrota się pojawiają, żeby wchłonąć wszystkich żyjących ludzi. Przestrzeń wewnątrz nich jest dostatecznie wielka, by przeprowadzić pełną ewakuację bez żadnych strat. Od nas, obywatele i rodacy, zależy, jak będziemy uciekać - rozpychając się i depcząc wzajemnie czy idąc z godnością, podtrzymując słabszych i nie wpadając w panikę. Tak zwane „umówione opóźnienie" to hańba dla narodu i zdrada ze strony partii rządzącej. Nadszedł czas, by nazwać ją po imieniu, zerwać z systemem opóźnień, uznać za pierwszy i osiągalny cel ewakuację bez strat! Każdy człowiek powinien dowiadywać się o odkryciu Wrót w tej samej chwili, w której dowiadują się o tym inni! Każdy człowiek powinien pamiętać, że Wrota to egzamin dla ludzkości, otwierają się dla wszystkich, bo wszyscy jesteśmy równi...

Lidka brnęła przed siebie, wsunąwszy ręce w kieszenie kurtki, a w uszach wciąż miała rozmyślnie spokojny, głęboki głos. Spokojny, ale nie obojętny.

Wrota otwierają się dla wszystkich!

Bezmózga ameba na rozległej równinie. Przewrócony samochód pancerny... „Umówione opóźnienie".

Szkoda Jany...

Stali i siedzieli pośrodku pustego pola, pili herbatę z termosów, z góry napierał coraz większy skwar... A tymczasem Wrota stały już otwarte, a czas płynął, tykał... i jednostajnym ruchem poruszała się wskazówka w czyimś bezstronnym zegarku. A biedna, zmordowana do cna Jana nie wiedziała, że zostały jej jeszcze tylko dwie godziny życia. Lidka zacisnęła pięści. W kieszeni kurtki zachrzęściła zaniepokojona kartka.

Andriej Igorowicz spacerował sobie z nią wtedy po ogrodzie zoologicznym, a za pazuchą miał bombę. Przygotowaną pieczołowicie, z tlącym się już lontem; wystąpienie telewizyjne, którego tekst napisał wcześniej. Zdemaskowanie winnych. Och, ależ to byłby wybuch!

Tyle, że detonacja się nie powiodła. Tamci go uprzedzili. Zabili pirotechnika, przycięli lont i unieszkodliwili ładunek. Całość była

bombą wyłącznie w ręku akademika Zarudnego - w dłoniach kogokolwiek innego byłaby to mizerna petarda, i nic więcej. Niejasne słuchy o „specjalnych Wrotach" krążyły wśród ludzi i wcześniej, tylko że nikt nie próbował określić, ile w nich było prawdy...

- Dzień dobry... pani. Wydaje mi się, że gdzieś już panią widziałem.

Lida odwróciła się, by zobaczyć przed sobą uśmiechniętego chłopca, którego jej pochmurna mina wcale nie zniechęciła.

- Ma pani chwilkę czasu? Jestem w tym mieście przejazdem i chciałbym gdzieś spędzić godzinkę lub dwie w miłym towarzystwie. Jest tu jakaś kawiarnia?

Lidka zmierzyła go uważnym spojrzeniem. Szczupły, niewysoki, odziany w kurtkę z drugiej ręki i w dżinsy, jak to się mówi, z cudzego tyłka. Standardowy komplet z zapasów, prawdopodobnie jeszcze przez najbliższe pięć lat ludzie będą nosić znoszone ubrania, model „strach na wróble". Lidce się udało - ich dom ocalał i nawet zamknięte w żelaznej skrzynce szmatki nie ucierpiały za bardzo.

- Może skorzystamy z restauracji? - zaproponował chłopak, nie bez podstaw zakładając, że oberwaniec w „straszaku" powinien być nachalny.

Lidka rozejrzała się dookoła. Znajdowali się prawie w centrum miasta, wokół pełno było kafejek i restauracji o jaskrawych szyldach... tyle że miejsce, do którego najchętniej skierowałaby natręta ze wstydliwych powodów nie miało szyldu.

Otworzyła już usta, ale w ostatniej chwili się wstrzymała.

- Chodźmy do muzeum.

- Co? - Uśmiech chłopaka nieco się pogłębił.

- Do muzeum historii naturalnej - stwierdziła Lidka, wymawiając słowa wyraźnie, jak na egzaminie. - O, tam jest wejście, widzisz? Tam, gdzie leżą te dwa kamulce.

Chłopak posłusznie spojrzał we wskazanym przez Lidkę kierunku. I niepewnie kiwnął głową:

- Może jednak poszlibyśmy do kafejki?

Lidka odwróciła się i ruszyła prosto do muzeum. Chłopak szybko ją dogonił.

- Jak masz na imię? - zapytała, nie przerywając marszu.

- Andriej.

Dziewczyna zwolniła i spojrzała nań kątem oka:

- Naprawdę? Nie kłamiesz?

- A po co miałbym kłamać? - Andriej zapałał słusznym gniewem.

- A ja jestem Jana - odezwała się Lidka, patrząc przed siebie.

- Jana? - ucieszył się chłopak. - Jakie piękne imię...

- Takie sobie...

Łaskawie pozwoliła, by nowy znajomy kupił dwa bilety, tym

bardziej, że ich cena była śmiesznie niska nawet wedle aktualnych ocen. Zwiedzających było niewielu; muzeum nie było odnawiane od czasów apokalipsy i okna pozamykano żelaznymi, osmolonymi kratami. Minie jeszcze pięć lat, zanim popełzną tu pierwsze sznury małych „pytonów", przedszkolaki ze starszych grup będą się gapić z otwartymi gębusiami na odrestaurowane obrazy i odremontowane atrapy, przyjdzie na to czas, ale nie teraz - na razie przedstawiciele przyszłych starszaków ryczą przeraźliwie i moczą się w pieluchy...

- Gdzie się uczysz, Andrieju?

- Pracuję - chłopak uśmiechnął się. - Znaczy, będę pracował. W stoczni. Jestem z Nosowki, mam przydział...

Lidka pomyślała, że chłopak jest nawet dość sympatyczny. Nie taki natarczywy, jak wydało jej się w pierwszej chwili. Nie łże i nie przechwala się, ale szczerze wierzy, że przed nim jest szczęśliwe życie - osiedli się w mieście i teraz trzeba mu się tylko ożenić, a potem na przemian robić okręty i dzieci.

- A ja jestem historyczką - wetknęła ręce jeszcze głębiej w kieszenie, choć przed chwilą przysięgłaby, że to niemożliwe. - Chcesz, to cię oprowadzę.

Andriej uśmiechnął się niepewnie. Zwiedzania muzeum raczej w planach nie miał: dzisiaj mu się powiodło, wprost na ulicy trafiła mu się bezpańska dziewczyna i należało, nie tracąc czasu, wyłożyć wszystkie atuty. Znoszone ubranie to nie atut, praca w stoczni też nie - Andriej uważał z pewnością za atut samego siebie; chłopaka dobrego, zgodnego, wesołego i nieskomplikowanego. Najważniejsze zaś było pewnie, że uważał się za niezrównanego w łóżku... jestem lew, tygrys, maszyna miłości.

- To zajmie niewiele czasu - uśmiechnęła się Lidka. - Jesteś pierwszy raz w mieście, prawda? I nie byłeś w naszym wspaniałym muzeum?

Andriej przełknął ślinę, zabawnie, jak tłusta wrona. Dokładniej mówiąc, Lidce się wydawało, że tłuste wrony robią to tak jak ten chłopak.

- Spójrz tu. Nie, nie tam, tam jest początek ekspozycji i niczego ciekawego nie zobaczysz. Ładne kamyczki? Mnie też się podobają. Tu masz na obrazie pierwotną rybę, uczyłeś się o tym w szkole. Mogę ci mówić przez ty? No patrz, tu już powyłaziły na ląd stały. Nie, to jeszcze nie dalfiny, życie wydobyło się z morza, otrząsnęło się i poszło dalej. Tam szkielet jakiegoś zwierzęcia... to chyba drapieżny dinozaur. Biegał na tylnych łapach i żarł wszystko, co mu się trafiło. A tu, proszę, atrapa człowieka pierwotnego. Żyło im się trudno, ale nie nękały ich żadne apokalipsy. Ale sami straszyli jeden drugiego... lada moment nadejdzie koniec świata... uuu!

Andriej odsunął się lekko i popatrzył na nią z przestrachem - z

pewnością zaczął się zastanawiać, czy nie dać za wygraną i spisać bilety na straty.

- Nie bój się - parsknęła Lidka ze śmiechem. - Nie będę cię męczyła historią ewolucji i lekcjami historii starożytnej i nowożytnej. Pójdziemy od razu na trzecie piętro.

I chwyciwszy chłopaka za rękę, powlokła go za sobą niemal siłą.

- Proszę bardzo - oddech Lidki przyspieszył, a na policzkach dziewczyny pojawiły się rumieńce. - Oto miejsce, w którym ziściły się obawy ludzkości, ale i jej nadzieje. Rozkwit nauki i techniki, pierwsze loty kosmiczne, pierwsze próby z energią jądrową. I pierwsza apokalipsa. Oto jej apogeum, a oto Wrota... Widzisz?

Andriej posłusznie kiwnął głową. Wrota pokazano w proporcji jeden do trzech i ciekawy zwiedzający mógł trafić przez nie do kolejnej sali.

- Bardzo podobne - Lidka podeszła do stylizowanej ścianki i postukała w nią palcem, zupełnie nie przejmując się tabliczką: „Nie dotykać!". Powiodła dłonią po miłej, srebrzystej powierzchni. - Bardzo podobne - powtórzyła. - W nocy pewnie fosforyzuje, jak w prawdziwych Wrotach. Znaczy, świeci. Tak?

Andriej rozłożył ręce:

- Posłuchaj, Jana, mieszkam w hotelu robotniczym, niedaleko, na razie jestem sam w pokoju, sąsiad wyjechał na urlop... chcesz, zajdziemy do mnie, napijemy się koniaku...

- A skąd masz koniak? - odruchowo spytała Lidka.

Andriej uśmiechnął się przebiegle:

- Mam trochę forsy na książeczce oszczędnościowej. Należało mi się, jestem sierotą.

- Co, za zaginionych rodziców zapłacili ci koniakiem? - zapytała ostro Lida. Pytanie padło za ostro, Andriej cofnął się i lekko zbladł:

- Ty... co? Ja... jeszcze w tamtym cyklu... z domu dziecka byłem, rozumiesz'?

Chciał odejść, ale Lidka zatrzymała go za rękaw:

- Wybacz, przepraszam... To nie ma nic wspólnego z tobą. Wybacz, to przez te świnie. Oni pierwsi dowiedzieli się o Wrotach i nikomu nie powiedzieli. Sami wleźli na chama, z kucharzami i służącymi, z żonami i wnukami, tak się umówili pomiędzy sobą. Stąd „umówione opóźnienie". A dopiero potem powiedzieli nam. Pobiegliśmy... a ja nie zdążyłam... Zadeptali mnie na śmierć. Nie ma mnie...

Andriej chciał coś powiedzieć, ale nagle się zakrztusił i rozkaszlał. Kaszlał boleśnie, cofając się i w krótkich przerwach pomiędzy atakami podnosił na Lidkę oczy i gapił się na nią jak przedszkolak na atrapę dinozaura.

- Nie wierzysz? - uśmiechnęła się Lidka. - Zapytaj kogo chcesz.

Jana Sotowa zginęła podczas apokalipsy... a dokładniej została stratowana przez tłum w czasie ewakuacji. Z tego powodu...

I wyciągnęła z kieszeni twardy, złożony poczwórnie arkusz papieru. Andriej jednak już nie czekał, aż Lidka wygładzi na kolanie niewygłoszoną mowę jego imiennika.

Odwrócił się i szybko ruszył ku wyjściu.

Z dalekiego kąta obserwowała całą scenę tłusta i stara sprzątaczka.

* * *

Sławek milczał i patrzył wzrokiem zbitego psa.

W kuchni hałasowały mama i Sania, żona Timura. Za ścianą płakała Jana, najmłodsza krewniaczka Lidki. Dziecko nieustannie płakało. Bez przerwy, dzień i noc. Jak oni to wytrzymywali?

Sławek po raz pierwszy przyszedł do Lidki w gości. Co prawda, to określenie nie bardzo pasowało do obecnej sytuacji. Gdzie stół, herbata, tort, interesująca rozmowa? Gdzie uprzejme zainteresowanie krewnych?

Zainteresowanie zastąpiła ocena. Ten? A, to Sławek Zarudny? No nic, ujdzie w tłoku...

Na szczęście Lidka zachowała prawo do posiadania oddzielnego pokoiku. To ona miała szczęście - Sławkowi powiodło się znacznie gorzej i dlatego Lidka zaryzykowała, zapraszając go do siebie - musieli przejść obok ławeczki z młodymi mamusiami, przed którymi niczego się nie dało ukryć. No dobra, niech sobie gadają.

Przeprowadziwszy Sławka do swojego pokoju i zamknąwszy drzwi, Lidka bez żadnych wyjaśnień rozwinęła przed nim arkusz z tekstem niewygłoszonego przed kamerami wystąpienia. Kiedy Sławek czytał, poruszając wargami, dziewczyna siedziała na parapecie okna i kiwając nogą, patrzyła w niebo.

A teraz Sławek milczał i patrzył na nią jak zbity pies.

- Zrozumiałeś? - odezwała się Lidka sucho.

- Trzeba by powiedzieć... - wymamrotał chłopak niepewnym głosem.

- Komu? - uśmiechnęła się Lidka z politowaniem. - Ci, co powinni wiedzieć, doskonale o tym wiedzą. Krzątanina, przeszukiwanie, myszkowanie. Cały czas pytali: czy mógł coś powiedzieć? „A co powiedział? Nie wskazał nazwisk swoich zabójców”?

Sławek wciągnął głowę w ramiona, aż Lidce zrobiło się go żal.

- Ja już wcześniej się domyślałem - odezwał się chłopak bezbarwnym głosem. - Mama mówiła, że „trafimy do kontyngentu”. Tyle że po tym, co się stało z ojcem... musieliśmy się ewakuować na ogólnych warunkach.

Lidka wyszczerzyła zęby w niedobrym uśmiechu:

- A możesz sobie wyobrazić, co by było, gdyby zdążył powiedzieć! W przeddzień apokalipsy? Co by się wtedy działo?

Sławek uśmiechnął się z przymusem:

- Wycofaliby się z „umówionego opóźnienia". Zmuszono by ich. Zrobiłby się zamęt...

- Ten czas zamówili ludzie z „kontyngentu" - odpowiedziała Lidka powoli. Stwierdzenie to zabrzmiało jak ogłoszenie wyroku.

Sławek zagryzł wargi:

- To liczna grupa. Wiesz, kto wchodził w jej skład?

- Dowiem się - odpowiedziała martwym głosem.

W przedpokoju zabrzęczał dzwonek. W ciasnym korytarzyku zaszurały kapcie; po kilku chwilkach do drzwi zapukała mama:

- Lidka, Swieta ma do ciebie sprawę...

Lidka zamknęła oczy. Nie okazała rozdrażnienia; Swietka z czwartego pietra była rozpromieniona, a jej skóra miała różowiutką barwę świńskiej skarbonki.

- Lida, jest tak... Są wózki z przydziału, nowiutkie „trójeczki", zimowe, letnie, z budką. Przypomniałam sobie o tobie, przecież ci się przyda, a nie wiadomo, czy potem znajdziesz takie cudo. I całkiem niedrogo... Weźmiesz, Lida?

Lidka zdobyła się nawet na uśmiech:

- Dzięki, Swieta. Na razie nie potrzebuję. Jestem przesądna.

- Aaa... - na twarzy Swietki pojawił się błysk zrozumienia. - No, jasne, ale teraz brak wszystkiego, ludzie łapią co się da, na razie są, a potem jak baby zaczną rodzić, to ze świecą nie znajdziesz porządnego wózka. No dobra, Lid, w razie czego zajrzyj do mnie...

- Aha - odpowiedziała Lidka. - Dziękuję.

Sławek cierpliwie czekał. Obracał w palcach rolkę starego, popsutego od dawna magnetofonu. Ojciec kilka razy obiecywał, że wyrzuci „ten chłam", ale Lidka protestowała z niezrozumiałym nawet dla siebie samej uporem. Ten stary magnetofon łączył ją jakoś z dawnym życiem, które oczywiście nie składało się wyłącznie z pierniczków na miodzie, ale wspominała je jak raj; ojciec zaś wtedy gderał, że - jak mówił - przyjdzie ci szukać miejsca pod dziecięce łóżeczko, to sama wyrzucisz, nic nie poradzisz.

Lidka usiadła na podłodze i oparła się plecami o starą kanapę.

- Sławek, *ja się dowiem,* kto był zleceniodawcą tych morderców. Poświęcę na to całe życie, ale się dowiem.

Sławek podniósł wzrok.

- Skąd masz to pismo?

- Znalazłam - wypadałoby się zmieszać, ale niestety, wcale nie czuła się winną. Ani trochę nie czuła się winną, a przeciwnie, irytowało ją to, że Sławek Zarudny, rodzony syn zamordowanego deputowanego nie spieszy się z nacinaniem ręki i składaniem

krwawego cyrografu o wspólnej zemście. I nie przysięga, zmrużywszy oczy: „I ja poświęcę życie, ale pomogę ci odnaleźć prawdziwego mordercę...”

Sławek podchwycił jej spojrzenie. Zgarbił się, westchnął, zostawił w spokoju magnetofon i usiadł obok niej, tak że Lidka poczuła ciepło jego ramienia.

- Lida... ojciec mi opowiadał... Zanim to wszystko się zaczęło. Coś jakby przypowieść, ale wydaje mi się, że on sam to wszystko wymyślił. O tym, do czego ludzkości potrzebne są Wrota.

Lidka milczała.

- On mówił, że apokalipsa - nie jest próbą. Że to kaganiec nałożony ludzkości na twarz. A Wrota...

W drzwi ktoś energicznie zastukał:

- Lida! Lida! Otwieraj!

Sławek drgnął jak kolnięty szydłem.

- O co chodzi? - zapytała Lidka ostrym głosem.

- Lido... - Sania, żona Timura, nigdy wcześniej nie targnęła się na niezależność szwagierki. - Twojej mamie odchodzą wody, a nie ma skurczów! Timur w pracy, ojciec też... Trzeba złapać jakiś samochód, słyszysz, i jak najszybciej ją odwieźć, bo to bardzo niebezpieczne... trzeba się pospieszyć...

Lidka trzęsącymi się rękoma zdjęła łańcuszek z drzwi. Mama wzuwała pantofle. Była bardzo blada. I skupiona.

* * *

Apokalipsa to kaganiec i łańcuch nałożone ludzkości. Pierścień, który nie pozwala nam na dalszy rozwój, uniemożliwiający to, co nazywamy postępem. Ocaleni z radością zajmują się odtwarzaniem wszystkiego. Odbudowują to, co zostało zniszczone. Odtwarzają populację. Wszystkie wysiłki kierujemy na to, żeby odtworzyć to, co już osiągnęliśmy i przeżyć podczas kolejnej apokalipsy. Nie możemy sobie pozwolić choćby na krótki lot w kosmos, mimo że technicznie byłoby to możliwe i to już od wielu cyklów. Prawie nie posługujemy się energią jądrową, choć jej eksploatacja bardzo by nam ułatwiła życie. Ale zaciska się pętla apokalipsy - a próby stworzenia broni jądrowej powodują unicestwienie całych krajów i śmierć całych narodów... Nawet zwyczajne zapasy uzbrojenia - choćby je zmagazynowano i ukryto! - podczas apokalipsy ulegają samozniszczeniu w pięćdziesięciu ze stu przypadków. Apokalipsa, to surowe ograniczenie i niestety, nie dowiemy się, kto jest jego twórcą i pomysłodawcą. Może nigdy go nie poznamy... Ale czym w takim razie są Wrota?

Wrota, to szansa. Są jak przebaczenie, zachęta i droga w życie. Każdy uczeń potrafi powiedzieć, że ich natura jest niepoznawalna -

przynajmniej na poziomie dostępnej nam wiedzy.

Ale nasz poziom rozwoju wiedzy ma taki zostać po wiek wieków!

Kręcimy się jak wiewiórka na kołowrocie, od cyklu do cyklu i wygląda na to, że z tej sytuacji nie ma wyjścia. Ale być może, skoro apokalipsa jest kołowrotem dla wiewiórki, to Wrota są czymś więcej niż tylko kołem ratunkowym?

Jeżeli apokalipsa jest próbą, to być może Wrota są testem? Labiryntem dla szczura?

Jesteśmy liczni, ale i Wrót otwiera się wiele. Gotów jestem udowodnić z ołówkiem w ręku - Wrót otwiera się tyle, że powinni ocaleć WSZYSCY. Pod warunkiem, że nie stracimy ani sekundy. Jeżeli nikt się nie zatrzyma, by odepchnąć z drogi sąsiada.

Ale czy to możliwe?

Strach przed śmiercią, która pojawia się w postaci wiszących nad głowami ognistych obłoków. Trzęsienia, od których ziemia pęka jak przypieczony pieróg... Czy tracący głowy w pobliżu Wrót ludzie potrafią pozostać ludźmi na tyle, żeby wejść we Wrota spokojnie, w sposób uporządkowany, jak na przechadzce?

Na początku każdego cyklu publikuje się spisy tych, którzy zginęli podczas ewakuacji. Każdy z nich został zadeptany przez ciebie, który teraz czytasz ten tekst. Dlatego, że ty przeżyłeś, oni zaś - nie.

Po co ustawia się Wrota?

I co się stanie, jeżeli któregoś dnia ludzkość przejdzie przez nie z dumnie podniesioną głową, nie zwlekając, ale i bez pośpiechu, podtrzymując każdego, kto się potknie? Co będzie, jeżeli się ziści to, co na razie wydaje się niemożliwe?

Możliwe, że wtedy skończy się cykl i kaganiec zostanie zdjęty. Odejdą w niebyt zdumiewające w swojej regularności trzęsienia ziemi, przestaną się też pojawiać znikąd nieznane wcześniej astronomom komety. A dalfiny zaczną dojrzewać daleko od brzegu.

A zresztą, co nam mogą zrobić jakieś tam glefy, kiedy przestanie nam grozić apokalipsa?

Ludzkość wreszcie ponownie zacznie się rozwijać. Rozwijać się, a nie biegać w kółko, rozkręcając ten cyrkowy bęben. Możliwe, że ten, kto otwiera Wrota, uzna, iż teraz ludzkość godna jest istnienia bez sznura?

Nie, nie pytajcie mnie, kto tworzy Wrota.

Tego nie wiem.

(Z niepublikowanych artykułów Andrieja Zarudnego.)

* * *

Bibliotekarka przy wejściu była jeszcze prawdopodobnie na poły ślepa, ponieważ człowiek o dobrym wzroku natychmiast odkryłby podmianę. Karta biblioteczna była wystawiona na nazwisko Rysiuka

Igora Grigoriewicza, a Lidka, chociaż w spodniach, męskim płaszczu i z wsuniętymi pod czapkę włosami, nie bardzo była do niego podobna. Nawet jeżeli uwzględnić to, że fotografia była stara i wyblakła.

Ale właśnie na to Lidka liczyła - na to, że nikt nie spodziewał się takiej bezczelności. Jakaż dziewczyna pójdzie do biblioteki z kartą biblioteczną opatrzoną fotografią mężczyzny? Tylko wariatka.

- Wariatka - krzywił się Rysiuk. Ale mimo wszystko zgodził się na taki wybryk. Choć trzeba przyznać, że podejmował nie lada ryzyko. Był przecież wzorowym studentem, dumą i nadzieją uczelni, zdobywcą nagród, dyplomów i posiadaczem nieskalanej opinii. Lidka wiedziała, że i ożenił się wyłącznie dla uzupełnienia tego wizerunku, z jakąś głupią jałówką, tylko po to, żeby mu urodziła dzieci, ponieważ dzieci są częścią wizerunku wzorowego obywatela. A przecież nie uląkł się skandalu i nawet zamówił książki ze spisu, który mu dostarczyła Lidka.

Przeszła do szatni i nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, zdjęła palto, przeistaczając się z niezwykłego młodzieńca w zupełnie zwykłą dziewczynę. Weszła do Sali, starając się iść spokojnie, by nie ściągnąć na siebie niczyjego wzroku. Pierwsza część planu przeszła gładko - teraz trzeba było przystąpić do realizacji fazy drugiej. No, oczywiście należało też liczyć się z niespodziankami - jak kontrola kart bibliotecznych.

Przed okienkiem, w którym wydawano książki, ustawiła się niezbyt liczna, ale jednak kolejka. Lidka spoglądała w sufit - nowy budynek wzniesiono w stylu awangardowym i od widoku tych wszystkich okrągłych okienek i wylotów świetlików dziewczynie zakręciło się w głowie. Musiała nieustannie oblizywać wargi; wydawało jej się, że wszyscy gapią się tylko na nią, a na jej ramię lada moment spadnie ciężka łapa...

W okienku tkwiła zwykła dziewczyna, co prawda w niebieskim mundurze z pagonami.

- Proszę - Lidka podsunęła jej rewers. - Mój przyjaciel zamówił przedwczoraj.

Dziewczyna lekko się zdziwiła:

- A czemu nie przyszedł sam?

- Jest zajęty. - Przepraszający uśmiech.

- A wasza karta biblioteczna?

Lidka wzruszyła ramionami:

- No przecież ja niczego nie zamawiam... Nie mogłam przedwczoraj, poprosiłam kolegę, a on...

- Nie można szybciej? - zapytał rozdrażnionym głosem ktoś z tyłu. Dziewczyna w mundurze westchnęła ze znużeniem. Przebiegła wzrokiem zamówienie Rysiuka, chrząknęła i odeszła w głąb; Lidce wydało się nagle, że poszła po dyżurnego milicjanta i że najlepsze, co

teraz może zrobić, to natychmiast zniknąć. Biegiem w dół do szatni... Ale to byłoby tak, jakby wskazała Rysiuka palcem, przecież jego karta zostanie tutaj!

Najtrudniejsze ze wszystkiego było zrobienie obojętnej miny. I nie oglądanie się na tego, kto tak bardzo w porę poprosił bibliotekarkę, żeby się pospieszyła.

W końcu dziewczyna z pagonami wróciła - sama i ze stosem książek. Patrząc na idącą pomiędzy wysokimi regałami bibliotekarkę, Lidka zwróciła uwagę na fakt, iż mundurowa kurtka (a może należało ją nazwać frenczem?) lekko odstaje z przodu. Co najmniej piąty miesiąc.

Dziewczyna, to znaczy kobieta, bez jednego słowa podała Lidce książki i kartę Rysiuka i Lidka dość głupio pomyślała, że brzemienne kobiety nie powinny się denerwować. Po co jej zamieszanie ze sprawdzaniem karty, wzywaniem milicjanta i skandalem.

- Dziękuję - skwitowała ją Lidka, choć młoda bibliotekarka już jej nie słuchała.

W sali nie było tłoku, ale i nie dałoby się powiedzieć, że jest pusta. Lidka wahała się przez chwilę; ani jedno miejsce nie wydało jej się dostatecznie odosobnione. Jak by nie usiąść, zewsząd cię widać...

- Przepraszam...

Ktoś ją potrącił, jednocześnie się usprawiedliwiając. Trącono ją zręcznie, pod łokieć, stos książek się zachwiał i trzy tomy od razu rąbnęły o podłogę.

- Ależ ze mnie niezdara... przepraszam raz jeszcze...

Odruchowo się pochyliła, by podnieść leżące na ziemi książki i prawie zderzyła się głową z tym, kto przed chwilą ją tak pechowo potrącił, a teraz spieszył z pomocą.

Niezgrabiaszem okazał się starszy już mężczyzna, tęgi, ale nie tak gruby jak podczas ich ostatniego spotkania. Widziała go przed dwoma laty, przed minioną apokalipsą. „Idź dziewczyno i ucz się dobrze... Andriej Igorowicz byłby zadowolony".

Lidka pobladła tak, że jej twarz zesztywniała niczym drewniana maska.

- Lida! - stwierdził pracownik OP zatroskanym tonem. - W pierwszej chwili was nie poznałem... Patrzę, ktoś znajomy.

Podniósł książki, strzepnął z nich nieistniejący kurz i mimochodem zerknął na tytuły.

- Oho! Widzę, że na serio postanowiła pani zająć się historią najnowszą? Z pewnością pani studiuje? Słusznie, słusznie, jest pani młodą osóbką, zdąży pani zrobić dwa fakultety przed urodzeniem dziecka, potem doktorat i znów do książek... w końcu przy dziecku zawsze może posiedzieć kto inny. Jest komu posiedzieć, prawda?

Mówił, i jak dawniej świdrował ją wzrokiem. Być może robił to z

zawodowego nawyku. Oczy same podczas długiego życia nauczyły się świdrować rozmówców, bo świdrują wszystko, co się rusza...

- Jest - odpowiedziała Lidka.

W końcu wszystko mogło okazać się przypadkiem. Wysoki rangą urzędnik OP ma wiele spraw w zamkniętej dla czytelników bibliotece uniwersyteckiej. Zobaczył znajomą dziewczynę i postanowił porozmawiać... oni wszyscy mają znakomitą pamięć wzrokową.

Owszem, ale po co od razu ją popychać? Czyżby był taki niezdarny? I czy przypadkiem to nie jego głos ponaglił bibliotekarkę, gdy zaczęła się interesować jej kartą biblioteczną?

- Dziękuję - odpowiedziała, biorąc z jego rąk elegancko podawane książki. - Bardzo mi się spieszy... Praca semestralna... - dodała, nie wiadomo po co.

- A na którym jest pani roku?

- Na pierwszym - odpowiedziała machinalnie.

- Rozumiem... A kto wykłada?

Lidka milczała i patrzyła operowi w oczy ciężkim, ponurym spojrzeniem, jakby chciała zapytać: „Mało mnie wymęczyłeś? Co cię to obchodzi? Czemuś się do mnie przyczepił, szpiegu, klawiszu jeden..."

- Lido... - odezwał się grubas niespodziewanie łagodnie. - Zapewniam panią, że nie zamierzałem pani przeszkadzać. Ani straszyć...

- A czego miałabym się bać? - zapytała, siląc się na spokój i rzeczowość.

- Lido... czy możemy porozmawiać?

- O czym? - mocniej przycisnęła książki do piersi.

Twarz grubasa posmutniała, jak wtedy, w gabinecie:

- O spadku po Andrieju Igorowiczu. O tekście, który pani znalazła. I jeszcze o tym, że przychodzi pani do zamkniętej uniwersyteckiej biblioteki z czyjąś kartą biblioteczną.

* * *

- Więc po co istnieją służby ubezpieczeń? Po co? Wyobraź sobie, dziewczyno, taką oto sytuację - wszyscy wracamy, wychodzimy z Wrót, a tu żadnej władzy nie ma. Ani milicji. Ani inspekcji ubezpieczeniowej. Ani tego pogrążonego w wiecznych sporach parlamentu... Niektórzy zginęli, inni zostali... Zanim się policzą, zarejestrują, ogłoszą nowe wybory - wiesz, co będzie? Niczego nie będzie. Wszystko, co ocalało po apokalipsie, zostanie rozgrabione, zawłaszczone i odebrane prawowitym właścicielom zgodnie z jedynym prawem - prawem silniejszego. Zamiast odbudowywać domy i niańczyć dzieci, ludzie będą musieli walczyć z rozmaitymi szumowinami o miejsce pod słońcem, jak w epoce jaskiniowej! Cofniemy się do jaskiń, do wieku kamiennego - historia zna kraje,

których teraz już nie ma - właśnie dlatego, że nie miały silnej władzy, która by zapewniła ciągłość rządów po apokalipsie!

Lidka siedziała na mokrej ławeczce w parku. Wszędzie krążyły mamusie z wózeczkami, to tu, to tam rozlegał się wrzask jakiegoś niemowlaka; ciekawe, co mógłby sobie pomyśleć ktoś patrzący z boku, zobaczywszy siedzących obok siebie młodą kobietę i grubasa w starszym wieku, przecież nie miał wypisane na czole, że pracuje w OP i jest po prostu dobrym wujaszkiem Mikołajem Iwanowiczem...

- Myślisz, że podczas „umówionego opóźnienia" ewakuują się tylko tłuste urzędasy? Nie. W skład kontyngentu wchodzi cała grupa różnych ludzi - takich, których działalność podczas pierwszych dni po apokalipsie jest wprost niezbędna i konieczna do tego, żeby przeżyła reszta. W tej liczbie i niektórych urzędników. Wszystkie kraje postępują tak samo - w takim lub innym stopniu, ale trzymają się bardzo podobnej procedury!

Nikołaj Iwanowicz umilkł na chwilę. Obok niego klapnął na powierzchnię ławki strzęp ptasich odchodów. No proszę, nawet ptaszek go chybił, niewiele, ale chybił...

- Ale po co te kłamstwa? - zapytała Lidka cicho.

Oper uśmiechnął się ze znużeniem:

- Owszem, kłamstwa są złe. Ale ludzie już tacy są. Nie potrafią znieść myśli, że drugi ma lepiej od nich - w czymkolwiek. Nie znoszą myśli, że ktoś jest od nich lepszy, a jeszcze trudniej znieść im to, że ma większe przywileje. Wyobraź sobie: stoją Wrota, wali w ich stronę tłum - a ktoś tam z głośnikiem w łapie poleca, żeby przepuścić tego lekarza, tamtego sędziego albo innego urzędnika, dlatego że będą potrzebni od razu po apokalipsie... żywi i, że tak powiem, w całości. Jak zareaguje garnący się do Wrót tłum? Możesz to sobie wyobrazić?

- Kłamstwo w imię zbawienia? - tak samo cicho jak przedtem zapytała Lidka. - I śmierć też w imię zbawienia?

Nikolaj Iwanowicz westchnął ciężko. Otworzywszy portfel, wyjął paczkę papierosów i okrągłą plastykową fiolkę szybko rozpuszczalnej aspiryny.

- Długo znałem Andrieja. Był chyba moim jedynym przyjacielem.

Lidka długo patrzyła, jak zapala papierosa, a potem chowa zapalniczkę i powoli wyciąga zatyczkę z fiolki „aspy".

- Czy uwierzysz, jeżeli ci powiem, że przyjaźniłem się z Andriejem?

Na wargach Lidki pojawił się uśmiech:

- Potem się okazało, że istotnie ma bardzo wielu przyjaciół.

Nikołaj Iwanowicz starannie strząsnął popiół w otwartą fiolkę.

Wysoki urzędnik państwowy najwyraźniej wcale nie wstydził się tego, iż nosi przy sobie takie brzydactwo, jak popielniczka z pustego opakowania aptecznego; na twarzy Lidki musiało się odbić

niedowierzanie i zaskoczenie.

- Talizman - wyjaśnił krotko Nikołaj Iwanowicz i ostrożnie postawił „aspę” na skraju ławeczki.

Palił także nieładnie - zaciągał się szybko i płytko i nawet papieros trzymał tak, jakby ściskał w palcach wesz.

- Widzę, Lido, że wierzysz mi i nie wierzysz. A ja wtedy przez kilka dni pod rząd nie spałem. Cała nasza służba stawała na uszach. Wiesz, ile wersji musieliśmy sprawdzić?

Lida lekko uniosła podbródek.

- I co z tego? Mam się pocieszać ilością waszych wersji? Sam pan chyba był w tym... kontyngencie. Po cóż mielibyście szukać winnych wśród swoich? Nie. Tacyście mocni, aż strach... wszystko wam jedno, zabić szczura czy deputowanego... zabić go w domu... nie na ulicy, czy podwórku... w jego własnym mieszkaniu. Pod samym nosem ochroniarzy! I nic. Mordercy żyją... spacerują sobie po ulicach... Wykonawców sprzątnięto i po wszystkim. A wyście nie szukali! Pokręciliście się tylko tu i tam, dla pozorów!

Nie bała się wcale, że Nikołaj Iwanowicz się obrazi, przybierze oficjalną minę i zażąda od niej wyjaśnień w sprawie podstawionej karty bibliotecznej. Dawno już wyszli z biblioteki i nie miał żadnego powodu, by ją zatrzymywać, ciągnąć z powrotem, dokonywać rozpoznania i konfrontacji z obojętną ciężarną bibliotekarką. A gdyby nawet się na to zdecydował, to wystarczy, ze zacznie się drzeć, łapać za brzuch i grozić natychmiastowym poronieniem. Zobaczymy, kto pierwszy da za wygraną...

Ale grubas nawet nie pomyślał o tym, żeby się obrażać. Przeciwnie, na jego twarzy pojawiło się coś na kształt współczucia.

- Rozumiem, Lida... wszystko rozumiem. Ile ty masz... osiemnaście? Wszystko jasne...

- Oczywiście - Lidka z uporem kiwnęła głową. - I doskonale wiadomo, kto go zabił. Bierzesz listę członków kontyngentu, wodzisz po niej palcem...

- O właśnie - westchnął Nikołaj Iwanowicz. - Wodzisz palcem... i trafiasz prosto w niebo! Chcesz postawić pasjans?

Lidka nie zrozumiała.

- Pasjans, suma wersji. Wyliczenie kolejnych. Na przykład mogli go zabić ci bojownicy o czystość duszy, którym przewodził Brodowski. Mogli?

Lidka przypomniała sobie, że Rysiuk mówił chyba to samo.

Co prawda, Rysiuk niczego nie wiedział o telewizyjnym wystąpieniu, do którego się szykował Zarudny i o „umówionym opóźnieniu”.

A może wiedział?

- Po drugie, zabójstwo mogli opłacić jego koledzy politycy. Wiesz,

jak bardzo im przeszkadzał? Wiesz, że miał duże szansę na to, by zostać Prezydentem?

Tuż obok, całkiem blisko, w cieniu starej topoli chudziutka kobieta w wieku dziewiętnastu lat bez powodzenia usiłowała uspokoić zdrowego bobasa w pasiastym wózeczku. Bobas upierał się, żeby usiąść. Niech to licho, kiedy ci ludzie z tym nadążają?

Lidka podniosła wzrok na rozmówcę.

- Prezydentem? Mówicie prawdę?

- Ależ oczywiście! A rządzący wtedy Prezydent nie miałby nic przeciwko objęciu władzy i w tej kadencji. I pewnie mu się uda, wszystko na to wskazuje. Nie, niczego absolutnie nie sugeruję. Tylko tak... wskazuję drugą z możliwości. Po trzecie... czy ty wiesz, że był współudziałowcem siedmiu wielkich firm?

Lidka mimo woli otworzyła usta:

- Andriej Igorowicz?

- Wyobraź sobie. A czy wiesz, co to konkurencja, machinacje finansowe, niespłacone w porę kredyty? Słyszałaś takie słowa choćby w telewizji? To, co pozornie wygląda na zabójstwo polityczne, może mieć zupełnie inne tło. Rozumiesz?

Lidka mrugała powiekami, jak wezwany do tablicy uczeń pierwszej klasy. Domyślała się, że głupio wygląda, ale niczego nie mogła na to poradzić.

- Dalej... po czwarte. A może po piąte? Z mieszkania Zarudnego zniknęły znaczne pieniądze. Jest zupełnie możliwe, że napastnicy byli zwykłymi bandytami. Powiedzmy, przyszło trzech, wzięli mniej, niż się spodziewali i jeszcze spartolili robotę, został trup... właściwie to dwa trupy, jeżeli wliczyć dozorcę, który zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Potem zabrali się do podziału, jeden zabił dwóch wspólników i wrzucił ciała do zatoki.

- Mało przekonujące - wtrąciła Lidka.

Nikołaj Iwanowicz wzruszył ramionami.

- Prawdziwy bieg wydarzeń nie zawsze oddaje ta wersja, która jest najbardziej przekonująca. Przy okazji - Zarudny miał kolekcję znaczków, która została mu po dziadku i za tę kolekcję niektórzy z fanatyków dawali cały majątek, on jednak się uparł i nie chciał jej sprzedać. Co, pierwszy raz słyszysz o znaczkach? A kolekcji nie znaleziono. Jeden znaczek z tej kolekcji pojawił się przypadkowo, kilka miesięcy po apokalipsie, kiedy już prześledzić jego drogi praktycznie się nie dało. Sama widzisz. Który to już punkt? Dalej: wersja najbardziej popularna „Krwiopijcy zabili Zarudnego". Wiesz, kogo w pewnych kręgach nazywa się krwiopijcami? Nafciarzy, przemysłowców... Andriej przedstawiał w parlamencie bardzo kontrowersyjne projekty ustaw. Był reformatorem, a kto ich lubi? Znudziło ci się? A przecież jest jeszcze pewna kobieta... a raczej była.

Bardzo zamożna, bardzo ekstrawagancka, przed kilkoma laty Zarudny miał z nią pewne problemy. Wszystko wskazuje na to, że wzięła go na cel, on zaś nie wykazał się dostateczną stanowczością. Co, ruszyło cię? Rumieniec na twarzy? Dzieciom się takich rzeczy nie opowiada, ale dzieci, Lido, zostały w poprzednim cyklu... a teraz wszyscy są dorośli, poza tymi w wózeczkach. Ta dama wkrótce po morderstwie popełniła samobójstwo. Ale przedtem sprzedała dom pod miastem, a pieniądze przepadły, czort wie gdzie. Na opłacenie zabójców z pewnością by wystarczyło. Zamordowano go na jej polecenie, a potem sama się powiesiła, dręczona żalem i wyrzutami sumienia. Jak w serialu. Nieprawdopodobne? Ale kto wie...

Lidka siedziała, wciągnąwszy głowę w ramiona. Czuła się tak, jakby ktoś położył jej na plecach ciężki wór i dla pewności, że nie spadnie, docisnął go drugim.

Ostry poryw wiatru strącił z ławeczki fiolkę po „aspie". Nikołaj Iwanowicz nie leniąc się, podniósł swój skarb i starannie wytrzepał na klomb resztki popiołu.

- Powiecie jeszcze, że na jego śmierci zależało kosmitom - stwierdziła Lidka przez zęby.

Nikołaj Iwanowicz delikatnie potarł palcami koniuszek nosa.

- A diabli to wiedzą. Weź pod uwagę, że strzały były absolutnie bezgłośne, w ciągu kilku sekund przeszukano całe mieszkanie, a jednocześnie dwóm sąsiadkom, jednej z góry i drugiej, mieszkającej naprzeciwko, przydarzył się atak serca...

- Naprawdę? - wymamrotała Lidka.

- Ja się nie usprawiedliwiam... Po prostu chcę ci udowodnić, że to, co siedemnastoletniej dziewczynie może się wydać bardzo proste, w rzeczywistości okazuje się dość skomplikowane, Wybacz. Chcesz, to załatwię ci kartę biblioteczną. Żebyś się więcej nie musiała tak męczyć.

- Możecie coś takiego zrobić? - zapytała dość głupio.

Gdzieś pod potylicą łupał ją nieznany wcześniej ból.

* * *

Podczas kilku ostatnich tygodni mama schudła, co wcale nie dodawało jej uroku. Miłą z wyglądu jeszcze do niedawna kobietę szpeciły teraz ostre, wystające kości policzkowe i zapadnięte policzki; poród był ciężki, synek okazał się dzieckiem rosłym i niespokojnym, często płakał, ssał jak dziki i nieustannie był głodny.

- Lido... kilka razy dzwonił Sławek. Coś tam się u nich stało.

Serce w niej zamarło. Jeszcze tylko tego brakowało.

W dawnym mieszkaniu Zarudnych długo nikt nie odbierał telefonu. A przecież aparat wisiał w przedpokoju i zwykle któraś z mieszkających tam mamusiek była w pobliżu, w kuchni albo w

łazience.

W końcu odebrał Sławek.

- Cześć... no, nareszcie. Słuchaj Lidka... ale numer... Wcale nie był przygnębiony. Przeciwnie, jego głos był pełen życia i euforii.

- Lidka... zwrócili nam mieszkanie!

- Co? - wydało jej się, że źle usłyszała.

- Zwracają nam mieszkanie! Całe! Jutro wysiedlają wszystkich obcych. Dają im pokoje gdzie indziej. Lidka...

Sławka umilkł, starając się opanować głos. Żeby nie chlipnąć prosto do słuchawki.

- Lidka... - przeszedł na szept. - Tu będzie... pamiątkowe mieszkanie... po ojcu. Na domu powieszą tablicę... z brązu. Lida... przyjedź.

Nie bardzo jej się chciało wierzyć w to, że Sławek zwariował. Zresztą... czemuż miałby to robić?

- Mamo... wrócę za dwie godzinki...

Mama spojrzała w bok.

- Liczyłam na to, że posiedzisz z Paszą... a ja trochę pośpię.

Lidka odetchnęła, choć czuła ukłucia wyrzutów sumienia.

- Mamo... u Zarudnych... Nie, nie mogę. Niedługo wrócę, to sobie pośpisz, obiecuję!

I uciekła - szybciutko, żeby się nie rozmyślić.

* * *

Przez całą noc śniła ten sam sen. Budziła się, uśmiechała bezmyślnie do ciemnego sufitu, obracała na drugi bok i... śniła ciąg dalszy. Było to zdumiewające, nic takiego wcześniej jej się nie przydarzało, sen jednak ciągnął się jak rozdziały książki, tykał zegar, w kuchni zapalało się i gasło światło, maluchy budziły się kolejno, marudziły przez chwilę i zasypiały - a sen trwał, zaczynając się za każdym razem w tym samym miejscu, w którym go przerywało przebudzenie się Lidki.

Śnił się jej deputowany Zarudny. Andriej. Łóżko Lidki stało pośrodku parku, Lidka wylegiwała się, absolutnie nie przejmując się obecnością przechodniów. Andriej siedział na krawędzi łóżka, trzymał Lidkę za rękę i opowiadał coś bardzo interesującego i ważnego, tyle że - na nieszczęście - niezwykle szybko umykającego z jej pamięci. Obudziwszy się, Lidka nie mogła przypomnieć sobie ani jednego słowa, choć przepełniała ją radość i duma z tego, że Andriej darzy ją takim zaufaniem.

Potem ją pogładził po głowie. Usiadła na łóżku, on zaś ją objął, jak wtedy w ogrodzie zoologicznym. Zapłakała i we śnie, i na jawie - wiedziała, że Andriej wkrótce odejdzie, ona zaś bardzo chciała, żeby jeszcze trochę z nią posiedział...

Niemowlak znów zaczął pobekiwać. Pełnym oburzenia basem, czyli była to sześciomiesięczna Jana, kuzynka Lidki, która do tej pory nie potrafiła przespać spokojnie sześciu godzin. W kuchni zapaliło się światło, zaraz potem rozjaśniło się na korytarzu i rozległ się odgłos człapania kapci Timura; kiedyż wreszcie to się skończy...

Lidka wstała. Podeszła do biurka i zsunęła książki na brzeg blatu. Andriej patrzył ciepło i spokojnie, jak żywy... niewiele brakło, a zmrużyłby oczy, kiedy w twarz zaświeciła mu nocna lampka.

- Jesteś tu?

Po raz pierwszy zwróciła się do niego przez „ty". Wcale się nie obraził.

Lidka zmrużyła oczy i przytuliła policzek do zimnego szkła.

* * *

Ławeczka była składana, krucha i dość wysoka. Sławek musiał balansować; wlazłszy na ławeczkę, niespiesznie i starannie wodził specjalną miękką szmatką po tablicy pamiątkowej, na której wyrzeźbiono ostry profil Andrieja Igorowicza, bukiet nikłych brązowych goździków i napis oznajmiający, że w tym domu, w latach takich to a takich żył wybitny uczony, działacz polityczny i społecznik, A.I. Zarudny.

Lidka stała obok i czekała.

Wreszcie Sławek uporał się z pracą. Szmatkę zaciągnęło miedzią, ale rzeźba raczej się nie zmieniła - prawy policzek deputowanego, ucho i lok włosów pięknie lśniły miedzią. Litery były ciemne i surowe.

Przed tygodniem, zaraz po wywieszeniu tablicy, ktoś oblał ją farbą - nocą, chyłkiem, żeby się zemścić czort wie za co na uwiecznionym w brązie akademiku. Wezwano milicję, ale sprawcy zbezczeszczenia nie znaleziono. Sławek sam zmył rzeźbę oliwą zmieszaną z acetonem; zaciskał przy tym zęby tak, że zgrzyt słychać było na całym podwórzu. A Lidka przypomniała sobie wtedy Nikołaja Iwanowicza z plastykową popielniczką po aspirynie i jego pasjansem z prawdopodobnych, a wśród nich i kompletnie idiotycznych wersji.

Trzeba wspomnieć, że Nikołaj Iwanowicz pojawił się kilka razy u Zarudnych. Pił herbatkę w odnowionym saloniku, Klaudia Wasiliewna częstowała go koniakiem, który jakoś przetrwał apokalipsę i długo, w barwnych słowach wspominała męża. Lidka wiedziała o tym od Sławka - sama nie widziała się z operem od dnia, kiedy w sekretariacie biblioteki historycznej wydano jej nowiutką, laminowaną plastykiem kartę biblioteczną.

- Dzwonił Dymitr Aleksandrowicz - stwierdził Sławek, jednocześnie niezgrabnie zeskakując z ławeczki. - Jesienią szykuje się konferencja naukowa, poświęcona pracy i pamięci ojca...

Na imię i nazwisko deputowanego Dymitra Aleksandrowicza

Wierwerowa można się teraz było natknąć niemal wszędzie; po raz pierwszy Lidka usłyszała je od Sławka i nie bez zdziwienia przypomniała sobie, że dawno temu, jeszcze przed apokalipsą, czytała o tym człowieku na stronach „Wiadomości Parlamentarnych" i zapamiętała jego dźwięczne, nieco zabawnie brzmiące nazwisko.

To właśnie Dymitr Aleksandrowicz był tym człowiekiem, któremu Zarudni zawdzięczali mieszkanie, pamiątkową tablicę i wiele innych rzeczy. To dzięki jego staraniom nazwisko Andrieja Zarudnego odkopano spod ruin pozostałych po minionej apokalipsie, oczyszczono i umieszczono na tarczy. Dzięki niemu wydano trzy tomy prac naukowych Zarudnego - i to na początku cyklu, kiedy drukarnie zawalone były poradnikami sanitarnymi! Dzięki niemu Sławek wydobył się wreszcie z depresji i szykował do egzaminów na uniwersytet - gdzie z pewnością się dostanie... wcale nie musi ślęczeć nad książkami...

- Słyszysz, Lidka? Jesienią będzie konferencja...

Potrząsnęła głową:

- Aha. To świetnie.

Brązowy Andriej Igorowicz patrzył gdzieś w bok - w głąb podwórza, gdzie porozstawiano liczne wózeczki, tak już wszechobecne, że Lidka przestała je niemal zauważać.

- Mam do ciebie sprawę - stwierdził Sławek, patrząc w asfalt. Lidka drgnęła, usłyszawszy jego głos:

- Co się stało?

- Poczekaj - chłopak potrząsnął ramionami, jakby przejął go nagły chłód. - Zaniosę ławeczkę i zejdę...

- A co to za sprawa, że nie można o niej pogadać w domu? - uśmiechnęła się Lidka.

- Mówię, poczekaj...

- Ale chciałabym zajść do toalety... - stwierdziła dziewczyna. - Można?

Ostatnio, gdy tylko się dało, ćwiczyła w sobie bezpośredniość i bezceremonialność.

Klaudia Wasiliewna była w domu. Spojrzawszy na tęgą kobietę w domowej sukni, Lidka nie omieszkała spostrzec i przedwczesnej otyłości, i siwizny, i zbyt głębokich zmarszczek. Gdyby Andriej Igorowicz żył, zobaczyłby, co się zrobiło z jego „kwiatuszka najpiękniejszego"! Czy tak trudno zadbać o siebie?

Gdyby Andriej Igorowicz żył...

Weszła do łazienki. Dokładnie umywszy ręce, spojrzała na odbicie swojej twarzy w zwierciadle. Szczupła, a nawet chuda, ciemnowłosa dziewczyna o jasnej cerze, przenikliwie i ostro patrząca pięknymi, choć nieco zaczerwienionymi od braku snu oczami. Nie za bardzo podobna do tamtej ciamajdy, która spacerowała z Andriejem

Igorowiczem po opustoszałym ogrodzie zoologicznym...

Westchnęła. Zakręciwszy kran, wyszła z łazienki; w kuchni Sławek sprzeczał się po cichu z matką, a gdy usłyszał kroki Lidki, wyszedł jej naprzeciw.

- Lid, zejdź na dół, ja zaraz przyjdę. Poczekaj...

I ci mają problemy, pomyślała Lidka.

Na klombie przy bramie rosły niebieskie i prawie bezwonne kwiaty. Czekając na Sławka, Lidka co chwila podchodziła, próbując je powąchać. Za każdym razem wciągała powietrze tak energicznie, że płatki zatykały niemal jej nozdrza.

Sławek wyszedł po dziesięciu minutach.

- Chodźmy...

Milcząc, przeszli w głąb podwórka - była tam dziura w płocie. Sławek bezceremonialnie przelazł pomiędzy wygiętymi prętami ogrodzenia i pociągnął za sobą Lidkę, a po przejściu przez kolejne podwórko trafili na dawny, dziecięcy plac zabaw. Kiedyś Zarudny młodszy musiał tu nieźle rozrabiać, a w każdym razie dobrze wiedział, dokąd Lidkę przyprowadzić - drewniany pawilonik był na tyle otwarty, że Lidka nie poczuła się zagrożona, ale i dostatecznie odosobniony, żeby można było porozmawiać, nie przejmując się spojrzeniami wszechobecnych młodych mam.

Sławek wyciągnął z kieszeni złożoną poczwórnie gazetę, rozścielił ją na niziutkiej ławeczce, posadził Lidkę i sam rozsiadł się naprzeciwko.

- Więc tak... urodził mi się dzieciak.

Lidka przez chwilę wsłuchiwała się w samą siebie. Żadnej reakcji... oprócz uprzejmego zdziwienia.

- Naprawdę? - zapytała, ponieważ Sławek czekał na jakąś odpowiedź.

- Naprawdę! - stwierdził lekko wyzywająco. - I być może będzie jeszcze jeden.

- Ile? - zapytała, jakby mowa była o biletach do kina.

- Dwa! I co z tego? - odparł zaczepnie Sławek.

- Bliźniaki? - zapytała Lidka uprzejmym tonem. - Podwójna ciąża?

- Nie... od różnych matek - odpowiedział Sławek przez zęby.

Teraz Lidka zdziwiła się naprawdę. Sławek patrzył na nią i nie uciekał spojrzeniem w bok.

- Sław... ale czego oczekujesz ode mnie?

- A tobie jest wszystko jedno, co? - zdenerwował się chłopak. - Dawno wiedziałem, że jesteś frygidą!

Lidka milczała. Nie była pewna, czy dobrze pojmuje znaczenie słowa „frygida". Brzmi paskudnie, ale czy należy się obrazić?

Sławek także umilkł. Przy wejściu do pawiloniku kąpał się w piasku jakiś wróbel.

Wczoraj Lidka miała rozmowę z mamą. Aluzje, niedomówienia i przypadkowo rzucane słowa godziły w nią i dawniej, ale wczoraj odbyły ze sobą prawdziwą i ciężką jak deska rozmowę.

„Powinnaś pomyśleć o dziecku" - stwierdziła mama, przekonawszy się, że aluzje nie robią na Lidce wrażenia. Lidka usiłowała sprawę przemilczeć, ale matka tego dnia była wreszcie wyspana, wypoczęta i w wojowniczym nastroju. „Powinnaś pomyśleć o dziecku, choćby o jednym. Sama jeszcze jesteś prawie dzieckiem, ja wszystko rozumiem, Lido, ale cykl nie będzie czekał. Pamiętasz przecież, jak niedobrze jest być najmłodszym dzieckiem... nie ryzykuj niepotrzebnie, proszę cię".

- Więc jak, ożenisz się z dwiema na raz? - zapytała Lidka ostrożnie.

- Idiotka - stwierdził Sławek głosem bez wyrazu.

Lidka westchnęła.

- Niech ci będzie, idiotka. Sław, przecież ty jesteś mi zupełnie obojętny. I zawsze byłeś. Twój ojciec... był prawdziwym mężczyzną. A ty - dobrze grasz w stołowego hokeja. I czasami jesteś podobny do Andrieja Igorowicza... kiedy nic nie mówisz.

Sławek splótł palce i zacisnął je tak, aż mu zbielały knykcie. A potem spojrzał na Lidkę, jakby zobaczył ją pierwszy raz w życiu.

- No tak. I co z tego? - uśmiechnęła się dziewczyna.

Sławek przełknął ślinę. Poruszył długą szyją. Lidka siedziała, spodziewając się, że chłopak wstanie i odejdzie, ale minuty biegły i nic się nie działo. Sławek nadal siedział. Od wilgotnych desek pawilonu zaciągało jakimiś niejadalnymi grzybami.

- W Parku Kwietniowym, obok nabrzeża - zaczął Sławek głuchym tonem - tam, gdzie jest pomnik Bohaterskich Nurków... jest taki placyk. Zbierają się tam dziewczęta, które nie mają ochoty na wychodzenie za mąż, a dziecko mieć trzeba... bo cykl i takie tam... specjalnie się tam zbierają, pojmujesz? I chłopaki tam przychodzą... tacy, którzy... Mówiąc krótko, też nie chcą się żenić. Poszedłem tam... bo z tobą bałem się zacząć rozmowę! Nawet... - machnąwszy ręką, zawarł w tym geście tyle rozpaczy i desperacji, że Lidka mimo woli się zamyśliła. Ta paskudna historia w szkolnym muzeum, która zdarzyła się w poprzednim życiu, nie mogła nie wywrzeć wpływu na psychikę Sławka. To ona, Lidka, uwierzyła na słowo Andriejowi Igorowiczowi i wyrzuciła wszystko z pamięci. A Sławek... z pewnością w chłopcach włączają się jakieś inne mechanizmy, takie, o których Lidce niczego nie wiadomo. Najwyraźniej on o tamtym nie zapomniał.

- Krótko mówiąc, znalazłem tam dziewczyny, które zechciały się ze mną zaprzyjaźnić. Jedna ma pokój we wspólnym mieszkaniu. Niedawno urodziła... a druga się spodziewa... trzecia jeszcze nie wie, ale podejrzewa... No więc tak. I bardzo dobrze, że ciebie w ogóle to

nie rusza... znaczy, nie ma sprawy...

- A co potem? - zapytała Lidka cicho.

- Potem to każda z nich spotka swego pięknego księcia i wyjdzie za niego za mąż - Sławek zmrużył oczy. - A ponieważ dziecko już jest, z wyborem kandydata nie będzie pośpiechu. Bywa przecież, że księżniczka przeczeka swój kobiecy cykl, a gdy się doczeka tego wymarzonego, pociąg, okazuje się, już odjechał... i siedź jak stara kwoka do czterdziestki albo i dłużej. A jakaż idiotka zdecyduje się na poród w wieku lat czterdziestu?

Lidka zagryzła wargi.

„Rozumiesz chyba, że jeżeli przepuścisz sposobność teraz, prawie na pewno zostaniesz bezdzietna? Na całe życie? Pierwsze dziecko w wielu trzydziestu siedmiu lat, to wielkie ryzyko, szczególnie jeżeli weźmie się pod uwagę, co wyrabia się w szpitalach w pierwszych latach po apokalipsie". „Ale ja chcę pójść na studia" - stwierdziła Lidka, ale gdy tylko to powiedziała, zrozumiała, że popełnia błąd. Matka nastroszyła się, na jej bladych policzkach wystąpiły rumieńce. „Przemawia przez ciebie egoizm! Za kilka lat będziesz sobie mogła zdawać, gdzie zechcesz, ale urodzić dziecka już nie urodzisz, bo kobiece cykle gwiżdżą sobie na twoje ambicje i zachcianki... Czyżbyśmy z ojcem wychowali tak nieodpowiedzialną, infantylną i egoistycznie nastawioną osobę?!"

Lidka aż zachwiała się pod naporem takiej burzy argumentów, a matka, ujrzawszy jej zmieszanie, natychmiast zmieniła taktykę: „Widziałaś, w co się zmieniają kobiety, które przeoczyły swój czas? Ty też chcesz zostać taką wyschniętą, wściekłą na cały świat, malowaną kukłą? Czyżbyś sama nie chciała mieć obok siebie silnego mężczyzny, na którym zawsze będziesz mogła polegać? Nie chcesz mieć na ręku własnej, kochanej, ciepłej maleńkiej istotki? Naprawdę nie chcesz tego wszystkiego?"

Niewiele brakło, a Lidka rozpłakałaby się.

Silny, budzący zaufanie, kochany do szaleństwa mężczyzna spoglądał na nią spod szkła na stole. Sny były boleśnie przejmujące - Lidka coraz mocniej obejmowała poduszkę, czuła dotyk ciepłych, obcych rąk, wsuwających się jej pod piżamę. Rankiem jak zwykle szła do biblioteki, machinalnie wyciągała z gniazda najpierw długą skrzynkę z literami „Za", a potem zabierała się do innych skrzyneczek katalogu, przebierała kartonowe fiszki, porównywała drugie spisy odniesień - i dziękowała w duchu licealnym tetrykom za to, że przywykli do prac z długimi listami materiałów źródłowych. Wśród bibliotecznej klienteli była chyba jedyną młodą kobietą. Mama zaś uważała, że wszystkie te nikomu niepotrzebne samodzielne poszukiwania nie są warte jednego kwiku niemowlaka, czerwonego, głupiego, ale jakże cennego...

- A co znaczy: „frygida” - zapytała, spoglądając na kąpiącego się w piasku wróbelka.

- To... - Sławek nagle poczerwieniał, jakby ktoś mu pod skórą przekłuł bukłak z czerwonym winem. - Ot, tak sobie powiedziałem... Zezłości.

- Ze złości - jak echo powtórzyła Lidka. W piasku taplały się już trzy wróble. - A z matką o co się kłóciliście?

Sławek poczerwieniał jeszcze bardziej, choć przed chwilą Lidka byłaby gotowa przysiąc, że to niemożliwe.

- A co cię to obchodzi? No, wiesz... ona nic nie rozumie. Bez przerwy mi zawraca głowę, żebym się ożenił. Żeby w domu kwękał jakiś niemowlak, a nie...

Urwał.

Lidka uśmiechnęła się. I powiedziała, smakując każde słowo, jakby przesuwała w ustach czekoladkę:

- Wiesz, Zarudny... chciałabym mieć twoje problemy.

Sławek spojrzał na nią z niedowierzaniem w oczach: - Co?

- Nic. - Westchnęła. - Już od tygodnia nie mogę zamówić jednej książki. „Historia Wrót”, tom drugi. Twój ojciec z dziesięć razy się na nią powoływał. W centrali bibliotecznej remont, wstrzymano wydawanie książek. A ja potrzebuję teraz, nie mogę czekać. Oto problem, Sławku. Co tam te twoje brzemienne dziewczęta, obłapki, obmacywanki i inne sprawy.

Sławek otworzył usta. Natychmiast się opamiętał i je zatrzasnął. - To... TY?

- Posłuchaj, Zarudny - spojrzała mu prosto w oczy. - Zarudny... Piękne nazwisko. Więc tak... Postanowiłam, że nie będę mieć dzieci, Sławku. Mam ważniejsze sprawy.

Sławek patrzył. Jego okrągłe oczy wyrażały teraz nie tyle zdziwienie, co przestrach... jakby był dwunastoletnim chłopaczkiem, któremu przyjaciel przyznał się, że zamierza podłożyć petardę pod katedrę wychowawcy.

- Tak, Zarudny... jest taka sprawa. Sprawa, za którą oddał życie twój ojciec. I ty mi pomożesz, Sława. Wyjdę za ciebie za mąż.

Chłopak nerwowo przełknął ślinę.

- Przecież i tak będziesz się kiedyś musiał ożenić, prawda? I nie z pierwszą lepszą z tego placyku. Więc ożeń się ze mną. Chcę wstąpić na uniwersytet. Przyjmą mnie, jeżeli będę twoją żoną.

Sławek zatrzepotał powiekami, jak dziecko. I odezwał się niespodziewanie cichym i smutnym głosem.

- Wszystkie czegoś ode mnie chcecie. Tamtym potrzebne dzieci... tobie nazwisko.

Lidka uśmiechnęła się krzywo:

- Niczego nie stracisz. Będziesz sobie żył, jak żyjesz. Możesz się

włóczyć za tymi swoimi dziewczynkami, nic mi do tego. Dzieci też nie potrzebuję. To dżentelmeńska umowa, a nie związek małżeński. Potem, jak zechcesz, możemy się rozwieść... Zrozumiałeś?

I złożyła mu na czole matczyny pocałunek.

Dobrze, że już dawno wytarła jej się pomadka z warg.

Rozdział 6

Tak zwane Zwierciadło Wrót rozciąga się dokładnie pomiędzy ramami, pod bardzo nieznacznym kątem - dla uproszczenia można je sobie przedstawić w postaci niedbale oszklonych drzwi, tyle że zamiast szkła we wnętrzu Wrót znajduje się obiekt, który w rozmaitych okresach nazywano „portalem", „przenośnikiem", „uskokiem", „pochłaniaczem", i tym podobnie. W istocie zaś Zwierciadło Wrót jest nieciągłością realności, o której drugiej stronie po dziś dzień niczego nie wiemy! Krótki pobyt wewnątrz Wrót poddaje ludzki organizm rodzajowi anabiozy - intensywnie maleje aktywność ruchowa i częstotliwość uderzeń serca, spada ciśnienie tętnicze, przytępia się pamięć, wzrok, słuch... Wszyscy, którzy choć raz przebywaliśmy za Wrotami, podziwiamy odwagę uczonych, którzy w takich warunkach zdołali przeprowadzać na sobie eksperymenty; autor poleca tu następujące prace - O. Głoster, *Biologia człowieka po tamtej stronie Wrót*, E. Firguelson, *Niektóre aspekty procesów biologicznych w warunkach tzw. nieciągłej realności*, i inne.

Wrota są odporne na wstrząsy sejsmiczne i mogą wytrzymać znaczne obciążenia mechaniczne - ale wszystko wskazuje na to, że istnieją czynniki, które zakłócają ich funkcjonowanie. Nie wolno też zapominać o tak zwanych Artefaktach Wrót, to znaczy Wrotach, które z jakichś przyczyn przestały wypełniać swoją funkcję (patrz praca J. Ternowa, *Artefakty Wrót*). Wrota z uszkodzonym Zwierciadłem podobne są do pustej powłoki - kamienny portal stoi podczas apokalipsy i pozostaje po niej, ale jest to tylko konstrukcja architektoniczna, nie mogąca wypełnić funkcji przeniesienia, choć pozwalająca uczonym na przeprowadzanie różnorakich pomiarów w spokojnych warunkach. Na szczęście dla ludzkości i ku żalowi uczonych takie przypadki zdarzają się niezmiernie rzadko - są to słynne Wrota Kreteńskie, Kamczackie, nieco mniej znane Wrota Vanquwerskie, i jeszcze kilka ogólnie znanych i około dziesięciu utajnionych przypadków. Wszystko to w przeciągu całej historii apokalips!

Andriej Zarudny, „Wstęp do historii kataklizmów", dzieła zebrane, tom 2. str. 1-10

* * *

Nad piaskownicą wznosiła się wilgotna, jasnożółta kupa piasku. Maluchów było może z dziesięć sztuk - w rozmaitych kurteczkach i kombinezonach, w większości używanych, pospinanych agrafkami, które zapobiegliwe mamy troskliwie przechowywały na wypadek potrzeby. Maluchy wgryzały się w piaskową górę z różnych stron, jak miniaturowe koparki - łopatki i foremki przekazywano sobie z rączek do rączek, a od czasu do czasu jakiś berbeć podnosił wrzask z powodu utraconej zabawki.

Prawie wszystkie już potrafiły chodzić - choć jedne radziły sobie z tym lepiej, a inne gorzej. Ich braciszkowie i siostrzyczki drzemały sobie spokojnie w maminych łonach, czekając na swój czas, mamy zaś, mniej lub bardziej pękate, siedziały wokół piaskownicy z robótkami, jaskrawo pooprawianymi powieściami dla pań i prowadziły kilka odmian dość podobnych rozmów:

- ...suszone śliwki. Mała przez trzy dni nie mogła zrobić kupki, a suszone śliwki dały efekt po dwu kwadransach...

- ...zaostrzony kawałeczek mydła. I niech posiedzi trochę na nocniczku...

- ...więcej owoców. Ale teraz wszystko takie drogie...

- ...wapń trzeba zażywać! Ja, nosząc Romka, niemal straciłam wszystkie włosy!

Lidka rzuciła wszystkim mamom suche pozdrowienie. I jak zwykle, wszystkie odprowadziły ją spojrzeniami, czym ona z kolei, w ogóle się nie przejęła.

Andriej Igorowicz Zarudny jak zwykle patrzył gdzieś w dal. Na miedzianym goździku zawisła grudka odchodów jakiegoś bezczelnego ptaszyska; co ujrzawszy, Lidka lekko się skrzywiła.

W domu nie było nikogo. Otworzywszy drzwi swoim kluczem, zdjęła buciki i przeszła do kuchni, gdzie na starannie wytartym stole znalazła kartkę z napisem: „Dzwonił N. I. Czeka na telefon u siebie w domu”.

Charakter pisma wskazywał, że autorem notatki był Sławek.

Lidka przez chwilę stała, namyślając się i poruszając palcami stóp w kolorowych, welurowych domowych kapciach. Potem poszła do łazienki, wyjęła z szafki gospodarczej specjalną szczotkę na długiej rączce i wyszła na podwórze - żeby zlikwidować ślady ptasiego chamstwa.

N. I. rzeczywiście niekiedy dzwonił. I przychodził w gości. Podczas minionego roku zdziałał wiele dobrego dla Sławka i dla samej Lidki; ona jednak nie zdołała polubić grubego opera. Nie umiała się pozbyć myśli, że N. I. zna nazwiska prawdziwych morderców Andrzeja - i milczy.

Uspokajając jednocześnie swoje sumienie przysługami robionymi rodzinie zamordowanego.

Wspiąwszy się na palce, Lidka oczyściła brąz z ptasiego guana. Przy samej bramie rozsiadł się na rowerku gruby chłopczyk w niebieskim kombinezonie - nóżki malucha sięgały już do pedałów, ale berbeć nie umiał się domyślić, co z nimi zrobić, choć mama kokosiła się obok z dobrymi radami. Lidka zawróciła do domu.

W mieszkaniu dokładnie wymyła szczotkę i dopiero wtedy, wytarłszy starannie dłonie, usiadła do telefonu.

- Dzień dobry, Nikołaju Iwanowiczu. Mówi Lida Zarudna.

Głos po drugiej stronie przewodu przepojony był niekłamaną radością.

- Lideczko, dawno się nie widzieliśmy. Rozmawiałem dziś ze Sławkiem. Wiem o waszych sukcesach... zdążyłem się o nich nasłuchać. Myślę, że Sławek poczuł się lekko urażony, kiedy go poprosiłem, by ci przekazał moją prośbę. Zazdrosny jest, czy co?

Lidka zmarszczyła nosek, jak niedawno, kiedy zobaczyła grudkę ptasiego łajna. Wszystkie elementy głupiego żartu były oczywiste i widoczne, doskonale jednak wiedziała, że Nikołaj Iwanowicz świetnie orientuje się w tym, jaki układ łączy ją ze Sławkiem, więc „żart" miał drugie i trzecie dno.

- Cieszy mnie to - zełgała bezczelnie.

Gruby oper doskonale chwytał podteksty.

- Tak, tak, rozumiem i domyślam się. Ale niechże mi wolno będzie wysnuć przypuszczenie, że pojawiła się szansa na zmianę waszego stosunku do mnie.

Na „wy" przechodził tylko w szczególnie ważnych okolicznościach.

- Tak? - zapytała machinalnie.

- Za pół godziny przy stacji Leśnej - stwierdził Nikołaj Iwanowicz już zupełnie innym, prawie oficjalnym tonem. - Czerwony samochód na dyplomatycznych numerach. Sprawa ważna i pilna. Dobrze by było, gdybyście wzięli ze sobą waszego Sławka.

- Nie ma go w domu - odpowiedziała Lidka, szczerze zdziwiona takim obrotem sprawy.

- To przyjeżdżaj sama.

I w słuchawce rozległy się krótkie sygnały.

* * *

- ...mowa o ekspedycji o naukowym charakterze. Obiekt jest nietknięty - został ogrodzony zaraz po apokalipsie. Aktywność sejsmiczna w tym rejonie przewyższała wszelkie rozsądne normy. - Mówiąc „rozsądne", smagły jegomość lekko się uśmiechnął. - Interesujący was... i nas, oczywiście, obiekt znalazł się na kawałku lądu stałego, który teraz pogrążył się na głębokość sześciu metrów. Górna krawędź obiektu wystaje ponad wodę i jest stale niszczona

przez morski żywioł. Destrukcja przebiega wolniej niż w przypadku zwykłej obudowy z cegieł, ale jednak postępuje.

Smagły zamilkł. Nalał sobie do szklanki wody mineralnej, niezręcznie przesunął karafkę i kilka kropel uronił na przygotowany tekst raportu; zgromadzeni w niewielkiej sali ludzie nie gapili się na boki i nie rozmawiali półgłosem, jak to zwykle bywa na rozmaitych posiedzeniach. Najwidoczniej dawno już wiedzieli o rewelacjach smagłego - jego oświadczenie było w sporej części czysto formalne.

Lidka znała niektórych z uniwersytetu - był wśród nich jeden dziekan i dwóch profesorów oraz jeden, niepozorny na oko cywil. Ktoś tam ją nawet poznał i pozdrowił nie bez zdziwienia - co tu robi studentka, choćby i jedna z najlepszych?

W pierwszych chwilach nie mogła pozbyć się wrażenia, że jest tu obca, że znalazła się w nieprzyjaznym środowisku. Potem jednak, kiedy zorientowała się, o jakim obiekcie mowa, natychmiast o tym zapomniała, przestała rozglądać się spod oka i patrzyła tylko na mównicę - przerywając tylko po to, by czasem zerknąć na Nikołaja Iwanowicza.

Smagły mówił przez zęby i niemal bez akcentu. Jego mały kraj, oznajmił, nie posiada środków do prowadzenia danego programu; stać ich tylko na troską o jego własnych obywateli. Mimo wszystko jednak artefakt, który powstał na terytorium jego małego kraju i stał się przyczyną tylu tragedii, jest - mówiąc wprost - naukowym skarbem, a za wszelkie skarby należy płacić. Owszem, mówił smagły, jego niewielki kraj znalazł nabywcę i teraz trwają rozmowy o cenie. Ekspedycja otrzyma poparcie i zapewnienie współpracy. A naukowcy kraju, który może się poszczycić nazwiskami Ternowa i Zarudnego, potrafią odpowiednio wykorzystać... i tak dalej.

Lidka nachyliła się do ucha siedzącego obok Nikołaja Iwanowicza:

- Czy skład ekspedycji już ustalono?

Gruby oper lekko się uśmiechnął.

Za mównicą stanął nieznany Lidce człowiek o szarawej twarzy, ze starannie spiętym stosikiem różnokolorowych, choć głównie pomarańczowych kartek. Ten miał kiepską dykcję i Lidka musiała nieźle wysilić słuch.

- ...ludzi młodych, gotowych na ciężką, być może niebezpieczną pracę i mających dostęp do materiałów niejawnych. Śmiałych, oddanych nauce, owszem, tak a nie inaczej, takimi właśnie słowami. Pomocnicza załoga techniczna - pięciu ludzi. Grupa badawcza - pięciu ludzi. Personalia zostaną oddzielnie zatwierdzone. W tym tygodniu zaczynamy zbierać fundusze. Program obliczony jest na pół roku, choć możliwe będą poprawki. Następne zebranie jutro, o tej samej porze. Dziękuję... - to do smagłego. - Wszyscy są wolni.

Nikołaj Iwanowicz skinął Lidce głową.

- Chodźmy.

Poprowadził ją przez tłum zamyślonych ludzi, z których nie on jeden wzgardził garniturem i krawatem, i sprawnie pociągnął dalej, przez korytarz pełen przepychu i drzwi bez tabliczek. Przeprowadziwszy przez jedne z takich bezimiennych drzwi, wepchnął ją do wąskiego jak piórnik sekretariatu, w którym tkwiła sześćdziesięcioletnia dama. Za jej plecami był pełen ludzi gabinet - podobne do siebie garnitury i krawaty, a pomiędzy nimi jegomość o szarej twarzy, którego policzki barwił jedynie pomarańczowy odcień światła odbitego od teczki z dokumentami.

- Kostia... - odezwał się Nikołaj Iwanowicz.

Szary skinął dłonią:

- Zaraz, poczekaj...

Krąg zebranych wokół niego garniturów niechętnie się przerzedzał. Na koniec sekretarka uprowadziła ostatnich rozmówców i Nikołaj Iwanowicz zamknął za nimi drzwi.

- Kostia, to synowa Andriuszy Zarudnego. Lido, poznaj Konstantina Ignatiewicza.

Lidka kiwnęła głową, jakby imię szarego cokolwiek jej powiedziało.

- Dla nauki niektóre kobiety rezygnują z macierzyństwa - niezbyt głośno stwierdził Nikołaj Iwanowicz i Lidkę ogromnie zdziwiło, że nigdy nie przyszła jej do głowy taka możliwość sformułowania problemu. - Postanowiła poświęcić się zagadnieniom, z którymi swego czasu nie zdołał się uporać Zarudny. Razem ze Sławą, Jarosławem Andriejewiczem Zarudnym, swoim mężem. Syn podejmuje dzieło ojca. Czy nie wydaje ci się to piękną ideą?

Szary spojrzał Lidce w oczy. Znała to uczucie, ale już prawie o nim zapomniała - jakby była na przesłuchaniu i śledczy utkwił w niej spojrzenie swoich dwu świdrów. Jołki pałki, co on ma wspólnego z nauką?!

- A, przypominam sobie - stwierdził Kostia. - Ta dziewczyna była zdaje się pierwszym świadkiem, który odkrył... który wtedy znalazł ciało Andrieja.

Lidka przełknęła ślinę.

- Nie wchodź w szczegóły - wtrącił Nikołaj Iwanowicz tonem zaniepokojonego ojca.

- Znaczy... wyszła pani za mąż za Sławika? I do tej pory nie macie...

Lidka ostrym ruchem uniosła podbródek.

- Nie uważam, żeby tę sprawę należało omawiać akurat tu i teraz...

- To dobrze - niespodziewanie zakonkludował Kostia, nie odrywając spojrzenia od jej twarzy. - Jest pani wolna, zachowała pani

swobodę ruchu, żadnych obciążeń czy zobowiązań. A tak, przy okazji, czy to pani pracowała z archiwami Zarudnego?

- Owszem... I co z tego? - zapytała Lida nieco łagodniejszym tonem.

Szary Kostia kiwnął głową:

- Tak... rozumiem. Masz rację, Nikołaju. Osoba młoda, stanowcza... w pewnym stopniu zainteresowana osobiście. Przyszły specjalista. I kontynuacja dzieła... Pięknie.

Lidka milczała.

- Lida... - odezwał się łagodnie Nikołaj Iwanowicz. - Mam nadzieję, że zrozumiałaś, iż Konstantin Ignatiewicz ustala skład ekspedycji...

Przez pewien czas stała, patrząc tępo na pomarańczowe teczki.

A potem nagle się uśmiechnęła - tak radośnie i szeroko, że można by przysiąc, iż jej uszy zetknęły się z tyłu głowy.

* * *

Pokłócili się w przeddzień wyjazdu. Lidka była podniecona, Klaudia Wasiliewna wyglądała na smutną i wcześnie się położyła. Ledwo za matką zamknęły się drzwi, Sławek przysiadł się na tapczanie do Lidki i powiedział, patrząc gdzieś w bok:

- Lid... nie jest dobrze. Jutro jedziesz... Posłuchaj, jesteś moją żoną czy nie?!

Lidka miała głowę zajętą innymi sprawami i dlatego nie od razu zrozumiała, do czego Sławek pije. A potem ogarnęło ją szczerze zdumienie:

- A tobie co? Nie wystarczą ci dziewczęta z Parku Kwietniowego?

Odsunął się nagle i popatrzył, jakby go smagnęła pejczem. Uznała za konieczne podjąć próbę usprawiedliwienia:

- No przecież. Sław... umówiliśmy się, pamiętasz? Dżentelmeńska umowa.

Podniósł się i wyszedł.

Nie wiadomo, jakby się ta sprawa zakończyła, gdyby wszystko potoczyło się codziennym torem. Ale rankiem mieli oboje wyjechać, a Sławek był wewnętrznie znacznie bardziej zdyscyplinowany i skłonny do kompromisów niż - na przykład - Lidka. Dlatego też małżonkowie rankiem pożegnali domowników i krewnych, jakby nic się nie stało i wsiedli do autobusu - Lidka przy oknie, a Sławek też przy oknie, tylko że za nią. Pola, pasma lasów, rzeczki i od czasu do czasu niewysokie, spłaszczone wzgórza.

Na miejsce dotarli po upływie doby.

Była mgła. Na punkcie kontrolnym wszystkich wyproszono z autobusu i długo trzymano na wietrze, sprawdzając przepustki i porównując fotografie z twarzami ludzi, a potem poddając oględzinom

aparaturę i pojazdy. Żołnierze byli rówieśnikami Lidki, wszyscy smagli, czarnoocy, oficerowie starsi o pokolenie. Pomiędzy oficerami był jeden rudzielec, który wbrew oczekiwaniom mówił z silnym akcentem.

- Zarudny? - zapytał Sławka. - Krewny?

- Syn - odpowiedział Sławek, ale najwyraźniej bezsenna noc i kiepski nastrój stłumiły dumę, z jaką zwykle się do tego przyznawał.

- O-o-o - stwierdził oficer z szacunkiem.

Sławek obojętnie kiwnął głową.

- Zarudna? - zapytał z kolei rudy Lidkę. - Córka?

- Synowa - odpowiedziała Lidka, drżąc z zimna i wilgoci.

- Synowa? - oficer nie zrozumiał i spojrzał pytająco na Sławka.

- Żona - oznajmił Sławek z krzywym uśmiechem na ustach.

Oficer i tak niczego nie zrozumiał.

* * *

Osiedle nosiło nazwę Rassmort. Kiedyś mieszkało tu prawie dwa tysiące ludzi, zajmujących się głównie rybactwem, a turyści, którzy latem pokrywali brzeg niczym barwny dywan, w Rassmorcie jakoś się nie zatrzymywali. Zdarzały się tu braki w dostawach wody i energii elektrycznej, nie było ani jednego przyzwoitego hotelu, na brzegu mizerny kemping, romantyka dla gardzących wygodami, którzy się nie irytują, gdy za potrzebą trzeba po prostu chodzić w nabrzeżne krzaki.

Podczas apokalipsy w Rassmorcie nie było ani jednego turysty. Wszystko zdarzyło się poza sezonem; dwa tysiące miejscowych uciekało od brzegu, jak zwykle obawiając się najazdu glef, których w tych wodach było w istocie sporo. Ludzie nie czekali na rekomendacje OP, tylko powsiadali na rowery i pognali w stronę najbliższego większego miasta - tam, gdzie mapa demograficzna pokrywała się gęstymi kropkami oznaczającymi większą gęstość zaludnienia, należało się spodziewać pojawienia się Wrót.

W połowie drogi uciekinierzy usłyszeli meldunek OP. Jak się tego należało spodziewać. Wrota otworzyły się nieopodal ośrodka, do którego zmierzali, ale też w Rassmorcie pojawiły się niewielkie Wrota, ustawione nad samym brzegiem morza.

Usłyszawszy to, Lidka pomyślała z krzywym uśmieszkiem, że Wrota stały już otworem od pół godziny.

Mieszkańcy Rassmortu podzielili się. Niektórzy kontynuowali ucieczkę w obranym wcześniej kierunku, inni zaś postanowili wrócić, licząc na to, że zwiększają swoje szansę na spokojną i udaną ewakuację.

Lidka zamknęła oczy i wyobraziła sobie ten gigantyczny peleton. Poskrzypywanie starych siodełek, ciężkie sapanie podczas podjazdów, chrzęst opon i gwizd wiatru przy zjazdach; wszyscy z pewnością

jechali w milczeniu, kątem oka starając się utrzymać w polu widzenia ojca, siostrę, żonę czy syna...

Nad Rassmortem wisiał śmigłowiec OP i odpędzał seriami natarczywe glefy. Ludzie tymczasem przemykali uliczkami miasteczka, które częściowo było już zniszczone przez pierwsze podziemne wstrząsy. Koła porzuconych rowerów długo jeszcze się obracały; ludzie wkraczali we Wrota, a koła się obracały, migocząc szprychami.

Pilot helikoptera był rówieśnikiem Lidki. To była jego pierwsza apokalipsa; podobno chłopak trzymał się mężnie. Dopilnowawszy wejścia uchodźców we Wrota, złożył meldunek do bazy i otrzymał pozwolenie na powrót...

A potem łączność z helikopterem się urwała. Resztki maszyny znaleziono znacznie później, pośród ruin Rassmortu.

Trzęsienie ziemi zniszczyło brzeg na przestrzeni wielu kilometrów, ale Rassmortowi dostało się najgorzej. Dwie gigantyczne fale, nadpływające jedna za drugą, zlizały połowę osiedla swoim jęzorem; ziemia popękała jak powierzchnia przypieczonego placka, a w szczeliny runęło morze. Nic dziwnego, że nad tym piekłem przepadł i śmigłowiec - choć bezpośrednia przyczyna jego zagłady pozostała tajemnicą.

Na powracających po apokalipsie mieszkańców czekały ruiny prawie kompletnie zniszczonego miasteczka - na domiar nieszczęścia wróciła połowa.

Komisja OP zjawiła się w kilka tygodni po kataklizmie razem z inspektorami społecznych ubezpieczeń. Rejestracja ocalałych potwierdziła, że wszyscy ewakuowali się przez Wrota w większym mieście.

Z tych, którzy zawrócili w połowie drogi, nie ostał się wśród żywych ani jeden człowiek. Mimo tego, że w rejonowej bazie OP zachowała się informacja, że około ośmiuset mieszkańców miasteczka prawie bez strat weszło do Małych Wrót na brzegu morza!

Ktoś z członków komisji wpadł na pomysł, żeby zbadać poszarpany przez trzęsienie ziemi brzeg.

Wrota znaleziono niemal od razu. Szczyt kamiennego portalu utrzymywał się nad powierzchnią wody i dość łatwo można go było wziąć za resztki jakiejś skalnej formacji. Wrota zostały - oczywiście opustoszałe i bez Zwierciadła. Wrota, które wchłonęły prawie ośmiuset ludzi, nie wypuszczając żadnego z nich.

Wszyscy przeżyli ogromny wstrząs psychiczny. Członkowie komisji postąpili tak, jak im podyktowała obronna reakcja - która kazała wszystko utajnić. Resztki miejscowej ludności ewakuowano z Rassmortu pod pozorem „fatalnych zniszczeń, uniemożliwiających dalsze istnienie ludzkich siedzib w tej okolicy". Gdzieś tam, w odległości wielu kilometrów od miejsc rodzinnych, szczęśliwcom

poprzydzielano nowe mieszkania (w barakach) i wypłacono odszkodowania (w wysokości zależnej od dawnej pozycji społecznej każdego z osobna). Resztki Rassmortu zamknięto przed zwiedzającymi i ciekawskimi, na dwóch miejscowych drogach ustawiono kontrolne punkty, a w samym osiedlu od czasu do czasu pojawiały się patrole, z morza zaś strzegł wszystkiego jacht obrony wybrzeża.

Oficjalna wersja była następująca: Ludzie, którzy skierowali się do Wrót Rassmortu, nie dotarli do nich i zginęli pochłonięci przez trzęsienie ziemi. Ich nazwiska wpisano do list poległych podczas pięćdziesiątej trzeciej apokalipsy; straty były ogromne, ale - „Z każdym nowym cyklem zaczyna się nowe życie...". I to wszystko.

Lidka stała na miejscu, na którym kiedyś było centrum niezbyt pięknej i bogatej, ale tętniącej życiem osady. Stała i otulała się połami wiatrówki; za jej plecami pomrukiwał silnik autobusu. Jakiś chłopiec w polowym mundurze pokazywał kierowcy, jak skręcić w zaułek, żeby nie zawadzić bokiem o zwisający kawał betonu.

Pozostali członkowie grupy stali obok, instynktownie zbiwszy się w ciasną grupkę.

Piotr Olegowicz, oficjalnie kierownik grupy, archeolog. Witalij Aleksiejewicz, prawdziwy kierownik, oper, pracujący pod przykrywką pracy kandydackiej z biologii kryzysów. Szczupły mężczyzna imieniem Sasza o niewiadomej specjalizacji, którego roli Lidka do tej pory nie zdołała odgadnąć. Walentyna, zaopatrzeniowiec. Siergiej, technik i kierowca zmiennik. Był jeszcze kierowca ciężarówki, zdaje się Walery... któż go, jeżeli już o tym mowa zmieniał w drodze? I ona ze Sławkiem, laboranci. W drodze Wala wprost jej powiedziała, że dwoje laborantów to o jednego za dużo i w związku z tym mobilizuje Lidkę „do potrzeb technicznych", znaczy „do kambuza".

Autobus wreszcie jakoś się przecisnął pomiędzy rumowiskiem a rozwalinami ceglastego muru. Wojskowy z satysfakcją zatarł dłonie, pogrzebał po kieszeniach, wyjął papierosa i podszedł do Sławka po ogień. Sławek bezradnie rozłożył ręce.

- Masz - paląca Wala trzasnęła zapalniczką.

Wojskowy zapalił. Był ni to sierżantem, ni to kapralem - Lidka do tej pory nie nauczyła się rozróżniania wojskowych stopni.

- Co zamierzacie oglądać? - uśmiechnął się lekko. Pachniał jak każdy żołnierz, który rzadko ma się okazję wykąpać, ale miał sympatyczny uśmiech i wesołe, lekko kpiące spojrzenie.

- Jak to, co? - zapytała Wala.

Sierżant-kapral przez chwilę wodził w powietrzu papierosem, szukając odpowiednich słów. - No... badać...

- Morze - odpowiedział oper, który podszedł zupełnie bezgłośnie.- Dalfiny.

- A-aa... - sierżant-kapral pokiwał głową. - Dalfiny... niedobrze.

Badać. To dobrze.

* * *

Bazę umieszczono na skraju byłego miasteczka, w jedynym budynku, który został odbudowany - wcześniej znajdował się w nim magazyn żywnościowy. Osiedlać się wśród ruin nie próbowali z powodów bezpieczeństwa i po części kierując się przesądami. Tymczasem rozstawili namioty.

Małżonkowie Zarudni przywieźli swój namiot, turystyczny, wyświechtany i sterany, który niejednej wycieczki bywał świadkiem. Sławek twierdził, że w tym namiociku jego rodzice spędzili razem niejeden sezon; brezentowy domek był częścią pamięci o Andrieju Igorowiczu - ale mimo wszystko Lidce niezbyt podobała się myśl o tym, że każdą noc przyjdzie jej spędzać u boku prawnie poślubionego.

Podczas pierwszej nocy oboje prawie nie zmrużyli oka; Sławek leżał, demonstracyjnie odwróciwszy się do żony plecami i udawał absolutny brak zainteresowania - choć zdradzał go oddech. A Lidka spoglądała w mrok nad sobą, gdzie rozciągało się niewidoczne brezentowe sklepienie i nie mogła pozbyć się niezbyt miłej myśli, że młodzi Andriej i Klaudia Zarudni w tym akurat namiociku spłodzili swojego jedynego syna.

W półśnie nawiedził ją Andriej Igorowicz, goły i owinięty tylko w jaskrawy plażowy ręcznik. Uśmiechał się z wyrzutem, jakby chciał rzec „No, coś ty...". Pojawiała się i Klaudia Wasiliewna, wyzywająco gruba, w staromodnym workowatym kostiumie kąpielowym, demonstracyjnie wcierała w siebie olejek do opalania i uśmiechała mocno umalowanymi wargami: „Mój mąż na zawsze zostanie moim. A ty powinnaś urodzić, urodzić... jesteś jałowa, jakbyś miała bezpłodne łono, widzicie ją, wymyśliła... dzieci miałyby być dla niej ciężarem..."

Lidka kilkakrotnie budziła się z jękiem. Sławek udawał, że niczego nie słyszy; w namiocie było duszno, a jego brezentowe ścianki zwisały pod ciężarem wilgoci.

O świcie Sławek wylazł ze śpiwora i gdzieś sobie poszedł - ni to na spacer, ni to do kąpieli w morzu, a najpewniej żeby odszukać Walę i poskarżyć się jej na oziębłość żony. Po jego odejściu Lidce zrobiło się lżej; odchyliła wejściową płachtę, wpuściła do wnętrza rześkie powietrze, odwróciła się na bok i przespała słodko kilka godzin, do ogólnej pobudki.

Czystą wodę trzeba było pompować z jedynej studni. Kołowrót był stary, drewniany zjedna dźwignią. Gospodarcza szefowa ekspedycji Wala uznała, że problem specjalizacji zawodowej Lidki został już rozstrzygnięty: „Więc tak... herbatę zaparz od razu w dwóch czajnikach, do obiadu Siergiej zestawi piec, śniadanie zjemy w postaci suchego prowiantu, ale obiad wydamy pracusiom pełen..."

Lidka nie uznała za potrzebne wszczynania sporu. Po prostu podeszła do opera Witalija i poprosiła o potwierdzenie, że jej udziałem w ekspedycji jest wykonywanie prac na rzecz uniwersytetu. I ni w pięć, ni w dziewięć, wspomniała o innym pracowniku OP - Nikołaju Iwanowiczu. Chciała wspomnieć też o Zarudnym, ale okazało się to niepotrzebne, ponieważ Witalij pokiwał głową i natychmiast wyjaśnił szanownej Walentynie, że Lidia Zarudna jest pracownikiem naukowym i zatrudniać ją do prac pomocniczych można tylko za jej zgodą.

Wala mocno się zdziwiła i natychmiast spochmurniała. Najprawdopodobniej wyciągnęła już określone wnioski, dotyczące roli, jaką miała pełnić Lidka w ekspedycji - i sądząc z jej spojrzeń, nie była to rola zbyt pochlebna.

Lidka udała, że nie dostrzega jej min.

Po śniadaniu wszyscy zebrali się na naradę. Szczupły Sasza okazał się zawodowym nurkiem i instruktorem podwodnego pływania. Lidka żywiła silne, choć na razie niczym nieumotywowane podejrzenia, że nie był to jedyny zawód Saszy.

Witalij i Piotr Olegowicz mieli, jak się okazało, pewne doświadczenia w zanurzaniu się z akwalungiem. Całą godzinę poświęcono zasadom bezpieczeństwa - na początku cyklu dalfiny rzadko atakowały ludzi, przeciwnie, potrafiły okazywać przyjazne zainteresowanie, ale Sasza kategorycznie nalegał, żeby przy najlżejszym podejrzeniu obecności w pobliżu „tych stworów” nurek się ewakuował.

Zestawiono plan pracy na najbliższe dni. Wszyscy po kolei podpisali się na niemile wyglądających papierach („Wysłuchałem(am)...”, „Zostałem(am) uprzedzony(a)...”, „Powiadomiono mnie o...”). Po raz ostatni rozdzielono dawno już porozdzielane funkcje. Lidka dostała do swojej dyspozycji laboratorium - prawdopodobnie było to dawne pomieszczenie gospodarcze, izba z cementową podłogą, łuszczącym się stołem i z okropnym czarnym kablem na ziemi - agregat prądotwórczy przewieźli ze sobą. Z wyglądu przypominał niekształtną ciężarówkę o spadzistym dachu i z kratami na reflektorach.

Lidka doskonale rozumiała, że w laboratorium roboty dla dwojga się nie znajdzie. Nikołaj Iwanowicz był najpewniej jedynym przełożonym, który prawidłowo pojmował jej motywację. Wszyscy pozostali uznali z góry, że żona Zarudnego juniora wzięła udział w ekspedycji po to, żeby Jarosław Andriejewicz nie miał powodu do tęsknoty. I po to, żeby się trochę poopalać na nadmorskich skałkach. I pomagać Wali w gospodarstwie.

Lidka uśmiechała się dość ponuro. Sławek nie wiedział, dlaczego jego żona tak się uśmiecha, ale na jej widok krzywił się jak człowiek,

który popił octu.

Potem we dwójkę rozłożyli kontener. Szybko uporali się z instrukcją, poustawiali przyrządy, wszystkie sprawdzili i podłączyli do sieci; dzisiaj wieczorem Piotr Olegowicz zapisze w swoim dzienniku: „Pierwszy dzień ekspedycji. Gotowość do pracy osiągnięta. Sytuację komplikuje nieco rozpoczynający się właśnie sztorm... mniej więcej trzy stopnie skali... Prognozy pogody zasadniczo są sprzyjające...”

Na tylnym dziedzińcu byłego magazynu leżały rowery. Dziesięć sztuk. Poprzebijane opony, popękana emalia i sporo rdzy.

- No tak - odezwał się Sławek, zakręciwszy kołem jednego z rowerów. - W zasadzie można by usprawnić ze dwa... mogłyby się przydać...

- Nie - stwierdził technik Siergiej. - Już sprawdzałem... nic z tego nie będzie. Sam złom i szmelc.

Lidka stała obok i wszystko słyszała.

Właściciele tych rowerów schronili się we Wrotach i nie wrócili. Może żyją jeszcze do tej pory - *tam,* w miejscu, z którego sama wyniosła tylko mętne i urywkowe wspomnienia. Nie masz tam czasu, a serce bije tak wolno, że pomiędzy jednym a drugim uderzeniem zaczynasz podejrzewać, iż już nie żyjesz.

A ich rowery przetrwały *mrygę.* I oto już od kilku lat rdzewieją na brzegu, a porządnemu i zasadniczemu Sławkowi nawet do głowy nie przyjdzie, że branie i używanie cudzej własności bez pozwolenia jest niewłaściwe.

Potrząsnęła głową. Wszystko to głupstwo, oczywiście... mieszkańcy Rassmoitu dawno już tych rowerów nie potrzebują. Sławkowi zaś i bez tego przypisuje wszystkie możliwe i niemożliwe grzechy - sapie w nocy, patrzy ponurym wzrokiem, jest synem Andrieja Igorowicza...

Po obiedzie nad ruinami osiedla przeleciał wojskowy śmigłowiec. Powisiał nieruchomo w powietrzu, pohałasował, a potem zawrócił i poleciał ku stolicy regionu. Lidce przypomniał się ów chłopak, niemal jej rówieśnik, który do ostatnich chwil osłaniał mieszkańców od strony morza. Przybyszom pokazano nawet resztki jego maszyny - ogon sterczący z kupy gruzu. Ciało - a raczej to, co z niego zostało - wyciągnięto z niej nie bez trudu i pochowano w ojczystych stronach, gdzieś na wschodzie, gdzie nie ma morza ani dalfinów.

Lidka wzdrygnęła się. W tamtych okolicach „przyjemności” wynikające z ataków glef z naddatkiem są rekompensowane przez wybuchy wulkanów, przy czym o ile przed larwami dalfinów można jeszcze uciec, o tyle ze strumieniem lawy sprawa jest trudniejsza.

Pod wieczór morze wzburzyło się ostatecznie. O tym, zęby wypłynąć motorówką, nie mogło być mowy; Piotr Olegowicz i oper Witalij stali przy nowiutkim pomoście i po kolei starali się o czymś

przekonać nurka Saszę.

- I co, Lido? - biała podkoszulka z wizerunkiem żółtej myszki na piersiach znacznie odmładzała Witalija, a urok osobisty miał wpisany w obowiązki służbowe. - Jeżeli pogoda się nie zmieni, to najbliższy tydzień przyjdzie nam spędzić na plaży...

- Witaliju Aleksiejewiczu - odezwała się Lidka, za jednym zamachem przeskakując przez kilka dyżurnych replik. - Mam do was sprawę... i do Piotra Olegowicza - dodała, napotkawszy wzrokiem pełnie niedowierzania spojrzenie oficjalnego kierownika ekspedycji.

* * *

Morze nie chciało się uspokoić jeszcze w ciągu najbliższych czterech dni. Fale nadciągały i miotały się na brzeg, poruszając ciężkimi kamieniami, potem odpływały unosząc ze sobą rozmaitej wielkości grudki żwiru, a towarzyszący temu dźwięk był raczej zgrzytem niż hukiem czy grzechotem.

Wśród żwiru często trafiały się odłamki szkła. Najczęściej były to wygładzone przez morze, matowe paciorki.

Lidka często stwierdzała, że jest obserwowana. Uważnie i bystro przyglądał się jej oper Witalij. Z niedowierzaniem i nieufnie zerkał Piotr Olegowicz. Z nieukrywaną wrogością patrzyła na nią Wala - i tylko Sławek, jej mąż, uparcie unikał spojrzeń w jej stronę.

Noce były bezwietrzne i ciepłe, Sławek przywykł do układania się na noc pod gołym niebem, na brzegu. Takiego romantyzmu przed nikim nie udało się skryć i nikogo nie dało się nim zwieść - Wala spoglądała teraz na Sławka z jawnym współczuciem, a Lidka z trudem wstrzymywała się od obrotu w tył, kiedy słyszała za plecami stłumione szepty. Czas płynął, prawdziwej pracy nie było i członkowie ekspedycji mieli mnóstwo czasu na opalanie.

Wreszcie sztorm minął. Wszystko stało się w nocy i rankiem Lidka wyszedłszy na brzeg, westchnęła z zachwytu - horyzont znikł, stopiwszy się w jedno z niebem, a cały świat wydał jej się okrągły i nieco mętny - jak oszlifowany przez fale szklany paciorek.

Z hangaru wyciągnięto motorowy ścigacz. I umieściwszy go na specjalnych szynach, spuszczono na wodę.

Bliżej lub dalej z wody wystawały resztki łamaczy fal. Szczyt Wrót nawet za bardzo się od nich nie różnił - Lidka sama, bez żadnych wskazówek potrafiła go pokazać wśród innych skałek, choć nie bardzo umiałaby rzec, skąd bierze się jej ta pewność.

„W miarę możliwości, Lido - powiedział jej wtedy Witalij Aleksiejewicz. - Tylko w miarę możliwości. Celem ekspedycji jest przeprowadzenie badań, a nie stworzenie ci warunków do samorealizacji. Twoje główne zadania zostały wymienione w regulaminie i rozkładzie dnia. I wybacz szczerość, ale zechciej

zrozumieć, że na to, żeby cię choćby zaznajomić z zasadami nurkowania nie będziemy mieli po prostu czasu. Czy ty kiedykolwiek widziałaś akwalung?"

„Skończyłam kurs na Akademii Wychowania Fizycznego - stwierdziła, nie mrugnąwszy nawet powieką. - Mam doświadczenie w nurkowaniu i drugi stopień znajomości pływania pod wodą."

Miło było popatrzeć na ich twarze. W *takich* ekspedycjach niespodzianki zdarzają się raczej rzadko; skąd mogli wiedzieć, że cały kurs Lidka zrobiła w ciągu tygodnia, zanurzając się wszystkiego na dwa metry, a stopień zdobyła wprawdzie sportowy, ale „młodzieżowy", na dobrą sprawę „dziecięcy"?

Tym niemniej jej oświadczenie osiągnęło zamierzony skutek. I spoglądano teraz na nią jak na szkatułkę z sekretną skrytką - oczekując nowych i niezbyt miłych niespodzianek.

Na ścigacz wsiedli członkowie grupy zwiadowczej - Witalij, Piotr Olegowicz, technik Siergiej i szczupły Sasza, którego Lidka trochę się obawiała. Po pierwsze, jako podwodnik mógł łatwo zdemaskować braki w jej umiejętnościach, a po drugie... Było w nim coś nieokreślonego, czego Lidka nie umiałaby zdefiniować, ale doskonale wyczuwała przez skórę. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby na przykład okazało się, że jego główną specjalizacją jest paleoantropologia.

Ścigacz lekko uniósł biały dziób, opuścił nieco rufę i ruszył przed siebie jakby niechętnie, kolebiąc się z burty na burtę i ciągnąc za sobą szeroki, pienisty ślad. Lornetki zostały na brzegu - jedną bezceremonialnie przywłaszczyła sobie Wala, a Lidka nie miała najmniejszej ochoty prosić ją o cokolwiek. Drugą miał Sławek. Lidka przez chwilę się wahała, ale w końcu trąciła go w ramię:

- Daj popatrzeć...

Sławek wzdrygnął się lekko, ale nie patrząc na nią, podał jej lornetkę; okulary były nagrzane.

Lidka patrzyła, jak Siergiej rzuca kotwicę - w odległości dziesięciu metrów od górnej framugi Wrót. Potem zobaczyła, że Sasza i Witalij niezbyt zręcznie przewracają się przez burtę ścigacza, niczym żaby machając w powietrzu płetwami. Piotr Olegowicz unosi się lekko i przykłada do oczu lornetkę, przeszukując horyzont i wypatrując grzbietowych płetw dalfinów. Kiwa głową - „niebezpieczeństwa nie widać" - i obaj nurkowie znikają pod wodą. Potem już nie było na co popatrzeć - ścigacz kołysał się na wodzie, Siergiej popalał papierosa, a Piotr Olegowicz ujrzawszy w obiektywie lornety Lidkę, pomachał jej ręką.

Lidka też mu pomachała. Opuściwszy lornetkę, nie odwracając się, podała ją Sławkowi.

- Masz...

Okazało się, że Sławka już przy niej nie było. Wetknąwszy ręce w

kieszenie dżinsów, szedł powoli ku bazie.

Mniej więcej w połowie drogi dogoniła go Wala.

* * *

- ...prac wykopaliskowych prowadzić się na razie nie da - woda za mętna. Na najbliższe tygodnie prognozy są dobre, pływów nie będzie i wszystko osiądzie na dnie. Pierwsze próbki są już opracowywane... Jutro małżonkowie Zarudni powiedzą nam, co w nich znaleźli. Roślinność na pozór normalna... narosło wszelkich wodorostów, jak na zwykłych kamieniach. Fauna też jak wszędzie. Ryby spokojnie przepływają pod sklepieniem tych Wrót - widać, że ze Zwierciadła nic nie zostało. Wygląda na to, że mamy do czynienia ze zwykłą obudową... co prawda i w takim przypadku ważne są wszelkie rezultaty analiz... Jarosławie Andriejewiczu?

Sławek wstał. Biały fartuch narzucony na podkoszulek sprawił, że mąż Lidki wyglądał jak ktoś, kto wpadł z wizytą do szpitala.

- Minerały - bazalt, łupek. W tkankach roślin nieco zwiększony udział żelaza... i to wszystko. Nic ponad normę. Skład wody - lepszy niż na miejskich plażach. Moczu i elementów ściekowych w ogóle brak. Jod i sól - w normie. Bardzo czysta i zdrowa woda...

Sławek wcale się nie uśmiechał podczas tych żartów, a wszyscy obecni usłyszawszy je, spochmurnieli.

- Jasne - po krótkiej pauzie stwierdził Piotr Olegowicz. - Kolejnym punktem programu naszej ekspedycji będzie kompletne oczyszczenie obiektu, pomiary, dokumentacja, a po opadnięciu mułu - fotografowanie. W końcu naszym zadaniem są badania - na wnioski przyjdzie jeszcze czas... i możliwe, że nie my je będziemy wyciągali.

Lidka milczała.

Ośmiuset ludzi weszło w te wrota. Prawie ośmiuset - dokładnej liczby nikt nie zna. I proszę, zostały kamienie, dziwny obiekt przyrodniczy, na swój sposób nawet piękny, ale nie pozostawiający badaczom żadnej nadziei.

Nie masz nadziei na powrót zaginionych mieszkańców Rassmortu. Ani na to, że uda się dowiedzieć czegoś nowego o istocie Wrót.

* * *

Wala była z pokolenia rodziców Lidki, miała nieco ponad czterdzieści lat, była tęga i silna, bez wysiłku dawała sobie radę z ciężarami i lekko podchodziła do życia. Barwiła włosy na jasnożółty kolor i pachniała olejkiem sandałowym. Pół życia spędziła w rozmaitych ekspedycjach, potrafiła ugotować zupę „na gwoździu", a gdy miała do dyspozycji jakie takie surowce, na polowym piecyku umiała przygotować potrawy godne najlepszych restauracji.

Wieczorami śpiewała przy tęsknych dźwiękach gitary kierowcy

Walerego.

Podczas kilku pierwszych dni ustaliła się pewna tradycja - wieczorami „na bazie” u Wali zbierali się miłośnicy pogawędek i śpiewów przy gitarze. Łysawy Paszka, kierowca autobusu, specjalnie na te wieczory kombinował u miejscowych wojaków spore ilości mętnawego samogonu i mocnego wina domowej roboty.

Lidka nigdy się nie zjawiała na tych „wieczorynkach”, a Sławek, który od pewnego czasu stał się na nich regularnym gościem, niczego żonie nie opowiadał.

Piotr Olegowicz spędzał wieczory przy roboczym stoliku. Obecność obcych tylko go drażniła - za całe towarzystwo wystarczyła mu jedynie czarno-biała fotografia, z której jednakowymi uśmiechami szczerzyła się żona, dwaj synowie i dwie wnuczki, trzymane na rękach przez jednakowo tłuściutkie synowe.

Witalij i Sasza hołdowali zdrowemu trybowi życia. Obaj kładli się wcześnie spać; od czasu do czasu któryś z nich udawał się na filozoficzny spacerek po okolicy z lornetką, podczas którego starał się nawiązać rozmowę z miejscowymi żołnierzami. To jeden, to drugi zaglądali do Wali - nigdy razem, a zawsze oddzielnie, jakby wedle grafiku i ze służbowego obowiązku, z czego Lidka wysnuła wniosek, że Sasza nie tyle jest nurkiem, co operem.

Jak przedtem, budził w niej uczucie zagrożenia. Co prawda, zachowywał się spokojnie i można by nawet rzec, iż w pewnej mierze był sympatyczny; ona jednak czekała, że podejdzie do niej i zaproponuje, żeby pokazała, co potrafi w masce i z butlą na plecach.

I doczekała się.

Około piątej upał zelżał. Wyciągnięty z wody ścigacz stał przed hangarem na kołach i był w jakiś sposób podobny do tramwaju.

Z porannego zanurzenia zostały jeszcze dwie pełne, jak utrzymywał Sasza, „zapomniane” butle. Przechowywać ich do następnego dnia nie pozwalały przepisy bezpieczeństwa; gdy Sasza podszedł cichutko do siedzącej na molo Lidki, jego cień spłoszył igrającą w wodzie rybią drobnicę.

- No co? Zanurkujemy?

Serce Lidki podskoczyło, jak rzucona z dłoni moneta.

Nie wiadomo dlaczego poczuła się głupio w kostiumie kąpielowym, szczególnie gdy Sasza pomagał jej wkładać uprzęż z butlą i pas. Podwodny nurek powinien mieć na sobie elastyczny kombinezon, a wszystkie te barwne sznureczki i plastykowe zatrzaski nadają się jedynie do wylegiwania się na plaży...

Maskę wybrała i dopasowała wcześniej. Płetwy były za duże i telepały jej się na stopach, dopóki nie wpadła na pomysł, żeby je wkładać na wdziane uprzednio grube, wełniane skarpety. Sasza się skrzywił, ale nic nie powiedział.

- Posłuchaj; zadanie jest takie. Na początku zanurzamy się po prostu na głębokość trzech, czterech metrów, znaczy - do dna. I płyniemy spokojnie pod wodą - ja będę ci wydawał polecenia, a ty masz je wykonywać... zrozumiałaś?

Szybko kiwnęła głową.

- No, to zaczynamy...

Zsunąwszy się z pomostu, od razu poszedł w głąb. Lidka doskonale widziała, jak leniwie przebiera płetwami nad porośniętym wodorostami kamienistym dnem i osypiskiem szarych głazów. Morze było doskonale przejrzyste i widoczność mącił tylko błękit nieba odbijającego się w powierzchni wody oraz pęcherzyki powietrza, wypuszczanego przez Saszę.

No, twoja kolej, Lidka...

Wzięła ustnik w zęby. Wypuściła go. Ostrożnie zlazła z nierównej krawędzi. Zanurzyła się do ramion, przytrzymując się drewnianej, pełnej drzazg obudowy pomostu. Znów włożyła ustnik w zęby. Nerwowo poprawiła maskę. Odepchnęła się od pomostu.

Morze było ciepłe, ale Lidka się wzdrygnęła, kiedy czubek jej głowy znikł pod wodą. Uszy wypełniły się tym niepowtarzalnym szumem, który zaraz potem zastępuje kompletna cisza podwodnego świata.

Złapała się na tym, że wstrzymuje oddech. Zebrawszy się na odwagę, odetchnęła; powietrze w butli było chyba cieplejsze niż woda - choć tak może jej się tylko zdawało.

Spojrzawszy w dół zobaczyła Saszę, który leniwie bawił się z niewielkim krabem na spłachetku piachu. Zanurzyła się - i znów wypłynęła w górę, wyskoczyła spod wody jak plastykowa piłka. Butla, tak ciężka na lądzie, z łatwością unosiła lekkie ciało pływaczki.

Sasza podniósł głowę. Lidce wydało się, że w jego oczach widzi drwinę.

Zanurkowała ponownie - z tym samym rezultatem. Butla nie chciała tonąć. Wedle wszelkich praw fizyki nie powinna zresztą tonąć - ciekawe, jak Sasza znalazł się na dnie. Na domiar wszystkiego jest przecież szczupły... jego własny ciężar nie wystarczy.

Dlaczego?!

Spróbowała inaczej. Chwyciła za brzeg pomostu, podciągnęła się na rękach, a potem się odepchnęła i ostro poszła w dół. Na chwilę zobaczyła nad głową powierzchnię wody - i zaraz potem z szumem i absolutnie niegodnym asa podwodnych nurkowań pluskiem wyskoczyła nad wodę. Jak spławik przy wędce.

Na brzegu stał technik Siergiej. Ujrzawszy go, Lidka poczerwieniała pod maską jak burak.

To pułapka. Teraz jest jasne, że ktoś jej robi złośliwy kawał, jak wtedy na kolonii, kiedy Rysiuk przybił do podłogi jej tenisówki...

Podwodnik Sasza ani myślał przychodzić jej z pomocą. Przeciwnie, kiwnął ręką, jakby chciał powiedzieć: no dalej, zanurzaj się, ile można czekać.

W ustach poczuła smak gumy i nagle się rozeźliła.

Chwyciła za żelazny wspornik pomostu. Przebierając rękoma, ruszyła jak po linie - tyle że w dół, choć wcale nie było to łatwiejsze. Przeklęta butla uparcie ciągnęła ją w górę, maska coraz mocniej wrzynała jej się w twarz i wzmagał się szum w uszach. Lidka przemogła się i kilkakrotnie przełknęła ślinę, wyrównując ciśnienie. Ostrożnie dmuchnęła przez nos do maski - ucisk natychmiast zelżał. Do dna było już blisko, a tam leżały spore kamienie.

Żelazny wspornik porastały wodorosty i małże. Ostrą krawędzią takiej muszli łatwo można było obciąć sobie palec.

Ze wszystkich sił tłukła wodę płetwami. Puściwszy wspornik, natychmiast chwyciła solidny kamulec - chciała się tylko utrzymać na dnie, ale okazało się, że kamień jest stosunkowo lekki i podpłynął razem z nią.

Spodziewała się, że znów ją wyniesie na powierzchnię, zamiast tego jednak zawisła nad dnem w połowie drogi, rozstawiwszy nogi jak żaba i trzymając kamień przy brzuchu. Obłoczek mętnego szlamu, który podniósł się z miejsca, gdzie przed chwilą leżał jej kamulec, powoli już osiadał na dnie.

Maska cisnęła ją nieznośnie. W gardle jej zaschło, a trzeba przecież było często łykać ślinę, żeby wyrównywać wewnętrzne ciśnienie w uchu z ciśnieniem zewnętrznym, w przeciwnym razie szybko zaczęłaby ją boleć błona w bębenkach usznych.

Ostrożnie ruszyła przed siebie.

Ryby błyskawicznie rozpłynęły się na boki. Lidka płynęła w ciszy, jakby nieważka, podwodne lasy kołysały się w takt niesłyszalnego przyboju. Wszystkie rośliny miały barwę jesienną, żółtą, wokół niej pływały jakieś żółtawe skrawki.

Jesień. Pośrodku lata.

I poruszający się pod wodą człowiek.

Okazało się, że Sasza jest tuż obok. Jego ciemne włosy rozpłynęły się w luźną aureolę, nadając młodemu operowi romantyczny wygląd. Unosiło się nad nim jakby powietrzne drzewko - lśniące perliście obłoczki pęcherzyków powietrza jeden za drugim pomykały ku górze. Takie samo drzewko wyrastało z „nagumowanych" warg Lidki - dziewczyna słyszała skrzyp własnego oddechu, bulgotanie unoszących się ku słońcu bąbelków i tętno krwi w uszach.

Sasza wskazał dłonią w górę. Przed twarzą Lidki mignęły płetwy; Sasza wypłynął i z pewnością spodziewał się, że ona zrobi to samo.

W pierwszej chwili pomyślała, że po prostu puści kamień, ale przypomniała sobie, jak wyskakują z wody przytrzymane przez

plażowiczów piłki. Przycisnęła kamień do piersi; jeden bok miał szorstki i żółty, drugi był pokryty śliską, zielonkawą sierścią - i zatrzepotała płetwami. Dopiero na powierzchni wypuściła kamień z dłoni i przez chwilę śledziła jego upadek na dno, majestatyczny niczym uwertura.

- Źle przedmuchujesz nos - stwierdził Sasza, któremu mokre włosy oblepiły czaszkę i natychmiast z romantycznego bohatera przeistoczył się w komika. - Zobacz, masz siniak na twarzy.

Ślad maski Lidka wyczuwała ostro i boleśnie. Czoło, policzki, górna warga. Zostanie jej na kilka dni. Cóż, znak, że nowicjusz zapłacił frycowe.

- Czemu nie dociążyłaś pasa? - zapytał Sasza i przebiegle zmrużył oczy.

Lidka i bez tego domyśliła się, gdzie szukać sekretu jego natychmiastowego zanurzenia. Miała za lekki pas. Mówiono jej przecież podczas treningów o indywidualnym doborze obciążenia, wszystko jednak odbywało się w takim pośpiechu i zamieszaniu, że oczywiście zapomniała...

- Sierioga! - zawołał Sasza, zwracając się do technika. - Przynieś... - spojrzał na Lidkę taksująco - ze sześć średnich obciążników. Damę trzeba docisnąć.

Lidce się wydało, że Siergiej pracujący przy hangarze nad motorówką, zachichotał.

- Ale jesteś zuch dziewczyna - stwierdził Sasza, patrząc w morze roztargnionym wzrokiem. - Szybko się zorientowałaś. Zaraz odmierzymy obciążenie i przejdziemy się po dnie tam i siam... tylko przedmuchuj maskę nosem, bo szkoda twarzyczki. I o uszach nie zapominaj, też ich szkoda, uszkodzisz sobie bębenki. Wy co, pokłóciliście się ze Sławkiem?

Zaskoczona niespodziewanym pytaniem targnęła głową tak, że bryzgi wody z mokrych głosów poleciały Saszy w twarz:

- Nie-e...

Nigdy nie czuła urazy z powodu zdrad, jakich dopuszczał się Sławek z przypadkowo napotykanymi dziewczynami.

Ale nie wiadomo dlaczego, myśl o nieuniknionym związku Sławka z energiczną Walą sprawiała jej przykrość.

* * *

Morze było gładkie jak stół. W oddali widniały zarysy łodzi patrolowej. Jedyna widoczna w zasięgu wzroku fala brała swój początek za rufą ścigacza; Lidkę dziwiło tylko, jak daleko się rozbiega i długo utrzymuje. Nic, tylko wziąć i napisać na morskiej gładzi: Sławek i Wala...

Myśl była absolutnie nie na miejscu. Wyprawiając się po raz

pierwszy ku Wrotom, nie godziło się myśleć o takich drobiazgach.

Piotr Olegowicz wdział już akwalung i trzymał kamerę. Pozostali wzgardzili piankami, a dla Lidki w ogóle nie dało się znaleźć odpowiedniego rozmiaru. Było ciepło, a lekka mgiełka na horyzoncie zwiastowała upał.

Siergiej zatrzymał motorówkę dziesięć metrów od szczytu Wrót. Lidka patrzyła, zagryzłszy górną wargę. Z bliska Wrota nie wyglądały już na kawałek falochronu. Fale władczo obmywały całkowicie im obcy przedmiot - można by pomyśleć, że utonęła tu maleńka gotycka świątynia.

Siergiej wstał i trzymając się jedną ręką relingu, przyłożył do oczu lornetkę. Lidka mocniej zmrużyła oczy, wpatrując się w dal.

- Wczoraj wieczorem były - oznajmił, wyjmując z kieszeni pomiętą paczkę papierosów. - Dalfinki... igrały bliżej niż wtedy, we wtorek. A teraz ich nie widać...

- A po co ich wypatrywać, skoro nie są niebezpieczne - mruknęła Lidka, nie zwracając się do nikogo konkretnie. I natychmiast tego pożałowała, gdyż wszyscy spojrzeli na nią jak na idiotkę...

- Miałem kumpla... - odezwał się Siergiej, zapalając papierosa. - Też tak mówił... dalfiny, powiadał, to nasi podwodni krewni. I wiedział, co mówi, był w końcu ichtiologiem. Co prawda, pracy doktorskiej nie zdążył obronić. Nazbierał materiału w garść, a potem materiał jego samego - cap! Wyglądał, jakby pod walec trafił... Wszystko zmiażdżone... Brrr!

- U nas w bazie prowadzono odstrzał na tłuszcz techniczny - dodał Sasza, nie zdradzając szczegółów dotyczących rodzaju bazy. - A one, durne, co roku tamtędy przepływały na nowe łowiska. Zarudna, gotowa?

- Aha - odpowiedziała Lidka, poprawiając ramiączko kostiumu kąpielowego. Istna mordęga, kiedy oprócz tych wszystkich sprzączek i zatrzasków, trzeba się jeszcze szarpać z nieposłusznym trykotem.

- Co, zbroja przeszkadza? - Witalij wyszczerzył zęby. - No to zrzucaj i dalej... jak pierwsi rodzice!

- Rusałeczka! - Siergiej obrzucił ją przesadnie pożądliwym, rozbierającym spojrzeniem, choć prawdę rzekłszy i tak była prawie naga.

Nastała niezręczna pauza; motorówka kołysała się na wodzie, a Lidka siedziała w otoczeniu czterech, niestarych jeszcze mężczyzn, którzy się na nią wszyscy gapili. Nawet Piotr Olegowicz, wierny swojej fotografii, choć ten patrzył raczej smutno i z naganą, jakby chciał rzec: nie prowokuj, młoda, nie prowokuj...

Dziewczyna rzuciła się w wodę, starając się wywołać jak największe bryzgi. Jak im nie wstyd! Poważni ludzie, wychowawcy młodzieży, doktorzy nauk... oper... a mimo to...

Paliły ją policzki. Dobrze, że zdążyła włożyć maskę.

- Hej, a ty dokąd? Zanurzenie bez rozkazu? - zdenerwował się Sasza.

Lidka podpłynęła do burty i chwyciła za pas z barwnymi pływakami. Podniosła głowę i przez spływającą po zewnętrznej stronie maski wodę ujrzała twarz Witalija.

- Zabezpieczenie - suchym tonem odezwał się oper, podając jej czerwoną linkę z karabińczykiem na końcu. - Zaczep na pasie i sprawdzaj dłonią. Targnę trzy razy - natychmiast wracaj. Dalfiny. Jasne?

Nawet przez mokre szkło Lidka widziała, że Witalij patrzy w bok.

Wrażenie nieważkości.

Z prawej i lewej - perełkowe sznury oddechów Piotra Olegowicza i Saszy. Sasza pokazuje gdzieś w bok.

Lidka odwróciła się.

Pomyliła pod wodą kierunki i niewiele brakło, a przepłynęłaby obok Wrót.

Otóż i one. Oddech Lidki był równy, choć powietrze z butli pachniało jakby kwasem.

Wcale nie przypominały *tamtych,* które Lidka zobaczyła po raz pierwszy i jak do tej pory jedyny w życiu. Nie były też podobne do znanych jej modeli Wrót, szkiców i fotografii. I były na swój sposób piękne - wyciągnięty ku górze, strzelisty łuk. Czerwonawy kamień. Doskonały kształt - doskonały do podziwiana, ale bardzo niepraktyczny, gdy mowa o panicznej ucieczce tysięcy ludzi.

Co prawda, te akurat Wrota wcale nie były obliczone na tysiące ludzi, pomyślała Lidka, która zaczynała już odczuwać chłód. Ilu ich było, tych mieszkańców Rassmortu?

Nie trzeba było dawać osadzie takiej nazwy. Sylaba „mort" jeszcze nigdy nikomu nie przyniosła szczęścia.

Piotr Olegowicz już robił zdjęcia, okrążając Wrota po spirali, po minucie Lidka ujrzała go z drugiej strony łuku - oczywiście Zwierciadła nie było, *teraz* to tylko niezwykły obiekt architektoniczny.

Sasza podpłynął całkiem blisko. Wyciągnął dłoń, była ciepła, cieplejsza niż jej własna.

Pociągnął ją ku podstawie Wrót. Wskazał palcem w dół; piasek, wodorosty, obce nawarstwienia oczyszczono jeszcze w zeszłym tygodniu i doskonale widoczna była szczelina, pęknięcie, które Piotr Olegowicz uznawał za swoje osobiste znalezisko i któremu wespół z Witalijem przypisywali rolę ziarenka piasku, które zatrzymało precyzyjny mechanizm i spowodowało śmierć tylu ludzi.

Pęknięcie było niewielkie i malownicze. Lidka pomyślała, że Piotr i Witalij sami siebie okłamują - Wrota są zbyt wspaniałą konstrukcją, żeby taki drobiazg potrafił zakłócić ich działanie. Mogłaby już raczej

uwierzyć w to, że mieszkańcy Rassmortu rozgniewali czymś Boga i zostali ukarani za swój występek.

Przypomniała sobie, że kiedy ekspedycja była jeszcze na etapie przygotowań - ktoś żartem rzucił tę myśl. Nie wiadomo dlaczego teraz, wobec okaleczonych Wrót, ten pomysł wcale nie wydał jej się zabawny.

Sasza mocniej ścisnął jej dłoń. Pociągnął palcem po wewnętrznej stronie ramy. Lidka ujrzała rowek, jak dla bardzo grubej szyby. Jakby Zwierciadło, które w jakiś tajemniczy sposób wchłaniało w siebie i chroniło ludzi, można było wstawić i wyjąć... dla dobrego szklarza robota na pół godziny.

Szklarze, pomyślała Lidka. Woda nagle wydała jej się zimna.

Sasza wypuścił jej dłoń. Odepchnął się płetwami i popłynął przed siebie - prosto w otwór. Lidka nie wytrzymała i zamknęła oczy - podświadomie spodziewała się, że Sasza zaraz zniknie. Przepłynie *na tamtą stronę.*

Sasza zaraz zawrócił, żeby nie zaplątać linki zabezpieczającej. I machnął Lidce ręką, jakby mówił: chodź tutaj.

Wsunęła w otwór najpierw rękę. Potem, trzymając się kamiennej framugi, weszła i zatrzymała się na progu. Jej gumowe płetwy niemal dotykały dna. Nad burym piaskiem unosiły się strzępy liści i kłęby mułu. Lidka pomyślała, że zaraz dostanie po karku, bo przecież wszystko jest filmowane...

Zawrót głowy. Powietrze z butli zrobiło się bardzo kwaśne.

Uchodzące w górę pęcherzyki...

Mrok.

* * *

- ...bo to ty nabijałeś butle! Za takie rzeczy oddaje się ludzi pod sąd, i ja cię wsadzę, draniu... aż do kolejnej *mrygi* będziesz kopał rowy...

Lidka jeszcze nigdy nie widziała Witalija w takim stanie. Zresztą, widok nie był przeznaczony dla jej oczu - po wyciągnięciu jej z motorówki, położono ją w cieniu i zostawiono. A potem poszli się porachować - a raczej dokończyć porachunki, zaczęte jeszcze na ścigaczu.

Przeklęty kostium zsunął się i prawie obnażył jej pierś. Ale mężczyźni, którzy jeszcze niedawno bezwstydnie się na nią gapili, teraz mieli na głowie zupełnie inne sprawy.

- ...nie wiem, jak! Ale to ty nabijałeś zbiorniki!

- No to sprawdź - odparł Sasza, spokojny i biały, jak piasek na plaży dla milionerów. - Sprawdź jej zbiornik. No, dalej, została jeszcze ponad połowa! Jak znajdziesz ślady ołowiu - zamknij mnie, nie kiwnę palcem. A jak nie, to ja ciebie posadzę, paskudo, bo Retielnikow

mówił...

I nagle umilkł.

Retielnikow, pomyślała Lidka, przemagając szum w głowie. Nazwisko znajome. Nikołaj Iwanowicz Retielnikow. Karta biblioteczna. Ptasie łajno na ławeczce wiosną, grupy oper z zawodowym znużeniem w oczach. To on nas wepchnął do tej ekspedycji.

Obaj stali naprzeciwko siebie. Straszny Witalij, z wyszczerzonymi zębami i Sasza, też wyglądający groźnie, ale jakoś inaczej... był spokojniejszy i bardziej pewny siebie. Przecież oni są z różnych wydziałów - pomyślała Lidka. Z różnych wydziałów tej samej osławionej OP. Żeby się tylko nie pobili...

Z góry, od bazy, biegli inni, na czele ze Sławkiem.

- Lideczko!

Spróbowała poprawić kostium, a gdy się to nie udało, przykryła piersi rękoma.

- Lida... Boże! I po co ci to było... to nurkowanie, te butle...

Właściwie wszystko jedno, co mówił. Najważniejsze, że na ramionach przyjemnie układał szorstki ręcznik, a w okrągłych jak monety oczach Sławka widać było najprawdziwszy strach.

* * *

Nabijający butle operator powinien troskliwie zadbać o to, żeby wydobywające się z pompy spaliny nie dostały się do wnętrza. W przeciwnym razie otruty parami ołowiu nurek może stracić życie.

Coś takiego mówiono Lidce na zajęciach teoretycznych przyspieszonego kursu. Trzeba przyznać, że nie uznała za konieczne obciążania tym pamięci - prawdopodobieństwo tego, że przyjdzie jej kiedyś nabijać butle, było prawie równe zeru.

Wyglądało na to, że teraz zamiast w teorii, przećwiczyła to praktycznie na sobie. W każdym razie głowa jej pękała z bólu.

Sławek karmił ją jakimiś tabletkami. Witalij nieustannie dopytywał się o stan jej zdrowia; a ponury Sasza spoglądał na nią tak, jakby celowo zemdlała pod wodą, żeby go skompromitować jako nurka.

Wyniki ekspertyzy, przeprowadzonej przez Witalija w obecności Saszy, Piotra Olegowicza i technika pozostały tajemnicą. W każdym razie eksperci po powrocie rozmawiali ze sobą zupełnie spokojnie, a Sasza nawet się uśmiechał. Najwyraźniej nikt go nie obciążał winą za fatalne zemdlenie Lidki.

Pod wieczór doszła już prawie do siebie, ale przed Sławkiem nadal udawała niemoc. Podobała jej się jego braterska niemal opieka, oprócz tego liczyła na samotną noc w namiocie - na uznaniu Lidki za osobę niepełnosprawną wszyscy tylko zyskiwali.

Wieczorem wyraziła życzenie posiedzenia samotnie na brzegu w wygodnym fotelu. Mrok gęstniał, jedyną jasną plamą był pas przyboju, piana nadpływała i regularnie się cofała, a wielkie niczym jabłka gwiazdy pulsowały do wtóru falom. W końcu samotność Lidki przerwał chrzęst żwiru pod czyimiś butami, cienki promyk światła latarki i delikatne pytanie:

- Lido... czy możemy porozmawiać?

Będący faktycznie szefem ekspedycji Witalij Aleksiejewicz przyniósł składany stołeczek. Zapobiegliwi i przewidujący ludzie z tych operów.

- Lido... po pierwsze, jak się czujesz?

- Lepiej - stwierdziła lakonicznie.

- To dobrze - Witalij z pewnością kiwnął głową. - Bardzo mi przykro, ale... Sama pewnie rozumiesz, że nie mogę ci pozwolić na dalsze zanurzenia.

- Dlaczego? - zapytała, powstrzymując gniew i żal.

- Nie rozumiesz? - zdziwił się rozmówca. - No, jak to... dzisiejszy incydent... zarwanie planu prac, ale pal sześć plan, mogliśmy cię po prostu stracić... a to już nieusprawiedliwione ryzyko. Szanuję twoją odwagę, inicjatywę, oddanie nauce, ale sądząc ze stanu twojego zdrowia...

- A co ma do tego moje zdrowie? - Lidka nie wytrzymała, zdradziła się drżeniem głosu. - Co ma do tego moje zdrowie, w butli były przecież te... opary ołowiu!

- Raczej nie - padła krótka odpowiedź. - W każdym razie... nie, należy przyjąć, że nie było ich w ogóle. W resztkach powietrza z twojej butli niczego takiego... nie stwierdzono.

Wydało jej się, że w jego głosie zabrzmiała niepewność. Zmowa? Zwąchał się z Saszą? Za obopólną zgodą postanowili ukryć niedbalstwo, naruszenie zasad bezpieczeństwa, umówili się, żeby przypisać jej omdlenie kruchemu zdrowiu młodej laborantki?

Gdy odpowiedziała, w jej głosie zgrzytało, jakby ktoś jej sypnął piasku.

- Mam zaświadczenie... Jestem zdrowa! Nie macie prawa.

- Nie miałem prawa puszczać cię pod wodę - stwierdził Witalij ze smutkiem w głosie. - Dzięki Bogu, w którego nie wierzę, więc dzięki mu za to, że zanurkowałaś niezbyt głęboko i zdążono cię wyciągnąć... bo mogłaś zapaść w śpiączkę...

Lidka milczała. Coś w słowach opera podsunęło jej na poły już zapomnianą, uboczną i jednocześnie bardzo ważną myśl. Dzięki Bogu... Kara Boża...

- I jak do tego doszło? - zapytał Witalij już innym głosem, nie jak naczelnik ekspedycji, ale jak troskliwy przyjaciel. - Pamiętasz, co wtedy poczułaś? Podpłynęłaś do Wrót... Zatrzymałaś się w ich

prześwicie... a przy okazji, czemu się zatrzymałaś?

- A czy to ważne? - zapytała Lidka przez zęby.

- No... w ogóle... - Witalij jakby się zawahał. - Diagnoza. Chciałoby się wiedzieć, co tam ci się przydarzyło.

Lidka zamknęła oczy, choć i bez tego wokół było ciemno.

Owszem, weszła we Wrota. Choć przedtem nie miała takiego zamiaru. Potem postanowiła przeciąć niewidoczną, nieistniejącą powierzchnię Zwierciadła... W połowie drogi się przestraszyła. I zatrzymała się pod łukiem.

Płaszczyzna?

Ocknął się pulsujący ból po lewej stronie czoła. Co tam było... miała widzenie, czy co? Majaki przed omdleniem? Jakby w prześwicie Wrót naciągnięto lśniącą siatkę, pajęczynę... miejscami porwaną, a miejscami idealnie gładką i lśniącą w słońcu.

I szum w uszach. Jakby jednocześnie słyszała ze dwie dziesiątki rozmaitych nut - co najciekawsze, brzmiących bardzo harmonijnie.

- No co... przypominasz coś sobie? - zapytał cicho Witalij. W zasadzie zaszemrał... jego twarzy nie było widać, ale Lidka natychmiast sobie przypomniała oczy jak świdry i całą resztę.

- Nie. - Sama nie wiedziała, dlaczego kłamie. Po prostu chciała się odegrać za tamto... Jak miło jest być wredną.

- Nic, absolutnie nic? No... powietrze w butli nagle zrobiło się kwaśne... Ślina zaczęła się silniej wydzielać... Nie?

- Nie pamiętam - powtórzyła Lidka z uporem.

Nad horyzontem wstawał blady, niezwykle wielki miesiąc I wzmagał się wiatr zwiastun jutrzejszego sztormu.

* * *

Nazajutrz uznano, że z powodu wzburzenia morza nie da się wypłynąć. Piotr Olegowicz zapisał w dzienniku: „Analizy i zestawianie danych".

Wobec czego wszyscy zabrali się do starannego rysowania szkiców i mapek. Razem przejrzano kasetę wideo - najpierw bardzo wyraźny, nie bez artyzmu uchwycony plan główny, plan średni, powiększenie, odjazd - a potem od razu pęcherzyki, miotające się cienie i czarne dno motorówki. Lidka zdążyła zobaczyć samą siebie - bezwładną lalkę, której z kącika ust frunął ku górze warkocz bąbelków powietrza. Widziała też swoje, unoszące się bezwładnie jak u topielicy, włosy. Patrząc na to, poczerwieniała i wciągnęła głowę w ramiona - chwila jej podwodnego omdlenia nie została zarejestrowana.

Przed obiadem poszła się powłóczyć po osiedlu - przedtem unikała takich wycieczek, bo wszędzie wokół otwierały się przygnębiające widoki. Wydawało jej się, że z każdego zakątka

opuszczonego i na zawsze porzuconego miasteczka zioną strach i groza. Dziś jednak zacisnęła zęby i poszła.

Z Rassmortu niewiele się ostało. Zdarzyła się tu przecież apokalipsa i to tak gwałtowna, jakby ktoś jej rozkazał zniszczyć wszystko.

Kęsy porozbijanych i porośniętych już trawą cegieł.

Pusta mogiła młodego lotnika. Pod ogonem helikoptera ulepiły sobie gniazdo beztroskie jaskółki.

Z czyjegoś rozbitego okna wyrasta mały klon.

Zasypana piaskiem studnia.

Bardzo dobrze zachowane kute ogrodzenie. Żelazne łodygi, kwiaty i liście. Furtka wiodąca donikąd.

Znak drogowy, nakazujący jazdę tylko na wprost. Ciekawe, zwłaszcza że wokół pustka. Słup wygięty w łuk, cudem zachowana strzałka wskazuje w dół. W ziemię.

Kara Boża.

Lidka przypomniała sobie kaznodzieję, który kiedyś przyszedł do ich liceum. Wszyscy, wszyscy pogrążyli się w grzechu i któż może wiedzieć, czy tym razem On zechce się zmiłować i utworzyć zbawcze Wrota, żeby dać ludzkości jeszcze jedną szansę...

Wetknęła dłoń w kieszeń wąziutkich szortów, które kiedyś były dżinsami o pełnej długości. Kieszenie były płytkie i nie mieściła się w nich nawet połowa dłoni.

Witalij długo patrzył na nią, nie mówiąc ani słowa. Lidka spoglądała mu prosto w twarz. I dopiero wtedy, gdy oper zapytał cicho: „Czy ty naprawdę chcesz zostać naukowcem?" - dopiero wtedy poczerwieniała tak, że rumieniec wchłonął chyba czerwony ślad po masce.

- Tak, chcę być naukowcem! - stwierdziła wyzywająco. - Naukowiec nie może zawczasu odrzucać żadnej hipotezy. Jakkolwiek głupia mogłaby się wydawać na pierwszy rzut oka.

- To nie hipoteza - Witalij uśmiechnął się ze współczuciem. - To raczej fantastyczny domysł. A ty wierzysz w Boga? Czy po prostu szukasz pierwszego lepszego wytłumaczenia?

Lidka milczała. Z podkoszulki opera uśmiechała się do niej żółta mysz.

- Boska natura Wrót - odezwał się Witalij z krzywym uśmieszkiem. - Niemożliwa do wyjaśnienia metodami naukowymi. Skoro tego nie umiemy pojąć, znaczy Pan Bóg się postarał, co?

- Nie mówię „boska" - odpowiedziała chicho Lidka. - Ale... czy to tak trudno sprawdzić? Przejrzeć archiwa... Za ostatnie kilka cykli... może stuleci... Czym ten Rassmort różnił się od innych miast... a może się nie różnił? Było coś, czy nie?

- Było - odpowiedział Witalij matowym głosem. Dziewczyna była

na niego tak rozeźlona i jednocześnie pogrążona we własnych myślach, że nie od razu to usłyszała... a raczej nie od razu pojęła wagę jego odpowiedzi.

- Było - powtórzył Witalij, patrząc na białe grzywacze, dzięki którym morze upodobniło się do karakułowej papachy. - Przed dwoma cyklami, powinnaś to pamiętać z kursu historii ogólnej... tutaj, w tym zaprzyjaźnionym kraju istniał wyjątkowo niesympatyczny i szkodliwy ustrój społeczny. Idiotyczny, koszmarny totalitaryzm. Znasz to słowo?

Lidka przełknęła łagodną kpinę.

- Więc... w tych warunkach zawsze zachęcano do donosicielstwa. W tym i do społecznego, na wszystkich... poziomach. Włącznie do donosów, jakie składał mąż na żonę... Widziałem tu zdumiewające dokumenty.

Przerwał. Uśmiechnął się ze znużeniem, starł uśmiech chusteczką. I popatrzył Lidce w oczy.

- Pracowaliście już nad moją wersją - stwierdziła Lidka szeptem. - Oglądaliście dokumenty Rassmortu. Wyście *też* o tym pomyśleli.

Witalij odczekał chwilę, a później kiwnął głową.

- To niezupełnie tak, jak myślisz. Rzeczywiście przeglądałem archiwa... Wszystkie. Widziałem dane dotyczące wszystkich odnotowanych tu apokalips. Szukałem pod kątem epidemii... klęsk nieurodzaju... pomorów na bydło... Badałem anomalie sejsmiczne. Nie tylko ja. Szukaliśmy innych skutków. Oprócz tego, który jest oczywisty. Oprócz pęknięcia skorupy ziemskiej, przesunięcia Wrót i zalania ich przez morze. Szukaliśmy tak, żeby mieć czyste sumienie.

- Znaleźliście?

Witalij pogładził mysz na koszulce. W rzeczy samej chciał pewnie rozmasować sobie pierś.

- Nie wiem. Może i tak. Nic takiego, żeby wrzasnąć „Mam!" i pobiec do szefostwa po premię, a potem zażądać od ludzkości pomnika. Ale... mieszkańcy Rassmortu wykazywali patologiczną skłonność do donosicielstwa. Na tysiąc siedmiuset ówczesnych mieszkańców miasteczka - dwa tysiące donosów.

- Ile? - zapytała Lidka, wstrzymując oddech.

- Dwa tysiące. W ciągu półtora roku. Zechciej też wziąć pod uwagę, że ci ludzie byli biedni i mało wykształceni... łowili ryby i w zasadzie nie za bardzo mieli się czym dzielić. „Sąsiad taki a taki powiedział, żeby nasz wódz szybciej zdechł". „Sąsiadka taka i taka powiedziała, żeby naszą władzę szlag szybciej trafił". „Teść powiedział..." „Synowa powiedziała...", „Dziadek podtarł sobie tyłek ulotką z fotografią wodza..." i tak dalej. Nie umiem rzec, czy z tych donosów wyciągano jakieś wnioski i dokonywano aresztowań, ale ówczesne tajne służby wszystko troskliwie przechowywały. A w sąsiednich osadach, które od Rassmortu różniły się tylko nazwami,

paczki tych donosów były nie dwa, nie trzy, ale z dziesięć razy mniej pojemne.

Witalij mówił z wyraźnym przejęciem. Lidka pomyślała, że u siebie w OP musi prowadzić kursy młodego bojownika. Umie opowiadać. Robi to z zacięciem i wyraziście.

- I to już wszystko. Więcej nic. Żadnych statystycznych anomalii. Tylko ta historia sprzed dwóch cyklów. Przy czym do tej pory z tamtych mieszkańców zostało przy życiu tylko dziesięciu ludzi... same staruchy. Wszyscy, co do jednego, weszli w te Małe Wrota... i zostali tam - Witalij nieokreślonym gestem machnął ręką ku kamiennemu sklepieniu bramy, które niespodziewanie wysoko wynurzyło się z fal.

Lidka poczuła, że przejmuje ją zimny dreszcz. Na chwilę *uwierzyła.* Najpierw niezwykły wzrost podłości, potem, po dwóch pokoleniach - odpowiednia zapłata. Pozostali tam, za zaginionym Zwierciadłem. Co się z nimi stało... i co się dzieje?

- Ruszyło cię - stwierdził Witalij, bacznie obserwujący reakcję Lidki. - Ale odpręż się... Na świecie jest mnóstwo podłości, za które nikt nie ponosi kary. Jestem pewien, że zabójcy Andrieja Zarudnego - nie wykonawcy, ale ich mocodawcy - spokojnie przeżyli *mrygę,* wyszli z Wrót i gdzieś tam dreptają sobie po ziemi. Wybacz, jeżeli dotknąłem czułego punktu.

Patrzył na nią z uśmiechem, jakby chciał rzec: widzisz, wiem wszystko. Wiem, ale nikomu nie powiem.

Przełknęła kolczasty kłębek, który nagle zrodził się w jej krtani.

- A... inne artefakty Wrót? Czy w stosunku do tamtych prowadzi się podobne badania?

Witalij westchnął ze znużeniem.

- No tak... coś tam się robi. Wersję „odpłaty" rozpracowywał nasz wydział... i analogiczne agencje w innych krajach; przy czym trzeba od razu powiedzieć, że jeśli ktoś ma taki artefakt na swoim terenie, niechętnie dzieli się informacją z sąsiadami. Jest kilka nowych, utajnionych... a reszta to stare stanowiska. Kiedy artefakt stoi setki lat - spróbuj się dowiedzieć, kto kogo skrzywdził albo kto i za co powinien odpowiedzieć. Popatrz, dalfiny!

Wyciągnął rękę ku pokrytemu grzywami fal morzu. Lidka dość długo niczego nie widziała i zaczęła podejrzewać, że to unik dla zakończenia rozmowy. Potem jednak zobaczyła czarne punkciki... jeden, drugi...

- Są blisko skał - stwierdził zamyślony Witalij. - Zbiera się na burzę. Do czego jest im to potrzebne...

Lidka milczała i patrzyła.

- Wiesz, co sobie pomyślałem? Dalfiny to najbardziej wolne istoty w przyrodzie. Tylko im nie są potrzebne Wrota. Tylko one potrafią przetrwać apokalipsę na zewnątrz...

- Nie one, ale glefy - poprawiła go Lidka odruchowo.

- Wszystko jedno. Grunt, że nie potrzebują pomocy. Od Boga, kosmitów ani od przyrody. A my... my trzęsiemy się ze strachu. Otworzy czy nie otworzy? Daruje nam czy nie? Tak się przyzwyczailiśmy do tych darmowych schronów, że ogromne zdziwienie wywołuje fakt, iż od czasu do czasu coś się w tym systemie psuje.

- Czy u was, w OP, przyjęte jest zajmowanie się takimi pytaniami? - Lidka postarała się swoje zdziwienie wyrazić bardzo ostrożnie.

Witalij tylko się uśmiechnął.

- Wiesz co, Lida? Pogódź się ze Sławkiem. Bo jakoś to... jak Boga kocham... niełądnie.

* * *

Sławek rozmawiał z Walą.

Stał odwrócony do Lidki tyłem, dlatego nie widziała jego twarzy. Twarz Wali za to była widoczna doskonale - jej wyraziste, zielone oczy płonęły jakimś maślanym, żartobliwym ogniem.

Lidka szybko się cofnęła.

Wala zauważyła jej obecność, ale nie przerwała rozmowy o jakimś domku z prefabrykatów, który obiecano przywieźć i złożyć jeszcze w zeszłym tygodniu. W każdym słowie opisu tego jeszcze nieistniejącego domku był jakiś pieszczotliwy, wielopiętrowy podtekst.

A Sławek wziął w dłoń guzik Wali i lekko nim targnął, jakby pytając, czy może go oderwać. I coś dodał - półgłosem. Lidka nie dosłyszała - ale dotarł do niej umyślnie dźwięczny śmiech, jakim Wala skwitowała słowa jej męża.

Odwróciła się i wyszła.

Szła przecież wcześniej do laboratorium...

Po co? Pogodzić się ze Sławkiem? Przecież wcale się nie pokłócili...

Dlaczego wszystkich interesuje jej życie osobiste? Niewiele brakuje, a będą obstawiać zakład, kiedy wreszcie prześpią się ze Sławkiem jak ludzie?

O molo rozbijały się fale. Koło hangaru siedział Sasza z papierosem. Przed sobą miał rozłożone na brezentowej płachcie jakieś naoliwione żelastwo.

- Chcesz się wykąpać? Fala cię porwie...

Wściekła jak pchła, już ściągała podkoszulek.

- Nie wolno - odezwał się Sasza już innym tonem. - Mało ci jednego wypadku? Co, mam cię jeszcze raz wywlekać z wody?

Spojrzała na niego z nienawiścią.

- Nie wściekaj się. - Niespodziewanie wzruszył ramionami, jakby chciał się usprawiedliwić. - Albo... wiesz co? Tu, za półwyspem jest

piaskowa zatoczka, tam zawsze jest spokojniej. I płytko. Chcesz... pójdziemy, pokażę ci?

Kiwnęła głową. W zasadzie było jej wszystko jedno. Jeśli Sławkowi podoba się Wala, niech sobie z nią sypia, byle się od niej odczepili, byle nikt jej nie zaglądał do namiotu i w duszę...

Szli do zatoczki około dwudziestu minut. Lidka zdążyła się zasapać, ponieważ Sasza stawiał kroki o połowę dłuższe.

W tej zatoczce raz już była. Na samym początku ekspedycji, kiedy badano z motorówki okolicę. Pamiętała, że zatoczka wtedy nie zrobiła na niej większego wrażenia - brudnawy szary piasek i płytko - ale teraz musiała wstrzymać oddech.

Z prawej i lewej strony piętrzyły się kły skał, na których łamały się fale. W górę leciały bryzgi piany, huczała woda i grzechotały kamienie, ale do zatoczki docierały fale znacznie mniejsze, leniwie pełznąc ku piaskowi. Cofając się, zostawiały na nim drobne kamyczki i muszle.

- Pięknie, prawda? - zapytał Sasza.

Lidka musiała się uśmiechnąć.

W dole, na półokrągłym spłachetku plaży, prawie nie było wiatru. Z dala dolatywał huk jeszcze gniewnych, ale już spokorniałych grzywaczy. Sasza usiadł na płaskim, żółtym kamieniu, otworzył nieco sfatygowaną książkę i z roztargnieniem kiwnął Lidce głową:

- No, dalej...

Zrzuciła na piasek podkoszulkę i szorty. Piasek podobny był do grubej soli; szorstki i ubity.

Zatoczka była idealnym poligonem do kołysania się na falach. Lidka na przemian to zanurzała się pod nadpływającą falę, tak że jej pięty migały nad wodą, to przeciwnie - kołysała się na fali, gdzie drobna piana łaskotała ją po bokach, stwarzając iluzję niezwykle obszernej, weselnej sukni. Lidka nawet się uśmiechnęła przesolonymi wargami - to porównanie jej się spodobało. Piękne... trzeba by komuś opowiedzieć...

Podwodnik Sasza nie zamierzał jej przeszkadzać. Siedział na brzegu pogrążony w lekturze.

Mniej więcej po czterdziestu minutach Lidka poczuła mdłości; okazało się, że do tego, aby poczuć pierwsze objawy morskiej choroby, wcale nie trzeba siedzieć w łódce ani włazić na pokład okrętu. Wystarczy pokołysać się na falach.

Doszedłszy do wniosku, że na dziś jej wystarczy, odwróciła się na plecy i postanowiła podpłynąć leniwie do brzegu. Fale podrzucały ją niczym pływak... ale po kilku minutach odkryła, że nie zbliżyła się do brzegu ani na cal.

Rozzłoszczona odwróciła się na brzuch i ruszyła do brzegu, energicznie wiosłując rękoma i nogami. Każda nowa fala podrzucała ją

i lekko pogrążała, pozwalając dotknąć dna palcami nóg - i natychmiast odciągała wstecz, nie pozwalając na to, by mogła się zaprzeć.

Płynęła, zacisnąwszy zęby. Zawsze uważała, że pływa jak ryba.

No nie, a to co za numery? Jama? Do tej pory dno było równe i gładkie, ale może uparte fale wygrzebały tu dziurę?

Czas płynął. Woda zgrzytała wokół niej, jak kamienie żaren. Na brzegu siedział Sasza, który spokojnie sobie czytał i nie odrywał wzroku od książki.

Straciwszy sporo sił, Lidka postanowiła zmienić taktykę. Jeżeli nie da się górą, może mądrzej będzie zanurkować pod falę... podobno tak trzeba się wykręcać z wodnych wirów. Zanurkować jak najgłębiej...

Nabrała tchu w płuca i poszła pod wodę. W głębi niczego nie było widać, wszędzie tylko same męty, ale do dna nie dotarła - więc popłynęła naprzód, na oko z pięć metrów, i ruszyła ku powierzchni.

Powierzchni nie było. Woda, wszędzie woda...

Zużyte powietrze paliło w płucach i wyrywało się na zewnątrz. Lidka też rwała ku górze; najwyraźniej miała pecha albo źle obliczyła rytm fal i trafiła pod szczyt fali. Tracąc już oddech, wynurzyła się w białej kipieli i ledwo zdążyła nabrać tchu, kiedy kolejna fala ją porwała i zakręciła jak szmatką w pralce.

Góra i dół zamieniły się miejscami. Niczego nie było widać. Wystarczyło jej co prawda zimnej krwi, żeby jak najdłużej utrzymać powietrze w płucach i wyczekawszy na odpowiedni moment, znów wypłynąć na powierzchnię. Następna fala mogłaby położyć haniebny koniec dzisiejszej kąpieli, ale na szczęście w kolejności nadciągania grzywaczy trafiła się - jak to bywa - krótka przerwa.

Zakrztusiła się i obejrzała - w samą porę, żeby zobaczyć następną falę, która przykryła ją z głową, zatkała nos chyba do samych brwi i porwała ku brzegowi. Gdzie siedział, wygodnie wyciągnąwszy nogi przed siebie, płetwonurek Sasza. Najwyraźniej pochłonięty interesującą lekturą.

Przez kilka sekund duma Lidki walczyła ze strachem. I strach - a właściwie już przerażenie - wziął górę.

- Sasza! - zawołała tak głośno, jak jej na to pozwalała przepojona solą krtań - Saszaaaa!

Podwodnik spokojnie przełożył stronę.

Siedział może w odległości trzydziestu metrów od rozpaczliwie szamoczącej się Lidki. Bardzo wyraźnie widziała jego twarz - nie drgnął mu ani jeden mięsień, co napełniło ją znacznie większym przerażeniem niż kolejna, leniwa fala.

- Saaaa...szaaaa! Sa...

Zachłysnęła się wodą.

Być może, pogrążony w lekturze, nie słyszał jej krzyku, który tonął w huku fal. Być może... bo krzyk nie za bardzo jej wychodził...

było to raczej nikłe charczenie... To jej się wydawało, że wrzeszczy na całe gardło...

- Sasza! Sasza! Saaa - szaaa!

Nurek czytał. Wszystko to coraz bardziej przypominało jej jakiś koszmarny sen. - Sa...

Zakrztusiła się. Ogarnęła ją kolejna fala trwogi, ślepa i czarna. Lidka na chwilę zamieniła się w zwierzę. Nie! Nieee! Płynąć! Oddychać! Żyć!

Kolejna fala. Na chwilę pojawiło się dno pod stopami... i zaraz się usunęło; Lidka znów ujrzała niebo, skały i czytającego na brzegu mężczyznę. „Jestem tuż przy brzegu" - powiedziała swojemu zmniejszającemu się strachowi. „Jestem przy brzegu, umiem pływać, nie mogę utonąć, wypłynę".

- Sa... szaaaa!

Wydało jej się, że nurek rzucił na nią szybkie spojrzenie, a potem odwrócił wzrok. Widział czy nie? A może...

Natarcie fal na chwilę zelżało. Lidka z najwyższym trudem utrzymywała się na powierzchni, ale oddychała...

Boże, on widzi. Widzi, jak Lidka tonie. Przyprowadził ją tu po to, żeby się utopiła. On...

Andriej Zarudny, posiekany kulami. Oczy niby świdry. Czy powiedział coś przed śmiercią? Nie, jak mógł powiedzieć... Ale przecież eksperci utrzymują, że żył jeszcze przez piętnaście minut. Nie może być... Ale bywa... A strzału kontrolnego nie było... Co powiedział? Nic? Szkoda... Papiery... dokumenty... ta dziewczyna znalazła w jego archiwum ciekawy tekst... Może nawet niejeden. Lido, czego szukasz w bibliotece? Wynosić papiery, choćby najmniej znaczące, za próg domu... Nikołaj Iwanowicz Retielnikow. Który ją popchnął i wetknął w skład ekspedycji... i którego imię Sasza wspomniał mimo woli...

Balon z zatrutym powietrzem. Ale tak zatrutym, żeby ekspertyza niczego nie mogła wykazać.

Teraz postanowiono ją zgładzić. Wydano na nią wyrok... Tak naturalnie... prosto... jeden raz nie wyszło, ale niebezpieczeństw jest wiele... zatoka, jama...

- Mamo! - krzyknęła, ostatkiem sił szamocząc się w pienistym kotle. - Mamooooo!

Fala porwała ją i poniosła w krąg, ale Lidka nie miała już sił na to, żeby się sprzeciwiać. Nawet jeżeli teraz uda jej się wypłynąć, Saszy wystarczy parę leniwych ruchów, żeby ją utopić choćby na płyciźnie. Świadków nie ma. Nieszczęśliwy wypadek i tyle...

Oper czytał, a raczej udawał, że czyta. Wydało jej się nagle, że na jego twarzy maluje się lekkie rozdrażnienie: czemu to chucherko nie tonie?

Odwróciła się twarzą w dół i popłynęła w morze. Raz jeszcze zalało jej nozdrza wodą, ale za to ruszywszy z miejsca, wydostała się z przybrzeżnej kipieli. Z lewej i prawej ryczały fale na kłach falochronów, ale między nimi było względnie spokojnie; brzeg się oddalił i Lidka nie musiała już walczyć z falami - po prostu unosiła się na wodzie, oddychała szybko i płakała.

Na brzegu Sasza odłożył wreszcie swoją książkę. Wstał leniwie, spojrzał na zegarek, a potem na Lidkę. Machnął ręką, jakby chciał, rzec: no, dosyć, wyłaź!

Spojrzała na wylot zatoczki. Jasne było, że wpław się stąd nie wydostanie. W taką pogodę, nieludzko zmordowana nie dopłynie... uniesie ją prąd, ciśnie na skały albo po prostu pójdzie na dno, jak worek z piaskiem.. Sasza przyłożył dłonie do ust.

- Iiii-aaa! - doleciało do niej - ...yy-aaa...ooo-yyy:

A jakże. Pomyślała. Już wyłażę.

Przyjdzie tu, żeby ją utopić?! To dla niego ryzyko. Będzie walczyła...

Ale co tam ryzyko... lepiej poczekać z pół godziny. Sama się utopi, bez jego pomocy.

Zobaczyła, że Sasza spluwa. Potem zdejmuje koszulkę i szorty. Zamiast slipów miał na sobie obszerne sportowe spodenki.

- Mamo... - wyszeptała ledwo słyszalnie.

Sasza wszedł do wody. Od razy zanurkował pod falę, potem zanurzył się ponownie i ruszył ku Lidce szerokim kraulem. Wyglądało na to, że morderca w ogóle nie zwraca uwagi na fale.

- Mamo!

Spróbowała odpłynąć dalej w morze, ale otrzeźwił ją widok bałwanów rozbijających się o ostrogi falochronów.

Głowa Saszy mignęła nad falami w odległości dwudziestu metrów. Dziesięciu...

Skazana już Lidka uniosła głowę i spojrzała po raz ostatni na brzeg, morze, skałki i plażę. Wysoko na kamieniach, gdzie pod słońcem usychało z pragnienia jakieś samotne, kolczaste drzewo, widać było wyraźnie ludzkie sylwetki. Z morza nie można było zobaczyć, co to za ludzie i gdzie patrzą - ale ten widok dodał Lidce sił.

Ostatnie pięć metrów Sasza przepłynął pod wodą, jednym długim nurem. Wychynął na powierzchnię tuż przed nią; Lidce wydało się, że patrzy na nią kompletnie obojętnymi, zimnymi niczym ryba oczami. Oczami zabójcy.

- Precz! - wystarczyło jej sił na to, żeby krzyknąć i nawet wskazać ręką na skały. - Tam! Żołnierze! Mają lornetkę! Wszystko zobaczą!

- Odbiło ci?

Był wściekły. Strasznie wściekły i skrajnie rozdrażniony. Lidce wydało się nawet, że widzi ślinę spływającą mu z kącika warg - ale

odwrócił się i spojrzał w stronę brzegu. Wydało jej się też, że przez chwilę przygląda się grupce ludzi, stojących na brzegu.

- Zgłupiałaś, czy co?

- Nie podpływaj - odpowiedziała, nie spuszczając z niego oczu.

- Co?!

- Nie uda ci się mnie utopić - odpowiedziała, czując, że do oczu napływają jej szczypiące łzy. - Zobaczą... nie ruszaj mnie...

Zaklął - tak jak nikt ze znajomych Lidce mężczyzn nie klął przy kobietach.

- Na brzeg! Jazda! A jak nie, to cię przytopię, idiotko jedna, i za kudły wyciągnę na brzeg! No?!

Popłynęła ku brzegowi, po prostu dlatego, że nie miała innego wyjścia. Sasza trzymał się obok, nie za blisko, ale Lidka doskonale wiedziała, że ta odległość jest zwodnicza. Pływak... z pewnością mistrz...

Kolejna fala rzuciła ją ku brzegowi i znów chciała szarpnąć w tył, ale Sasza mocno pchnął ją w plecy. Raz i drugi. Poczuła piasek pod stopami i wczepiła się weń palcami nóg; fala się cofnęła, a Lidka została i do nadejścia kolejnej fali zdążyła zrobić trzy kroki przed siebie. Pochyliła się i upadła na czworaki.

Nowa fala, ostatnia już dla Lidki tego dnia, zbiła ją z nóg i poturlała po plaży. A potem zostawiła ją trzepoczącą się na piasku.

Sasza znów zaklął sążniście za jej plecami. Lidka na oślep, jak mały kotek, odpełzła jak najdalej od morza, dotarła do suchego piasku i padła bezwładnie, niczym wór.

Sasza mamrotał coś przez zęby.

Lidka podniosła głowę, w której huczało jak w dzwonnicy; Sasza wychodził z morza wściekły, gniewnie wyszczerzony i bez gatek.

- No co się gapisz? Fala porwała! Przez ciebie, durna kutwo...

Ruszył przez plaże ku swoim szortom. Lidka leżała, nie mając sił, by się ruszyć... Niczemu już się nie dziwiła.

* * *

- Napiszę raport - warknął Sasza przez zęby. - Całą laboratoryjną robotę wykonuje sam Zarudny. A ta histeryczka powoduje tylko nadzwyczajne wypadki, jeden za drugim. No, powiedzmy, że nie śpi ze swoim mężem i wariuje, kiedy tamten liże się z Walką... ale co to ma wspólnego z pracą?! Co ma wspólnego, pytam! Jednego dnia mdleje, drugiego się topi, trzeciego rzuci się na łeb ze skał, a ty, Wit, ugrzęźniesz po uszy w gównie... I Piotrowi się dostanie za nic. Pomyśl o tym, Wituniu.

Milczeć, milczeć, mówiła sobie Lidka. Jeżeli teraz podniesie głos, zdenerwuje się i zacznie usprawiedliwiać - każde chlipnięcie będzie wodą na młyn Saszy. Milczeć... cierpieć i milczeć...

W sztabowym pokoiku, pośród nagich ceglanych ścian, było mroczno i ciągnęło wilgocią. I basowo brzęczały muchy. Ciszę, jaka zapadła po słowach Saszy, zakłócał tylko ten dźwięk..

- Lido - odezwał się wreszcie Witalij Aleksiejewicz, obracając w palcach mętną, podrapaną soczewkę. - Wyjdź, proszę... Idź się przejść...

Piotr Olegowicz głośno westchnął.

- Nie wyjdę - odparła Lidka cichym głosem.

Witalij uniósł brwi:

- Co?

- Proszę posłuchać... - ze wszystkich sił starała się utrzymać nerwy w garści. - Jeżeli za kilka dni rzeczywiście spadnę ze skały - wiedzcie, że to on mnie zepchnął! On... owszem, wpadłam w jamę i było mi trudno... trudno wypłynąć. Wołałam go! A on siedział i patrzył, jak tonę. I uśmiechał się!

Ostatni szczegół Lidka wymyśliła, ale wymyśliła bardzo przekonująco. Rzeczywiście przypomniała sobie, jak Sasza się uśmiechał, patrząc na jej szamotaninę. Uśmiechał się zadowolony, jak kat.

- Zgłupiałaś, czy co? - zawrzał gniewem nurek. - Tobie potrzebny psychiatra. To, co ci się przywidziało, i co sobie wymyśliłaś, to czyste brednie!

- Wołałam - powtórzyła Lidka szeptem. - Byłabym się utopiła. Wypłynęłam dzięki przypadkowi. Mówię prawdę.

Witalij wypuścił soczewkę na stół.

- Sasza, po kiego czorta poleźliście do tej zatoczki?! Czyj to był pomysł?

- Jego - stwierdziła Lidka jeszcze ciszej.

- Zabrońcie jej w ogóle zbliżać się do wody! - warknął Sasza. - Odesłać ją z kwitkiem, psiakrew. Siedziałem na brzegu i czytałem. Może i krzyczała, ale tam huczał przybój...

- Ale czemu na nią nie patrzyłeś? - zapytał Witalij rozdrażnionym tonem. - Przecież widziałeś, zbierało się na burzę!

- Przecież siedziała tam ze czterdzieści minut! Płytko, sam piasek, i szczur się nie utopi. Skąd mogłem wiedzieć, że to taka...

Umilkł, ale niewypowiedziane przezeń słowo wyraźnie można było odczytać w jego oczach.

- Lido, wyjdź! - polecił Witałij ostrym tonem.

Wstała.

- Sama... sama chcę wyjechać. Zanim on mnie zabije...

Odwróciła się i wyszła, zamknąwszy za sobą drzwi.

Sławka znalazła przy kolumience pompy wodnej. Wiadro dawno już było pełne, a on wciąż gniótł dźwignię, woda przelewała się przez krawędź, podtapiała gumowane tenisówki Sławka i szybko nikła,

wsysana przez suchą, spękaną ziemię.

Sławek spojrzał na Lidkę i nic nie powiedział. Wypuścił tylko dźwignię z rąk, ale woda jeszcze przez chwilkę sączyła się cienkim, zdychającym strumyczkiem.

- Ależ ty wyglądasz - odezwał się wreszcie.

Lidka zerknęła do wiadra. Spojrzała na nią blada, wymizerowana twarzyczka otoczona splątanymi strąkami włosów.

Zaczerpnęła wodę ręką. Przemyła twarz, pragnąc jakoś się otrzeźwić i wziąć w garść, osiągnęła jednak efekt przeciwny do zamierzonego. W końcu usiadła na ziemi, skrzyżowała nogi i skuliwszy się, wybuchnęła płaczem.

Sławek usiadł obok niej i otoczył ramieniem jej plecy. Pogłaskał ją też po głowie, po szorstkich, przesyconych grudkami soli włosach:

- No... nie przejmuj się. Ze mną też tak kiedyś było... niewiele brakowało, a utopiłbym się w płytkim stawie. Dwa metry od brzegu. A Saszka... nie miej mu tego za złe. Jak nikt nie widział, to sam się prawie rozpłakał i strasznie pobladł... Niczego nie słyszał. Bywa tak, że ci się wydaje, iż głośno krzyczysz, a w rzeczywistości z twojej krtani nie wychodzi żaden dźwięk. A tu jeszcze szum morza. Więc nie płacz, wszystko dobrze się skończyło...

Głos Sławka brzmiał tak przekonująco, że i bez tego rycząca jak wariatka Lida okryła się zimnym potem na myśl, że w istocie cała ta historia z utonięciem to tylko głupi przypadek. Jej, idiotce zabrakło sił, by głośno wołać o pomoc, a on zaczytał się i zapomniał o obserwacji kąpiącej się dziewczyny.

Milczała, a Sławek cały czas mamrotał coś uspokajającego; ale jego dotknięcia wydały jej się teraz niemiłe. Przypomniały jej się maślane oczy wesołej Wali; no nie, bydlak z tego Saszy, okropny bydlak! Niech się całuje z całym obozem, z Walą albo choćby z Piotrem Olegowiczem. Co to, zazdrość, czy co?

Z niskich drzwi sutereny wyszedł Witalij. Skrzywił się boleśnie, kiedy promienie słońca chlusnęły mu w twarz; za nim pojawił się chmurny Piotr Olegowicz. Jego biały tenisowy podkoszulek ściemniał pod pachami od potu.

- Więc tak, laborantko Zarudna - oznajmił Witalij, wwiercając się w jej twarz swoim świdrowatym spojrzeniem. - Do końca ekspedycji nie zostało już tak wiele czasu. Żadnych incydentów i przedwczesnych powrotów ani ja, ani Piotr Olegowicz sobie nie życzymy. Bądź więc uprzejma trochę pocierpieć i ostatnie dni przesiedź w laboratorium. Do morza się nie zbliżaj i nie podchodź do motorówki. Mam nadzieję, że więcej wypadków nie będzie?

Piotr Olegowicz unikał jej wzroku, ale Witalij patrzył na nią tak, jakby zamierzał w jej twarzy osadzić dwa stalowe trzpienie. Lidka zrozumiała, że nie zdoła się powstrzymać od cichej zemsty. Musi mu

odpowiedzieć teraz, nawet wobec perspektywy wstydu i kolejnych drwin.

- Widziałam resztki Zwierciadła - tam, we Wrotach - stwierdziła, patrząc Witalijowi prosto w oczy. - Ja *widziałam,* a wy nie.

Piotr Olegowicz skrzywił twarz, jakby zrobiło mu się wstyd za dziewczynę. Tak niełądnie, dziecinnie kłamać, na poczekaniu wymyślać bajeczki, żeby tylko podnieść swoją wartość...

Obaj mężczyźni odwrócili się i bez słowa ruszyli przed siebie.

- Po co to wszystko? - znużonym głosem zapytał Sławek. - Milczałabyś chociaż... a ty... ot, pleciesz, co ci ślina na język przyniesie.

- Widziałam - powtórzyła Lidka, która w jednej chwili się uspokoiła. - Gdyby nie świństwo, które ten drań domieszał mi do butli...

- To paranoja! - rzucił Sławek gniewnym, wrogim głosem. - Kto miałby ci dodawać coś do powietrza?! Jutro się okaże, że zatruto ci sałatkę!

Urwał nagle.

Obok stal Witalij. Pobrudził podkoszulek na brzuchu i dlatego żółta mysz wyglądała jak palacz po zmianie...

- Zarudna... pozwoli pani ze mną.

* * *

Błyszcząca siatka. Pajęczyna, miejscami porwana, miejscami idealnie gładka i migocząca w promieniach słońca. Migotania Lidka narysować nie potrafiła, ale w sumie wyszło dość podobnie. Szczególnie, jeżeli uwzględnić jej słabą pamięć wzrokową, o której Lidka wiedziała jeszcze z czasów licealnych.

Oczywiście, nie dało się narysować dźwięków. Na domiar wszystkiego Lidka za nic nie mogła sobie ich przypomnieć.

- Dlaczego od razu mi nie powiedziałaś? - zapytał ostro Witalij.

- Zapomniałam. Butla, zatrucie i...

- Nie było żadnego zatrucia! Nie pleć bzdur. Żeby otruć człowieka na głębokości pięciu metrów, trujący gaz musiałby być skondensowany, a ekspertyza nie wykazała prawie niczego!

- Prawie?

- Niczego, co mogłoby wywołać taką reakcję!

- A jeżeli on podmienił butle przed ekspertyzą?

- Histeryczka... - stwierdził Witalij zmęczonym głosem. - Z ogromną satysfakcją wyprawiłbym cię z powrotem.

- No to niech pan wyprawia! - Lidka pogładziła kartkę ze swoim niezbyt udanym rysunkiem. - Znajdę ludzi, którzy mi uwierzą!

- Dawaj!

Witalij prawie wyrwał kartkę z jej rąk. Podniósł ją ponownie do

oczu z takim wyrazem, jakby musiał wbrew sobie ssać obrzydliwie słodki cukierek.

- Pan nie po raz pierwszy widzi coś takiego - stwierdziła Lidka cichym głosem.

Witalij wzruszył ramionami.

- Różne rzeczy człek widuje... Owszem, zetknąłem się już z czymś podobnym. W raportach o starych artefaktach Wrót, które badano w ciągu kilku kolejnych cykli, aż w końcu machnięto ręką i otworzono je dla turystów. Był tam oddzielny zbiór rozmaitych szalonych wersji. I jakiś stuknięty, podobnie jak ty, widział... pajęczynę. Co prawda pełniejszą niż twoja. I była tam jeszcze specjalna teczka zatytułowana „Omdlenia w prześwicie". Wszystkiego osiem albo dziewięć przypadków. Straciłaś przytomność pod wpływem działania Wrót. Odczep się od Saszki.

- I teraz nie dopuścicie mnie do Wrót na odległość armatniego wystrzału? - jadowicie spytała Lidka.

Witalij tylko się skrzywił.

* * *

W nocy przyśniło jej się dziecko. Chłopczyk, mający może półtora roku, w krótkich, trzepoczących na wietrze porteczkach. Stał pewnie na krzepkich, nieco krzywych nóżkach, na prawym kolanku miał na poły zabliźnioną, posmarowaną maścią ranę. W jednej rączce miał jaskrawożółtą plastykową łopatkę, w drugiej gumowego, piszczącego kotka. Krótko ostrzyżone, jasne włosy, duża okrągła głowa, spokojne i beznamiętne oczy, a twarz - maleńki portret Andrieja Zarudnego albo może Sławka, wszystko jedno. Pulchniutka rączka mocniej zgniata gumową zabawkę, kotek wydaje przeraźliwy pisk... jeden, drugi i trzeci...

Obudziła się. Nad namiotem hulał wiatr, ale przeciągły pisk wisiał jej jeszcze w uszach...wymyślony dźwięk, który jej się przyśnił. A Sławka obok nie było.

Odsunąwszy na poły zasznurowaną klapę, na czworakach wypełzła na zewnątrz.

Wszystko to bzdury, te opowieści o tym, że bezdzietnej kobiecie obowiązkowo będą się śnić jej nieurodzone jeszcze dzieci... Chociaż... miałby teraz roczek albo półtora roku. Ślinił by się, bawił grzechotkami, gryzłby gumowe krążki... i to wszystko. Nie byłoby niczego innego, ani uniwersytetu, ani pracy, ani ekspedycji.

A po cholerę komuś ta ekspedycja? Powiedzmy, że dokonali dokładnych pomiarów pozostałości po Wrotach. Określili, że niczego ciekawego sobą nie przedstawiają, kamień jak kamień, ludzkość stworzyła takich łuków od licha i jeszcze trochę. Zrozumieć natury Zwierciadła nie jesteśmy w stanie... a zresztą, nie masz go tutaj, tego

Zwierciadła, tylko same domysły...

W półmroku przedświtu świeciło się tylko jedyne okienko w pomieszczeniu sztabu. Sławka nie było widać, a w pewnej odległości majaczyła pomarańczowa kopuła namiotu Walentyny.

Lidka wróciła na posłanie, zwinęła się w kłębek i zamknęła oczy.

* * *

I tym razem nie obeszło się bez obecności Saszy. Siedział za sterem motorówki, a Lidka usadowiła się na burcie i udawała, że go nie widzi. Lekki wietrzyk rozwiewał jej włosy - nareszcie umyte w szamponie; wiedziała, że wygląda efektownie, ale efekt rozwieje się w nicość, gdy tylko da nura w wodę. Potem włosy oblepią jej głowę i szyję, zmyją się też ślady tych minimalnych zabiegów kosmetycznych, którym wbrew zdrowemu rozsądkowi poddała dziś rano oczy i usta. Przed podwodną wyprawą głupio jest się malować, Lidka jednak chciała dziś zaprezentować wszystkim swoją niezależność i urodę.

I trzeba przyznać, że swój cel osiągnęła. Technik Siergiej spoglądał na nią z zainteresowaniem, kierowca Walery odprowadził wysztafirowaną laborantkę długim, zdziwionym spojrzeniem i nawet Piotr Olegowicz uśmiechnął się, pomagając jej przejść z pomostu na pokład motorówki. Witalij zachował profesjonalny, niewzruszony wyraz twarzy, a Sasza zachowywał się tak, jakby Lidka w ogóle nie istniała.

Sławek zaś... Sławka nie widziała od rana.

I bardzo dobrze. Lidka doszła do wniosku, że już go nie potrzebuje. Sławek jest... opracowanym i zużytym materiałem.

Może lekko się burzyło. Lidce przyczepiono do pasa linkę zabezpieczającą. Piotr wziął kamerę, a Witalij podał Saszy lornetkę:

- Uważaj na wszystko...

Sasza kiwnął głową, nie wypuszczając papierosa z ust. Spojrzawszy na horyzont, kiwnął głową:

- Czysto... Jazda w dół.

Zanurkowali prawie jednocześnie. Tylko Lidka zamarudziła na chwilę i pochwyciła uważne i lekko pogardliwe spojrzenie Saszy.

Dobrze byłoby już nigdy go nie zobaczyć, tego opera podwodnika. Nigdy w życiu.

Zielonkawa, lekko opalizująca cisza szybko ją uspokoiła. Co dziwne, już się nie bała otchłani, choć w zasadzie powinno być na odwrót; po tamtym wypadku spodziewała się panicznego strachu przed zanurzeniem.

Obok niej, połyskując płaskimi bokami, mignęła ławica rybek.

Rytmicznie kołysały się podwodne lasy. Ciasno splecione łańcuszki bąbelków unosiły się ku górze - było ich wiele i każdy przedstawiał sobą modelik tęczowego, pozbawionego szaleństw

światka; gdyby nie maska, Lidka pewnie by się uśmiechnęła.

Piotr i Witalij płynęli obok - i nie sposób było rozpoznać w jednym znanego archeologa, a w drugim opera o przenikliwym, nieprzyjaznym spojrzeniu. Byli jednakowi i równi sobie - dziwne istoty o płaskich szklanych twarzach, miarowo przebierające błonami płetw. Protezami płetw. Człowiek nie jest jeszcze rybą, ale pływa już zupełnie przyzwoicie.

Lidka znów z trudem powstrzymała się od uśmiechu. I mocniej zagryzła ustnik.

Wrota były widoczne z daleka - morze zachowało przejrzystość. Każdy zajął się swoim wcześniej ustalonym zadaniem: Piotr z kamerą okrążył łuk i zatrzymał się naprzeciwko prześwitu, żeby jednocześnie objąć kamerą Wrota i wpływającą w nie Lidkę.

Była pewna, że tym razem nic się nie stanie. Przypadki bywają złośliwe; przez pewien czas powisi w prześwicie Wrót, a potem strzałka manometru przypomni jej, że czas na powrót. Podpłyną do motorówki, nie patrząc jedno na drugie, wejdą na jej pokład, a Sasza zerknie znacząco spod długiego daszku swojej długiej, plażowej czapeczki; myśl o jego spojrzeniu sprawiła, że Lidka poczuła się nieswojo. Zabezpieczająca linka, przymocowana do jej pasa, nagle wydała jej się sznurem ograniczającym swobodę jej ruchów - i w jej głowie pojawiła się nieprzyjemna myśl, że TAMTEN trzyma drugi koniec cienkiej plecionki. No, niech im będzie - Lidka jest panikarą i paranoiczką, niech im będzie, że Sasza wcale nie chciał jej zabić... Ale mimo wszystko - stało się dostatecznie wiele i powiedziano kilka rzeczy, których cofnąć się nie da. Żeby choć ten drań się utopił.

Słyszała szmer wydobywającego się na zewnątrz powietrza. Maska nieco ją dławiła i przepuszczała wodę, ta zaś zalewała szkło od środka, przeszkadzała w obserwacji otoczenia i nie było sposobu, żeby się jej pozbyć - to znaczy, owszem, doświadczony nurek potrafiłby to zrobić, wykonując dość skomplikowany i niebezpieczny manewr, ale takie sztuczki były poza zasięgiem młodej laborantki. Doszła do wniosku, że musi się z tym jakoś pogodzić.

Piotr podniósł rękę, zgłaszając swoją gotowość do działania. Lidka ruszyła przed siebie, starając się oddychać jak najbardziej spokojnie i równo. Choćby nie wiadomo co, i tak nic z tego nie będzie.

Lekko się przeliczyła i przeskoczyła dalej, niż zamierzała. Odwróciwszy się na plecy, przez chwilę widziała słońce spod powierzchni wody. Zobaczyła też ciemne dno motorówki; rozłożywszy ręce, jednocześnie dotknęła kamiennych kolumn Wrót. Te Wrota były tak wąskie, że przejść obok siebie mogło przez nie najwyżej trzech ludzi jednocześnie.

W następnym ułamku sekundy Wrota rozdęły się i rozjechały na boki, jak drzwi pospiesznego tramwaju. Przejście zrobiło się szerokie

jak ulica, ale najbardziej niezwykłe było to, że Lidka jak przedtem dotykała dłońmi kamiennych kolumn. Jej ręce, wierne i znane jej od dzieciństwa, rozciągnęły się niczym gumowe liny, dziewczyna ze strachem spojrzała na lewą, a potem na prawą dłoń - obie były dziwnie daleko i obie wydały jej się drobniutkimi, jak rączki lalki, a przecież wiedziała, że woda powiększa widok przedmiotów.

Wypuściwszy ze zdumienia całą fontanną perełkowych pęcherzyków, Lidka cofnęła dłonie i uniosła je do oczu. Ręce natychmiast okazały posłuszeństwo, czyli jak przedtem należały do niej; co prawda, przez palce dłoni prześwitywał zarys złotej pajęczyny, a ponad szelest unoszących się ku górze bąbelków wybijały się teraz dźwięki, których żadną miarą być tu nie powinno. Długi akord.

Oddychać. Równo, głęboko. Żadnych nadzwyczajnych wypadków.

Podciągnęła się ku przodowi, jakby chciała dźgnąć palcem obiektyw kamery. Ale przed nią, ani w górze, nie było niczego - ani Piotra, ani słońca nad wodą. Została tylko wyciągnięta przed nią ręka - niezwykle gruba, jakby rozmazana na szkle.

„Mam dość".

Uderzyła wodę płetwami - mniej więcej tak, jak wali ogonem ryba, która trafi do przezroczystego, polietylenowego worka. Jeszcze przez kilka sekund ogarniętej strachem dziewczynie wydawało się, że już koniec - niczego nie ma, serce nie bije - oto ona, przeciwległa strona Wrót, senny świat, w którym raz już była, ale dokąd nie chciałaby wracać.

A potem okazało się, że coś ją ciągnie wbrew jej woli. Cienka linka napinała się i z każdym szarpnięciem mocniej wrzynała się w jej nagi brzuch.

Oto ona - prześwietlona przez słońce, daleka powierzchnia. A oto i dno motorówki - jeszcze bardziej odległe. W górę ciągną się dwa perłowe drzewka, z wąskiej piersi Piotra i nieco tęższych płuc Witali ja. Trzecie - nad jej głową; ale widzi je niezbyt dobrze z powodu wody, która dostała się pod maskę. Dłoń odruchowo unosi się ku górze, żeby przetrzeć oczy - i natyka się na szkło.

Jej towarzysze - nie mogła się zorientować, kto jest kim, dopóki nie zobaczyła kamery na rzemieniu - spieszyli ku niej z obu stron. Linka na chwilę zwolniła napór, a potem szarpnęła ją z nową siłą. Jeden z pływaków - najpewniej Witalij - machał dłonią przed nosem Lidki, pokazując w górą i nakazując natychmiastowe wypłyniecie; ale pod wodą jego ruchy wydawały się jej jakieś zwolnione, rozmyte i nie dość naglące.

W tej chwili drugi z pływaków wyciągnął rękę, pokazując coś, co znajdowało się za plecami Lidki. Obejrzała się.

Pod wodą ich cielska wydały jej się niespodziewanie wielkie. Każdy był wielkości ciężarówki, na której przywieziono do Rassmortu

ruchomy agregat prądotwórczy.

Linka znów ją szarpnęła. Pas werżnął się w jej ciało i niewiele brakowało, a z bólu przegryzłaby ustnik. Jeden z jej towarzyszy śmignął w górę niczym torpeda - tylko zatrzepotał płetwami. Piotr Olegowicz. Lidka zobaczyła powoli opadającą na dno kamerę.

Czarna, lśniąca istota zawisła w wodzie w odległości jednego metra od Lidki. Być może zresztą tylko jej się tak wydało - wzrok pod wodą płata figle. Ciemna paszcza była ogromna jak czerpak koparki. W następnym ułamku sekundy dalfin odwrócił się do niej bokiem i rzucił jej ostre spojrzenie maleńkiego oka. Przez chwilę patrzyli na siebie - i Lidka gotowa była dać sobie uciąć rękę za to, że zwierzę patrzy na nią ze zdziwieniem i badawczo. Wolne zwierzę, jedyna istota wyższego rzędu, która potrafi przeżyć bez Wrót...

Potem pofrunęła w górę - ciągnęła ją linka i popychał oper Witalij. Lidka nie bardzo umiałaby powiedzieć, co sprawia jej więcej bólu.

Następnie jej głowa wyskoczyła nad powierzchnię. Natychmiast zdjęła maskę; okazało się, że motorówka jest niespodzianie daleko, ale zupełnie dobrze było widać jak mokry, żałośnie wyglądający Piotr kręci zajadle korbką wyciągarki, a Sasza stoi, wparłszy nogę w burtę i jakby odpoczywa. Lidkę szarpnięciami ciągnęło po falach - w taki sposób karano podobno kiedyś krnąbrnych marynarzy; obok płynął Witalij, za którym chyba ciągnął się pienisty ślad jak za ślizgaczem.

Nad falami mignęło lśniące wrzeciono. Dalfin wyskoczył wysoko, na półtora metra, i zanim zdążył zapaść się pod wodę, w jego boku pojawiły się trzy niewielkie, bluzgające krwią dziurki.

Lidkę ciągnęło tyłem i zdążyła wszystko doskonale zobaczyć. Nad wodę wzbiło się gibkie, żywe ciało - a zanurzyło się rozpaczliwie drgające i zdychające już mięso, ostatkiem sił jeszcze trzymające się życia, szamoczące się w wodzie, która szybko przybierała brudno-czerwony odcień.

A może te krwawe szczegóły stworzyła jej wyobraźnia? Kiedy zdążyłaby to wszystko zobaczyć?

Tuż obok pojawił się nieznacznie wynurzony z wody czarny grzbiet. I Sasza ponownie zdążył wystrzelić.

Lidkę wyciągnięto ma pokład ścigacza, przy czym wydało jej się, że na burcie zostały strzępy jej skóry; co oczywiście było znów dziełem jej rozhuśtanej wyobraźni.

Witalij zerwał płetwy. Tak jak stał, nie zdejmując butli, rzucił się do steru. Motor kichnął i wysoka fala rzuciła ścigaczem tak, że niewiele brakło, a Lidka znów znalazłaby się za burtą.

A może to nie była fala?!

Sasza wystrzelił jeszcze raz. A potem ponownie dał ognia - Lidka widziała jego skupioną twarz zadowolonego z wykonania zadania

mordercy.

Motor zagrał sprawnie, ścigacz uniósł dziób i targnął ciążącą mu kotwicą. Sasza puścił pistolet i ruszył ku Lidce - dziewczyna wcale by się nie zdziwiła, gdyby i ją teraz zastrzelił. Ale zamiast tego szczupły oper przestąpił przez nią jak przez worek śmieci i podskoczywszy do burty, zrobił coś z liną kotwiczną.

Motorówka skoczyła przed siebie tak, że Sasza omal nie wleciał do wody.

Dalfiny odpływały w morze, uprowadzając ze sobą rannych towarzyszy. Dwóch, trzech? Lidka nie miała pojęcia, ilu postrzelił Sasza.

Patrzyła z tyłu na jego opalone plecy, na których wyraźnie widać było łańcuch kręgów kręgosłupa.

Pistoletu nie odłożył. Trzymał go w opuszczonej prawej ręce.

* * *

D. - jedyne stworzenia wyższego rzędu, które zaadaptowały się do apokalips. Zgodnie z fizjologią i anatomią dorosłe osobniki należałoby zaliczyć do ssaków, ale D. są - choć może się to wydać dziwne - jajorodne. Cykl rozwoju D. dokładnie przypomina cykl rozwojowy owada; raz na dwadzieścia lat samice D. składają jaja, w przeddzień apokalipsy. Kryzysowe zmiany w otaczającym środowisku, a niekiedy ich zwiastuny, powodują, że z jaj wykluwają się larwy D. - glefy. W najgorętszym okresie kryzysu glefy opuszczają rodzime środowisko i wychodzą na ląd. Larwy D. są śmiertelnym zagrożeniem dla wszystkiego, co żyje. Niezwykle odporne na obrażenia i rany, nieczułe na wysokie temperatury, nie potrzebują się ukryć i przeżywają apokalipsy na zewnątrz. Do morza wracają po ustaniu aktywności sejsmicznej. Kolejny stopień rozwoju, to poczwarka, wewnątrz której D. przebywa około dwóch miesięcy, po czym na świat wyłania się osobnik dojrzały.

D. pozostaje jednym z najbardziej tajemniczych mieszkańców naszej planety. Pochodzenie D. i natura jego mechanizmów adaptacyjnych do tej pory nie są jasne. Brak informacji rodzi najrozmaitsze domysły. I tak D. stały się prawdziwym skarbem dla pisarzy fantastów, którzy w najbardziej nieprawdopodobnych domysłach przypisywali tym stworzeniom to rozum, to pochodzenie z kosmosu, to wreszcie mistyczną więź z Wrotami... a niekiedy wszystko to naraz.

[Mała Encyklopedia Popularna, str. 271]

* * *

Wieczorem wyszły na brzeg kraby. Wyglądało to tak, jakby same kamienie zyskały nagle zdolność ruchu, podniosły się na członiaste

nogi, wywaliły na wierzch wypukłe, bezmyślne ślepia i gromadnie polazły tam, gdzie na brzegu leżał wyrzucony przez fale trup dalfina.

Archeolog Piotr Olegowicz pił czysty medyczny spirytus i płakał. Okazał się dziś tchórzem, porzucił towarzyszy w wodzie i utopił przydziałową kamerę z cennymi zapisami. Archeolog był bliski popełnienia samobójstwa, choć nikt nawet nań nie spojrzał z naganą we wzroku, nie mówiąc już o ustnych wymówkach.

Zabójca Sasza był trzeźwy. Siedząc przed hangarem, demonstracyjnie czyścił pistolet. Rozebrana broń, leżąca na pokrytej plamami oliwy ziemi, budziła w Lidce odruch sprzeciwu. W precyzyjnie rozłożonych częściach było coś z anatomicznej patologii; wieczory nad morzem zawsze ją uspokajały, ale teraz nie można było się skryć przed gniewnie krążącymi w oddali mewami, ani przed Saszą z jego pistoletem.

Wróciwszy do sztabu, zajęła się sprawami obojętnymi; sprzątając w laboratorium, próbowała zaprowadzić porządek w swoich myślach.

Obok, za ażurową ścianką, śmiała się Walentyna. Wołała kogoś na wieczorne posiedzenie - odpowiadały jej głosy Siergieja i Walerki. Sławka nie usłyszała.

Potem bezgłośnie otworzyły się drzwi. Odwróciła się, oczekując, że zobaczy męża, ale okazało się, że zamiast niego na progu stoi Witalij. Żółta mysz na jego podkoszulku wyliniała do barwy blado cytrynowej.

- Pisz. - Witalij usiadł bez zaproszenia, wyciągnął przed siebie nogi i położył na stoliku przed Lidką kartkę papieru, pokrytego linijkami nieczytelnego druku. Podał jej też długopis.

- Co mam pisać? - zapytała Lidka.

- Kronikę wydarzeń - ponurym głosem stwierdził Witalij. - Od momentu zanurzenia. Kończąc na chwili, w której wyszliśmy na pomost.

- I jak mam to zatytułować: „Zapiski objaśniające”? - spytała Lidka jadowicie.

Witalij podniósł na nią spojrzenie oczu ponurych, jak reflektory karawanu. Pod naporem jego wzroku Lidka kiwnęła głową, usiadła na krześle i przysunęła kartkę do siebie.

- Takiego to a takiego, o takiej i takiej godzinie - zaczął jej dyktować Witalij - wykonując takie to a takie zadanie, ja, taka a taka, razem z takimi to a takimi członkami ekspedycji...

- Wyszłam tam i tam, i zrobiłam to i to - wymamrotała przez zęby.

- Pisz - stwierdził Witalij, bez cienia uśmiechu w głosie.

Przez jakiś czas w laboratorium panowała cisza. Ciągnęło papierosowym dymem, przy czym papierosy były, co Lidka stwierdziła nosem, mentolowe. Wala.

Doszła do momentu, w którym „wykonując zadanie przybliżyłam się do obiektu i zatrzymawszy się w prześwicie przejścia, dotknęłam obiema dłońmi...”

Przerwała pisanie i ostrożnie odłożyła długopis.

- Witaliju Aleksiejewiczu... przecież to brednie. Za taki meldunek wsadzą mnie na zamknięty oddział w szpitalu psychiatrycznym.

- To nie meldunek ani raport - Witalij lekko zmarszczył czoło. - To... mniejsza, niczym się nie przejmuj. Po prostu opisz wszystko, dokładnie i ze szczegółami.

Lidka opuściła głowę.

Wspominanie tego, co zdarzyło się we Wrotach, nie należało do przyjemności. I niełatwo było uporządkować wspomnienia, by przenieść je na papier.

- Muszę coś pokreślić - stwierdziła, jakby się usprawiedliwiając.

- Wybaczą ci to - stwierdził Witalij rzeczowo. - Pisz. Kilka następnych minut minęło w milczeniu. „Potem straciłam orientację... pogubiłam się.”

Ponownie odłożyła długopis.

- No, a o dalfinach... też trzeba napisać?

- Trzeba - stwierdził surowo Witalij. - Wszystko. Kto gdzie płynął i kto w co strzelał...

Lidce wydało się, że na ustach Witalija pojawił się nikły uśmieszek. Nie wiadomo, czy Saszę przedstawią do nagrody, czy za te strzały wsadzą go do paki. Ale Witalij wie na ten temat coś, o czym Lidka nie ma pojęcia.

Westchnęła. Na kartce nie było już wiele miejsca, więc kolejne wiersze musiała pisać coraz drobniejszym pismem.

- Podpisz się z datą.

Wziąwszy z jej rąk ciasno zapisaną kartkę, Witalij przez chwilę wodził po niej wzrokiem. Zadowolony z siebie i z niej, wstał i ruszył ku wyjściu, nawet się nie pożegnawszy.

- Więc to nie bzdury? - zapytała Lidka, patrząc na jego plecy.

- Twoim zadaniem - rzucił Witalij już z korytarza - jest wszystko dokładnie opisać. A ocena i klasyfikacja, to już nie twoja sprawa. Ale możesz uważać, że jestem z ciebie zadowolony.

- A ja gwiżdżę na pańskie zadowolenie - stwierdziła już w pustkę.

Przez pewien czas siedziała, patrząc tępo w pokryty zaciekami sufit. Potem pod oknem zapłakało dziecko.

Halucynacja, pomyślała Lidka, oblewając się potem. Teraz już na jawie...

I z całej siły walnęła pięścią w stół. Laboratoryjne szkło w stojakach jęknęło żałośnie; a dzieciak rozdarł się z nową siłą, przy czym nie było to dziecięce bezmyślne gaworzenie, ale solidny basowy wrzask przynajmniej rocznego berbecia.

Lidka podeszła do okna, pchnęła zapyloną ramę i wpuściła do izby ciepłe, wieczorne powietrze.

Z technikiem Siergiejem rozmawiał przyjaźnie jakiś oficer w polowym mundurze. W pewnej odległości stał wojskowy gazik, a gruba kobieta kołysała na poły gołego, urażonego czymś dzieciaka. Kobieta miała na sobie obcisłą dżinsową suknię, z której przy odrobinie starań dałoby się uszyć spodnie dla wszystkich członków ekspedycji.

Dzieciak jakoś się uspokoił - przed chwilą darł się gniewnie, a teraz śmiał się i radośnie kiwał główką. Matka opuściła go na ziemię, on zaś ruszył dziarsko przed siebie chwiejnymi kroczkami, depcząc piasek różowymi piętusiami.

Lidka zamknęła okno, aż jęknęły zakurzone szyby.

* * *

Dopiero teraz pomyślała o tym, że wszyscy osobnicy są bardzo młodzi. Jeszcze niedawno leżeli spowici w swoje „larwalne" pokrywy, gdzieś głęboko na dnie, gdzie nie dotrze żaden człowiek. A potem urodzili się po raz trzeci, rówieśnicy i członkowie jednego pokolenia, pozbawieni życiowego doświadczenia i wiedzy innej poza tą, którą zawierają instynkty.

A gdyby ludzkość umiała to samo? Gdyby wszyscy dorośli ginęli podczas apokalipsy, a przeżywaliby jedynie jeszcze nieurodzeni - jak larwy? Poczynania takich dzieci byłyby z pewnością straszne. Niczym zwierzęta, cały dany im okres walczyliby o przeżycie. Przez całe dwadzieścia lat - do kolejnej apokalipsy. Uwieńczeniem ich wysiłków byłyby nowe inkubatory. Potomstwo, któremu nie dane byłoby zobaczyć swoich rodziców.

A gdyby jednak?!

Lidka zagryzła wargi.

Ze swojego miejsca na ścieżce widziała tylko obwisły już czarny bok. I niespieszno jej było podchodzić bliżej, wiedziała, że kraby robią swoje, a mewy wyżerają dalfinie oczy, tak niedawno jeszcze patrzące na nią ze szczerym zdziwieniem. Nie wiedziała, skąd bierze tę niemal pewność, ale czuła, że tam, na kamieniach, leży właśnie *on.* Jej znajomy.

A może to była *ona!*

Wrota. Dalfiny. Wrota. Glefy. Przerażające ludzi wszystkożerne stwory, które można zatrzymać tylko huraganowym ogniem z broni maszynowej wielkiego kalibru. A jeżeli pod ręką nie ma cekaemu? „Glefy rozprawiają się z mieszkańcami wioski. Płótno, olej. Nie pokazywać niepełnoletnim".

A jeżeli one już wtedy były rozumne? A co, jeżeli były po prostu nigdy nie mającymi rodziców dziećmi, które przyszły popatrzeć sobie

na obcych? Wielkimi, silnymi, niemądrymi i zbitymi w gromadę dziećmi!

Stwierdziła, że powoli cofa się po ścieżce. A mewy, które spłoszyła, szybko wracają do darmowego posiłku. A przed hangarem jak przedtem na składanym stołeczku siedzi Sasza, trzymający na kolanach niedawno wyczyszczony pistolet.

Zatrzymała się pięć metrów od niego.

Nie wiadomo dlaczego, mordercę ciągnie na miejsce przestępstwa, a motyle do ognia. Powinna przejść, nie zatrzymując się, nie patrząc w jego stronę i wrócić do martwego osiedla, do sztabu. Zamiast tego przystanęła i spróbowała wsunąć ręce do kieszeni - ta poza zawsze dodawała jej pewności siebie. Zapomniała, że ma na sobie będące kiedyś dżinsami szorty, w których po kieszeniach zostały tylko mizerne zaszywki.

W pewnej odległości łaziły po piasku mewy. Lidka nagle zrozumiała, że aż do zgrzytu zaciska zęby i zaraz mu powie, żeby... Zaraz mu powie...

Sasza podniósł głowę. Bez żadnego wyrazu twarzy spojrzał na Lidkę, potem na pistolet. I znów popatrzył na Lidkę.

- Wybacz - powiedział bezbarwnym głosem. - W sztabie... mówiłem, co mi ślina na język przyniosła. Ze złości. Nie trzeba tak było. Więc... wybacz mi.

Gdyby podniósł pistolet i strzelił jej w czoło, zdziwiłaby się znacznie mniej.

* * *

Poranny wyjazd na obiekt skończył się po niecałej godzinie. Lidka była w laboratorium, gdy od brzegu nadleciał podniecony do granic możliwości Sławek; po chwili oboje gnali po ścieżce w dół - Lidka przyciskała do brzucha apteczkę, która wedle wszelkich zasad bezpieczeństwa powinna się znajdować na motorówce, ale ze względu na upał zostawiono ją gdzie indziej.

Na całe szczęście obeszło się bez apteczki.

Gdy Sławek z Lidką dobiegli do pomostu, Witalij siedział już na deskach, blady jak śmierć, ale przytomny. Odmówił powąchania zaproponowanego mu amoniaku:

- W skrzynce... na motorówce... Dlaczego apteczka nie była na miejscu?!

Słowa, które zabrzmiały jak majaczenie, w rzeczywistości okazały się swoiście wyrażoną naganą dyscyplinarną. Rolę lekarza w ekspedycji miał pełnić Piotr, ale za bezpieczeństwo podczas zanurzeń odpowiadał Sasza, a ten najwyraźniej uznał, że skoro ma przy sobie pistolet, to amoniaku nikt już potrzebował nie będzie.

Przycumowana do pomostu motorówka tłukła burtą o pale, aż

drżały deski pod stopami. Witalij odszukał wzrokiem spojrzenie Lidki.

- Pietia... - odezwał się, nie odwracając spojrzenia. - Złapałeś?

- Tak, tak - pospiesznie zapewnił go archeolog. - Tylko... pozornie nic się przecież nie działo, Witku. Z zewnątrz niczego nie było widać...

- Wrota? - zapytała Lidka cichym głosem.

Witalij spojrzał w bok:

- Tam są resztki Zwierciadła... Wiecie co, pogłaszczą nas po główkach za tę ekspedycję, sypną nagrodami. A my przecież niczego nie poznamy i niczego się nie dowiemy.

W pół godziny później wszyscy już zdążyli obejrzeć taśmę wydobytą z drugiej, zapasowej kamery wideo. Witalij krzywił się niemiłosiernie, oddychał głęboko i łykał jedną za drugą tabletki od bólu głowy; najwyraźniej dostało mu się gorzej niż Lidce. Na filmie bardzo dobrze było widać, jak ktoś w akwalungu wpływa we Wrota, zatrzymuje się w prześwicie, na chwilę nieruchomieje, dotykając dłońmi kamiennych framug, a potem nagle wzdryga się gwałtownie i wiotczeje, powolutku i bezwładnie odwracając się na plecy, puszczając ku powierzchni bąbelki powietrza i nabierając wody w płuca. Na tym zapis się kończył. Znajdujący się wtedy pod wodą Piotr i Sasza szybciutko wytaszczyli Witalija na powierzchnię i podciągnęli do motorówki. Topielec sam zaczął oddychać, ale nie odzyskiwał przytomności, co ratownikom przysporzyło kilku nieprzyjemnych chwil.

- Lidko - odezwał się Witalij, gdy emocje zebranych w sztabie nieco opadły. - Będę miał do ciebie kilka dyskretnych pytań. Ciekawią mnie twoje wrażenia jako biosensora.

- Kogo? - zapytała Lidka, nie bez wewnętrznej rezerwy. Na uniwersytecie zdążyli już jej wpoić zaciekłą wrogość do wszelkiego rodzaju pseudonaukowych terminów.

Witalij tylko się uśmiechnął.

Było południe. Wystarczyło to jedno słowo, a Lidka usłyszała dźwięk żółtych, rozpalonych dzwonów. W pożółkłej trawie brzęczały cykady. Rozgrzane pasma powietrza drgały nad pokrytym betonem placykiem, nad dachem autobusu i bokami przewoźnego agregatu prądotwórczego. Lidka nasunęła czapeczkę na sam nos.

Witalij odprowadził ją w cień sękatej jabłoni, której udało się przetrwać *mrygę*. Ludzie, którzy swego czasu gotowali kompot z jej jabłek, odeszli w pustkę i drzewo, jakby będąc tego świadome, kołysało teraz wśród swoich gałęzi jedno jedyne, zielone jabłko. „Chcecie owoców? To właźcie".

- Więc tak, Lido... Wtedy, kiedy po raz pierwszy „odpłynęłaś" we Wrotach, byłaś czymś poruszona emocjonalnie? Coś tobą wstrząsnęło?

Lidka spojrzała nań w sposób wyrażający całkowite niezrozumienie.

- Widzisz, za drugim razem, po tej historii w zatoce, kiedy - sądząc z twoich własnych słów - omal się nie utopiłaś; to jest zrozumiałe. Byłaś silnie wzruszona. A za pierwszym razem?

- Po raz pierwszy zobaczyłam Wrota - odparła szeptem. - I w ogóle... wtedy po raz pierwszy pozwoliliście mi się zanurzyć.

Witalij kiwnął głową.

- Ach tak... rozumiem.

I umilkł, myśląc o swoich sprawach.

- Emocjonalny stan? - podsunęła cicho Lidka. - Znaczy, kiedy człowiek jest czymś silnie poruszony?

Sasza, Piotr i ona sama przechodzili przez Wrota i zatrzymywali się w nich, zresztą i sam Witalij robił to niejeden raz. Ale nie wiadomo dlaczego, „odpłynął" dopiero teraz, doznał podobnych halucynacji, co Lidka. Może zresztą nie była to do końca halucynacja.

- A wam co... coś się stało? - zapytała cicho.

Witalij milczał.

- Czy ta strzelanina... do dalfinów?

Oper westchnął głęboko. Cytrynowa mysz na jego koszulce poderwała się i opadła.

- Owszem, zgadłaś. Wczoraj w nocy przyszedł radiogram. W ciągu tygodnia zwijamy ekspedycję. W domu czekają nas nieprzyjemności.

- Jakie? - Lidka spięła się wewnętrznie.

- Nie, nie - Witalij lekko się skrzywił. - Nic szczególnego. U nas... - zająknął się na mgnienie oka - w Firmie. Ciebie to nie dotyczy... innych zresztą też. Nikomu nic nie mów, dobrze?

Lidka kiwnęła głową.

Do pompy podeszła, kołysząc biodrami, Wala. Uśmiechnęła się do Witalija, znacząco spojrzała na Lidkę i nacisnęła dźwignię z zupełnie nie kobiecą siłą. Woda trysnęła i ostrym strumieniem uderzyła w dno emaliowanego wiadra.

* * *

Na następnym zebraniu roboczym Piotr Olegowicz oficjalnie powiadomił wszystkich o zakończeniu programu badań i zamknięciu ekspedycji. Radość, jaką okazali Siergiej i Walery, nie poddawała się żadnemu opisowi, sam Piotr zresztą też okazywał więcej ożywienia niż rozczarowania, co Lidka doskonale rozumiała. W czasie, który poświęcił ekspedycji, obie jego wnuczki powinny były trochę podrosnąć.

Wieczorem urządzono na brzegu coś w rodzaju przyjęcia pożegnalnego. Rozpalono ognisko, przy którym natychmiast pojawił się patrol miejscowych wojaków z zakazami i przekleństwami. Trzeba było żołnierzy uspokajać, a ognisko otoczyć kamieniami, choć i tak było je widać z daleka, gdyż podsycano je wyschniętymi wodorostami,

które palą się nie gorzej od papieru.

Żołnierze z patrolu zostali z nimi. Oficer niewiadomej rangi i dwóch żołnierzyków rozsiedli się wprost na kamieniach, niedbale kładąc obok siebie automaty z założonymi tłumikami. Lidka, choć nie za bardzo znała się na broni, popatrywała na chłopców nie bez obawy, bo coś jej podpowiadało, że z automatami zwykle postępuje się inaczej.

Żołnierze żarłocznie pochłaniali konserwy, które Wala hojną ręką wydała im z niepotrzebnych już zapasów. Oficer kilka razy zdrowo przypinał się do steranej zakrętki termosu, pełniącej funkcję kubka. Żołnierze upoili się zawartością puszek z konserwami.

Wino zdobył skądś - jak zwykle - kierowca Pasza, który przyciągnął dwa solidne kanistry. Trunek był gęsty, domowej roboty i mocny - wystarczył jeden kubek, by świat puścił się w tany. Rumiana na twarzy, dorodna i gościnna Wala siedząca pomiędzy technikiem Siergiejem i kierowcą Walerym, co chwila wybuchała śmiechem, który pewnie słychać było po tamtej stronie gór.

Witalij posiedział z pół godziny i poszedł do siebie. W dziesięć minut później zmył się i Piotr; został Sasza, Sławek też nie zbierał się do odejścia - siedział niby obok Lidki, ale jakoś oddzielnie, słuchał dowcipów i historyjek patrząc, jak się Lidce zdawało, prosto w pełne wargi Wali.

Rozmowy stawały się coraz głośniejsze i pełne dwuznaczników. Lidka odeszła na bok, usiadła na samym brzegu, zrzuciła klapki i spuściła stopy w wodę.

- Nie, powiedz mi... siedzieliście tu i nurkowaliście; a wyłowiliście choć cokolwiek? Co mam powiedzieć żonie - będzie premia czy nie?

- Ty, Sierioga, i tak nie masz co liczyć na premię. Powiedzmy, że się tu opalałeś, spacerowałeś i obmacywałeś Walkę, korzystając z tego, że żona daleko.

Mężczyźni zachichotali. Lidka podwinęła palce stóp. Poczuła, że w piętę wbija jej się ostry kamyczek, który nie wiadomo jak, trafił pomiędzy inne otoczaki.

- Też mi spacerki. To miejsce samo w sobie jest złe... żyli tu ludzie, i koniec, przepadli... przeklęte miejsce, film w aparacie sam z siebie mi się prześwietlił.

Głosy rozlegały się echem w głowie Lidki, zlewając się w jedno, nierówne i bolesne tło. Przed oczami migał jej jakby ekran nieznanego przyrządu - zielony punkcik podskakiwał, kreśląc zębatą linię, a gdy wśród ogólnego gwaru wybuchał śmiech Wali, linia podskakiwała wysoko i zabarwiała się czerwienią.

Trzeba było wstać i odejść do namiotu, ale Lidka wiedziała, że tam będzie jeszcze gorzej. Łażenie po brzegu w ciemnościach i po pijaku było równoznaczne z potknięciem się i rozbiciem kolana;

siedziała więc, wsunąwszy dłonie pod pachy i czuła się jak czerstwa kromka chleba, leżąca obok stosu świeżutkich, pachnących i chrupiących bułeczek.

Mama jej mówiła: „Nie popełniaj błędu... namyśl się".

Popełniła błąd. Wierzyła, że będzie prawdziwa nauka, otwarta, prawdziwa... jak życie.

Płodny okres skończył się, albo skończy się za kilka miesięcy. Nauki nie było - zamiast niej zdziwione spojrzenia, uważne przyglądanie się, wieloznaczne aluzje i szczegółowe szkice, które w rzeczywistości niczego nie wyjaśniają. Z takim samym powodzeniem można by mierzyć i ważyć nieboszczyka, licząc na odgadnięcie, o czym myślał przed śmiercią.

Witalij i najpewniej Piotr od samego początku wiedzieli, że ekspedycja nic nie osiągnie. To, co Lidka uznała za królewski dar, okazało się odpadkiem z pańskiego stołu.

Coś dotknęło jej bosej stopy - jakaś głupia ryba albo mały krabik. Syknęła i cofnęła nogę.

- A sam widziałeś? Wszyscy mówią: UFO, UFO. Owszem, światełka były... ale to pewnie samolot...

- Za dnia, mówię ci! A ty, żołnierzyku, widziałeś taką sztukę nad morzem? Jakby latający talerz?

- Dziękuję...

- Nie dziękuj, tylko powiedz, widziałeś talerz?

- Dziękuję, nie, nie chcę...

- Talerz nie wolno - wmieszał się oficer. - Obiekt tajny. Obiekt nie wolno mówić, nie wolno pytać. Nie wolno.

- A... wybacz. Po waszych oczach widzę, że byli tu kosmici, a wy jeszcze chyba do nich strzelaliście... Może nawet ich strąciliście? Co?

- Nie wolno.

- Rozumiem... Służba...

Lidka wstała. W głowie kręciło jej się coraz bardziej, trzeba było natychmiast skończyć z tymi błazeństwami.

Nie miała kostiumu kąpielowego. Odeszła dalej, gdzie nie sięgał blask ogniska. Szybciutko się rozebrała. Naga, tak jak przyszła na świat, weszła do wody i zanurzyła się z głową, odczuwając najpierw szok, a potem ulgę. Głowa oczyściła się z myśli jak wietrzony pokój oczyszcza się z papierosowego dymu. Lidka zatkała palcami uszy i legła na plecach.

Niebo było ogromne i ciemne. Mgiełka przepuszczała tylko światło co jaśniejszych gwiazd.

Przybysze z gwiazd. No cóż, to znacznie upraszcza sprawę. Zielone ludziki, które podbiły kosmos i odkryły na jednej z planet potencjalnych konkurentów. Spętały ich w sposób dość skomplikowany, ale względnie humanitarny. Przepisały ludzkości

regularne profilaktyczne upusty krwi, terapię szokową, która nie zostawia miejsca na żadne tam głupie myśli o wyprawach w kosmos. Po takim wstrząsie ludzkość ma tylko jedno pragnienie - przetrwać i odtworzyć poprzedni stan liczebny.

Lidka pokazałaby gwiazdom zaciśniętą pięść, ale zrezygnowała z próżnego gestu, nie chcąc, by woda zalała jej ucho.

A ludzkość - jest jeszcze uczniem. Do wszystkiego potrafi się przystosować. Żyje cichutko, z polisą ubezpieczeniową w zębach, aktywnie posługuje się „umówionym opóźnieniem" i - jak powiadają - nawet powoli się rozwija.

Zmarzła. Odwróciwszy się na brzuch, popłynęła żabką do brzegu.

Blask ogniska pięknie kładł się na powierzchni wody i odbijał w każdym mokrym kamyczku. A przy ognisku rozgorzał tak zawzięty spór, że Lidka aż otworzyła usta.

Siergiej siedział, objąwszy Walę w talii. Oboje byli biali, jak piana, nawet blask ognia nie dodawał ich twarzom ludzkiej barwy. Dwa kroki od tej pary stał kierowca Walery i trzymał w dłoniach automat z przykręconym tłumikiem.

Lidka natychmiast poczuła słabość i zrozumiała, że zaraz utonie. Na szczęście stopami odnalazła dno.

- S-suka - w głosie Walerego nie było słychać gniewu. - Zabierz łapy, puść tę kurwę. Zabiję. Oboje.

Walery był wesołym, energicznym mężczyzną w średnim wieku. Lidka nigdy nie widziała, żeby się awanturował.

Żołnierze siedzieli obok. Pootwierali gęby i każdy zajął się swoją puszką. Wszyscy byli rówieśnikami Lidki, z młodszej grupy. Kiepsko ich karmią, pomyślała Lidka mimochodem. Są głodni.

Przy ognisku leżał pusty kanister po winie. Kiedy oni zdążyli to wszystko wytrąbić?

Walery zachwiał się i szerzej rozstawił nogi. Lufa automatu opisała półokrąg. Lidka instynktownie dała nura i już pod wodą usłyszała ciche - ta-ta-ta.

Blady Siergiej wciąż siedział, obejmując bladą Walę.

Żołnierzyki przez cały czas trzymali puszki.

Ale Walery leżał na plecach. Automat trzymał zaś Sasza, którego stopa gniotła szyję Walerego.

- Cicho - syknął Sasza szeptem, ale tak, że i Lidka go usłyszała. - Cicho!

Nikt nie wydał jednego dźwięku. Sasza, nie puszczając spod stopy szyi Walerego, odwrócił się do oficera i powiedział coś przez zęby w języku, z którego Lidka zrozumiała tylko pojedyncze słowa. Oficer słuchał przez chwilę, a jego twarz najpierw zrobiła się biała, jak u Wali, potem purpurowa, a w półmroku wydała się ceglastą. Oficer też był z pokolenia Lidki, choć nie miała pojęcia o jego stopniu.

Potem zabrzęczały puste puszki. Żołnierze wstali i wzięli swoje automaty, przy czym niewiele brakło, żeby ten, co odbierał broń z rąk Saszy, zemdlał z przejęcia. Cała trójka kłusem znikła w mroku, skąd natychmiast rozległy się gniewne krzyki oficera i odgłosy mordobicia.

- Ale pasztet - stwierdził kierowca Pasza.

Pozostali milczeli.

Milczał Siergiej, który zdążył już cofnąć rękę z bioder Wali. Milczała Wala, zagryzając spuchnięte lekko wargi. Milczał kierowca Pasza, systematycznie zbierający poprzewracane szklane lampki. Milczał Sławek - Boże, oby nic mu się nie stało! I oper Sasza, wokół którego zawsze coś się działo.

Wreszcie ruszył się Walery, przyduszony stopą Saszy.

- ...usz...czaj!

Sasza cofnął nogę i pozwolił mu wstać. Gdy Walery się podniósł, wszyscy zobaczyli, że ma wargi pokryte krwią z rozbitego o kamienie nosa.

Sasza złapał Walerego za koszulę. Poprowadził wokół ogniska ku morzu i tu precyzyjnym, oszczędnym ruchem strzelił go pod mostek. Walery stęknął i zwalił się do wody; Sasza podniósł wzrok i zobaczył wysuniętą z wody twarz Lidki.

- Wyłaź.

- Jestem naga - szepnęła ledwo słyszalnie.

- Wyjdź i ubierz się.

Na poły płynąc, na poły podskakując w wodzie, Lidka dotarła do miejsca, gdzie zostawiła ubranie. Wylazłszy na czworakach na brzeg, długo szukała szortów. W wodzie szamotał się Walery, wydając różnorodne dźwięki, jęki i przekleństwa.

- Ale pasztet - powtórzył kierowca Pasza. - Ale widok... pewnie mu ktoś pieprzu sypnął.

- Co teraz? - ochrypłym głosem zapytał Siergiej.

- Teraz oczyść sobie portki - niespodziewanie wrogo odezwała się Wala. - Też mi... mężczyźni. Jeden kretyn złapał pukawkę i wszyscy naraz się posrali.

- Spójrz na siebie - odciął się Siergiej.

- Cisza - rozkazał Sasza. - Jeden wypił za wiele. Dłuuugo teraz będzie szukał pracy, już moja w tym głowa. A jak ktoś otworzy gębę i chlapnie coś z głupoty albo po pijaku, też będzie szukał roboty. Długo. Zrozumiano?

Wszyscy milczeli. Pasza dorzucił do ogniska trawę i chrust. Walery się uspokoił i wyczołgał na brzeg, usiadł zwrócony twarzą do morza i objął głowę rękoma.

Potem wstała Wala - wyzywająco zuchwała, oblana jaskrawym blaskiem ogniska. Jakby przeżyty niedawno strach przerodził się nagle w podniecenie. Nie na próżno drapieżnie połyskiwały jej lekko

zmrużone, drapieżne, wilgotne oczy.

- Czy mógłby mi ktoś pomóc odtaszczyć tę skrzynie na miejsce? Sław, ty chyba jesteś mniej podchmielony od innych?

I uśmiechnęła się. Lidka zobaczyła jej uśmiech, ponieważ akurat zdążyła się w tym czasie ubrać i szła ku ognisku, ogrzać się.

Zapadła chwila ciszy. Ognisko płonęło wysoko i równo. Na policzkach Siergieja drgały mięśnie. Pasza uśmiechnął się z aprobatą. Nawet Sasza się odwrócił i zmierzył Sławka taksującym spojrzeniem.

Zatrzeszczała płonąca trawa. To, co było wodorostami i żyło w głębinie, w królestwie ciszy i ryb, potem zostało wyrzucone na brzeg i wyschło w palących promieniach słońca, teraz znikało w ogniu, nie zostawiając po sobie nawet popiołu. Lidka głęboko westchnęła.

- Nie - odezwał się Sławek, patrząc w bok.

Ognisko zaczęło przygasać. Morska trawa płonie krótko. Wala uśmiechnęła się ponownie, ale zupełnie innym uśmiechem.

- Popatrzcie, co robi z ludźmi trwała spermotoksykoza...

Sławek poderwał się z miejsca - i na chwilkę upodobnił się do Saszy. Szybko i bezlitośnie, zaciskając pięści, zatrzymał się przed Walą, która uśmiechnęła się po raz trzeci - tak, że Lidce zwarło szczęki z wściekłości.

- Co, Sław? Chciałeś coś powiedzieć?

Pomiędzy nich wcisnął się Siergiej, któremu zachciało się odegrać rolę gołąbka pokoju:

- Sław, nie można tak do kobiety... Ona nie jest winna. Powiedz swojej laborantce, żeby się nie wypindrzała, a dała ci jak nale...

Lidka nie miała pojęcia, czy Sławek kiedykolwiek w życiu się bił. Pamiętała, że w liceum nigdy nikomu się nie stawiał; a teraz Siergiej odleciał dwa kroki w tył i niewiele brakowało, a runąłby w piach. Wściekły, złapał się za szczękę:

- Ach ty, gadzie...

Sasza przejął wymierzony w Sławka cios i bez najmniejszego wysiłku wykręcił kierowcy rękę za plecy. A potem pchnął go na ziemię:

- Mało ci? Chcesz naganę z wpisem do akt?

Siergiej zaklął. Lidka, mokra i w przylepionej do ciała koszulce, weszła w krąg światła i zwróciła się do Sławka, wkładając sporo wysiłku w to, żeby nie drżały jej wargi:

- Sława... Pluń na nich wszystkich. Chodźmy, co?

Sławek wbił w nią mętne spojrzenie zaszczutego człowieka.

- Sław... no, chodźmy? Proszę... niech ich wszystkich... Jego dłoń była zimna niczym ryba. I drżała, nieznacznie, ale szybko... drżała.

* * *

Rankiem Lidka wykradła się z namiotu, ciągnąc za sobą śpiwór.

Obejrzawszy się i nie zobaczywszy nikogo, pospieszcie zwinęła śpiwór i wsunąwszy go pod pachę, pobiegła ku morzu. Wlazłszy na przybrzeżne kamienie, opuściła worek w wodę.

Śpiwór wchłonąwszy mnóstwo wody zrobił się diablo ciężki, nie można go było prawie ruszyć z miejsca. Lidka wciągnęła go z trudem na nieco głębszą wodę i stojąc po kolana w kipieli, zaczęła zmywać słoną wodą ślady pierwszej nocy poślubnej.

Nie wiedziała, że ze szczytu urwiska patrzy na nią, zagryzając pełne wargi, intendentka Wala.

Rozdział 7

Dwieście piątemu kombinatowi dziecięcemu przywracano dziś dumne miano szkoły. Połowa sypialni odzyskiwała nazwy klas; piętrowe łóżeczka porozbierano i wyniesiono do magazynu, a na swoje uświęcone tradycją miejsca wróciły stare szkolne ławki, przy których uczyli się jeszcze rówieśnicy Lidki. Miejsca były tak tradycyjne, że metalowe nóżki trafiały każda na swoje wyżłobienie w linoleum. Oczywiście, z wyjątkiem tych pomieszczeń, które podczas apokalipsy spłonęły do cna - tam linoleum było prawie nowe.

Janeczka, córka Timura i Sani, przepadła w tłumie bukietów i wstążek, który zgromadził się pod tabliczką „Pierwsza K". Rozległy dziedziniec pełen był ludzi, maluchy ze średniej i młodszej grupy poprzyklejały się do okien, rozpłaszczając noski o szyby i z zawiścią w oczach gapiły się na starszych braci i siostry, którzy właśnie dziś zaczynali nowe, dorosłe życie. Lidka przypomniała sobie, jak wlazłszy na parapet, w takim samym tłumie szukała wzrokiem Timura i Jany.

Wszyscy oni - i sama Lidka też - swego czasu zaczynali pierwszą klasę właśnie tutaj, w szkole numer dwieście pięć. Potem, u szczytu ojcowskiej kariery, zostali przeniesieni do liceum. Jana z Timurem byli wtedy w szóstej klasie, a Lidka w czwartej. Janeczkę chcieli od razu oddać do liceum, Timur jednak nie miał dość pieniędzy, a ojciec wpływów.

- Słuchaj, co mówi nauczycielka - po raz dwudziesty piąty powtórzyła Sania.

Janeczka kapryśnie wydęła wargę:

- Wychowawczyni? Tamara Michalina?

- Była wychowawczynią, teraz jest nauczycielką! Masz się do niej odnosić z szacunkiem, zrozumiałaś?

- Aha - odpowiedziała Janeczka obojętnym głosem.

Chudziutka i ładniutka kuzynka Lidki była ponad wiek rozwinięta i ponad wiek uparta. Lidka serdecznie współczuła nieznanej jej bliżej Tamarze Michalinie, która przez cztery lata męczyła się z Janeczką w przedszkolu, a teraz jeszcze będzie musiała się z nią mordować przynajmniej rok, dopóki Sania z Timurem nie znajdą sposobu, by przenieść dziewczynkę do liceum.

Mama uśmiechała się z roztargnieniem. Papa na przemian strzelał językiem i migawką aparatu fotograficznego. Sześcioletni Pasza zazdrośnik marszczył ponuro czółko, ponieważ był o pół roku młodszy od swej bratanicy i dlatego trafił do średniej grupy. Lidka zobaczyła, że skryta w tłumie Janeczka odwraca się i pokazuje język wujkowi.

- Jak ten czas leci - płaczliwym tonem stwierdziła stojąca obok

gruba dama.

- Rodzice pierwszoklasistów! Proszę się cofnąć za białą linię! - ryknął głośnik stanowczym głosem zawodowego nauczyciela.

Lidka pożegnała się z Timurem i Sanią, pomachała Janeczce i wydostała się z tłumu. Na tym święcie jest dostateczny tłok i bez dalszych krewnych.

Ulice były puste; w mieście trwało ciche szaleństwo otwarcia roku szkolnego. Na wszystkich tablicach reklamowych proponowano jak nie zeszyty albo tornistry, to puszki na drugie śniadania albo same racje śniadaniowe „dla podtrzymania sił maleńkiego prymusa". Gdzieniegdzie poustawiano głośniki, z których płynęły budzące nostalgię szkolne, proste piosenki. „Jak ten czas leci" - wzdychali spikerzy prowadzący transmisje ze szkół.

Lidka podeszła do automatu telefonicznego i zadzwoniła do znajdującego się w pracy Sławka. Nikt nie podnosił słuchawki, co w zasadzie nie było dziwne - pierwszy dzień nauki uważano powszechnie za dzień wolny od pracy - nawet w Instytucie Historii Kryzysów.

Tylko po co było Sławkowi kłamstwo, że dziś o dwunastej ma naradę?

Ciekawe, do jakiej szkoły posłał tego swojego szczeniaka? Jeszcze bardziej ciekawa była, jak dzieciak zwraca się do ojca: tato? wujku? Jarosławie Andriejewiczu?

Wysłuchała kilku długich sygnałów, westchnęła i wybrała krótki numer, który dawno już chciała wyrzucić z pamięci.

- Sekretariat, słucham,?

- Mówi Zarudna. Szef u siebie?

- Chwileczkę...

W Firmie nie było dni wolnych. Pierwszy dzień nauki czy ostatni - sekretarka była na miejscu i szef też. Pytanie tylko, czy zechce z nią rozmawiać?

Trzask w słuchawce. I głuchy głos bez wyrazu: - Słucham...

- Dzień dobry, Wiktorze Aleksiejewiczu. Chciałabym zapytać, czy nie ma nowości w sprawie mojego...

- Są - przerwał jej głos, tym razem lekko rozdrażniony. - Jedenasta zero zero, pokój sto jeden. Porozmawiasz z pewnym człowiekiem.

- Dziękuję - powiedziała Lidka, ale słuchawka już piszczała krótkimi sygnałami.

Spojrzała na zegarek. Dziewiąta trzydzieści. Zbędny czas. Dziewięćdziesiąt minut wyrwane z życia.

Ale czy to ruszy sprawę z martwego punktu?

Wsiadła do autobusu - na szczęście prawie pustego. Na oparciu siedzenia przed nią wymalowano kolorowe gęby - to na początek, za

pół roku pojawią się napisy. Najpierw niewinne - a potem coraz bardziej...

Po dwudziestu minutach wysiadła na nabrzeżnym bulwarze - wzdłuż ulicy stały rozmaite kioski i kramiki, otwarte i zamknięte, brezentowe i oszklone, a na co drugim była wywieszka: „Artykuły szkolne".

Po betonowych schodach zeszła nad morze. Mewy, które szperały w skrzyni na odpadki, niechętnie odfruwały na odległość kilku metrów. Potykając się co chwila na kamieniach, Lidka doszła do znanej sobie rozpadliny. Rozłożywszy polietylenowy pakiet, usiadła, skrzyżowawszy pod sobą nogi.

Podczas miodowego miesiąca, zaraz po powrocie z ekspedycji, oboje ze Sławkiem lubili tu przychodzić i piec ziemniaki w popiele ogniska. I wspominać, jak dobrze było im wtedy, podczas pierwszej nocy w namiocie. Lidka była wówczas przekonana, że test ciążowy lada dzień wypadnie pozytywnie.

Z każdym piknikiem ziemniaki robiły się coraz bardziej spieczone, a kiełbasa bardziej tłusta i niesmaczna.

Aż wreszcie zapotrzebowanie na romantyczne wieczory nad morzem zmalało do zera.

Lidka uśmiechnęła się ponuro. Morze było szare, niczym ogromna mysz.

* * *

Okazała przepustki - najpierw zewnętrzną, potem wewnętrzną. Wewnętrzna - czerwono różowej, płucnej barwy, budziła w niej osobliwą niechęć. Ileż wysiłków trzeba było, żeby ją otrzymać, ileż odkryć wabiło ją zza progu sztucznej tajemnicy, jakże pustą i wypraną z wszelkiego znaczenia okazała się ta zakazana wiedza, a jednocześnie jakże mściwą i zazdrosną; wciągnąwszy w swoje tryby człowieka z różową przepustką, za nic nie chciała go wypuścić na wolność. Drzwi sto pierwszego gabinetu były obszyte skórą. Najpewniej sztuczną, ale bardzo podobną do prawdziwej. Skóra nieskorych współpracowników, pomyślała Lidka i skwitowała swój żart uśmiechem.

- Aleksandrze Igorowiczu, przyszła Lidia Zarudna...

Przekroczyła próg. Siedzący za masywnym biurkiem człowiek podniósł głowę - i Lidka w pierwszej chwili go nie poznała. Dopiero, kiedy zmarszczył brwi i podbródkiem wskazał jej krzesło - dopiero wtedy wzdrygnęła się i sprężyła wewnętrznie.

Podczas minionych pięciu lat Sasza mocno się zmienił. Być może zresztą przekształcił go tak cywilny garnitur i gładko zaczesane włosy.

Jaka niezwykle szybka kariera, pomyślała Lidka, sadowiąc się i układając na kolanach mocno już steraną teczkę. Jaką on ma rangę? I jaką rangę miał *wtedy?*

Przypomniała sobie, jak szamotała się w wodzie i ostatkiem sił darła się rozpaczliwie: „Sasza! Sasza!”. Przypomniała też sobie siedzącego na brzegu człowieka, pozornie pogrążonego w lekturze. Prawda, morze szumiało tak głośno... A ona krzyczała tak cicho...

- Przekazano mi wasze oświadczenie - niezbyt głośnym tonem odezwał się niegdysiejszy nurek. - Można wiedzieć, co wami powoduje, wywołując tak radykalną decyzję? I tak nieoczekiwaną dla wszystkich, którzy was znali?

Lidka spojrzała mu w oczy. Wyglądało na to, że Sasza jej nie poznaje. W każdym razie jego przejrzyste oczy nie wyrażały żadnych uczuć.

- Zrozumiałam, że nie zdołam już przynosić pożytku nauce - stwierdziła Lidka, nawet się nie zająknąwszy. - I nie będę mogła przynosić pożytku służbie OP.

Sasza nadal patrzył przez Lidkę. Na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień.

- Dlaczego?

- Dlatego, że pomyliłam się w wyborze drogi - stwierdziła tak samo prosto, jak przed chwilą. - Dlatego, że nie jestem uczonym. To wszystko.

Sasza opuścił niebieskawe powieki:

- Widzicie, koleżanko Zarudna... Robiliście wrażenie energicznego, oddanego swej pracy badacza. Wszyscy uważali was, właśnie was, za spadkobierczynię pracy człowieka, którego nazwisko... - zrobił efektowną pauzę - nosicie. Czy nie tak?

- Nie odpowiadam za to, co kto sobie myślał - stwierdziła Lidka już mniej pewnym głosem. - Ludzie czasami się mylą, prawda?

- A nie wydaje się wam, że popełniacie swojego rodzaju zdradę? - niezbyt głośno zapytał, właściwie zaszemrał Sasza.

Lidka zdenerwowała się. Zdjęła teczkę z kolan i postawiła ją na wzorzystym dywanie.

- A kogo zdradzam?

- Pamięć Zarudnego - podsunął Sasza.

Lidka przełknęła ślinę i nabrała powietrza w płuca. Trzymać się. Nie dać się sprowokować; on robi to celowo i nie wiadomo, co się stanie, jeżeli da się podpuścić. Milczeć, milczeć... jestem balonikiem, czerwonym balonikiem...

- A ma to jakieś znaczenie dla nauki i OP? - zapytała przez zęby. - Znaczy, czy zdradzam pamięć Zarudnego, czy nie?

Uciekł ze spojrzeniem w bok: - Nie. Niema.

- Więc proszę, by mojemu oświadczeniu nadać bieg urzędowy. Wycofać mi przepustkę. Podpiszę, co tylko chcecie w sprawie zachowania tajemnicy - choćby przez trzy kolejne *mrygi*...

- Zabronią wam wyjazdów za granicę - stwierdził Sasza ze

współczuciem. - Za żadną. Pod każdym pretekstem. Przez dziesięć lat.

Lidka lekko się skrzywiła:

- A owszem, to akurat potraficie. Zabraniać.

Przez pewien czas Sasza nie spuszczał z niej przenikliwego spojrzenia.

- Upiera się pani przy rezygnacji?

- Tak - kiwnęła głową.

Sasza odchylił się w tył. Pokręcił w palcach żółty długopis.

- Masz rację. Uczony z ciebie, jak z koziej dupy trąba. Popatrzyła, jak podpisuje papiery i czuła, że drętwieją jej powlekające się bladością policzki.

Kłamał. Kłamał umyślnie, celowo i bezwstydnie. Nigdy nie wolno wierzyć operom. Niezły byłby z niej uczony... gdyby ta cała nauka miała jakikolwiek sens... Mogłaby... przecież nie za darmo ceniono ją na uczelni! Nie za darmo otrzymała swój czerwony dyplom... Nie za nic wzięto ją na tamtą ekspedycję. Nie bez powodu przyjęto ją do tajnego instytutu... Nie mogło przecież być tak, żeby tyle nadziei wcieliło się w uczonego jak trąba z koziej dupy! Huk morza. Słona woda w gardle.

- Mam pytanie - stwierdziła ochrypłym głosem.

Na sekundę oderwał się od papierów.

- Pytaj.

- Chciałeś mnie wtedy utopić?

Starannie złożył podpisane papiery. Spiął je spinaczem. I podniósł na Lidkę przezroczyste oczy:

- A wiesz... Wtedy, kiedy byłaś głupią smarkulą, faktycznie wyglądało, że coś z ciebie wyrośnie. Byłaś fanatyczką. Takie budzą obawy. I dość umiejętnie napomykałaś, że sporo wiesz...

- Topiłeś czy nie? - powtórzyła pytanie, pochylając się ku przodowi.

Sasza uśmiechnął się - po raz pierwszy od początku rozmowy. Na jego starannie zawiązanym krawacie połyskiwała blado złota spinka. I tak samo blado, choć ostro, łyskały jego oczy.

- Zatem winszuję, była koleżanko Zarudna. Waszemu oświadczeniu nada się urzędowy bieg i poszukamy możliwości zwolnienia was bez skandalu. Czy muszę mówić, że do żadnego naukowego instytutu nie dopuszczą was bliżej niż na odległość armatniego wystrzału? Chyba sami to rozumiecie...

- Nie musisz się znęcać - stwierdziła Lidka powoli. I wstała z miejsca: - Dziękuję wam, Aleksandrze Igorowiczu. Jestem całkowicie zadowolona.

Ze wszystkich stron słychać było szkolne marsze. Zerwał się wiatr, który gnał po ulicy papierki po cukierkach.

Na tablicy ogłoszeń wisiały całe pęki ogłoszeń o pracy.

Nauczycieli poszukiwano najpilniej. Nie wiadomo dlaczego, chodziło głownie o nauczycieli zoologii i szkoleniowców fachu. „A ja mogłabym historii uczyć lewą ręką - pomyślała Lidka. - Albo biologii... no, ostatecznie mogłabym być też nauczycielką wychowania fizycznego. Uczniowie siedzieliby u mnie jak trusie... Budziłabym postrach... Dlatego, że nienawidzę dzieci".

Wsiadła do pospiesznego tramwaju (w wagonie poza nią siedziały wyłącznie uradowane mamy pierwszoklasistów), dojechała do centrum, przy wyjściu kupiła banana, którego zjadła w marszu. „Cmentarny zapach" - pomyślała sobie przy tym.

Ot i wszystko. Lekko i pusto. Wszechogarniająca, spokojna pustka.

Wziąć i pójść do szkoły. I tresować ich jak szczeniaki. Żeby stali wyprężeni jak struny. Żeby po dziesięć razy przepisywali najdłuższe ćwiczenia, a gdyby się któryś pomylił, to jeszcze z dziesięć razy. Żeby siedzieli z dłońmi na blatach ławek, i żeby żaden się nie ośmielił nawet drgnąć. Żeby wzdrygali się na sam dźwięk mojego głosu!

Pamiątkowej tablicy po Andrieju Igorowiczu Zarudnym dawno już nikt nie czyścił. Brąz zzieleniał, a portret deputowanego Zarudnego ostatecznie przestał być podobny do oryginału. Swego czasu miejscowe urwisy wybrały sobie płaskorzeźbę na cel rozmaitych zabaw, ale po tym, jak Lidka złapała dwóch snajperów z pistoletami na wodę i bezlitośnie wytargała ich za uszy, ostrzeliwanie brązowej tablicy skończyło się.

Rozwścieczonym mamuniom niefortunnych strzelców Lidka cisnęła w twarze odebraną urwisom broń. „Przecież to woda! - miotała się jedna z nich, sąsiadka z trzeciego piętra. - Co ona może zrobić waszej tablicy?!" „Jak złapię któregoś jeszcze raz - stwierdziła bezlitośnie Lidka - będzie gorzej!" „Sadystka! - darła się mamcia. - Znajdę na ciebie sposób!" „Proszę bardzo" - odpowiedziała Lidka, zatrzaskując jej drzwi przed nosem.

Sąsiedzi i tak nie darzyli jej sympatią, a po tej egzekucji stała się obiektem powszechnej niechęci. Szczególnie wyżywały się kobiety: „Swoich dzieci nie ma, to się kurwa wyżywa na cudzych!". Osobliwie nienawidziły jej: żona dyplomaty z trzeciego pietra i żona znanego aktora z czwartego. Dom jak był, tak pozostał domem dla elity, a przy wejściu pojawiła się nawet budka dozorcy, w której kolejno i na przemian wysiadywały dwie spokojne babcie.

Tylko jeden staruszek chętnie pozdrawiał Lidkę, siwy i łysawy lokator z pierwszego piętra, ten, który akurat teraz palił w bramie papierosa. Palił i pokaszliwał; gdy ją pozdrowił, po raz kolejny zdziwiło Lidkę, jak może w tym pozbawionym już sił witalnych ciele mieścić się jeszcze tak głęboki bas - wcale nie starczy, a w pełni męski, mogący nawet poruszyć kobiece serce.

Otworzyła drzwi swoim kluczem. Z teściową nie rozmawiała już chyba od trzech lat; Klaudia Wasiliewna żyła osobno, zamykała swój pokój na klucz i obmawiała - o czym Lidka doskonale wiedziała - synową przed każdym, z kim tylko udało jej się nawiązać rozmowę. Robiła to wszędzie - od najbliższego sklepiku z pieczywem, po Radę Ministrów, w której wdowa Zarudna pełniła teraz nie bardzo zrozumiałą, ale niewymagającą żadnego wysiłku intelektualnego ani fizycznego funkcję.

Któregoś dnia, pod nieobecność Lidki, Zarudna przeniosła portret męża z jego gabinetu do swojego pokoju. I Lidka żadnym sposobem nie zdołała odzyskać portretu, by umieścić go na poprzednim miejscu; wdowa po raz kolejny zademonstrowała jej wyłączność swoich praw do pamięci po Andrieju Igorowiczu. Dobrze chociaż, że Lidka miała portret fotograficzny - ten sam, który tak wygodnie mieścił się na stole pod przezroczystym plastykiem.

W saloniku grubą warstwą zalegał kurz. Klaudia Wasiliewna nigdzie nie sprzątała, oprócz swojego pokoju i niekiedy - kuchni. Lidka odruchowo włączyła telewizor; na wszystkich programach nadawano jedno i to samo. „W takiej to a takiej szkole rozpoczyna dziś naukę tylu to a tylu pierwszoklasistów. Pomimo pewnych braków materialnych grono pedagogiczne jest przekonane...”

Nuda, pomyślała Lidka. I to ma być współczesna telewizja?

„Nadal wre praca w instytutach podwyższania kwalifikacji dla pracowników przedszkoli. Młode pokolenie wychowawców nieustannie walczy z własnym brakiem kompetencji, ponieważ brakuje im odpowiedniego wykształcenia... zostać pedagogiem... problem będzie się zaostrzał z każdym rokiem, w miarę wzrostu trudności programów szkolnych. Jak przedtem, ważne są ośrodki przeszkalania pracowników wyższych uczelni, zwolnionych z powodu redukcji miejsc... do pracy z młodszymi uczniami. Pracownicy muzealni i ludzie z humanistycznym wykształceniem...”

Lidka skrzywiła się i przełączyła na inny kanał.

„Trzecie liceum miejskie ogłasza koniec konkursowego naboru do pierwszej klasy. Rodzice dzieci, które nie zostały przyjęte, nie mają powodów do popadania w rozpacz. W przyszłym roku szkolnym zostanie ogłoszony konkursowy nabór do klasy pierwszej i drugiej”.

Lidka kwaśno się uśmiechnęła. Wiemy, ile warte są takie konkursy. I wiemy, kto w nich zajmuje pierwsze miejsca.

Przełączyła kanał ponownie. Chciała zobaczyć coś głośnego i wesołego, jakiś wideoklip... czyżby w pierwszy dzień nauki nie można było puścić ani jednego *normalnego* programu?

Z ekranu spojrzał na nią barczysty mężczyzna z pokolenia jej rodziców. Bardzo opalony, o twarzy ponad wiek pokrytej zmarszczkami i oczach nieokreślonego koloru, które kryły się pod

samym czołem.

- ...zostawić armię i zająć się polityką? - zapytał ktoś zza kadru.

- Wydaje mi się, że dla armii zrobiłem wiele. Generałem zostałem, mając trzydzieści pięć lat. Ale w armii czasu pokoju, współczesnej armii, nie ma już dla mnie miejsca, więcej zrobić nie mogę. Zwycięstwo w wyborach słusznie mi się należało, choć to dopiero pierwszy krok. Chciałbym, żeby ludzie, którzy oddali na mnie swoje głosy...

Mężczyzna mówił z trudem, wyuczony na pamięć tekst nijak nie układał mu się w ustach. Lidka ponuro westchnęła i podniosła pilota. Co jest najpiękniejszego w telewizji? To, że tak łatwo można każdego zmusić do milczenia - choćby był Prezydentem.

Kamera odjechała wstecz, ukazując w kadrze długi stół z mnóstwem mikrofonów i ludzi, siedzących po obu stronach rodzącego z takim trudem każde słowo generała. Lidka wyłączyła już telewizor - i nagle otworzyła usta, a potem szybko ponownie włączyła odbiornik.

Nie, nie pomyliła się. Po prawej ręce generała siedział i kiwał ze skupieniem głową Igor Rysiuk we własnej osobie. Elegancki, jasny garnitur, inteligentna twarz o ostro rzeźbionych rysach - generał przy nim wyglądał jak stary, przywleczony z lasu przez przyrodników pniak, którego jeszcze nie zdążono oczyścić.

A to ci dopiero!

Lidka wyłączyła telewizor. Rzuciła pilota na fotel i przez chwilę z uwagą nasłuchiwała. Doszła w końcu do wniosku, że teściowej nie ma w domu. Świętuje pierwszy dzień nauki, czy co?

W gabinecie, noszącym miano „gabinetu ojca", migała czerwienią lampka sygnałowa nowej sekretarki automatycznej. Przeczuwając kłopoty, Lidka nacisnęła maleńki i sprężysty jak pryszcz guziczek.

- Dzień dobry, państwo Zarudni. Mówi niejaki Rysiuk, o ile go pamiętacie. Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby którekolwiek z was zadzwoniło pod numer...

- Spoczywaj w spokoju - powiedziała Lidka na głos.

Jeszcze w dzieciństwie zauważyła, że ważne wydarzenia zwykle chodzą parami. Jeżeli jest jakaś nowina, spodziewaj się drugiej, trzeciej i następnych...

* * *

- A więc to jest twoje mieszkanie? Rysiuk kiwnął głową.

Maleńki pokoik był umeblowany niezwykle skromnie. Komputer, zestaw wideo i telefony - zupełnie jak kiedyś w mieszkaniu Zarudnego.

- A gdzie nocujesz? - zapytała Lidka nie bez złośliwości w głosie.

Rysiuk spojrzał na nią uważnie... i niespodziewanie się uśmiechnął.

- Na kanapie.

Lidka nagle się zająknęła:

- A... tego... żona, dzieci? Miałeś chyba żonę?

Rysiuk kiwnięciem głowy wskazał na stół. Pod ekranem monitora tuliły się do siebie trzy fotografie - na pierwszych widać było dwóch grubych maluchów, którzy wlepiali w przestrzeń przed sobą bezmyślne spojrzenia: chłopczyka i dziewczynkę. Na trzecim zdjęciu, zrobionym bardzo niedawno, stali obok siebie pyzata pierwszoklasistka i tłuściutki, ponuro patrzący chłopczyk w krótkich porciętach.

- Po kim one takie... - Lidka omal nie dodała „spasione", ale w porę ugryzła się w język. - Po kim one takie tęgie?

- Po żonie - krótko odparł Rysiuk.

Lidka znów spojrzała na fotografię. Na wszelki wypadek przyjrzała się stołowi - nie, kobiecej fotografii nigdzie nie zobaczyła.

- Jak tam Sławek? - ni w pięć, ni w dziewięć zapytał Rysiuk. - Pracuje?

Lidka kiwnęła głową bez specjalnego entuzjazmu.

- A ty, jak mówią, zwalniasz się?

Lidka podniosła na niego zaskoczone spojrzenie:

- Skąd wiesz?

- A czy to tajemnica? - uśmiechnął się Rysiuk z wyższością.

- A, zapomniałam, że zostałeś szarą eminencją - stwierdziła Lidka niby to żartobliwie.

Żart nie bardzo się udał. Rysiuk patrzył na nią uważnie, teraz już bez uśmiechu i pod tym spojrzeniem jego nieruchomych oczu Lidce zrobiło się nieswojo.

- Czemu zrezygnowałaś z pracy naukowej?

- Nie twoja sprawa - odpowiedziała, usiłując nadać rozmowie ton wesołych szkolnych docinków.

Rysiuk przez jakiś czas milczał. Potem zaproponował - nie wiadomo dlaczego - szeptem:

- Napijesz się kawy?

- Owszem - odparła po chwili przerwy.

- No to chodźmy do kuchni.

W przeciwieństwie do pokoju kuchnia miała wszelkie cechy typowej kuchni kawalerskiej. Stół, niby okrągłe łuski, pokrywały zaschnięte odciski filiżanek z kawą. W muszli zlewozmywaka ułożone jedne na drugich stały niemyte od wczoraj naczynia.

- Lida... pojawiła się pewna, całkiem interesująca perspektywa. Chciałbym ją omówić z tobą i ze Sławkiem.

- Więc ze mną czy ze Sławkiem? - zapytała, sprawdzając palcem czystość taboretu.

Rysiuk rzucił jej bystre spojrzenie ponad stołem:

- Mam dokonać wyboru? Albo - albo?

- Nie. - Spuściła wzrok.

- Rozumiem... - stwierdził Rysiuk powoli. - Widzisz, Sotowa... Ja rzeczywiście rozumiem... i to nie od wczoraj. Sławek *nigdy* nie wybaczy ci tamtego wypadku z muzeum. Jesteś dla niego symbolem jego poniżenia, niepełnej wartości, pamiątką jego chłopięcej głupoty. Nawet gdybyście mieli dzieci i tak nigdy by się między wami nie ułożyło. Zresztą... nie wyszłaś przecież za niego z miłości?

- Nie twoja gówniana sprawa - stwierdziła Lidka głuchym głosem.

- Oczywiście. - Rysiuk kiwnął głową. - Tak tylko mi się powiedziało... Dlatego, że teraz yc/ potrzebuję Sławka, i to dla tego samego powodu, dla którego ty za niego wyszłaś.

Lidka uniosła podbródek:

- A co, zmieniłeś orientację seksualną?

- Przecież nie do seksu go potrzebowałaś - łagodnie przypomniał jej Rysiuk. - Potrzebne ci było jego nazwisko... nazwisko jego ojca. Żeby ludzie, którzy słyszą „Zarudna", najpierw spoglądali na ciebie niepewnie, a potem pytali z szacunkiem: „Czy przypadkiem nie jesteście krewną *tego* Zarudnego?"

Lidka milczała. Rysiuk spłukał filiżanki pod kranem, napełnił je kawą i podsunął Lidce sacharynę: - Częstuj się...

- Dziękuję - odparła przez zęby.

- Na zdrowie... Więc tak, Sotowa. Zbieram teraz materiały do pewnej bardzo obiecującej sprawy. Najrozmaitsze materiały. A spadek po Andrieju Zarudnym - to materiał obiecujący, cenny i rzadki.

Lidka zacisnęła wargi, od czego jej usta brzydko, starczo się skrzywiły. I pospiesznie opuściła głowę - akurat teraz za nic by nie chciała, żeby Rysiuk zobaczył jej brzydotę.

- Obiecująca sprawa - to ten twój głupi generał, który nie umie mówić jak człowiek?

- Płynnej wymowy można się nauczyć - łagodnie stwierdził Rysiuk. - A rozum ten generał ma lepszy od wielu innych. To silny, stanowczy i energiczny człowiek z przyszłością. Trzeba tylko skierować jego energię w odpowiednie... koryto.

- A kim ty jesteś przy nim? - spytała Lidka z jawną kpiną w głosie.

- Jestem jego szefem sztabu - stwierdził Rysiuk, nie zwracając uwagi na jej prowokacyjny ton. - Na razie zdobyliśmy mandat deputowanego w Radzie Miejskiej. Za kilka lat przymierzymy się do fotela burmistrza, a za następne cztery... sama rozumiesz... prezydentura. Pracy jest potąd - Rysiuk przesunął doń nad głową.

- Mówisz poważnie? - zapytała Lidka, wpatrując się z uwagą w filiżankę ze stygnącą już kawą.

- Jak najbardziej.

- Zamierzasz wziąć Zarudnego... pamięć Zarudnego, jego

dziedzictwo... i chcesz je przyszyć do swojego, wątpliwej barwy, sztandaru? Białą nicią?

- „Kręcimy się jak wiewiórka na kołowrocie - niezbyt głośno zacytował Rysiuk - od cyklu do cyklu i wygląda na to, że z tej sytuacji nie ma wyjścia. Ale być może, skoro apokalipsa jest kołowrotem dla wiewiórki, to Wrota są nie tylko ratunkowym kołem? Jeżeli apokalipsa jest próbą, to być może Wrota są testem? Labiryntem dla szczura? Jesteśmy liczni, ale i Wrót otwiera się wiele. Gotów jestem udowodnić z ołówkiem w ręku - Wrót otwiera się tyle, że powinni ocaleć WSZYSCY. Pod warunkiem, że nie stracą ani sekundy. Jeżeli nikt się nie zatrzyma, by odepchnąć z drogi sąsiada... Ale czy to możliwe?”

- Masz dobrą pamięć - stwierdziła Lidka po chwili - ale coś jednak przeinaczyłeś. Nie „Wrota są nie tylko kołem”, ale „Wrota są czymś więcej, niż tylko ratunkowym kołem”. Tak, a nie inaczej.

Rysiuk uśmiechnął się z satysfakcją.

- „Po co ustawia się Wrota? I co się stanie, jeżeli któregoś dnia ludzkość przejdzie przez nie z dumnie podniesioną głową, nie zwlekając, ale i bez pośpiechu, podtrzymując każdego, kto się potknie? Co będzie, jeżeli ziści się to, co na razie wydaje się niemożliwe? Możliwe, że wtedy skończy się cykl i kaganiec zostanie zdjęty. Ludzkość wreszcie ponownie zacznie się rozwijać. Rozwijać się, a nie biegać w kółko, rozkręcając ten cyrkowy bęben. Możliwe, że budowniczy Wrót uzna, iż teraz ludzkość godna jest istnienia bez sznura...”

- Do czego pijesz? - spytała ostro Lidka.

- Do pytania o białe nitki - tak samo ostro odpowiedział Rysiuk. - Nasz sztandar to jedyna osnowa dla idei Zarudnego. One, te idee, przylgną do niego bez żadnych nitek.

- Przylgną do generała?! - uniosła się Lidka.

- Nie do generała, a do sztandaru - łagodnie przypomniał jej Rysiuk. - Jeżeli odpowiada ci tak górnolotny styl.

Lidka milczała.

- W rzeczywistości - jeszcze łagodniejszym tonem ciągnął Rysiuk - mowa o społeczeństwie zdolnym do ewakuacji bez strat. Bez tłoku. Bez przepychania się. Tak właśnie. Pij kawę, póki nie ostygła.

Lidka ujęła filiżankę. I odstawiła ją na miejsce:

- Igor, a nie zechciałbyś zająć się czymś konkretnym? Pójść, na przykład, na kurs nauczania w młodszych klasach. Przecież wszędzie są ogłoszenia.

Rysiuk uśmiechnął się:

- Kto wie... Kiedy Sławek będzie w domu? Żebym mógł do niego zadzwonić?

- Wątpię, czy Sławek ci pomoże - stwierdziła Lidka zimnym

głosem. - Ma alergię na spekulacje nazwiskiem ojca.

- No dobrze - Rysiuk krótko skinął głową. - Ale widzisz, nazwisko Andrieja Zarudnego nie należy wyłącznie do Sławka czy ciebie. Przede wszystkim wydamy jego dzieła zebrane, a oprócz tego jest w połowie gotowa książka „Mój mąż, Andriej Zarudny. Rozstrzelana sprawiedliwość".

Lidka oblała się kawą: - Co takiego?!

- Twoja teściowa napisała „rybkę". A ponieważ ma kiepski styl... takie tam romantyczne bajdurzenie... znaleźliśmy kogoś, kto opracuje to literacko. Chcesz, dam ci poczytać?

- Igor, to podłe - stwierdziła Lidka.

Rysiuk wstał. Podszedłszy do niej, oparł się o stół, aż jego oczy znalazły się naprzeciwko oczu Lidki... choć odrobinę wyżej.

- Dlaczego podłe? Czy taka książka jest gorsza od tablicy pamiątkowej? Przyjąć nazwisko „Zarudna" po to, żeby dostać się na uniwersytet - to dobrze? A starania o kontynuację pracy Andrieja - to podłe?

Na skroni pulsowała mu żyłka. Zewnętrznie był spokojny, ale Lidka nagle zrozumiała, że ten spokój jest zwodniczy.

- Chciałam zajmować się nauką - stwierdziła przez zęby. - Chciałam zostać jego... spadkobierczynią i kontynuatorką dzieła. Czy to dla ciebie zrozumiałe?

- I czemu nią nie zostałaś? - zapytał cicho Rysiuk.

- Dlatego, że historia kryzysów nie jest nauką! To iluzja, fantazja! Bezmyślne zbieranie faktów, których nikt nigdy nie zdoła zinterpretować!

- Tu cię mam - Rysiuk odepchnął się od stołu i podszedł do niziutkiego, pokrytego ceglastymi zaciekami piecyka. - W tej dziedzinie nic ci nie wyszło. Co nie przeszkadza ci w okazywaniu zazdrości i zawiści, jeżeli pojawia się inny kandydat na miejsce spadkobiercy i kontynuatora.

- Nieprawda - stwierdziła Lidka martwym głosem.

Rysiuk westchnął.

- Chcesz powiedzieć, że Andriej Igorowicz przez całe życie zajmował się iluzją i pseudonauką?

- On zajmował się... - Lidka oblizała wargi - Zajmował się... przecież same odnośniki do szczegółowego obciążenia demograficznego, współczynnika przenikliwości, przesunięcia populacyjnego...

- Znaczy, *on* czegoś się dogrzebał, badając historie kryzysów, a ty - nie, i na tym opierasz swoje twierdzenie, że to pseudonauka?

Lidka zapragnęła nagle wstać i wyjść. Oznaczałoby to jednak kompletną, pełną i katastroficzną klęskę, porażkę bez prawa do rehabilitacji, dlatego zacisnęła zęby i została.

- A nie próbowałaś popatrzeć na ten sam problem z drugiej strony? - zapytał Rysiuk cichym głosem. - Nie, jak działają Wrota, i dlaczego działają tak, a nie inaczej, ale co zrobić, żeby przy wejściu do nich nie było tłoku?

Lidka patrzyła w stół.

- Pamiętasz apokalipsę? - zapytał Rysiuk. - A swoją siostrę pamiętasz?

- Milcz - syknęła Lidka cicho.

- Każdy z nas jest rozumnym człowiekiem - ciągnął Rysiuk. - Ale zebrani razem, przestajemy być ludźmi. Stajemy się jedną istotą, tępą i kompletnie pozbawioną sumienia. Stajemy się tłumem.

Lidka z trudem przełknęła ślinę:

- I w jaki sposób poradzi sobie z tym twój generał?

- Zobaczymy - westchnął Rysiuk. - Być może, nic z tego nie będzie, Lida, wybacz mój brak taktu. Zrezygnowałaś z dzieci świadomie? A może to jakieś medyczne problemy?

Spojrzała mu prosto w oczy. Wzruszył ramionami, jakby chciał rzec: no cóż, taki już ze mnie nachalny potwór.

- Najpierw nie chciałam - odpowiedziała, sama zdumiona własną otwartością. - A potem... zapragnęłam dziecka. Jeszcze mogłam. Wtedy jeszcze wszystkie rodziły... Można było zdążyć...

Rysiuk kiwnął głową: - Rozumiem...

- Co rozumiesz? - nie wytrzymała Lidka. - Co ty w ogóle rozumiesz?! Jego starszy syn poszedł dziś do szkoły, a ma jeszcze dwie córki z różnymi matkami! Hojny był, bydlak, byk reproduktor. Krył wszystkie, których dotykał, wszystkie zapłodnił, całkowicie bezpłatnie! I okazało się, że studnia z nasieniem nie była bez dna. Wystrzelał się!

- Lido - ostrzegawczo rzekł Rysiuk. Lidka pojęła, że zhańbiła się ostatecznie i wybuchając płaczem, przewróciła na stół filiżankę. Na brudnym stole rozlała się brązowa kałuża.

Wtedy, po powrocie z ekspedycji, przeżyli prawdziwy miodowy miesiąc. Uwierzyła, że kocha Sławka. I najpewniej go wtedy kochała. „Mamo! - wołał Sławek do Klaudii Wasiliewny. - Będziemy mieli dziecko!" Teściowa rozkwitała w oczach, nazywała Lidkę córeczką i podsuwała jej orzechy z miodem.

Wszystko się skończyło, choć nie od razu. Nadzieja umiera ostatnia, choć byłoby lepiej, gdyby zdechła od razu... ta nadzieja... zamiast się tak męczyć.

- Więc po co nadal żyjecie razem?

- Przyzwyczaiłam się do niego - odpowiedziała Lidka, przełykając łzy. - Przywiązałam się... I nie mam pojęcia, dokąd pójść. W domu wszyscy mają swoje sprawy, tam mieszka brat i kuzynka... Janka nieustannie i nie w porę mi się przypomina... A zresztą... żyję w

mieszkaniu Zarudnego. Andrieja Igorowicza. Siedzę za stołem, przy którym sam siadywał... Ja go do tej pory kocham, Igor, czy tego nie widać?

- Widać - stwierdził Rysiuk.

I położył jej rękę na ramieniu.

* * *

Biurko było zawalone rozmaitymi papierzyskami. Lidka usiadła przy brzeżku, oparła się łokciami i położyła podbródek na splecionych palcach.

Oto rozłożone kartki niedoprowadzonej do końca dysertacji. Zebrać, złożyć, zwinąć w rulon i wetknąć do kosza.

Oto jakieś zapiski Sławka - niech sam je sobie poukłada. Zebrać razem, włożyć do skrzyneczki i odsłonić skrawek plastyku, spod którego widać już kawałek policzka.

Stos czasopism - przełożyć na szafę. Okienko się powiększyło, wyjrzało spod niego uśmiechnięte oko.

Zsunąć na bok stary arytmometr, zebrać gazety, przesunąć dłońmi i zetrzeć kurz. Otóż i on. Uśmiecha się, jakby nigdy nic.

Trzasnęły drzwi wejściowe. Lidka westchnęła ciężko i opuściła podbródek na splecione palce. Plastyk był w jednym miejscu silnie zadrapany i wyglądało to tak, jakby Zarudny miał białą szramę na policzku.

Sławek cichutko, w papciach, przeszedł obok gabinetu do kuchni. Lidka słyszała, jak przestawia puste garnki. Potem drzwi gabinetu lekko się uchyliły:

- Lid... pracujesz?

- Nie - odpowiedziała krótko.

Sławek wszedł do pokoju. Poczucie winy oblepiało go niczym ogromna meduza. To osobliwe poczucie winy, do której człowiek sam nie chce się przyznać. I które poniża swojego nosiciela.

- Widzisz... Niektóre żony gotują obiad. Albo choćby chleb kupują.

- Wiem - odpowiedziała obojętnie.

Sławek milczał. Przeniósł wzrok z Lidki na okno, potem zerknął na biurko, gdzie spod plastykowej przezroczystej płyty uśmiechał się jego ojciec.

- Lida... czy coś się stało?

Wzruszyła ramionami.

- Jakby to powiedzieć... oczywiście, że się stało, tylko że dość dawno temu.

Przez chwilę milczał i tarł dłonią o dłoń. Potem odpowiedział, podkreślając urazę chłodem głosu:

- A... To przepraszam.

I kiedy odwrócił się, żeby wyjść, Lidka zapytała, rozmyślnie zwracając się do jego pleców:

- Nie chciałbyś przypadkiem ożenić się z matką swojego dziecka? Obojętnie którego, masz przecież wybór?

Szerokie plecy Sławka drgnęły, jakby ktoś po nich sieknął batem.

- Nie - odpowiedział, nie odwracając się. I dodał po chwili przerwy: - Chciałbym wierzyć, że mnie kochasz.

- No to wierz - odpowiedziała znużonym głosem. I Sławek wyszedł; nie spojrzawszy na nią, starannie zamknął drzwi.

Lidka została sama z Andriejem Igorowiczem. Położywszy głowę na blacie, przylgnęła policzkiem do chłodnej powierzchni plastyku.

Rozdział 8

...wzdłuż uszkodzonej linii energetycznej wybuchły pożary, zagradzające ludziom drogę ewakuacji. Jednocześnie z wody poczęły się wyłaniać glefy, jedna za drugą, jakby wyczuły łatwy żer. Kilka tysięcy ludzi znalazło się w pułapce...

[„Armia i OP", ilustrowane podsumowanie 53-ciej apokalipsy, tom 4, str. 209.]

...połowa miasta stała w ogniu i niczego nie można było zrozumieć. Dym, panika... Pracownikom OP z ogromnym trudem udało się jakoś zaprowadzić porządek, pamiętam, że doszło nawet do gróźb użycia broni. Zorganizowali ewakuację, ale korytarz odwrotu był zbyt wąski, a te, z morza, szły niczym mur. Nigdy w życiu nie widziałem tylu glef naraz i mam nadzieję, że nigdy już nie zobaczę.

Pamiętam, że kiedy zza kłębów dymu pojawiły się helikoptery, zrozumieliśmy, iż jesteśmy uratowani. Poruszały się wdzięcznie, jakby w tańcu. Otworzyły ogień do glef, a my krzyczeliśmy i machaliśmy im rękami: „Ratujcie nas!".

Potem zaczęły się palić i spadać, jeden za drugim. To było jeszcze bardziej przerażające, niż te glefy. Potem się dowiedziałem, że trafiła się tam atmosferyczna anomalia elektryczna, która poraziła śmigłowce kulistymi piorunami... Spadł jeden, potem drugi i trzeci, potem jeszcze dwa... Myśleliśmy, że te, które ocalały, zawrócą i odlecą. Okazało się zresztą później, że taki właśnie rozkaz im wydano. A dowódca eskadry, pułkownik Mróz, nie podporządkował się rozkazowi.

[Tamże. Wspomnienia naocznego świadka, Igora Wsiewołodowicza Karpenki, mieszkańca miasta Białopole]

...Mroczna pora dnia, blask pożarów i czarny dym. Widoczność prawie zerowa... Potem zmienił się wiatr, zobaczyliśmy ludzi, brzeg morza i *tamte*... Otworzyliśmy celny ogień ze sporym powodzeniem, a potem usłyszałem w słuchawkach taki charakterystyczny trzask, znany każdemu pilotowi helikoptera, a szczególnie tym, którym zdarzało się wylatywać do kryzysu. Anomalia elektryczna, według wszelkich instrukcji należy się szybciutko zmywać, ale przecież widzimy - tu ludzie, a tam *one*. Ryczałem do mikrofonu, żeby chłopcy się wycofywali, a sam zostałem i dalej strzelałem. Łączności zresztą już nie było, więc mogłem sobie wrzeszczeć do śmierci z przymiotnikiem, w takiej sytuacji dowódca każdej załogi podejmuje decyzje sam. Wiedziałem, że zdechnę tutaj, ale załatwię jeszcze kilka tych potworów, a jak się uda, to zwalę swój płonący śmigłowiec na grzbiet

któregoś z nich.

Z dwunastu maszyn cztery eksplodowały podczas pierwszych minut anomalii. Dwie maszyny zdążyły się wycofać. Ci ludzie nadal żyją i nie powiem im ani o nich złego słowa, postąpili wedle swojego rozeznania. Zostaliśmy w szóstkę i trzymaliśmy się przez pół godziny... mieliśmy po prostu szczęście. I cały czas waliliśmy w te *stwory,* bo na szczęście mieliśmy dodatkowe zapasy amunicji...

[Ze wspomnień generała Mroza, odznaczonego złotą oznaką Bohatera za uratowanie mieszkańców miasta Białopole]

Każda sekunda tego oporu warta była kilka istnień ludzkich. Siły OP, które zdążyły w samą porę, ewakuowały ludzi w głąb kontynentu.

[„Armia i OP". ilustrowane podsumowanie 53-ciej apokalipsy, tom 4, str. 210]

Ci chłopcy zasłużyli na wieczną pamięć. Moja maszyna też stanęła w ogniu i straciła sterowność. Zaczepiła o jakiś dach, zdążyłem się z niej wyczołgać, zanim wybuchła. Przelazłem na otwartą przestrzeń, zdaje się, że to był jakiś plac. Zobaczyłem chłopaków z OP i straciłem przytomność. Na szczęście zdążyli mnie wynieść, a po upływie dwóch kwadransów byłem już na chodzie i przez Wrota przelazłem zdrów jak ogórek... Cóż, taki los...

[Ze wspomnień generała Mroza, Bohatera Białopola, „Armia i OP", ilustrowane podsumowanie 53-ciej apokalipsy,
tom 4, str. 211]

W sztabie było ciemno od papierosowego dymu i gwarno. Bez przerwy dzwoniły telefony. Na głównym stole mieścił się liczniak, nie wiadomo dlaczego bez obudowy i pokrywy, ze wszystkimi płytami i kartami rozszerzeń, taśmami przewodów i kompletnie niepotrzebnym w tym przypadku - jak się Lidce wydało - pracującym niezmordowanie wentylatorem.

Obok warczała lodówka; co chwila ktoś do niej podchodził, brał co mu tam wpadło w oko i żując odchodził do swego miejsca pracy. Wyglądało też na to, że góra butelek po wodzie mineralnej - plastykowych i szklanych - lada moment zawali się, grzebiąc pod sobą rozrzucone po całej podłodze papiery.

Ktoś podsunął jej pod łokieć nową, pokrytą cyframi kartkę:

- Ostateczne dane z rejonu Podolska.

Przebiegła po kartce wzrokiem. Oczywiście. Miażdżąca przewaga Werwerowa. Co zresztą było do przewidzenia.

Westchnęła. Dzisiejszy ranek wreszcie wyleczy ją z tej choroby, której nabawiła się z własnej woli, uwolni ją z tej niewoli, w którą wprzągł ją Rysiuk, zdejmie jej tę obrożę, którą nałożono jej pod

pozorem ukazania nowego celu w życiu. Dzisiejszy ranek to zgodne z przewidywaniami fiasko po tylu nużących i wyczerpujących powtórkach.

Połowa liter na klawiaturze była zapadnięta. W te klawisze zaciekle tłuczono przez wiele godzin - ona sama zresztą też w nie waliła. I oto na ekranie widniała mapa kraju, na której stolica wyraźnie jest zabarwiona barwą niebieską, to znaczy barwą Werwerowa, Dmitrija Aleksandrowicza, rywala, wroga i według wszelkiego prawdopodobieństwa, nowego Prezydenta.

Lidka założyła ręce za głowę. Odchyliwszy się na oparcie krzesła, po raz kolejny zadała sobie dość często ostatnio pojawiające się w jej myślach pytanie: co ja tu robię? Jaki wiatr mnie tu przyniósł? Jakieś wyborcze okręgi, pachnący okropnym dymem papierosowym obserwatorzy, osowiali z niewyspania eksperci, zresztą sama też jestem ekspertem. Skomplikowana, nużąca i nie bardzo czysta gra - generał Mróz usiłuje wygrać w wyborach prezydenckich.

Ze wszystkich sondaży wynikało, że generał przepadnie w pierwszej turze. Lidka była już wtedy tak zmęczona, że poważnie myślała o tym, iż dobrze byłoby się położyć gdzieś w kącie i zdechnąć. I, o ile sobie przypomina, gorzko się rozpłakała, gdy Mróz przeszedł do drugiej tury. Oznaczało to, że bydlęca harówka potrwa dalej, choć nadzieje na wygraną były jeszcze mniejsze niż przedtem, ponieważ deputowany Werwerow prowadził z ogromną przewagą głosów, a „Bezlitosny Mróz" przepadnie z kretesem, bo przeszedł do drugiej tury tylko przypadkiem, ponieważ przeciwnicy Werwerowa wzajemnie sobie przeszkadzali...

Przyjechali jacyś korespondenci z kamerą. Ustawili Rysiuka na tle wiszącej na ścianie mapy i zaczęli mu zadawać pytania. Lidka nie bez zdziwienia stwierdziła, że Igor się uśmiecha. Jakby nadchodzące z różnych stron miasta wiadomości wcale go nie przygnębiały, jakby klęska, która o północy miała się wyłonić z urn wyborczych, wcale mu nie psuła humoru.

- Wiadomości z prowincji nadchodzą z pewnym opóźnieniem. Za wcześnie jeszcze na konkluzje, trzeba poczekać na pełny obraz sytuacji...

Reporterzy także się uśmiechali. Ich oczy lśniły niezdrowym, gorączkowym blaskiem - każdy chciał w ogniu wyborów upiec własną pieczeń i niektórzy liczyli na własny zawodowy awans; jak na przykład ten chłopak z mikrofonem. A gdzie jutro będzie Igor Rysiuk, taki zasadniczy i drobiazgowy, mimo tego, że od wielu dni nie dosypiał? Czy znajdzie się, wybaczcie określenie, na śmietniku historii?

Lidka skrzywiła się. Gdzieś usłyszała ten górnolotny zwrot i nawet wyobraziła sobie taki obrazek: wywrotkę wiozącą stare nazwy i

błędne nauki na śmietnik.

Nowy Prezydent wielu rzeczy nigdy Rysiukowi nie wybaczy. Nie zapomni mu memuarów Klaudii Zarudnej. Nie wybaczy samej gry nazwiskiem zabitego deputowanego, ten atut Werwerow zamierzał wykorzystać osobiście. Od dawna go hołubił - nieprzypadkowo przecież mieszkanie Zarudnych zostało zwrócone prawnym właścicielom właśnie dzięki staraniom Dmitrija Aleksandrowicza. I nie przypadkiem Sławek jak zaczarowany chodził na jego smyczy. Sławek potrafi pamiętać dobroć i niewykluczone, że w drugim sztabie - urządzonym znacznie przyjemniej i wygodniej - przy maszynie obliczeniowej siedzi teraz były mąż Lidki.

Podsunęli jej kartkę... jedną, a potem drugą.

- Tak - mówił Rysiuk do słuchawki. - Tak. Przygotowane.

Wszyscy starali się mówić jednocześnie. Było duszno od niebieskawych smug wiszącego nieruchomo w powietrzu papierosowego dymu. Lidka na pewien czas straciła więź z rzeczywistością - być może zasnęła na siedząco i tylko odruchowo bębniła palcami po klawiaturze, przenosząc bezmyślnie cyfry z papierów na ekran i wodząc myszą po zatłuszczonej podkładce. Kanapki robili na tej podkładce, czy co?

Ocknęła się, ponieważ w pokoju nagle zapadła cisza. Nierzeczywista, pełna napięcia cisza.

Zatarła dłonie. Starannie rozmasowała każdy z palców - na krótko pomagało to odegnać znużenie. Potem przetarła oczy. I spojrzała na ekran stojącego przed nią monitora.

Stolica jak przedtem pozostawała niebieską, ale na całym ciele kraju coraz wyraźniej zaczynały występować zielone punkty. Gdzieniegdzie blado seledynowe, ale w wielu miejscach szmaragdowe, niczym wiosenna trawka.

Niebieskich punktów było mniej. I gromadziły się tylko wokół większych miast.

Lidka przeniosła wzrok na ekran telewizora. Pojawiło się tam od razu wielu ludzi, prezenter i prezenterka rozmawiali z jakimiś analitykami i wszyscy nie wiadomo czemu co chwila parskali jakimś nerwowym, napiętym i nienaturalnie głośnym śmiechem.

- Niech mi ktoś da papierosa - ochrypłym głosem poprosiła Lidka. Kilku ludzi natychmiast podsunęło jej otwarte paczki; nikt nawet nie zapytał, dlaczego nigdy niepaląca Lidka akurat dziś postanowiła złożyć hołd zgubnemu nawykowi.

Nie znając się na filtrach i gatunkach, wybrała najbardziej jaskrawe opakowanie. Wetknęła papieros do ust, a ktoś w ostatniej chwili zdążył jej wyjaśnić, że tytoń należy lekko rozluźnić palcami. Lidka puściła dobrą radę mimo uszu.

Papieros śmierdział. W jego smaku i zapachu nie było nic

godnego uwagi; Lidka wbrew samej sobie potrzymała dym w ustach, a potem obejrzawszy się ukradkiem dookoła, wypuściła go razem z papierosem i wypluła do kosza. Papieros nadal jednak dymił się na brudnym, podsuniętym jej przez kogoś talerzyku.

- Wiadomości z północnych regionów.

- Wiadomości ze wschodu i południa. Boże... Boże...

Mapa pokrywała się zielenią. Jej pierwotną biel niczym śnieg pokrywał coraz bardziej gęsty, niespodziewany i uparty zielony nalot; a Lidka przymknęła rozpalone oczy.

Mapa. Osady i miasteczka. Kiepskie drogi. Wiejskie kluby. Podłe hotele i gościnne domy, wszędzie z tymi samymi przepastnymi pierzynami, od których rano rwie w kręgosłupie. Domowa kiełbasa. Domowe wino. Zapach trawy i lasu. Zapach samogonu i nawozu.

Przemierzyli całą tę przestrzeń, od jednego powiatowego centrum do drugiego, przez pola i pasma lasów, po bezdrożach, w autobusach i armijnych ciężarówkach, a czasami używali maleńkich, hałaśliwych i kapryśnych samolocików. I wszędzie ze wszystkimi prowadzili serdeczne, szczere rozmowy. Dokładniej rzecz biorąc, mówił Rysiuk, a Lidka się uśmiechała.

Ludzie gromadzili się tłumnie, schodzili się ze wszystkich okolicznych wiosek, ponieważ reklamą Rysiuka zajmował się pewien łebski major. Koncert zaczynał się zawsze pod gołym niebem i obowiązkowo na skraju jakiegoś rozległego placu; wojskowy agregat prądotwórczy, wzmacniacze i reflektory wozili ze sobą. Brygada agitacyjna rozgrzewała publikę piosenkami i kawałami, potem z nieba spadał huk i wicher - i na placyku pojawiała się para wojskowych helikopterów.

Mróz wyłaził z kabiny, uśmiechał się po ojcowsku i w marszu zdejmował hełmofon. Piętnaście minut trwała mowa, ostra i pełna ekspresji, którą napisał mu Rysiuk. Natychmiast też głośniki zaczynały się zanosić groźnym rykiem: dobrobyt, kredyty, praca i rozkwit szły na pierwszy ogień, jako żarcie powszechne i wszystkim znajome. Pod koniec pojawiało się delikatnie i ze znawstwem przyrządzone danie firmowe: czy to sprawiedliwe, żeby wymuskani synkowie urzędasów uczyli się we wspaniałych szkołach, podczas gdy wasze dzieci pasają świnie? Które z waszych dzieci będzie miało możliwość podjęcia nauki na uniwersytecie? Czy obojętna jest wam przyszłość waszych dzieci?

Pytanie było retoryczne. Natychmiast po nim generał zaczynał wspominać własne sielskie dzieciństwo, które minęło właśnie w takim powiatowym miasteczku i letnie wakacje, które rok w rok spędzał u babci na wsi.

Potem zwykle wszyscy ładowali się na ciężarówki i jechali do szczególnie gościnnej i hojnej osady, kontynuować natarcie. W rekordowo krótkim czasie nakrywano nieskończenie długie stoły;

butelki kłaniały się szklankom i zaczynała się druga, a właściwie trzecia seria: Mróz nie wykazywał śladu oszołomienia alkoholem. I spełniał toast za toastem: za zniesienie wszelkich możliwych przywilejów! Miejscowe ochlapusy traciły przed nim rezon, abstynenci otwierali przed nim dusze, a kobiety niemal otwarcie przebierały nogami z podniecenia; tymczasem niebo grzmiało rykiem silników, a piloci helikopterów pracowali do siódmych potów, obwożąc chętnych, których było tylu, że w kolejce czekających regularnie wybuchały bójki.

I kiedy wreszcie generał wracał do swojej maszyny, a wiatraki maszyn podrywały huragan, który gniótł trawę i podrywał w górę damskie sukienki, wszyscy wieśniacy cmokając z zachwytu językami, odprowadzali wzrokiem znikające za horyzontem dwa drapieżne cienie.

A potem wszystko zaczynało się od nowa. Rozmowy od serca, powiatowe miasteczko, tłumy ludzi i brygada agitacyjna. Tylko dwa razy zdarzyło się odstępstwo od scenariusza - za pierwszym razem piloci pomylili nazwy osad i wylądowali dziesięć kilometrów od celu. Heros z nieba się nie zjawił i dla ratowania przedsięwzięcia Rysiukowi przyszło improwizować. Co prawda, wszystko zakończyło się pomyślnie; ale po drugim razie Lidce zostały bardzo niemiłe wspomnienia.

Tym razem generała zawiodła jego odporność na spirytualia, być może przekroczył swoją i bez tego końską dawkę, ale zalał się bohater haniebnie i niepotrzebnie. Odlał się szumnie na różany krzew przed siedzibą wiejskiego klubu i zaczął łapać wszystkie damy, które miał w zasięgu wzroku. I dał w pysk jakiemuś przesadnie nerwowemu mężowi.

Pozbawionemu wsparcia Rysiukowi nie udało się zatuszować skandalu. Sam sprał pijanego bohatera po gębie; ale w tydzień później kampania szła, jakby nic się nie stało.

I proszę, oto wszystkie do bólu znajome nazwy na mapie. Tańce, popijawa, wojskowy śmigłowiec. I proszę - grafiki; rosnące szybko zielone słupki z niziutkimi niebieskimi kołpaczkami.

Czyjaś dłoń legła Lidce na ramieniu. Dziewczyna przykryła ją swoją dłonią, nawet się nie odwracając.

Łatwo sobie wyobrazić, co się w tej chwili dzieje w sztabie u Werwerowa. A właściwie przeciwnie - bardzo trudno to sobie wyobrazić. Debiutant, który przez całą trasę wlókł się na końcu stawki, nagle przed samą metą ostro przyspiesza, jakby włączył dopalacz - i zrównuje się z liderem, idąc z nim łeb w łeb.

- Jutro ogłoszą wyniki wyborów - oznajmił Rysiuk spokojnie. - No, a na taki wypadek mamy jeszcze coś w zanadrzu.

I nagle zaterkotał milczący do tej pory czerwony telefon, który

Rysiuk umyślnie postawił na krawędzi swego stołu.

- Tak, Piotrze Maksymowiczu - stwierdził Igor bez cienia uśmiechu na twarzy. - Tak... Ale poczekajmy na ostateczne rezultaty, dobrze? Tym bardziej, że czekać za długo nie będzie trzeba.

W słuchawce coś trzeszczało i buczało. Rysiuk skrzywił się z niezadowoleniem. Pożegnał się i odłożył słuchawką na widełki. Tamten znów się spił - zrozumiała Lidka. W takiej chwili... A jeżeli jutro będzie musiał stawić czoła dziennikarzom?

Rysiuk zawołał jednego z referentów i posadził go przy klawiaturze:

- Zmień Lidkę. Ona już swoją rolę talizmanu odegrała... Teraz, Sotowa, musisz trochę odpocząć.

Za oknem szarzało. A może tylko Lidce wszystko zblakło w oczach.

* * *

Droga Redakcjo! Piszą do Was mieszkańcy osiedla Nowa Komienka z powiatu charkowskiego.

Nasze osiedle jest nowe. Osiedlono nas tu po ostatniej apokalipsie, ponieważ nasza stara osada Komienka ucierpiała bardzo od tsunami i stała się zupełnie niezdatna do zamieszkania. Przeniesiono nas w głąb lądu, dano odprawy i udzielono pomocy podczas prac budowlanych - ale tak czy owak, nie możemy przywyknąć do życia na nowym miejscu.

Wody prawie tu nie ma, przywożą ją w beczkach i często musimy za nią dodatkowo płacić, choć zgodnie z prawem należy się nam bezpłatnie. Latem panuje tu susza i straszne upały - guma i asfalt topią się na słońcu. W zimie takie mrozy, że nie sposób oddychać - parzy w płuca. Dzieci trzeba było posłać do internatu, bo tu nie ma dla nich żadnych warunków. Zwróciliśmy się ze zbiorowym pismem do rządu, żeby ponownie przesiedlono nas na wybrzeże. Lepiej żyć obok dalfinów, niż tak się męczyć przez najbliższe dwadzieścia lat. Państwo powinno się o nas zatroszczyć. Tymczasem administracja w ogóle nie zareagowała. Napisaliśmy list do Prezydenta, ale jesteśmy pewni, że do niego nie dojdzie, ponieważ zebrała się wokół niego chmara doradców i wyzyskiwaczy. Za kilka lat, mówią, będzie apokalipsa - a tu podobno zaczynają się straszne trzęsienia ziemi, długo przed otwarciem Wrót. Szanowna Redakcjo, prosimy o publikację naszego listu, być może pomoże to w rozwiązaniu naszych problemów...

[List otwarty do gazety „Człowiek i Kraj", 12-tego maja 15-go roku 54-go cyklu]

* * *

Pokład kołysał się bezszelestnie. Lidka leżała, szeroko otworzywszy oczy i sama sobie wydawała się częścią pasiastego leżaka, szmatką rozluźnioną i bezmyślną. Prosto nad jej głową wbijał się w niebo nagi maszt, niczym cieniutki, czarny palec dobrodusznie grożący błękitowi, chyboczący się w lewo i w prawo - a jeżeli choć przez chwilę będzie się nadążać wzrokiem za jego ruchami, nieuchronnie rozboli człowieka głowa.

- Chcesz spać? - zapytał Igor.

Siedział na pokładzie, skrzyżowawszy nogi i miał na sobie tylko turkusowe importowane slipki, białą koszulę do garnituru i poważny krawat z rozluźnionym węzłem, beztrosko przesuniętym w bok.

- Nie chcę - odpowiedziała Lidka.

Rysiuk lekko zmarszczył brwi:

- Masz taką minę, jakbyś była niezadowolona. Co, nie podoba ci się tutaj?

- Podoba się - odparła Lidka.

- To czemu się krzywisz?

Westchnęła.

Minął bez mała miesiąc od dnia, w którym zgodnie z zestawionym przez Igora planem wystąpiła z propozycją założenia Dziecięcej Fundacji Kultury. Już wcześniej wystawiono siedzibę fundacji - trzypiętrowe królestwo białego marmuru, prawdziwego drewna i matowego szkła. A Lidka przecięła wstęgę.

Na tę uroczystość sprowadzono tłumnie szczególnie uzdolnione dzieci, wśród których była jej kuzynka Jana, trzynastoletnia pannica podkreślająca już rzęsy tuszem, nie przejmująca się za bardzo brzemieniem licznych trójek. Janeczka czytała swoje wiersze - o Ojczyźnie, jakże dobrej dla swoich dzieci; Lidka słuchała tego z niesmakiem i myślała o tym, że Jana i Timur, ani żaden inny z jej krewnych, nie zostawili dziewczynce żadnego ze swoich genów dominujących. Z twarzy, sylwetki i gestów smarkula przypominała Sanie i wyłącznie Sanie; Lidka w zasadzie nie żywiła żadnej urazy czy niechęci do bratowej, ale debiut Janeczki napełnił ją smutkiem i irytacją.

Szukała wśród wyrostków swojego małego braciszka, Paszkę - i nie mogła go znaleźć. Nieco później dowiedziała się, że dwunastoletni Paweł oznajmił, że jest niedostatecznie utalentowany do tego, iżby wziąć udział w tak szumnym przedsięwzięciu i w towarzystwie innych urwisów wybrał się na ryby.

Nagradzała jakichś prymusów medalami. Jakimś sierotom rozdawała książki, pióra i torby z cukierkami; wedle licznych opinii wypadła w tej roli zupełnie dobrze. Niestara jeszcze, energiczna

kobieta, przejęta troską o przyszłość kraju i gotowa z tego powodu adoptować wszystkie dzieci, do których zdoła dotrzeć. Działaczka społeczna, spadkobierczymi Andrieja Zarudnego (zachowanie nazwiska było jednym z jej głównych warunków podczas rozwodu ze Sławkiem). Prawdziwa dama.

W ustach został jej po tym jakiś niemiły smak, którego nie zdołały usunąć dezodoranty, pasta do zębów ani zapachowe cukierki.

Potem zaczął się rejs po szkołach; aula wypełniała się jednakowymi dziecięcymi twarzyczkami, prowizorycznie podłączony mikrofon buczał i piszczał, a Lidka mówiła swoje i nieustannie się uśmiechała. Brała z rąk asystenta kolejną książkę lub torebkę ze słodyczami, uśmiechała się i wtykała je w ręce podbiegającego berbecia. Znów się uśmiechała. Brała kolejny prezent i wsuwała go w ponownie wyciągnięte ku niej dłonie. Słuchała oklasków. Kiwała głową. Wracała do samochodu. Codziennie to samo.

Przed dwoma tygodniami powiedziała Rysiukowi, że ma już dość. Rysiuk pokiwał głową i zgodził się na to, by na jakiś czas odłożyć objazd prowincji.

Rysiuk wyciągnął przed siebie blade, nietknięte opaleniznę nogi. Rozpiął koszulę, zrzucił ją od niechcenia i został tylko w slipkach i w krawacie.

- Czemu wzdychasz?

Milczała.

Rysiuk chciał już coś dodać, ale odwrócił się nagle, ona zaś automatycznie podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Od brzegu nadpływał, kołysząc się lekko na boki, średnich rozmiarów trawler.

Jacht zatańczył na fali. Cienki maszt zakreślił na niebie szybki podwójny łuk. Na pokładzie trawlera stał, wparłszy nogę w burtę. Prezydent - Piotr Maksymowicz Mróz, w pasiastym podkoszulku i spodniach od maskującego munduru polowego.

- Hej, Igorucha! Jedziemy. Szykuje się polowanko, przeskakuj do nas... I ty, Lidka, nie siedź bezczynnie. Druga okazja nieprędko się zdarzy. Spore stadko, przypłynęły gdzieś z południa, a rzadko tu bywają o tej porze roku... No?

Generał mówił niezbyt głośno, ale nawet szum morza nie zdołał zagłuszyć ukrytego rozkazu, który zawsze dźwięczał w każdym wypowiedzianym przezeń słowie, nawet wtedy, gdy Mróz wznosił toast za czyjeś zdrowie albo życzył komuś dobrej nocy. Igor lekko wstał, podał Lidce rękę, ona zaś, jeszcze nie bardzo wszystko pojmując, wstała także.

- Włóż spodnie - polecił generał. - Tam nieźle wieje...albo nie. Chodź, jak stoisz, coś ci tu znajdziemy. Jakąś nieprzemakalną kurtkę. Wowka ma coś takiego. Ty. Lidka, też chodź. Znajdzie się i dla ciebie. No, dalej!

Z burty na burtę rzucono cumy, ale szczelina została - półtora metra. Igor skoczył bez strachu i wyciągnął rękę do Lidki:

- Skacz!

Zawahała się, zadając sobie jednocześnie pytanie: czemu właściwie ma zostawiać leżak i gdziekolwiek skakać?

- No! - warknął generał, który jej wahanie wziął za zwykły babski strach przed skokiem.

Skoczyła. Rysiuk ją złapał, ale mimo to boleśnie się uderzyła w palec nogi. Syknęła i wyrwała się Rysiukowi; trawler śmierdział rybami i dymem, jakakolwiek wzmianka o słynnej morskiej czystości zabrzmiałaby tu co najmniej jak drwina.

Pod ścianką nadbudówki siedział na samochodowej oponie „książę następca tronu"- dwunastoletni wnuczek Mroza. Najwyraźniej dawno i definitywnie padł ofiarą morskiej choroby.

- I dokąd mamy płynąć? - zapytała Lidka swarliwym głosem.

Książę następca nie odpowiedział.

Trawler parł dziobem na otwarte morze. Wiatr stawał się coraz bardziej złośliwy; jakiś emerytowany rybak wyciągnął ze schowka cały stos podejrzanie śmierdzących szmat, z którego Rysiuk wyłowił niezwykle obszerną rybacką kurtkę i mężnie wdział ją na grzbiet. Krawat nadal pętał mu się na szyi, nadając szefowi prezydenckiej kancelarii widok nieco śmieszny i zarazem wzruszający.

Lidce podano płaszcz, za co podziękowała skinieniem głowy.

Mróz malowniczo rozstawiwszy nogi, stał na dziobie i nie odejmował od oczu lornety. Wypisz wymaluj, wilk morski, pomyślała kwaśno Lidka. Mróz jakby usłyszał jej myśli, opuścił lornetę, odwrócił się i wezwał Igora kiwnięciem palca:

- Posłuchaj, Rysiuk. Patrz, tam, prosto na kursie, jak zobaczysz grzbiety - gwizdkiem wezwiesz wszystkich na górę. Jasne?

Rysiuk kiwnął głową. Przejąwszy lornetkę i pozę Prezydenta, wzbił wzrok w linię horyzontu.

Mróz przeszedł wzdłuż burty. Pogłaskał wnuka po krótko ostrzyżonej głowie:

- No co, chłopie, postrzelamy sobie?

Książę następca zrobił minę wyrażającą skrajne znudzenie i zmęczenie.

Mróz wrócił z ciężkim brezentowym zawiniątkiem. Zatrzymał się na pokładzie, przysiadł i rozwinął brezent, a potem pomrukując pod nosem, zaczął oglądać wyniesione karabiny. Dwie sztuki, wyglądające solidnie i groźnie, lśniące tłuszczem, syte i zadbane...

- Walerik - zwrócił się generał do wnuka - popatrz, jakie ślicznotki! No co, weźmiesz jedną?

Książę następca wciągnął głowę w ramiona. Widać było, że chce na ląd, na krzesło przed telewizorem i żeby wszyscy się od niego

odczepili.

- No, Walery, coś ty... zmiękłeś, jak baba... - z nieoczekiwaną tkliwością w głosie stwierdził Mróz. - Chłopakom potem opowiesz, skręci ich z zazdrości.

Chłopak targnął przecząco głową.

- Są! - wrzasnął Igor ze swojego punktu obserwacyjnego. - Rzeczywiście, spore stado...

Mróz odwrócił się ku wołającemu - i uśmiechnął się. Lidka usiadła, przylgnąwszy plecami do burty; tak się jakoś stało, że akurat w tej chwili trafiła wzrokiem na twarz generała.

Od uśmiechu Mroza aż Lidkę zemdliło. Przypomniała sobie uniwersytecki kurs medycyny zachowawczej. I jedyną w swoim życiu wizytę w kostnicy.

Zmrużyła oczy.

Matowo błysnęły wyjmowane z paczki naboje. Potem rozległ się szczęk zamka.

- Wowka! - krzyknął Mróz, zwracając się do kapitańskiej nadbudówki i zmagając się głosem z szumem morza i wiatru. - Bierz je na prawą burtę! - i przybierając już postawę strzelecką, zwrócił się do Rysiuka: - A ty chcesz sobie postrzelać?

Rysiuk spojrzał na niewidoczną dla Mroza twarz Lidki i przecząco, choć z uśmiechem, pokręcił głową:

- Ręce mi się trzęsą, Piotrze Maksymowiczu. Po wczorajszej wypitce...

- Po jakiej wypitce? - Mróz zachichotał ogłuszająco. - Mięczak z ciebie, Igoruniu. Ręce ci się trzęsą po tych kilku kroplach?

Rysiuk znów się roześmiał - zupełnie naturalnie i nawet wesoło. Lidkę ponownie zemdliło.

Trawler obróciło dziobem ku fali - Lidka kurczowo wczepiła się dłońmi w reling. Na przemian zanurzając dziób w białej kipieli albo kierując go w niebo, stateczek doganiał stado dalfinów.

- Głupie stwory - stwierdził Mróz. - A mówili, że mają mózg. Gdyby go miały, to śmignęłyby precz i tyle byśmy je widzieli... Ale nie. No, popatrz, Igorku.

Potykając się o oblepione łuskami liny, ślizgając się na mokrych deskach, brnąc w niewiadomego pochodzenia śmieciach, Lidka dostała się do żelaznej drabinki wiodącej ku mostkowi i wczepiła się w nią jak kleszczami. Chwiejbę znosiła względnie lekko, ale nie za bardzo odpowiadała jej perspektywa uderzenia z rozpędu o burtę.

Brezentowy płaszcz śmierdział rybami. Zdechłymi rybami o mętnych oczach, które nie zostały w porę wypatroszone i uwędzone.

Za burtą mignęło w obrocie czarne, lakowe i wygięte wrzeciono - grzbiet dalfina. Jeden, drugi, trzeci... Lidka szybko straciła rachubę. Stado rzeczywiście było spore.

Okręcikiem nadal rzucało. Lidka była niemal pewna, że generał chybi; wiatr dmący prosto w twarze skutecznie głuszył wszelkie inne dźwięki.

Trawler werżnął się w stado, odcinając od większej grupy trzy albo cztery sztuki. A potem szerokim łukiem, niczym w slalomie, skręcił w bok - rufa osłoniła Lidkę od wiatru, i natychmiast wokół niej zrobiło się cicho, prawie tak jak pod wodą.

I w tej ciszy huknął wystrzał. Po powierzchni pokładu zatańczyła łuska.

- A masz, zarazo, masz! No!

Łuski leciały jedna za drugą. Igor wstał na palce i z ciekawością wyglądał za burtę; a generał podniósł rękę i dawał wskazówki niewidocznemu Wowce:

- Dalej! Za nimi!

Po przechylonym pokładzie potoczyły się rozmaite przedmioty. Nie wiadomo skąd wydostała się blaszana puszka po konserwach z niedopałkami. Niespiesznie przemieszczała się od burty do burty, co chwila gubiąc to niedojedzonego byczka, to wypalony połowicznie papieros ze złotym ustnikiem umazanym czerwoną pomadką. „Co oni tu łowią, na tym okręciku?" - zaczęła się zastanawiać Lidka.

Znów dmuchnął wiatr. Lidka się skuliła, usiłując zawinąć się w płaszcz bez pomocy rąk - dłonie jak przedtem trzymały reling. Generał strzelał i strzelał, ładował i znów strzelał - początkowo Lidka widziała tylko tył jego głowy, ale potem Mróz zmienił kąt ognia, odwrócił się ku Lidce profilem - i Lidka się zdumiała.

Wbrew temu, czego się spodziewała, nie zobaczyła na jego twarzy okrucieństwa ani złowrogiej radości. Patrzyła na pełną spokoju twarz człowieka szczęśliwego; zmarszczki się wygładziły, znikł zwykły gniewny grymas, i generał upodobnił się do urzędnika w podeszłym wieku, który wrócił z pracy do domu i nareszcie może się oddać przeglądaniu ukochanej kolekcji znaczków.

Lidka uniosła się kilka stopni wyżej.

Nie, morze wcale nie zmieniło barwy. W oddali połyskiwały czarne grzbiety - stado szybko uciekało w morze. Najpewniej dalfiny nie były takimi durniami, za jakie uważał ich Prezydent; a z pewnością nie zamierzały popełniać samobójstwa.

Wśród uciekinierów nie było ani jednej rannej sztuki. Lidka zmrużyła oczy. Nie, ani jednej.

- Dziewięć - odezwał się Mróz, opuszczając lufę karabinu. - Dziewięć. Wrócimy do domu, zaznaczę na kolbie. W sumie - sto piętnaście. Jest co świętować, Rysiucha...

- Mięso przepadnie - stwierdził z goryczą ten sam tęgi marynarz, który wyposażył Rysiuka i Lidkę w brudne marynarskie łachy. - Harpunem... ten by się przydał. A tak - tylko ryby skorzystają.

Mróz gniewnie spojrzał na starucha, jakby ten proponował jedzenie robactwa.

- Dziewięć - stwierdził Rysiuk z zadumą. - A ja naliczyłem siedem. Jak je liczyć, te twoje trofea?

Mróz w jednej chwili spurpurowiał i nadął się tak, że na szyi wystąpiły mu żyły.

- Bankierów kontroluję i ministrów rozmaitych. A *tych* po prostu czuję. W nowym cyklu położyłem sto piętnaście, a *wtedy* - dwanaście glef. *Te* też były glefami... może próbowały ludzkiego mięsa, a ty - zwrócił się do marynarza - chciałeś je jeść?

Stary rybak cofając się bokiem i tyłem znikł w jakimś luku.

- Dziewięć to dziewięć - stwierdził pojednawczo Rysiuk. - W końcu kolekcja nacięć na kolbie w niczym nie jest gorsza od kolekcji, na przykład, kukiełek.

- A ty widziałeś, jak glefy wsuwają ludzi? - zapytał generał głosem niemal wypranym z emocji.

Trawler zawrócił ku brzegowi. Wiatr ostatecznie zamarł i w ciszy, która zastąpiła jego poświstywanie, wyraźnie było słychać grzechot przetaczającej się po pokładzie puszki po konserwach; książę następca tronu z nieobecnym wyrazem twarzy gapił się na mewy, które nie wiadomo skąd zleciały się na miejsce niedawnego polowania.

Lidka dopełzła na czworakach do burty, wczepiła się dłońmi w reling i zaczęła wymiotować.

* * *

...obniżając gotowość bojową naszej całej OP. Przewód sądowy w zupełności i całkowicie potwierdził winę oskarżonych: wielokrotne, umyślne zaniedbywanie obowiązków służbowych i organizowanie przecieku informacji... zdjęci z zajmowanych stanowisk... skazani na rozmaitej długości kary więzienia... Pułkownik Retielnikow, podczas minionych wielu lat sprzedający tajne materiały naszej ojczyźnianej OP analogicznym służbom zagranicznym... uznany za winnego zdrady Ojczyzny i skazany na najwyższy wymiar kary - śmierć przez rozstrzelanie...

[Dziennik „Człowiek i kraj", 24 czerwca 16-tego roku,
54-tego cyklu]

* * *

Niebo za oknem rozjaśniało się powoli i niepewnie. Teraz będzie łatwiej. Świt oznacza, że noc dobiegła końca. Jeszcze trochę i wstanie słońce, ale w zasadzie już teraz można poczłapać do kuchni, przygotować sobie kawę.

Lidka bokiem wysunęła się spod kołdry. Rysiuk westchnął ciężko, ale się nie obudził.

Ożywiały się już i zaczynały śpiewać ptaki. Początkowo cicho i nieśmiało, potem coraz głośniej i bardziej słodko; aż trudno było uwierzyć, że to nie zapis magnetofonowy. Że tu, w samym środku miasta, w dzielnicy administracyjnej zostało jeszcze coś, co potrafi szczebiotać o świcie.

Otulona szarym półmrokiem przedświtu przeszła do łazienki. Spojrzała w lustro nad umywalką, choć wiedziała, czego należy się spodziewać. Gorączkowo błyszczące oczy, podpuchnięte powieki i siwe włoski na skroniach. Trzydzieści trzy lata, nie więcej, ale i nie mniej. Wszyscy kłamią, kosmetyka nie może tworzyć cudów... Na rozpaloną, trawioną wewnętrznym ogniem twarz nie da się nałożyć maski.

Umyła się, na kilka chwil tworząc dla samej siebie iluzję czystości i świeżości. Potem przeszła do kuchni i dokładnie zamknęła za sobą drzwi. Niegłośno zawył młynek do kawy; postawiła na płycie miedziany jak dzwon i wcale od niego nie mniejszy kociołek. I to wszystko. Już niedługo resztki bezsennej nocy utoną bez śladu w gęstej, ciemnej cieczy. Zapomni o godzinie byka - o myślach, które pojawiają się zawsze i nieodmiennie o czwartej rano. Wspaniała godzina... gwiezdny czas wszystkich stukniętych.

Uśmiechnęła się. Łyknęła z gorącego kubka. Jeszcze raz. Bezszelestnie uchyliły się drzwi. Na progu stanął Rysiuk, bosy, w pasiastym, sięgającym mu do pięt szlafroku.

- Dzień dobry - przywitała go Lidka.

- Zwariowałaś? - warknął. - Wiesz, która godzina?

- Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Chcesz kawy?

Szef prezydenckiej kancelarii nastroszył się, jakby zaproponowała mu co najmniej arszenik. Spokojny ton Lidki wcale go nie oszukał - Lidce czasami się wydawało, że Rysiuka w ogóle nie da się niczym zwieść.

- Lidka, co się stało?

- Nic.

- A konkretnie?

Lidka położyła nogi na taborecie. - Nic a nic!

Rysiuk milczał i czekał. Lidka skrzywiła się, jakby połknęła cytrynę:

- Przed dwoma dniami dzwonił Sławek.

- Jaki Sławek? - zapytał Rysiuk po chwili przerwy.

- Sławek Zarudny. Zapomniałeś już, kto to taki?

Rysiuk wsunął dłoń w kieszeń szlafroka. Przez chwilę milczał, a potem się uśmiechnął: - Panikuje? Lidka zmarszczyła brwi:

- Coś ty powiedział?

- Sławek panikuje? Zrobiło mu się za ciasno w kompanii Werwerowa? Czegoś się boi?

Lidka poruszyła wargami. A potem odwróciła się i zapytała cicho, spoglądając w okno:

- Kto zarządził taką ostrą czystkę w OP?

Rysiuk milczał.

- Kto zlecił tę długą pokazową rozprawę? Komu przeszkadzał Retielnikow, siedemdziesięcioletni staruch?

Za oknem wstawało słońce.

Nikołaj Iwanowicz. Popielniczka w fiolce po aspirynie. Ptasie łajno na mokrej wiosennej ławeczce.

- Co ma do tego Sława? - zapytał miękko Rysiuk. - Jego nie ruszą przy dowolnym układzie. On jest Zarudny, a to oznacza nietykalność.

- Igor, ty rozumiesz, co się dzieje? - zniżonym głosem zadała pytanie Lidka.

Rysiuk cierpliwie kiwnął głową:

- Nie śpisz i denerwujesz się. Wydaje ci się, że dzieje się coś niezwykłego. Nic podobnego - rozgrywki w strukturach władzy zdarzały się i wcześniej, tyle że ty niczego o tym nie wiedziałaś...

- Nie na taką skalę - odpowiedziała Lidka przez zęby.

Rysiuk ponownie kiwnął głową.

- Owszem, możliwe, obecnie toczy się gra na większą skalę, ale przecież za trzy lata będzie kolejna *mryga*. Stare OP było obrosłą w tłuszcz organizacją, która straciła zdolność do działania. Stare państwo to banda łapowników i złodziei państwowych pieniędzy...

Ująwszy ją za ramiona delikatnie, niby ciężką wazę, zdjął z krzesła i przyciągnął do siebie.

- A nowe państwo wyrośnie na resztkach starego, jak trawa...

- ...na trupie... - wtrąciła przez zęby.

- Cóż za naturalizm - Rysiuk wzruszył ramionami i szlafrok zsunął mu się z ramion. Policzek Lidki nagle znalazł się przy twardej, zimnej i bezwłosej piersi Igora.

- Puść - poprosiła cicho.

- O tak - stwierdził ze smutkiem w głosie. - Właśnie tak struktury siłowe postępują z ufającym im narodem... dla jego własnego dobra.

Papcie Lidki zostały w kuchni. Jej stopy nie dotykały ziemi; Rysiuk niósł ją tryumfalnie i jednocześnie niedbale, jak myśliwy zdobycz.

- Igor, ja naprawdę nie chcę. To nie kokieteria. Puść mnie...

- A państwo nie obejdzie się bez odrobiny przymusu. Szczególnie w przeddzień apokalipsy. Wybacz, że mówię banały...

Lidka zmacała stopami podłogę i spróbowała się wyrwać, ale Rysiuk zręcznie podciął jej nogi i położył ją na kosmatym dywanie pośrodku sypialni.

- Igor, zwariowałeś, czy co?!

- Polityka ma na ciebie niedobry wpływ. Zrobiłaś się nerwowa i

straciłaś smak życia - blokując jedną ręką jej nadgarstki, zręcznie zdzierał z niej bieliznę. - A tymczasem szykują się ogromne wstrząsy i wielka praca... trzeba przerobić całą społeczną świadomość pod model nowej apokalipsy... Model Zarudnego. Wrota dla wszystkich; ludzie to nie kury, które depczą jedna drugą. Ani jednej niepotrzebnej śmierci, wszyscy zdążą.

Szarpaniem się uzyskała tyle, że mocniej zgniótł jej nadgarstki.

- Igor... - syknęła w zawieszoną nad nią twarz. - Jeżeli... jeżeli ty... Odejdę, odejdę na zawsze, rozumiesz?

Rysiuk zawahał się. Zatrzymał się, znieruchomiał i nie spiesząc się z wypuszczeniem rąk Lidki z uchwytu, uważnie ją sobie obejrzał - najpierw rozrzucone na dywanie włosy, potem obnażone sutki, aż wreszcie spojrzał jej w oczy.

- ...ludzkość spieszącą do Wrót jest podobna do ameby. Najbardziej prymitywnej istoty. Realizując instynkt samoobronny, reaguje tylko na najbardziej proste, podstawowe bodźce. Nawet jeżeli ktoś zdoła w tym tłumie zachować zimną krew i ludzkie oblicze - i tak nie zdoła niczego zmienić, znajdzie się bowiem w przytłaczającej mniejszości, tłok i ścisk pozbawią go możliwości działania i ruchu. Najbardziej ludzkie ze wszystkiego, co może zrobić taki śmiałek, to pozwolić się stratować, żeby nie tratować innych. Lida, skąd bierzesz tę pewność, że ja się przestraszę?

Na to nie znalazła odpowiedzi. Szef prezydenckiej kancelarii jak przedtem wisiał nad nią, gniotąc ją swoim ciężarem i dławiąc oddech.

- Dokąd pójdziesz? Co, Sławek Zarudny znów cię zawołał? No, gdybyś się przeniosła do obozu Werwerowa, stałabyś się jego asem atutowym. Pisałabyś artykuły o hulankach, o rozrywkach ludzi z prezydenckiego kręgu, opisywałabyś tylko to, co sama widziałaś i Werwerow, z jego ideą natychmiastowego wotum braku zaufania otrzymałby mnóstwo paliwa pod swój kociołek... A co, ja też mogę się tak malowniczo wyrażać...

Lidka milczała, zacisnąwszy zęby.

- To Werwerow zwrócił Sławkowi i jego mamuni ich mieszkanie. Prawda? To Werwerow pierwszy wspomniał o zasługach Zarudnego dla społeczeństwa. To za jego pieniądze wydano pierwsze dzieła zebrane. Wszystko to Werwerow, mądry, inteligentny człowiek, przeciwieństwo tępego żołdaka Mroza, który na domiar wszystkiego jest tylko marionetką podłego Rysiuka?

Lidka milczała. Igor przyparł ją mocniej, jego twarz wisiała w odległości centymetra od jej rozognionych oczu.

- To Werwerow zlecił zabójstwo Zarudnego, Andrieja. To on go sprzątnął. Lido. Wiem to z całą pewnością. A teraz pomyśl!

Lidka zaczęła krzyczeć. Rysiuk bywał bezceremonialny i natarczywy, ale nigdy jeszcze nie potraktował jej jak cham...

* * *

Przyśniły jej się pożary.

Płonące, wielopiętrowe budynki. Najpierw gęsty dym, walący z okien najwyższych pięter, potem języki płomieni, a na koniec ryczące ogniste piekło, czarne jary, osuwające się ściany, osmalone szkielety i góry dymiących się rozwalin. Dom za domem, prawdziwe, realne budynki, znajome miasto, miotający się w panice ludzie...

Potem ocknęła się - we śnie - zdała sobie sprawę z tego, że śniła i westchnęła z ulgą. Potem - ciągle w tym samym śnie - wstała, podeszła do okna i zobaczyła ciągnące się jak okiem sięgnąć wielopiętrowe domy... każdy zwieńczony pióropuszem czarnego dymu.

Znów się ocknęła - a raczej spróbowała się ocknąć i balansując na krawędzi koszmaru, pomyślała, że to wszystko nie wróży niczego dobrego. Pożary we śnie zwiastowały nieprzyjemności na jawie, ale wszystko jednak dobrze się skończyło - jej dom nie spłonął, gorzały te najbliższe, a jej został nietknięty.

No, dość... powiedziała sobie i obudziła się całkowicie, bez reszty. Słysząc tykanie zegara, postąpiła zgodnie z niepisaną regułą i odwróciła się na drugi bok: „W nocy się śpi". Żadnych więcej pożarów... ani iskierki.

Przyśniła jej się ni to jakaś wystawa, ni to mityng. Stała na jakimś podwyższeniu, rozgrzana, otoczona pierścieniem mikrofonów, wokół kłębili się reporterzy, jedni przyjaźnie uśmiechnięci, inni z wrogimi wyrazami twarzy i tłumy ludzi z rozmaitymi minami, czekający na to, żeby wygłosiła przygotowaną mowę, ona jednak nie mogła wydusić z siebie słowa. Otwierając usta, jeszcze przed chwilą pamiętała tekst przemówienia co do joty, ale nabrawszy tchu w płuca, zrozumiała, że w pamięci nie zachowało się ani słóweczko, nie mogła sobie nawet przypomnieć, z jakiego powodu to całe zebranie, kim są ci ludzie i czego od niej oczekują.

Obudziła się ponownie - oblana zimnym potem. Za oknem był czarny mrok. Czwarta nad ranem...

* * *

Brat Paszka siedział na parapecie okna i dziarsko machał nogami obutymi w wyczyszczone do zwierciadlanego połysku czarne trzewiki. Do liceum wpuszczano tylko w czarnych, a jeżeli woźny stwierdził, że nie są wyczyszczone, odsyłał od progu.

W zeszły wtorek odesłano i Paszkę, który nie mając ochoty na sprzeczki i wymówki, poszedł napić się kawy do jakiejś restauracyjki, gdzie znalazł go patrol komitetu edukacyjnego, przeprowadzający operację „Lekcja". Paszka musiał przeżyć sporo niemiłych chwil - a i dyrektorce liceum też się oberwało. Od tamtego dnia niechlujów w

brudnych bucikach wysyłano do mycia ubikacji - a Paszki nie wyrzucono ze szkoły tylko dlatego, że był bratem Lidii Zarudnej, założycielki Dziecięcej Fundacji Kultury. Ostrzeżono jednak chłopaka, że w przypadku choćby najdrobniejszego uchybienia szkolnemu regulaminowi więcej nie uratuje go żadne pokrewieństwo.

A Ola, córka sąsiadki z czwartego piętra w ogóle wpakowała się w poważne tarapaty. Opuściła w szkole trzy dni i jej mama, ciocia Swieta, napisała usprawiedliwienie, że Ola chorowała i leżała z gorączką. I co? Nie uwierzyli usprawiedliwieniu, przeprowadzili śledztwo i wagary wyszły na jaw. Władze wysłały pismo z powiadomieniem do miejsca pracy cioci Swiety, wlepili jej naganę z wpisem do akt, a Oli wyznaczyli kuratora. Olka chodzi blada, lekcje wkuwa od rana do wieczora i co miesiąc melduje się u inspektora rejonowego.

Paszka miał czternaście lat. W ciągu minionego półrocza przekształcił się z pryszczatego wyrostka w przystojnego, nawet urodziwego młodzika o delikatnych rysach twarzy i z ciemnym pasmem wąsika nad górną wargą. I urósł - był teraz o głowę wyższy od Lidki. Miał też dziewczynę, z którą łączyła go wzruszająca, szkolna sympatia.

W kuchni było ciasno. Lidka dawno już zapomniała, czym jest prawdziwa, duszna i rozpychająca się łokciami ciasnota. Janeczka, która w przyszłym roku miała skończyć liceum, ponuro topiła łyżkę w stygnącej zupie, na jej pyzatej twarzy nie było widać śladu kosmetyków. Na zajęcia z kosmetyki nie wpuszczali nawet dziewcząt ze starszych klas.

Sania, która podczas kilku ostatnich lat znacznie przytyła, myła naczynia. Ledwo raczyła odpowiedzieć na pozdrowienie Lidki; uznała zupełnie słusznie, że krewniaczka, która zaszła tak wysoko, nie troszczy się o rodzinę. Dwie rodziny nie mogą się gnieść w trzech małych pokoikach!

Mama coś gotowała i jednocześnie piekła. Po całej kuchni rozchodziło się skwierczenie tłuszczu i zapach cebuli; idąc w ślad za niewzruszonym Paszką, Lidka prześlizgnęła się przez niewielką szczelinę pomiędzy lodówką i szerokimi plecami Janeczki, wcisnąwszy się w przestrzeń obok stołu i parapetu, usiadła na trójnożnym taborecie.

- Oper przeciągnął już strunę - stwierdziła Janeczka oburzonym basem. - Dodatkowe zajęcia w soboty, a chodzić trzeba obowiązkowo! W soboty, mamo!

- To pochodzisz - stwierdziła Sania, hałasując garnkami. - Lepiej zajmować się czymkolwiek niż obijać bez celu.

- Ale żeby to były choć normalne lekcje! - Janeczka nadęła się niczym świąteczny balonik. - Matematyka albo co... A tu trzeba

wkuwać kretyńskie trasy na pamięć albo ganiać po torze przeszkód! - I nagle dziewczyna dramatycznie zniżyła głos: - Wyobraź sobie... Jedna dziewczyna miała swój czas... no i nie mogła biegać. Powiedziała instruktorowi: „Dziś po torze nie dam rady". A on, wiesz co jej powiedział? *„Mryga* - mówi - nie będzie cię pytać, możesz biec czy nie. Podciągnij portki i naprzód maaarsz!" Wyobrażasz to sobie?

- Janeczko... - odezwała się mama od kuchenki. - Tu są mężczyźni...

Paszka zachichotał. Jana zmierzyła go wrogim spojrzeniem:

- Ten tu? Co z niego za mężczyzna, ani razu toru nie pokonał! Wuefista powiedział: „Zamelduj jego mamie, że będzie miał pałę na okres, a jak się do niego dobiorą goście z OP, to ręka noga, mózg na ścianie!".

- Tfu! - stwierdziła Sania, wycierając mokre czerwone dłonie. - Nie mów głupot. Zjadłaś? To bierz się do lekcji!

Janeczka podniosła się, zacisnęła wargi i na palcach wyszła z kuchni.

- Teraz już mieszkania nie kupimy - odezwała się Sania, zwracając się jakby do wieszaka na ręczniki. - A czekać na swoją kolej... do samej *mrygi* się nie doczekamy... Żeby się choć spalił ten dom albo co. Z ubezpieczenia pewnie dostalibyśmy nowe mieszkania...

- Tfu, żebyś w złą godzinę nie powiedziała! - stwierdziła mama ze znużeniem w głosie.

- Ja się nie zajmuję przydziałami mieszkań - stwierdziła Lidka, popiwszy herbaty. - Urząd dzielnicowy, Nowy Spust siedem, godziny przyjęć od ósmej do osiemnastej... Żadnych przywilejów. Wrota otwarte dla wszystkich.

Sania westchnęła i wyszła za Janeczką.

- Ale mimo wszystko mogłabyś porozmawiać - niepewnym głosem zaczęła mama.

- Z kim? - Lidka podniosła brwi.

Mama opuściła ramiona. Natychmiast się postarzała i z damy w średnim wieku przekształciła się w starszą, mało zadbaną kobietę.

- Z Igorem... Co prawda nie wiem, jak się tam teraz między wami układa.

Lidka westchnęła.

Na wszelkie sposoby starała się ukryć przed rodziną zmianę w swoim statusie społecznym. Przeprowadziła się do innego mieszkania - tam mi wygodniej. Tak, wszystko w porządku, Igor ma mnóstwo pracy, widujemy się tylko w dni wolne. Tak, w fundacji wszystko dobrze, praca jak praca...

- Igor... Igor zrzuci mnie ze schodów! Jeżeli ktokolwiek się dowie, że główny bojownik o równość i zniesienie wszelkich przywilejów robi wyjątki dla... powiedzmy, krewnych... Dobrze, że nie dowiedział się o

tej historii z Paszką. Bo zadzwoniłby do szkoły, żeby chłopaka wyrzucili! Specjalnie, dla podkreślenia braku wszelkich...

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Raz, drugi... długo i władczo. Mama aż drgnęła:

- Kogo tam o tej porze niesie?

W przedpokoju rozległ się szczęk otwieranych drzwi, a potem usłyszały niski, męski głos:

- Dzień dobry... milicja, sprawdzenie dokumentów. Proszę okazać dowody osobiste...

Przez pięć minut śmierdzący papierosowym dymem jegomość porównywał twarze mamy, Sani i Lidki z ich fotografiami na dokumentach. Potem zażądał, żeby mu okazać metryki Paszy i Janki, sprawdził dane dotyczące miejsca nauki i zapytał, gdzie znajdują się zameldowani w mieszkaniu papa i Timur. Wreszcie usatysfakcjonowany kiwnął głową, przeprosił za najście i pożegnał się.

- Teraz to już przegięli - stwierdziła Janeczką. - Z tymi kontrolami... U nas jedna dziewczyna biletu w tramwaju nie kupiła, i złapali ją kontrolerzy, odprowadzili na posterunek i potem cały dzień chodniki sprzątała. I do liceum donieśli.

- Poważnie? - zapytała Lidka.

Janeczką uniosła nos do góry:

- Ty, ciociu Lido, siedząc w tej swojej fundacji zapomniałaś już o tym, jak żyją zwykli ludzie! Spróbuj teraz wejść bez biletu do autobusu!

- I słusznie! - nieoczekiwanie agresywnym tonem oznajmiła Sania. - Przykręcili śrubę i bardzo dobrze! W zeszłym cyklu o tej porze przejść po ulicy wieczorem spokojnie nie można było! A teraz, spaceruj sobie całą noc. Bylebyś miała przy sobie dokumenty!

- Akurat, całą noc! - syknął Paszka z sarkazmem. - Wowkę z pierwszego piętra przyłapali na ulicy pięć minut po jedenastej, wracał z urodzin! Całą noc przesiedział na posterunku! I jeszcze rodziców wezwali. Nie wolno, mówią, chłopakom przebywać na ulicach po dziesiątej! Nawet pięć minut nie wolno!

- I słusznie! - tak samo gniewnie warknęła Sania. - Dlatego mamy spokój!

- Ojej - odezwała się mama, patrząc na Paszę. - A ty przedwczoraj od Leny przyszedłeś o wpół do jedenastej...

- Owszem - stwierdził zadowolony z siebie Pasza. - I trafiłem na patrol. Tyle, że zobaczyłem ich z daleka, a tu, patrzę, idzie jedna babina. Więc ja do niej: „Powiedzcie, że jestem z wami". Dała mi swój worek do poniesienia i tamci nawet nie sprawdzali! Ja tej babinie potem czekoladkę dałem...

- Oj, Pawlik - ponuro mruknęła mama. - Nie zaczynaj, proszę... Ja już mam dość.

„Ja też!" - pomyślała Lidka, a głośno powiedziała:

- No, na mnie już czas. Zadzwonię jeszcze wieczorem, dobrze, mamo?

- Tak rzadko zaglądasz - odezwała się mama, patrząc w bok. - I od razu uciekasz...

Lidka rozłożyła ręce:

- Cóż robić... Przyjdę w sobotę, na pewno. To trzymajcie się. Paszka wyszedł odprowadzić ją na schody. Złapała go za koszulę i przyciągnęła do siebie:

- Posłuchaj... mówię bardzo poważnie. W razie czego, nie powołujcie się na mnie - tylko pogorszycie swoją sytuację. Specjalnie zrobią wszystko, żeby pokazać, że dla nikogo nie ma przywilejów. Jeżeli Sania pójdzie do komisji mieszkaniowej i powoła się na mnie, podrą formularz podania. A jak ty znów gdzieś wsiąkniesz, to mogą cię wylać, dla przykładu. Zrozumiałeś? Pasza zacisnął wargi i ponuro kiwnął głową. Nie próbowała łapać taksówki i pojechała do domy autobusem, w którym natychmiast po wejściu skasowała bilet.

* * *

...w przededniu wielkich wstrząsów. Zwykła w czasie przedkryzysowym przestępczość, która dręczyła ludność w każdym cyklu, została pokonana w osiemdziesięciu procentach. Przeprowadzono wielkie operacje związane z wykryciem i likwidacją handlu narkotykami, rozmaitych rodzajów spekulacji i prostytucji. Nasza przyszłość, którą przybliżał nam swoimi pracami Andriej Zarudny, z każdym dniem rysuje się coraz wyraźniej. Śmiało patrzymy w twarz nadciągającej apokalipsie, pod przewodem zwartej, wyposażonej w doskonały sprzęt i dobrze przygotowanej zawodowo OP możemy się przeciwstawić ślepym żywiołom. Każdy wejdzie we Wrota... wejdzie spokojnie, zachowując porządek i z podniesioną godnie głową!

[Z przemówienia Prezydenta na III Manewrach im. A.I. Zarudnego, 3-go marca 17-go roku 54-go cyklu]

* * *

Spacerowała wśród znajomych miejsc i nie mogła ich poznać. Od słonecznego dnia, w którym spacerowała tu z Andriejem Igorowiczem, minął prawie cały cykl i wszystko, co zachowało się od tamtego czasu, zmieniło się nie do poznania. Nawet kamienie.

Dyrektorski domek uległ zniszczeniu podczas apokalipsy i odbudowano go gdzie indziej. Tam, gdzie kiedyś był wybieg dla kopytnych, wykopano stawy dla ptactwa wodnego. Resztek pnia ogromnego, uschniętego i powalonego drzewa nie ruszono - pień leżał wzdłuż ścieżki, pełniąc rolę niejako dekoracyjną. Boki na poły

odartego z kory i porośniętego mchem martwego olbrzyma pokrywały liczne autografy dorastającego pokolenia. Były rozliczne i szczegółowe, od „Kaśka jest głupia” po „Swietka dała Wowie” - z dodatkiem ilustracji wyciętych pieczołowicie scyzorykiem.

Lidka zatrzymała się przed leżącym pniem. Obejrzała się ku miejscu, gdzie wcześniej stał dyrektorski domek, a teraz pysznił się pełen kwiecia klomb; owszem, nie pomyliła się - to samo miejsce i to samo drzewo. Biegały po nim wiewiórki. I stali pod nim z Andriejem...

A Zarudny, który wtedy wydawał jej się niewyobrażalnie dalekim i dorosłym, był tylko o kilka lat starszy od dzisiejszej Lidki. „Moja matka zginęła podczas ostatniej apokalipsy. Stratowano ją przez samymi Wrotami”.

A on, ten który przeżył, powziął trochę dziecięce postanowienie: poświęci życie, by już nigdy nikogo nie zadeptano podczas ewakuacji. I właśnie dlatego zagłębił się w tę swoją historię kryzysów, a potem dał nura w śmierdzącą kałużę polityki, zajrzał za kulisy społecznego ustroju, zobaczył wystające sprężynki i kółeczka, poznał smak władzy, walki i zwycięstw, a potem własną piersią rzucił się na zło, które można było wykorzenić - i dostał Swoją kulę. Zginął w chwili największego napięcia i wiary w powodzenie, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że przegrał. Że na progu Wrót ludzie się deptali i będą deptać, a wszystkie jego rozważania o marszu z dumnie podniesionymi głowami pozostaną w najlepszym razie pięknym marzeniem.

„Zasada jest inna... - stwierdził głos Rysiuka i zabrzmiało to tak prawdziwie, że Lidka rozejrzała się w obawie, że jej dawny kompan ze szkolnej ławy kryje się za powalonym pniem. - Zasada jest inna, zupełnie inna. Przejście wielkiej ludzkiej masy przez Wrota bez strat własnych? W rzeczywistości to niemal cyrkowa sztuczka. Skomplikowana, ale możliwa do wykonania... po długim treningu. Jak akrobata trenuje swoje mięśnie, stawy, ścięgna? Tak samo społeczeństwo powinno trenować każdego z osobna i wszystkich razem we wzajemnych powiązaniach. A ten, kto znajduje się u władzy, powinien trenować to społeczeństwo... innej drogi, Lido, po prostu nie ma. Albo trupy stratowanych na podejściach do Wrót, albo świadomy, codzienny trening do tego, co nieuniknione. Od przedszkola. Pokolenie za pokoleniem. Spóźniliśmy się z tym naszym Mrozem, mocno się spóźniliśmy... ale rozumiem, że wcześniej się nie dało. Tak czy owak się denerwuję i dlatego jestem taki zgryźliwy. Tyle czasu straconego na darmo... tyle udaremnionych możliwości”.

- Proszę okazać dokumenty.

Lidka drgnęła. Tym razem głos był absolutnie rzeczywisty i należał do niewysokiego, łysego siłacza w czarnym płaszczu. Jego partner, młodszy mężczyzna z przedwczesną siwizną na ciemnych

włosach patrzył na Lidkę uważnie i jednocześnie obojętnie. Tak pewnie patrzy na dwudziestego piątego tego dnia klienta zmęczony robotą wykidajło.

Wyjęła dowód osobisty:

- A co się stało?

Łysy przelotnie zerknął na dokument, a potem spojrzał Lidce w twarz.

- Gdzie pracujecie? - zapytał młodszy.

- W Dziecięcej Fundacji Kultury przy Kancelarii Prezydenta - odparła chłodnym tonem.

Łysy wymienił z młodszym porozumiewawcze spojrzenia.

- Przecież jest dzień pracy - zwodniczo łagodnym tonem zauważył młodszy. - Czyżby pracownicy Kancelarii nie podlegali porządkowi dnia? Macie dokument, który usprawiedliwia waszą nieobecność w miejscu pracy?

Lidka poczuła przypływ irytacji. Już wcześniej zdarzały jej się podobne sytuacje, ale po użyciu czarodziejskich słów „Kancelaria Prezydencka" sprawa zwykle się kończyła.

- Podlegam bezpośrednio szefowi Kancelarii, panu Rysiukowi - stwierdziła niemal lodowatym tonem... i w tej samej chwili przypomniała sobie, że przeniesiono ją już ponad miesiąc temu, a jej aktualny szef... psiakrew, przecież nie pamięta nawet, jak się ten typ nazywa!

Młodszy zwęził oczy i patrząca w nie Lidka zrozumiała nagle, że strażnik czekał na taką chwilę przez cały ostatni rok. Złapać ważnego ptaszka na gorącym uczynku, przytrzasnąć na jakimś wykroczeniu, w rodzaju pospolitej przechadzki, a potem rzeczowo udowodnić sobie i jej, że *dla nikogo nie ma żadnych przywilejów*. Im wyżej zaszedłeś, tym większa spoczywa na tobie odpowiedzialność i tym głębsza kałuża, w którą w razie najdrobniejszego przewinienia wetkną cię pyskiem jak kota.

- Będziecie musieli przejść się z nami, obywatelko Zarudna. Trzeba wyjaśnić, kto, kiedy, dlaczego i na jakiej podstawie dał wam wolne albo zwolnienie lekarskie...

- No to chodźmy - stwierdziła przez zęby. - Do najbliższego telefonu. Zadzwonię do pana Rysiuka i on da wam usprawiedliwienie... jednemu i drugiemu.

Łysy stchórzył nagle i po jego minie widać było, że gotów jest odpuścić. Młody - nie.

„Przepuściliśmy właściwą chwilę... Teraz trzeba będzie wychowywać ludzi na siłę. Potrzebna nam umiejętność słuchania i podporządkowywania się rozkazom. Umiejętność przeistaczania się w część większej całości, a nie pozostawania oddzielną, oszalałą ze strachu istotką. Potrzebne są na to całe pokolenia, ale pierwsze

sukcesy osiągniemy już w tym cyklu. Sama się przekonasz, Lido. Zobaczysz - ilość ofiar będzie nieznaczna, a w następnym cyklu nie będziemy już mieli problemów. Wrota dla wszystkich. Z dumnie podniesioną głową. Czy nie o tym mówił Zarudny?"

Szła między nimi jak zatrzymana. Przy wejściu do ogrodu zoologicznego stał samochód, w którym ktoś już siedział. Aaa... parka wyrostków, których czekają teraz niemałe nieprzyjemności i ponury jegomość w kapeluszu, z tortem i bukietem kwiatów w drugiej ręce. Też sobie znalazł miejsce na schadzki... Znajdą i twoją damulkę, nie da się uniknąć rozgłosu, a ty, bratku, może żoneczkę masz albo ona jest mężatką?

- Gdzie telefon? - rozejrzała się Lidka.

- Na posterunku - odpowiedział młodszy.

Lidka zmarszczyła brwi, co podziałało na Łysonia... najwyraźniej zaczynał się denerwować.

- Nie pójdę z wami na posterunek - stwierdziła Lidka, zwodniczo łagodnym głosem.

„Lista osób do (umówionego opóźnienia) zostanie skrajnie obcięta. Tylko osoby, których przetrwanie ma kluczowe znaczenie dla nowego cyklu, tylko Prezydent, rząd, struktury siłowe i zabezpieczenia. Przy prawidłowej organizacji uda się to załatwić w kwadrans, potem zacznie się ewakuacja ludzi - zorganizowany odwrót zamiast panicznej ucieczki. Potrzebni nam będą bardzo liczni lokalni przywódcy, zdolni i wyszkoleni do tego, żeby swój oddziałek doprowadzić do Wrót i wycofać się na końcu. Trzeba na nowo przemyśleć cały system kontroli i usprawiedliwień... a także kar dla tych, którzy przekraczają lub zaniedbują swe obowiązki. To otchłań pracy. Lido, męczącej i czasami niewdzięcznej... i na każdym kroku trzeba będzie przekonywać siebie i innych, że wszystko to jest niezbędne i nieuniknione".

- Dajcie mi możliwość kontaktu z moim szefem, on potwierdzi przyznane mi prawo do przebywania tu w czasie pracy - stwierdziła Lidka jeszcze bardziej łagodnym głosem. - Nieprzyjemności nie są potrzebne ani mnie, ani wam, prawda?

Telefoniczna budka stała tuż przy wejściu, niedawno odmalowana, lśniąca czerwonymi bokami. Lidka spostrzegła ją już dawno - młody zresztą też.

- A cóż to, nie mam prawa do telefonu? - Lidka poczuła wreszcie narastające w niej rozdrażnienie. Zaraz się zacznie zachowywać jak rozgniewana jaśnie pani... może nawet zacznie krzyczeć? A może strzeli młodego w pysk? Całkiem możliwe... potem posądzają na trzy dni za chuligaństwo i stawianie oporu władzy. A Rysiuk palcem nie kiwnie, żeby ją...

- Proszę, dzwońcie - stwierdził młodziak przez zęby.

Budka była za ciasna, żeby się w niej zmieściły dwie osoby. Młodziak został na zewnątrz i uważnie patrzył na dłoń Lidki, uniesioną nad dyskiem tarczy numerów.

A niech sobie patrzy.

„Potrzebna nam jest armia agitatorów, którzy codziennie będą wdzierać się w myśli posłusznego prawu obywatela w jednym, jedynym celu: żeby mu wyjaśnić, że dla ogólnego dobra i wspólnej korzyści nie powinien wyrywać się przed szyk. Chodzi o życie jego dzieci. Trzeba nadawać tej myśli najróżniejsze formy, docierać do rozmaitych ludzi z różnych stron i wykazywać się - jeżeli chcesz - twórczym podejściem. Dlatego, że dzisiejszy egoizm i niedbałość zaowocują śmiertelnymi przypadkami w przyszłości. Rozumiesz, Lido?"

Słuchawka telefonu była niemile zimna. I żył w niej odległy, cherlawy szumek.

W ostatniej chwili Lidka pomyślała, że można zadzwonić i do ojca, który teraz zajmuje dość znaczące miejsce w systemie ubezpieczeń. Można zadzwonić do wuja Dimy, zastępcy Rysiuka, którego telefon też doskonale pamiętała. I że obaj będą musieli wyjaśniać co i jak, i za nią się czerwienić. I oba telefony nie zdadzą się nawet psu na budę.

A gdzie powinna tkwić podczas godzin pracy? Gdzie? W swojej fundacji? Owszem. Siedzieć za niezwykle rozległym biurkiem i przekładać z miejsca na miejsce nikomu niepotrzebne papiery. Za to jej płacą, a ona - patrzcie ją! - w samym środku dnia wyrwała się do ogrodu zoologicznego; zgrzeszyła i naruszyła jedną z tych reguł, których niewzruszone wykonywanie, z Rysiukowego punktu widzenia, zapewni przebycie apokalipsy bez ofiar.

Młody nadzorca czekał; Lidka gotowa już była odłożyć słuchawkę i z książęcym uśmiechem stwierdzić: „Ach tak, rozmyśliłam się. Macie absolutną rację, jestem winna i nie będą się sprzeciwiać temu, by odpowiedzieć przed prawem".

Miał pięknie osadzone oczy. I rasowe, wyraźnie zarysowane kości policzkowe. Interesujący mężczyzna, tyle że całe wrażenie psuje surowym i umyślnie ostrym spojrzeniem. Ciekawe, czy tak samo patrzy na swoją kobietę? A może po powrocie do domu zdejmuje maskę ulicznego inkwizytora i przemienia się w miłego chłopaka, kochającego ojca i męża?

To chyba niemożliwe, pomyślała Lidka. Maski lubią się zrastać z człowiekiem. Zresztą, nie na każdą mordę da się taką maskę nałożyć...

Zobaczył zmianę w jej spojrzeniu i ponaglił:

- No? Długo marny czekać?

Drgnęła i wsunęła palec w wycięcie tarczy. Plastykowy pierścień zaręczynowy.

Nie rozmawiała z Rysiukiem już od półtora miesiąca. Nie wymieniła z nim ani jednego słowa. Pomysł z telefonem był blefem, miała nadzieję, że młodzik stchórzy, ale ostatnimi czasami wszyscy ci groszowi społeczni kontrolerzy zupełnie pozbyli się poczucia strachu; bać powinni się inni. Tak jak ci smarkacze, którzy siedzą teraz w samochodzie - w przyszłości nie będą już sobie spacerować bez celu. Albo ten biedaczyna z tortem, którego posadzono obok: na długo przejdzie mu apetyt na słodycze...

A przecież zupełnie możliwe, że to drobne potknięcie będzie miało dla Lidki bardzo nieprzyjemne konsekwencje. „Odejdą" ją z fundacji, cicho i niepostrzeżenie, od dawna wszyscy mają jej dość, kłuła w oczy swoją niezależnością, a dla Rysiuka taki obrót sprawy będzie kolejnym asem w jego talii niewzruszonych zasad i pryncypiów. Co dalej? Kontrolerem nie zostanie za chińskiego boga... czyli czeka ją zwykły nauczycielski stół w szkolnym gabinecie historii, ten sam, pod który tak często podkładają korki. Co prawda, teraz to już sport zapomniany. Teraz na horyzoncie młodych figlarzy nieustannie majaczy dziecięca izba milicyjna, szkoły specjalne z internatami pod specjalnym nadzorem, a taka perspektywa silnie psuje radość wynikającą z podłożenia niespodzianki pod nauczycielskim tyłkiem.

A czy ona choć kochała Igora przez trzy dni podczas ich długiego wspólnego pożycia? Ze wszystkiego wynika, że tak, kochała, przy czym swego czasu nawet gorąco i tkliwie...

Zerwanie też kosztowało ją więcej, niż myślała. Znacznie więcej.

Przytrzymując tarczę łokciem, wybrała numer bezpośredniego telefonu do Rysiuka.

„Aresztancki" samochód dał głos klaksonem, nagląc do pośpiechu. W słuchawce zabuczały przeciągłe sygnały.

„Niczego się nie boję - pomyślała Lidka z rozdrażnieniem. - Jak chcą, niech robią, co im do łbów strzeli, niech mnie zawiozą na posterunek, niech piszą do pracy, do fundacji, do samego diabła w piekle... do więzienia mnie przecież nie wsadzą... Chyba."

Robaczek paniki drgnął i ucichł. „Co mi odbiło? - pomyślała Lidka z rozdrażnieniem. - Jakie więzienie, za co?"

W słuchawce monotonnie buczał sygnał.

„Mnie też zastraszyli - pomyślała Lidka z gniewem. - Nawet mnie. Do pracy, z pracy, w soboty do kina. W autobusie bilecik, na wódkę kartka, choć na cholerę mi ta wódka, nigdy w życiu jej nie piłam. Trzeba przeżyć podczas apokalipsy! W przyszłą niedzielę ogłoszą ćwiczebny alarm - i pobiegnę na szkolenie, jeszcze jak pobiegnę, choć bolą mnie nogi i łamie w kręgosłupie, choć wolałabym poczytać dobrą książkę... nawet, gdybym miała randkę. Trzeba mnie tresować jak szczura, ponieważ sama nie rozumiem, co dla mnie dobre. Nie chce mi

się ćwiczyć w przededniu apokalipsy, nie chce mi się łazić po dachach ani biegać po torach przeszkód czy na orientację, nie mam ochoty na wystawanie całymi godzinami przed jasno oświetloną atrapą Wrót i na komendę jakiegoś opera ćwiczyć „szyk zwarty w czwórszeregu".

- Taa-ak - odezwał się Rysiuk w słuchawce. Znajome, przeciągłe, lekko kpiące: „Taa-ak".

- Cześć - powiedziała Lidka po chwili przerwy. I dodała, specjalnie dla młodego kontrolera: - Witaj, Igorze Georgiewiczu.

Młodziak pochylił się ku przodowi, prawie przylepiając się do mętnej szyby. Lidka nogą uchyliła drzwi, jakby zapraszała go do udziału w rozmowie.

- Witaj, Lido - odpowiedział Rysiuk bez śladu zdziwienia w głosie. - Co tam u ciebie?

Jego głos metalicznie bębnił w słuchawce i Lidka, odsuwając ją od ucha, stworzyła młodziakowi możliwość podsłuchiwania każdego słowa.

- Bardzo mi się nie podoba to, co się wszędzie dzieje - stwierdziła zmęczonym głosem. - Irytuje mnie kampania ogólnej, socjalnej tresury. Mdli mnie od widoku tych... społecznych kontrolerów. To się wszystko źle skończy, wspomnisz jeszcze moje słowa.

Rysiuk długo milczał i Lidka przestraszyła się, że odwiesił słuchawkę.

- Dzwonisz z automatu? - zapytał na koniec.

- Tak.

- Coś się stało?

- Nie - odpowiedziała powoli. - Na razie nic się nie stało... ale jeszcze trochę i zacznę rzygać od takiej realizacji idei Zarudnego.

- Noś ze sobą papierową torebkę - poważnym głosem poradził jej Rysiuk. - Taką, jakie rozdają pasażerom na statkach. Chciałaś jeszcze coś dodać?

Lidka westchnęła.

- Nie. Powiedziałam już wszystko. To na razie...

- Cześć.

Poczekała, dopóki w słuchawce nie zabrzmiały krótkie sygnały i odłożyła słuchawkę. „Aresztancki" samochód bipczał już bez przerwy.

- No to chodźmy - niemal wesołym i przyjaznym tonem odezwała się Lidka do młodego kontrolera. - Razem rozpatrzymy sobie moje liczne grzechy...

* * *

...Umówione opóźnienie skraca się do piętnastu minut. Spis osób podlegających ewakuacji poza kolejnością będzie zatwierdzany własnoręcznie przez Prezydenta. Krewni osób włączonych do spisu będą ewakuowani na ogólnych zasadach. Wyklucza się wszelkie

wyjątki. Po zdjęciu ze stanowiska pracownik traci prawo do ewakuacji poza kolejnością. Za realizację tego zarządzenia odpowiada Centralny Sztab OP i szef Obrony osobiście...

[Zarządzenie Prezydenta dotyczące zmian w „umówionym opóźnieniu" z dnia 15 maja 17-go roku 54 cyklu]

Rozdział 9

- Witajcie, dzieci. Jestem Lidia Anatoliewna.

„Dzieci" stały każde na swoim miejscu. Nieźle je wytresowano. Za czasów Lidki nauczyciela zwykle witano niezbyt energicznym oderwaniem tyłka od ławki i czasami - jeżeli ktoś miał ochotę - wykrzykując niezbyt wyraźne pozdrowienie. Ci zaś wstali jak mali żołnierze, w odpowiedzi na powitanie wszyscy jednocześnie kiwnęli głowami, a usiedli dopiero po odpowiedniej komendzie.

Lidka obrzuciła klasę szybkim spojrzeniem. Kilka wyblakłych tablic z rybimi i żabim flakami, schemat przedstawiający wszystkie cztery fazy rozwoju dalfina, plan dnia z tak poprawnymi, że aż wzbudzającymi w niej mdłości obrazkami i wewnętrzny rozkład zajęć, który musiała przestudiować przy przyjęciu jej do pracy w tej szkole. Niech to zaraza - wszystko zaplanowane - o której przychodzić do szkoły, na której przerwie wolno się posilić, kiedy można się napić, podręczniki kłaść z prawej strony, dziennik z lewej, dół regulaminowej sukienki powinien zakrywać kolana, koszula do marynarki ma być jednobarwna, a w dni świąteczne biała i broń Boże w paski czy kratki. Nauczyciele mieli swój regulamin, który Lidka skwitowała krzywym uśmieszkiem - na szczęście dyrektorzyca niczego nie zauważyła.

No cóż, drogie króliczki, zaczniemy.

Najwyraźniej miała w tej chwili wielce wymowny wygląd, ponieważ „króliczki" za stołami znieruchomiały i wbiły wzrok w twarz nauczycielki.

Starsza grupa, sami szesnastolatkowie. Boże, jak nieprzyjemnie jest poczuć się starą. Dopóki nie zobaczysz tych niedorostków, dopóki się do nich nie porównasz, jakoś lżej jest uwierzyć w swoją wiecznie trwałą młodość.

A przecież ma wszystkiego trzydzieści trzy lata. Ale czuje się tak, jakby miała sześćdziesiąt. No, w każdym razie dzisiaj akurat ma takie wrażenie.

- Zaczyna się nowy rok szkolny, który dla was będzie ostatnim. Jesteście maturzystami, czyli spoczywa na was szczególna odpowiedzialność...

Zająknęła się na sekundę. Jakaż znów na nich spoczywa odpowiedzialność - cholera ją wie, trzeba po prostu coś powiedzieć o społecznych obowiązkach, a teraz to niezbędne, najważniejsze, od częstego używania kompletnie już pozbawione wszelkiego znaczenia...

- ...za jak najbardziej staranne przyswojenie sobie wiedzy. Podczas apokalipsy powinniście się wykazać wzorową postawą i

obywatelską świadomością, by w nowym cyklu zostać dobrymi specjalistami i jeszcze bardziej świadomymi członkami rodzin i społeczeństwa.

Chciało jej się śmiać, ale nie pozwoliła sobie na najbardziej nawet nikły uśmieszek. Jeżeli dyrektorzyca podsłuchuje pod drzwiami - niech sobie słucha do woli. Lidka wyraża absolutnie poprawne politycznie poglądy, w duchu czasów. I zgodne z oczekiwaniami.

- Członkami i członkiniami - odezwał się ciemnowłosy chłopak z drugiej ławki w lewym rzędzie. Odezwał się cichutko, ale bystry słuch Lidki jej nie zawiódł, tym bardziej, że właśnie na coś takiego czekała.

- Wstań. Nazwisko?

Wyrostek poczerwieniał i wstał. Niewysoki chłopak, o szeroko rozstawionych kościach policzkowych i jaskrawozielonych oczach. Ten nie da się zjeść w kaszy - pomyślała Lidka.

- Maksymow.

- Podejdź do tablicy.

Chłopak wyszedł zza ławki. Lidka doskonale wiedziała, że w tej chwili wykuwa się jej szkolny wizerunek oraz stosunki z klasą i chciała utkwić w pamięci tych maturzystów jako najbardziej krwawy z katów, jakich spotkali podczas pięciu lat nauki.

I zachciało jej się tego akurat dzisiaj...

- Maksymow - odszukała w dzienniku nazwisko zielonookiego. - No więc, Maksymow, co miałeś z biologii w minionym roku?

- Pięć - odpowiedziała ofiara cichym głosem.

- Znakomicie - uśmiechnęła się jak lis wchodzący do kurnika.

- Ocenimy zatem stopień opanowania przedmiotu przez klasę wedle stopnia przygotowania piątkowego ucznia. Usuńcie z ławek wszystkie podręczniki. Otwórzcie zeszyty i napiszcie: „Praca własna". Ty, Maksymow, na tablicy, a reszta w zeszytach zechciejcie zdefiniować pojęcia: „rejonowe obciążenie demograficzne", „przesunięcie populacyjne" i „organiczny próg wytrzymałości". Czas - pięć minut. Start... czekam.

Głowy uczniów natychmiast pochyliły się nad zeszytami i rozległ się szelest przewracanych kartek. Jeden mądrala chciał się wycwanić i umieścił sobie podręcznik na kolanach; Lidka natychmiast kazała mu położyć na nauczycielskim stole i książkę, i dzienniczek. Wyjąwszy czerwony długopis, zaczęła się zastanawiać, co mu wpisać na dobry początek. Tymczasem blady Maksymow stukał kredą, wyprowadzał wzory i wypisywał oznaczenia. W sumie spisywał się całkiem dobrze i nieźle sobie radził, choć dziś był drugi dzień nauki, a podczas lata, jak wiadomo, można zapomnieć niemal o wszystkim...

Tym bardziej podczas *takiego* lata...

Lidka spochmurniała. Unosząc czerwony długopis nad datą „drugi września" w dzienniczku złapanego na gorącym uczynku cwaniaczka,

zrozumiała, że wygląda głupio. „Nieprzygotowany do lekcji”? Zły zapis, pierwsza lekcja w nowym roku szkolnym. „Działa wbrew interesom kolektywu”? Brzmi groźnie, ale to przecież kompletnie pozbawione znaczenia..

W przededniu letnich wakacji Parlament odrzucił kolejny projekt zwiększenia dotacji dla OR Było to kolejne posunięcie w przeciągającej się już wojnie Mroza z Parlamentem: deputowany Werwerow krzyczał z mównicy o organizacji-pijawce, pochłaniającej wciąż nowe i nowe środki oraz fundusze, o nadmiernie rozbudowanych sztabach OP, o pozbawionych sensu żądaniach, ukrytych pod płaszczykiem troski o przyszłą apokalipsę. Parlament zgodził się z Werwerowem i trzasnąwszy OP po nadmiernie wysuniętych łapach, rozjechał się na urlopy - do jesieni.

Lato było kiepskie, deszczowe i pachnące wilgocią. Miejskie plaże świeciły pustkami; a nudzący się urlopowicze mieli okazję rozerwać się, obserwując serię niezbyt miłych, ale bardzo interesujących wydarzeń.

W telewizyjnym wystąpieniu Mróz oskarżył skorumpowanych posłów i parlamentarzystów o zdradę interesów wyborców. Deputowani wciąż jeszcze są przekonani, że uda im się jakoś obejść prezydenckie zarządzenie i wbrew niemu ewakuować się z rodzinami z listy „umówionego opóźnienia”; to syci przywilejów demagogowie, którzy wiercą dziury w dnie naszej wspólnej arki - Obrony Państwowej. (To zdanie natychmiast przypomniało Lidce stwierdzenie Igora Rysiuka. I nawet w głosie generała zabrzmiały, właściwe jej byłemu szefowi, nutki).

Potem wystąpił prokurator generalny. Przeciwko Dymitrowi Aleksandrowiczowi Werwerowowi wszczęto śledztwo z oskarżenia o organizację zabójstwa Zarudnego. Większość informacji zatajono „ze względów społecznych”, ale już następnego dnia na pierwszych stronach wszystkich gazet można było przeczytać najdrobniejsze szczegóły „sprawy Zarudnego”. Dowody, mniej lub bardziej przekonujące, pojawiły się nagle jak wywołane gestem czarodziejskiej pałeczki.

Lidka zadzwoniła do Sławka. „To nieprawda!” - krzyczał w słuchawce jej były mąż. - To sfa... sfabrykowa... To prowokacja!”

Lidka doskonale go rozumiała. Jej samej trudno było uwierzyć w coś takiego; i nie uwierzyła tamtego dnia, kiedy Rysiuk przewrócił ją na dywan w sypialni. „To Werwerow zlecił zabójstwo Zarudnego, Andrieja. To on go sprzątnął. Lido. Wiem z całą pewnością...”

Protokoły przesłuchań - byli współpracownicy Werwerowa pękali jeden po drugim. Oskarżenie - gotowe, doskonale udokumentowane i poparte dowodami. I poselski immunitet Werwerowa, który przyczaił się w jednym ze swych nadmorskich domków letniskowych.

Lidka nie spała przez trzy noce z rzędu. Przypominała sobie, jak uśmiechał się Dymitr Aleksandrowicz (widziała się z nim raz, kiedy Sławkowi i jego matce zwrócono ich mieszkanie) i jak wyciągał dłoń - do niej też. Przypomniała sobie dotyk tej dłoni - zimny i suchy - i jej delikatną, kobiecą skórę.

On?!

Mówiła sobie, że Mróz i Rysiuk zdolni są do łgarstw dla dobra „sprawy". Że chcą pogrążyć Werwerowa i dlatego mogą go oskarżyć choćby o kopulację z dalfinami albo organizację apokalips. Że wszystkie te nie wiadomo skąd wzięte świadectwa niczego nie dowodzą...

Mówiła - i sama sobie nie wierzyła.

Rysiuk i Mróz od dawna wiedzieli, kto stał za zabójcami Andrieja. Igor szukał i gromadził dowody winy, rył nosem jak głodny dzik pod dębem, i diabli wiedzą jakim sposobem, ale je zdobył. A znalazłszy, trzymał do chwili, w której będą potrzebne. Tymczasem deputowany Werwerow jadł, spal, grzmiał z parlamentarnej trybuny i dawał żonie kwiaty.

To on, rozmyślała Lidka i natychmiast wysychały jej wargi, pękały i pokrywały się twardą skórką. Szła wtedy do łazienki, kąpała się i długo myła ręce, starając się zetrzeć z prawej dłoni pamięć uścisku ręki sprzed dwudziestu bez mała lat.

Tymczasem rozjuszone społeczeństwo, umiejętnie podgrzewane, zaczęło się domagać aresztowania Werwerowa. Mróz zwrócił się do Parlamentu z żądaniem pozbawienia przestępcy immunitetu.

O tym, kto jest przestępcą, decyduje sąd - pisnęła jakaś niezależna gazetka i natychmiast została zamknięta przez inspektorów bezpieczeństwa przeciwpożarowego. Na dalsze wydarzenia trzeba było poczekać kilka dni.

Mróz podjął decyzję o rozwiązaniu sprzedajnego i niezdolnego do podejmowania decyzji Parlamentu. Deputowani, porzuciwszy rządowe sanatoria i kurorty, zbiegli się do stolicy, gdzie przed salą obrad powitał ich zbrojny oddział OP. Pod lufami automatów ani jeden wybraniec ludu nie dostał się do swojego fotela.

Werwerow powiesił się w swoim domku letniskowym. Zdążył podczas tych kilku sekund, kiedy wojacy OP rozwalali kolejno bramę, drzwi wejściowe i drzwi łazienki. Samobójstwo byłego prezydenckiego rywala uznano za przyznanie się do winy i rezultat strachu przed karą.

Tego samego dnia wszystkie poselskie sanatoria zostały wyłączone ze spisu budynków państwowych i oddane Dziecięcej Fundacji Kultury w charakterze letnich obozów szkoleniowych.

Po tej klęsce Parlament już się nie podźwignął. Kilka prób zorganizowania wspólnego oporu upadło z powodu wewnętrznych sporów i nienawiści, jaką żywili jedni deputowani do drugich. Tym,

którzy sami zrezygnowali z mandatów, Mróz obiecał zatrudnienie w stolicy, państwowe mieszkania, bardzo dogodne polisy ubezpieczeniowe i inne przywileje; i już po kilku latach z Parlamentu zostały jedynie wspomnienia, i to nie najlepsze.

Cały tamten tydzień Lidka spędziła przed ekranem telewizora, strosząc się wewnętrznie, garbiąc się i jak babcia otulając puchowym szlafrokiem mamy. Słuchała podnieconych głosów prezenterów i doskonale wiedziała, że nigdy już nie dowie się prawdy. Winien był Werwerow, tylko sam czy miał wspólników - prawda zdechła, uduszona jedwabnym krawatem. Był powód, dla którego ten krawat szczególnie wrył się w jej pamięć. Przypomniał jej się Rysiuk na jachcie, z eleganckim węzłem na szyi.

Cóż, Igorze, dostałeś to, czegoś chciał. Twój Mróz został niemal dyktatorem - a teraz zabieraj się do tresury. Apokalipsa pokaże, czy miałeś rację... i jeżeli faktycznie uda się uniknąć ofiar... Pierwsza przyznam się do swej głupoty. I nisko się skłoniwszy, poproszę o wybaczenie - ja, durna idiotka, która nie pojęła i nie pogodziła się z geniuszem człowieka przerastającego geniusz samego Andrieja Zarudnego.

Ocknęła się. Przed nią leżał na stole uczniowski dzienniczek i przymierzywszy się do rubryki „Sprawowanie", starannie napisała czerwonym tuszem: „Nie wykonuje poleceń nauczyciela".

- Maksymow, jesteś gotów?

Chłopak zdążył sobie przypomnieć niemal wszystko o „rejonowym obciążeniu demograficznym" i „organicznym progu wytrzymałości", ale z „przesunięciem populacyjnym" było kiepsko.

- Maksymow, czym jest przesunięcie populacyjne?

- Mam odpowiedzieć tak, jak napisano W podręczniku, czy tak, jak to rozumiem? - zapytał z nadzieją głosie.

- Jak w podręczniku, to chyba oczywiste.

Zacisnąwszy wargi, przez chwilę się zastanawiał.

- Przesunięcie... populacyjne. Jeżeli podczas cyklu gęstość zaludnienia na danym terenie się zmienia... albo jeżeli dana populacja należy do koczujących... migracyjnych...

Lidka spostrzegła, że przynajmniej dwie dziewczyny bardzo chciałyby podpowiedzieć dręczonemu przy tablicy Maksymowowi. Jedna - poważna brzydula z cienkim warkoczykiem, druga, niczego sobie blondyneczka o kędzierzawych włosach i wyglądzie laleczki. Oczywiście, taki chłopak powinien mieć powodzenie...

Odczuła nagły przypływ rozdrażnienia. Przypomniała sobie pełne współczucia oczy dyrektorzycy: „Dość często się zdarza, że kobiety, które z jakichkolwiek przyczyn los pozbawił radości macierzyństwa, przychodzą do pracy w szkołach... Co prawda, zwykle dzieje się to wcześniej, w dziewiątym, dziesiątym roku cyklu..."

- Jeżeli ilość mieszkańców oznaczyć jako M, wielkość terytorium jako T, a pojemność Wrót jako W, to populacyjne przysunięcie będzie równe N jeden minus N dwa, podzielone przez T... nie... podzielone przez W...

- Trójka - stwierdziła Lidka z niemal szczerym żalem. - Trzy... na więcej twoja odpowiedź nie zasługuje.

Chłopak milczał. Na jego wyrazistą twarz powoli wypełzały czerwone plamy.

* * *

W niedzielę o czwartej rano ogłoszono alarm ćwiczebny. Lidka nocowała u rodziców; poprzedniego dnia położyła się późno, przez cały tydzień nie mogła się porządnie wyspać i niewiele brakowało, a dźwięk syreny wywołałby u niej torsje.

- Nigdzie nie pójdę! - stęknęła, niemal jeszcze śpiąc.

- Trzy dni prac karnych dla poprawy poziomu społecznej świadomości - flegmatycznie przypomniał jej ojciec. - Dziesięć w razie recydywy. Potrzebne ci to?

Na podwórze wyszli, ledwo przebierając nogami i potykając się niemal na każdym stopniu schodów. W iście egipskich ciemnościach miotały się promienie latarek - czterej instruktorzy OP zbierali każdy swoją grupę. Potem nad podwórzem zapłonęła czerwona rakieta, która miała pewnie imitować blask nieba charakterystyczny dla apokalipsy. Nad sąsiednim podwórzem też taka wisiała. I jeszcze dalej. Najwyraźniej ćwiczenia objęły zasięgiem całą dzielnicę.

Pięć minut upłynęło na sprawdzaniu obecności - z domu rodziców Lidki brakowało tylko jakiejś staruszki z piątego piętra i mężczyzny, który wczoraj wieczorem złamał nogę. Instruktor zrobił groźną minę:

- Drużyna sanitarna, do wyjścia! Nosze i inne... co potrzeba...

Nikt się nie odważył na wyrażenie sprzeciwu. Drużyna sanitarna, w której skład wchodził brat Lidki, Timur, wywlokła nieszczęśnika z łóżka, choć ten miotał z początku przekleństwa, ale szybko się uspokoił. Na drugich noszach ułożyli staruszkę.

- Czwarta *mryga* - biadoliła babcia. - I tak jej nie przeżyję. Zostawcie mnie tu, dajcie choć spokojnie umrzeć.

Lidka szczerze jej żałowała.

Po ulicach przeszli we wzorowym porządku. Nosze dźwigali wszyscy po kolei, zagipsowany jegomość ciążył tragarzom jak marmurowa kolumna i niosący go szybko opadali z sił. Nikt się nie odzywał - dowódcy grup słuchali radiowych komunikatów i zgodnie z nieustannie zmieniającymi się poleceniami prowadzili grupy w coraz to innych kierunkach. Akurat gdzieś po godzinie, kiedy Lidka solidnie obtarła sobie nogę nad kostką fałdą pospiesznie i niedbale założonej pończochy, kierujący ćwiczeniami doszli do wniosku, że najwyższy

czas na pokonanie toru przeszkód. Ponura grupa ćwiczących wdrapała się po schodach na dach sześciopiętrowego domu, skąd wąziutkim żelaznym pomostem przelazła na dach sąsiedniego budynku. Zagipsowany jęczał przez zęby. „Długo jeszcze?" - pytały instruktorów zasapane kobiety. „Ile będzie trzeba".

Świtało. Na nocnych włóczęgów spoglądali z okien nie bez współczucia miejscowi, których dzisiejsze ćwiczenia nie objęły. Na razie nie objęły. Nikogo nie ominie ten kielich goryczy, nie poderwą w niedzielę rano, dopadną cię o północy w samym środku tygodnia...

Lidka patrzyła uważnie pod nogi. Papa, cegła, anteny. Poprzez dachy domów wiódł wzorowo i niemal z miłością opracowany szlak pieszy, po którym maszerowała setka kobiet, mężczyzn i starców - stękając, sapiąc i przeklinając instruktorów OP - ale przeklinając ich w duchu.

Instruktor OP pobiera uposażenie większe niż ojciec Lidki - który w końcu zarabia całkiem przyzwoicie. Instruktorskie etaty mnożą się niczym króliki, ale kandydatów wciąż nie brak - na jedno miejsce zgłasza się dziesięciu. Wielkiego rozumu do tej roboty nie trzeba, wykształcenia też nie - od kandydatów wymaga się tylko czystego życiorysu i dobrej kondycji fizycznej. Dopełnieniem solidnych zarobków i całego szeregu ulg jest jeszcze i władza, jak najbardziej realna: „Obywatel, nie wykonujący poleceń instruktora w czasie alarmu ćwiczebnego podlega z urzędu aresztowi do pół roku".

Nauczyć. Wytresować. Wyszkolić tak, żeby pożądane zachowanie stawało się automatycznym. Żeby prawdziwa apokalipsa i rzeczywista ewakuacja wydały się spacerkiem, prawie rozrywką. Te posterunki ruchu przed Wrotami. Znaki, gesty, rozkazy które śnią się Lidce w koszmarach... nie tylko zresztą jej one się śnią. Kolumna zebrała się w szyku - ruszyła - stanęła. Serie z automatów nad głowami. Przymusowe badania psychiatryczne dla sabotażystów, „osób, które świadomie stawiają opór kompleksowi środków przyjętych przez OP".

Lepsza już będzie *mryga.*

* * *

Drodzy obywatele! Chciałbym wam złożyć życzenia pomyślności na nowy, osiemnasty rok cyklu, który zacznie się w rocznicę ostatniej apokalipsy, dwunastego listopada. Życzę wam zdrowia, szczęścia i spełnienia pragnień. Do spodziewanej apokalipsy zostało około trzech lat i mogę was zapewnić z absolutnym przekonaniem, że będzie to pierwsza w historii ludzkości apokalipsa bez strat. Silne, sprawne OP, przygotowane i świadome swych obowiązków społeczeństwo, opracowane przez wybitnych uczonych plany ewakuacji - śmiało patrzymy w przyszłość i nie odczuwamy lęku o los naszych dzieci. Niech nadciąga zima - ociepliliśmy dom i zgromadziliśmy zapasy.

Niech się zacznie apokalipsa - jesteśmy na nią gotowi i wejdziemy we Wrota spokojnie, w porządku i z dumnie podniesionymi głowami.

[Prezydenckie orędzie z 10-go października, 17-go roku 54 - go cyklu]

Niech przychodzi Mróz - śmiało patrzymy w okienko naszej celi.

[Anonimowy napis na drzwiach podwórza domu, w którym mieszkała Lidka, 14-go listopada, 18-go roku 54-go cyklu]

* * *

Drzwi do męskiej toalety stały otworem. Maleńka, stara sprzątaczka myła białą ścianę umywalni z miną winowajczyni - choć nie wiadomo czemu miałaby być winna. Spod szmatki spływały ciemnoczerwone zacieki. Lidka się nastroszyła:

- Kogo na tej ścianie rozmazali?

Sprzątaczka nie pojęła dowcipu i zamrugała szybko powiekami:

- Ależ co pani, Lidio Anatoliewna, ot, piszą sobie flamastrami rozmaite głupoty. W toalecie zawsze jest coś namazane...

- Znajdziemy winnego i porozmawiamy o nim na Radzie Pedagogicznej - odpowiedziała Lidka machinalnie, myśląc już o czymś innym. Przestąpiwszy próg klasy, odczekała chwilkę, aż wszyscy się uspokoją i powiodła wzrokiem po twarzach. Coś tu się nie zgadzało. Zmiana była maleńka, na razie nie poddająca się klasyfikacji i nieokreślona... ale była.

- Siadajcie. Wyjmijcie zeszyty. Otwórzcie podręczniki na stronie dwieście dziesiątej i popatrzcie na zadanie siódme do paragrafu czterdziestego drugiego.

Maksymow, który zdążył już ją znienawidzić i zawsze denerwował się w jej obecności, teraz był spokojny i prawie zadowolony. Ale na twarzy jego jasnowłosej laleczkowatej koleżanki, która nijak nie mogła odszukać w dzienniku odpowiedniego zadania, widać było rumieńce. Druga z jego wielbicielek, mądrala i brzydula, przesiadła się do ostatniej ławki.

- Drozdówna, kto ci się pozwolił przesiadać?

Brzydula poderwała się. Jej oczy błysnęły niedobrym blaskiem. Podstawiwszy pod łokieć lewej ręki prawą pięść, zdecydowanym ruchem podniosła rękę.

- Lidio Anatoliewna, można coś powiedzieć?

Zamieszanie w klasie. Gorączkowo wymieniane spojrzenia, szepty - brzydulę ktoś szarpie za połę sukienki, ona jednak uparcie wyciąga rękę w górę.

- Mów - kiwnęła głową Lidka.

- Lidio Anatoliewna! A Maksymow napisał na ścianie, i...

Donosicielka zająknęła się, jakby nie mogła się zdecydować, czy

głośno wypowiedzieć buntownicze zdanie. W klasie zapadła grobowa cisza, w której słychać było uderzenia płatków śniegu w okienne szyby.

- „Wika plus Artiom?" - zapytała Lidka kpiącym głosem. - „Równa się miłość?"

Ktoś zachichotał i natychmiast umilkł.

- Nie - odparła nieubłagana donosicielka. - „Mróz - treser".

- Co takiego? - Lidka zadała to pytanie odruchowo.

- „Mróz-treser" - powtórzyła dziewczyna szeptem.

Lidka spojrzała na Maksymowa. Chłopak siedział wyprostowany, dokładnie tak, jak zalecał to szkolny regulamin; plecy proste, odległość pomiędzy brzuchem a krawędzią ławki równa szerokości dłoni. Ręce złożone na ławce, prawa leży na lewej, blada twarz nie wyraża absolutnie żadnych uczuć.

- I gdzie to napisał? - zwodniczo łagodnym głosem zapytała Lidka.

- W toalecie.

- W damskiej? - zapytała Lidka jeszcze łagodniej.

Donosicielka poczerwieniała:

- W męskiej.

Klasa skwitowała to lekkim szumem i zdławionymi chichotami. Niektórzy uczniowie wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Niemożliwe - kontynuowała Lidka, spoglądając na Maksymowa. - Widziałaś to na własne oczy? W męskiej toalecie?

- Napisał! - wyzywająco rzuciła dziewczyna i potoczyła po klasie takim spojrzeniem, że uśmieszki natychmiast się skończyły. - W toalecie nikogo nie było, a Maksymow miał czerwony flamaster! On wyszedł - a ja zajrzałam i zobaczyłam.

Lidka spojrzała jej prosto w oczy i zacisnęła zęby. Drozdówna miała świdrujące spojrzenie - jakże znajome i dawno już zapomniane.

Kim są jej rodzice? Do diabła, akurat teraz nie może sobie przypomnieć! Trzeba otworzyć dziennik na ostatniej stronie - tam są wypisane wszystkie adresy, daty urodzin, numery polis ubezpieczeniowych i dzielnicowych posterunków OP, a także stanowiska służbowe rodziców.

Jak by tu otworzyć niepostrzeżenie dziennik na ostatniej stronie?

- Maksymow...

Już chciała zapytać: „Maksymow, czy to prawda?", ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Chłopiec niewątpliwie odpowie: „Owszem, tak". W obecności całej klasy. Jest pełnoletni, dawno skończył szesnaście lat, czyli idiotyczny wyskok władze mogą skwitować od razu kilkoma paragrafami. Obraza czci i honoru Prezydenta (kto udowodni, że „treser" nie jest słowem obraźliwym?), działanie skierowane przeciwko antykryzysowemu programowi rządowemu, chuligaństwo. Na domiar złego dodatkowo obciążająca formuła: „na

ścianach zakładu edukacyjnego". Głuptas. Maleńki głuptas.

Jakby mimochodem, pogrążona w myślach, odwróciła dziennik rewersem do góry. Westchnęła i otworzyła. - Maksymow, ty rzeczywiście masz czerwony flamaster? Cała klasa wie, że tak. Flamaster przywieziono chłopcu z zagranicy, kiedy takie wyjazdy były jeszcze możliwe.

Maksymow zaczął pokornie grzebać w piórniku, szukając flamastra. Lidka przebiegła wzrokiem zapisy w maleńkiej klasowej bazie danych. Drozd, Antonina Grigoriewna, czwarta w spisie. Matka, technolog żywnościowiec, ojciec - instruktor OP trzeciego stopnia. Wszystko jasne, moja panno.

Maksymow, Atriom Aleksiejewicz. Trzynasty w dzienniku. Były prymus. Nie utrzymał pozycji, z takim numerem...

Matka - inżynier. Ojciec... brak danych. Czyżby matka sama go wychowywała?

Niech to diabli, co robić? Świadkami oskarżenia byli wszyscy uczniowie tej klasy. Ta idiotka, córka instruktorskiego trepa. Za dawnych dobrych czasów Lidka wezwałaby ją do tablicy i przypiekła na rożnie trudnego tematu. Nawet teraz chce jej się śmiać, ale w minionym tygodniu jednego chłopaka z równoległej klasy wysłali do karnej kolonii. Za to, że nazwał szkolnego opera starym durniem. Sprzątaczka, miła mądrala, trzeba jej kupić czekoladę i serdecznie podziękować. Albo zaprosić do siebie na kolację... Demonstracyjnie spojrzała na zegarek:

- Ucieka nam czas lekcji... i to z niemałą szybkością. Drozdówna, Maksymow, proszę ze mną. Idziemy do pani dyrektorki.

Donosicielka zacisnęła zęby, ale wstała. Maksymow też wstał - lekko i na pozór spokojnie; jego stosunek do nauczycielki biologii nie był dla nikogo sekretem. Stosunek Lidki do byłego prymusa też wszyscy znali. Donosicielka trafiła w samo sedno. Klasa doskonale wiedziała, czym się to wszystko skończy.

Jeszcze przed chwilą czerwoną twarz Wiki - blondyneczki - powlekła śmiertelna biel. Żeby jej się tylko coś nie stało.

- Jeżeli podczas mojej nieobecności usłyszę choć jeden pisk...

Nikomu nie przyszło do głowy pytanie, jak można cokolwiek usłyszeć, będąc nieobecnym. Formuła znana, choć niezręcznie sformułowana - zamknąć gęby i siedzieć cicho. I tak będą siedzieli.

Lidka wyszła na korytarz w towarzystwie młodzieńca i dziewczyny. Bardzo dobrze - nikogo nie widać. Dookoła toczy się proces nauczania.

- Toniu - niemal pieszczotliwym głosem zapytała Lidka. - Gdzie to jest?

Drzwi męskiej toalety jak przedtem stały otworem. Po całym korytarzu niósł się zapach chloranu wapnia; donosicielka jeszcze nie

doszła, a już zwęszyła kłopoty.

Czysto wymyte ściany. Wyszorowana podłoga. Bijący od pisuarów blask aż ciął po oczach.

- Było... tutaj - cicho stwierdziła donosicielka. - Zmyli. Sprzątaczka.

- Która? - łagodnie zapytała Lidka.

- A skąd mam wiedzieć? - zdenerwowała się dziewczyna. - Ta, co dziś ma dyżur. Niech się pani dowie!

- Oczywiście, że się dowiem - obiecała jej Lidka. - A teraz powiedz mi. Antonino? Masz jakiś żal do Maksymowa?

Donosicielka zawrzała gniewem. Na jej szczękach zagrały mięśnie - chciała coś rzec, ale się wstrzymała.

- Widzisz, Drozdówna... Tego akurat dowiemy się bez trudu. Wystarczy, że zapytam w klasie: wszyscy natychmiast sobie przypomną, czym ci Maksymow dopiekł. Być może, odnosi się do ciebie nie tak miło, jakbyś chciała?

Twarz dziewczyny powlekła się tak głębokim rumieńcem, że Lidka pomyślała, iż brzyduli krew tryśnie z policzków.

- A przecież wysunęłaś bardzo poważne oskarżenie, moja panno. Bardzo poważne. I jeżeli się okaże, że jest ono bezpodstawne, że wszystko to obmyśliłaś z zemsty...

- Napisał! - kwiknęła dziewczyna.

- Gdzie? - łagodnie jak przedtem zapytała Lidka. - Skoro widziałaś, jak pisze, trzeba było natychmiast pobiec do nauczyciela pełniącego dyżur, do zastępcy pani dyrektor od spraw nauczania, albo do instruktora OP. Oni jednak zadaliby ci pytanie: coś ty robiła w męskiej toalecie? Jak często tam zaglądasz? I co spodziewasz się tam zobaczyć?

Dziewczyna wyglądała tak, jakby lada moment miała wybuchnąć płaczem. Oczy świderki przybrały zwykły wygląd oczu zbitego psa, wilgotnych i pełnych smutku. Nie tobie mierzyć się z nami, córko opera. Skończyła się twoja pierwsza miłość. Pogódź się z tym.

- Wracaj do klasy, Drozdówna. Nie... idź do toalety - dla dziewcząt! - i doprowadź się do porządku. A na przyszłość, dobrze ci radzę, pomyśl, zanim coś powiesz.

Donosicielka szybko się zmyła, a po chwili na drugim krańcu korytarza rozległo się bulgotanie wody w muszli. Maksymow jak stał, opierając się plecami o futrynę drzwi do męskiej toalety, tak pozostał, nieruchomy niczym posąg. W dłoni zaciskał czerwony flamaster.

Był tego samego wzrostu co Lidka. Pachniało od niego młodzieńczym potem, i nie ciepłym, jaki zalatuje od chłopców po wysiłku, a zimnym, lepkim i nerwowym. Ale nie był to niemiły zapach. Chłopak mrugał szybko powiekami zielonych niczym sosnowe igliwie oczu.

- Dureń - odezwała się Lidka bezgłośnie, samymi wargami. - Idiota. Idź do klasy.

* * *

Nie wiadomo z jakiego powodu trafił jej się całkiem niezły humor. Od wielu dni nie czuła się tak dobrze. A nawet od wielu miesięcy.

A kiedy zobaczyła Maksymowa, jak odkleja się od ceglanej ściany, nie wiedzieć czemu, wcale się nie zdziwiła.

Skończyła właśnie ostatnią lekcję tygodniowego planu. Czekoladki sprzątaczce nie dała - żeby nie budzić podejrzeń, odłożyła to na przyszłość. Antonina Drozd nie miała dość ikry do poprowadzenia śledztwa na własną rękę. Ale zupełnie możliwe, że zabierze się do tego jutro. Dziś jest za bardzo zbita z pantałyku.

Dyrektorzyca mówiła coś o rosnącej krzywej spóźnień - ale Lidka słuchała tego tylko na pół ucha. Potem zaczęła się przemowa o naruszeniach dyscypliny i wykroczeniach popełnianych przez nieletnich; w ostatnich czasach, mówiła dyrektorzyca, nasiliły się wypadki rozmaitych chuligańskich wybryków, które - przykro powiedzieć - popierają dorośli. Odmowa uczestnictwa w zbiórkach, ignorowanie poleceń instruktorów OP, prowokacyjne napisy na ścianach.

Lewą rękę dyrektorzyca trzymała na temblaku. Podczas ostatniego ćwiczebnego alarmu starsza pani przewróciła się i mocno nadwerężyła sobie ścięgna.

Lidka mogła wyjść dopiero kwadrans przed czwartą; czyli Maksymow czekał na nią od dwóch godzin. A dziś mróz i nieźle dmucha.

- Lidio Anatoliewna...

Zmowa, pomyślała Lidka. A jeżeli on ma w kieszeni aparat podsłuchowy?

Bzdura. Co też człowiekowi nie roi się w przeddzień apokalipsy.

Szła, nie zwalniając kroku. Maksymow kroczył obok i Lidka widziała, że jest czymś silnie poruszony. Czekał, żeby choć na niego spojrzała, żeby o coś zapytała.

Przed przejściem musiała się zatrzymać. Po drodze ciągnęła, ignorując kompletnie światła sygnałowe, kolumna wojskowych samochodów - a raczej niegdyś należących do wojska, teraz przerobionych dla potrzeb OP. Ogromne gąsienice miarowo gniotły śnieg.

- One mają cię gdzieś - stwierdziła Lidka, z trudem rozwierając zęby. - Jadą w sobie tylko wiadomym celu. Nie są dobre ani złe. Muszą jechać. Jak się poślizgniesz i wpadniesz w koleinę - przejadą po tobie. Sam będziesz sobie winien. To maszyny. Robią swoje... a ty

jesteś durniem.

Maksymow milczał, wstrząśnięty.

- Więcej tego nie rób - Lidka zamknęła sprawę westchnieniem. Szkolna frazeologia lgnęła do niej, powoli, ale nieubłaganie, wypełniając jej pamięć i wciskając się na język. „Odpowiedzialność za stopniowe opanowywanie wiedzy... społeczne potępienie epokowego znaczenia...”

Kolumna przejechała. Resztki śniegu na drodze przypominały - pomiętą, brudną mokrą ścierkę...

- Rzeczywiście jej dopiekłeś? - zapytała Lidka, umyślnie niedbałym głosem.

- Ona mi się nie podoba - stwierdził Maksymow ponuro.

Lidka ledwo wstrzymała się od śmiechu. Mimo wszystko była w bardzo dobrym nastroju. Być może, zawdzięczała to właśnie temu głuptasowi.

Po raz pierwszy od początku rozmowy zerknęła na niego z ukosa. Krótkie paletko nosił już pewnie z pięć lat; początkowo było obszerne i sięgało mu za kolana, a teraz przypominało chłopięcą kurtkę. Okrągła dziecięca czapka ze sztucznego futra. Za czasów młodości Lidki rówieśnicy zasypaliby go drwinami i nie spojrzałaby na niego żadna dziewczyna, chyba że tak samo egzaltowana jak on. Ale teraz młodzi przeważnie chodzą w przenicowanych ubraniach dziecięcych - na nowe brak pieniędzy. Przywykli i nawet tego nie widzą. Trzeba przecież opłacać armię instruktorów, którzy nie potrafią niczego, oprócz prowadzenia swoich grup do atrap Wrót. Agitatorów, którzy objeżdżają wszystkie wsie z plakatami, muzyką i filmami szkoleniowymi. Strategów i taktyków, którzy ustalają wciąż nowe marszruty odwrotu z uwzględnieniem nieustannie zmieniającej się sytuacji. Kolosalny park wszelkiego rodzaju sprzętu technicznego, tajne instytuty zajmujące się ulepszaniem metod śledzenia, wykrywania i powiadamiania... i tak dalej. Nie ma sposobu, żeby to wszystko choćby wyliczyć.

- Ona cierpi - stwierdziła zamiast tego. - Postaraj się to zrozumieć.

Maksymow milczał, opuściwszy ku ziemi spojrzenie zielonych oczu. Kąciki ust miał zaciśnięte - niczym dorosły człowiek - i Lidka nagle zapragnęła wsunąć mu za kołnierz garść śniegu, tak, żeby nagle podskoczył.

Ale zdołała się jakoś powstrzymać.

* * *

Pierwszego dnia nowego semestru starszą grupę w całym składzie zerwano z trzech pierwszych lekcji. Lidka smętnie snuła się po pokoju nauczycielskim, słuchała plotek, usiłowała czytać gazety - jednym słowem, setnie się nudziła. Powinna była połazić po sklepach, ale -

choć słabość charakteru mocno ją zirytowała - nie mogła się zdecydować na wyjście ze szkoły. Prawdopodobieństwo natknięcia się na patrol nie było znów tak wielkie, ale Lidkę mdliło na samą myśl o nieuniknionych w takim wypadku tłumaczeniach.

Na czwartej lekcji trafiły się zajęcia w jej „ulubionej" klasie. Na dziesięć minut przed dzwonkiem z powracających autobusów na szkolny dziedziniec wysypali się wywiezieni uczniowie, ale wszyscy mieli nietęgie miny. Klasowi instruktorzy sprawdzili obecność i niezwyczajnie milcząca grupa wyrostków rozlazła się do swoich klas.

- Otworzyć zeszyty. Tematem dzisiejszej lekcji jest... Ale, ale... coście wszyscy tacy przybici?

Milczenie.

- Wika Rojenko, co było na tej wycieczce?

Zwykle radośnie zaróżowiona blondyneczka była blada, aż miło było na nią popatrzeć. Jej laleczkowata twarz miała wyraźnie sinawy odcień.

- Byliśmy na wycieczce w kostnicy...

- Gdzie?!

- W miejskiej kostnicy - wydusiła z siebie Wika. - W programie... w ramach programu przygotowań do apokalipsy. Pokazywano nam ofiary katastrofy... posegregowane zgodnie z rodzajami śmierci... Mogę wyjść?!

Lidka ledwo zdążyła kiwnąć głową. Blondyneczka zacisnęła usta dłonią i niczym bomba wypadła z klasy.

- Drozdówna... opowiedz, co tam było.

Córunia instruktora OP musiała mieć nerwy mocniejsze niż inni. Tonia Drozd nabrała powietrza w płuca:

- Charakter obrażeń, jakich doznają i wzajemnie zadają sobie ludzie w tłoku pod Wrotami jest pokrewny tym, jakie zdarzają się przy katastrofach samochodowych! Pokazano nam to wszystko... jako bodźce do treningów, ponieważ wszyscy narzekają i narzekają, że jakoby za wiele jest ćwiczebnych alarmów.

- Jasne - wtrąciła pospiesznie Lidka. - Otwórzcie podręczniki. Strona trzechsetna, ćwiczenie dwudzieste do rozdziału pięćdziesiątego dziewiątego. Drozdówna, przeczytaj na głos...

- Wyliczyć kolejno wszystkie znane prawa pojawiania się Małych Wrót na sawannie, w stepie, na półpustyni i pustyni. Podać wzór na przesunięcie populacyjne stosowane do zwierząt znajdujących się na górnych szczeblach drabiny ewolucyjnej... Podstawić do niego dane...

Lidka wbiła wzrok w stół. W brzuchu czuła chłód i pustkę: dyrektorzyca wspominała, że za kilka dni „wycieczkę" będą mieli wszyscy członkowie ciała pedagogicznego. Powiedzmy, że Lidka jest historyczką kryzysów i niejedno już widziała. Ale...

Ogarnęła ją fala odrazy i wściekłości. Jej palce zacisnęły się na

okładce dziennika.

Po co to wszystko?! Co, już inaczej się nie da? „Apokalipsa to nałożony ludzkości kaganiec...” „Tłum jest podobny do ameby... najbardziej podstawowe bodźce... odruchy bezwarunkowe...”

Odruch. Ale odruch warunkowy. Całe życie poświęcić na jego wyrobienie. Pokolenie za pokoleniem. Być może po jakimś czasie posłuszeństwo okazywane instruktorom okaże się wrodzone.

Nie. Cech nabytych się nie dziedziczy. Znaczy - ćwiczenia od kołyski do grobu, a przyjdzie nasz czas - wejdziemy we Wrota z dumnie podniesioną głową. Z głową podniesioną jak na tysięcznych szkoleniach. Alternatywa? Tłok. Kołowrót rąk, nóg i pysków... Piekło, w którym została Jana.

Lidka zrozumiała, że klasa wlepia w nią wzrok i wszyscy na coś czekają. Donosicielka Drozdówna dawno już przeczytała treść zadania i czeka na dalsze polecenie. I że uczniowie - a jest ich wielu - doskonale wiedzą, czemu nauczycielka nagle umilkła i o czym myśli. No, w każdym razie myślą, że wiedzą.

- Drozdówna - odezwała się Lidka niezwyczajnie słabym głosem. - podejdź do tablicy, napisz wzór i podstaw dane. Maksymow, idź, zobacz, jak czuje się Rojenko...

Maksymow wstał, ale w tej chwili blondyneczka weszła do klasy, nieco bledsza i z plamami wilgoci na mundurowej spódniczce.

- Kto z was czytał prace Zarudnego? - nieoczekiwanie nawet dla samej siebie zapytała Lidka.

Podniósł się las rąk.

- Przerabialiśmy to na historii najnowszej. „Wstęp do historii kataklizmów” i niektóre artykuły...

- A poza programem, czy ktoś z was próbował je czytać z własnej inicjatywy? - zapytała Lidka, nie wiedząc nawet, czemu zadała to pytanie.

Ręce opadły.

- Nie... my zgodnie z programem.

Maksymow się najeżył. Wyzywająco spojrzał Lidce w oczy, i - jeden jedyny - podniósł rękę.

Miał wyraźnie za krótki rękaw marynarki. Zsunął mu się niemal do łokcia.

* * *

- Ale dlaczego nikt o tym nie wie?

Szli po opustoszałej ulicy, po której swobodnie hulał wiatr.

- Ja myślałem, że synowa Zarudnego, to ta dama z Fundacji Dziecięcej, kiedyś widziałem w telewizji, co prawda dawno temu... Nigdy bym nie pomyślał... Sądziłem, że to tylko zbieżność nazwisk!

- A co za różnica? - zapytała ponuro. - Z synem Andrieja

Igorowicza rozeszłam się wiele lat temu. Zatrzymałam tylko nazwisko... dlatego, że Andriej Igorowicz z pewnością by nie protestował. Tylko nazwisko.

Maksymow zmarszczył brwi, jakby usiłując sobie coś przypomnieć. No, przypominaj sobie, pomyślała Lidka z westchnieniem.

- Je... jeżeli chcecie to ukryć - zaczął chłopak, jąkając się z emocji - to ja nikomu nie powiem...

Lidka otworzyła usta, żeby zapewnić Maksymowa, że jest jej to absolutnie obojętne, ale w tej chwili wysoko na niebie rozkwitła sygnałowa rakieta i natychmiast ponuro zawyły syreny.

- Nadzialiśmy się na alarm - stwierdził gorzko chłopak. - A ja mam dziś tyle lekcji do odrobienia...

Lidka szybko rozejrzała się dookoła. Nadciągał zmierzch, wzdłuż ulicy hulał wiatr, w oknach domów zapalały się i zaraz potem gasły światła.

- Chodź ze mną.

Bezceremonialnie chwyciła go za rękaw palta i pociągnęła w bok. Tu, niedaleko, był nierozebrany jeszcze dziecięcy plac zabaw z okrągłą zamkową basztą; czasami wracając z pracy, Lidka pozwalała sobie na chwilę samotności w służącym do zabaw zameczku. Dość znacznie poprawiało to jej nastrój.

- Skacz. Tak, żeby nie zostały żadne ślady przed wejściem.

Nie wiadomo skąd brała pewność, że chłopak posłucha. Nie będzie mrugał oczami, pytając: „A co z alarmem?"

Okienka strzelnic były tak wąskie, że nie dałoby się przez nie przecisnąć średniej wielkości jabłka. W górę prowadziły kręte schody - na piętrze wzdłuż ścian rozmieszczono niskie ławeczki.

- Siedzimy. Cicho.

Na zewnątrz migały promyki latarek. Potem podjechał wóz z mocnym reflektorem, który niczym pędzel rozmazywał światło po fasadach domów i wzdłuż ulicy; za każdym razem, gdy jego promień trafiał w basztę, Lidka widziała przed sobą skupionego, nieco przestraszonego, ale zachowującego zupełny spokój Maksymowa. Zaciśnięte wargi dodawały mu wieku, ale w szeroko otwartych oczach pozostało jak przedtem zupełnie dziecięce zdziwienie. Lidce na przemian wydawało się, że naprzeciwko niej siedzi to dwudziestoletni chłopak, to dwunastoletni smyk.

Ścisnęła go za rękę:

- Nie bój się.

Kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć: „Wcale się nie boję".

Przytłumione głosy zaczęły sprawdzanie obecności; na niektórych czekano, ale ani Lidki, ani Maksymowa na tych listach nie było, powinni sami zgłosić się jako „przypadkowi przechodnie", ale wcale

nie mieli na to ochoty. Zachrypniętym głosem narzekała jakaś kobieta, metalicznie porykiwały głośniki, warczał motor, a mężczyźni klęli co się zowie. Potem Lidka usłyszała gwizd i kolumna ciężko ruszyła z miejsca, zanurzając się w noc i zrywającą się śnieżycę, do odruchu bezwarunkowego, teraz już nie tak ciężko się ćwiczy, zauważyliście, że wszystko idzie jak po maśle, ruch na świeżym powietrzu doskonale wpływa na zdrowie, nie uwierzy pan, ale przestało mnie pobolewać serce i poprawiła mi się cera...

Kolumna odeszła. Latarki pozostały.

- Numer trzydzieści „B", mieszkanie trzynaste - dudnił tuż obok nieco ochrypły męski głos. - Odmowa ewakuacji, tłumaczy się zapaleniem płuc.

- Z zapaleniem na razie zostawiamy. Usprawiedliwienie lekarskie jest?

- Nie ma.

- Który rejon?

- Sto czterdziesty siódmy.

- Na pewno kręci, cholera. Sprawdzę.

- Sprawdź... W piwnicy znaleźliśmy parkę smarkaczy, nie mają usprawiedliwień, nie podają żadnych powodów, tylko płaczą. Po czternaście lat, młodsza grupa.

- Dajcie znać do szkoły, niech sami to załatwią. Tego szajbusa spod piątego już zabrali, sam dzwoniłem. Dama z zapaleniem płuc, para smarkaczy, stary grzyb spod trzydziestki „B", zdechnąć, mówi, dajcie spokojnie...

- Pieprzy...

- Aha... Spokojnie, mówię, nie da się, dziadziu. I jedna parka została, syreny, mówią, nie słyszeli... Facet i babka, z betów ich wyciągnęliśmy, no jasne, akurat w takiej chwili coś usłyszysz. Ale się nie ociągali, wzięli nogi za pas i pobiegli aż miło...

- To co mi psujesz statystykę?! Pięć odmów, pięć, tych smarków postraszę, ale do meldunku ich nie wpisuj. To wszystko?

- Wszystko. Nieobecnych pięćdziesiąt siedem osób - urlopy, delegacje, praca na drugą zmianę. Trzeba było później ogłosić alarm...

- Jako nam ogłoszono, tak i my ogłaszamy...

- Taaa... - Posłuchaj, podczas syreny gdzieś tu przechodziła jakaś damulka z młodym chłopaczkiem, a w spisie przypadkowych przechodniów ich nie było.

- Jaka znów damulka z chłopakiem? Tutejsi?

- Nie, w spisach ich nie ma. Przypadkowi przechodnie. Gdzie się mogli podziać?

- Pewnie zdążyli przed alarmem.

- Nie, nie zdążyli. Już się, cholera, zmierzchało.

- Przyprowadziłem ci maszynę.

- Aha... niech poświeci po tych płotkach. Może gdzieś się schowali na krzywy ryj.

Maksymow odruchowo wcisnął się w ścianę, byle dalej od strzelnicy. Lidka też się spięła wewnętrznie. Mróz bezlitośnie ciął w palce i stopy odziane w lekkie trzewiki.

Znów rozległ się warkot motoru. Śnieg zaiskrzył, jakby oświetlony promieniami słońca. W wieży na sekundę zrobiło się jasno jak w dzień. Lidka zobaczyła ogromne oczy Maksymowa i kropelki potu na jego czole. I to w taki mróz...

- Po płotkach, szczelinach, o tam, pod ten okap... i na rurę... Tak.

- Jeden spryciarz kiedyś mi się schował w studzience kanalizacyjnej...

- ...to co, jedziemy czy nie?

- Czekaj... popatrzymy... gdzie te skur...

- Na drugi raz trzeba podjechać po cichutku, a dopiero potem dawać sygnał syreną...

- Mądrala. Wtedy wszyscy na widok reflektorów będą się rzucali do ucieczki...

Kilka gardeł ryknęło śmiechem. A przecież wśród tych ludzi może być i tatunio Antoniny Drozd, pomyślała Lidka i koszula natychmiast przylgnęła jej do grzbietu. Byłoby to zupełnie naturalne. Ale by mu się trafiło... nielichy połów...

- Zobacz sam, ta kamienna pała, chyba wieżyczka, sterczy jak wuj na weselu, przeszkadza w zawróceniu wozu. Dawno już miałem powiedzieć, daj znać komu trzeba, niech pozwolą ją rozebrać.

Biały promień znów uderzył w strzelnicę. Lidka widziała, jak zwężają się źrenice Maksymowa. I jak chłopak wciska się w kamienną ścianę, odwracając twarz od bezlitosnego snopu światła.

- Jak nie zapomnę, to dam znać... Dobra, spadam. Mam jeszcze w planie trzy alarmy.

Promień reflektora gdzieś odjechał i w wieży zapadły ciemności. Nadleciał wiatr. W szczelinach strzelnic zatańczyły płatki śniegu, a w całej baszcie, od podstaw po szczyt rozpanoszył się chłód. - S-s-s... Sz-sz-sz... Żołd dadzą, podzielisz się?

- Akurat ci dadzą... Sz-sz-sz.

- No to cześć.

- S-s-s...

Warkot silnika.

Reflektor zgasł już całkowicie - i w baszcie zapadły iście nieprzeniknione ciemności. Nie było widać światła w żadnym z okien. Strasznie...

Maksymow pochylił się ku Lidce, która natychmiast poczuła na uchu jego łaskoczący oddech.

- A jeżeli tamci zostali, żeby się jeszcze rozejrzeć?

- Jest ciemno - odpowiedziała Lidka szeptem. - Zaraz pojawią się przechodnie, ci co jeszcze nie wrócili z miejsc pracy... Wtedy my też wyjdziemy, po ciemku. Kto nam cokolwiek udowodni?

- Odważna z pani kobieta - stwierdził chłopak cichutko.

Lidka uśmiechnęła się w ciemnościach:

- Akurat... tchórz ze mnie, i tyle. A twoja matka się nie boi?

Chłopak przez chwilę wiercił się na zimnej ławeczce:

- Ona... no, wie, że mogę nadziać się na obławę... znaczy, na ćwiczebny alarm. Denerwuje się, oczywiście...

- Posiedzimy jeszcze z kwadrans i pójdziemy... Artiom, obiecaj mi...

- Co mam obiecać?

- Obiecaj, że nigdy już *czegoś takiego* nie zrobisz.

Kolejny podmuch wiatru przejął oboje do szpiku kości. Lidka zaczęła rozcierać dłonie w rękawiczkach, ale palce wcale się nie chciały rozgrzać, tylko jeszcze bardziej marzły.

- Dlatego, że... ludzie powinni uczciwie trenować? - zapytał chłopak tak cicho, że Lidka raczej się domyśliła, niż usłyszała treść pytania.

Teraz, gdy oczy przywykły już do ciemności, można było dostrzec zarysy baszty. I tumany nadlatującego śniegu. I samotną gwiazdkę świecącą w przerwie pomiędzy chmurami.

- Dlatego, że cię złapią, głuptasie.

Westchnął z taką ulgą, że Lidka usłyszała to westchnienie nawet przez szum wiatru.

- Ja i tak... nie złapią mnie!

- Złapią. Obiecaj, że w przyszłości to się nie powtórzy. Jak nie, to cię uwalę na sprawdzianie.

Chłopak umilkł i Lidka zorientowała się, że on po prostu nie wie, co odpowiedzieć.

- Wie pani... ja się nie boję sprawdzianów.

- Dobrze. Wobec tego... dlatego, że cię o to proszę?

Milczał jeszcze przez chwilę.

- Zgoda. Obiecuję.

W mroku uścisnęli sobie dłonie, a Lidka poczuła, że palce Maksymowa ledwo się zginają.

- Nie, tak się nie da. Trzeba będzie jeszcze pocierpieć z dziesięć minut...

Zdjęła mu z rąk cieniutkie rękawiczki ze sztucznej skóry i zaczęła rozcierać jego i swoje dłonie śniegiem. Rozgrzały się. Śnieg tajał i zaczął spływać z czerwonych, nieco spuchniętych dłoni.

- Co z uszami?

- Na razie nie trzeba...

- Jeszcze pięć minut. Zaraz stąd wyjdziemy.

Dawno już nikogo nie *dotykała.* Przelotne objęcia ramion mamy, przyjacielskie uściski ręki Timura - to jednak nie to...

Nagle zrodziła się w niej i okrzepła myśl, której od dawna już sama się przed sobą wypierała: to mógłby być mój syn. Lidka zrozumiała, że jeśli nie przepędzi jej precz, na zawsze zepsuje smak tego dnia i tego wieczoru. I naprawdę znienawidzi Atrioma Maksymowa.

To *nie może* być mój syn!

- Aj, przecież zmarzł ci nos! - stwierdziła umyślnie niedbałym tonem. Pociągnęła go ku sobie - chłopak nie za bardzo się opierał - i odszukała wargami jego usta.

Pocałunek na mrozie - to dość osobliwa przyjemność. Zresztą, tak naprawdę nie chciała uwodzić Maksymowa - trzeba jej było się upewnić, że on *nie jest jej* synem.

On jednak odpowiedział. Okazuje się, że doskonale umiał całować. A wszyscy narzekają na współczesną młodzież, że jest leniwa i zakompleksiona.

Lidka wygięła się w łuk. Dawno zapomniane wrażenie; mój Boże... ugięła się. Sama. Ugięła.

Objęła go za ramiona - przez chłopięce paletko.

W strzelniczy otwór wieży zaglądała gwiazdka. Niejedna - niebo stopniowo się przecierało, śnieg przestawał padać, ale wiatr dął coraz mocniej.

* * *

Chłopak złapał anginę i przez miesiąc nie pokazywał się w szkole. Dla Lidki ten miesiąc był długi jak samo życie, szczęśliwy i ciężki.

W maleńkim mieszkanku, które wynajmowała już od kilku lat, panowały bałagan i nieporządek. Był to nieporządek zorganizowany i uświęcony trwałością - nie chciało jej się po prostu niczego przestawiać, jakby ruszone z miejsca przedmioty mogły rozerwać ustalony już bieg wydarzeń. Mizerny szaliczek Maksymowa, który rzuciła na biurko, leżał tam, gdzie do zostawiła - Lidce wydawało się, że tak właśnie powinno być. Niech sobie leży.

W łazience nadal wisiał czysty, frotowy ręcznik, z którego gość skorzystał. Ręcznik dawno wysechł, Lidce jednak wcale się nie spieszyło, żeby go zabrać. Niech sobie wisi.

Czasami, gdy budziła się około czwartej nad ranem, oblewał ją pot na myśl o tym, że wszystko skończone i Maksymowa nie da się odzyskać. Że wróciwszy do zdrowia po chorobie, chłopak po cichutku przeniesie się do innej szkoły. Że z bolesnym wstydem wspomina wszystko, co między nimi zaszło, że pogrążył się w depresji, że ją nienawidzi, starą idiotkę, zdzirę od biologii, że drwi z niej i gardzi sam sobą.

Po godzinie lub dwu takich rozmyślań wstawała, po ciemku lazła do kuchni i łykała przygotowane wieczorem tabletki. Czasami udawało jej się nawet ponownie zasnąć.

Wracając o zmierzchu ze szkoły, podnosiła głowę i spoglądała w swoje czarne, nieoświetlone od środka okno. Doskonale zdawała sobie sprawę z głupoty tego zwyczaju - ale mimo wszystko patrzyła - wydawało jej się, że któregoś dnia zobaczy w nim światło.

- Na mnie już czas - mówiła kolegom i znajomym. - Ktoś na mnie czeka.

Koledzy i znajomi patrzyli na siebie znacząco, Lidka zaś wierzyła w takich chwilach, że to, co mówi, jest prawdą. Że na nią w istocie ktoś czeka; spieszyła więc do domu, wspinała się na piąte piętro po wąskiej, niezbyt przyjemnie pachnącej klatce schodowej, wchodziła do mieszkania i spoglądała na niedbale rzucony szalik, który zachował jeszcze resztki młodzieńczego zapachu i dwie filiżanki po kawie, z zastygniętymi na dnie fusami.

Potem siadała na brzegu kanapy, wbijała wzrok w sufit i uśmiechała się radośnie.

Wymyślała powody, które by wytłumaczyły jej telefon do domu Maksymowa. Tych akurat nie brakowało - zbliżała się wiosna, a z nią końcowe egzaminy. Stan zdrowia chłopaka mógłby wzbudzić w troskliwym pedagogu spore obawy; Lidka kilka razy odtwarzała w pamięci wyimaginowaną rozmowę i przewijała jej rozmaite warianty. Można byłoby zadzwonić z pokoju nauczycielskiego, można i z automatu. Można zadzwonić wieczorem, kiedy w domu będą brat i matka chłopaka. A można i rano, zwiększając szansę, że do telefonu podejdzie on sam.

Numer jego telefonu znała już na pamięć.

Ale nie zadzwoniła ani razu. Pod koniec zimy nasiliły się zachorowania też wśród nauczycieli. Lidce dorzucili ponadplanowe zajęcia. Lekcje leciały jedna za drugą, a klasy - grupy starsza i średnia - zmieniały się w jej gabinecie niczym obrazki kalejdoskopu. Chłopak albo dziewczyna, którzy usiedli na miejscu Maksymowa, bardzo ją irytowali - co uznała za zrozumiałe - i musiała mocno się starać, by się z tą irytacją nie zdradzić.

Niekiedy musiała mocno brać się w garść, coraz częściej bowiem przychodziła jej ochota, by bez widocznej przyczyny głupio się uśmiechać. Częściej też niż zwykle spacerowała pomiędzy ławkami, bo rozeschnięte krzesło kwitowało każdy jej ruch przeraźliwym jękiem, a usiedzieć spokojnie nijak się jej nie udawało.

Wszyscy też na nią patrzyli. Oglądali się za nią na ulicy zupełnie jej nieznani mężczyźni i wlepiali w nią gały uczniowie ze starszych klas. Jakby promieniowała ciepłem. Albo jakby bił od niej miły zapach. Lub niewidoczne fale, drgania, jak kręgi na wodzie.

Któregoś dnia - Maksymow był już nieobecny ponad trzy tygodnie - postanowiła porozmawiać z matematyczką, która była wychowawczynią jego klasy.

- Rozmawiałam z jego matką - niezbyt skoro odpowiedziała zabiegana, zaniedbana kobieta. - Już niedługo powinien wrócić do zajęć... A wy, Lidio Anatoliewna, dajcie mu możliwość dogonić z programem resztę grupy. Głupio jakoś - chłopak był prymusem.

Lidka zacisnęła wargi i sama się zdumiała, jak naturalnie ułożyły się w pogardliwy, wredny grymasik. Co znaczy przyzwyczajenie. Maska przyrasta do twarzy.

A Maksymow po tygodniu pojawił się w klasie.

Zobaczyła go przelotnie na przerwie i długo siedziała w pokoju nauczycielskim, uspokajając walące jak szalone serce i utrzymując w ryzach rozjeżdżające się ku uszom wargi. Idiotka, idiotka, stara idiotka...

Do klasy weszła pięć minut po dzwonku - uczniowie niemal już uwierzyli, że biologicę nareszcie zmogła jakaś choroba.

Gdy weszła, na ich twarzach pojawiło się rozczarowanie; umyślnie nie patrzyła w stronę ławki Maksymowa i dopiero usiadłszy za stołem, pozwoliła sobie na „zauważenie" jego obecności:

- A-aaa... Maksymow! Nareszcie! Jak się czujesz?

Natychmiast pożałowała tego pytania. Dlatego, że teraz musiała wysłuchać odpowiedzi.

Maksymow wstał i zobaczyła, że schudł. On też się zmienił - resztki dzieciństwa, niezgrabna figura w workowatym mundurku, pyzate policzki - wszystko zostało w przeszłości.

- Dziękuję, dobrze - odpowiedział cicho. - *Prawie zupełnie* dobrze.

Od tego „prawie zupełnie" Lidce zapłonęły uszy, na szczęście ukryte pod luźnymi włosami. Nerwowo poprawiła uczesanie; wydało jej się, że uważnie obserwuje ją cała klasa, od przenikliwej Antoniny Drozd do głupawego milczka Charczenki - i wszyscy się domyślają, co się dzieje.

- Będziesz musiał poświęcić sporo czasu na uzupełnienie braków - stwierdziła, patrząc w dziennik. - Siadaj... Zaczniemy dziś nowy temat. „Państwowe rezerwaty i ich rola w zachowaniu biologicznego rytmu przyrody żywej".

Maksymow siedział, nisko spuściwszy głowę.

Na przerwie co chwila wychodziła z pokoju nauczycielskiego. Przechodziła korytarzem do toalety, do biblioteki albo włóczyła się bez celu.

On stał przed wysoką ścianą i udawał, że wkuwa na pamięć uczniowski regulamin. Stał, nie ruszając się z miejsca, przez cały czas trwania przerwy, dwadzieścia minut.

Też się bał.

Bał się i śledząc ją po lekcjach. Dopiero potem zrozumiała, jak trudno mu było zrobić ten pierwszy krok: a nuż ona go wyśmieje i przegoni? Albo, co bardziej prawdopodobne, spojrzy nań zimnym, odpychającym wzrokiem: „Maksymow? O co chodzi?”

Zerknęła na niego i szybko uciekła spojrzeniem w bok. Odeszła na dziesięć metrów i zwolniła kroku.

Poszedł za nią. Jak ogon.

I tak przemierzyli kilka dzielnic.

Potem Lidka, ni z tego, ni z owego skręciła w wysoką, wąską i pachnącą kotami bramę.

Przez długie jak wieczność dziesięć minut - do chwili, kiedy na górze skrzypnęły czyjeś drzwi - stali objęci, bez ruchu i bez słów.

* * *

Jej życie nabrało sensu. Ponownie i - jak jej się wydawało - już na zawsze.

Szybko się wyjaśniło, że Maksymow jest fatalnie opóźniony, jeśli idzie o szkolny program. Oczywiście, i przedtem zdarzały mu się trójе; Lidka doskonale wiedziała, co o niej myślą koledzy nauczyciele. „Przycisnęła” chłopaka, żeby zarobić na korepetycjach, rodzice Maksymowa nie powinni iść wrednej babie na rękę. Chłopak ma tylko matkę...

Wracała ze szkoły, stawiała czajnik na płycie kuchenki, brała prysznic i wyjmowała z szafki flakonik drogich, wariacko drogich jak na nauczycielską kieszeń perfum.

I czekała - zwykle nie dłużej niż pół godziny.

Najpierw w korytarzyku słychać było kroki, ona jednak wstrzymywała się, nie biegła na złamanie karku, tylko czekała, aż rozlegnie się dzwonek u drzwi.

Nie mogli spotykać się codziennie. Nawet dziedziczny idiota zacząłby coś podejrzewać. Maksymow przychodził do niej w poniedziałki, środy i piątki, ona jednak czekała na niego codziennie - i bardzo często nie na próżno, ponieważ okazywało się, że zapomniał o zeszycie albo nie zrozumiał dobrze jakiegoś zadania, albo znajdował inny powód.

Ona zaś nigdy nie znajdowała w sobie sił, żeby go przepędzić.

- ...uważasz, że tak być powinno? Że wszystko się zamyka w wyrobieniu bezwarunkowego odruchu do przechodzenia przez Wrota? Że dlatego należy przekształcić społeczeństwo w wytresowane stado?

- Nie wiem. A można inaczej?

- Ale przecież ludzie dawali sobie radę i bez tego! Twoi rodzice, ty sama, moi rodzice, brat... wszyscy...

- Wszyscy... Faktycznie, przeżyli wszyscy, których widzisz. Ale nie widzisz tych, co zostali *tam.* Na przykład mojej siostry, Jany.

- Wybacz...

- Artiomku, rzecz nie w tym, ilu z nas zostanie przy podejściu do Wrót. Rzecz w tym, że jeżeli kogoś stratują, zadepczą, wgniotą w ziemię...

- Rozumiem. Możesz nie kończyć. Ale przecież po nas depczą już teraz! *My już jesteśmy tratowani,* Lido. Do apokalipsy zostało jeszcze trochę czasu, a my - już...

Leżeli, obejmując się ramionami. W pokoiku panował mrok, od czasu do czasu po suficie przepływały odblaski odległych świateł przejeżdżających samochodów.

- Nie. Wcale nie jesteśmy tratowani. I nikomu nie damy po sobie deptać. My tylko udajemy pokorne bydło.

Uśmiechał się zimno, jak doświadczony życiem, czterdziestoletni przynajmniej mężczyzna. Nie zobaczyła jego uśmiechu, ale go wyczuła i ucichła.

- Nie, Lido, nic z tego nie wyjdzie. Nikomu. Mój ojciec... nie chciałem ci tego mówić, ale on nie umarł ot, tak sobie. Wysłali go na roboty społeczne... stamtąd zabrali do szpitala... i przysłali zawiadomienie... że umarł na zawał. A ten gość z jego gazety, którego zabrali razem z nim - do jego żony też przyszła depesza - zawał... Ich zabito. Oni zabijają i dalej będą zabijać. Dlatego, że inaczej już nie da się tego utrzymać... same zapewnienia, że to konieczne, same wycieczki do kostnicy nie wystarczą. Już nie wystarczą. Myśleliśmy, że takie z nas mądrale... udamy, że na wszystko się zgadzamy i nic nie będzie. Ale ja już nie mam sił. Tacy, jak Tońka Drozd i jej tatunio... wiesz, im się podoba, kiedy jesteśmy mierzwą. Lido, ja już nie mogę. Nie mogę...

Po szarym suficie przemknęła smuga światła. Blask odbił się w szeroko otwartych i pełnych wilgoci oczach młodzieńca.

Lidka objęła go i przykryła swoim ciałem.

- Artiomku... Nie mam nikogo, oprócz ciebie. Posłuchaj... Wytrzymaj, wszystko minie. Przyjdzie *mryga,* wszystko się ułoży i minie ta cała histeria. A ja wrócę do nauki. Ty będziesz ze mną. Zaczniesz studiować... W lecie będziemy jeździć na ekspedycje. Zima i jesień to czas opracowywania danych i pisania artykułów. Zdobędę przepustkę. Potrafię tego dokonać. Wtedy po prostu stchórzyłam... odmówiłam... Ale nam się uda zrozumieć...

- Naturę Wrót? - spytał szeptem.

- Tak! - potwierdziła radośnie. - Zorganizujemy przemysłową produkcję tych Wrót, ludzie będą je stawiać sami, tak jak teraz stawiają ćwiczebne atrapy. Będziemy niezależni od nikogo i niczego...

- To nie jest rozwiązanie - odparł Maksymow cichym głosem. - To tak samo, jakby szczury w labiryncie nauczyły się wygryzać dodatkowe wyjścia.

W szyby powoli i cichutko zastukały pierwsze krople deszczu. Po chwili zaczęły uderzać coraz mocnej i szybciej, aż wreszcie zabębniły monotonnie.

- Artiom... Przytul mnie.

Dotyk. Jeszcze jeden. Spokój. I pełne pokory szczęście.

Śniła jej się tamta dawna ekspedycja, bezgłośny zielony świat i zatopione przez morze, nierozebrane w porę Wrota. We śnie zamiast Sławka był z nią Maksymow.

Śnił jej się też Andriej Zarudny, młody, młodszy nawet od niej samej. Nie wiadomo dlaczego miał zielone oczy - i ze źrenic Andrieja uśmiechał się do niej młodziutki Artiom.

Śniły jej się uniwersyteckie korytarze, czerwone dywaniki na podłogach biur OP i czerwone, nieskończenie rozległe pola maków. I zamiast mnóstwa nierozpoznawalnych i niepotrzebnych w jej życiu ludzi wszędzie pojawiał się Maksymow. Nie widziała go, ale czuła jego obecność.

Cały poprzedni jej świat, całe jej niegdysiejsze życie pokrywała zasłona, jaką powleka się meble dla ochrony przed kurzem. W niektórych miejscach zasłona była przejrzysta - i prawie niewidoczna. Dopiero teraz, kiedy ja zdarła, Lidka zrozumiała, że życie pod nią było nie do wytrzymania. Pod tą szarą, przenikającą wszystko błonką braku miłości.

Straciła pół życia.

A mogłaby stracić je całe, do ostatka. I nawet by się nic dowiedziała, co tak naprawdę straciła.

* * *

...wrzeszczących o naruszaniu praw człowieka. A przecież należałoby tych panów zapytać: o jakich prawach mowa? O prawie każdego z nas do tego, by go zadeptano podczas ucieczki do Wrót? O prawie do zostania pogrzebanym w potoku lawy albo porwanym przez fale, lub zabitym przez glefy? Dlaczego środki i sposoby stosowane w celu ratowania ludności podczas kryzysu wydają się niektórym niehumanitarne, zbyteczne albo przedwczesne?

Odpowiedź jest prosta. Od niepamiętnych czasów na apokalipsach żerowały stada krwiopijców - od przekupnych państwowych urzędników, którzy na listach osób przeznaczonych do w ewakuacji przed ogłoszeniem apokalipsy umieszczali swoje rodziny, po różnorakie wątpliwej proweniencji firmy, które powyrastały na pniu dawnej OP, za kolosalne pieniądze zajmujące się „transportem, eskortą i ewakuacją". Teraz te możliwości przepadły; a tym, co się na nich bogacili, nie w smak to, iż każdy obywatel ma taką samą jak inni szansę pewnej, bezpłatnej i bezpiecznej ewakuacji do Wrót. Teraz ryczą o „deptaniu praw człowieka", które istnieje tylko w ich

rozgorączkowanej wyobraźni.

[Fragment przemówienia Ministra OP z okazji Kwietniowego Święta, 23 kwietnia, 18-go roku 54-go cyklu]

* * *

Tym razem czekała dłużej niż zwykle. Przyszedł zasapany i przygnębiony - matka, według jego słów, dawno już zaczęła coś podejrzewać i lada moment podejmie jakieś działania. Unikając jej wzroku, stwierdził, iż być może dobrze byłoby zmienić daty spotkań albo w ogóle się nie spotykać przez jakiś czas. A po chwili, spojrzawszy jej w twarz, objął ją nagle i powiedział, że rzuci dla niej szkołę i rodzinę. I ucieknie z nią do lasu.

Nie bez nerwowego śmiechu zaczęli się wzajemnie rozbierać, kiedy za oknem zawyła syrena. Był jasny wieczór kwietniowy; w sąsiednim mieszkaniu komuś wypadła z rąk i zabrzęczała po podłodze blaszana miska.

- Obywatele, alarm ćwiczebny. Obywatele, zaczęło się odliczanie czasu. Uwaga... Alarm ćwiczebny... sto siedem, sto sześć, sto pięć, sto cztery...

Lidka powoli puściła ręce Maksymowa. I spojrzała mu w twarz nieruchomym wzrokiem:

- Nie pójdę.

Przestępując z nogi na nogę, to wsuwał rękę w rękaw koszuli, to ją z niego wyciągał:

- Co?

- Nie pójdę! - krzyknęła szeptem Lidka. - Nie! Nienawidzę tego! Nie chcę! Zamknę drzwi i niech ich wszystkich diabli wezmą! To moje mieszkanie. Nie pójdę! Nie życzę sobie!

- Dziewięćdziesiąt dwa, dziewięćdziesiąt jeden, dziewięćdziesiąt, osiemdziesiąt dziewięć - bębnił metaliczny głos na podwórzu. Po schodach ktoś już zbiegał, głośno tupiąc nogami.

- Lideczko, uspokój się.

- Jestem spokojna. Mam już dość. Nie jestem szczurem, nie chcę! Nie poddam się tresurze! Mam prawo zdechnąć, kiedy zechcę! Mam prawo kochać cię, kiedy zechcę! Jestem wolnym człowiekiem!

- Lido...

Usiadła na kanapie i przełożyła nogę przez oparcie.

- To wszystko. Idź. Ty idź. A mnie jest już wszystko jedno.

- Sześćdziesiąt osiem, sześćdziesiąt siedem, sześćdziesiąt sześć...

- Lido - głuchym głosem stwierdził Maksymow. - Mój ojciec... Teraz ty. Nie chcę.

- Niczego mi nie zrobią - odpowiedziała gniewnie.

- Zrobią - odparł chłopak cichym głosem. - To sabotaż. Na początek zwolnią cię ze szkoły... I wszystko będzie jeszcze trudniejsze.

- Pięćdziesiąt dwa, pięćdziesiąt jeden, pięćdziesiąt, czterdzieści dziewięć...

- Lido - odezwał się Atriom szeptem. - Bardzo cię proszę...

Proszę... Zmuś się jakoś...

Odwróciła się twarzą ku poduszce i wybuchła płaczem.

Na „zero" wyszli z bramy - blady chłopak ze szkolną teczką pod pachą i jego zdenerwowana, czerwona i wzburzona nauczycielka. No, nic dziwnego - tak bezceremonialnie przerwano im lekcję...

Sąsiedzi patrzyli spode łbów.

Wszyscy skrzywiliby się jeszcze bardziej, gdyby zobaczyli, że chłopak pod kurtką nie ma koszuli ani podkoszulka. A wzburzona dama wdziała płaszcz wprost na koronkową i bardzo podniecającą bieliznę.

* * *

Na przyjęciu maturalnym Lidka po raz pierwszy zobaczyła matkę Maksymowa. Przedtem jakoś się nie widywały na wywiadówkach ani na szkolnych akademiach, matka Artioma - na przekór radom i zaproszeniom - nie przychodziła do szkoły, żeby się zobaczyć z wredną biologicą nawet w tych czasach, kiedy chłopakowi groziła tróją na świadectwie.

A teraz, proszę, spotkały się - choć Lidka przez cały wieczór starała się trzymać na uboczu.

Maksymowa była z pokolenia Lidki, ale wyglądała kiepsko, wydawała się przynajmniej o dziesięć lat starsza. Ciężkie życie nie dodaje młodości. A strach o syna - tym bardziej.

- Dobry wieczór, Lidio Anatoliewna. Szkoda, żeśmy się nie spotkały wcześniej.

Maksymowa mówiła, a jej oczy szybko i uważnie oceniały najpierw twarz Lidki - włączając w to makijaż i uczesanie - a potem jej figurę, fason kostiumu i nawet pantofle; Lidce wydało się, że rozmówczyni zdążyła ocenić nawet stan jej zelówek. Lidka spodziewała się lada moment, że matka Artioma uśmiechnie się i doda: „A czy nie wydaje się pani, że kobiecie *w naszym* wieku nie przystoi narzucanie się ze swoimi przywiędłymi wdziękami siedemnastoletniemu chłopcu?"

- Witam - zaterkotała Lidka, usiłując potokiem słów zbić Maksymowa z tropu. - Niezwykły dzień, bal maturalny - to takie szczęście, kiedy syn kończy szkołę, Artiom jest prymusem, winszuję, zaczyna dorosłe życie, wszystko przed nim, oby mu się poszczęściło.

Gotowe zestawy słów gładko układały się na języku. Lidka

mówiła, Maksymowa patrzyła jej w oczy i grzmiała szkolna orkiestra - amatorska, ale głośna.

Maksymowa wszystkiego się już domyślała. No, może nie wszystkiego, ale domysły były niemniej męczące. Syn, który przedtem nie miał przed nią tajemnic, skrycie spotykał się z jakąś kobietą i fakt, że ta druga mogłaby być jego matką, budził w Maksymowej nie irytację czy wrogość, ale poczucie absolutnej bezsilności, zagubienia i niemal dziecięcej urazy.

Maksymowa bała się tego wieczoru tak samo jak Lidka. Sprowokowała rozmowę, której Lidka wolałaby uniknąć. Spodziewała się, że coś zrozumie, zdoła wyjaśnić, ale zamiast tego zaplątała się jeszcze bardziej, dlatego, że ta szczupła i dość młodo wyglądająca kobieta o surowej twarzy nie powinna była - jej zdaniem - wzbudzić w normalnym młodziku żadnych uczuć, oprócz strachu przed pałą.

Artiom obserwował ich spotkanie z daleka. Podczas tego wieczoru miał odegrać swoją rolę, rozszczebiotana Wika nie odstępowała go na krok, a Tonia Drozd rozgrywała - jak na zamówienie - burzliwy romans z chłopakiem z równoległej klasy. Młodzież wydawała się lekko podchmielona, choć alkohol był absolutnie zabroniony na tym wspaniałym, ogarniającym całe miasto święcie; Lidka setki razy uprzedzała Artioma o możliwych prowokacjach. Nie brać do ust niczego, oprócz lemoniady, a najlepiej w ogóle nie tykać żadnych butelek. I stale być na widoku.

Widziała, jak chłopak podszedł do matki po jej rozmowie z Lidką. O coś ją zapytał, wybierając umyślnie jakiś bezpieczny temat, Lidka jednak doskonale widziała, jak bardzo jest spięty.

Nie usłyszała, co odpowiedziała mu matka. Nie zobaczyła też jej twarzy; Maksymowa poszła do szatni, a Artiom został na miejscu, uśmiechając się nieco sztucznie, a tuż obok już kręciła się Wika, zapraszająca go do auli, gdzie już zaczęto tańce.

Lidce przyszło do głowy, że chłopak czuje się samotny, jak nigdy dotąd, a ten pozornie uroczysty i oficjalny wieczór jest dokładnym modelem idiotycznego świata, w którym przyszło im obojgu żyć - on i Lidka czują z daleka swoją obecność, ale nie mogą zamienić ze sobą ani słowa, żeby nie wywołać złośliwych i wrednych komentarzy. I matka, nękana podejrzeniami, ale nie mająca dowodów. I Wika, skacząca wokół Artioma i demonstrująca wszystkim swoje prawo obejmowania go za ramiona. I Tonia Drozd, która uważa, że huczne tańce z jakimś drągalem dają jej jakąkolwiek przewagę.

Artiom uśmiechał się i ze wszystkich sił starał się powstrzymać coraz bardziej rozentuzjazmowaną i podnieconą Wikę, ale jego uśmiech z każdą chwilą upodabniał się do ponurego grymasu. Był samotny i czuł coraz głębszy strach. I nie był to zwykły strach przed przyszłością, jaki ogarnia pannę młodą na progu cerkwi albo

debiutanta mającego wejść na scenę.

Lidka zacisnęła zęby. Czuła współczucie i tkliwość, które przepełniały ją po krtań. Jakby nie patrzeć, były to uczucia niemal macierzyńskie.

Zrobiła krok przed siebie - i cała sala, rozentuzjazmowane dziewczątka, uroczyście odziani nauczyciele, poruszeni i przejęci rodzice, zastawione stosami kanapek i kręgami butelek z lemoniadą stoły, błyszczące mikrofony, lśniący żółcią pod warstwą pasty parkiet, baloniki i flakony z kwiatami - wszystko to najpierw natarło na nią, a potem przepłynęło obok, poruszając się coraz szybciej, rozmazując w ruchu i gubiąc wyrazistość.

Tuż obok pojawiła się nagle zaróżowiona, obleczona w kapryśny wyraz twarzyczka Wiki. Dziewczyna zaczynała już tracić cierpliwość:

- Tiom, no co, będziemy tu tak stać jak słu...

Urwała nagle, bo Lidka podeszła już dostatecznie blisko, żeby trafić w jej pole widzenia.

- No, młodzieży, jak wieczór? - zapytała Lidka, uśmiechając się szeroko i garbiąc się niemal wewnętrznie pod ciężarem tego banału.

- Dobrze - stwierdziła Wika. - Po prostu wspaniale.

Maksymow milczał.

Jeszcze nie było za późno na to, żeby się wycofać. Wrócić na poprzednie miejsce. Powiedzieć coś w rodzaju: „No, to się bawcie” i przejść ku stołom, gdzie jej koledzy odpoczywają, plotkują i metodycznie dojadają pozostawione przez abiturientów kanapki.

Zamiast tego uśmiechnęła się. Radośnie i wrednie. A cóż ona właściwie chce zrobić? Nic szczególnego. Wszyscy mogą, a ona nie?

- Maksymow, napsuliśmy sobie wzajemnie sporo krwi. Chyba nie odmówisz mi teraz przyjemności zatańczenia z tobą?

Chwila milczenia. Zdumione spojrzenie Wiki - na razie tylko zdumione.

Wszyscy o czymś takim rozprawiali. „Może Maksymow się zakochał w biologicy?” „A może on jej się podoba, więc się mści?” - i pełen satysfakcji chichot, gdyż przy takich założeniach wielce prawdopodobne było przypuszczenie, że dyrektorzyca zakochała się w instruktorze OP, a ten z kolei zapałał miłością do woźnego. Temat ciekawy, więc czemu nie poćwiczyć języków.

Co w tym dziwnego, że na balu maturalnym uczeń zatańczy z nauczycielką?

Rozbawione i nieco zaskoczone twarze natarły na nią i znów się rozmazały. W auli tłoczyły się depczące sobie po nogach roztańczone pary. Amatorski zespół ustąpił miejsca magnetofonowi; wedle osobistego zarządzenia inspektora rejonowego na wszystkich balach maturalnych wolno było grać tylko romantyczną muzykę taneczną, to bal, a nie podskoki, niech młodzież wyrabia sobie smak...

Walc pachniał naftaliną.

Przecisnęli się na środek auli, gdzie było trochę luźniej. Uczniowie rozstępowali się przed nimi, rozpoznając Lidkę.

Maksymow objął ją w talii. W jego drugiej dłoni, wilgotnej i ciepłej, utonęły palce Lidki.

- I raz-dwa-trzy... No, dobrze. Postaraj się nie zgubić taktu.

Pod obcasami ich butów szeleściły pomięte, barwne spirale serpentyn. Przydeptywali krążki cekinów i konfetti. Co prawda, ich taniec nie za bardzo przypominał lotny walc. Było to raczej dreptanie podrostków, ale nie pozbawione swoistego wdzięku i uroku.

- Zwariowałaś - stwierdził, ledwo poruszając wargami.

- Nie jesteś już uczniem.

- A ty...

- Rzucam szkołę. Jeszcze dzisiaj.

Ścisnął jej dłoń tak, że ból musiała pokryć uśmiechem:

- Tak... niech idzie w diabły.

Jego oczy zrobiły się nagle ogromne i wilgotne, jak zalane deszczem reflektory. - Lido...

- Tańcz. Drepczesz jak młody słonik.

Obejmująca ją w talii ręka Artioma grzała ją przez tkaninę marynarki i bluzki. Wydawało jej się, że skromny, nauczycielski uniform lada moment rozpłynie się, jakby przeżarł go kwas. I że ręka Maksymowa dotyka jej nagiej, niczym nieosłoniętej skóry.

* * *

- Przyznam uczciwie, Lidio Anatoliewna, że gdyby pani nie napisała tej prośby, sama bym musiała panią o to poprosić. Tak, oczywiście, podpiszę. I dziękuję.

Dyrektorzyca miała długie, żółtawe paznokcie, na których zostały jeszcze wysepki popękanego lakieru. Z rękawów uszytej zgodnie z wymogami regulaminu marynarki wystawały niemodne już, koronkowe mankiety koszuli.

- Praca w szkole stawia przed nauczycielami wysokie wymagania moralne... a pani, przykro mi to stwierdzić, nie jest pedagogiem. W żadnym wypadku. Nie nadawałam urzędowego biegu licznym skargom rodziców... i nawet uczniów... ale tak czy inaczej, ten rok szkolny był dla pani pierwszym i ostatnim. Niestety. A przy okazji... w nowym cyklu on zechce mieć dzieci. A pani, o ile wiem, w niczym nie zdoła mu pomóc. Jest pani przecież bezpłodna?

Porcelanową podstawkę na ołówki, stojącą pośrodku dyrektorskiego biurka, wykonano na kształt roześmianej głowy

błazna. W niektórych miejscach emalia zdążyła już odpaść, przez co wesoły uśmiech przekształcił się w grymas agonii.

Wyżłobiony czerep. Zamiast mózgu plastykowe rurki flamastrów i długopisów. Po żółtym ołówku łazi mucha.

- Raiso Dimitriewna ja wcale nie jestem bezpłodna. Następnym razem zażądajcie od waszych informatorów odpowiedniego zaświadczenia lekarskiego.

Dyrektorzyca uśmiechnęła się - wysmarowane pomadką wargi rozciągnęły się od policzka do policzka.

Lidka wyszła z gabinetu, patrząc prosto przed siebie. Weszła do toalety, rozejrzała się, czy nikt nie patrzy i wyciągnęła z torebki opakowanie słabego środka uspokajającego.

Gdzieś tam, na dnie świadomości drgnęła myśl - gdyby połknąć wszystkie naraz, nie będzie żadnych problemów.

Obmyła twarz zimną wodą. I uśmiechnęła się do swojego odbicia w pękniętym zwierciadle. Najpierw uśmiechnęła się smutno, potem spokojnie, aż wreszcie uśmiechem wyrażającym pewność siebie.

Schowała opakowanie, nawet go nie rozerwawszy.

Za wiele honoru, Raiso Dimitriewna. Kicham na was z wysokiej dzwonnicy.

* * *

Czekała na Maksymowa o siódmej, ale dzwonek brzęknął pół godziny wcześniej. Akurat wyszła spod prysznica; owinąwszy się szczelnie kąpielowym szlafrokiem i rozpuściwszy związane wcześniej na czubku głowy włosy, poczłapała do drzwi. Tak było jej spieszno, żeby otworzyć, że nawet nie zapytała: „Kto tam?”

- Dziś przeszedłeś nieco wcze...

Dołem pociągnął zimny powiew z korytarza, który przedostawszy się pod poły szlafroka smagnął ją po gołych nogach.

- Mogę wejść? - zapytał krótko szef prezydenckiej administracji, sekretarz stanu, Igor Georgiewicz Rysiuk.

Lidka cofnęła się w głąb mieszkania. Ciasnego niczym szkatułka. Zagracona, niepospr ątana, biedna szkatułka.

Nie doczekawszy się innego zaproszenia, Igor Georgiewicz przestąpił próg. Zalatywał od niego zapach drogich perfum, dobrze wyprawionej skóry i chyba jeszcze koniaku. Mocna woń nie do końca przetrawionego alkoholu.

- Igor, jesteś pijany - stwierdziła Lidka, jakby te słowa mogły ją obronić.

Ktoś zza pleców Rysiuka uważnym spojrzeniem omiótł mieszkanie (włączając w to leżącą na kanapie bieliznę, przerzucony przez poręcz krzesła szlafrok Maksymowa i bałagan na biurku), potem bezgłośnie cofnął się w głąb korytarza, przymykając za sobą drzwi - ale nie

zamknął ich do końca.

- Owszem, jestem pijany - potwierdził Rysiuk zmęczonym głosem. - Jestem tragicznie pijany. Z trzeźwą głową do ciebie bym nie przyszedł.

Usiadł na stole. Myśli Lidki rozbiegły się przerażone, a jej ręce wciąż zaciskały poły szlafroka, choć bardziej ciasno już otulić się nim nie mogła.

- Czemu mnie nie uprzedziłeś? - wymamrotała Lidka.

- Jak, telegramem? - zapytał zjadliwie Rysiuk. - Przecież nie masz telefonu.

Lidka chwyciła wszystko, co leżało na kanapie, zwinęła i wsunęła w otwartą paszczę skrzyni na pościel. Rysiuk siedział, kołysząc się w tył i w przód; niewiele się zmienił zewnętrznie, ale był skrajnie, niemal maniakalnie skupiony. Na jego krawacie, tuż po węzłem, widać było świeżą plamkę tłuszczu.

Spostrzegł jej spojrzenie.

- Wypiłem butelkę koniaku - odezwał się nagle, jakby odpowiadając na nie zadane pytanie.

- Widzę - odpowiedziała cicho.

- Usiądź.

Usiadła na kanapie, ale zaraz się podniosła:

- Jestem u siebie. Proszę mi nie rozkazywać.

- W twoim interesie - Rysiuk zmrużył oczy - leży wyrobienie sobie określonych reakcji na wszelkie rozkazy. Podporządkowanie się. Wtedy będziesz miała szansę.

Stary budzik, który służył jeszcze rodzicom Lidki, odliczał minuty do przyjścia Maksymowa. Zostało ich wszystkiego dwadzieścia cztery. Co prawda, chłopak mógł się oczywiście spóźnić.

Ale niewiele.

Rysiuk znów spostrzegł jej spojrzenie. Uśmiechnął się:

- Przeszkadzam?

- Owszem - odpowiedziała jeszcze ciszej.

Rysiuk wstał i przez długą sekundę miała nadzieję, że odwróci się i wyjdzie. Zamiast tego podszedł do biurka, zepchnął na podłogę papiery - biologiczne konspekty maturzysty Maksymowa - i przez jakiś czas patrzył na uśmiechniętą twarz Andrieja Zarudnego.

- Tak właśnie myślałem.

- Co myślałeś? - zapytała sucho.

- Nieważne. - Wsunął dłonie w kieszenie marynarki. - Zaparz mi kawy, Lido. Mam we łbie taki mętlik, że nie mogę myśleć.

Mimo woli zerknęła na budzik.

- Zdążysz! - warknął Rysiuk. - W ostateczności wyślesz go do łazienki, żeby wziął prysznic albo każesz mu odrabiać lekcje... a my w tym czasie porozmawiamy.

Lidka powoli nabrała powietrza w płuca. I równie powoli je wypuściła.

- Nie tęsknisz do normalnego życia? - zapytał Rysiuk nieco łagodniej i ciszej.

- A jakie życie nazywasz normalnym?

Rysiuk zmarszczył nos. Demonstracyjnie rozejrzawszy się, opadł na kanapę i założył nogę na nogę:

- Chcesz usłyszeć najnowszy kawał? Kierownictwo OP urządziło konkurs dla entuzjastów, chodziło o to, by stwierdzić, kto opracował najbardziej efektywny system szkoleń. Przyjechali budowlaniec, strażak i lekarz. Budowlaniec powiada: „Dla swoich podopiecznych zorganizowałem kurs nauki padania, etapami, z piętnastu metrów bez zabezpieczenia". Strażak: „Ja zorganizowałem dla swoich ludzi kurs szkoleniowy odporności przeciwpożarowej, stopniowo, do piętnastu minut siedzenia w płomieniu". A lekarz: „Ja zorganizowałem swoim pacjentom szkolenie umierania, stopniowo, do piętnastu minut leżenia w zakopanej trumnie". Co, nie śmieszne?

Lidka milczała.

- To jak, zaparzysz mi wreszcie tę kawę? - zapytał łagodnie.

Lidka milczała.

- Nie chcesz na mnie patrzeć? Na fanatyka, łajdaka i gwałciciela... we wszelkich aspektach?

Lidka spięła się wewnętrznie. Kiedyś - teraz jej się wydawało, że było to bardzo dawno - powiedziała chyba Rysiukowi coś takiego. Podobnie obraźliwego. Ciekawe, że o tym zapomniała, a on - szef Administracji - zapamiętał.

- Po co przyszedłeś? Nie masz innych spraw... wagi państwowej?

Rysiuk ciężko wstał z kanapy. Podszedł do biurka i popatrzył na uśmiechniętą twarz Zarudnego. Wzrok Rysiuka był ponury, prawie nienawistny.

- Pewnie ci tak przyjemnie... Podłego spojrzeniem... Zaczęłaś *od jego* syna, potem z pewnością wyobrażałaś sobie, że *on* zajmuje moje miejsce, a teraz uprawiacie miłość we troje.

- Wyjdź - rzekła Lidka cicho.

- Zaraz wyjdę - kiwnął głową. - Zaraz... a pamiętasz wnuczka Mroza? Takiego nieprzyjemnego smarka... pamiętasz go?

- A co, coś się z nim stało? - zapytała po chwili milczenia.

- Nie, nic - odparł Rysiuk głuchym głosem. - Telewizję oglądasz?

- Nie - przyznała uczciwie.

Skwitował odpowiedź ochrypłym śmiechem.

- Patrzę na ciebie... Lidka, Lidka... pamiętasz tamte śmigłowce?

Zacisnęła wargi zjadliwie, jak rasowy nauczyciel.

- Śmigłowce - Rysiuk znów opadł na kanapę i odrzucił głowę w tył, prezentując Lidce swoją wystającą grdykę. - Byłaś... byliśmy.

Lidka, już po nas. Przepadliśmy z kretesem. Podle się czuję. Zaparz mi tej kawy.

Przez jakiś czas patrzyła na niego i zastanawiała się, co zrobić.

- Igor...

- Proszę cię. - Podniósł na nią wilgotne, błyszczące gorączkowo oczy. - Nie spałem dwie noce. Zrób mi kawę. Potem sobie pójdę.

Odprowadzana jego wzrokiem przeszła do kuchni. Do przyjścia Maksymowa zostało dziesięć minut; mieliła kawę i usiłowała przekonać samą siebie, że właściwie nic strasznego się nie dzieje. Cóż, szef Administracji sobie podpił i teraz spotkają się z Artiomem. Nic wielkiego. Przeszkodzić związkowi Lidki z Maksymowem nie zdoła ani Prezydent, ani jego Administracja i całe OP razem wzięte.

Kiedy wróciła do pokoju, Rysiuk stał przed otwartym oknem i zamyślony grzebał w doniczce z kaktusem. Rzucał w dół drobne kamyczki i grudki ziemi z piaskiem.

- A-a-a... otóż i on.

Lidka spojrzała mu przez ramię. Podwórzem szedł, wymachując teczką, Maksymow. Szedł nie kryjąc się, już od dawna tak przywykł chodzić, za drzewami powarkiwały samochody, gdzieś niedaleko brzęczał tramwaj; poza tym w ten czerwcowy dzień nie było słychać żadnych innych dźwięków - a mimo to wydawało się, że każdy krok młodzieńca układa się w rytm niesłyszanego przez nich marsza.

Lidka mimo woli się uśmiechnęła. Nawet w tej sytuacji miło było patrzeć, jak idzie; wywołane niespodziewaną wizytą Rysiuka napięcie powolutku tajało, cofało się i rozpływało w nicość.

- Podobny do mojego chłopaka - stwierdził. - Ciekawe, jakby zareagował, gdybym dowiedział się, że on kręci ze swoją nauczyciałówką...

Ostatnie słowo potworek dość jawnie łączyło w sobie „nauczycielkę” „ciało” i, jałówkę”. Lidka uśmiechnęła się.

- Ale nie dowiedziałbyś się, tatusku. Wątpię, żeby twój chłopak powierzał ci swoje sekrety. Kiedyś go widział ostatnio?

Rysiuk odwrócił się ku niej, chybnął się i Lidka poczuła strach, że wypadnie na zewnątrz.

- Widziałem go... Widziałem, Lido. Ale nie wstawiłem go do spisu uprzywilejowanych. Nie wstawiłem. Tylko osoby publiczne. „Umówione opóźnienie” skrócono do minimum. Gdybyś miała dzieci. Lido... Zrozum. Gdybyś miała wybór - puścić swojego ucznia ze wszystkimi, jak leci, czy w ramach „kontyngentu”... Co byś zrobiła?

Podchodząc do budynku, Maksymow podniósł wzrok. I niemal się potknął; szybko przeniósł spojrzenie na dwa czarne samochody przy bramie, na nudzących się i siedzących na ławeczce mężczyzn w garniturach... i znów spojrzał w okno Lidki.

Odsunęła Rysiuka w głąb mieszkania i pomachała gościowi

dłonią. Jakby mówiła - właź, czemu stanąłeś?

- Lido - odezwał się głucho Rysiuk. - Ty mnie nie słuchasz. A to bardzo ważne.

- Ważne? - machinalnie powtórzyła Lidka. Na schodach lada moment powinny zabrzmieć lekkie, młodzieńcze kroki.

- Ważne - Rysiuk łyknął z kubka. - Podła ta twoja kawa... Lido, późno zaczęliśmy. Prawie za późno. Brak nam czasu... gdybyż tak kilka cykli wcześniej... rozciągnąć wszystko, zacząć od drobiazgów, bez gwałtów i używania siły... może byśmy zdążyli. Plotę bzdury. To niemożliwe. Apokalipsa nie czeka...

Rozległ się brzęk dzwonka.

- Wybacz - zwróciła się Lidka do Rysiuka.

- Ty też mi wybacz - odparł po chwili milczenia szef Administracji.

Lidka już szła ku drzwiom.

- Wejdź, Artiom... to mój niegdysiejszy klasowy kolega, Igor Georgiewicz. Wpadł ze względu na pamięć starych, dobrych czasów.

- My wspominamy przeszłość... - stwierdził Rysiuk, wylewając resztki kawy pod kaktus. - A przed wami przyszłość... Hulaj, pókiś młody! - wyciągnął dłoń, jakby chciał musnąć nią Maksymowa po włosach. Młodzieniec się cofnął. Rysiuk wycofał rękę i uważnie obejrzał swoją dłoń:

- Krótką mam linię życia... Dobra, Lido. Kiedy twojego chłopaka trzeba będzie urządzić na uniwersytecie, zadzwoń do mnie - jego przecież nie przyjmą, ze względu na ojca. Jak będzie trzeba, zadzwoń - ale do mnie, nie do rektora. On i tak potem zadzwoni do mnie... w sumie niezręcznie to wychodzi. No, bądź zdrowa.

Pocałował ją w policzek - Lida postanowiła się nie uchylać. Rysiuk machnął ręką i wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi.

* * *

...jesteśmy oszukiwani. Spisy osób uprzywilejowanych do ewakuacji poza kolejnością dawno zostały poprzerabiane. W czasie „umówionego opóźnienia" zostaną wywiezieni nie tylko najwyżsi urzędnicy, ale i ich rodziny. Prezydent Mróz osobiście wpisał na listę swojego syna, wnuków, synową... A nasi synowie i wnuki stracą bezcenny czas - zostaną na pastwę trzęsień ziemi, glef i ścisku przed Wrotami. Prezydent Mróz zdradził ideały, które swego czasu wykorzystał, żeby zdobyć władzę...

[Ulotka]

* * *

Namiocik był nowiutki i pomarańczowy - pachniał gumą i stoiskiem z artykułami sportowymi. Nikt nigdy jeszcze w nim nie spał.

Nagumowana podłoga nie pamiętała żadnych miłosnych westchnień.

W dach, pokryty polietylenową płachtą, cichutko stukały krople deszczu. Leżeli objęci, odciąwszy się całkowicie od świata zewnętrznego. Gdyby za ciasno zasznurowanym wejściem zaczęła się teraz apokalipsa, i tak by nie rozłączyli splecionych ramion.

Wczoraj udało im się wydostać z miasta, omijając posterunek OP. Przedzierali się przez błocka, jakieś jary, przez las - i pod koniec drogi Lidka była wyczerpana jak po najbardziej intensywnym marszu na orientację, ale przepełniało ją absolutne szczęście.

Wybrali miejsce na nocleg - właściwie to wybrał je Maksymow - na szczycie niewielkiego wzniesienia, gdzie nikły wiaterek odpędzał komary. Artiomowi nie podobało się to, że namiocik był czerwony. Taki namiocik łatwo spostrzec z pokładu śmigłowca; Lidka jednak, ziewając potężnie, stwierdziła, że tamci mają inne zajęcia. Akurat można by pomyśleć, że celem istnienia lotnictwa OP jest wyszukiwanie po lasach turystów uciekinierów... A jutro uciekniemy jeszcze dalej.

Przyśnił jej się helikopter. Ryczące straszydło, spod którego brzucha zwisał, jak jakiś paskudny flak, Prezydent Mróz.

A potem do namiotu wpełzł na czworakach Maksymow i sen Lidki się ulotnił, jakby go nigdy nie było.

Dotknięcia. Rozchełstana sportowa kurtka, trykotowy podkoszulek gdzieś w okolicach podbródka. Goła pierś chłopaka, szeroka i gładka niczym stół. Jego podbródek pokryty nieoczekiwanie miękkim puchem, jego wargi i jego łaskoczący oddech. Lidka z całej siły targnęła nogą, żeby ostatecznie zrzucić sportowe spodenki i wszystko, co miała na sobie; w uchyloną klapą wejściową wleciał komar, który zawył radośnie na widok takiej ilości nagiej, gorącej i prawie parzącej skóry.

Przygnietli go mimochodem.

Potem na zewnątrz lunął deszcz. Maksymow troskliwie otulił Lidkę w piżamę i zapakował do śpiwora. Ułożywszy wygodnie głowę ma jego ramieniu, pomyślała, że nie może go stracić. Gdyby coś takiego się stało, natychmiast zakończyłaby swoje rachunki z życiem; myśl okazała się tak nieznośną, że uznała za konieczne zapytać:

- Tiom, jesteś pewien, że mnie nie rzucisz dla jakiejś młodziutkiej...

Urwała. Ręce Maksymowa stężały:

- Nie mów głupstw... Nie kuś Boga.

Długo jeszcze leżeli, wsłuchując się w szum deszczu i swoje oddechy.

Jeszcze przed dwoma dniami dla obojga ważne było, czy Maksymow dostanie się na uniwersytet, czy nie. Jego dokumenty, dzięki poparciu Rysiuka, przyjęli, a główny egzamin - z biologii

kryzysów - zdał celująco.

Ale jego wypracowanie ścięli.

Przedwczoraj ogłoszono wyniki; Lidka długo stała przed papierową płachtą, na której w długim szeregu nazwisk był krótki komunikat: „Maksymow - 2”. Nie można rzec, żeby to nią wstrząsnęło - kiedy chłopak wyliczył jej tematy, jakie zaproponowano kandydatom, w jej duszę wkradło się złe przeczucie.

I oto się sprawdziło.

Opuściła gmach uniwersytetu; ktoś ją nawet pozdrowił, jakaś kobieta w jej wieku, Lidka odpowiedziała machinalnie, ale nie mogła sobie przypomnieć, kto to był. Znalazłszy się na ulicy, w cieniu obsypanych pyłem lip i topoli poczuła nagłą ulgę - a bodajby ich wszystkich diabli wzięli. Wolność. Absolutna wolność. Egzaminy zostały za nimi - teraz trzeba zająć się drobiazgami - spakować plecaki i wydostać się z miasta...

Nie - o plecakach pomyślał Maksymow, mniej więcej w godzinę później.

Lidka wyciągnęła z banku resztki swoich oszczędności. Razem poszli do magazynu z artykułami sportowymi i kupili namiot. Dwa plecaki znalazły się w mieszkaniu Maksymowa. Matce powiedział, że jedzie z chłopakami na wycieczkę; pozostałą połowę dnia przeznaczyli na gorączkowe przygotowania.

W radio opowiadali o nowej technologii szkolenia - specjalistom z jakichś zakładów produkcyjnych udało się przygotować nadmuchiwane atrapy Wrót, które bardzo łatwo przenosi się z miejsca na miejsce za pośrednictwem śmigłowców. W ten sposób uczeni zyskali stuprocentową pewność i wiarygodność - podobnie jak podczas prawdziwej ewakuacji, nikt nie wie, gdzie znajdą się Wrota i tylko informacja ze sztabu OP odsłoni tę tajemnicę.

Lidka nie potrafiła porządnie spakować plecaka. Nigdy zresztą nie wędrowała nigdzie pieszo. Maksymow miał jakieś doświadczenie turystyczne; gdzieś tak koło północy uporali się z zadaniem, choć mieszkanko Lidki wyglądało jak po *mrydze*.

Lidka ocknęła się, gdy w namiociku zrobiło się duszno. Odetchnęła głębiej - i natychmiast poruszył się Maksymow. Widać od dawna już nie spał.

- Co, ręka ci zdrętwiała?

- Nie...

- Która godzina?

- Nie mam pojęcia.

- Deszcz się skończył. Tiom, wyjdę i rozejrzę się.

Rozsznurowała klapę wejściową. Czyste powietrze było słodkie i wcale nie zimne; Lidka ostrożnie wyjrzała na zewnątrz.

Noc była jasna, choć niebo wyglądało na zaciągnięte chmurami.

Świta, pomyślała Lidka - ale się pomyliła.

Podniosła wzrok w górę - i zamarła z otwartymi ustami.

Po niebie płynęły barwne dymy. Jaskrawe i świecące, tam, gdzie za horyzontem zostało miasto, wznosiła się coraz jaśniejsza łuna.

- Artek? To pożar?

Maksymow stał już obok. W jego szeroko otwartych oczach odbijały się kolorowe chmury.

- To... uspokój się, Lid. To nic. Z pewnością jakieś wielkie ćwiczenia.

Przełknęła ślinę. Owszem, o czymś takim mówili wczoraj w radio. Wielkie, ogólne ćwiczenia, pięć rodzajów sygnałów, pełna imitacja...

- Jakie to szczęście, że zawaliłeś egzaminy. Udało nam się i uciekliśmy.

Maksymow uniósł ramiona. I najeżył się, bo wiatr był wilgotny.

- Myśmy uciekli, a oni tam zostali. Mama, Kostia i wszyscy twoi... biegają, jak barany. „Pełna imitacja", kurczę. Nie zdziwiłbym się, gdyby dla stworzenia odpowiedniego nastroju zrzucili im jakąś bombę...

Lidka spochmurniała. W jej piersi drgnęła zimna żmijka i ześlizgnęła się do żołądka. To nawet nie był strach - tylko odraza.

- Nie bój się - mruknął Maksymow. - Niech idą wszyscy do diabła!

Lidka objęła go za ramiona - i nagle spostrzegła, że chłopak przerastają o pół głowy.

On ciągle rośnie. Dawno już wyrósł ze szkolnego mundurka. I być może, wyrośnie i ze szkolnej miłości...

Tym razem myśl była zupełnie spokojna, trzeźwa i pozbawiona wszelkiej egzaltacji.

Dobrze, że nie mógł zobaczyć jej twarzy

* * *

Sztab główny OP wyraża współczucie krewnym i przyjaciołom zabitych. Podjęto decyzję o pieniężnej rekompensacie dla...

[Telewizyjne wystąpienie skierowane do obywateli z powodu wydarzeń z 2-go sierpnia 18-go roku]

...w najlepszym razie poważne błędy. W jak najkrótszym czasie odizolować grupę instruktorów i inspektorów, którzy znajdowali się w rejonie Placu Pocztowego od szóstej dwadzieścia do siódmej zero zero. Odtworzyć protokoły rozmów ze sztabami. Rozpocząć oficjalne śledztwo przeciwko dowódcy wojsk inżynieryjnych, których działania doprowadziły w końcu do...

[Wewnętrzny okólnik Sztabu Głównego OP, 3-go sierpnia 18-go roku]

...nie około tysiąca ludzi, jak powiedziano w oficjalnym

komunikacie, a przynajmniej pięć tysięcy zabitych (nie licząc rannych). Chowają ich na rozmaitych cmentarzach, a nawet poza granicami miasta, na dalszych terenach. OP szuka spisków, a tymczasem za tę całą potworną prowizoryczną apokalipsę - odpowiada OP i osobiście Prezydent...

[Ulotka]

I spytał Pan: „Czemuż Wrota świecą pustkami?" „Nie ma kogo ratować, Panie - odpowiedziano mu. - Wszystkich zaszkolili na śmierć.

(Dowcip)

* * *

Byczyli się na trawie i gapili w niebo. Obłoki płynęły jakby podwójnym rękawem - pierwszy tworzyły zgniecione miotełki trawy. Drugi rękaw był wyżej - zielone korony sosen.

- Artiomku?
- Co?
- Domyśl się.
- Teraz? Na gołej ziemi?

Śmiech.

Po niebie niczym żywa siatka płynęło ogromne stado ptactwa. Precz od miasta.

Rozdział 10

Był upał. Nad resztkami rozpływającego się asfaltu unosiła się przejrzysta mgiełka; pogorzelisko pachniało jeszcze dymem i gdzieniegdzie brodzili po nim nieustraszeni, senni maruderzy.

Dom przechylił się na bok. Mieszkańcom nie udało się wrócić do własnych mieszkań, niektórzy dostali odszkodowania, a inni nie. Ale jeżeli wziąć pod uwagę, jakie straty poniosły towarzystwa ubezpieczeniowe podczas próbnej apokalipsy...

W niektórych mieszkaniach zagnieździli się na własne ryzyko dzicy lokatorzy. Każdemu z nich dawano do podpisu papierek: lokator świadom jest zagrożenia i jeżeli zwali mu się na głowę sufit, grzebiąc go pod ruinami - to jego osobisty problem. Chce przeżyć, niech przenosi się do baraku.

Dom jednak na razie stał - bez światła i wody; na podwórku ustawiono rzędem drewniane wygódki. W sumie dziewięć sztuk - i zapach był odpowiedni.

Odlana z brązu tablica na fasadzie domu stała się czyimś łupem. Najpewniej podwędzili ją zbieracze kolorowych metali. Wielu ludzi żyje ze zbierania odpadów. Cóż robić, takie czasy...

Lidka siedziała na ławeczce, która nie wiadomo jakim sposobem ocalała z pogromu i zmrużywszy oczy, przyglądała się żuczkom kowalikom, które coś tam kombinowały w szczelinie pod kamieniem.

O niczym nie myślała. W głowie miała pustkę. Jakby otuliła ją niewidzialna błonka.

Ktoś podszedł od strony bramy. Przez chwilę przestępował z nogi na nogę, jego znoszone już sportowe pantofle zostawiały wzorzyste ślady w różowawym, ceglastym pyle.

- Zestarzałaś się - powiedział ów ktoś.

Lidka podniosła głowę. Przed nią stał czterdziestoletni Sławek Zarudny - co prawda, można mu było dać z pięćdziesiątkę.

- Ty też nie wyglądasz najlepiej - zmusiła się do odpowiedzi.

- Czego chcesz, Lido?

- Daj mi fotografię - ukryła pod ławeczką stopy w mizernych klapkach. - Fotografię ojca, wiem, że zostały ci plakaty.

- A gdzie masz swoją? - zapytał po chwili przerwy tęgawy wujek, który był kiedyś chłopczykiem Sławeczkiem.

- Spaliła się - odparła krótko Lida. - Daj.

- A po co ci ona? - spytał Zarudny z nagłą złością w głosie. - Po co? Masz sumienie... po tym wszystkim, co zrobiłaś? Po tym, coście zrobili z Rysiukiem? Zdradzałaś nazwisko ojca... nie raz i nie dwa! Najpierw wzięłaś je sobie... dzięki oszustwu! Potem ty... wy... z jego

nazwiskiem na ustach... te wszystkie niegodziwości! Wy, zabójcy, kaci, łajdaki, treserzy... w imieniu ojca... domy dla wariatów... w imieniu ojca! Egzekucje opornych - w imieniu ojca! Dla świetlanej przyszłości. Dla bezkrwawej apokalipsy! A popatrz teraz... rozejrzyj się dookoła... I co, dopięliście swego? Udało wam się osiągnąć bezkrwawą ewakuację? Udało się?

Na całym podwórzu, na całej ulicy nie było ani jednego człowieka i nikt się nie odwracał na dźwięk rwącego się głosu Zarudnego. Nikt nie słuchał - ze zdziwieniem czy bez.

Lidka zmarszczyła brwi:

- Nie krzycz. - I dodała po chwili namysłu: - Ja ciebie nie oszukiwałam. Ty sam pierwszy wpakowałeś mi łapę pod sukienkę. Pamiętasz?

Zarudny umilkł nagle, jakby ktoś go oblał zimną wodą. I spojrzał na Lidkę z nieukrywaną już nienawiścią:

- Ty... wiedziałem, wiedziałem...

- Ja ciebie nie oszukiwałam - stwierdziła Lidka łagodnym głosem. - Kochałam cię, Sławku... W każdym razie tak mi się wydawało.

- Przeklęty niech będzie dzień, w którym cię zobaczyłem - odparł Zarudny gorzkim głosem. - Ciebie, ścierwo... Nie dam fotografii. Idź swoją drogą... i nie śmiej tu więcej przychodzić, słyszysz?!

Lidka patrzyła mu w twarz i nie cofnęła spojrzenia.

- Nie śmiej tu przychodzić - powtórzył Sławek nieco ciszej. - Ty... jesteś bydlęciem. To ty z tym swoim Rysiukiem posadziliście na tronie tego szalonego bałwana, fanatyka... tego Mroza. To ty. Wiedziałaś, czym to się skończy... Oni wszyscy...

- Nieprawda - odpowiedziała Lidka. - Nigdy nikogo nigdzie nie sadzałam, Sławku, niczego takiego nie robiłam. A ty związałeś się z Werwerowem. Z zabójcą twego ojca.

Twarz Sławka nagle pociemniała:

- Brak dowodów. Niczego mu nie udowodniono. Nic nie wiadomo. Metody śledztwa... Lido, siedzisz po uszy w gównie. W gównie i krwi.

- Nie - stwierdziła Lidka cicho. - Przestań histeryzować i daj mi fotografię.

- Wynoś się,

- Nie.

Sławek milczał, a jego ramiona unosiły się i opadały. Żeby tylko nie dostał zawału, zaniepokoiła się Lidka. Na takim upale...

- A gdzie twój chłoptaś? - zjadliwym tonem zapytał nagle Zarudny. - Gdzie ten twój uczniak, taki miły i słodziutki?

Lidka milczała. Lekki wiaterek przynosił od strony wygódek nieznośny smród amoniaku.

* * *

Rankami bolał ją grzbiet i puchły jej powieki. Pod wieczór bolały ją oplecione żylakami nogi; kupiła w drogerii opakowanie chny i zamiast siwych włosów w jej uczesaniu pojawiły się teraz jaskrawo czerwone pasma.

Ostatnia apokalipsa kosztowała ją kilka lat życia. Co wcale nie było dziwne, jeżeli uwzględnić to, jaka to była apokalipsa.

Możliwe, że przeliczył się Rysiuk. Możliwe, że przeliczyli się Mróz i sztab OP, ale sprężyna, napinana z wysiłkiem w oczekiwaniu na czas próby, pękła znacznie wcześniej - i mało kto nie poczuł skutków.

Sierpniowy atak paniki z licznymi ofiarami śmiertelnymi zrodził rozłam wewnątrz OP, właściwie lepiej byłoby rzec, że tylko go sprowokował, ponieważ napięcia zrodziły się znacznie wcześniej. Ujawniono mnóstwo brudów, okazało się, że sam Mróz z grupką uprzywilejowanych oficjeli dawno już wprowadził poprawki w spisy osób przeznaczonych do ewakuacji w pierwszej kolejności, umieszczając na nich wszystkich swoich krewnych. Czas „umówionego opóźnienia" rozdęto do dziewięćdziesięciu minut. Pieniądze, przeznaczone na szkolenia, trafiały do najrozmaitszych kieszeni.

Zaczęły się przerwy w dostawach chleba i elektryczności. W mieszkanku Lidki i Artioma całymi dniami brakowało światła, na co zresztą uskarżali się mieszkańcy połowy miasta. Oboje chwytali się rozmaitych prac sezonowych, aż wreszcie latem dziewiętnastego roku cyklu Maksymow dostał się na uniwersytet.

[Obywatele, których uznawano za zdolnych do zakłócania ewakuacji byli chyłkiem internowani, przy czym krąg takich ludzi nieustannie się poszerzał. Początkowo byli to psychicznie chorzy, alkoholicy i recydywiści; w tym czasie szeroko już rozpowszechniono termin „nieprzydatność społeczna". W dwudziestym roku cyklu wystarczyło, że kogoś okrzyknięto „nierobem", a wszyscy odpowiadali chórem: „Do internatu go!"].

Zmęczeni ciężkimi egzaminami wstępnymi całymi dniami od rana do wieczora wylegiwali się na plaży. Maksymow od czasu do czasu odchodził, żeby poskakać z trampoliny albo pograć w siatkówkę. Lidka wstrzymując oddech patrzyła, jak skacze ku słońcu opalony na brąz i krzepki, urodziwy chłopak; jak ze wszystkich leżaków i kocyków popatrują nań uważnie dziewczęce oczy.

W tym czasie nosiła już jednoczęściowy kostium kąpielowy. Bardzo jednoczęściowy. I wolała trzymać się w cieniu.

[Na starych barkach, wyprowadzonych daleko w morze, zorganizowano obozy dla internowanych; uważano, że zgodnie z prawem populacyjnym, dla zgromadzonych w jednym miejscu otworzą się oddzielne Wrota. „System barek" nie dotrwał do apokalipsy - podczas któregoś sztormu po obozach przetoczył się bunt;

strażników, którzy nie zdążyli przyłączyć się do więźniów zrzucono w morze, i na łodziach, zajętych jachtach albo na tratwach pod żaglami, wszyscy więźniowie się rozpłynęli, kto gdzie chciał i mógł - głównie za granicę. Tajemnica „internatów" stała się powszechnie znana. OP była już w tym czasie kompletnie zdemoralizowana przez łapówki i wewnętrzne spory.]

Maksymow spędzał teraz wieczory wśród studenckiej braci; Lidka towarzyszyła mu na tych spotkaniach raz czy dwa. Pośród młodziutkich dziewcząteк wyglądała dość niezwykle - jakby była czyjąś mamą, traktowano ją też odpowiednio. Artiom czerwienił się i bladł; ale nie chciał się przyznać, że jej obecność go krępuje. Ona zaś wcale go o to nie pytała - po cóżby miała go daremnie dręczyć?

[Prezydent Mróz miotający się pomiędzy przeciwstawnymi partiami i frakcjami zapił się na śmierć; ostatnią rozumną decyzją byłego wojskowego pilota przed ostatecznym osunięciem się w szaleństwo była decyzja o pozbyciu się Rysiuka.]

Zwykle czekała na Maksymowa około północy i doczekawszy się, wynagradzała sobie samotny wieczór. Właściwiej byłoby rzec, że to on ją wynagradzał; biegłość w sztuce miłości przychodziła mu łatwo i naturalnie, nie był już w łóżku nowicjuszem - był mężczyzną, taktownym i delikatnym, niespożytym i namiętnym; obejmując go, Lidka mściwie wspominała twarze wszystkich tych zakochanych w nim dziewcząteк.

A potem poczuła odeń obcy zapach. Jego skóra pachniała lekką wodą kwiatową, z jego włosów niosła się woń obcej skóry. Lidka z trudem się powstrzymała przed zatkaniem nosa.

[IgorGeorgiewicz Rysiuk w wieku lat trzydziestu siedmiu został aresztowany, postawiony przed sądem i uznany za winnego popełnienia całego bukietu najcięższych i najbarwniejszych artykułów kodeksu karnego. Skazano go na śmierć i rozstrzelano latem dwudziestego roku, dziesięć miesięcy przed apokalipsą. Proces sądowy transmitowano we wszystkich możliwych środkach masowego przekazu; Lidka dowiedziała się o jego wyniku w tydzień po wykonaniu wyroku.]

Tak czy owak przeszła jesień, zima, nastąpił maj, a Lidka i Maksymow wciąż byli razem. Apokalipsa drugiego czerwca zastała ich w jednym łóżku.

Dopiero przed samymi Wrotami - wcześniej były potworne wprost przekupstwa, ataki przez nikogo nieodpieranych stad glef, przez nikogo nie kierowany potoku ludzi, niemy eter, chaos i panika - dopiero przed samymi Wrotami ich dłonie rozdzielił napór tłumu.

* * *

Nowy cykl - nowe życie.

Sławek odszedł, a Lidka została na ławeczce. Wiatr na szczęście zmienił kierunek, unosząc natarczywy smród wygódek w stronę dziecięcego placyku zabaw.

Powiadają, że po trzeciej *mrydze* człowiek znów się czuje dzieckiem. Ale po drugiej - tak mówią wszyscy - przychodzi starość.

Podniósł ją ból w plecach i w sercu. Wlokąc nogi, poczłapała po różowym jak puder pyle; autobusy jeździły rzadko, ale kursowały. Wzdłuż ulicy widać było pordzewiałe wraki samochodów; w odpowiedzi na jej podniesioną rękę zatrzymał się wóz na żebrowanych, samochodowych oponach, zaprzężony w pięknego, choć kiepsko utrzymanego gniadego ogiera.

- Dwie kartki na cukier - zaproponowała Lidka. - Do kempingu.

Woźnica, wąsaty, zakurzony i krzepko zbudowany, z zadowoleniem kiwnął głową:

- Ładuj się, paniusiu...

Pięknym słowem kemping nazywano zwykły obóz dla tych, których los pozbawił dachu nad głową. Było to miasteczko namiotów, przesyconych dymem z ognisk i przepojonych zapachem tytoniu i moczu. W równych rzędach stały tam szare namioty wspólne, poustawiano też bez wyboru namioty pojedyncze, turystyczne lub wojskowe, jak się komu trafiło.

Na skraju obozowiska - przy samym nadmorskim urwisku - stała niegdyś oranżeria, a teraz brudny, pomarańczowy namiocik, w którym kiedyś Lidka z Maksymowem przeczekiwali deszcz.

Przy wjeździe do obozu, pod zbitym z desek domkiem komendanta zobaczyła pstrokaty samochodzik na pozamiejskich numerach rejestracyjnych, z którego rozdawano dary pomocy społecznej. Lidka podeszła bliżej; dziwna rzecz, ale zdążyła już zapomnieć o tym, że na świecie bywają jaskrawo pomalowane samochodziki, że jest margaryna w natłuszczonej folii i suchary w polietylenowej folii.

Samochodzik ostro kontrastował ze wszystkim, co go otaczało; kierowca, czarniawy chłopak w niebieskim mundurze przecierał szmatką przednią szybę. Przecierał z odrazą, jakby się bał, że wszechobecny ceglasty pył jest zaraźliwy. Jakby ten pył symbolizował nędzę, smutek i beznadzieję.

Lidka przeszła obok; i tak nie miała talonów na dary z pomocy.

Bała się, że nie zastanie Maksymowa, ale na szczęście był na miejscu. Lidka najpierw zobaczyła jego plecy. Szerokie, z rzędem wystających kostek kręgosłupa, opalone, z równomiernie pracującymi mięśniami: Maksymow rozpiłowywał resztki desek z czyjegoś płotu.

- Lida? Przywiozłem drewno do palenia...

- Wspaniale - odpowiedziała wesoło, jakby nie zauważając jego rozbieganych oczu.

Przed namiocikiem stał piecyk ze znaleźnych cegieł. Pośrodku tego bezładu zabawnie wyglądał serwis kuchenny - frywolny, piękny i w groszki. Te deski i tak by zbutwiały - pomyślała Lidka obojętnie.

- Pięknie... zagrzejesz mi herbaty.

Herbatę mieli prawdziwą. Swego czasu wynieśli ją z rumowiska jakiejś restauracji. Jak rabujący wszystko co się da maruderzy.

- Lida... jest sprawa.

- Tak? - zapytała umyślnie niedbałym głosem

- Tak. A ty... gdzie byłaś?

- U Sławka Zarudnego - odpowiedziała po chwili milczenia. - Chciałam wziąć od niego fotografią Andrieja... Ale mi nie dał.

- A to ci bydlę - zdziwił się Artiom. Pomilczał chwilę i dodał:

- Lido, a ty tego Andrieja kochasz do tej pory?

- Kocham ciebie - odpowiedziała z westchnieniem. - A jego... wspominam. Pojmujesz różnicę?

- A mnie też będziesz wspominać?

Lidka podniosła wzrok na jego opaloną, wyrazistą i bardzo już dorosłą twarz. Twarz swojego rówieśnika.

- Tiom... ty co?

- Nic, nic - uśmiechnął się przepraszająco. - Źle się wyraziłem. Przepraszam. Mówię głupstwa.

Nie spuszczała zeń wzroku.

- Lido, jest taka sprawa... Werbują ludzi do pracy za granicą. Budowlańców, robotników rozmaitych specjalności...

Lidka natychmiast wszystko zrozumiała. Uciekła wzrokiem w bok; płócienne boki rudego namiotu to wydymały się od wiatru, to opadały. Namiot wydawał się oddychać.

- No... W ogóle to chciałbym... rozumiesz, chciałbym się zgłosić... dopóki jest taka możliwość.

„A ja?" - już miała zapytać Lidka, ale się powstrzymała.

- Lid... co ty na to?

- A zapytasz o mnie? - uśmiechnęła się z przymusem.

Maksymow uciekł wzrokiem w bok:

- Oni biorą... tylko z młodszego pokolenia. Nikogo więcej. Pytałem specjalnie... Ale, być może jakimś innym kanałem? Jesteś przecież znakomicie wykwalifikowaną specjalistką... może potrzebni im uczeni, wykładowcy...

Lidka uśmiechnęła się ze znużeniem.

Przez pewien czas milczeli; obóz też milczał. Był to zadziwiająco cichy i milczący obóz; słychać było tylko równomierne postukiwanie siekiery, brzęk much i monotonny warkot motoru, dolatujący gdzieś z daleka. A ludzie milczeli. Ani śmiechu, ani płaczu, ani podniesionych głosów.

W mieście nie było rodziny, która nie poniosłaby strat.

Po tamtej stronie apokalipsy zostali matka i brat Artioma.

Zginęli Timur i jego żona Sania. Janeczka została sierotą; Lidka wiedziała, że matka każdego wieczora modli się przed pociemniałą i osmaloną ikoną. I każdy raz pyta Tego, którego wizerunek namalowano na desce: dlaczego?! Dlaczego właśnie oni, młodzi?!

- Artiom, a uniwersytet?

- Jaki uniwersytet? - zapytał Maksymow szeptem. - Jakaż może być nauka... po czymś TAKIM?

- Podniesiemy się - odparła Lidka, ale nie za bardzo pewnym głosem.

- Podniesiemy się - po chwili przerwy potwierdził Maksymow. - Ja wrócę do ciebie. Za kilka lat. Albo zabiorę cię tam... jak się jakoś urządzę.

Rude boki namiociku podnosiły się i opadały.

- Już się zaciągnąłeś? - zapytała Lidka wprost.

Maksymow przełknął ślinę. Oblizał wargi. Popatrzył na nią jak zagoniony w ciasny kąt pies, jak wtedy, przy tablicy, kiedy się poznali.

Niewątpliwie powinna była się uśmiechnąć. I poklepać go po ramieniu. I zapewnić go, że oczywiście, to najlepsze wyjście, za kilka lat zdoła wrócić albo zabrać Lidkę do siebie. I wtedy się pobiorą, będą żyć spokojnie i szczęśliwie, a potem umrą, być może nawet tego samego dnia.

Zacisnęła zęby. Wiedziała, że wszystko tak właśnie się skończy, ale nie sądziła, że to będzie akurat dziś. Właśnie dziś, w ten bardzo upalny dzień, wśród brzęku much.

Towarzyszyło temu wrażenie, jakby ktoś uderzył ją młotem pod mostek.

* * *

Jeden dzień przed wyjazdem Maksymow przyniósł jej ogromną fotografię Andrieja Igorowicza Zarudnego. Z tych plakatów, które wydrukowano jeszcze w przedostatnim cyklu. Była to kopia fotografii z jakiegoś czasopisma, która leżała kiedyś u Lidki pod szkłem na stole; wycięte zdjęcie spłonęło razem z wynajmowanym kiedyś przez Lidkę mieszkaniem.

- Skąd ją wziąłeś?!

- Od Jarosława Andriejewicza.

- Jak to, dał ci tak po prostu?

Maksymow uśmiechnął się drapieżnie:

- Zapytałaś, to powiedziałem, skąd ją wziąłem, Lido. Co prawda, on nie bardzo miał ochotę ją dać.

Lidka wyobraziła sobie całą scenę - przechylony dom, posiwiały Sławek stojący na progu starego mieszkania, a przed nim ten rosły, barczysty i pewny siebie chłopak.

- Ty co, biłeś się z nim?

- Akurat miałbym się z kim bić - beznamiętnie odparł Maksymow. - On... no, krótko mówiąc, stchórzył.

Lidka oblizała wargi.

- Atriom... a jak pójdzie na milicję?

Maksymow znów się uśmiechnął, tym razem pobłażliwie:

- Lido, coś ty? Jaką milicję? Teraz?

Lidka wzięła w dłonie stary, pachnący pyłem rulon. Gdy go rozwinęła, zobaczyła dawny uśmiech Andrieja Igorowicza, choć barwy oczywiście już wypłowiały.

Zarudny był teraz młodszy od Lidy Sotowej. No, przynajmniej wyglądał młodziej.

* * *

...puste powłoki. Istoty bezmózgie i bezduszne. Z taką opinią zgodzi się każdy, kto je widział... Ale oto apokalipsa się kończy. Ludzie ze ssakami i ptakami skryli się we Wrotach, a zwierzęta z niższych szczebli ewolucyjnej drabiny przyczaiły się, gdzie które mogło i jakoś przeżyty piekło na ziemi... A glefy, te które zostały przy życiu i zdołały się nasycić, wracają we wzburzone fale morza. Pokrywają się błonami i przemieniają w poczwarki, o których nie wiadomo nam dosłownie niczego.

Mówi się, że glefy to puste istoty, gotowe przyjąć w siebie człowieka. I że na początku nowego cyklu przeistaczają się nie tylko fizycznie, ale i wewnętrznie. Powiada się, że ciała dalfinów zasiedlają dusze ludzi, którzy zginęli podczas apokalipsy. Dusze te jakby śpią i tylko czasami przypominają sobie minione dzieje. Dalfiny widzą ludzi i wtedy przypominają sobie, że same też kiedyś były ludźmi. Często szukają wtedy kontaktu, ludzie jednak widzą w nich tylko zabójców i ludojadów, witają ich więc kulami i grotami harpunów... *[W. Wielikow, „Na krawędzi nieprawdę/podobieństwa". Miękka okładka. Nakład 5000 egz.]*

* * *

Piasek na brzegu poryły opony wywrotek. Zdumiewające, ale ktoś jeszcze starał się coś uporządkować i odbudować, ktoś tam miał wywrotki, komuś potrzebny był piasek i żwir, skoro zaczął je wydobywać prosto z miejskiej plaży. W sumie było to też swojego rodzaju łupiestwo.

Lidka przeszła dalej.

Plażowe parasole, powtykane w piach na ukos, przypominały las niekształtnych, koślawych drzewek. Na wietrze trzepotały obrywki popękanego płótna i na wszystkie strony sterczały pordzewiałe druty, niczym promienie wybrakowanych, żelaznych słońc. Powiadają, że na

jednej z plaż poryw wichury uniósł w górę wszystkie parasole jednocześnie; poleciały, kołysząc się, koziołkując i opadły gdzieś w głębi miasta, raniąc przy tym kilka osób.

Lidka szła, grzęznąc po kostki. Jej stare traperki dawno już napełniły się piaskiem, piasek przesypywał jej się pomiędzy palcami, Lidka najpierw gniewnie posykiwała, ale potem dała spokój jałowym protestom. Rytm kroków ją wciągnął; niektórzy ludzie walczą tak z bólem zębów - cztery kroki przed siebie i cztery w tył, z kąta w kąt ciasnej kuchenki.

Lidka szła, patrząc przed siebie tępym wzrokiem.

Tuż przy brzegu leżał na boku jacht spacerowy. Na resztkach takielunku wisiały jakieś szmatki, od jachtu ciągnęło dymem - widać było, że i tam ktoś mieszka.

Lidka obeszła kadłub bokiem. Szło jej się coraz trudniej - zamiast piasku były tu kamienie. W pewnej chwili potknęła się, upadła, potłukła sobie i rozcięła kolano; podniosła się jednak i sycząc przez zęby, poszła dalej.

Prawdziwa miłość prawdopodobnie musi być ślepa. Prawdziwa miłość musi widzieć potencjalnego wielkiego uczonego tam, gdzie go nie ma, i być nie może...

Lidka uśmiechnęła się krzywo.

Małe, białe słońce piekło coraz dokuczliwiej. Lidka w końcu straciła siły do cna i usiadłszy na pierwszym lepszym nadającym się do tego kamieniu, przymknęła oczy. Przez zmrużone rzęsy morze wydawało jej się kałużą roztopionego ołowiu. A gdy w tej kałuży zobaczyła czarne grzbiety, wydało jej się, że to przywidzenie.

Dalfiny płynęły w trójkę.

Były młode. Z pewnością były jeszcze dziećmi, prawie oseskami; w tej lśniącej czarnej skórze istniały nie dłużej niż od miesiąca. Przedtem były jajami w głębokowodnych składach, później - potwornymi glefami, pożerającymi wszystko co żywe i martwe... A potem, przez krótki okres czasu - śpiącymi, nieruchomymi poczwarkami. Teraz zaś oto na pełnej szybkości płynęły ku brzegowi, nie wiedząc, ile kul i harpunów śpi, śniąc jak by tu pogrążyć się w ich czarnym boku. Co prawda, teraz brzeg jest niemal całkowicie pusty. Nikt nie zacznie polować na względnie spokojne teraz ludojady, które niedawno zmieniły skórę.

Lidka siedziała, poddawszy się osobliwej niemocy. Dalfiny to ledwo pokazywały się nad falami, to wyskakiwały wysoko, aż Lidce zaczęło się wydawać, że potrafi rozróżnić ich pyski. I że ją obserwują, i podpływają do brzegu specjalnie, żeby się znaleźć obok niej.

Przypomniała sobie, jak na nią kiedyś spoglądało maleńkie, zdziwione oko. I jak potem wyżarły je mewy.

Nie wiadomo czemu, wszyscy strzelający w jej obecności do

dalfinów wydawali jej się odrażającymi ludźmi. Oper Sasza. Prezydent Mróz. Możliwe, że to zbieg okoliczności. Prawie na pewno tak właśnie było.

Dalfiny podpłynęły jeszcze bliżej. Znacznie bliżej, niż się to zwykle zdarzało. Lidka siedziała, nie ruszając się z miejsca.

Dalfiny zachowywały się teraz tak, jakby jej tu w ogóle nie było. Upodobały sobie nieco głębsze miejsce przy brzegu i zaczęły coś w rodzaju zabawy. Goniąc jeden za drugim, to zanurzały się w głąb, to wyskakiwały nad powierzchnię; Lidka obejrzała się, czy gdzieś na kamieniach nie było jakichś strzelców. Zabawiające się stworzenia same prosiły się o kulę.

Brzeg był pusty.

Lidka zawahała się przez sekundę, a potem zdjęła koszulkę. Zrzuciła pełne piasku buty, zdjęła sportowe spodenki, zmięła i wsunęła w jakąś szczelinę spraną bieliznę. Stłuczenie i rana na kolanie boleśnie reagowały na każdy ruch nogą.

Gdy weszła do wody, zbolałe kolano najpierw mocno ją zapiekło, ale ból szybko się uśmierzył.

Woda.

Rytm fal.

Lidce wydawało się, że w ogóle niczego nie czuje. Ani siniaka i ranki, ani kłującego bólu z lewej strony pod mostkiem, ani przeżytych trzydziestu siedmiu lat. I dwóch apokalips. Ani śmierci Zarudnego. Ani odejścia Maksymowa. Ani rąk, czy nóg.

Rozpuściła się jak grudka cukru. Cichutko i nie bez zadowolenia. Wydawało jej się teraz, że promienie słońca przenikają przez nią na wylot.

Uśmiechnęła się.

Zanurzyła twarz pod wodę. Bez maski niezbyt dobrze się patrzyło; rozmazany czarny cień przepłynął tuż pod nią i wynurzył się pięć metrów od niej.

- Cześć - powiedziała Lidka bez strachu i bez radości. Dalfin miękko zanurzył się pod wodę. Tuż obok wyłonił się drugi; patrzącej na jego pysk Lidce wydało się, że to samica.

- Jak tam u was z podwodnymi problemami? Co, też macie tarło?

Trzeci dalfin podpłynął całkiem blisko. Lidka zobaczyła go dwa metry od siebie i nawet zdążyła się przestraszyć.

Sprężysty grzbiet wygiął się w łuk. Dalfin znikł i pojawił się za jej plecami.

Zeżrą mnie, pomyślała Lidka. Zeżrą, spodobałam im się i pachnę krwią.

Dalfin odwrócił się bokiem, nie spuszczając z Lidki ostrego spojrzenia. Oko miał siwe, jak Timur.

Lidka wyciągnęła rękę i dotknęła jego boku.

Na mgnienie oka przypomniała jej się wizja z prześwitu martwych Wrót. Ta, w której jej ręce nagle się wydłużyły, nie tracąc nic ze swej wrażliwości; dalfin był chyba oddalony o dwa metry od niej, ona jednak bez wysiłku dotknęła go wskazującym palcem. I jej dłoń mimowolnie się cofnęła.

Nic się nie stało.

Dalfin zanurzył się ponownie. Przepłynął prosto pod Lidką; poczuła, jak zakołysał nią, niczym lekkim piórkiem, nurt roztrącanej przez czarne wrzeciono wody.

Nagle poczuła skrępowanie z powodu własnego ciała. Bezwstydnie nagiego, nie pierwszej młodości i świeżości, nieopalonego, szybko już wiotczejącego...

- Przyjaciele - odezwała się ochryple. - Przyjaciele... wy...

- A-a-a!

Ktoś wrzeszczał od brzegu. Lidka szybko się obejrzała; ta młodziutka grubaska, pewnie z porzuconego jachtu. Teraz krzyczała i machała rękami, miała na sobie luźną koszulkę do kolan.

- A-a-a! Dalfiny! Wowka! Wo-oow-kaaa!

Od niewidocznego za skałkami jachtu biegł, przeskakując z kamienia na kamień, półnagi chłopak z karabinem w dłoni.

Dalfiny gnały już w morze, były już z pięćdziesiąt metrów od brzegu. I oddalały się coraz szybciej.

* * *

Pierwsze noworodki pojawiły się na świecie z wiosną. W ocalałych domach okna były już w tym czasie nie tylko oszklone, ale pozasłaniane frywolnymi nieraz firaneczkami. Dzieciaki rodziły się i rodziły, i było ich wiele; na każdej tablicy reklamowej wisiał wszechobecny, nieco sztywno i górnolotnie brzmiący plakat: „Narodziny - to jedyne, co możemy przeciwstawić Śmierci". Z plakatu przenikliwym wzrokiem patrzyła kobieta z ogromnie rozdętym brzuchem. Za jej plecami widać było coś jak zarys Wrót, ruiny i zgliszcza.

Przed bramami stały całe szeregi starych dziecięcych wózków. Tajał śnieg na nieodbudowanych ruinach. Dziecięce wrzaski i płacze nadawały osobliwą barwę atmosferze zatłoczonych mieszkań.

Córka Timura, Janeczka, urodziła Lidce krewniaka, prawie wnuczka (oby go kaczki skopały); choć dzięki temu mizernemu wcześniakowi udało się jakoś odsunąć wiszącą nad nimi groźbę dokwaterowania. Mieszkanie Sotowych na razie zostawiono w spokoju - choć do całkowitej pewności przydaliby się jeszcze ze dwaj nowi członkowie rodziny.

- Niedługo wyjdę za mąż - terkotała Janeczka. - Oczywiście, nie za tego, co mi zrobił malucha. To dupek... Znajdę sobie dobrego

chłopaka, takiego, na którym będzie można polegać. Sami zobaczycie.

- I bardzo dobrze - głosem, pełnym udawanej dziarskości wtrącał ojciec. - Zameldujemy twojego męża, a wy się już postaracie o jeszcze jednego bąka... albo pszczółkę. Przecież zdążycie?

- Zdążymy - uspokajała go Janeczka. - Od razu będą bliźniaki.

- Oby tak było - wzdychał ojciec. - Na Paszkę nie ma co liczyć... cały czas gdzieś baletuje, pasożyt jeden.

- Nie martwcie się - ponurym głosem obiecywał wtedy Paszka. - Już niedługo taką babę przyprowadzę, że wam szczęki poopadają. Ale z pewnością was to nie pocieszy.

Lidka starała się unikać takich rozmów; jej dawny dziecięcy pokój należał teraz niemal niepodzielnie do niej. Na stole, pamiętającym jeszcze zeszyciki licealistki Sotowej, leżała zwykle fotografia Zarudnego. Mama starała się nic zaglądać do jej pokoiku bez nagłej i pilnej potrzeby.

Ze wszystkich szczelin wyrastała młoda trawa. Zakwitła topola na bulwarze, w jeden z cieplejszych dni Lidka długo siedziała, spoglądając w okno i gładząc palcami portret Zarudnego pod szkłem.

Potem wstała, wyjęła z szafy plastykowe pudełko samochodowej apteczki i wysypała jego zawartość na kanapę.

Z pudełka powypadały fiolki i kapsułki. Były wśród nich i takie, za które na czarnym rynku można byłoby dostać pieniądze wystarczające na kupno magnetofonu albo drogiej wieczorowej sukni, Lidka jednak nie słuchała muzyki i obywała się bez eleganckich sukni. Zresztą termin przydatności tych leków dawno już z pewnością minął, Lidka je kupowała, gdy Rysiuk był u szczytu kariery.

Na fiolce ze środkiem nasennym wybito umowny termin „24". Czyli dwudziesty czwarty rok od początku cyklu, w którym wyprodukowano lekarstwo; teraz zaś zaczynał się drugi rok nowego cyklu, apokalipsa zdarzyła się w dwudziestym pierwszym roku cyklu minionego - więc lek jest jeszcze całkowicie przydatny.

Na twarzy Lidki pojawił się uśmiech. Pozostałe leki strąciła na podłogę i położywszy się na kanapie, założyła ręce pod głowę. A fiolkę ze środkiem uspokajającym umieściła sobie na piersiach.

Życie jest piękne. Nowy cykl - nowe życie.

* * *

Padał deszcz. W parku szybko się ściemniało; zapalały się żółte latarnie, otoczone migotliwymi kręgami spadających kropli. Ktoś śmiał się przytłumionym śmiechem. Pod kruchym daszkiem pawilonu grali uliczni muzykanci - gitarzysta i skrzypek. Słuchacze zbili się w przykryty parasolami krąg; przechodząc mimo, Lidka zatrzymała się na chwilę... która niespodziewanie dla niej samej przeciągnęła się do godziny.

Pięknie grali. Częścią ich muzyki był ciepły deszcz, parasole i podświetlone blaskiem latarni krople. Lidka stała, trzymała w kieszeni wiatrówki fiolkę z tabletkami i bezmyślnie uśmiechała się w mrok.

Otaczający ją ludzie też się uśmiechali. Prawie wszyscy byli wzruszeni i podnieceni, wielu się smuciło, nad głowami zebranych unosił się zapach wina, zmieszany z zapachem deszczu i morza. Ale pijackiego chichotu, podniesionych głosów i innych oznak nieprzyjemności nie było; Lidka początkowo się zdziwiła, ale potem przestała się dziwić.

Gitarzysta i skrzypek przerwali na chwilę; tłum drgnął. Lidka odeszła na stronę i przysiadła na ławeczce.

W oddali widać było pomnik Bohaterskich Nurków - dwie, mężnie stojące figury w brązowych maskach, zsuniętych na brązowe czoła. Jeden z nurków trzymał w ręce akwalung, drugi harpun. Wszyscy w mieście wiedzieli, że jeżeli popatrzeć pod pewnym kątem, harpun można uznać za rozrośnięty do niesłychanych rozmiarów główny atrybut męskości. Pewnie dlatego Kwietniowy Park cieszył się szczególną popularnością.

Wysoka, szczuplutka pannica, bardzo jeszcze młodziutka, najwyraźniej z młodszej grupy, popalała nerwowo papierosa pod parkowym grzybkiem. Nieopodal przystanęli dwaj chłopcy, którzy pospiesznie się nad czymś naradzali; jeden ukradkiem wyciągnął coś z kieszeni, drugi wziął to coś z jego rąk. Lidka gotowa byłaby przysiąc, że chłopcy ciągnęli losy przy pomocy zapałek.

Chłopcy spojrzeli jeden na drugiego. Ukradkowo uścisnęli sobie dłonie; potem ten, który wyciągnął krótszą zapałkę (tak przynajmniej wydało się Lidce), ruszył przed siebie spacerowym krokiem. Przeszedłszy obok nerwowej pannicy, zatrzymał się i cofnął, jakby sobie o czymś przypomniał.

- Przepraszam, nie na pani przypadkiem papierosa?

Pytanie idiotyczne, zwłaszcza gdy uwzględnić, że dziewczyna przecież paliła.

Przez pewien czas chłopak i dziewczyna patrzyli sobie w oczy. Potem dziewczyna powiedziała coś cicho i zgasiła papierosa. Chłopak odpowiedział i w jego dłoniach pojawił się przygotowany widać wcześniej na taką okoliczność dowód osobisty.

„Ciekawe, czy przy okazji nie żądają zaświadczeń zdrowia?" - Pomyślała Lidka.

Dziewczyna spojrzała na otworzony przez chłopaka dokument. Przeniosła wzrok na jego twarz i zagryzła wargi. Sięgnęła do torebki, przez chwilę czegoś tam szukała, ale chłopak czekał cierpliwie. W końcu dziewczyna wyjęła swój dowód osobisty w polietylenowej oprawce. Pokazała go chłopakowi. Ten przez chwilę czytał, poruszając wargami.

- Jakie ładne imię!

Dziewczyna uśmiechnęła się blado.

Chłopak elegancko podsunął jej swoją rękę; dziewczyna ujęła ją dwoma palcami, jakby się bała oparzenia. I tak we dwójkę poszli w głąb alejki - widok był wzruszający: jakby szli zakochani.

Tarło.

Lidka przymknęła oczy. Podczas trzech godzin, jakie spędziła tego wieczoru w parku, widziała kilkanaście takich scenek w najrozmaitszych wariantach. Głównie spacerowała tu młodzież z ostatniego pokolenia, ale trafiali się i mężczyźni w wieku Lidki, a nawet posiwiali w bojach staruszkowie. Jeden taki staruch ruszył w koperczaki do Lidki, która go przegnała, co leciwy amant skwitował zjadliwą uwagą, że skoro jest taka niedotykalska, powinna sobie znaleźć inne miejsce na odetchnięcie świeżym powietrzem...

Cóż, miał rację.

Dam w wieku Lidki było tu niewiele. Przyszły dwie, udające pierwszą młodość i mocno podchmielone lwice - które natychmiast gdzieś odeszły w towarzystwie czterech mocno już podpitych młodzianków. Co prawda, zawodowe prostytutki stąd przepędzano, podobno pilnowali tego specjalni pracownicy OP.

Wzdłuż alejki przeleciał podmuch zimnego wiatru. Lidka się najeżyła - ledwo słyszalnie przesypały się tabletki w kartonowym opakowaniu. Chociaż nie, nie mogły się przesypać, Lidce po prostu się zdawało...

Najpierw chciała posiedzieć nad morzem, ale zakpiły z niej sztorm i chłód. Postanowiła więc popatrzeć na tak zwane święto życia. I obserwuje go już od czterech godzin?

- Przepraszam, ma pani może papierosa?

Pytającym był krzepko zbudowany mężczyzna około czterdziestki; Lidka obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Pokręciła głową, a potem wstała i ruszyła ku wyjściu z parku.

* * *

Powszechna opinia o tym, że sztuczne zapłodnienie szkodzi zdrowie jest niczym innym, jak przesądem. A rozpowszechniony mit o tym, że sztucznie poczęte dzieci nie są zdolne do przetrwania apokalipsy - jest szkodliwy i niebezpieczny. Propagowanie sztucznych zapłodnień, jako alternatywy dla przypadkowych związków, powinno zająć główne miejsce w całej profilaktycznej pracy medycznej.

[Tygodnik „Twoje Zdrowie", 15-go września 2-go roku
55-tego cyklu]

* * *

Nocami leżała, wsłuchując się w płacz maleńkiego Timura.

Timura-drugiego, synka Jany - drugiej. Ależ kołowrót imion.

Ciekawe, czy ktoś tu kiedyś nazwie kogoś imieniem Lidki? Jeżeli - na przykład - urodzą się dwie dziewczynki lub otworzy się wakat dla imienia?

Myślała o tym, co teraz porabia Maksymow. W pierwszych miesiącach po jego wyjeździe było to u niej prawie chorobliwe - nie mogła przestać o nim myśleć. Gdzie mieszka? Z kim pracuje? Z kim sypia?

W stołowej szufladzie leżało te kilka listów, które przysłał. Choć mogłoby się to wydawać dziwne, ale te właśnie listy pomogły Lidce uwolnić się od myśli o nim. Czytając je kolejno, czuła przez skórę, że chłopak coraz bardziej się od niej oddala. W ostatnich nasiliły się jego narzekania na pocztę - kiepsko pracuje, i jeżeli nie będziesz dostawała ode mnie wieści, wiedz, że to przez przeklętą pocztę.

Lidka wysnuła z tego wniosek, że Maksymow ma już dość korespondencji i szykuje się do ostatecznego zerwania. I tak też się stało. Minęły już cztery miesiące, a nie przysłał nawet pocztówki.

Na półce leżał stos książek o dalfinach. Od akademickich opracowań, po zwariowane i popularne; ale cały stos pokryty był grubą warstwą kurzu. Lidka dawno już zrezygnowała ze swoich pseudonaukowych badań i poszukiwań. Związek pomiędzy dalfinami, apokalipsami i Wrotami? Wariactwo. Dalfinom nieustannie przypisuje się jakieś niesamowite i nieistniejące zdolności.

Leżała i patrzyła w sufit. Obok walała się na poduszce paczka tabletek nasennych; a za ścianą darł się noworodek. Głośniej, ciszej, znów głośniej. „Tima, Timoczka, Tima...”

Zażyć jedną tabletkę - i od razu zrobi się późny ranek.

Zażyć wszystkie tabletki...

I już niczego nie będzie. W dalfina już się nie wcieli... chociaż dobrze by było. Samobójców czeka po śmierci w najlepszym razie pustka.

W szkło szyb monotonnie stukały krople deszczu. Od czasu do czasu migały reflektory przejeżdżających samochodów, i wtedy Lidce się wydawało, że w mroku zapalają się setki maleńkich, patrzących na nią z wyrzutem oczu.

Zasnęła, obejmując mocno poduszkę i utknąwszy nosem w opakowaniu tabletek.

* * *

Na postumencie pomnika Bohaterskich Nurków czerwieniły się wypisane pomadkami imiona. Pomadki były różnokolorowe. Purpurowy „Misza”. Ceglasty „Pietia”. Różowy „Rostik”. Perłowy „Witalik”. I wiele innych. Lidka nawet nie próbowała ich odczytywać. Bohaterscy Nurkowie patrzyli w dal nad głowami; bohaterowie za nic

mieli żądze, kipiące u podstawy pomnika.

„Narodziny - to wszystko, co możemy przeciwstawić Śmierci". Plakatami z surowo patrzącą brzemienną kobietą pozaklejano wszystkie ogłoszeniowe słupy, tablice i nawet ścianki parkowej wygódki. Gdzieniegdzie pouzupełniano je żartobliwymi, a czasami zupełnie nieprzyzwoitymi rysuneczkami.

Lidka przeszła się tam i z powrotem po alejce. Oczywiście, jej obecność została zauważona, nie raz i nie dwa poczuła na sobie uważne, taksujące męskie spojrzenia.

Na dwóch ławeczkach przysiadły stadka dziewcząt. Pannice poszeptywały coś pomiędzy sobą i strzelały oczami na wszystkie strony, jednocześnie udając, że nic oprócz przyjacielskich ploteczek ich nie interesuje. Po całym parku niósł się potężny, tłumiący wszystko inne zapach perfum.

Młodzieńcy stali i spacerowali po dwu i po trzech. Samotnie spacerowali dojrzali mężczyźni w wieku Lidki. Zamiast skrzypka i gitarzysty w pawiloniku rozsiadł się mieszany zespół z magnetofonem.

Jedna blondyneczka wydała się Lidce podobna do Wiki, szkolnej przyjaciółki Maksymowa. Poczuwszy ogromny wstyd, gotowa już była rzucić się do ucieczki, dokąd oczy poniosą, ale w sekundę później wyjaśniło się, że dziewczyna jest wyższa o głowę od jej byłej uczennicy i wcale nie taka sympatyczna. Nie, to była zupełnie nieznajoma dziewczyna - jej wzrok prześlizgnął się po twarzy Lidki jak kropla po warstwie ceraty. Nie zatrzymując się i nie zostawiając śladu.

Lidka zacisnęła zęby. Wsunąwszy rękę do kieszeni, dotknęła zmiętej kartki papieru. Była to ulotka, którą pół godziny temu na autobusowym przystanku wręczyła jej smagła i nieustannie się uśmiechająca panna. Rozdawała te ulotki wszystkim przechodzącym obok kobietom. Lidka wiedziała, co to za ulotka, ale nie wyrzuciła jej, tylko wsunęła do kieszeni. Po kilku zaś chwilach, gdy nieco już oddaliła się od przystanku i wczepiła w ogon jakiejś kolejki, ukradkiem rozwinęła papier.

Była to rozpowszechniana bezpłatnie reklamówka ośrodka sztucznego zapładniania. Wisiała na widocznym miejscu w każdej aptece. „Powszechna opinia o tym, że sztuczne zapłodnienie to coś przeciwnego naturze, szkodliwie wpływającego na zdrowie i przyszłość dziecka jest niczym innym, jak głupim przesądem, niegodnym cywilizowanego człowieka... Nasz ośrodek proponuje... zgodnie z najnowszymi osiągnięciami światowej medycyny..."

Lidka nie mogła się zdecydować na wyrzucenie ulotki, ale i zatrzymać też jej nie chciała. Znalazła rozwiązanie połowiczne - zmięła ulotkę, jak śmieć do wyrzucenia i... wsunęła ją z powrotem w kieszeń.

Na placyku przed parkiem sprzedawano baloniki. Roześmiani

zakochani przywiązywali barwne niteczki do guzików; mamusie patrzyły na nich nieprzyjaźnie i energicznie kołysały swoimi wózkami. Lidka uniosła głowę, odprowadzając wzrokiem balonik, który zerwał się komuś z uwięzi. „Park Kwietniowy" - napisano na obłażącym już z farby szyldzie. Tuż obok stał słup, z którego wszystkich przechodniów przeszywała surowym spojrzeniem powszechnie znana kobieta z rozdętym brzuchem. „Narodziny to wszystko, co możemy..."

- Przepraszam bardzo, czy przypadkiem nie ma pani papierosa?

Lidka szybko się odwróciła.

Przed nią stał chłopak może dwudziestoletni, ze starszej grupy. Rówieśnik Maksymowa, ale zupełnie do niego niepodobny. Wysoki, o długich rękach i nogach, pociągłej twarzy i jasnych, nieco wyłupiastych oczach. Swego czasu mógłby być jej uczniem.

- Nie palę - odpowiedziała powoli. Zrozumiała też, że powinna się odwrócić i odejść. I nigdy tu nie wracać.

Jej dłoń w kieszeni jednocześnie ścisnęła zmiętą ulotkę i paczkę tabletek nasennych.

Chłopak zamrugał powiekami. Miał długie, gęste rzęsy; wyglądał na pechowca, którego odtrąciły jego rówieśniczki. Interesujący chłopak.

Sekundy szły. Nie biegły, ale właśnie szły, powolutku i nawet chyba nieco chromały.

- Ma pani jakieś kłopoty? - zapytał chłopak.

- Z czego to wnioskujesz? - odpowiedziała nauczycielskim tonem pytaniem na pytanie.

Chłopak cofnął się o krok:

- Wydawało mi się... ma pani takie spojrzenie...

- Spojrzenie - powtórzyła, przedrzeźniając go i unosząc podbródek. - Jak masz na imię?

- Inokientij - odpowiedział, wcale się nie zmieszawszy. I natychmiast dodał: - A ty?

Lidka szybko się rozejrzała. W prawo, w lewo... I za siebie.

- Nie musisz wiedzieć, jak mam na imię. A ja o tobie nie chcę wiedzieć niczego innego, poza imieniem. Jasne?

„Czy to ja? - zapytał ze zdziwieniem jej wewnętrzny głos. - Rzeczywiście chcę TEGO? Pójdę na TO?"

- Jasne - rzeczowym tonem odpowiedział Inokientij. - Mój dowód osobisty...

- Nie trzeba... Niczego nie trzeba. Powiedz mi tylko - dlaczego mnie zaczepiłeś? Przecież jestem stara!

Inokientij nagle poczerwieniał. Uszy mu zapłonęły, jak dwa rubiny.

* * *

W sali porodowej przychodziło na świat jednocześnie po dwanaście, trzynaście noworodków. Lekarze w niebieskich kitlach chodzili od stołu do stołu; ogłupiałej z bólu Lidce wszystko wydawało się nieskończenie długą taśmą transportową, która wciąż przynosiła małe ludzkie istotki.

- A tu rodząca po raz pierwszy kobieta w średnim wieku... Sanie Sanyczu, niech Nina nie oddala się od piętnastego stołu...

Każdemu noworodkowi przede wszystkim przywiązywano do nóżki numerek. Żeby w zamieszaniu nie pomylić go z innym.

- Chłopak. Dziewczynka. Dziewczynka. Chłopczyk. Trzy pięćdziesiąt. Trzy dwieście. Dwa dziewięćset. Ruszać się, ruszać, za pół godziny koniec zmiany!

W pół godziny nie zdążę, pomyślała bezsilnie Lidka. Trzeba będzie rodzić podczas zmiany personelu.

Czemuś tam utknął, Andrieju?

Maleńki ktoś, kogo od samego początku uznała za chłopczyka i Andrieja, jakby usłyszał jej myślowy zew. Piegowata młodziutka Ninka - sama w zaawansowanej ciąży - zakręciła się wokół stołu:

- Sanie Sanyczu! No, Sanie Sanyczu! Piętnasty... trzeba będzie szyć!

Lidka patrzyła w sufit. Zwidziała jej się biała powierzchnia morza, ołowiane, matowe błyski i ogromna paszcza dalfina z jasnym, zdziwionym okiem...

W czasie porodu nie wolno myśleć o dalfinach! To zły znak!

- Witaj, mały - łagodnym głosem odezwała się Nina. - Ależ z ciebie chłopaczysko!

Lidka zamknęła oczy.

Drżąca ścieżka słonecznego blasku.

Ścieżka.

* * *

Nowa wiosna przyszła o kilka tygodni później, niż należało się spodziewać. Ogromne sale porodówek cichutko przekształciły się w zwykłe dziecięce szpitale, żłobki albo w bloki mieszkalne; okres rodzenia dzieci dobiegł końca. Starsza grupa śmiało już penetrowała piaskownice, średnia grupa raczkowała pod czujnym wzrokiem mam i babuń, a najmłodsza posapywała w wózeczkach i hałasowała grzechotkami.

Mieszkanko Sotowych, które jeszcze przed dwoma laty władze zamierzały „zagęścić", przypominało teraz ni to zwierzyniec, ni to dom wariatów, ni to przepełnione do granic niemożliwości mrowisko. W trzech pokojach mieszkali teraz rodzice Lidki, Janeczka z dwuletnim Timurkiem, Lidka z trzymiesięcznym Andriejem i młodszy brat Lidki, Pasza, który spełnił swoją groźbę i przyprowadził do domu

żonę; ta zaś miała już rocznego synka z innym mężczyzną. Sama Lidka mieszkała teraz wespół z Janeczka; Timur zazdrościł niemowlakowi, który miał być jego wujkiem. Kaprysił, udawał, że niczego nie umie, złośliwie siusiał w porteczki i nieustannie próbował wrzucić do kołyski czyjś brudny but przywleczony z przedpokoju, znaleziony na ulicy kawałek szkła albo jeszcze jakieś inne niebezpieczne draństwo.

Gdyby przed kilkoma laty ktoś powiedział Lidce, w jakich warunkach przyjdzie jej mieszkać - nie uwierzyłaby albo by się utopiła. Ciasnota, bieda i nieskończone dziecięce wrzaski - a jednak Lidka była spokojna jak nigdy dotąd. Prawie szczęśliwa.

Jej mama, która synkowi żony Paszki okazywała demonstracyjną obojętność, trzęsła się nad synkiem Lidki jak smok nad stosem złota. Nie wiadomo skąd znalazły się zapasy pieluch i ubranek, które od dwóch cykli czekały na swój czas. Mama chodziła na spacery z wózeczkiem, biegała do mleczarni, a także gotowała kaszki i grysiki - Lidka nie miała własnego pokarmu i Andrieja niemal od samego początku trzeba było dokarmiać.

Długi sznur mam i babuń na ławeczkach powitał Lidkę ciepło i z szacunkiem. Początkowo Lidka trochę się jeżyła, ale potem przywykła i nawet nauczyła się znajdować przyjemność w niespiesznych rozmowach, znacznie bardziej przydatnych i aktualnych niż całe półki zakurzonych teraz książek. Dziewiętnastoletnie dziewczyny, niańczące już drugiego niekiedy bobasa, ochoczo dzieliły się z Lidką swoim bogatym doświadczeniem. Ponura, wredna bezdzietna megiera umarła naturalną śmiercią; na jej miejscu pojawiła się niezbyt już młoda, ale energiczna mama o zdrowej, rumianej cerze.

Nowy cykl - nowe życie. Lidka w pełni rozumiała teraz znaczenie tych słów. Wszystko, co przedtem wydawało jej się znaczącym i cennym, teraz po części odsunęło się na dalszy plan, a po części przestało dla niej istnieć. Świat się uprościł, czas podzielił się na okresy pomiędzy snem a kolejnymi karmieniami. Jeszcze jeden wózek w powszechnym strumieniu, jeszcze jedno badanie w poliklinice, jeszcze jedna butelka z pożywieniem dla niemowlaka.

Wszystko zmieniło się w ciągu jednego dnia.

Lidka wracała z miasta. Poszczęściło jej się i niosła torbę z butelką słonecznikowego oleju. Olej przywieźli do sklepu tuż przed jej nosem, zdążyła skoczyć do przedsionka i znalazła się na początku akurat formującej się kolejki.

A teraz wracała, bardzo z siebie zadowolona.

W bramie, nieco z boku od „zasiedlonych" ławeczek, stała czekająca na kogoś tęga, blada kobieta w czarnym płaszczu. Płaszcz był za ciepły jak na majowy pogodny dzień. Kobieta wetknęła obie dłonie w kieszenie.

Lidka chciała przejść obok, ale kobieta weszła na asfaltową

ścieżkę i zastąpiła jej drogę.

- Wybaczy pani... Lidia Zarudna?

- Nie, jestem Lidia Sotowa - odpowiedziała Lidka bez namysłu.

Nieznajoma na chwilkę jakby straciła rezon. Ale tylko na chwilkę.

- Zaraz... była pani przecież żoną Rysiuka?

Najprawdopodobniej odpowiedź pojawiła się na twarzy Lidki. Kobieta w czerni kiwnęła głową, wyszczerzyła niezdrowe zęby i szybko wyciągnęła prawą dłoń z kieszeni płaszcza.

Była niezdarna i powolna, ta kobieta w czerni. Co prawda sąsiadki, które były świadkami całego wydarzenia od początku do końca, zapewniały, że Lidka zareagowała błyskawicznie, „po prostu jak zwierzę".

Zdążyła się uchylić. I uderzyć napastniczkę w czarną rękę; część przeznaczonego dla Lidki kwasu chlusnęła na chodnik. Część trafiła w dżinsy, które trzeba było później wyrzucić. Kilka kropli padło na jej dłoń, ale ból zjawił się dopiero potem.

- Ty suko! - wrzasnęła cienkim głosem kobieta w czerni. - Wiem wszystko! To ty! Pamiętam cię!

Sąsiadki pobiegły wezwać milicję. Na placyku zaczęły się drzeć przestraszone maluchy. Metaliczny pojemnik z jakimś napisem na boku leżał na asfalcie; ktoś zdążył już przydeptać go stopą.

- Wiedzieliście! On nie zabił! Spreparowali... sprawę! Zapłacisz jeszcze, suko, przekleństwo na ciebie i twoje dzieci!

Z bramy wyskoczyła mama Lidki - w szlafroku i papciach.

- Proszę! Masz!

Spod płaszcza kobiety w czerni sypnęły się kartki pożółkłego już papieru - blade kserokopie dokumentów z pieczęciami i napisem „TAJNE".

- Prowokacja! Suka! Żmija jedna!

Krąg kobiet pośrodku podwórka wcale nie był przeszkodą nie do pokonania. Ale kobieta w czerni nie zamierzała uciekać; przybyła na wezwanie milicja dość szorstko wepchnęła ją do samochodu, a ona przez cały czas darła się z satysfakcją w głosie:

- Zapłacisz! Kurwo jedna! Za wszystko zapłacisz!

Torba Lidki leżała na ziemi, a spod niej wyciekała tłusta i coraz większa plama słonecznikowego oleju.

* * *

Organizacja nazywana kiedyś OP przerodziła się teraz w skromną firmę pod nazwą „Agencja Bezpieczeństwa Państwowego", ABP.

Zatrudnieni w niej ludzie byli względnie młodzi - z pokolenia Lidki i młodsi. Lidka nigdy przedtem nie widziała żadnego z nich, ale świdrowate spojrzenie było najwidoczniej nieodłącznym atrybutem wszystkich spadkobierców OP. Jakby byli pracownicy Obrony

Państwa złożyli swoje świderki do sejfu, żeby ich następcy mogli przymierzyć je do twarzy i starannie przećwiczyć ten niezapomniany, specyficzny sposób patrzenia na rozmówcę.

Szczupły mężczyzna o szarej twarzy i niezwykle bujnych wąsach zapisał zeznania Lidki i polecił, żeby się pod nimi podpisała. Zeznań było tyle, co kot napłakał. Szła do domu i zobaczyła zupełnie sobie nieznaną kobietę. Zdążyła się uchylić przez skierowanym w jej twarz strumieniem kwasu. Doznała nieznacznego uszczerbku materialnego i znacznego - moralnego...

Potem, kiedy Lidka zbierała się już do wyjścia, szarolicy westchnął jak kowalski miech i wyjął skądś nową kartkę papieru z państwowym godłem.

- Lidio Anatoliewna... Pani pierwszym mężem był Jarosław Andriejewicz Zarudny?

- Tak - odpowiedziała Lidka po chwili milczenia. I dodała, z lekkim wahaniem w głosie: - Rozeszliśmy się jeszcze w minionym cyklu. Bardzo dawno.

Abept znów westchnął:

- Wasze małżeństwo z Rysiukiem też się rozpadło?

- Owszem.

- A gdzie pani była w czasie procesu nad Rysiukiem?

Lidka się skrzywiła:

- Tutaj. W mieście. Ale nie wiedziałam, że przeciwko niemu toczy się proces. Byłam pochłonięta... innymi problemami...

Śledczy uprzejmie uniósł brwi:

- To znaczy NIE ZAUWAŻYŁA pani tak ważnego wydarzenia?

- Byłam zajęta czymś innym - uparcie powtórzyła Lidka. I dodała z krzywym uśmieszkiem. - Wie pan, byłam zakochana. Z wzajemnością.

- A-a-a... - stwierdził śledczy. I przez pewien czas wpatrywał się w Lidkę, jakby się zastanawiał, kim był ten nienormalny, który pokochał to zgryźliwe babsko.

- Kiedy Werwerowa postawiono przed sądem... pani już w tym czasie rozstała się z Rysiukiem?

- Oczywiście, że się rozstałam - stwierdziła Lidka tak ciepłym i miłym głosem, że dla dopełnienia obrazu należałoby dodać: „mój głuptasku". - Znacznie wcześniej się z nim rozstałam. Pretensje tej kobiety są... łagodnie mówiąc, śmieszne.

- No tak - stwierdził śledczy z widoczną ulgą. - Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, potrzebna by jej była pomoc psychiatry... dziękuję pani, Lidio Anatoliewna. Więcej pytań już nie mam.

* * *

Okazało się, że kobietą w czerni jest wdowa po Dmitriju

Aleksandrowiczu Werwerowie, głównym przeciwniku politycznym generała Mroza. Martwym już przeciwniku. Co prawda i sam Mróz też był martwy - we wszelkich znaczeniach. Jego życie zakończyło się podczas apokalipsy i to, co z niego zostało, przywaliły tony ziemi, kamieni i piasku. To zaś, co zostało z pamięci po nim, zostało przywalone tysięcznymi przekleństwami - a te są cięższe od największego choćby głazu.

A o Werwerowie po prostu zapomniano. Zapomnieli wszyscy, oprócz wdowy po nim. Jego dzieci, jak się okazało, też nie przeżyły ostatniej apokalipsy.

Gdy Lidka zadzwoniła do drzwi mieszkania, otworzyła jej Janeczka. Malutki Timurek siedział pośrodku przedpokoju w kartonowym pudle po jakichś produktach z pomocy społecznej.

- Och, ciociu, nareszcie... Andriejek zjadł i wszystko zwymiotował. Nie śpi i jest głodny... a Timurowi znów się zrobił wysięk, więc chciałabym skoczyć do apteki.

Janeczka mówiła i już wkładała trzewiki. Lidka postawiła swoją torbę na półeczce dla butów. W poprzek długiego, ciemnego korytarza położyła się pochyła smuga światła, w której, niczym ameby, wirowały powoli pyłki kurzu.

- Ciociu, ja tylko na pół godziny...

Lidka zamknęła za sobą drzwi. W pokoju coraz głośniej darł się dzieciak.

- Lusia się nie słucha - orzekł Timur ze swojego kartonu. - A Tima się zlał...

Lidka zobaczyła, że boki pudła pociemniały od wchłoniętej wilgoci. Timur siedział i patrzył na nią szczerze i z powagą. Oczy miał nie wiadomo po kim - nie po Timurze starszym, nie po Sani i nie po Janeczce. Pewnie po swoim, nieznanym ojcu.

- Poczekaj, Tima... trzeba było poprosić. Jesteś już dużym chłopczykiem.

Pospiesznie umyła dłonie i narzuciła na bluzkę domowy szlafrok.

- Andriuszka, co ty... No, chodź tutaj...

Pieluszki były mokre, a koszulka brudna. Lidka zabrała się za przewijanie synka, mrucząc jakieś uspokajające bzdury i starając się nie słuchać gniewnych wrzasków rozjuszonego brakiem uwagi Timura. Tymczasem Andriej się uspokoił. Położony na brzuszku podciągnął rączki pod siebie i bez wysiłku podniósł główkę. Wodząc oczkami za gumową papużką, uśmiechnął się od ucha do ucha.

Jasne loki niemowlęcych włosków opadały na wypukłe, różowe czółko. Synek Lidki uśmiechał się szczęśliwie i nawet odrobinę szelmowsko.

* * *

Nie mogła się obudzić. Nawet w tych rzadkich chwilach, kiedy śpiący doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że śni.

Czekali na coś... wydaje się, że na jakieś święto. Był dom, bardzo wysoki, szesnastopiętrowy. Lidka doskonale rozumiała, że z punktu widzenia sejsmologii taki dom do niczego się nie nadaje - powinien się rozpaść podczas pierwszej *mrygi,* od pierwszego wstrząsu. A jednak, proszę - stoi...

Był też balkon. Bardzo obszerny. Na balkonie stół, taborety i jacyś ludzie - znajomi i nieznajomi. Mama, Janeczka i chyba nawet Maksymow.

Balkon nie był ogrodzony barierką. Prawie nie był. Balustrada miała połamane albo przegniłe słupki; ze wszystkich stron ziały w niej dziury, a goście ze śmiechem uprzedzali jeden drugiego: uważaj, bo polecisz na pysk...

A pod nogami gości kręcił się Andriusza. Był już sporym chłopczykiem, miał dwa, może trzy latka. Biegał, śmiał się radośnie, a gdy mijał jakąś dziurę, Lidka czuła, że jej serce zamiera ze strachu.

- Chodź tutaj... Nie łaź tam... Daj rączkę...

I syn posłusznie siadał obok niej - na całą minutę. A potem Lidka odwracała odeń wzrok - i wszystko zaczynało się od nowa. Wesoły dzwoneczek biegający po krawędzi przepaści.

Lidka stawała w wyłomach i starała się zagrodzić je własnym ciałem, dziury jednak były zbyt liczne i nie mogła ich zamknąć wszystkich. Nad stołem i rozweselonymi gośćmi wisiało jakieś fatum.

- Andriej!

Obudziła się.

Nieprzenikniony mrok. Duchota. I miarowe posapywanie. Wsunęła drżącą dłoń pomiędzy pręty poręczy łóżeczka. *Żywe.* Ciepłe. Śpi.

* * *

Wypadek z Werwerową zajmował towarzystwo odpoczywających i spacerujących mam przez cały miesiąc. Centralna miejska gazeta nie pożałowała aż dwudziestu wierszy w rubryce „Kronika kryminalna", na szczęście bez fotografii. Młody, długowłosy korespondent przez dwa dni dyżurował przy bramie, czekając, aż Lidka wyjdzie z wózeczkiem; Lidka jednak nie wychodziła i adept dziennikarstwa znalazł sobie ciekawsze zajęcie.

Przyszedł list od Maksymowa. Pomięty, wyświechtany, opóźniony o cały tydzień. Lidka długo nie mogła się zdecydować na otworzenie koperty, a gdy wreszcie przeczytała list - okazało się, że nie ma w nim niczego strasznego. Ani histerycznych przeprosin, ani uprzejmych usprawiedliwień, ani nawet resztek dawnego ciepła. Zwykłe szkolne wypracowanie na temat: „Jak spędziłem lato". Niegroźne, nie psujące

psychicznego komfortu, choć prowokujące bezsenną noc.

Telefon zadzwonił o siódmej trzydzieści rano.

Janeczka z Timurem stali już ubrani na progu mieszkania, szykując się do wyjścia. Wybierali się do polikliniki. Za ścianką porykiwał miarowo przybrany syn Paszy, maleńki Andriej dopiero co zjadł śniadanko i Lidka przytulała go do siebie, spokojnie czekając, aż mu się odbije.

- Mamo! Podnieś słuchawkę.

W łazience szumiała woda. Mama, nawet gdyby usłyszała, to przecież naga spod prysznica nie wyskoczy. Ojciec chyba jeszcze śpi.

- Ciociu, odbierz wreszcie... - nie bez rozdrażnienia w głosie odezwała się Janeczka. - My i tak już jesteśmy spóźnieni...

I trzasnęła drzwiami.

Jedną ręką podtrzymując dziecko, Lidka poczłapała do telefonu. Podniosła słuchawkę:

- Halo...

Cisza. Jakieś trzaski. Lidka gotowa była z rozdrażnieniem odłożyć słuchawkę, kiedy z tamtej strony z trzasków wyłonił się głos:

- Czy mogłaby pani poprosić do telefonu Lidię Anatoliewnę?

- Przy telefonie - odpowiedziała, mocniej przytulając Andrieja.

- Tu Sasza - oznajmiła słuchawka. - Kiedyś razem schodziliśmy pod wodę. W Rassmorcie. Pamiętasz?

Andriejowi było niezbyt wygodnie. Energicznym ruchem uwolnił rączki. I cichutko zakwilił.

- Pamiętam - odpowiedziała Lidka głuchym głosem. Ale przypomniała sobie nie morze, nie zatopione Wrota i drzewo ze sprężystych, bulgoczących pęcherzyków - tylko obite skórą drzwi i matowo połyskującą szpilkę w krawacie: „Masz rację. Uczony z ciebie, jak z koziej dupy trąba".

- Stara Werwerowa w końcu cię dopadła? Dostało ci się?

- Nie - odparła Lidka przez zęby. - Tylko dżinsy musiałam wyrzucić.

Maleńki Andriej wreszcie się zdecydował. Cóż... koszulkę trzeba będzie jednak zmienić.

- Lido, trzeba nam się spotkać. Musimy porozmawiać.

- Nie chcę! - odparła ze złością w głosie. - To wszystko już mnie nie dotyczy. I nie mam czasu... Mam za to maleńkiego synka.

Chwila milczenia.

- Taaa-ak?! Winszuję... Ale to jeszcze jedna przesłanka do tego, żebyśmy się spotkali. Chcesz przecież dalej żyć w spokoju? I z pewnością chciałabyś w końcu wiedzieć, kto zabił Zarudnego?

Malec kwilił coraz głośniej.

- Czemu nie odpowiadasz. Lido?

- Poczekaj...

Niezbyt zręcznie się wygiąwszy, położyła słuchawkę na stoliku. Odniosła płaczącego już synka do pokoju, ułożyła w łóżeczku, musnęła dłonią łańcuch grzechotek; ale malca wcale to nie wzruszyło. Nadal płakał.

Lidka zamknęła za sobą drzwi. I wróciła do telefonu.

- Sasza?

- Owszem.

- Czego ty ode mnie chcesz?

- To TY chcesz, Lido. Koniec końców, tyle lat minęło i oboje żyjemy... Co jest dziwne i zachwycające. Wiążą nas pewne wspólne wspomnienia. Co, nie chcesz już niczego wyjaśniać?

Lidka milczała. Przedtem Sasza nigdy nie pozwalał sobie na epitety, tym bardziej na epitety sentymentalne. „Dziwne i zachwycające". Zestarzał się, czy co?

- Znaczy tak, Zarudna, spotkajmy się gdzieś za godzinkę w jakimś spokojnym miejscu, na przykład w parku... Chcesz się przecież dowiedzieć, kto go zabił?

Lidka zagryzła wargę.

Czy dobrze zrobiła, nadając synkowi imię po Andrieju? To imię szło za nią niczym cień i nie zawsze przynosiło ze sobą tylko radość. Ostatnimi czasami było raczej przeciwnie.

- Owszem - odpowiedziała jakby wbrew samej sobie. - w Parku Słomińskim. Pasuje ci?

Do Słomińskiego Parku od jej domu szło się około dwudziestu minut. A niespiesznym krokiem i z wózeczkiem - pół godziny.

- Pasuje - odpowiedział Sasza. - Więc... za godzinę. Jak się spóźnisz, poczekam.

Odłożyła słuchawkę.

- No, nie drzyj się. Przecież masz pełen brzuszek. A, już walnąłeś kupkę. Zaraz to załatwimy. A potem pójdziemy na spacerek, no popatrz, jakie cacko...

Drzwi na korytarz były uchylone. Lidka zobaczyła, że z pokoiku Paszki na paluszkach wymknęła się jego żona. Znikła szybko w wolnej już łazience; biedaczce niełatwo się żyło. Znacznie trudniej, niż kiedyś Lidce w mieszkaniu Zarudnych. Nie bez powodu była taka blada i nerwowa. Nie bez powodu za ścianką coraz częściej zdarzały się ciche, ale doskonale słyszalne kłótnie.

- Kto dzwonił, Lido? - zapytała z kuchni mama.

- Nieważne - odpowiedziała z roztargnieniem. - Jeden taki... znajomy. Idziemy na spacerek.

- Lido, ale ty przecież nie jadłaś?!

- Jadłam, jadłam... To na razie...

Wózek wyprowadziła przez drzwi ze swobodą znamionującą wielką wprawę. Od drugiego razu trafiła kołami na szyny w schodach,

bardzo wygodne i przydatne. Za kilka lat zostaną zdjęte - zaczną przeszkadzać.

Andriej zajął się wreszcie grzechotką. Próbował sięgnąć ku zwisającej spod daszka i grzechoczącej przy każdym ruchu girlandzie; Lidka tymczasem wepchnęła wózek w drzwi bramy. I odetchnęła głęboko.

Mimo porannej godziny, na ławeczkach w podwórku nie zostało już za wiele wolnego miejsca. Lidka przeszła przez przyjazne pozdrowienia, jak przedtem przechodziła przez ogień kosych spojrzeń; pośrodku piaskownicy raczkował na czworakach roczny wnuczek Swietki z czwartego piętra. Łobuz miał buzię umazaną piaskiem - i chyba zamierzał kontynuować posiłek; ot, zaczerpnął ponownie garść piachu i wepchnął go sobie w gębusię. Swietka, starsza już i dość tęga dama, zerwała się z ławeczki, żeby złapać urwisa za kołnierz i wytrząsnąć z niego niedojedzony piasek.

- Ach ty? Znowu? Dam po pupie, zaraz zobaczysz!

Akcję Swietki wnuczek skwitował wrzaskiem. Wrzeszczał bez zbytniego gniewu, raczej dla zasady; Lidka zwróciła uwagę na fakt, że użytkowników piaskownicy jakby ubyło. Pozostali trafili już pewnie do żłobka.

Chodnikiem płynął cały potok spacerowych wózeczków; Lidka podporządkowała się ogólnemu rytmowi. Do wyznaczonego spotkania zostało jeszcze piętnaście minut, wiedziała, że się spóźni, ale nie zamierzała się spieszyć. Był nawet moment, kiedy zupełnie poważnie myślała przez chwilę nad tym, czy by nie zawrócić, ale w końcu ruszyła dalej. Sasza zna numer jej telefonu, lepiej więc od razu wszystko rozstrzygnąć, niż bawić się z nim w chowanego.

Przez cały czas odruchowo kołysała wózkiem i Andriej w końcu zasnął.

Od czasu ich ostatniego spotkania minął prawie cały cykl. I wydarzyło się mnóstwo rzeczy. Lidka jednak, nie wiadomo dlaczego, doskonale pamiętała, jaki piękny i wzorzysty był dywan w jego gabinecie. I jak Saszy błyszczała złota szpilka w krawacie. Nieważne było zresztą to, o czym wtedy rozmawiali, choć niektóre słowa Saszy głęboko zapadły jej w pamięć. Na przykład to o „koziej dupie". Albo: „...wyglądało na to, że coś z ciebie będzie. Byłaś fanatyczką. Takie budzą obawy. I dość umiejętnie napomykałaś, że sporo wiesz..."

Niczego nie wiem, myślała ponuro Lidka. Owszem, przeglądałam archiwum Zarudnego, ale i wy, operatywni panowie, też je przeglądaliście. Możliwe, że jako młoda osóbka chciałam sobie dodać znaczenia i ważności. Ale gdybym coś rzeczywiście wiedziała, to nie dożyłabym do dzisiejszego dnia, prawda?

Mimo woli przyspieszyła kroku. W sklepowych witrynach równolegle z nią płynęło jej odbicie - kobiety z wózkiem; wystawy

pełne były ozdób ze srebrnej i złotej folii, zbliżał się przecież Nowy Rok. Nowy, czwarty rok cyklu. Niełatwo przywyknąć do tego, że święto w tym cyklu przypada drugiego czerwca, a nie jak w minionym, na jesieni. Jakby nie było, minęło trzy lata. Trzy lata od piekła - i nic, jakoś żyjemy.

Czy w istocie interesuje ją, kto zabił Andrieja Zarudnego? I czy po tym wszystkim, co było, można w ogóle szukać sprawiedliwości w sądzie?

Sprawiedliwość... Jeżeli sprawiedliwie, to i ją, Lidkę, trzeba by... tego... Przecież jeździła po powiatach w składzie tamtej przeklętej brygady agitacyjnej, w noc wyborów siedziała przed powoli zmieniającym barwę na zieloną ekranem, chyba się nawet cieszyła... i wciskała swoim uczniom coś tam o „odpowiedzialności za sukcesywne opanowywanie wiedzy i umiejętności", „świadomości obywatelskiej" i tych innych, wtedy politycznie poprawnych, a teraz mogących stać się przedmiotem dochodzeń policyjnych bzdurach.

Co tam jedna ofiara, niechby i deputowany... w porównaniu z tysiącami ofiar ostatniej apokalipsy?

Wyprzedziła jeden wózek. Drugi. Ktoś rzucił za nią: „Ostrożnie, paniusiu", ktoś posłał jej gniewne spojrzenie. Szła coraz szybciej.

Ma szansę na to, żeby POZNAĆ PRAWDĘ.

Wiele się wyjaśni...

Wiele...

Wycie syreny karetki pogotowia. Milicyjny, migający miarowo „kogut"; Lidka ostro skręciła w lewo, żeby ominąć niezbyt liczne, ale szybko gęstniejące zbiegowisko. Nic z tego nie wyszło; wypadek drogowy - a był to niewątpliwie wypadek drogowy - zdarzył się akurat na placyku przez Słomińskim Parkiem.

- Przechodzić, przechodzić, nie zatrzymywać się...

- Gdzie się pchasz ze swoim wózkiem?

Andriuszka spał, uśmiechał się przez sen i wyglądał jak dokładna kopia dziecięcych fotografii Lidki; Lidka zaciągnęła zasłonkę, kryjąc synka przed natarczywymi spojrzeniami przechodniów.

- Przechodzić, przechodzić... a pani dokąd?

- Do parku - odpowiedziała odruchowo.

Czyjeś plecy się rozstąpiły. Lidka ostrożnie spuściła koło z trotuaru, oponka przejechała po porzuconym trzewiku. But był męski, niezbyt nowy, ale całkiem przyzwoity i przed kilkoma godzinami starannie wyczyszczony.

Dopiero wtedy podniosła głowę.

Na bruku - dokładnie na białych pasach przejścia dla pieszych - leżał jakiś sześćdziesięcioletni mężczyzna w pomiętym letnim garniturze.

Bosy. W szarych skarpetkach.

Lidka jak zaczarowana podeszła bliżej, ciągnąc wózek za sobą.

- Co za ludzie... - wymamrotała przechodząca obok staruszka. - Zlecieli się jak kruki do padliny... gapić się na *coś takiego*...

Mężczyźni w niebieskich kitlach ładowali już leżącego na nosze. Niezbyt szorstko, ale i nie tak, jak obchodzi się z żywym człowiekiem.

Sekundę przedtem, zanim trupa przykryto prześcieradłem, Lidka zdążyła zobaczyć jego twarz.

Życie nie obeszło się łaskawie z byłym nurkiem Saszą, śmierć miał za to błyskawiczną.

* * *

Naszym przodkom nie od razu udało się ustalić związek pomiędzy glefami i dalfinami. Biolog Karl Dorf, który jako pierwszy wysunął hipotezę o stadiach rozwoju dalfinów, początkowo został uznany za szaleńca. Przecież dalfiny w istocie są ssakami! Porównawcza analiza budowy anatomicznej dalfinów i, powiedzmy, wielorybów, ujawnia wiele wspólnego. Są jednak i różnice. A główna z nich to organy rozrodcze...

W przyrodzie po prostu nie masz małych, niedojrzałych dalfinów. Zwolennicy Dorfa, którzy chcieli potwierdzić jego hipotezę, przeprowadzili kilka podwodnych ekspedycji (patrz rozdział: „Tajemnice oceanów"). Jedna z nich zakończyła się tragicznie. Pozostałe nie przyniosły oczekiwanych rezultatów - wszystkie, oprócz jednej. W przededniu kolejnej apokalipsy odważnym uczonym udało się zanurzyć na głębokość ponad tysiąca metrów i sfotografować obiekt, który później otrzymał nazwę „skarbczyka dalfinów". W tym skarbczyku dalfiny składają jaja, niczym ważki. Jaja chroni sama niedostępność miejsca - do tej pory nie znaleziono pewnego sposobu niszczenia „skarbczyków". Podczas apokalipsy uruchamia się „biologiczny budzik", którego natura do tej pory nie jest jasna - najbardziej prawdopodobna jest hipoteza, że jest to system wielu sprzężonych ze sobą czynników, takich jak drgania sejsmiczne, zmiany temperatury wody i jej składu chemicznego. Ze złożonych przez dalfiny jaj wykluwają się istoty, które znamy jako glefy. Celem niezbyt długiego życia glefy jest pochłonięcie jak największej ilości różnorakich substancji organicznych. Dotarłszy do brzegu, wychodzą na ląd, gdzie pożerają wszystko, na co się natkną (patrz rozdział „Glefy"). Nasycone glefy wracają do morza i tam przechodzą kolejne stadium rozwoju - pokrywają się otuliną i zamierają w bezruchu, jak poczwarki owadów. W tej postaci przeżywają apokalipsę... W kilka miesięcy po kataklizmie z poczwarek wylęgają się dalfiny w kształcie, jaki znamy. Żywią się rybami i zwykle nie są niebezpieczne dla ludzi.

Od momentu, w którym odkryto związek pomiędzy dalfinami a potwornymi glefami, ludzkość łamie sobie głowę nad tym, jak

uchronić się choćby przed tym niebezpieczeństwem. Przedsięwzięte próby powszechnego wytępienia dalfinów zakończyły się nieoczekiwanym rezultatem - odstrzał dalfinów wcale nie zmniejszył liczebności glef, a przeciwnie, spowodował gwałtowny wzrost ich aktywności i agresywności. Najprawdopodobniej zadziałały jakieś nieznane nam mechanizmy kompensacyjne... Niszczenie podwodnych „skarbców" okazało się przedsięwzięciem drogim i nieskutecznym. Aktualnie uważa się, że najskuteczniejszym sposobem walki z glefami jest ich odstrzał z broni wielkiego kalibru. Składy odpadów organicznych, gromadzone u brzegów w celu odwrócenia uwagi glef albo budowanie wszelkiego rodzaju pułapek nie przyniosły - jak do tej pory - zadowalających rezultatów...

[Encyklopedia Popularna, t. I str. 46-47]

Rozdział 11

- ...finansów na naukę nie mamy. Żadnych. Ci z naszych współpracowników, którym nie udało się wyjechać, zajmują się badaniami przyczynkowymi... albo podjęli pracę w żłobkach. Wiem, że wasza rezygnacja z pracy naukowej - w minionym cyklu - była spowodowana represjami OP i mogę zrozumieć, czemu pani porzuciła wtedy naukę... Dlaczego jednak pragnie pani wrócić do pracy badawczej teraz, w tak trudnych i skomplikowanych czasach?

Tę akurat kobietę Lidka sobie przypominała. Chyba się razem uczyły - kiedy Lidka była na drugim roku, ona była na trzecim. Wtedy jeszcze nie była damą, miała dwadzieścia lat, czy coś koło tego i każda odzież czy suknia wisiały na niej jak na wieszaku. Jakimś osobliwym sposobem udało jej się urodzić, „nie odrywając się od nauki" - w bibliotece zjawiała się z przenośną kołyską. Miała dwójkę dzieci - o ile Lidka jej z kimś nie pomyliła.

- Pani idea... widzi pani, niewątpliwie jest interesująca, ale nie mamy pieniędzy ani na zapłatę za pracę, ani na opłacenie grupy analityków, ani na ekspedycję. Rozumie pani?

- Może... jakaś fundacja międzynarodowa? - zapytała Lidka bez szczególnej nadziei w głosie.

Dama popatrzyła na nią ze współczuciem w oczach.

Jej też nie było lekko. Delikatny żakiecik pokrywały skrętki liniejącego włókna. Przydałaby jej się pomoc dentysty i gastrologa, jej dorosłe dzieci też powinni znaleźć sobie jakieś studia, a poprzednicy, których w tym cyklu było już trzech, kompletnie wyczerpali możliwości zagranicznych stypendiów dla swoich krewniaków.

- Nie będę organizowała ekspedycji - ciągnęła głucho Lidka. - Potrzebna mi tylko baza techniczna, a przede wszystkim jakaś porządna maszyna obliczeniowa. Do analizy statystycznej.

- W jaki sposób wpadła pani na tę myśl? - cicho zapytała rozmówczyni.

Lidka milczała przez chwilę. Potem ostrożnie musnęła palcem wypolerowaną do blasku powierzchnię biurka.

- Myślę, że nie byłam pierwsza, która o tym pomyślała. Ale dopiero dziś pojawiły się możliwości techniczne.

- Jakie tam możliwości - stwierdziła dama nie bez goryczy i gniewu w głosie. - W poprzednim cyklu wszystkie środki poszły na OP, w teraźniejszym... też wszystko jasne. Cofamy się w rozwoju, droga Lidio Anatoliewna. Z cywilizowanego państwa przekształcamy się w luźny związek plemion... jaka tu może być nauka... tylko pozór, nic więcej. Nasi wnukowie będą żyć w ziemiankach, polując na zwierzęta.

- Wydaje mi się, że trochę pani przesadza - stwierdziła łagodnie Lidka.

Rozmówczyni podniosła na nią oczy i Lidka zdumiała się ich podobieństwu do guzików na żakiecie.

- Lidio Anatoliewna, miałam dwóch synów. Bliźniacy. Było dwu, został jeden. Wedle jakiej zasady miałby się urzeczywistniać ten wasz hipotetyczny odsiew?

- Nie wiem - odpowiedziała Lidka, uciekając spojrzeniem w bok. - Właśnie po to potrzebna jest mi analiza... i baza danych.

Obie siedziały przez chwilę w milczeniu.

- Jeżeli się okaże, że ma pani rację, Lidio Anatoliewna... nie wiem, jak to powiedzieć. Byłoby to największe - i najbardziej ponure - odkrycie w historii ludzkości. Nie czuje pani urazy, że się wyrażam tak górnolotnie?

Lidka dalej milczała.

- Dobrze... przekażę wasze zgłoszenie do rozpatrzenia przez międzynarodową fundację badań akademickich... kiedy pojawią się pierwsze rezultaty. *Jeżeli* pojawią się rezultaty. Rozumiemy się?

Lidka kiwnęła głową. Sekretarka dzwoniąc łyżeczkami, przyniosła kawę. Lidka patrzyła, jak poruszają się pokryte szminką wargi rozmówczyni.

- Czy to prawda, że była pani synową Andrieja Zarudnego?

Lidka niespiesznie łyknęła z czarki.

Na brzegu biurka stał piękny, lśniący globus. Na fizycznej mapie naszkicowano granice zaludnionych i niezaludnionych stref. A także tych, które kiedyś były zaludnione. Tereny tak zwanych Upadłych Cywilizacji.

- Nie do końca jest to prawdą. Wyszłam za mąż za syna Zarudnego, już po śmierci Andrieja Igorowicza.

Dama zacisnęła wargi. Lidka wiedziała, jakie będzie jej następne pytanie i uprzedziła je niczym żmija swoim atakiem:

- Owszem, to Andriej Igorowicz opracował teorię apokalipsy bez rozlewu krwi i ofiar. On jednak nigdy nie próbowałby realizować swojej koncepcji w taki sposób, jak zrobili to ci, co uzurpowali sobie miano jego uczniów i wykonawców jego woli. Jego imię wykorzystano do nieczystych celów... czy wyrażam się zrozumiale?

Dama kiwnęła głową.

- Całkowicie zrozumiale. Ale czy nie wydaje się pani, że jej pomysł - to absolutne przeciwieństwo pięknej idei Zarudnego? Jakby jej odbicie w mrocznym zwierciadle?

- Nie wiem - odparła Lidka, pozbawionym emocji tonem. Dama westchnęła i uśmiechnęła się samymi kącikami ust:

- Ma pani przecież maleńkie dziecko. Jakże pani da z nim sobie radę za te grosze, które może wam zaproponować Akademia?

* * *

Wrzask był ogłuszający.

- Ałłoczka, mama przyjdzie jutro... Tanieczka, twoja mama dzwoniła, ma pracę do wieczora, nie może was zabrać... wracajmy do dzieciaków. Dzieci, pokażcie zabawki.

Dzieci, które już przywykły do rozdzierających dusze scen, szybciutko poprzyciskały do brzuszków co tam kto miał: to szmaciane zwierzątko z ruchomymi łapkami, to traktor na gumowych gąsienicach, to lalkę lub mechaniczną zabawkę. Nikt nie miał ochoty składać swojej zabawki na ołtarzu czyjegoś kiepskiego humoru.

- Popatrzcie, dziewczynki, jakie wielkie klocki! Można z nich zbudować domek.

- Nie chcę domku! Chcę do maaaaaamy... - darła się starsza Ałłoczka, dziewczynka z rudymi warkoczykami, o których Lidka pomyślała teraz ze zgrozą; co rano trzeba je zaplatać. Młodsza, Wanieczka nie dzieliła z siostrą tragicznego nastroju, ale ryczała tak samo jak tamta. Z rodzinnej solidarności.

Lidka westchnęła krótko:

- A chcesz, podaruję ci pistolet?

Wrzask stracił nieco na natężeniu i zdecydowaniu.

- A może rano przyprowadzimy tu dużego pieska?

Młodsza już milczała, patrząc na Lidkę wielkimi, niebieskimi oczami. Starsza jeszcze pochlipywała.

- A chcesz popatrzeć, kto mieszka w umywalce?

Pracowała tu już pół roku. Jako niania na nocną zmianę - od siódmej wieczorem do siódmej rano. Codziennie. Pensja nie była wielka, ale stabilna.

Dwuletni Andriej był tu także, w grupie żłobkowej. Wieczory były pełne rwetesu i zajęć, ale dni miała dla siebie; oprócz tego zaś miała biurko w Akademii - w ciągnącym wilgocią i chłodem pokoiku. I dostęp do sali obliczeniowej.

Pracowała.

Z dziesięciu rozmaitych matematyków, z którymi kolejno próbowała nawiązać współpracę, pracować „dla idei" zgodził się jeden. Młody, dwudziestotrzyletni chłopak, absolwent politechniki, Kostia Woronow. Był drugim po tęgawej damie człowiekiem, którego Lidka - odebrawszy najpierw od niego straszną przysięgę dochowania tajemnicy - poinformowała o swojej idei.

W pewnym stopniu Kostia przypominał czymś Maksymowa. Ale teraz, po czterech niemal latach, Lidka nauczyła się nie przydawać znaczenia temu podobieństwu.

Podczas pierwszych dni wspólnej pracy Lidka doszła do wniosku, że w osobie Kostii los okazał jej jeden ze swoich najbardziej szczerych

i przyjaznych uśmiechów.

Woronow był człowiekiem, który jakby żywcem zstąpił ze stron młodzieżowej powieści fantastycznej - klasyczny roztargniony uczony, skromny geniusz, wiecznie z głową w chmurach. Podczas nauki na politechnice władze dwa razy były bliskie wylania niefrasobliwego studenta na zbity pysk. Po otrzymaniu dyplomu w żaden sposób nie mógł znaleźć odpowiedniej pracy; gdy los zetknął z nim Lidkę, piastował skromne stanowisko nocnego stróża w jakimś magazynie.

Od kilku lat tworzył i opracowywał programy dla maszyn obliczeniowych i jeden z nich jak ulał pasował do zadań dotyczących analizy wieloczynnikowej. „Proszę przynosić wszystko, co pani znajdzie - powiedział Lidce. - Włącznie ze spisami ulubionych nieprzyzwoitych słówek i ocen ze świadectw pierwszej klasy. Osobiste podpisy, dziecięce rysunki, odciski palców... wszystko, co pani trafi w ręce".

- Wpuść dzielnego kotka w Małe Wrotka, czerwone niebo, czarna trawka do tego, zła glefa pod progiem, wiej koteczku w nogi, lisek, myszka i wróbelek, skryje się zwierzątek wiele...

Skupiony Andriej (Lidka kazała mu wpisać w metrykę „Andriejewicz") siedział na dywaniku; przed nim leżał korpus plastykowego pieska, oddzielnie głowa i cztery nogi. „Będzie lekarzem" pomyślała Lidka bez osobliwego entuzjazmu.

Wyjściowym zamiarem Lidki było udowodnienie, że Wrota są elementem sterowanej selekcji. Kryterium tej selekcji - hm... to właśnie należałoby znaleźć.

Przekopywała archiwa urzędów stanu cywilnego, kompanii ubezpieczeniowych i OP. Interesowali ją nie ci, którzy zginęli podczas ewakuacji, a tylko ci, którzy nie przeżyli swojej pierwszej apokalipsy. Ludzie młodszego pokolenia, którzy nie doczekali się własnego potomstwa.

Niezwykłe było to, iż od razu się okazało, że jest ich niespodziewanie wielu. Prawie czterdzieści procent ofiar - a pod uwagę należałoby wziąć i to, że młodsi biegają lepiej i łatwiej znoszą fizyczny wysiłek. Kolejne czterdzieści procent stanowili ludzie w podeszłym wieku i starzy, dla których dana apokalipsa była trzecią albo i czwartą. Pozostali to około dwudziestu procent ofiar.

Nocami Lidce śniło się ogromne drzewo, które z grubych, mocnych konarów wypuszczało młode pędy. I ktoś z ogrodniczymi nożycami przycinał je starannie, nadając swobodnie rozrastającemu się gigantowi formę ogrodowego krzewu. Nie przycinał na chybił trafił, tylko wedle swojej koncepcji.

Każdy odcięty pęd to czyjeś imię i nazwisko. Na przykład Jana Anatoliewna Sotowa, pierwszy rok pięćdziesiątego trzeciego cyklu, dwudziesty pierwszy rok pięćdziesiątego trzeciego cyklu. Dorożko

Witalij Nikołajewicz, drugi pięćdziesiątego czwartego, dwudziesty pierwszy pięćdziesiątego czwartego. Takich karteczek było mnóstwo, skrzynka za skrzynką, półka za półką... napełniła już kilka szaf.

O każdym z odciętych pędów zbierała jak najwięcej dostępnych informacji. Barwa oczu i włosów. Wzrost, waga. Cechy charakteru, skłonności i zamiłowania, postępy w szkole. Danych nie było, trzeba je było gromadzić dosłownie ziarnko do ziarnka; Lidka odszukiwała starych nauczycieli, spotykała się z nimi w charakterze dziennikarki i rozmawiała o zaginionych uczniach tak, jakby tamci pozostali przy życiu.

Poszukiwała danych dotyczących jej byłych uczniów. W jednej tylko klasie Maksymowa zginęło siedmioro. Jasnowłosa laleczka Wika zginęła również, ale o córce opera, Toni Drozd, wiadomości nie było. „Przeżyła - pomyślała Lidka. - Takie jak ona, zawsze przeżywają".

Dodała więc do swojego archiwum jeszcze siedem karteczek. Tego dnia więcej nie pracowała; pojechała nad morze i długo siedziała, spoglądając na pełznące wzdłuż brzegu barki.

Cały zebrany materiał niosła do Kostii. „Jeszcze - kwitował dane. - Mało. Do statystyki, w sam raz. Dla prawdziwej analizy wieloczynnikowej, mało".

Pośrodku grupy stała dwuletnia uparta Jula, a wokół jej kapci zbierała się niewielka kałuża; obok szafki bawili się w sklep tłuściutki Wowka i wrzaskliwa Ałłoczka:

- Proszę mi zważyć jedzenie.
- Chleb czy ogórki?
- Ogórki.
- Proszę bardzo. Co jeszcze?
- Więcej!
- Ogórków?
- Tak!

Maleńki Andriej zapomniawszy o rozczłonkowanym piesku wstał i nieubłaganie, niczym wcielenie zemsty, ruszył na domek z klocków, który właśnie skończył budować jego rówieśnik, Tolik. Ten wyczuł niebezpieczeństwo i chwycił domek w objęcia - drewniane klocki z trzaskiem posypały się na wszystkie strony - i uniósł go precz, tracąc po drodze elementy wewnętrznych ścianek.

Lidka doszła do wniosku, że konieczna jest jej interwencja. Wzięła Andrieja na ręce i mocno przytuliła, dławiąc mizerne chłopięce próby odzyskania wolności, a potem ruszyła za grabieżcą domku.

Dorwawszy się do maszyny obliczeniowej, Kostia natychmiast upodabniał się do kota, którego kąpią w śmietanie. Porzuciwszy pracę dozorcy, chodził na poły zagłodzony - Lidka podrzucała mu na stół kanapki, które pochłonięty pracą Kostia unicestwiał jedną po drugiej, nawet o tym nie myśląc.

- Lidio Anatoliewna... ale jeżeli rzeczywiście ta selekcja się jakoś realizuje... Jeżeli ktoś ją przeprowadza i to już od ponad pięćdziesięciu cyklów - to znaczy, że materiał powinien już zacząć zbliżać się do jednorodności. I co wtedy, czy ten czynnik, wedle którego prowadzi się odsiew, zniknie, czy jak?

Lidka wzruszyła ramionami:

- Prawdopodobnie.

- I co? Skończą się *mrygil* Jako bezcelowe?'

- Nie wiem. Prawdopodobnie tak.

- Czyli, aby przerwać cykl apokalips w ciągu kilku najbliższych cykli, ludzkość powinna tylko wytępić, pozbyć się osobników, które są niepotrzebne gospodarzom i twórcom Wrót?

Na twarzy Lidki pojawił się uśmiech pełen znużenia:

- Kostia, najpewniej Wrota nie mają żadnych właścicieli. Nie trzeba wszystkiego trywializować.

Operatorzy z sali obliczeń spoglądali na nich bojaźliwie i z szacunkiem. Przeniesiona na ekran komputera kartoteka Lidki wyglądała imponująco i groźnie. Z ekranu patrzyły twarze młodych ludzi, którzy zginęli, nie zostawiwszy po sobie potomstwa. Odcięte pędy; każdy z nich miał swoje dossier, mniej lub bardziej grube.

Trzeba było określić cechę albo zespół cech, wspólne dla wszystkich, którzy nie doczekali się potomstwa. Coś, co różniło siostrę Lidki, piękną Wikę i nieszczęsnego syna akademickiej damy od tych, co przeżyli.

Wiele genialnych idei w pierwszej chwili trąci herezją.

- Siusiu - skonstatowała Julka, rozkładając ze smutkiem rączki. I dodała tonem samokrytyki: - Wstyd!

* * *

W nocy Lidce znów przyśniła się apokalipsa. Tylko dzieci, nie wiedzieć dlaczego, zostały maleńkie.

Andriej też.

Po ulicach płynęły tłumy dorosłych, nie słuchających przekazywanych drogą radiową komend ni rozkazów i nie patrzących pod nogi.

- Przepuśćcie nas! Tu są dzieci! Przepuśćcie!

Nikt nie słuchał.

Instynkt samozachowawczy gnał wszystkich niczym bezrozumne stado. Pchała ich przed siebie ślepa wiara w wyjątkowość i wielką wartość własnego życia.

- Przepuśćcie! Przecież to dzieci!

Biegła, tuląc do siebie Andrieja.

I tak - w biegu - obudziła się.

Kurom to dobrze. Mogą przykryć potomstwo swoimi skrzydłami,

święcie przekonane, że pod pierzastym dachem nic nie grozi kurczaczkowi.

Głupie, szczęśliwe w swej głupocie kury.

* * *

Lato minęło bez napomknień o urlopie. Dobrze jeszcze, że żłobek funkcjonował i maluchy wywożono na plażę trzy razy w tygodniu.

- Lidio Anatoliewna - odezwał się któregoś dnia Kostia, a w jego głosie było coś, co sprawiło, że Lidka drgnęła.

- Co takiego?

Kostia się uśmiechnął. Opadł na krzesło i założył nogę na nogę. Jego wyświechtane spodnie mocno już świeciły się na kolanach.

- No co, Kostia?

- Trzeba sprawdzić jedną rzecz - Kostia podniósł palec do nosa, wyraźnie zamierzając w nim podłubać. Rozmyślił się i opuścił dłoń. - Trzeba sprawdzić u wszystkich naszych... no, u tych sprawdzanych, ich zamiłowanie do muzyki.

- Do czego?!

- No, ich muzyczne zdolności. Kto dobrze śpiewał, kto uczył się w muzycznej szkole, kto był członkiem jakiegoś zespołu amatorskiego. Ponownie trzeba przepytać ich wszystkich znajomych, ale tylko pod tym kątem.

- Ponownie?! - spytała Lidka z paniką w głosie.

Kostia złożył ręce jak do modlitwy:

- Trzeba, Lidio Anatoliewna!

Z uchylonego lufcika ciągnęło wilgotnym i całkiem już jesiennym wiatrem.

* * *

„Hipotetyczne skłonności do muzyki".

Wśród tych, co nie przeżyli swojej pierwszej apokalipsy, byli blondyni i bruneci, wzorowi uczniowie i patentowane lenie, altruiści i egoiści, chłopy jak dęby i kurduple, mądrzy i głupcy, sportowcy, chuligani, maminsynkowie - dokładnie w tych samych proporcjach, co wśród ich rówieśników, którzy szczęśliwie przeżyli i doczekali się licznego potomstwa.

Ale nie wiedzieć czemu, wśród tych, co zginęli, było tylko dwa, trzy procent takich, którzy przejawiali upodobanie i zdolności do muzyki.

- Kryterium „zdolności" - odezwała się Lidka ochrypłym głosem - jest rozmyte i niezbyt jasno określone. Poczekaj, Kostia, daj mi pomyśleć.

Kostia cierpliwie czekał. Lidka patrzyła na papierową, rozwijającą się żmiję rulonu z liczbami i nie mogła się skupić; myślała o Janie. O

tym, jak siostra śpiewała, trzaskając w kuchni brudnymi naczyniami: „Słowiczkuuuu ty móóój...” Mama tylko się krzywiła. Jana śpiewała głośno i z uczuciem, tyle że nie dało się jej słuchać; swego czasu nie przyjęto jej do szkoły muzycznej, choć w ogólnokształcącej miała ze śpiewu czwórki. Z szacunku do przykładanych przez uczennicę starań i postępy ogólne.

- Kostia... jak na to wpadłeś?

Były nocny stróż uśmiechnął się jak wcielenie skromności.

Podczas kolejnych trzydziestu minut opowiadał o swojej metodzie, coś tam rysował na kartce papieru i przekładał na stole jakieś przedmioty. Lidka mrugała oczami i sama sobie wydawała się przeraźliwie tępą, najgorszą z uczennic.

- Nie rozumiem - poddała się wreszcie.

- Zrozumie pani - obiecał Kostia łagodnym tonem.

Zwidywały mu się już przepełnione członkami Akademii sale wykładowe, pierwsze strony stołecznych gazet, przyjęcia, oddzielne mieszkanie i motocykl. Nie wiadomo z jakiej przyczyny właśnie motocykl był dla Kostii symbolem spełnienia marzeń. Ściana przed jego roboczym stołem była powyklejana wizerunkami rozmaitych motocykli, a mały model odlany z ołowiu stał na monitorze.

- Kostia... - odezwała się Lidka ostrożnie. - To jeszcze nie jest wynik... to widmo, jego cień... fatamorgana...

Kostia milczał i się uśmiechał. Nie należał do pesymistów.

* * *

- Lidio Anatoliewna, a czy nie miewała pani wątpliwości co do reprezentatywności waszej próbki badanych?

- Pracujemy w ciężkich, niesprzyjających warunkach - odpowiedziała Lidka z godnością. - Tym niemniej przeanalizowano ponad dwa tysiące przypadków. Dwa tysiące osób i ponad sto cech każdej branej pod uwagę osoby. Używając umownego terminu... odrzuconej. Rozumiemy, że to dopiero początek badań, można powiedzieć zarys, ale bardzo wyraźny. Można z całą pewnością stwierdzić, że ci młodzieńcy i dziewczęta, którzy nie przeżyli swojej pierwszej apokalipsy, w ogromnej większości nie mieli żadnych zdolności muzycznych. Pośród członków rozmaitych chórów, amatorskich zespołów instrumentalnych i uczniów szkół muzycznych procent ofiar jest znacznie mniejszy od przeciętnej i jest to fakt, który da się udowodnić statystycznie.

W sali zapadła cisza. Siedzący w kącie Kostia zrobił minę skromnego, ale zadowolonego z życia geniusza.

Kierownictwo Akademii - a raczej to, co z niego się ostało - popatrzyło na siebie, poskrzypując starymi ławkami. Właśnie ławkami, bo innych mebli w sali nie było. Akademicy wyglądali dość zabawnie

za ławkami z otworami na kałamarze. Lidce przypomniały się jej nauczycielskie czasy i mimo woli się uśmiechnęła. „Proszę zamknąć podręczniki. Otworzyć dzienniczki. Zapiszcie zadanie domowe".

- Można byłoby przeznaczyć na to pieniądze - z namysłem w głosie stwierdził łysy i blady jak grzyb staruch w drugiej ławce od lewej. - Dobrze byłoby wypłacić ludziom pensje i może jakieś premie... Przeprowadzić remont... otworzyć jakąś katedrę.

- Brednie i banialuki - odezwał się znużonym głosem i z niechęcią jego sąsiad, którego twarz ozdabiały obwisłe jak dwa pasma wodorostów wąsy. - Temacik dla brukowej prasy, a nie przedmiot poważnych badań naukowych.

Lidka klepnęła dłonią stos grubych teczek.

- Wszystkie przypadki są udokumentowane. Wszędzie są fiszki z adresami odpowiednich archiwów...

- W archiwach nie ma informacji na temat, czy ktoś był muzykalnym, czy nie - przerwał jej z rozdrażnieniem wąsaty. - A ma pani choć pojęcie, co uznać za „zdolności muzykalne"? Ma pani metodykę, pozwalającą na określenie, wedle jakich kryteriów oceniać obecność albo brak takich zdolności? Tym bardziej, że mowa u ludziach dawno już nieżyjących?

- Problem jest skomplikowany - Lidka starała się mówić jak najbardziej spokojnym i rzeczowym głosem. - Niewątpliwie trzeba będzie opracować metodykę i przeprowadzić badania dodatkowe... poprosić o pomoc specjalistów...

- Słuch muzyczny może być cechą nabytą, a nie wrodzoną - nie słuchając jej, ciągnął wąsacz. - Sugeruje pani, że istnieje selekcja według jakichś cech uwarunkowanych genetycznie?

Siedzący w kącie Kostia już przygasał. Z jego twarzy spływał powoli wyraz zadowolenia.

- Jeżeli przypomnimy sobie teraz naszych krewnych i znajomych, którzy nie przeżyli swojej pierwszej apokalipsy... - odezwała się Lidka cichym głosem. - Miałam siostrę. Była dobrą, spokojną dziewczyną, ale zdolności muzycznych nie miała za grosz.

Umilkła. A akademicy w ławkach się zamyślili.

Chwyt był dość ryzykowny. I jeżeli mówić uczciwie, niezbyt ładny. Po pierwsze, kilkunastu czyichkolwiek krewnych nie może być uznanych za próbkę statystyczną. Po drugie, pośród nich mogło się całkowicie przypadkiem znaleźć ze dwóch, trzech muzykantów. A po trzecie, to podłe i zdradzieckie uderzenie, każdy przecież samotnie hołubi pamięć o swoich zmarłych bliskich i wykorzystywanie tej goryczy jako dowodu naukowego...

Kostia spuścił wzrok. Z pewnością też mu się ktoś przypomniał.

Lidka złapała się na tym, że nie potrafi odtworzyć z pamięci twarzy swojej siostry. Twarz Timura, owszem, ale brat został dla niej

czterdziestoletnim mężczyzną, a Jana nie dożyła dwudziestki. Czas, kiedy braciszka i siostrę w rodzinie rozróżniano tylko po obecności bądź braku warkoczyka, cofnął się w rejon rodzinnych legend i babcinych opowieści.

Akademicy wciąż jeszcze milczeli i popatrywali jeden na drugiego.

- Ostatecznie... - odezwał się wąsaty sceptyk. - Jeżeli fundacja przydzieli na to pieniądze, choćby minimalne...

- A mój syn pięknie śpiewał - przerwała mu sekretarz Akademii, w której głosie zabrzmiała czysta nutka tęsknoty. A potem dodała ze smutnym uśmiechem: - Ale zawsze trochę fałszował...

* * *

Muzyka nie należy do kategorii materialnych, psychicznych czy biologicznych, w ogóle nie jest rzeczą ani zbiorem rzeczy... Istoty muzyki nie da się skądkolwiek wyprowadzić, podobnie zresztą jak istoty rozumu...

Zaczerwienione oczy mocno łzawiły. Z prawej strony gromadziły się już przeczytane monografie, z lewej te, które jeszcze należało przeczytać.

Muzyka jest zastygłym w bezruchu ideałem, skończonym i zamkniętym w sobie, jasnym i prostym, jak każdy z podstawowych aksjomatów, czy teorematów matematycznych... żeby pojąć muzycznie jakiś muzyczny utwór, nie potrzebujemy żadnej fizyki, fizjologii, psychologii czy metafizyki... potrzebna jest tylko sama muzyka i nic więcej...

Lidka opuściła głowę na stół. Siedzący za klawiaturą Kostia z troską zmarszczył brwi:

- Lidio Anatoliewna! Źle się pani czuje?

- Nic, nic - wymamrotała Lidka z krzywym uśmiechem. - Rób swoje, rób...

Zwykły brak snu. Nagromadzony efekt wielu ciężkich, długich miesięcy.

* * *

Miejska filharmonia otworzyła swoje podwoje na nowy sezon pod koniec października. Pierwszy sezon w szóstym roku cyklu! Gdzie indziej filharmonie i teatry odtwarzano w drugim, w najgorszym wypadku w trzecim roku cyklu.

Przedtem krążyły ponure plotki i podczas minionych pięciu lat wielu ludzi uwierzyło, że filharmonie, teatry, galerie, ogrody zoologiczne czy linie pasażerskich kolei w ogóle nie zostaną odrestaurowane. Tak właśnie, mówiono, zacznie się zmierzch cywilizacji - i nadejdzie wielka apokalipsa, po której ludzkość już w

ogóle nie stanie ponownie na nogi. Ale wygląda na to, że jeszcze tym razem się udało. Tym razem...

Otwarcie sezonu zaplanowano na Święto Odrodzenia.

Na kolistym placu przed budynkiem z kolumnami kipiał feeryczny ruch. Tłum gapił się na przebierańców w staroświeckich kostiumach z perukami, pochłaniał lemoniadę i ciasteczka, kupował baloniki; połowa przechodniów miała siedzące na barana dzieciaki w wieku od trzech do pięciu lat. Było to jakby drugie piętro święta, którego uczestnicy mieli swoje zainteresowania i swój własny język.

Nieliczni posiadacze biletów przebijali się przez tłum dumni niczym pawie i powoli przesączali się do środka. Koncert zaczął się z półgodzinnym opóźnieniem; Lidka siedziała na balkonie, z boku i prawie nad głowami muzykantów. Podczas pierwszego aktu się nudziła i wodziła wzrokiem po sklepieniu, a potem zaczęła się przyglądać widzom. Drugi akt jednak ją wciągnął i po wyjściu z sali poczuła coś w rodzaju nieszkodliwej euforii.

Wzięła swój płaszcz i poszła do garderoby. Okrążyła budynek i przystanęła przy wyjściu służbowym; uroczystość na placu toczyła się według swojego scenariusza, choć dzieci już poznikały. Było po dziewiątej wieczorem.

Doczekała chwili, w której zegar na wieży wybił dziewiątą trzydzieści i weszła w oszklone drzwi wejścia dla personelu.

Ten szczupły staruszek należał do starszej grupy swojego pokolenia, czyli skończył już sześćdziesiąt pięć lat. Starannie zaczesane siwe włosy pokrył nawet lakierem. Miał na sobie strój koncertowy. I smutne, wszystko pojmujące oczy.

- To znaczy, Igorze Wiktorowiczu, w zasadzie zgadza się pan zostać naszym konsultantem?

Staruszek podniósł brwi:

- W zasadzie - tak. Swego czasu bardzo przyjaźniłem się z mamą Kostii. Co prawda, kompletnie nie rozumiem, jaką rolę w pani badaniach odgrywa Kostia Woronow. On chyba skończył politechnikę?

- Zbieramy grupę specjalistów - Lidka była samą cierpliwością. - Kostia jest matematykiem, a ponieważ będziemy mieli do czynienia ze skomplikowanymi systemami wieloczynnikowymi...

- Owszem - odpowiedział stary człowiek. - Zrozumiałem. Kostia jest matematykiem, a ja muzykiem. Tylko, droga Lidio Anatoliewna, nie bardzo mi się podoba wasze podejście do sprawy. Co to takiego: te „zdolności muzyczne”? Jak pani będzie je mierzyć?

- Przecież nie przyjmujecie do konserwatorium na chybił trafił - odpowiedziała Lidka, nie bez zdziwienia odkrywając zgryźliwość w swoim głosie. - Są przecież jakieś kryteria, prawda?

- Są - kiwnął głową staruszek. - Ale do konserwatorium zgłaszają się młodzi ludzie po średnich szkołach muzycznych, kandydaci o

których wiadomo, że przygotowanie i zdolności - tak to nazwijmy - już mają... A jeżeli pani zechce zmierzyć zdolności muzyczne u, powiedzmy, murarzy albo kierowców, czy wojskowych... u ludzi, którzy ani razu w życiu nie widzieli zapisu nutowego. Jakie zastosuje pani kryteria?

- Wiec naprawdę ich nie ma? - zapytała Lidka z niedowierzaniem w głosie. - Słuch, poczucie rytmu, muzyczna pamięć...

Staruszek westchnął:

- Lideczko, widywałem kandydatów z absolutnym słuchem i poczuciem rytmu, kompletnie pozbawionych tego, co nazywamy muzykalnością. Jak słusznie pani zauważyła, jest to zamknięte w genach i przekazywane zgodnie z prawami dziedziczności. Więc...

- Niemożliwe - wydusiła z siebie Lidka, nieco się zapomniawszy.

Staruszek westchnął ponownie:

- Lidio Anatoliewna, ma pani ciekawy projekt... I postaram się wam pomóc w miarę swoich możliwości. Ale to nie jest takie proste i chciałbym, żeby pani to zrozumiała.

Lidka milczała.

Akurat dzisiaj z pianą na ustach udowadniała członkom międzynarodowej komisji, że pojęcie „zdolności muzyczne" doskonale poddaje się matematycznej analizie.

* * *

Zima przeszła jak jeden dzień - co prawda ciężki, długi i cały czas taki sam. Samowolnie zaanektowała niemal cały marzec, ale pod koniec kwietnia nadeszło lato - nagle niczym eksplozja ciepła i zieleni.

- Lidio Anatoliewna!

Obejrzała się.

Od poobijanej ściany Akademii oderwał się nieznany jej mężczyzna. Dość młody, w jasnym płaszczu do pięt, zrobił krok ku przodowi, jakby zamierzał nawiązać z nią rozmowę, ale nagle się zatrzymał - po jezdni szła gwarna kolumna przedszkolaków, prowadzona przez dorodną i piersiastą wychowawczynię z czerwoną chorągiewką w ręce.

Nieznajomy został odcięty od Lidki, tak jakby pomiędzy nimi znalazła się niespodziewanie magistrala kolejowa z przejeżdżającym składem pociągu. Ten zaś poruszał się umyślnie powoli, tupiąc bucikami po odnowionym niedawno asfalcie, czemu towarzyszyły śmiechy, okrzyki i machanie rączkami. Po drugiej stronie ulicy miotał się, starając się zwrócić na siebie uwagę Lidki, nieznajomy w jasnym płaszczu.

Lidka zatrzymała się.

Kolumna dzieciaków wreszcie się skończyła; w ostatnim wagonie przejeżdżającego pociągu przepłynęła druga wychowawczyni, też z

chorągiewką, ale już nie tak dorodna i okazała jak pierwsza.

- Lidio Anatoliewna, specjalnie na panią czekam. Polecił mi panią Oleg Władimirowicz Sysojew.

Lidka wytężyła pamięć, ale nie znalazła w niej żadnego Olega Władimirowicza. W każdym razie pomiędzy aktualnymi znajomymi go nie było.

- ...akademik Sysojew jest starym przyjacielem mojego ojca... uważa panią za wschodzącą gwiazdę światowej nauki. Od dnia, w którym złożyła pani doniesienie o wstępnych rezultatach pracy nad pani projektem. Nie ma pani nic przeciwko temu, że mi o tym powiedział?

Lidka milczała.

Jej projektowi nie zdążono nadać żadnego gryfu tajności. Być może przyczyną był fakt, że służby odpowiadające za pilnowanie państwowych tajemnic do tej pory nie zdołały się otrząsnąć po haniebnym pogromie OP; być może chodziło o to, że nie wszyscy wierzyli, iż jej praca przyniesie jakiekolwiek pożyteczne i widome wyniki. A być może stało się tak zupełnie bez przyczyny. Projekt nie miał więc oficjalnie tajnego statusu, ale rozprawiać z przyjaciółmi i znajomymi o stosunkowo skomplikowanej, budzącej emocje i spory, i ledwo rozpoczętej pracy...

- Lidio Anatoliewna, może powinienem coś wyjaśnić. Nie jestem natrętnym ciekawskim, nie jestem też dziennikarzem... jestem pisarzem. Pisarzem fantastą. Teraz pracuję jako kierowca w mleczami, ale w poprzednim cyklu wydałem pięć własnych książek oraz sporo nowel w rozmaitych czasopismach, almanachach i zbiorkach. Mam też na koncie kilka literackich nagród, w tym jedną międzynarodową. Według mojego scenariusza miał nawet powstać film... ale nic z tego nie wyszło - apokalipsa. Jestem członkiem Związku Pisarzy... o, proszę. - Nieznajomy wyjął z kieszeni płaszcza jakąś legitymację w niebieściutkich okładkach, wewnątrz której pyszniła się pieczęć na ponurej, oficjalnej fotografii posiadacza.

- Zechce pan wybaczyć - ucięła Lidka. - Muszę zdążyć na siódmą do pracy, a powinnam jeszcze...

Nieznajomy zamachał rękoma:

- Lidio Anatoliewna, to nie zajmie pani zbyt wiele czasu. Nazywam się Wielikow. Witalij Wielikow. Mogę panią podwieźć samochodem.

Lidka, która chciała już wyminąć pisarza i pójść swoją drogą, zatrzymała się nagle:

- Pan ma samochód?

- No, służbowy - zmieszał się Wielikow. - Zwykle nie nadużywam swojego stanowiska, ale w dzisiejszych czasach nie mamy zbyt wielu zakazów, a pół godzinki nikomu nie zaszkodzi.

Lidka przez chwilę zastanawiała się w milczeniu.

- Być może, w minionym cyklu wpadła pani w ręce któraś z moich powieści... „Droga dalfinów", „Utracony klucz", „Morskie diabły".

- Nie cierpię fantastyki - stwierdziła Lidka z zadumą w głosie. - Hm... „Droga dalfinów", powiada pan?

- Jestem popularyzatorem - pisarz uśmiechnął się nieśmiało i wstydliwie. - Piszę fantastykę naukową, no, może z lekkim odcieniem mistyki... ale na tematy popularnonaukowe. Dalfiny. Wrota... Cuda i tajemnice...

- Gdzie pański samochód? - rozejrzała się Lidka.

- Oto on! - uradował się pisarz.

Po przeciwnej stronie ulicy stała ogromna ciężarówka z wielką, pokrytą naciekami rdzy, jaskrawożółtą cysterną na mleko.

* * *

- Dwieście piąty kombinat dziecięcy?! Ależ ja stamtąd mam zamówienia, wożę im mleko, prawda, na poranną zmianę, o szóstej. A pani wychodzi o której? O siódmej? Szkoda, podwoziłbym panią do domu. A, ma pani blisko? Ach, Lidio Anatoliewna, wszystko rozumiem. To niebywały ciężar, kiedy człowiek zatrudnia się do pracy po nocach, żeby za dnia móc zajmować się tym, co naprawdę lubi i na czym mu zależy... a czy pani w ogóle sypia? No tak... Ale dzieci przecież... Mam czworo wnuków, każdy z synów postarał się o dwójkę. A wasz wnuczek jak ma na imię? Mówi pani, że to syn? Zuch z pani, Lidio Anatoliewna, chylę czoła przed takimi kobietami.

Lidka nigdy w życiu nie jechała mleczną cysterną. Wrażenie było przezabawne: po pierwsze wysoko umieszczona kabina stwarzała iluzję jazdy na słoniu. Po drugie, cysterna była napełniona tylko w połowie i słychać było, jak w żelaznym brzuchu głucho chlupie mleko.

- Więc tak, Lidio Anatoliewna, to literatura przyszłości. Idea. Koniecznie naukowa idea, przewidywanie. Czy pani wie, że telefon po raz pierwszy pojawił się w utworze pisarza fantasty? I nie tylko telefon. Ale nie o tym chciałem mówić... Nie tyle prognozy techniczne, ile społeczne i filozoficzne. Załóżmy, że Wrota selekcjonują ludzi o muzykalnych uzdolnieniach. Co to znaczy? Istnieje przypuszczenie, że zdolności muzyczne są silnie związane z matematycznymi. To znaczy, ze skłonnością do myślenia abstrakcyjnego... umiejętnością myślenia kategoriami, wzorcami, głębszego odczuwania i precyzyjniejszego wyciągania wniosków... wszystkie te cechy są uwarunkowane genetycznie, i jeżeli dostatecznie długo będzie prowadziło się selekcję. Wie pani, jak się pojawiają nowe gatunki pszenicy? Nowe rasy psów? Co będzie, jeżeli z czasem ilość uzdolnionych muzykalnie przejdzie w nową jakość? Nie będzie to zwykła, śpiewająca ludzkość, ale ludzkość z nową cechą, z nowym talentem. Nazwijmy go, na przykład, słuchem

wewnętrznym. Zdolność słyszenia... czego? No, na przykład głosu bożego? Co pani o tym myśli? Pojazd zatrzymał się przed światłami sygnalizacyjnymi. W cysternie zabulgotało niczym w głodnym żołądku. - Witalij... eee...

- Można bez patronimiku. Po prostu niech mnie pani nazywa Witalijem. Na miejscu będziemy za dziesięć minut. Lidio Anatoliewna, wiem, że na rozmówcach robię wrażenie dziwaka. Ale już taki jestem, nie umiem się powstrzymać... przyniosłem pani kilka moich książek. Niech pani je przeczyta, będzie pani miała jakieś wyobrażenie.

W cysternie znów coś zabulgotało.

- To tylko jeden z wariantów rozwoju wydarzeń. Nazwijmy go globalno-filozoficznym. A oto drugi pomysł, bardziej prosty: Wrota nikogo nie selekcjonują. Po prostu generują fale, które ułatwiają przejście ludziom z pewnym zespołem cech... wśród których jest muzykalność. Co pani na to powie?

Lidka otworzyła usta i szybko je zamknęła.

- Albo wariant trzeci; muzyka i dalfiny. Przypuśćmy, że dalfiny są jakoś związane w fenomenem Wrót. W jaki sposób? Powiedzmy, że generują te same fale, co Wrota. Fale, których nie możemy zarejestrować współczesnymi przyrządami. Albo przeciwnie, nie generują, tylko odbierają...

- Jesteśmy na miejscu - przerwała mu Lidka.

Wielikow ostrożnie i fachowo wcisnął cysternę w odstęp pomiędzy płotem przedszkola a przystankiem autobusowym, zeskoczył na ziemię, zgodnie z etykietą okrążył szoferkę i z galanterią pomógł Lidce zejść po wysokim, zakurzonym trapie.

- Za jakiś czas - stwierdził z zadumą - gdzieś tak w dziesiątym, jedenastym roku cyklu, odrodzi się zainteresowanie literaturą i wydawaniem książek. Ten, kto umie patrzeć przed siebie, odczytać i odgadnąć charakterystyczne dla danego cyklu cechy, trafić w przypuszczalne gusta czytelników i jako pierwszy wyda odpowiadającą społecznemu zapotrzebowaniu powieść... ten zwycięży, Lidio Anatoliewna. Proszę, oto moje książki. Niech pani nie zwraca uwagi na okładki. Ich kształtu i wyglądu nigdy nie uzgadnia się z autorami. W „Drodze dalfinów" nie masz ani jednej sceny łóżkowej, a w „Utraconym kluczu" nikt do nikogo nie strzela.

Lidka ostrożnie, niemal dwoma palcami, wzięła z rąk Wielikowa parę tomików w błyszczących okładkach. Na jednej widać było tęgą, grubą kobietę, która rozpaczliwie usiłowała zasłonić się jakąś przejrzystą szmatką przed przerażająco wyglądającym dalfinem, który wyłaził z lustra. Po drugiej gnały otoczone czerwoną mgiełką glefy. Płonące ruiny jakiegoś miasta sięgały im zaledwie do kolan. Gruba, tak zwana artystyczna deformacja.

- Może do pani przedzwonię? - zapytał Wielikow tonem

wykluczającym wszelki sprzeciw.

- Rzadko można mnie zastać w domu - odpowiedziała Lidka powoli. A potem dodała: - Niech pan poczeka, a skąd pan wziął numer mojego telefonu?

Wielikow już wlazł do kabiny i teraz machał na pożegnanie ręką:

- Do zobaczenia, Lidio Anatoliewna! Strasznie się cieszę z tego, żeśmy się poznali!

I dodał gazu, napełniając okolicę obłokami smrodliwego dymu.

* * *

Była sobie dziewczynka. Pewnego razu poszła do lasu na grzyby i nazbierała pełno jagód. I wtedy zobaczyła taaaakiego potwora! Wyobrażasz sobie? Żmiję!!!

[Bajeczka Andriuszki, 12 stycznia 6-go roku]

* * *

- ...a teraz, dzieci, weźmiemy łyżki i będziemy stukać do taktu. I rrraz, iii dwa! Saszeńko, nie trzeba tak mocno łupać. U nas tańczą małe zwierzątka, a ty walisz, jakby szła Baba Jaga!

Czterolatki parsknęły śmiechem. Sumienna Saszeńka padła na dywanik i zabębniła ze śmiechu piętami o ziemię.

Lidka starannie zamknęła drzwi.

Ostatnio ogromną popularnością cieszyły się wszelkiego rodzaju zajęcia muzyczne. Nie było tygodnia, w którym w jakiejś gazecie nie pojawiła się odpowiednia publikacja; ich ton był różny, od ostrożnych uwag sugerujących korzyści wypływające z muzycznego wykształcenia, po radosne i entuzjastyczne wrzaski: odkryto tajemnicę Wrót!

Początkowo Lidka usiłowała ustalić źródło przecieków. Potem machnęła ręką: ostatecznie, ubocznym rezultatem tego rodzaju zainteresowań będzie co najwyżej rozkwit amatorskiej działalności muzycznej, a to akurat nikomu nie zaszkodzi.

Na telefony ciekawskich odpowiadała nie bez rozdrażnienia w głosie, że to fałszywe plotki, że żadnych rezultatów nie ma i nie prowadzi się w tym kierunku żadnych badań. Oczywiście, nikt jej nie uwierzył.

* * *

Dziś w ogródku zaczął opowiadać bajeczkę o tym, jak to żyli sobie razem wielki dom-mama i mały domeczek-syn. Co było dalej, słuchacze się nie dowiedzieli. Bajeczka była widać bardzo smutna - dlatego, że opowiadający się rozpłakał, zanim zdążył rozwinąć akcję.

Wczoraj narysował na dwóch kartkach dwa jednakowo nagryzmolone rysuneczki, ale na pierwszym był zły pająk w

pajęczynie, a na drugim - dobry. Pajęczyny wyglądają tak samo i nie ma sposobu, żeby się zorientować, w której siedzi dobry. Ale on jakoś je rozróżnia! I obraża się na mnie, kiedy je ze sobą mylę! Skończyło się tym, że zupełnie jak w tej historyjce, przestraszył się złego pająka i schował się przed nim w szafce na ubranie.

Jestem idiotką. Wydaje mi się, że jest najzdolniejszy ze wszystkich dzieci. Najpiękniejszy. Że pozostałe dzieci wyglądają przy nim jak oślęta obok lwiątka. Wiem, że matka nie może mieć uprzedzeń wobec innych dzieci, ale nic na to nie mogę poradzić!

[20 kwietnia. A. skończył trzy latka]

* * *

Lidka za nic w świecie nie wzięłaby się za te książki, tak jej się przynajmniej wydawało. Ale po ogłoszeniu nocnej ciszy, kiedy dzieci już od pół godziny grzecznie pochrapywały, zupełnie się jej nie chciało spać - i okazało się, że poza książkami, które jej przyniósł Wielikow, nie ma czym zabić czasu.

Wyjęła je z torby po to, żeby obejrzeć i zachwycić się pomysłowością grafika. Potem jej wzrok trafił na pierwszy akapit: „Był to skromny piknik na przybrzeżnych skałach. Zachciało mi się nakarmić dalfina z ręki i kiedy dorośli się odwrócili, ściągnąłem z ceratowego obrusa rożen z niedojedzonym szaszłykiem, a potem skacząc z kamienia na kamień, pobiegłem ku wodzie...”

Lidka zmarszczyła brwi. Nie wiadomo skąd doszedł ją zapach szaszłyku; w przedszkolu raczej szaszłykami nie karmią. Pachnie tu mlekiem, kaszą, w ostateczności marchewkowym puree, zapach pojawił się w jej wyobraźni nie dlatego, że tekst był dobry. Nie, Lidce po prostu przypomniał się epizod z jej własnego dzieciństwa, kiedy to - ujrzawszy z brzegu lśniące, czarne grzbiety - po raz pierwszy w życiu ośmieliła się spojrzeć na dalfiny z bliska. I - co za przypadek - było to akurat podczas kwietniowego pikniku, kiedy dorośli byli zajęci przygotowywaniem szaszłyków, a Timur i Jana, dumni i świadomi swej dojrzałości, podawali go z rożna.

Sama nie zauważyła nawet, kiedy przeczytała trzy rozdziały. Wielikow pisał interesująco i z rozmachem, Lidka jednak nie mogła się pozbyć uczucia, że opisuje podpatrzone przez kogoś jej własne myśli i na poły uświadomione sobie przez nią uczucia, które autor doprowadził tylko do logicznych konkluzji i ubrał w formę książki. Z taką przerażającą okładką. I takim banalnym tytułem. A tym autorem jest jej znajomy gaduła - kierowca mlecznej cysterny.

Wspomnienie bulgoczącego w zbiorniku mleka wybiło Lidce z głowy chęć dalszej lektury. Raz jeszcze przeszła się po sypialniach, potem rozwinęła swój śpiwór i położyła się spać.

Przyśniła jej się opustoszała droga, migające żółcią światła ulicznej sygnalizacji na placu przed Parkiem Sołomińskim, kobiety i mężczyźni, którzy stali bez ruchu na mokrym asfalcie „zebry". Wszyscy bez butów, w samych tylko pantoflach. Lidka zamarła także i przez kilka sekund patrzyła na wszystko, a potem od tłumu oddzielił się mężczyzna, w którym po chwili poznała podstarzałego opera Saszę.

- Buty mi spadły - stwierdził Sasza, patrząc wstydliwie na swoje skarpetki. - A jak buty spadną, to koniec... taka już nasza cecha narodowa.

Stojąca obok kobieta pokiwała ze znużeniem głową; Lidka poznała w niej sąsiadkę z domu naprzeciwko, którą dawno temu, jeszcze przed apokalipsą, przejechał samochód na Placu Sołomińskim.

Pozostałych nie znała. I nawet nie miała ochoty się im przyglądać; tytanicznym wysiłkiem wyrwała się z objęć snu, jak mucha z rosołu.

Przekręciła się na drugi bok. Trzykrotnie wymamrotała: „W nocy się śpi".

I rzeczywiście, nic więcej już się jej nie przyśniło.

O szóstej, kiedy za szarym oknem gasły uliczne latarnie i obudził się jakiś pies, o blaszany parapet pod oknem delikatnie stuknął kamyczek.

Lidka nie od razu zrozumiała, co ją obudziło. Dzieci spały; przez jakiś czas leżała, patrząc w sufit podświetlony przez blask żółtej ulicznej latarni... Potem latarnia przygasła - jakby zamknęło się czuwające nad nimi w nocy oko. I jednocześnie z tym uderzył drugi kamyczek - tym razem w szybę.

Lidka podniosła się - spała w sportowym trykotowym stroju - i podeszła do okna.

Na posypanej żwirem ścieżce stał uśmiechnięty od ucha do ucha Wielikow.

* * *

- To Zarudny?

Wielikow z ciekawością oglądał biurko, przy którym pracowała Lidka. Spod grubego plastyku patrzył na niego wyblakły już, ale wciąż uśmiechnięty Andriej Igorowicz.

- Sympatyczny mężczyzna...

- Wcześniej nie widział pan jego portretów? - zdziwiła się Lidka.

- Owszem, ale tamte były oficjalne. Wie pani, takie z obwódkami. Zarudny nigdy mnie nie interesował jako człowiek. Przedtem mnie nie interesował. Ale ta fotografia, wie pani... jest bardzo osobista, przesycona pani uwagą i osobistym, ciepłym stosunkiem...

Wielikow umilkł, patrząc na nią wyczekująco.

- Andriej Igorowicz był moim teściem - rzuciła niedbale, kiedy milczenie zrobiło się już zupełnie krępujące.

- Tak? - zdziwił się uprzejmie Wielikow.

- Myślałam, że wszyscy o tym wiedzą. - przyznała Lidka.

Wielikow uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Kiedy w pierwszej klasie wręczyli mi dyplom pochwalny, też myślałem, że wie o tym cały świat. W drugiej klasie stłukłem dwie filiżanki z serwisu - i pomyślałem o tym samym. Nie wiedziałem zresztą, że Zarudny miał syna. Ktoś mi mówił, że miał dwie córki.

- Z jego synem rozwiodłam się - stwierdziła Lidka, uprzedzając nieuchronne pytanie. - Takie bywa życie...

- Bywa - kiwnął głową Wielikow. - Na przykład moje trzy żony rozbiegły się każda w swoją stronę. Wyobraża sobie pani, jak życie dało im, biedaczkom, w kość?

Lidka się uśmiechnęła:

- Niech pan sobie wyobrazi, że sobie wyobrażam.

Gabinet - pierwszy w życiu Lidki osobisty gabinet! - był w rzeczywistości małą klitką, oddzielona od pozostałej części pomieszczenia ścianką ze sklejki. Za ścianką rozmawiano, śmiano się i stukano w klawiatury aparatury, podczas gdy Lidka mogła się rozkoszować iluzją prywatności. No, jakby nie było, należała do kierownictwa.

Drzwi szafki - w jej klitce mieściły się tylko biurko, dwa krzesła i szafa - lekko się uchyliły, bezwstydnie ukazując domowe kapcie Lidki i szmatkę do butów.

- Ten portret z pewnością pomaga wam w pracy? - zapytał nieśmiało Wielikow.

- Andriej Igorowicz... - odezwała się Lidka po chwili milczenia. - Andriej Igorowicz chciał wierzyć, że Wrota to coś dobrego, co ma służyć ludziom. Że ich główną funkcją jest ratowanie. Że tylko od samej ludzkości zależy, czy w czasie kryzysu będą ofiary, czy nie. „Z dumnie podniesionymi głowami". Piękna hipoteza.

Wielikow potarł nasadę nosa pomiędzy brwiami:

- Dlaczego wasz Instytut... przepraszam, wasz oddział, nie miałby przejąć imienia po Zarudnym? Mam oczywiście na myśli przyszłość?

Lidka przez chwilę milczała i uważnie mu się przyglądała.

- Co się stało, Lidio Anatoliewna? Powiedziałem coś nie tak?

- Ja też o tym myślałam - przyznała się Lidka wbrew samej sobie. - W przyszłości... owszem, jego imię mogłoby...To byłoby sprawiedliwe. Gdybyśmy spełnili pokładane w naszej działalności nadzieje...

Wielikow uśmiechnął się szeroko:

- A czy pani się nie boi, Lidio Anatoliewna, że idea Zarudnego została nie tyle skompromitowana, co źle się ludziom kojarzy? Ostatecznie niewielu już pamięta, kim był i co głosił, ale dźwięk jego nazwiska wywołuje w ludzkiej pamięci wspomnienia Mroza, upadku

OP.

Lidka zmierzyła rozmówcę ostrym spojrzeniem - od zakurzonych butów, po wysoko uniesione, rudawe brwi.

- Pan szuka materiału do nowej powieści?

- Zawsze i wszędzie - przyznał się Wielikow. - A co w tym złego?

Lidka nie odpowiedziała. Usiadłszy za biurkiem, nawykowymi ruchami przysunęła ku sobie czerwoną teczkę z kartonu. Była w niej informacja zebrana w minionym tygodniu. Wstępne rezultaty analizy statystycznej.

Wielikow przysiadł naprzeciwko:

- Z pewnością pani przeszkadzam. Wydaje się pani, że jestem natrętem. Każdy ma swoje metody działania. Pani zbiera informacje niczym pracowita pszczółka - szczypta każdego dnia, codziennie po trochu i ma pani nadzieję, że w komórkach waszego plastra ta informacja któregoś dnia przerodzi się w nową jakość, w słodkie, miodowe odkrycie. A ja fruwam sobie jak motylek, metodą „na chybił trafił". Z kwiatka na kwiatek, bez żadnego systemu, lecę tam, gdzie widzę coś jaskrawego. Jestem intuicjonistą. Na przykład dzisiaj... Wyjechałem o świcie, ulice jeszcze puste... Jadę, rozwożę mleko. I przychodzi mi do głowy taka myśl: A jeżeli ludzkość jest zagubionym dzieckiem? Przecież nie bez powodu jest takie nierozumne, nie bez powodu nie wie, skąd się wzięło i po co? A zgubił je jakby... światowy intelekt, zgubił i wszędzie szuka... może nas już znalazł? Niech pani to sobie wyobrazi: zgubił w dżungli dziecko, a po wielu latach odnalazł wyrostka, małego dzikusa... małpę chodzącą na dwóch nogach. Nawet nie małpę - dziecka przecież nikt niczego nie uczył, cud że nie przepadło i proszę... znalazło się! Co się robi z takimi dziećmi? Prowadzi się je do pracowni naukowej, do laboratorium. I nas wsadzili, za pośrednictwem Wrót. Co pani na to?

- Już gdzieś to słyszałam - stwierdziła niezbyt pewnym głosem. - Wtórny pomysł...

- Nic podobnego! - obruszył się Wielikow. - Słyszała pani o dziecięcym Bogu, a nie o dziecięcej ludzkości... Ludzkość-podrzutek! Nikt nas nie zgubił, podrzucono nas małpom. Z powodu nieprzydatności. A potem, kiedy się okazało, że podrzutek się uchował i zaczyna przejawiać agresywność - wtedy nałożono mu kaganiec. Żadnych lotów kosmicznych ani inżynierii genetycznej.

- Czego? - zapytała Lidka.

- Inżynierii genetycznej. Wymyśliłem ten termin w „Utraconym kluczu". Widzi pani, jeżeli założyć, że pani hipoteza jest zgodna z rzeczywistością i Wrota selekcjonują ludzi według jakiejś cechy, powinna ona być głęboko ukryta. W genach. I nie potrafi pani stwierdzić istnienia tej prawidłowości, bo nie znajdzie pani przyrządów, technologii, przecież zmiana w genach niekoniecznie

musi się objawić od razu i niekoniecznie musi być związana z jakąś widoczną cechą, w rodzaju tych pani zdolności muzycznych...

- One nie są moje - zaprzeczyła Lidka odruchowo.

Oczami wodziła wiersz za wierszem, kolumna za kolumną. I wracała do poprzednich, jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi.

Dane, zebrane i przeanalizowane przez różnych ekspertów przeczyły jedne drugim. W jednym i tym samym rejonie - Podolskim - pojawiały się zupełnie różne rezultaty; z prac Kostii Woronowa wynikało, że dziewięćdziesiąt procent utraconej młodzieży nie miało żadnych „muzycznych zdolności". Raport nowej współpracowniczki, znawczyni muzyki, mówił o pięćdziesięciu procentach, a i to „wiarygodność wielu danych budzi wątpliwość".

Kolumna nazwisk (rok i cykl urodzin, rok i cykl śmierci, źródło informacji, odsyłacz do archiwum). Pod wnioskiem - „muzykalnych zdolności nie posiadali" - akademicka dama nagryzmoliła czerwonym ołówkiem: „konkretne dowody?"

Druga kolumna, nazwiska, rok i cykl urodzin, numer czy nazwa szkoły muzycznej, nazwisko nauczyciela. Notatka napisana innym, nieznanym Lidce charakterem pisma: „Wypis z charakterystyki... na egzaminach wstępnych odkryto wrodzony słuch, rytm i pamięć muzyczną. Ocena egzaminacyjna - trzy. Brak nie tylko pracowitości, ale i zainteresowania muzyką". „Na egzaminach wstępnych odkryto rozwinięte... na egzaminie końcowym - cztery... Pracowita, ale zdolności muzyczne na średnim poziomie..."

- Brednie - stwierdziła Lidka przez zęby.

- Co takiego? - spytał Wielikow, który zdążył umilknąć.

- Słuch, rytm, pamięć muzyczna... wrodzone! Czemu piszą: „brak zdolności"?

- Znałem kiedyś jednego śpiewaka - oznajmił Wielikow z westchnieniem. - Miał oczywiście słuch, pamięć i tak dalej. I głos - niczym syrena okrętowa. Śpiewał głośno i z uczuciem. I zgodnie z zapisem nutowym. Jak robot... przy okazji, wpadł mi do głowy pomysł powieści o rozwoju robotechniki. Chce pani posłuchać?

- Niech pan trochę pomilczy - odpowiedziała Lidka z rezygnacją.

- Szuka pani nie tam, gdzie powinna - łagodnym głosem podsunął Wielikow. - Próbowaliście analizować cechy zewnętrzne, efemeryczne, określane z trudem i w zasadzie niemierzalne. A trzeba by analizować na poziomie genetycznym.

Lidka podniosła na niego ciężkie spojrzenie.

- Owszem - westchnął pisarz. - Na współczesnym poziomie nauki to niemożliwe. Ale sądzę, że gdzieś tak za cztery, może pięć cyklów.

- Niech pan wyjdzie - odpowiedziała Lidka.

Wielikow wstał i przepełniony poczuciem winy podrapał się po nasadzie nosa pomiędzy brwiami. Wykonawszy coś w rodzaju ukłonu

podszedł ku drzwiom, gdzie niemal zderzył się z sekretarką Lenoczką, tak wzburzoną, że weszła bez pukania:

- Lidio Anatoliewna! Telegram z Akademii Europejskiej...

Nie zwracając uwagi na zamarłego nagle Wielikowa Lidka wyjęła z jej rąk blankiet na oficjalnym, niemnącym się papierze.

Akademia Europejska przesyłała Lidii Anatoliewnej jak najserdeczniejsze europejskie pozdrowienia. Jej hipoteza została sprawdzona przez specjalną grupę europejskich ekspertów - i znalazła wspaniale potwierdzenie.

Rozdział 12

Dzwonek do drzwi.

- Ciociu Lido! Andriej w domu?

Dziewczynka z ósmego piętra. Starsza grupa, już nie dziewczynka właściwie, a dziewczyna. Piętnastoletnia. O dwa lata starsza od Andrieja.

- A co się stało? - zapytała Lidka, otulając się ciaśniej szlafrokiem.

- Kotek! Kotek na podwórzu! Wlazł na drzewo!

- Wysoko? - zapytała Lidka odruchowo.

- Strasznie wysoko! - radośnie oznajmiła dziewczyna. - Nikt nie może dosięgnąć...

- Andriej... - zaczęła Lidka niezbyt pewnym głosem.

Syn już wyskoczył za drzwi i nie czekając na windę, z hukiem pognał schodami w dół. Z hukiem - dlatego, że nie dobiegając do końca podestu, Andriej przeskakiwał ostatnie cztery, pięć stopni i lądował sprężyście, ale głośno.

Lidka wzuła na stopy sportowe pantofle, narzuciła na ramiona płaszcz i wyszła za młodymi.

Wokół wysokiej topoli zebrał się tłumek gapiów. Lidka sama nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziała w mieście kota. Staruszek spod dwudziestego siódmego trzymał kota, ale obaj niedawno umarli. Ze starości.

Andriej dał nura w tłum, który natychmiast zaczął się przed nim rozstępować. Jak wtedy, gdy przez grupę gapiów, którzy zebrali się wokół miejsca ulicznego wypadku, przedziera się stanowczy lekarz.

- Gdzie? - Andriej zadarł głowę do góry.

Odpowiedział mu cienki, koci jęk.

Kot był bury i pręgowany, miał prawie ochronną barwę. Pośród gałęzi w ogóle nie byłoby go można odnaleźć wzrokiem, gdyby nie przeciągłe miauczenie.

Pod drzewem stała rówieśniczka Andrieja z trzeciego piętra, która pochlipywała, przyciskając do piersi brudne piąstki:

- Wyrwał mi się... trzymałam go. A on mi się wyrwał... wyszliśmy tylko na chwilkę...

- Twój? - zapytała Lidka.

Dziewczynka kiwnęła głową:

- Tatuś ze wsi przywiózł.

Tymczasem Andriej zdążył już jak małpa objąć pień topoli i świecąc podeszwami trampek polazł w górę. Lidka odwróciła się: dała kiedyś synowi uroczyste słowo honoru, że nigdy nie będzie kontrolować wysokości, na którą ten postanowi się wdrapać. W

zamian za to syn dał jej słowo, że nigdy nie będzie się wspinał na fabryczne kominy, dachy wagonów ani budki transformatorowe. I - o czym dobrze wiedziała - dotrzymywał swojej części umowy, nie próbując jej obchodzić.

W pół godziny później smarowała maścią głębokie zadrapania na rękach syna. Andriej udawał, że nic go nie boli. Zachłystując się niemal entuzjazmem, opowiadał, jak miękką sierść miał ten kotek. I że Lenka teraz z pewnością pozwoli mu głaskać swojego Arbuza... tylko jemu i nikomu innemu na całym podwórku! I dobrze byłoby... no, mamo, rozumiesz chyba... gdybyśmy tak mieli kotka albo pieska... fajnie byłoby, prawda?

- Za sześć lat będzie *mryga* - odpowiedziała Lidka z westchnieniem. - Weźmiesz na siebie odpowiedzialność za zwierzę? Bo ja nie.

Zwiesiwszy nos na kwintę, syn zaczął oglądać swoje ręce, podrapane drobnymi pazurkami przerażonego zwierzęcia.

* * *

Ani upadki z guzami i siniakami, ani dziury w spodniach nie mogły go zniechęcić do zgubnego nawyku - łażenia po drzewach. Kiedy trzeba było zdjąć z wysokiego drzewa gołębia albo piłeczkę do badmintona, starsi chłopcy zawsze wołali Andrieja. Dziewczynki wzywały go na ratunek, kiedy podczas zabaw ci sami chłopcy ciskali im na drzewo skakankę.

Pewnego razu ktoś na podwórku powiedział Andriejowi, że są takie specjalne szpony, które zakłada się na nogi do łażenia po gładkich słupach. Prostolinijny chłopak natychmiast zwrócił się do mamy z prośbą, żeby mu wykombinowała gdzieś takie słupołazy. Zaszokowana Lidka natychmiast dała mu solenne słowo honoru, że osobiście zerżnie mu skórzanym paskiem gołą dupinę, jeżeli choć podejdzie do takiego słupa. Niech tylko spróbuje.

Próbować nie próbował. Chłopak doskonale wyczuwał mamine nastroje i - choć zwykle nie był strachliwy - tym razem postanowił nie kusić losu.

* * *

Pośród innych wydziałów Instytutu Historii Kryzysów wydział Lidki wyglądał jak niedźwiedź pomiędzy królikami i wiewiórkami. Finansowanie, międzynarodowe stosunki, ulgi i granty, korespondenci. Dokumentalny film. Służbowy samochód na podjeździe.

Pracownicy sąsiednich wydziałów hodowali groszek i trudzili się przy rozmnażaniu muszek. Od czasu do czasu sąsiedzi zawierali z Lidką umowy o współpracy, co otwierało przed nimi nowe

perspektywy zdobywania finansów, a Lidce dawało iluzję nowych możliwości. Szczegółowe drzewa genealogiczne wybitnych muzyków powinny spełnić tę samą funkcję, co dziesiątki pokoleń groszku. Rozmaite testy wśród studentów konserwatorium - i pełne namysłu obserwacje muszek owocowych na laboratoryjnych szkiełkach. Praca paliła się wprost w rękach, dysertacje sypały się jak z rękawa. O związku zdolności muzycznych z grupą krwi, i druga, o braku takiego związku. O muzykantach chorujących na hemofilię, o wpływie rytmu bębna na mózgowe neurony, o szkodliwości młodzieżowych dyskotek, o rozkładzie określonych typów charakterystyk słuchowych związanym z przynależnością etniczną. - I tak dalej...

Wydział Lidki zasadniczo nie był wydziałem w pełnym tego słowa znaczeniu - było to zbiorowisko pracowitych kretów, ryjących na wszystkie strony od dość dowolnie wybranego kopca centralnego. Podczas rycia krety natykały się na bardziej lub mniej pożyteczne kopaliny czy inne znaleziska, resztki dawnych tunelów, studnie artezyjskie i - czasami - czyjeś rozkładające się zwłoki; słowa o niezwykłej użyteczności i wspaniałych perspektywach takiej pracy dawno już utraciły początkowy sens i przekształciły się w coś podobnego do modlitewnych zaklęć.

Lidka dawno temu zdążyła już poznać rozmiary bagniska, które ją wciągnęło i przestało jej to doskwierać. Kilku pracowników, którzy podlegali bezpośrednio jej i nikomu innemu, prowadziło oddzielne, ściśle utajnione badania. Swoi nazywali je: „Pracą ściśle eksperymentalną". Jądrem zagadnienia było przebadanie wszystkich młodych ludzi na okoliczność braku lub posiadania „zdolności M". Nie chodziło więc o muzykalność nabytą na nudnych lekcjach muzyki albo wtłoczoną w dziecięce główki dla zaspokojenia próżności rodziców - poszukiwano czystej, wrodzonej „zdolności M", nie dającej się jak wiadomo zmierzyć żadnymi przyrządami, ale doskonale rozpoznawalnej przez każdego, kto ma uszy.

Koordynatorem prac tej grupy był doktor nauk Konstantin Woronow. Podczas minionych lat Kostia niewiele się zmienił - pozostał takim samym żywiołowo reagującym, nieprzejmującym się życiowymi trudnościami i wierzącym w lepszą przyszłość geniuszem domowego chowu. W jego mieszkaniu - które dostał dzięki staraniom Lidki - jedna za drugą zmieniały się żony; podczas minionych lat Kostia pięć albo sześć razy dawał się złowić. Ani jedna nie utrzymała się na dłużej - co nie było niczym dziwnym, bo żadne małżeńskie więzy nie mogły zmusić Kostii do tego, żeby nocował w domu. Noce spędzał w towarzystwie maszyny obliczeniowej, i wszystkie zaniedbywane systematycznie małżonki ciskały pod adresem Kostii i jego machin jedno i to samo, kompletnie się nienadające do druku życzenie, czym Kostia wcale się nie przejmował.

Decydujący etap „ścisłego eksperymentu” wyznaczono na pierwsze lata kolejnego cyklu. Wtedy zostanie tylko postawienie krzyżyków na wcześniej przygotowanych spisach. I rozdzielenie całej tej młodzieży na dwie nierówne grupy - szczęśliwie ocalałą większość i poległą tragicznie mniejszość. I zestawić te spisy z opracowanymi przez Kostię „schematami cech”. Co miało być wspaniałym potwierdzeniem „hipotezy Sotowej”.

- Lidio Anatoliewna, niech pani tylko popatrzy, co za pięknisia!

Młoda laborantka poczerwieniała, jak na schadzce. W jej rozkoszne, długie włosy też wplątały się muszki drozofile, ale był to widok raczej wzruszający niż niemiły.

- Jaka pięknisia! - powtórzyła laborantka z uczuciem. - Oczka, niech pani spojrzy, jak rubinki.

Lidka zajrzała w okular mikroskopu. W jasnym krążku zobaczyła przepiękną drozofile („piękna, jak żaglowiec” - mówił szef tutejszego oddziału, którego z Lidką łączyła stara i dobra znajomość). Cieniutkie, wygięte skrzydełka, dwubarwne ciało („mozaika”) i ogromne, zaciągnięte spokojnym smutkiem oczy.

- Mamo, mogą popatrzeć?

Andriej widział muszki nie jeden i nie dwa razy, ale nigdy nie przepuszczał okazji, żeby wetknąć w mikroskop swój nos (a raczej oko). Lidka dawno już przestała mu tego zabraniać - a może chłopak zostanie uczonym?

- Mucha domowa to paskudne świństwo, gruba, umazana tłuszczem i brudem. A drozofila - stwór boży, leciutki, różnoraki. Czarne muchy tłukę butem, a drozofile kocham z całego serca!

Laborantka zachichotała. Andriej oderwał się od mikroskopu - bez cienia uśmiechu, tylko w kącikach zmrużonych oczu igrały mu diabelskie ogniki.

Ostatnio zaczęto go uznawać za swego nie tylko w wydziale Lidki, ale i w całym Instytucie. Otoczony nimbem księcia następcy tronu chłopak o szerokich ustach i jeszcze szerszym uśmiechu, uzbrojony w nieodparty czar i od dawna znający siłę swej broni, potrafił wzbudzać sympatię, nie wywołując w nikim zawiści. Jakże zresztą mogliby dorośli ludzie - uczeni! - zazdrościć czegokolwiek wyrostkowi z młodszej grupy.

Lidka wiedziała, że w szkole zawistnicy byli. Nieliczni, ale zawzięci. Dwója ze sprawowania w minionym okresie, która postawiła pod znakiem zapytania dalszą możliwość nauki syna w tej szkole, była w sześćdziesięciu procentach rezultatem zawiłych intryg - ale w czterdziestu procentach należała się Andriejowi, jak chłopu ziemia.

- Andriej, chcesz jeść?

- Jeść? Co jeść? Gdzie jeść? Jasne, że chcę!

Chudy był tak, że można by go ukryć za grzebieniem, ale jeść

lubił dużo i smacznie. Ci, którzy go znali, dziwili się, „gdzie on to wszystko podziewa”. Najpewniej w rezultacie reakcji chemicznych pochłonięte pożywienie przekształcało się w nieposkromioną energię.

Przed wizytą w kawiarence Lidka zajrzała do swojego gabinetu. Andriej został na korytarzu - wolał poskakać na sprężynującej pod stopami bardzo drogiej, importowanej wykładzinie; sekretarka przymknęła drzwi i nie wiadomo dlaczego wymamrotała zmieszanym głosem:

- Lidio Anatoliewna, dzwonili z Ministerstwa Sytuacji Nadzwyczajnych...

Podczas minionych lat Lidka doskonale przećwiczyła sztukę panowania nad swoimi reakcjami, teraz jednak dla zachowania niewzruszonej miny musiała się zdobyć na dodatkowy wysiłek.

- Co powiedzieli?

- Wyznaczyli spotkanie... przyjęcie u ministra. Umówiłam termin z waszym planem zajęć. W poniedziałek o dwunastej.

Za dwa dni. Lidka bezgłośnie odetchnęła.

- Dziękuję, Lenoczko. Pójdziemy z Andriejem coś zjeść. Jeżeli zadzwoni Igor Wiktorowicz, powiedz mu, żeby zadzwonił jeszcze raz za pół godziny.

- Mamo, co z tobą? - zapytał Andriej, który zobaczywszy twarz Lidki, natychmiast dał spokój wariackim podskokom.

- Nic, nic... mam ważne spotkanie, w poniedziałek. Chodźmy.

Uspokojony syn ruszył przodem, ona zaś patrząc w jego kosmaty tył głowy, niepostrzeżenie wyjęła z kieszeni niewielką fiolkę z maleńkimi bezbarwnymi kapsułkami.

Im bardziej niewzruszona twarz, tym ciężej pracować muszą serce i naczynia wieńcowe. A Lidka dawno minęła wiek, w którym można było nie zwracać uwagi na niemiłe ukłucia w lewej stronie klatki piersiowej.

No proszę, jak ten czas leci. Ma się już ku końcowi szesnasty rok.

W wieku pięciu, sześciu lat dzieci dowiadują się prawdy o czekającej wszystkich apokalipsie. Reagują na tę wiedzę każde inaczej: jedne nie wierzą, inne natychmiast o tym zapominają, niektóre odsuwają strach na przyszłość - przecież „to” się zdarzy, kiedy będę dorosły, dzieli mnie jeszcze od „tego” całe życie.

Niektóre przeżywają to bardzo głęboko i boleśnie. Tak jak Andriej. „Mamusiu, ale przecież TOBIE nic się nie stanie?!”

Kilka tygodni chodził nieswój, źle spał, krzyczał przez sen i prawie niczego nie jadł. Rozmaite próby tłumaczeń i pocieszeń - nie przejmuj się, nic się nikomu nie stanie - nie dawały rezultatów w ogóle albo dawały rezultaty bardzo mizerne. Z czasem strach się przytępił, ale ostatecznie znikł po wypadku ze śliwkami.

Był lipiec. Wedle skierowania znajomego lekarza Lidka wzięła

urlop w akademickim ośrodku wypoczynkowym - daleko od wybrzeża, w stepie. Pogoda była średnia, Andriejowi ośrodek się nie spodobał, wszystko było źle, dopóki w pewien piękny wieczór, spacerując po wiejskiej, biegnącej obok ośrodka drodze, matka i syn nie natknęli się na ogrodzony sad śliwkowy.

- Śliwy - stwierdził chłopak głosem łakomca. - Mamo, może trochę natrzęsę?

Lidka, solidna dama w wieku... no, przekraczającym znacznie czterdziestkę, okazała słabość i ustąpiła przestępczemu pragnieniu synka, którego dawno już nie widziała w stanie takiego pobudzenia i zapału.

- No dobrze - zgodziła się. - Tylko szybciutko i nie za wiele.

Andriejowi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Lidka nie zdążyła nawet mrugnąć okiem, kiedy chłopak znikł pośród listowia - miało się ku wieczorowi i jego obecność mogła poznać tylko po szeleście gałęzi i liści, a także głuchych pacnięciach spadających na ziemię śliwek.

- Dosyć, Andriusza - stwierdziła w pewnej chwili z niepokojem w głosie. - Potem nie znajdziemy ich w trawie... Złaź, dopóki choć cokolwiek widać!

W tej chwili od strony drogi doleciał basowy ryk znajdującego się jeszcze dość daleko motocykla. Hałas się przybliżał; Lidka okazała dość zimnej krwi, by nie wpaść w panikę i nie ściągać syna z drzewa w trybie awaryjnym.

- Ani mru mm - poleciła Andriejowi. - Oni pojadą dalej, wtedy zejdziesz na ziemię.

„Oni" zatrzymali się w odległości może dwudziestu metrów od pechowej śliwy. Silnik motocykla się zakrztusił, ryknął ostatni raz i umilkł; zaraz potem sypnęły się przekleństwa, względnie łagodne, gdyż - jak się wyjaśniło zaraz potem - z młodym entuzjastą motoryzacji jechała jego dama.

- Kur...czę pieczone! Nie bój się, Swietka, zaraodpalim. - Swietka chichotała głupawo, motor pochrapywał miarowo, ale nie zamierzał zapalić, możliwe dlatego, że motocyklista był mocno podchmielony.

- O, śliwa - stwierdziła Swietka, której wzrok nie utracił bystrości nawet w gęstym już mroku. - Paszka, chodź, natrzęsiemy...

- Entuzjasta motoryzacji porzucił swoje beznadziejne zajęcie i pospieszył na pomoc przyjaciółce. Lidka, która ukryła się w odległym o kilka kroków łanie kukurydzy, zdążyła tylko otworzyć usta.

Pasza podszedł do śliwy i zadarł głowę. W następnej sekundzie sypnął się na niego deszcz owoców. Nie, nie deszcz - grad. Łagodna śliwa trzęsła gałęziami i niewiele brakowało, a byłaby je połamała; opary alkoholu spłatały miłośnikowi motoryzacji niemiłego figla. Nie wiadomo, co mu się tam przywidziało, ale Pasza i Swieta nie zwlekając, skoczyli do swego motocykla, ten zaś, dzieląc widać

mistyczną grozę, jaka ogarnęła jego właściciela, odpalił od jednego kopa. Bucząc groźnie i zataczając się na wykrotach, motor pomknął ku wiosce. Lidka zdążyła w samą porę, by schwytać spadającego z drzewa Andrieja. Chłopak zleciał, bo targany śmiechem nie mógł się utrzymać pośród gałęzi.

Powiadają, że obawę przed groźnym przełożonym można w sobie zwalczyć, wyobraziwszy sobie szefa bez gaci i na sedesie. Dlatego chyba Andriej tego wieczoru przestał się bać *mrygi*. Potwór strachu pokazał mu się z nieprzyzwoitej i komicznej strony. Bez gaci.

Teraz chłopak kończy szesnaście lat, a do apokalipsy zostało pięć albo cztery. Andriej jak przedtem niczego się nie boi, dzieląc błędy swoich rówieśników, którzy gotowi są pokonywać morza wpław; Lidka zaś ma się spotkać w poniedziałek z ważnym oficjelem, ministrem sytuacji nadzwyczajnych. Czyli będzie mowa o miejscu na liście, bardzo ważnej liście, wielu ludzi dałoby jeszcze więcej, żeby się na niej znaleźć.

Mowa będzie o prawie do odrobiny „opóźnienia umówionego".

* * *

- Tak jest, Lidio Anatoliewna, bez dwóch zdań. Pani zasługi dla nauki trudno przecenić... Ale każda zbędna minuta „umówionego opóźnienia" oznacza możliwe straty wśród ludności. Czy zgodzi się pani skorzystać ze swego prawa za taką cenę?

Minister był jegomościem wzrostu zgoła nikczemnego, chudym jak szczapa i w grubych okularach. Ich mocne, czarne oprawy wyglądały jak obwódki żałobnej klepsydry.

- Niezupełnie pana rozumiem - odezwała się Lidka ostrożnie. - Wszyscy wiemy, że czasu „umówionego opóźnienia" nie da się zmienić. Czy więc warto składać odpowiedzialność...

- Odpowiedzialność zawsze jest ciężkim brzemieniem - niezbyt uprzejmie przerwał jej minister. - Ale niechże pani dobrze mnie zrozumie, „umówione opóźnienie" nie jest nagrodą za zasługi. To instrument. Niezbędny dla zachowania struktury państwa i skarbów cywilizacji. Podczas pierwszych godzin po apokalipsie potrzeba jest władza, system ubezpieczeń, koordynacja odtwarzania ekonomiki. Nauka - bezwarunkowo tak, ale tylko te jej gałęzie, które mogą mieć bezpośrednie znaczenie strategiczne.

- Co może być ważniejsze strategicznie od rozwiązania zagadki przeznaczenia Wrót? - zapytała Lidka cichym głosem.

Minister wzruszył ramionami:

- O ile mi wiadomo, do rozwiązania tej zagadki jeszcze daleko. Na dodatek, skoro mowa o projekcie tak szeroko znanym, wymagającym ogromnego nakładu prac badawczych, angażującym tak wielu ludzi... ilu pracowników trzeba będzie wpisać na listę? Jednego? Dwóch? Czy

to rozwiąże problem? A ich rodziny? Wydaje mi się, Lidio Anatoliewna, że nie w pełni zdaje sobie pani sprawę z wagi zagadnienia. Nie jest tak, że sprawa „opóźnienia" jest w centrum uwagi całego świata. Zresztą, jestem głęboko przekonany, że cały wasz wydział szczęśliwie przetrwa nadciągającą apokalipsę i podczas pierwszych lat nowego cyklu przedstawi nam pani wspaniałe rezultaty... będę miał jeszcze okazję do wręczenia pani nagrody państwowej... albo - mam taką nadzieję - międzynarodowej.

Lidka patrzyła w niezbyt wyraźnie widoczne za szkłami, obwiedzione żałobnymi ramkami oczy - i ze smutkiem wspominała swoje własne przemowy do uczniów. Był to ten sam, gładki, zawodowy i pełen frazesów słowotok. Taką mowę można było wygłosić na dowolny temat, w dowolnym miejscu i przed dowolnym audytorium. Miłe, dodające otuchy słowa o niczym.

- Zrozumiałam, Michaile Jewgienijewiczu. Ostatnie pytanie. Gdyby badania związane z „czynnikiem M" zostały utajnione i prowadzone zgodnie z poleceniami ABP, wpłynęłoby to na pańską decyzję?

Milczenie. Za grubymi soczewkami okularów pojawił się błysk zaskoczenia.

- N-no... wie pani, wtedy rozmawialibyśmy w ramach całkowicie zmienionej sytuacji...

- Dziękuję - odparła Lidka i wstała.

Sekretarka odprowadziła ją do samych drzwi; na ministerialnym podjeździe czekał służbowy samochód Instytutu, w swojej klasie zupełnie przyzwoity, ale jakiś zagubiony pomiędzy pysznymi wozami oficjeli.

- Pójdę pieszo - oznajmiła Lidka kierowcy.

Było zimno i wilgotno - kiepski czas na spacer.

Szła, podstawiając twarz pod rzadkie krople deszczu, wciąż odtwarzając w pamięci swoją niedawną rozmowę z ministrem. Niezbyt liczni przechodnie dziwili się pewnie wyrazowi jej twarzy. Niby człowiek się uśmiecha, ale na widok takiego uśmiechu lepiej przejść na drugą stronę ulicy.

Projekt Lidki od dawna już utknął w błocie, o czym oprócz jej samej mało kto wiedział. Stykając się z różnorakimi informacjami, rozpełzał się na wszystkie strony, piękna i wiele obiecująca hipoteza przekształciła się w rozmyty, nieokreślony i budzący wątpliwości domysł. Nowe dane przeczyły sobie, rezultaty obliczeń statystycznych, niewątpliwe w małych próbkach, nie wiedzieć czemu nie chciały się potwierdzać przy badaniach liczniejszych grup ludności. Jedyna nadzieja Lidki leżała w „pracy ściśle eksperymentalnej", tę jednak, ze zrozumiałych przyczyn, trzeba było odłożyć na przynajmniej pięć lat.

Ale raz uruchomiona, karmiona kolejnymi inwestycjami maszyna

badań toczyła się przed siebie, jakby nigdy nic. „Latający Holender”. Galwanizowany trup.

Były to najczarniejsze myśli Lidki, które ją opadały podczas bezsennych nocy, pomiędzy czwartą a piątą nad ranem. Kiedy indziej cieszyła się z wciąż nowych cząstkowych rezultatów i niemal wierzyła we własną genialność; teraz jednak, po rozmowie z ministrem, nocne myśli wdarły się na terytorium dnia.

„Podczas pierwszych lat nowego cyklu przedstawi nam pani wspaniałe rezultaty... będę miał jeszcze okazję do wręczenia pani nagrody...” Nieważne, jakiej. Ponieważ jeżeli podczas apokalipsy - Boże, nie dopuść! - coś się przydarzy Andriejowi, ona tego nie przeżyje.

A ty, stary szczurze, z pewnością już załatwiłeś swoim dzieciom gwarancję wejścia we Wrota. I dlatego pewnie tak lekko rozprawiasz o tym, co się stanie podczas pierwszych lat nowego cyklu.

Weszła do budki telefonicznej. Dość długo nikt nie odpowiadał i w dole jej brzucha zaczął już się zawiązywać niemiły chłodek, kiedy w słuchawce odezwał się znużony głos Andrieja:

- To ty, mamo?

- Jak się domyśliłeś? - zapytała, uśmiechając się mimo woli.

- Telepatia - odparł z zadowoleniem w głosie.

- Wszystko w porządku?

- Aha - odpowiedział niezbyt pewnie.

- Co się stało?!

- Nie denerwuj się, mamo. Pomagałem naszemu geografowi ustawić chorągiewkę... i troszeczkę rozbiłem kolano.

- Jaką chorągiewkę?!

- Na dachu. Robimy doświadczenie. Obserwacja róży wiatrów. Potrzebna chorągiewka na dachu. On sam się tak przestraszył, że obiecał mi piątkę do końca życia.

- Sama piątka do końca życia ci nie wystarczy - odparła Lidka przez zęby. - Z jakiej wysokości spadłeś?

- Drobiazg... - zmieszał się syn. - Tam jest drabinka pożarowa...No, dwa, może trzy metry...

- Znaczy, przynajmniej pięć... na asfalt?

- Mamo, nic się nie stało. Trochę sobie stłukłem kolano, ale już je zabandażowali... dzwonił wujek Wielikow. Wydał nową książkę.

- Cieszę się - odpowiedziała z przekąsem.

- ...i jeszcze babcia dzwoniła. Wszystko u nich w porządku, prosiła żebyś...

- Jasne. Idę do domu. Zaraz będę, słyszysz?

- Aha... czekam.

- No to cześć...

Targnęła dźwignię, wrzuciła nową monetę i wybrała numer

starego mieszkania rodziców.

- Lida? Nie, wszystko w porządku. List przyszedł do ciebie. Z zagranicy. Gruby taki... od Artioma Maksymowa. Twojego ucznia. Pamiętasz?

* * *

Fotografia była barwna, wyraźna i standardowa. Rosły mężczyzna, w którym Lidka z trudem poznała młodego Artiomka. Obok objęci dwaj chłopcy, starszy trochę podobny do tego ucznia, któremu Lidka kiedyś stawiała trója. Młodszy - kędzierzawy blondynek z wielkimi oczami bez wyrazu.

List też był standardowy, w miarę serdeczny i przesycony obawą. Maksymow wyrażał, po pierwsze - żal że tak dawno nie widział „swojej ukochanej nauczycielki", po drugie - przekonanie, że wszystko jej się w życiu ułożyło „jak najlepiej", ponieważ „nawet tutaj" w gazetach pełno artykułów o naukowym postępie i śmiałych hipotezach, a nazwisko Lidki pojawia się w druku częściej od innych.

U niego, Artioma, też wszystko w porządku, dwaj synowie podrastają spokojnie, żyje mu się nie za lekko, ale zupełnie znośnie. Pracuje jako brygadzista budowlaniec i cieszy się niemałym szacunkiem podwładnych i współpracowników. Szkoda, oczywiście, że los rozdzielił go z Lidką... i od tej pory list zaczął się powtarzać, jakby ktoś uwiązał myśli Artioma na krótkim sznurku i teraz krążą, niczym koza, wokół wbitego w ziemię palika.

Lidka czytała i coraz wyraźniej dostrzegała przebijającą się na powierzchnię, prawdziwą treść listu. Brygadzista budowlaniec żałował utraconych możliwości, wydawało mu się z pewnością, że Lidka wzbiła się w niebiosa nauki, on zaś utknął na ziemi, mizerny, malutki, poplamiony gipsem i tynkiem. A może po prostu nie był szczęśliwy z żoną. Ma żonę? Czemu nic o niej nie pisze? Rozwiódł się? A może nie chce po raz kolejny ranić jej uczuć? Może się krępuje?

Fotografię oglądała Lidka w samochodzie - zwykle nie korzystała z taksówek, ale dziś był szczególny dzień. Przez otwarte okno wlatywał do wnętrza taksówki ciepły zapach ulicy; Lidka wetknęła list w kieszeń marynarki, ale tam wciąż szeleścił i ją denerwował, więc włożyła go do teczki. I pomyślała, że gdy sięgnie - powiedzmy po klucz - list może wypaść albo po prostu błysnąć żółcią koperty poplamionej liliowymi pocztowymi stemplami, a wtedy ciekawski Andriej oczywiście zapyta: „O! Z zagranicy? Od kogo?"

Wsunęła list na samo dno teczki, ale i tam jej przeszkadzał. Leżał niczym ziarnko pieprzu w ciastku; wyrzucić szkoda, spalić głupio, pokazać Andriejowi... no, to dopiero się zacznie...

Taksówka zatrzymała się przy wejściu na ciche, wysadzone zielenią podwórze. Była to najlepsza dzielnica miasta - sam dobrobyt i

brzęczenie pszczół, a na dodatek do centrum można było dojść pieszo w dziesięć minut. Starsi chłopcy grali w piłkę, a jej syn siedział na ławeczce, kibicując jednocześnie obu drużynom. Spodnie Andrieja na lewym kolanie były mocno wypchane - na opatrunek poszła niejedna rolka bandażu.

Lidka zatrzymała się w odległości kilku kroków; syn jej nie zauważył. Wyjaśniał spoconym piętnastolatkom, że piłkę można uderzać nie tylko czubkiem buta, ale i bokiem. I że uderzenie bokiem bywa lepsze i silniejsze.

Ze swego miejsca Lidka widziała jego kark, tył głowy i część policzka.

Chciała go zawołać, ale się wstrzymała. Rozmowa z ministrem, list od Maksymowa, rozbite kolano; dziś jest duszno i może nadciągnąć burza. Trzeba podbarwić skronie i ukryć wyrywającą się na zewnątrz siwiznę. Uspokoić histerię, instynktowny ślepy odruch - chwycić syna i otulić go nieprzemijalnym kokonem, ukryć choćby we własnym łonie, gdzie nie będą mu groziły codzienne niebezpieczeństwa. Tam, gdzie go nie dopadnie nieubłagana apokalipsa.

Grupie przesądy. O tym, że dziecko poczęte sztucznie nie przeżyje kryzysu. Lidka od dawna znała wyniki badań statystycznych, które absolutnie przeczyły tym bzdurom. Dzieci, poczęte w wyniku sztucznego zapłodnienia nasieniem dawcy przeżywają dokładnie tak samo, jak te mające prawdziwego ojca. Giną zresztą podobnie.

Ale właśnie z tego powodu Lidka nikomu nie powiedziała, w jaki sposób pojawił się na świecie Andriej. Nikomu, nawet mamie. Wszyscy milcząco założyli, że spotkała w Parku Kwietniowym „porządnego człowieka”; w głębi duszy nawet najbardziej cywilizowany człowiek pozostaje jaskiniowcem. Czym inaczej wyjaśnić ogólne mniemanie, że przypadkowe związki na początku cyklu to coś zupełnie przyzwoitego, a sztuczne zapłodnienie pozostaje tabu.

Ileż sił wymagało od niej stłumienie w sobie instynktów godnych zatroskanej kury. Ileż sił już straciła - a apokalipsa była coraz bliżej i jakkolwiek by się nie gdakało, jakkolwiek by się nie miotało wokół pisklaka - niczego nie da się zmienić; kocioł na podejściach do Wrót i pozbawiony mózgów i myśli tłum... Przecież tak było z Janą. Do ostatniej chwili Lidka pamiętała, że siostra biegła obok. Ojciec ciągnął ją za sobą. A potem - w okamgnieniu - nie wiadomo skąd pojawiła się nowa fala, która zbiła ich z nóg. Ojciec zdołał się podnieść, a Jana nie i zniosło ją na dziesiątki metrów.

Andriej poczuł na sobie jej spojrzenie. Odwrócił się i rozjaśniła mu się twarz. Uśmiech od ucha do ucha, dołeczki na policzkach:

- Mamo!

Podeszła i nie mówiąc słowa, wtuliła twarz w jego rozczochraną czuprynę.

* * *

W nocy trzeba było wezwać pogotowie. Andriej śmiertelnie się przestraszył, miotał się pomiędzy apteczką, jej łóżkiem, oknem i telefonem; przynosił jej krople i zwilżone ręczniki. Lidka nigdy jeszcze nie widziała go takim bladym. I miała szczerą nadzieję, że już nigdy go takim nie zobaczy.

Karetka zjawiła się po czterdziestu minutach od wezwania. Młody lekarz poznał nawet Lidkę; natychmiast zrobiono jej EKG, niczego prawdziwie niebezpiecznego nie znaleziono, ale poradzono jej, by odwiedziła specjalistę, a jeszcze lepiej, położyła się w szpitalu na obserwację, tym bardziej, że szpital Akademii dysponuje teraz najnowszą aparaturą, właściwie to raj, nie szpital, a pani już się powinna pilnować, Lidio Anatoliewna.

Odjechali. Andriej siedział w kuchni i cichutko dzwonił łyżeczką o szklankę.

Przeklęty Maksymow ze swoimi tłumionymi pretensjami do życia i swoim niezadowoleniem. Przeklęty minister. Przeklęta apokalipsa. Nie, Lidka tego nie wytrzyma. Wykończy się. Umrze na zawał, nie doczekawszy apokalipsy, zostawi chłopaka kaprysom losu. Samego w tym ludzkim kołowrocie...

Wspominając Maksymowa, oczami wyobraźni widziała nie tego mężczyznę z fotografii. Widziała żylastego, ciemnowłosego wyrostka, potem ucznia, a w końcu studenta, szczupłego mądralę, który rokował wielkie nadzieje.

Wtedy wiedziała, podświadomie wiedziała, że z wyroków losu przyjdzie jej go utracić.

Teraz to samo powtórzy się z Andriejem. Opadło ją fizyczne, prawie namacalne przeczucie straty. Apokalipsa go pożre, a ona może jedynie być przy nim.

- Andriej!!

Przybiegł z kuchni. Przestraszony tak, że niewiele brakło, a oczy wypadłyby mu z orbit.

- Co?!

Lidka długo patrzyła na jego bladą, wymizerowaną i zupełnie jeszcze dziecięcą twarz.

- Wiesz co... Kładźmy się spać.

* * *

Nadanie instytutowi imienia Zarudnego odbyło się z niewielką tylko pompą. Zaproszeni goście oczywiście się zjawili, posiedzenie Akademii przeszło raczej w odświętnej niż roboczej atmosferze, a

nieformalna „wieczorna kawa" okazała się faktycznie sutym i nieźle zaprawionym trunkami bankietem - ale wszystko odbyło się bez ostentacji i w wąskim gronie znajomych. Z korespondentów zaproszono tylko „swoich" z „Akademickich Nowości". Żadnej telewizji. Skromna tablica pamiątkowa, przypominająca nieco tą, która kiedyś wisiała na fasadzie domu Zarudnych. Ponieważ artysta nie posłużył się oficjalnymi fotografiami, ale skorzystał z materiałów dostarczonych mu przez Lidkę, brązowy Andriej Igorowicz bardzo przypominał żywego.

Takim właśnie był - o ile Lidki nie zawodziła pamięć.

Młody, niemal chłopiec. Kiedy go zabito, nie miał jeszcze czterdziestu lat. Było to prawie trzydzieści osiem lat temu...

Trzydzieści osiem?!

Na Lidkę patrzono z szacunkiem albo z jawnym niedowierzaniem w oczach. Do samego ostatniego posiedzenia nie milkły wątpliwości: „ale po co wam to potrzebne?! To wyście wyznaczyli główny kierunek badań, wy, a nie Zarudny! Dobrowolnie odstępujecie mu część sławy, a to przecież wcale nie jego zasługi, tylko wasze". „Lidio Anatoliewna, przecież to imię otacza ponura sława. Czy będzie to z pożytkiem dla Instytutu?" „Lidio Anatoliewna, mogą was źle zrozumieć". „.Żeby potem nie musiała pani żałować".

Ostateczną decyzję podjęła po kilku bezsennych nocach. I proszę... jednak dopięła swego.

Gdy bankiet rozkręcił się już na cały gwizdek, Lidka zeszła do niedawno wyremontowanej toalety. Długo patrzyła w wielkie zwierciadło na swoje pięćdziesiąt cztery lata - na które rzeczywiście wyglądała. Lekki wełniany kostium leżał całkiem nieźle, kosmetyka dobrze kryła zmarszczki i kręgi pod oczami, ale - mój Boże! - jakimże młodzikiem okazałby się Andriej Igorowicz, gdyby teraz stanął obok niej?! Mogłaby mu mówić - jak synkowi - „Andriuszka"...

Cofając się po schodach do dali bankietowej, omal nie zderzyła się ze staruszkiem, który schodził w dół. Staruszek trzymał się balustrady jak tramwaj przewodu - widocznie schodzenie po schodach bez oparcia było dlań zbyt wielkim wysiłkiem. Lidka ustąpiła w bok, zwalniając miejsce przy balustradzie; starcem był Sławek Zarudny.

Nieuniknione zaproszenie Sławka było łyżką dziegciu w całym radosnym dla Lidki przedsięwzięciu. Obejść się bez syna patrona Instytutu nijak nie było można; co prawda, Lidka liczyła w głębi ducha na to, iż nękany artretyzmem Sławek podziękuje za zaproszenie i odmówi.

Stało się jednak inaczej. Zażądał, żeby przysłano po niego samochód. Zjawił się, a jakże... wygląda kiepsko. Oboje z Lidką udają, że jedno drugiego nie dostrzega - co z boku doskonale jest widoczne, tym bardziej, że posadzono ich w prezydium obok siebie...

Minął ją w odległości pół metra. Ciągnęło od niego mocną, tanią wodą kolońską; rzadziutka, siwawa bródka postarzała go przynajmniej o dziesięć lat.

I oczy. Po raz pierwszy od początku bankietu młodszy Zarudny spojrzał wprost na byłą żonę; od jego spojrzenia Lidce zrobiło się niedobrze.

Nie był podobny do ojca - ani trochę... W jego spojrzeniu rozpierała się wredna teściowa Lidki, ale nie zajmowała go całkowicie; Lidce przypomniał się ponury chłopak, któremu kiedyś powiedziała, że chce wyjść za niego za mąż. Z powodu nazwiska.

Sławku, Sławku, co oni z tobą zrobili.

Jacy „oni”?

Poczucie winy nie było wielkie, choć męczące - ale na szczęście szybko minęło.

Ciężkie kroki Sławka oddaliły się w głąb korytarza. Tymczasem Lidka weszła do stołówki, którą czasowo przekształcono w salę bankietową i natychmiast poszukała wzrokiem syna.

Andriej jadł. Pochłaniał potrawy ze skupieniem i zapałem człowieka, który jeszcze niedawno był na krawędzi głodowej śmierci. Na jego talerzu leżała czarna, żałobna obwódka ogonków pożartych przezeń oliwek.

* * *

- Niedobrze się czujesz?

- Nie, mamo, wszystko w porządku.

- To dlaczego jesteś taki skwaszony?

- Ja, skwaszony?

Metamorfoza nastąpiła w kilka dni po bankiecie. Andriej nigdy przedtem nie miał przed Lidką tajemnic - tym bardziej takich. Zatruwających chłopaka dniami i nocami.

Którejś nocy o czwartej nad ranem usłyszała, jak wierci się na swoim tapczanie i tłumi westchnienia. Nie wytrzymała - wstała i podeszła bliżej:

- Ząb cię boli, czy co?

- Nie...

- Zakochałeś się?

Śmiech:

- Tego by jeszcze brakowało...

- Ktoś cię uraził? W szkole? Grożono ci? Żądano pieniędzy? Grozili wydaleniem?

- Nie.

- Andriuszka, cokolwiek by się nie stało, możesz na mnie liczyć.

- Nie zawsze możesz pomóc, mamo...

Na chwile odjęło jej mowę.

- Mamo, sam sobie poradzę... nic strasznego się nie dzieje. Nikt mnie nie bije, nie grozi i nie zamierza wydalić ze szkoły.

I zamknął oczy.

Kwoka. Przerażona kwoka w jej sercu domagała się, żeby natychmiast chwycić chłopaka i dowolnymi środkami wydusić zeń zeznanie - co mu dolega? A jeżeli coś jest nie tak - to trzeba go zabrać z liceum. Rzucić wszystko i wyjechać z miasta. Zakopać się w jakiejś głuchej wsi, pić rankami kozie mleko i żyć tak, żeby ani na chwilę nie tracić go z oczu.

Głupia kwoka. Ale walka z nią pochłania wiele psychicznych sił.

Lidka głęboko westchnęła. I podniosła powieki:

- Niech ci będzie. I tak mi się kleją oczy. Rano trzeba ci do szkoły, a mnie do Instytutu...

Wróciła do pościeli, która zdążyła już ostygnąć.

I nakryła głowę poduszką.

I tak się dowie. Nie wprost, to pośrednio. No, nic. Nie ma czego zazdrościć temu, kto nie daje żyć jej synowi. Jeżeli to dziewczyna - biada jej... Jeżeli nauczyciel albo jakiś tępy osiłek... Już z góry współczuje. Biedacy.

Wszystko to bzdury. Wszystko, oprócz apokalipsy; ale jeszcze jest trochę czasu. Andriej musi przeżyć, choćby z nieba waliło kałem i pierogami. Trafi na listę uprzywilejowanych, choćby jego niemłodej już matce przyszło sobie odciąć rękę. Albo, na przykład, pójść na współpracę...

Uśmiechnęła się krzywo.

W listopadzie dzień budzi się dość późno.

* * *

Pisarz Wielikow dorobił się własnego kręgu wielbicieli. Fan klub powstał przed czterema laty, zupełnie bez jego udziału. Przepełnieni uwielbieniem miłośnicy i czytelnicy jego książek, czternaste i piętnastoletni chłopcy dyżurowali czasem na jego podwórku - licząc na autograf albo zwykłe kiwnięcie głowy idola, a jeżeli się uda, to może trafi się okazja do rozmowy; najbardziej zagorzałych Wielikow zapraszał niekiedy na herbatę. Lidka żartowała, że wymieniwszy z mistrzem uścisk dłoni, chłopaki całymi tygodniami nie myją rąk.

Andriej był w tym klubie czymś pośrednim pomiędzy guru, maskotką a czcigodnym przewodniczącym. Dzielił się z wielbicielami informacją, kiedy Wielikow zamierza się pojawić w domu, gdzie i dokąd się udał, co pisze i ile stron już wystukał, kiedy wyjeżdża w delegację i kiedy wraca, a także - jakie nowe pomysły hołubi w sercu. Wszystko to oczywiście odbywało się za zgodą i autoryzacją „wujka Witalika" - Wielikow dawno już i jak najbardziej serio wyznaczył Andriejowi rolę „rzecznika i łącznika ze społeczeństwem".

- Mówiąc pokrótce, Lideczko... w dzieciństwie ten chłopak słyszał bajkę o tym, jak pewna dziewczynka wabiła dalfiny, grając na ustnej harmonijce. I jak potem, podczas *mrygi,* tą samą harmonijką zahipnotyzowała wielką glefę. Bajka i nieprawda. Ale oto nasz bohater zaczyna zajmować się badaniem muzykalnych zdolności dalfinów. Idzie na brzeg... nie, nie z organkami... wymyślił takie urządzenie, „podwodną orkiestrę". Czyli do wody opuszcza się wielką membranę, która zaczyna przekazywać dźwięki poprzez drgania wody. I oto... Andriuszka, nalej mi jeszcze kawy... nasz bohater nawiązuje stosunki z dalfinami, dość osobliwe i niejednoznaczne. Tymczasem zbliża się *mryga,* on zaś przekazuje dalfinom wciąż tę samą melodię, bo zauważył, że im się spodobała. Czemu się śmiejesz, Lido? I z morza wyłażą, sami rozumiecie, glefy...

- A on zaczyna im grać na organkach, one zaś gęsiego idą za nim - dławiąc się chichotem, dokończyła Lidka. - Bardzo widowiskowe... Filmowe nawet... A przy okazji, co z twoim filmem?

Wielikow skrzywił się:

- Lideczko, tani film, to tani film i tyle. Będziesz się śmiała, ale prawdziwe, dokumentalne filmy robione podczas apokalipsy - wyglądają ubogo i mizernie w porównaniu z tym, co można zrobić w studio. Ale za pół roku trafimy na ekrany... Tfu, tfu! Andriej, czemu ty mi cukru żałujesz?

- I tak jesteś gruby, wujku.

- Ja? Ja jestem gruby?!

Śmiech i sprzeczki; w obecności Wielikowa, Andriej wyraźnie się odprężał. Jakby ciężar leżący mu na duszy robił się lżejszy.

Lidka z sympatią obserwowała przyjacielskie więzy, od dawna łączące znanego pisarza z jej synem. Była to namiastka miłości ojcowskiej, przyjaźń z dorosłym człowiekiem, na dodatek niezwykłym i szeroko znanym. No i dobrze.

Nieco później, gdy Andriej demonstrując swoją krzywdę, zabrał się do odrabiania lekcji, Lidka włączyła telewizor i przy hałasie wytwarzanym przez jakąś pieśniarkę estradową wyłożyła przed Wielikowem historię synowskiej depresji.

- W liceum byłaś? - natychmiast zainteresował się gość.

Lidka kiwnęła głowa:

- A jakże, przede wszystkim... szpiegować własnego syna. Musiałam wymyślić jakiś cel wizyty, żeby nikt, Boże broń, nie domyślił się, po co naprawdę tam poszłam. Ale na szczęście często tam bywałam wcześniej, więc moja wizyta w nikim nie wzbudziła podejrzeń, nawet Andriej się nie zorientował...

- I czegoś się dowiedziała?

Lidka wzruszyła ramionami:

- Niczego. Nic się nie dzieje. Gdyby coś było, wyczułabym pismo

nosem.

- Zabawy? Przyjaciele?

- No przecież nie będę go szpiegowała...

- A może jakieś telefony?

Lidka nie od razu się połapała:

- Jak to, telefony?

- No, tak. Przychodząc do domu, zapytaj od niechcenia: „Nikt nie dzwonił?" I patrz, jak zareaguje...

- Sądzisz, że ktoś próbuje go dosięgnąć przez telefon?

- Nic nie sądzę. Po prostu proponuję... Powieść detektywistyczna to nie mój rejon. Ale niektóre z podstawowych chwytów i ty mogłabyś sobie przypomnieć.

Lidka wahała się jeszcze przez chwilę. A potem zapytała, uciekając spojrzeniem w bok:

- Witalik... a może ty byś z nim porozmawiał?

- Wychodzi na to, że chcesz mnie wykorzystać jako prowokatora? - odpowiedział Wielikow ni to pytaniem, ni to stwierdzeniem.

Lidka jakoś utrzymała się w ryzach, choć siedząca w niej głupia kwoka poderwała się i zatrzepotała skrzydłami.

- Nie przejmuj się - łagodnie poradził jej pisarz. - Może samo rozejdzie się po kościach. Okaż trochę cierpliwości...

* * *

Przez cały tydzień Lidka wierzyła, że Wielikow miał rację. Andriej nawet jakby poweselał i ożywił; Lidka cichutko cieszyła się ze zmiany w zachowaniu syna przez siedem dni, do kolejnego piątku.

W piątek znalazła pomiędzy wyjętymi ze skrzynki pismami i listami dziwną gazetkę. „Pikantne Nowinki". Takich bulwarowych czasopism nigdy przedtem z Andriejem nie zamawiali.

Już się szykowała, żeby odłożyć czyjąś gazetę na wierzch skrzynki - znajdzie ją pewnie ten, kto ją zamówił - kiedy wśród zagłówków zobaczyła własne nazwisko.

Odsunęła gazetę od oczu, na odległość ramienia. Przeklęta krótkowzroczność.

Sentymentalny gest podstarzałej nimfetki. Kiedy słynnemu Instytutowi Historii Kryzysów nadano imię Andrieja Zarudnego, wielu było tym faktem zdziwionych. Tylko niewielu ludzi wie, że podczas nauki w szkole profesor Sotowa dzieliła z Zarudnym nie tylko dziewicze marzenia, ale i łóżko.

Przez jakiś czas Lidka tępym wzrokiem wpatrywała się tylko w gazetę.

Potem opuściła rękę.

Tymczasem wezwana przed kilkunastoma sekundami winda gościnnie rozchyliła swoje drzwi. Chwiejnym krokiem, nie myśląc o

niczym, Lidka weszła do środka - a gdy drzwi się za nią zamknęły, targnęły nią torsje. Zgiąwszy się w pół, zwymiotowała na czyściutką, zadbaną podłogę.

Winda jechała i jechała; w końcu Lidka wyprostowała się i nacisnęła guzik „STOP". Winda zatrzymała się pomiędzy piętrami. Lidka wyciągnęła z torebki chusteczkę i wytarła usta.

Tak. Dobrze, że reakcja była natychmiastowa i radykalna. Teraz było jej lżej, mogła pomyśleć. Zmusi naczelnego tej gazetki do zjedzenia całego nakładu, numer za numerem. Złapie tego - szybkie spojrzenie na podpis - Siepana Deszczyka. Dowie się, kto to taki. A wtedy...

Na dole słychać było już zaniepokojone głosy lokatorów. „Toniu! Toniu! Czy winda utknęła?" - „Ale przed minutą zjeżdżałam w dół!".

Pod Lidką było dwadzieścia metrów pustki. Zamknięte drzwi, ciemne, gładkie ściany. Na jednej z nich - na poły zatarty napis długopisem: „Ola plus Andriej".

Andriej...

Mój chłopcze. Jakże ja ci...

Lidka zagryzła wargi.

Zarudny. Bankiet. Sławek. Andriej. „Andriuszka, cokolwiek by się nie stało, możesz na mnie liczyć". „Nie zawsze możesz pomóc, mamo".

- W windzie ktoś siedzi! Może utknęła?

- Na którym piętrze?

- Chyba pomiędzy piątym i szóstym...

- Ej, jest tam kto? Odezwijcie się!

Lidka zerknęła w kąt, na uboczny produkt dziennikarskiego trudu. Tak przy okazji, kto wrzucił „Nowinki" do skrzynki? Może by wypytać babunie na ławeczkach, powinny coś zauważyć...

- Może dzieciaki się wygłupiają?

- Ej, kto tam?

Szkoda, pomyślała Lidka. Tak dobrze jest skryć się za zamkniętymi drzwiami, sama ze sobą, pomiędzy piątym i szóstym piętrem. Dobrze byłoby gdzieś się wsunąć, ukryć... Ale nie dadzą jej spokoju.

Nacisnęła guzik z numerem „dziesięć". Strych i poddasze. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że akurat teraz nikogo tam nie będzie i nikt nie zobaczy, jak profesor Sotowa wymyka się z zanieczyszczonej windy.

Wydostawszy się z kabiny, nacisnęła guzik z numerem „O" i podesłała zaniepokojonym sąsiadom „podarek". Za chwilę rozlegną się na dole podniecone i oburzone głosy...

Położyła „Nowinki" na stopniach i usiadła, nie szczędząc długiej, drogiej sukni.

„Lidio Anatoliewna, mogą was źle zrozumieć..."

Chęć natychmiastowego działania przygasła, ustąpiwszy miejsca rezygnacji i smutkowi. Nie czuła już mdłości, ale silny ból w piersi. Lewa ręka dziwnie jej zdrętwiała. Brakowało jeszcze tylko, żeby z tego wszystkiego dostała zawału.

Aaaa... rozległy się gniewne okrzyki, choć na dziesiątym piętrze słabo je było słychać. Teraz spróbują odgadnąć, kto mógł dostać morskiej choroby w windzie. Lidki raczej podejrzewać nikt nie będzie. Profesor i pedantka.

Musi poczekać jeszcze z dziesięć minut, aż wszyscy się rozejdą i będzie mogła zejść do siebie, na piąte.

Lidce nagle i niespodziewanie przypomniało się, jak siedzieli z Maksymowem - wtedy jeszcze uczniem - w maleńkim forcie na dziecięcym placyku zabaw i czekali na odejście instruktorów OP.

Maksymow. Tylko jego jeszcze brakowało do pasztetu...

* * *

Bała się tylko tego, że syn dowie się o rewelacjach „Nowinek" nie od niej. Że nie będzie go w domu.

Był. Ucieszywszy się z jej przyjścia, wdrapał się na framugę drzwi, jak małpa, zapierając się rękami i nogami.

- Jadłeś?

Przytaknął.

- Masz jeszcze sporo lekcji?

Nie, prawie wszystko odrobił, resztę można odłożyć, fizyka dopiero pojutrze.

- Andriuszka, chodźmy do kuchni, napić się herbaty...

W istocie chciało jej się pić. Wargi miała wyschnięte, jakby przeszła pieszo pustynię...

- Mamo, czy coś się stało? - zapytał, dopiero teraz spostrzegłszy jej niemal śmiertelną bladość.

- Nic szczególnego... Andriuszka, czy wujek Sławek niczego ci nie powiedział? A może zgłosił się do ciebie ktoś inny, kto się na niego powoływał?

Trafiła w sedno. Źrenice Andriuszki natychmiast się rozszerzyły; wargi zacisnęły się w wąski pasek i zrozumiała, że jej domysły odpowiadają prawdzie.

- Wszystko to kłamstwa - stwierdziła prawie spokojnym i wesołym tonem. - Powinieneś był od razu mnie powiadomić.

Syn milczał.

* * *

Według wspomnień jej kolegów i koleżanek z klasy, Lideczka Sotowa nie błyszczała jako uczennica, ale była sympatyczną i dobrze rozwiniętą fizycznie dziewczyną. Swego czasu niewiele brakowało, by

została wyrzucona z liceum za - łagodnie mówiąc - niezbyt przyzwoite zachowanie. Cóż robić, ciało bujnie rozwinięte, a natura ma swoje prawa...

W dziewiątej klasie Lida zaprzyjaźniła się ze Sławkiem Zarudnym, który był wtedy w klasie dziesiątej. Zbliżyło ich jakoby wspólne zainteresowanie historią kryzysów, ale w rzeczywistości dalekowzroczna i przebiegła Lideczka postanowiła przypiąć się do pieniędzy i sławy rodziny Zarudnych (przypominamy, że Andriej Zarudny był wtedy znanym deputowanym i poważnym kandydatem do fotela prezydenckiego). Ówcześni sąsiedzi Zarudnych przypominają sobie, że Lida Sotowa często odwiedzała chłopaka, ale tylko wtedy, gdy w domu był jego ojciec.

Krótko przed tragiczną śmiercią deputowanego Zarudnego polityk i uczennica zostali kochankami. Ich związek trwał kilka miesięcy; w domu nie mogli się spotykać, ale deputowany miał przecież obszerny służbowy samochód...

Żona Zarudnego podejrzewała, co się święci. Ich syn, Jarosław Igorowicz, wspomina, że akurat w tym okresie rodzice zaczęli się częściej niż zwykle sprzeczać.

Najwyraźniej związek z Zarudnym wywarł na Lidzie Sotowej niezatarte wrażenie. Wyszedłszy za mąż za jego syna - z wyrachowania i potrzeby zdobycia nazwiska - nie uwieńczyła związku dziećmi. Dożywszy dojrzałego wieku jako bezdzietna dama, na początku tego cyklu Lida skorzystała z usług medyków (sztuczne zapłodnienie) i urodziła synka Andrieja, nazwanego tak na pamiątkę... wiadomo kogo.

Teraz, kiedy Instytut Historii Kryzysów otrzymał tak dziwne w naszych czasach imię, możemy tylko podziwiać trwałość uczuć dawnej nimfetki, która w tak oryginalny sposób złożyła hołd swoim pierwszym żądzom.

[Gazeta „Pikantne Nowinki", 19 listopada 17-go roku. Dodatkowe dokumenty: dziecięce zdjęcie Lidki, fragmenty szkolnej fotografii w piątej lub szóstej klasie. Andriej Zarudny na trybunie, płonący wzrok, podniesiona ręka. I wreszcie - Andriej Zarudny w otoczeniu rodziny obok niego młodziutka Klaudia Wasiliewna i wyrostek Sławek - ręce deputowanego troskliwie obejmują żonę i synka]

* * *

...ani krzty prawdy. Ona przecież tylko MARZYŁA o miłości Andrieja Igorowicza, i teraz wspominając swoje na poły dziecięce uczucia i marzenia, zupełnie jasno pojmowała, że gdyby Zarudny okazał się... Nie, nie tak. Gdyby Zarudny zechciał, wszystko co napisano w „Nowinkach", stałoby się prawdą. Ale co mu

przeszkodziło? Miłość do żony? Poczucie obowiązku? Strach przed skandalem? A może nawet o czymś takim nie pomyślał, i Lidka była dlań tylko dziewczynką, dzieckiem, przyjaciółką syna...

Przecież ona tylko raz wzięła go za rękę.

A on raz ją objął.

* * *

Adwokat był cholernie drogi, ale Lidka miała oszczędności.

Miał na imię Jewgienij Nikołajewicz i metodycznie informował Lidkę o swoich krokach w sprawie. Wedle jego słów redakcja „Nowinek" poddała się prawie natychmiast. Zobowiązali się do wydrukowania przeprosin i sprostowań, więc wytaczanie im procesu nie miało sensu.

Lidka zacisnęła zęby i odrzuciła propozycję polubownego załatwienia sporu. Potrzebna jej była rozprawa sądowa i nawiązka za straty moralne. Pamiętała, jak kiedyś sam Zarudny swoimi pozwami zniszczył taką samą bulwarową gazetkę.

Sprawę przyjęto do rozpatrzenia; po tygodniu adwokat przyjechał do niej niespodziewanie i bez uprzedzającego telefonu, był sztucznie ożywiony i przywiózł jej nowy numer „Pikantnych Nowinek". Był w nim nowy artykuł na całą kolumnę; na fotografiach sprzed mniej więcej dwudziestu lat Lidka rozpoznała samą siebie na maturalnym balu. Tańczyła z Artiomem Maksymowem.

Szanownej pani Sotowej nie spodobała się nasza publikacja, której autor prześledził historię jej stosunków z Andriejem Zarudnym. Szacownej uczonej osobie wstyd przypominać grzechy młodości, i nawet - uwzględniając ówczesny wiek Lideczki - grzechy dzieciństwa. Ale w dzisiejszym artykule odtworzymy wydarzenia znacznie późniejsze - wydarzenia minionego cyklu... Wywiadu „Nowinkom" udziela była uczennica byłej nauczycielki Lidii Sotowej, Antonina Iwanowa Bunicz, z domu Drozd...

Lidka uważnie przeczytała artykuł. Nie opuściła ani jednej litery; załączono też fotografię Toni Drozd. Była uczennica mocno przytyła podczas minionych lat.

Ale dlaczego podczas apokalipsy zginęła miła, spokojna Wika Rojenko, a ocalała Tonieczka Drozd?

- Włączymy to do rachunku - stwierdziła zimnym głosem Lidka, zwracając się do adwokata. - Jakie są wasze prognozy, Jewgieniju Nikołajewiczu?

- Zedrzemy z nich skórę - adwokat nerwowo zatarł dłonie. - Obowiązkowo zedrzemy... Mam pewne propozycje... Ale, ale... ta historia z chłopakiem - oczywiście jest całkowitym wymysłem?

Lidka milczała.

- Widzi pani, Lidio Anatoliewna, muszę dokładnie wiedzieć, co

jest wymysłem i łgarstwem, a co... jakby to rzec... dopuszczalną interpretacją...

W kuchni skrzypnęły drzwi i Lidka drgnęła, jak uderzona prądem. Wydało jej się, że w kuchni jest Andriej.

Co prawda Andrieja już od tygodnia nie było w mieście; na pierwszą prośbę Lidki, Wielikow rzucił wszystkie sprawy i wywiózł chłopaka w góry - „na poszukiwania materiałów do nowej książki". Wyjazd się przeciągnął; Lidka wierzyła, że w towarzystwie Wielikowa Andriejowi nic nie grozi, ale wakacje skończyły się wczoraj, a w liceum nie znoszą nieobecności.

Porozmawiawszy z dyrektorką, Lidka wyprosiła jeszcze tydzień wolnego dla syna. Ale potem Andriej znajdzie się tutaj i każde bydlę może mu się roześmiać w twarz...

Zabrać go z liceum? Wyjechać w diabły, rzucić wszystko, niech tamci świętują zwycięstwo?

Zadzwonić do Sławka?

Podpalić mu drzwi?

Nałykać się tabletek?

- Jewgieniju Nikołajewiczu, kiedy zamierza pan wygrać sprawę?

Adwokat się uśmiechnął:

- Pani to umie zadawać pytania, Lidio Anatoliewna...

* * *

- Kiedy mniej więcej zorientowała się pani, że istnieje intymny związek pomiędzy pani kolegą z klasy i nauczycielką?

- Domyślałam się od dawna. Ale pewność zyskałam dopiero na balu maturalnym - wie pan, obejmowali się na oczach całej szkoły. Potem się dowiedziałam, że Zarudna-Sotowa porzuciła szkołę i sprowadziła sobie Maksymowa do swego mieszkania. Żyli jak mąż z żoną, kilkakrotnie widziałam ich razem - na plaży, na ulicy, nieopodal uniwersytetu. Chociaż wtedy już Maksymow ją zdradzał. Jedna z moich przyjaciółek spędziła z nim kilka nocy i opowiadała nam potem, że jest z niego mężczyzna na schwał...

- ...był jeszcze wtedy prawiczkiem, chodził w uczniowskim mundurku? Ile miał wtedy lat i ile mogła mieć wtedy Sotowa?

- On miał szesnaście, jak my wszyscy. A ona, gdzieś tak pod czterdziestkę, dokładnie nie wiem. Poprzednie pokolenie, sam pan rozumie...

- ...przejawiał skłonność do awantur?

- Nie, był zupełnie przyzwoitym chłopakiem, dopóki w szkole nie pojawiła się ONA. Po prostu go uwiodła, zrobiła to jak profesjonalistka.

- Co się z nim stało potem?

- Potem, zaraz po *mrydze,* Maksymow ją rzucił. Mówią, że

wyjechał za granicę, gdzie założył rodzinę... ma dzieci.

- Dlaczego ją rzucił?

- A skąd mam wiedzieć? Przecież była dla niego za stara! Pewno znudziło mu się całowanie jej pomarszczonych wdzięków.

[Gazeta „Pikantne Nowinki", 21-go listopada, 17-go roku. Załączone dokumenty: zdjęcie klasy Maksymowa, twarze Maksymowa i Toni Drozd obwiedzione czerwienią. Fotografia Lidki z jubileuszowego albumu - „Lidia Anatoliewna Sotowa, nauczycielka biologii". I jeszcze jedno zdjęcie, niezbyt ostre, widocznie zrobione chyłkiem i z daleka: całująca się para na parkowej ławeczce, w kobiecie można - choć z trudem - poznać Lidkę, twarzy chłopaka poznać się nie daje]

* * *

W instytucie oczywiście wszyscy wiedzieli o wszystkim i wszystko czytali. Lidka zjawiała się w pracy z przesadną niemal punktualnością; pod jej wzrokiem współpracownicy rozbiegali się niczym karaluchy oświetlone snopem światła z kieszonkowej latarki. Rozliczne pracownie kontynuowały swoją gorączkową działalność, Lidkę jednak dręczyła coraz głębsza pewność, że ich prace prowadzą donikąd.

Dwa lub trzy razy próbowano do niej podejść z rozmową. Współczującą i pełną oburzenia na tych „podłych dziennikarzy". Lidka gasiła współczucie zdumiewającym chłodem. Potwarców z gazety skwitowała jednym jedynym zdaniem, obiecując ich puścić z torbami w sądzie.

W przeddzień powrotu Wielikowa z Andriejem, godzinę przed końcem dnia pracy, sekretarka Lidki pisnęła zdławionym głosem:

- Lidio Anatoliewna, ma pani telefon. Z dołu, z portierni.

- Jestem zajęta - odpowiedziała Lidka beznamiętnie.

- Rozumiem. Ale dzwoni niejaki Maksymow...

Lidka oderwała spojrzenie od leżących przed nią dokumentów i sekretarka znikła, jakby ją diabli porwali.

Przez kilka sekund Lidka siedziała bez ruchu, szukając w sobie jakichkolwiek uczuć. Nie znalazła żadnych. Ostatecznie ludzi o nazwisku Maksymow może być na świecie tylu, ile jest stopni na nieskończonych uniwersyteckich schodach.

- Co za Maksymow i czego chce? - rzuciła znużonym głosem pytanie w ślad za sekretarką.

Lenoczka też czytywała bulwarową prasę. No, przynajmniej podczas kilku ostatnich dni. Gdyby domagający się spotkania z Lidką nieznajomy nazywał się, na przykład, Jegorow, z pewnością nie próbowałaby niepokoić groźnej przełożonej.

- Poprosił was do telefonu, pomyślałam więc sobie...

- Dowiedzcie się, z czym przyszedł. Jeżeli z czymś ważnym, niech

się zapisze na listę przyjęć...

- Jak sobie pani życzy, Lidio Anatoliewna.

Znamionującym znużenie gestem Lidka opuściła ramiona.

Adwokat stwierdził, że teraz „Nowinki" z ochotą przystąpią do procesu. Szmatławiec chełpi się nowymi szczegółami, które szykuje do kolejnego wydania, jego nakład podskoczył o trzy razy, a sądowa rozprawa z powództwa Lidki z pewnością zostanie przekształcona w widowisko reklamowe.

A teraz proszę... Maksymow.

Nic dziwnego. Nieprzypadkowo się tu pojawił. Zabawnie będzie, jeżeli w kolejnym numerze „Nowinek" pojawi się wywiad z uwiedzionym przed Lidkę byłym jej uczniem. „Nowinki" mają pewnie niemałe możliwości finansowe i nieźle mu zapłacą. Rodzina i znajomi Maksymowa żyją daleko, poza zasięgiem „Pikantnych Nowinek"...

Lidka zmarszczyła brwi. Zetknięcie z dziennikarzami, choćby nawet pośrednie, źle na nią wpływa. Takie świństwa przylepiają się do człowieka.

Jeszcze przez pewien czas posiedziała za biurkiem, nie chcąc się przyznać przed sobą, że na dziś koniec z pracą. Wskazówki zegara zbliżały się do szóstej. Lidce zdarzało się już zasiedzieć w pracy do wieczora, ale dziś nie mogła sobie na to pozwolić. Po pierwsze, trzeba było posprzątać w mieszkaniu przed przyjazdem Andriuszki. Po drugie...

Po drugie, sekretarka może sobie pomyśleć, że Lidka boi się wyjść z Instytutu, dopóki na portierni czyha ten Maksymow...

Lidka zaś nie wiadomo skąd miała pewność, że czyha i nie będzie czekał do umówionego z sekretarką dnia przyjęć...

Wstała za dziesięć szósta. Zebrała papiery i spojrzała na uśmiechającego się do niej spod szkła młodego Andrieja Zarudnego.

- Ale mi numer wyciąłeś - stwierdziła szeptem i natychmiast poczuła wstyd z powodu tych słów.

Machinalnie pogładziła Andrieja po policzku.

Zamknęła sejf. Spojrzała w lustro.

Poczuła krótkotrwały napływ trwogi.

Nie widziała się z Maksymowem... ile to już? Szesnaście lat?

Maksymow, kiedy ją zobaczy, natychmiast zapyta sam siebie, skąd się tu wzięła ta starucha? I gdzie podziała się kobieta, która kiedyś dzieliła z nim pomarańczowy namiocik.

Przecież on mnie po prostu nie pozna, pomyślała Lidka z niespodziewaną ulgą. Nie muszę się wcale kryć, czy wdziewać maski. Przejdę dwa kroki od niego, a on cały czas będzie się gapił w drzwi, czekając na wyjście Lidki Sotowej, *primo voto* Zarudnej...

Wzięła się w garść. Narzuciła na ramiona palto, pożegnała się z Lenoczką - wypisz wymaluj wcielenie godności i niewzruszoności.

Sekretarce omal oczy nie wypadły z orbit. Tak, tak, dziewczyno. Ucz się...

Przeszła korytarz, stukając obcasami. Wyszła na szerokie schody wejściowe i zeszła po nich w dół - od niedawna windy budziły w niej odrazę.

Po drodze wymieniała pozdrowienia z mijanymi ludźmi. Odpowiadała, niekiedy nawet się uśmiechając. „Ot, baba z żelaza" - stwierdził ktoś za nią stłumionym głosem.

Kiwnęła głową portierowi. Przeszła przez obrotowe drzwi i ruszyła przed siebie, starając się nie przyspieszać kroku.

Mżył drobny deszczyk. Na podjeździe stało kilka służbowych samochodów, obok mokrej ławeczki czekali na kogoś dwaj mężczyźni i kobieta. Na trzech czarnych parasolach błyszczały krople wilgoci.

Lidka odruchowo wsunęła dłoń do torebki - i natychmiast sobie przypomniała, że optymizm porannej radiowej prognozy pogody skłonił ją do zostawienia składanej parasolki w domu.

Teraz już mogła ruszyć szybciej - miała przecież powód. Mijając klomb, kątem oka zmierzyła czekających - kobieta była żoną jednego z pracowników. Lidka musiała odpowiedzieć na jej pozdrowienie. Obaj mężczyźni patrzyli gdzieś w bok - żaden z nich nie przypominał z twarzy fotografii Maksymowa.

Wszystko było bardzo proste.

Z trudem powstrzymała wypływający jej na wargi uśmiech ulgi. Albo tamten był innym Maksymowem, a sekretarka naczytawszy się bulwarowej prasy, od razu pomyślała sobie, Bóg wie co. Albo petent po prostu się nie doczekał i najadłszy się goryczy, wrócił do swojego...

Kroki z tyłu. Niezbyt pewne, z odgłosów można było wywnioskować, że idący nie omijał kałuż...

Lidka przyspieszyła.

Kroki nie zostały z tyłu. Najwyższy czas się odwrócić, ale Lidka uparcie patrzyła przed siebie.

- Li... Lidio Anatol...

Zatrzymała się. I powoli odwróciła głowę.

Stojący przed nią człowiek gniótł w dłoni rączkę parasola. Miał trzydzieści sześć lat, ale wyglądał młodziej. I bardzo się denerwował - prawie tak samo, jak wtedy, kiedy czekał na nią pod szkołą, żeby potem pójść za nią niczym bojaźliwy pies...

- Lidio Anatoliewna... Lideczko... Dzień dobry...

Lidka bez słowa patrzyła mu w twarz.

Nie, na tej fotografii nie był za bardzo do siebie podobny. A może czekanie i strach obudziły w nim tamtego chłopaka... Co prawda, czemu i kogo miałby się teraz bać?

- Czego ty się boisz, Artiom?

- Nie boję się... - odparł z niezbyt pewnym uśmiechem. - To

znaczy, boję się, że... Chcesz... czy pani chce... mój parasol?

* * *

- Po co tu przyjechałeś?

Siedzieli w kawiarni. Przedtem długo krążyli po ulicach w taksówce; Lidka musiała się upewnić, że reporterzy „Nowinek" nie pójdą tropem nowych rewelacji.

- Nie wiem.

- Przez szesnaście lat nie poczułeś potrzeby przyjazdu i nagle...

- Lid...ko. Ja...

- Opłacili ci podróż? Ci z gazety?

- Niezupełnie tak...

- Jeżeli mi powiesz, że przyjechałeś na prośbę „Nowinek", wstanę i wyjdę. I nigdy już się do ciebie nie odezwę, ani słowem.

- Lido...

Zdziwiła się własnej głupocie. Kto po takiej groźbie powie prawdę?

Podeszła kelnerka, nieznajoma i zachowująca olimpijską obojętność. No, koniec końców nie cały świat czyta „Pikantne Nowinki". Postawiła przed Lidką talerz zupy, a przed Maksymowem - kawę i lody.

- Nic się nie zmieniłaś - stwierdził Maksymow ze skargą w głosie.

Mówił z ledwo zauważalnym akcentem. Teraz akcent brzmiał wyraźniej.

- Ja się nie zmieniłam?! - niewiele brakowało, a Lidka parsknęłaby śmiechem. - Miałam nadzieję, że mnie w ogóle nie poznasz. Czas robi swoje.

- Wielka mi rzecz, czas - Maksymow powiedział to cicho, patrząc na smugę pary nad filiżanką kawy. - Ty się nie zmieniłaś, Lido.

- Jestem staruchą, która uwiodła niewinnego uczniaka - odpowiedziała Lidka z jadowitym uśmieszkiem.

Trafiła. Maksymow poczerwieniał jak pąsowy obrus na ich stoliku.

- Taka... podłość. Mszczą się na tobie.

- Ale to przecież prawda - Lidka uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - O Zarudnym - kłamstwo, którego teraz nie sposób zdemaskować. Ale to, że cię uwiodłam - prawda. Mogłabym być twoją matką. I byłeś prawiczkiem, gdy...

- Lido!

Siedzący przy sąsiednim stoliku mężczyzna i kobieta spojrzeli w ich stronę.

- Lido... rok temu się rozwiodłem.

- Aha.

- Tak... wiem, że żyjesz samotnie...

- Z synem - poprawiła.

- Samotnie z synem. Moglibyśmy...

Odsunęła talerz:

- Przyjechałeś z takimi głupotami? A może przeprowadzasz eksperyment z dziennikarskiego śledztwa na zlecenie „Pikantnych Nowinek”?

Maksymow siedział jak porażony. Lidka wstała i idąc ku drzwiom, wezwała kelnerkę. Zapłaciła za niedojedzona zupę; Maksymow dogonił ją na ulicy. Osłonił swoim parasolem. I nic nie mówiąc ruszył obok.

* * *

Hotel nie stał w centrum, ale też i nie znajdował się na uboczu. Nie był drogi, ale też i nie należał do tanich; nie dałoby siego nazwać eleganckim, ale był zupełnie przyzwoity. Pokój też był niczego sobie - obszerny i z oknem od podłogi do sufitu.

Ze szczelin przy okiennej ramie ciągnęło chłodem. Maksymow zamknął lufcik i szczelnie zaciągnął zasłony.

- Chcesz kawy? Mam rozpuszczalną... mam też koniak... Napijesz się?

- Nie.

- Może czekoladowe cukierki?

- W moim wieku... - Lidka zawiesiła głos na chwilę - w moim wieku, Artiom, cukierki są szkodliwe. A szczególnie czekoladowe.

Maksymow przerwał na moment pospieszne porządkowanie stołu. I powoli się odwrócił:

- Lido, tak uporczywie i konsekwentnie robisz z siebie staruszkę... Jakbyś się czegoś bała.

- Ja miałabym się czegoś bać?!

Maksymow niespodziewanie się uśmiechnął. Potrząsając blaszaną puszką, przez chwilę wsłuchiwał się w ledwo słyszalny szelest przesypującej się kawy.

- Twoja ulubiona... Może jednak się napijesz?

- Nie przed nocą. Znów mi się rozreguluje rytm snu i czuwania.

- A kto ci powiedział, że dziś będziesz spała?

Teraz zmieszała się Lidka. Uciekła ze spojrzeniem w bok; Maksymow tymczasem wrócił do przerwanego zajęcia i nawet zaczął podśpiewywać sobie pod nosem - Lidka odruchowo stwierdziła w duchu, że słuch i pamięć muzyczną Artiom ma całkiem niezłe.

- Jak tam twoi synowie? - zapytała, przerywając niezręczne milczenie.

- Dobrze, dziękuję... są już prawie dorośli. Jak twój. Ile on ma lat - czternaście?

Nie odpowiedziała.

Maksymow wreszcie uporał się z porządkowaniem stołu. Podszedł do Lidki, nie usiadł jednak na przeciwległym krześle, jak się tego spodziewała, tylko opadł na miękką poręcz jej fotela.

- Lideczko...

Dotknął ją dłonią.

Gest był jednocześnie pieszczotliwy i frywolny. Gest hasło; przed szesnastu laty Lidka wiedziałaby, co nastąpi zaraz po tym geście. Kiedy zagrają kilka pierwszych taktów, znajoma melodia rozwija się jakby sama z siebie.

- Artiom, tyś chyba zwariował? Dawniej mogłabym być twoją matką, a teraz kim... babcią?

Milczał i patrzył na nią.

Oj tak, jeszcze w szkole nie bez powodu ciągnęły za nim całe stadka dziewcząt. Nie bez powodu ta zaraza Drozd chowała urazę przez szesnaście lat. Ona sama zresztą też nie bez powodu rzuciła się na własnego ucznia. Coś w nim było, w tym chłopaku. Chłopaku?

- Lideczko... teraz wydaje mi się, że to ja jestem dorosłym, a ty maleńka. Przecież to dziecinada - bać się, zapierać w kącie i mówić głupstwa.

I zrobił kolejny gest wedle dawnego rytuału - a Lidka ze strachem poczuła, że jej ciało odpowiada... jak dawniej.

Natychmiast zaczęła się okopywać na pozycjach obronnych:

- Artiom, a jesteś pewien, że w łazience nie kryją się korespondenci „Pikantnych Nowinek”?

Natychmiast cofnął dłoń i spojrzał na nią ze zdziwieniem:

- Lido, myślałem...

Nie dokończył. Wstał i odszedł ku stołowi.

- Lido... Lidio Anatoliewna... Chciałbym pani zaproponować... poprosić panią... o rękę. Pobierzmy się. Jutro. Dzisiaj. Oficjalnie.

Lidkę zatkało.

W pokoju wisiał ledwo wyczuwalnych zapach wody kolońskiej. Cierpki. Ciężki. Bardzo męski.

- Mówię zupełnie poważnie. Wszyscy twoi zawistni wrogowie zamkną pyski i udławią się własną żółcią.

Lidka uśmiechnęła się ledwo dostrzegalnie.

- Przysięgam, Lido, że będę cię strzegł. Będę przy tobie, żeby nic ci się nie stało. Od tej chwili, aż do samej śmierci. Zechcesz, zostanę twoim sekretarzem. Pomocnikiem. Laborantem...

- Pomocników i laborantów mi nie brakuje - Lidce jakoś udało się zmusić usta do odpowiedzi. Czy to pod wpływem wiszącego w powietrzu zapachu, czy szczególnego spojrzenia Maksymowa, ale te miejsca na jej ciele, których dotknął, zaczynały żyć swoim życiem. Powolutku od stóp po czubek głowy oblewał ją żar.

- Lid... jakkolwiek dziwnie by to nie zabrzmiało... będę ojcem dla

twojego syna. Przecież go potrzebuje... kocham cię. I pokocham jego. Rozumiesz?

Milczała.

Maksymow podszedł i przysiadł na dywanie u jej stóp.

* * *

Późną nocą, gdy w mieszkaniu zapanował już jaki taki porządek, zamknęła się w łazience (zrobiła to odruchowo, w domu przecież nikogo nie było), rozebrała się i długo przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze.

Nie zmieniłam się? Przynajmniej ty nie łżyj, Artiomku. I nie udawaj, że zagapiony pasażer, który wysiadł na wcześniejszej stacji, odkrywszy pomyłkę, zdoła bez trudu wskoczyć do następnego wagonu odjeżdżającego już pociągu. Twój pociąg odjechał już tak daleko, Artiomku, że nie dogonisz go nawet śmigłowcem. Śmigłowcem generała nieboszczyka Mroza.

Jutro przyjeżdżają Wielikow z Andriejem.

Lidka wdziała czystą koszulkę i weszła do łóżka. A potem długo patrzyła, jak po suficie przemykają światła przejeżdżających dołem samochodów.

Nie pozwoliła mu się odprowadzić. Na siłę wcisnął jej w kieszeń wizytówkę hotelu.

Zna numer jej telefonu służbowego. Dowie się, jaki jest numer domowy. Kto mu przeszkodzi odszukać Andrieja i nagadać mu, co ślina na język przyniesie... jak to niedawno zrobił Sławek Zarudny.

A niby dlaczego ma myśleć o Maksymowie źle? Skąd jej przychodzą do głowy takie myśli - przecież Artiom nigdy nie okazał się podlecem?

No, w każdym razie miło jej było tak myśleć.

Wydawało jej się, że pościel okropnie drapie. Dławiła ją i kłuła ze wszystkich stron.

Gdybyż tak było, że „Nowinki" łżą! Jakże wszystko byłoby lekkie i proste.

Profesor Sotową chętnie przytulą w Europie - na rok lub dwa. Dopóki tu się nie uspokoi. Dopóki wszyscy nie zapomną o gazetce „Pikantne Nowinki". A może warto byłoby zostać tam na zawsze? W świecie, który nie znał generała Mroza. Andriej otrzyma tam porządne wykształcenie... nawet lepsze niż w tym przeklętym liceum. I może Lidce udałoby się tam wcisnąć syna na „umówionego" listę...

Otrzymać obywatelstwo. Być może pomógłby w tym Maksymow.

Usiadła na łóżku.

W głowie huczało, jak w ulu. Bolało ją całe ciało.

Nie mogła zasnąć...

* * *

Przyjechali prosto z dworca, przesyceni zapachem pociągu, weseli i głodni.

- Lideczko, razem z Andriejem ułożyliśmy szkic kolejnej powieści. Tej o muzyce dla dalfinów. Zasadniczy element - przetwornik, który będzie zamieniał drgania akustyczne na ultradźwięki. Nasz główny bohater skonstruuje taki przetwornik. Będzie miał syna, czternastoletniego chłopca...

Lidka kwitowała wszystko uśmiechem.

Od dawna już rozważania Wielikowa budziły w niej wspomnienia bulgotu mleka w wielkiej cysternie. Nigdy nie mówiła o tym znakomitemu pisarzowi, Wielikow nie należał zresztą do obrażalskich, ale *coś takiego* - nawet dla niego byłoby trudne do przełknięcia.

Siedzieli za stołem, jedli, pili herbatę i opowiadali o swoich przygodach. Okazuje się, że na zachodnim wybrzeżu jakiś zapaleniec zorganizował cyrk dalfinów, niezbyt legalny, ale cieszący się ogromnym powodzeniem. Gromadzą widzów i wiozą kolejką linową do zatoki,, gdzie zbudowano amfiteatralnie ustawione siedzenia, jak w cyrku - choć miejsc wszystkiego z pół setki. Przedstawienie trwa około piętnastu minut - para dalfinów nadpływa z morza, krąży po zatoczce, je treserowi niemal z rąk i wyskakuje z wody - co za cielska! Szkoda, że nie wolno fotografować.

- A ja raz kiedyś pływałam z dalfinami - przyznała się Lidka, zaskakując nawet samą siebie.

Andriej wytrzeszczył oczy:

- Naprawdę?! Czemu nigdy nic nie mówiłaś?!

- Opowiem - obiecała Lidka. - Potem. Trzeba ci odpocząć, jutro przecież idziesz do szkoły...

- Oj, jak mi się nie chce - stwierdził chłopak, wzdychając tak, że mógłby ruszyć z miejsca średniej wielkości żaglowiec. - Pytałem tamtego gościa, potrzebuje pomocników, którzy się nie boją dalfinów. Mógłbym...

- Dziękuję, Wit - zwróciła się Lidka do Wielikowa, nie czekając, aż syn dokończy buntowniczą myśl. - Bardzo ci dziękuję... Andriuszka, skończ jedzenie. A ja pójdę odprowadzić wujka Witka.

Wyszli razem do przedpokoju. Lidka rozejrzała się dookoła - ani jedno miejsce nie wydawało jej się dostatecznie dyskretne do rozmowy. Przecież nie wyjdą na korytarz, a w windzie też nie da się za długo jeździć w górę i w dół.

- Są jakieś nowości? - zapytał spokojnie Wielikow.

Lidka kiwnęła głową. Obejrzawszy się na drzwi kuchni, wyciągnęła z kieszeni szlafroka złożoną ośmiokrotnie stronę gazety.

Wielikow przejrzał pospiesznie wyznania Toni Drozd. A potem pogardliwie skrzywił wargi:

- Daj mi to, Lidko. Wykorzystam jak należy... w wychodku.

- Mało higienicznie - stwierdziła Lidka przez zęby. - Tym bardziej, że to właściwie prawda...

Specjalnie odwróciła się tak, by Wielikow stanął twarzą do światła. Chciała widzieć jego oczy.

- Co ty się tak na mnie gapisz? - zapytał Wielikow. - Czekasz, aż „ze zmienioną twarzą pobiegnę do stawu"?

Lidka zagryzła wargi.

- Coś jeszcze?

- Owszem. Przyjechał Artiom Maksymow. Przed kilkoma dniami. Wczoraj się widzieliśmy.

- I co?

Lidka skwitowała pytanie milczeniem.

Pisarz wyciągnął rękę i delikatnie dotknąwszy jej ramienia, przyciągnął ją bliżej.

- Wiesz co? Chcesz rady mądrego człowieka?

- Chcę.

- Opowiedz wszystko Andriejowi. Niech pozna prawdę, a nie... wrzaski tego tłustego ptactwa...

- Nie - żachnęła się przestraszona nie na żarty Lidka.

Wielikow z zadumą spojrzał na sufit:

- Melodramat, to w zasadzie nie moja specjalność... chociaż w razie konieczności do powieści można włączyć elementy melodramatyczne.

- Mamo! - zawołał Andriej z kuchni.

W duszy Lidki znów obudziła się i zatrzepotała skrzydłami przerażona kwoka. Nieszczęsna, przesadnie się troszcząca o kurczaka kokoszka.

- Witku...

- Lido, ja zawsze będę przy tobie. Cokolwiek by się nie zdarzyło. Ale Andriejowi - opowiedz...

- Nie...

Pożegnali się, jakby nic się nie stało.

* * *

Zabawki, które już go krępowały i których się troszeczkę wstydził, stały na najwyższej półce w szafie. Były tam zajączki z obwisłymi uszami, para myszy - jedna bez ogona. Samochodziki. Skrzynka z zestawem „Mały konstruktor". I jeszcze jakiś przedmiot, prawie już niewidoczny w półmroku.

Zegar w saloniku wybił drugą. Drogą w nocy.

- Z Andriejem Igorowiczem spacerowaliśmy po parku. Prawie wszystkie zwierzęta już ewakuowano - to było tuż przed apokalipsą... I wiesz, on uwolnił mnie od strachu. Od tego lęku przed końcem świata.

Był... ech, Andriuszka, jakże bym chciała, żeby mógł posiedzieć tu z nami. Po trosze zresztą jest - na fotografii.

- Tak.

- Wiesz, jesteś do niego podobny. Obaj macie wesołe usposobienie.

- Tak?

- Owszem. Bardzo bym chciała, żebyś stał się podobny do człowieka, którego imię nosisz.

- Ale wujek Sławek...

- On wcale go nie przypomina. Jest taki, jak jego matka. To chory, stary człowiek...

- Stary?!

- No, może nie całkiem stary... ale z pewnością chory. Wewnętrznie jest starcem. Rozgoryczonym starcem. Skrzywdziłam go.

- Ty?

- Tak, ja. Wyszłam za niego za mąż z wyrachowania.

- Ty?!

- Mówię ci przecież... ja.

Cisza. Taką ciszę usłyszeć można tylko o pół do trzeciej nad ranem. A i to tylko wtedy, gdy nikogo nie boli ząb, i nikt akurat nie opróżnia pęcherza.

Lidka mówiła, ledwo poruszając wargami:

- ...badaliśmy artefakt Wrót. Fajnie tam było, wtedy wszystko było dobre. Kiedyś pojedziemy razem na prawdziwą ekspedycję. Obiecuję.

Po sąsiedniej uliczce przejechał jakiś samochód. Niegłośny warkot silnika był niemal ogłuszający. Przypomniały się jej szkoleniowe alarmy.

- Tak... wasze pokolenie nie umie sobie tego nawet wyobrazić. O dowolnej porze dnia i nocy, zdrowych, chorych, młodych i staruszków - wszystkich podrywali, zbierali i gnali po dachach, po torach przeszkód, do atrap Wrót... Jedni biegali, bo uważali, że tak trzeba, inni bali się OP. A my z tym chłopakiem schowaliśmy się na dziecięcym placyku zabaw, we wzniesionej dla dzieciarni baszcie, teraz już takich nie budują... Przesiedzieliśmy tam cały alarm. A oni nas szukali... wszędzie szukali i gdyby nas znaleźli, jego mogliby wydalić ze szkoły, a mnie z pracy. Albo i gorzej. Jego by posłali do poprawczaka, a mnie...

- Za co?!

- No przecież mówię, że teraz wydaje się to nie do pojęcia...

Listopadowy ranek jest gorszy od nocy. Mrok, wilgoć. O piątej zaczyna szumieć pierwszy w domu kran. Potem drugi, trzeci... kroki na schodach, ktoś przywołał windę...

Lidka ochrypła i umilkła; okna sąsiedniego domu jedno po drugim

zalewały się żółtawym, jajecznym blaskiem. Nigdy wcześniej nie myślała, że BĘDZIE MOGŁA. Że tak łatwo i prosto będzie opowiadać, a nawet przeżywać na nowo, i prawie bez goryczy.

- Wysadzę w powietrze redakcję tej gazety - stwierdził szeptem Andriej. - Wysadzę w diabły...

- Andriuszka... Cisza.

- Mamo, ja ich tak nienawidzę, że...

- Nie trzeba.

- Mamo, jeżeli ktoś jeszcze cię skrzywdzi... zabiję go! Złożyłem sobie taką przysięgę, jak miałem dwanaście lat. Przysiągłem na krew!

- Andriuszka...

Żadnych łkań. Żadnych łez.

Lidka już dawno temu zapomniała, jak się płacze.

* * *

Późnym rankiem - Andriej poszedł do liceum na drugą lekcję - Lidka zadzwoniła pod numer, jaki był na hotelowej wizytówce i poprosiła, by ją połączono z panem Artiomem Maksymowem spod pięćset drugiego.

Czekała z dziesięć minut.

- Halo?

- Witaj, Maksymow.

- Lideczka? Lido, tak się cieszę...

- Nie ciesz się przedwcześnie. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że twoja propozycja została rozpatrzona i odrzucona.

- Lido...

- Możesz do mnie pisać i przysyłać mi kartki pocztowe z okazji świąt. W przyszłym roku wybieram się na konferencję do waszego kraju - jeżeli znajdzie się trochę czasu, to się zdzwonimy.

- Lido...

- To wszystko, Tioma... Miło było znów cię zobaczyć. Ale akurat teraz mam mnóstwo spraw na głowie. Z „Pikantnymi Nowinkami" możesz zrobić, co zechcesz. Możesz dać wywiad albo nie... Ja już skończyłam swoje sprawy z tą gazetką.

Odłożywszy słuchawkę, od razu wybrała numer adwokata. Rozmowa zajęła kolejne dziesięć minut.

Potem zajrzała do notesu, odszukała numer „Wiadomości Wieczornych" i umówiła się, że w dzisiejszym numerze zamieszczą niewielką notkę.

A potem pomyślała przez chwilę i wybrała jeszcze jeden numer.

Od razu, żeby nie zapomnieć.

Czekała dość długo. Zaczęła nawet podejrzewać, że nie usłyszy odpowiedzi. - Halo.. - Witaj, Sławku. Jak twój reumatyzm?

Milczenie.

- Lida Sotowa, jeżeli nie poznałeś po głosie... Dziękuję ci Sławku za to, żeś uznał za konieczne powiadomienie mojego syna o niektórych faktach z mojej przeszłości. Miło ci będzie chyba usłyszeć, że oboje z Andriejem przyjęliśmy twoje rewelacje do wiadomości. Co więcej, jeden z naszych przyjaciół wpadł na pomysł, żeby napisać o tym wszystkim wyciskający łzy z oczu melodramat. Chcesz, to cię włączymy w spis konsultantów...

Sapanie w słuchawce. A potem sygnały... Lidka uśmiechnęła się mściwie.

* * *

Przed kilkoma dniami gazetka «Pikantne Nowinki» zamieściła oszczercze materiały, obrzucające błotem kierowniczkę Instytutu Prognoz Ekstremalnych im. Zarudnego, profesor Lidię Anatoliewnę Sotową. Lidia Anatoliewna pozwała przed sąd wspomnianą gazetkę, ale dziś rano wycofała pozew. Oto co oznajmiła profesor Sotowa naszemu korespondentowi:

- W pierwszej chwili zapragnęłam tryumfu sprawiedliwości i chciałam zażądać od tej gazetki rekompensaty za straty moralne. Przekonałam się jednak, że redaktorzy „Pikantnych Nowinek" w ogóle nie mają pojęcia o czymś takim jak prawda, czy sprawiedliwość, a dowolny proces sądowy stanie się tylko dla nich powodem do kolejnego jarmarcznego przedstawienia. Mam dość pieniędzy i bez rekompensaty ze strony bulwarowej szmaty, a moje dobre imię nie ucierpi, nawet gdyby pięć takich gazetek obrzucało je łajnem. Ogarnięta obrzydzeniem i pogardą wycofuję swój pozew przeciwko „Nowinkom". Uważam, że zwracanie uwagi na mieszkańców „pikantnej" kloaki jest poniżej godności każdego normalnego człowieka...

[„Wiadomości Wieczorne", 30 listopada 18-go roku]

* * *

Andriej przyszedł ze szkoły z podbitym okiem.

- Pokaż ręce...

Chłopak miał knykcie we krwi. No, nieźle.

- Wygrałeś?

- Jasne - na twarzy syna rozlał się uśmiech pełen szczęścia. - Oni się po prostu nie spodziewali.

- Oni? To ilu ich było?

- A tam, nieważne... biło się tylko dwu... A wiesz, nawet się ucieszyłem. Straszną miałem ochotę dać komuś po mordzie!

Lidka zagryzła wargi, żeby ukryć zdradziecki, głupawy uśmieszek satysfakcji.

- Coś ty, Driuszka... Przecież nigdy nie przejawiałeś agresywności.

- Ależ jestem agresywny, mamo. Strasznie agresywny. Grrrr! Przytulając syna do puszystego szlafroka, Lidka utkwiła spojrzenie w wiszącym na ścianie kalendarzu z nadmorskimi widoczkami.

Grudzień. Osiemnasty rok. Za trzy lata kolejna apokalipsa.

Rozdział 13

Kolejna wiosna.

Tuż przy bramie spod asfaltu wylazł mniszek. Jaskrawo żółty, zuchwały i gniewny - takie właśnie bywają kwietniowe mniszki, szczególnie jeżeli w drodze ku słońcu muszą się przebijać przez asfalt.

Lidka poczuwała się do swoistego pokrewieństwa z tym kwiatkiem.

Jej znamienity wydział nie był już chlubą Instytutu imienia Zarudnego. Zredukowany o połowę przeszedł pod zarząd ABP - Agencji Bezpieczeństwa Państwowego, która lada moment miała zostać przemianowana ponownie na OP. Bezwzględna tajność prac, podpisy, obrotowe drzwi przy wejściach i wyjściach - wszystkie atrybuty obrzydliwych sekretów, których Lidka nienawidziła „od zawsze".

„Nie - stwierdził wtedy Kostia Woronow. - Będzie się pani musiała obejść beze mnie". - „Kostia! - żachnęła się Lidka. - Przypomnij sobie, jak się to wszystko zaczęło! To przecież i TWOJE dzieło!" - „Nie - odpowiedział Kostia, którego twarz przybrała odcień mokrej kredy. - Nie pójdę na pasek OP. To oznacza koniec wszystkiego". „Ależ Kostia, dlaczego? Ich możliwości..." - „Nie" - odparł Kostia, nie wysłuchawszy nawet tego, co chciała jeszcze powiedzieć. Lidka zrozumiała, że nie zdoła go przekonać.

A chciała mu wszystko wyjaśnić. Chciała się usprawiedliwić; patrzyła na niego i wybierała słowa, ale nie mogła się zdobyć na to, żeby powiedzieć prawdę, a i kłamstwo nie chciało jej przejść przez gardło.

„Zrozum, Kostia..."

Odszedł i nawet się nie pożegnał.

Nikt nie miał wątpliwości, z jakiego powodu badania profesor Sotowej stały się Straszną Tajemnicą. Apokalipsa była coraz bliżej, a profesor Sotowa, powiedzmy otwarcie, niemłoda już kobieta, bardzo chciała trafić na listę osób objętych ewakuacją w ramach „umówionego opóźnienia".

Lidka doskonale wiedziała, co mówią o niej podwładni. I jakie przy tym robią miny. A przy tym wszyscy są pewni, że „Sotucha" stara się niepotrzebnie - lista osób objętych przywilejem „umówionego opóźnienia" nie może być przecież z gumy.

Uczucia siedemnastoletniej Lidki, która kiedyś w stosie dokumentów znalazła tekst przemówienia Zarudnego, mało kto dziś mógłby zrozumieć. Czasy są inne, cywilizowane, o „umówionym opóźnieniu" wszyscy wiedzą, chociaż do ujawniania list, jak za czasów

Mroza, jeszcze daleko. Nawet koza potrafiłaby zrozumieć, że córunia Prezydenta wejdzie we Wrota przed tatuniem i wszyscy się z tym pogodzili, ale kiedy zaczyna się dyskusja o pozostałych „niezastąpionych", „najbardziej wartościowych", „kadrach niezbędnych do funkcjonowania społeczeństwa"...

W całym mieście kwitły brzoskwinie. Lidka szła z wysoko uniesioną głową.

Dlaczego mlecz musi się przebijać przez asfalt? A ile zostaje tam, pod szarą pokrywą tych, co nie zdołały się przedrzeć?

Przed dwoma miesiącami Lidia Anatoliewna Sotowa, profesor zwyczajny, kierująca strategicznie ważnym, utajnionym „projektem Sotowej", otrzymała osobistą tabliczkę z numerem. Dwa tysiące dziewięć „B". Przepustka i miniaturowy radionamiernik. Przy pierwszych oznakach rozpoczynającej się apokalipsy należy stawić się na umówione miejsce i czekać na transport do ewakuacji.

Po klientów kategorii „A" przyjeżdżają prosto pod dom. Ale nie to jest najważniejsze - klientów kategorii „A" zabierają do Wrót z rodzinami. Bliscy krewni takich szczęśliwców otrzymują metkę „Aprim".

Lidka uśmiechnęła się zjadliwie, patrząc, jak po mokrym betonie pełznie ospała pszczoła z mokrymi, unieruchomionymi skrzydłami. Pełznie coraz szybciej. Skrzydła stopniowo wysychają... Podrygują... Uderzają pszczołę po bokach.

Oto ona, tabliczka na łańcuszku - wodoodporna, niepodatna na uszkodzenia, której nie zdejmuje się nawet pod prysznicem. Pierwszy rezultat męczącego i poniżającego maratonu; Lidka całymi miesiącami dreptała od sekretariatu do sekretariatu, nie chodziła, nie biegała, a właśnie dreptała. Od jednej urzędniczej mordy do drugiej, a one bawiły się profesorską godnością Lidki niczym plażową piłką. Tymczasem profesor Sotowa z uporem godnym lepszej sprawy stukała w obite skórą drzwi. Zwalniała swoich współpracowników - najlepszych, rokujących wielkie nadzieje i lojalnych. Zamykała bardzo interesujące projekty i otwierała inne kierunki badań, mgliste i niezwykle utajnione; przez jakiś czas wszyscy w instytucie chodzili jak ogłuszeni - jakże to tak?! Przecież szefowa jest porządną osobą, ona nie jest *taka!* Nigdy przedtem nie...

Swego czasu nawet cieszyła się z tego, że Kostia Woronow nie poszedł z nią pod opiekę OP. Nie stał się świadkiem upadku Lidki - ale jej radość nie trwała długo. Kostia zapił się na śmierć.

Proces, który u innych trwał latami, roztargnionemu geniuszowi zajął kilka miesięcy. Z Instytutu zwolniono go za absencję w pracy; choć dzięki staraniom Lidki trafił do szpitala na oddział odwykowy, nie potrafił się już zatrzymać. Podczas minionej zimy zamarzł w zaspie - cicha, pokorna i kompletnie pozbawiona sensu śmierć.

Podobno to właśnie Kostia pierwszy powiedział o niej, że się „skurwiła". Słowo było niezwykle trafne, wyraziste i konieczność tłumaczeń natychmiast znikła. Profesor Sotowa się skurwiła. Nie ona pierwsza, nie ostatnia, i nie jedyna przed apokalipsą.

...i proszę, za to wszystko tabliczka na szyi.

Zatrzymała się przed ciężkim jak stara ropucha i tak samo szaroburym budynkiem. Po raz kolejny pożałowała, że podczas tych wszystkich nerwowych i pełnych napięcia lat nie nauczyła się palenia. Teraz akurat mógłby to być doskonały powód do niewielkiej zwłoki, do przerwy na kilka głębokich zaciągnięć...

Poza tym, skoro wyznaczono czas na jedenastą, to ma się zjawić równo o jedenastej.

Po raz ostatni obejrzała się na kwitnący trawnik i ruszyła szarymi schodami w górę. Krok za krokiem - zdrętwiałe nogi stąpały ciężko, bolały ją też nabrzmiałe żyły. I łamało ją gdzieś w biodrach.

Tabliczki z numerem i miejsca na liście do ewakuacji nie można nikomu przekazać. Nikomu. Podczas ewakuacji sprawdzane są płeć, wiek, imię i nazwisko, oraz odciski palców - no, w każdym razie powinny być sprawdzane. Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że w zawierusze apokalipsy strażnicy o tym zapomną. Ale prawdopodobieństwo to jest zbyt małe, by można na nim zawiesić życie Andriuszy.

Niczym szczur od wielu miesięcy badała skrytki, schowki i nory. Nie może być tak, żeby nie było sekretnych przejść; wielokrotnie natykała się na obwały i zamurowane drzwi, ale też kilka razy jej się poszczęściło - trafiała na realną możliwość włączenia Andrieja do spisu uprzywilejowanych. Co prawda, kiedy dowiadywała się, ile to kosztuje, możliwość okazywała się złudą. Nawet gdyby sprzedała swoje profesorskie mieszkanko i polisę ubezpieczeniową, nawet gdyby sama zaprzedała się w niewolę, nie udałoby się jej zgromadzić żądanej przez kontrahentów sumy.

Dlatego jej maraton jeszcze trwa.

I dlatego wchodzi teraz po szarych stopniach, licząc się z tym, że zostanie wyśmiana i wyproszona za drzwi.

Ma nawet pewność, że dziś dokładnie tak właśnie będzie.

Jutro zresztą też.

Ale za to pojutrze, być może, uda się coś załatwić...

* * *

...Za dawnych, bardzo dawnych czasów wszyscy ludzie żyli jak dobrzy sąsiedzi, i nie było apokalips, glef ani Wrót... i pewnego dnia, zza czarnych chmur wyłonił się wąż ludojad, który zionął ogniem i osmalił całą ziemię. „- To już wasz koniec - powiedział, biada wam, bo od tej pory żyć tu będę tylko ja i moje wężowe potomstwo. A zza

białych obłoków pojawił się złoty rumak o srebrnych skrzydłach i powiedział: „Nie, wężu, nie twoja to ziemia i żył tu nie będziesz". Rozpoczęli bój zaciekły - walczyli dwadzieścia lat i dwadzieścia dni i pokonał koń węża ludojada, ten ci jednak, zdychając, rzucił klątwę: „Nie zazna ta ziemia spokoju - co dwadzieścia lat i dwadzieścia dni niech ją nękają nieszczęścia, niech niebo się wali i niech jęczą targane konwulsjami góry, a z morza niech wychodzą głodne potwory. Niech giną ludzie, setkami i tysiącami, aż nikt się z nich nie ostanie!" Ale złoty koń, choć śmiertelnie ranny, też zdążył powiedzieć swoje: „Nie mogę zmienić twojego przekleństwa, ludojadzie. Co dwadzieścia lat i dwadzieścia dni będą nękały ziemię nieszczęścia, niebo się będzie waliło i jęczały będą targane konwulsjami góry, a z morza wyjdą głodne potwory. Ale mocą mojego rozkazu niech w te straszne dni pośrodku lądów i gór pojawią się Wrota i wszystko, co żywe, od człowieka po maleńkiego ptaszka, niech się w tych Wrotach skryje. I nie zginie ta ziemia, a żyć będzie!"

- Bardzo wygodna legenda - stwierdził Kowal. - Zakłada, że za nas wszystkich raz i na zawsze złożył z siebie ofiarę złoty koń. Wrota zaś będą się pojawiać same z siebie, niezależnie od naszych zasług czy popełnianych przez nasz grzechów. Ale posłuchaj teraz ty, Artysto. W moim wariancie legenda kończy się inaczej:

„Co dwadzieścia lat i tyleż dni ziemie będą nękały nieszczęścia, niebo się będzie waliło i jęczały będą targane konwulsjami góry, a z morza wyjdą głodne potwory, ale mocą swoją rozkazuję: niech się znajdzie w te straszne dni pośród ludzi jeden sprawiedliwy, człowiek, który ukochał bliskich i zupełnie mu obcych bardziej niż siebie samego. Niech się ofiaruje za wszystkich, i niechaj go złożą przyjaciele w ofierze wężowi. I wtedy pośrodku lądów i gór pojawią się Wrota i wszystko, co żywe, od człowieka po maleńkiego ptaszka, się w tych Wrotach skryje. I nie zginie ta ziemia, a żyć będzie!

[Witalij Wielikow. „Ostatnia ofiara". Powieść i opowiadania. Wydawnictwo „Centrum". 16-ty rok, 656s]

* * *

Wieczorem przyszli do Andrieja przyjaciele z klasy - dwóch chłopaków i dwie dziewczyny. Jedna z nich, Julia, bardzo się Lidce spodobała. Szczuplutka, zgrabna, nie żeby osobliwie piękna, ale o mądrym, bystrym spojrzeniu; kiedy patrzyła na Andrieja, na jej poważnej twarzy pojawiał się cień uśmiechu. „Zakochana" - pomyślała Lidka.

Drugą dziewczynę, Saszę, Lidka w pierwszej chwili wzięła za chłopaka. Dżinsy, kusa kurteczka, krótko obcięte włosy i jadowite żarty; usłyszawszy urywki jej odpowiedzi i docinki, Lidka zrozumiała, że dziewczyna gra rólkę rozczarowanej życiem intelektualistki.

Chłopcy byli kompanami Andriuszy od dawna. Walik i Witia wpadali do Sotowych niemal co tydzień; Lidka przywitała ich jak starych znajomych.

W pokoju Andrieja ustawiono na stole niezbyt wyszukane potrawy i włączono muzykę; Lidka zostawszy u siebie, przysłuchiwała się głosom gości i starała się zrozumieć, o czym mowa. Mniej więcej o ósmej - bez uprzedzenia wparował Wielikow.

- Siedź cicho, Witalik. Tam są twoi wielbiciele, jak odkryją, że tu jesteś, to sobie nie pogadamy...

Wielikow kiwnął głową, obiecując zachowywać się cicho, jak mysz, co dobiera się do żołnierskiego chlebaka. Przekradli się więc do kuchni, gdzie w milczeniu usiedli do herbaty; ciasteczka pisarz przyniósł ze sobą.

- I jak? - zapytał Wielikow w dwudziestej pierwszej minucie milczenia.

- Na razie nijak - odpowiedziała Lidka, odwracając głowę w bok.

- Nie wykręcaj się - zastrzegł Wielikow.

Lidka uśmiechnęła się krzywo:

- I kto to mówi?

Wielikow oblizał ubrudzony kremem palec:

- Wybacz...

W pokoju Andrieja słychać było śmiech dziewcząt; wysoki, jakby zawistny śmiech Julii i niski, pewny siebie - Saszy.

Wielikow westchnął. Lidka pomyślała, że przyjaciel ostatnimi czasy mocno się postarzał. I że z siwizną wcale mu nie do twarzy, w odróżnieniu od szlachetnych starców z klasycznych dramatów i współczesnych powieści kryminalnych.

- Witalik, ufarbowałbyś włosy...

- Nie jestem babą - odezwał się Wielikow w zadumie. - Ale ogolić się na pałę - to po męsku...

Przez chwilę znów milczał, utkwiwszy spojrzenie w dnie filiżanki i osiadłych na nim fusach.

- Wiesz, Lido, kiedy byłem małym chłopcem, często chciałem, żeby cały świat, rozumiesz, cała ludzkość składała się tylko ze mnie. Nie, nie to, żebym był sam jak palec - żeby wszyscy wokół byli dokładnie jak ja, niczym odbicia w lustrze. Tak fajnie byłoby w klasie - i nauczycielom łatwiej, i mnie byłoby przyjemnie. Łatwo byłoby o wszystkim rozstrzygać - rozumielibyśmy się bez słów. Świat byłby spokojny i szczęśliwy - ręczę, że nie jestem zły, już wtedy wiedziałem to na pewno. Nikt nie musiałby się mnie bać. Nikomu niczego bym nie zazdrościł. Podczas apokalipsy nikt by nikogo nie popychał - wszyscy byśmy się dogadali... To znaczy dogadałbym się ze sobą. Rozumiesz?

- To twoja nowa powieść? - zapytała Lidka, ponownie napełniając filiżankę.

- Nie. To taka dziecięca fantazja. Potem podzieliłem się tym pomysłem z bratem, a ten pomyślał chwilkę i orzekł, że wtedy nikt nie zarzynałby prosiaków i nie ściągał z nich skór. Nikt nie otwierałby nieboszczyków w prosektorium, nie wywoziłby nieczystości do morza, nie spalałby śmieci na zwałowiskach... Nikt nie chciałby wykonywać całej masy innych, koniecznych i niezbędnych, ale absolutnie nie interesujących mnie rzeczy. I że tylko niewielu moich sobowtórów mogłoby tworzyć te moje „pisałki" - tak się wyrażał o mojej twórczości. A całą buchalterię, wydobywanie i przeróbkę ropy naftowej, strzyżenie owiec i dojenie krów, hodowanie buraków, obróbkę żelaza i inne codzienne sprawy musiałaby wykonywać pozostała część ludności, co uczyniłoby ją, to jest mnie, nieszczęśliwymi do końca życia.

W pokoju Andrieja nieco ściszono muzykę. Młodzi za to sprzeczali się, głośno i zajadle; nawet przez zamknięte drzwi do siedzących w kuchni dolatywały urywki zdań:

... jakiś tam procent ludzi, którzy wszystkie twoje pomysły mają gdzieś! Nie zdołają pokochać nikogo, oprócz siebie samych, to fiz-jo-lo-gia!

...zdradzić... uwierzyć...

...spróbuj to wyjaśnić choćby naszej chemicy...

... A co ma fizjologia do miłości?...

- Rosną dzieciaki - stwierdził Wielikow, nie bez zmieszania w głosie.

- A ty wiesz - nachmurzyła się Lidka - że oni wszyscy dostali bzika na punkcie twojej „Ostatniej ofiary"? Czasami mi się wydaje, że nie jest to naturalne. Pojawiają się fanatycy, a ja nie lubię fanatyzmu.

- Sam go nie lubię - stwierdził Wielikow. - Mam z tą książką... No, krótko mówiąc, postanowiłem jej więcej nie wydawać.

Lidka uniosła brwi w górę.

- Owszem - Wielikow bezradnie potarł dłonią o dłoń. - Wszystko pięknie, wielbiciele, zwolennicy, niby tak powinno być... Ale w „Ofierze" dokopali się do tego, czego w niej nie ma. W każdym razie JA tam tego nie umieściłem. Oni za poważnie... włącznie z teoriami, że niektórzy zapaleńcy uważają, iż należy składać się w ofierze dla otwarcia Wrót. Dosłownie. Przeprowadzają przyczynkowe badania i dowodzą, że każdej apokalipsie, każdemu otwarciu Wrót towarzyszą ofiary niewinnych ludzi...

Pisarz umilkł na chwilę, a potem spojrzał na Lidkę dość dziwnym wzrokiem:

- Uwierz mi... spróbuj sobie wyobrazić, jakie to wszystko dla mnie niemiłe. Za jedną z tych ofiar uznali Zarudnego...

Lidka milczała.

- Nie patrz tak na mnie... Dlaczego, u licha, nikomu nie przyszło

do głowy, żeby stworzyć „podwodną orkiestrę” i zabawiać dalfiny muzyką. Albo rozgryzanie układu obłoków na niebie, jak to robił bohater „Utraconego Klucza”, co?

- To *mryga* - stwierdziła Lidka wbrew samej sobie. - Teraz ludzie będą wariować, daj im tylko powód...

W pokoju obok darli się, przerywając sobie nawzajem, Andriej, Witia i Walik:

- Nie można wszystkich mierzyć jedną miarą! Egoizm to zdrowe uczucie, tak samo instynkt samozachowawczy...

- Egoiści nie przeżyją!

- To altruiści nie przeżyją, jeżeli będą wszystkim ustępować na drodze do Wrót!

- Jakież mądre rozmowy prowadzi się dzisiaj - stwierdził Wielikow z westchnieniem.

Lidka sięgnęła nad stołem i pogładziła go po dłoni:

- Dziękuję ci, Witalik, żeś przyszedł akurat dzisiaj. Po tej rozmowie...

- Rozumiem... Ale ty nie potrafisz się wykręcać...

Ujęła jego wyciągniętą rękę:

- Nie... ale mimo wszystko dziękuję.

Wielikow dojadł ciastko, posiedział jeszcze trochę, objął ją na pożegnanie, cmoknął w policzek i wyszedł. A po jakimś czasie, gdzieś tak przed północą, młodzież przypomniała sobie, że jutro trzeba iść do szkoły.

- Świetna dziewczyna - stwierdziła Lidka, zwracając się do szykującego się do nocy Andrieja.

- Aha! - potwierdził entuzjastycznie Andriej. - Tobie też się spodobała?

- Jakże mogłaby mi się nie spodobać? - zaśmiała się Lidka. - Od razu widać, mądra, inteligentna, szczera. Mało dziś takich.

Twarz Andrieja rozświetlił radosny uśmiech, jakby to jego pochwalono:

- Tak, jest bardzo mądra! Wiesz, jaką ma ksywę? Werliber, Saszka Werliber!

- Kto? - zapytała Lidka, czując nagły chłód.

- Saszka - Andrieja zdziwiła niedomyślność matki. - Przecież o niej mówimy...

- Aha - odpowiedziała Lidka i przeszła do łazienki, by umyć się przed snem.

* * *

...Miniony weekend był niespokojny i dla obywateli, i dla miejskiej milicji, co należy przypisać wzrostowi narkomanii i przestępczości wśród młodzieży. W barze „Czerwony Kamień” w

rezultacie utarczki pomiędzy dwiema bandami wyrostków zginęły dwie postronne osoby: trzydziestoletnia kobieta i pięćdziesięcioośmioletni mężczyzna. Dziewiętnastoletni Konstantin E. zmarł w szpitalu wskutek licznych ran zadanych nożem. Sześciu siedemnastoletnich wyrostków, uczniów liceum numer 408, w stanie upojenia alkoholowego zgwałciło dwie koleżanki, osiemnastoletnią i dziewiętnastoletnią... Nocą, z soboty na niedzielę, w pobliżu przystanku pospiesznego tramwaju przy Instytucie Politechnicznym stoczono masową bójkę. Do chwili obecnej w okolicznych szpitalach zarejestrowano dwustu dziesięciu młodych ludzi, którzy zgłosili się z prośbami o pomoc medyczną...

Wśród młodszego pokolenia coraz większą popularnością zaczynają się cieszyć wszelkiego rodzaju nauki pseudoreligijne. I tak neofici z ruchu „Oczyszczaczy" spędzają wolny czas na uroczystościach palenia książek, zawierających szkodliwe i niepotrzebne - wedle ich mniemania - treści. Młodzi piromani ze szczególnym upodobaniem palą dzieła popularnego wśród ich rówieśników autora powieści fantastycznych, Witalija Wielikowa... Tego samego, który ma wśród ich rówieśników wielbicieli, nazywających siebie Kręgiem Ostatniej Ofiary. Samorodne rytuały, własna filozofia i bójki z „Oczyszczaczami" - oto czym wsławili się członkowie Kręgu.

Sekta tak zwanych Strażników głosi miłość bliźniego, ale podczas przeszukań w mieszkaniach jej założycieli znaleziono całe arsenały broni palnej i ręcznej. Oficjalne stanowisko Kościoła jest jasne: członkowie sekt nie mają nic wspólnego z prawdziwą wiarą, są łgarzami albo oszustami - lub też ofiarami jednych i drugich. Rodzice, bądźcie czujni! Właśnie teraz waszym dzieciom potrzebna jest wasza troska, zrozumienie i pomoc...

[„Wiadomości Wieczorne", 17-go maja 20-go roku]

* * *

- Istnieje rozwiązanie pani problemu - stwierdził Maleńki Szary Człowieczek. - Oczywiście, z pani strony potrzebna będzie... mmm... dobra wola, ustępliwość i odrobina wysiłku.

- Rozumiem - stwierdziła Lidka cierpliwie.

- Po pierwsze, musi przyjąć pani do pracy kilku ludzi... oni też otrzymają miejsce na liście ze statusem „B"- Po drugie... ale może najpierw określimy sytuację. Są dwie drogi - przypisanie pani statusu „A" z automatycznym włączeniem syna do spisu... Ta droga jest praktycznie nie do pokonania, ponieważ status „A" przypisuje się stanowiskom, o jakich pani się nawet nie śniło. Drugi sposób - przypisanie pani synowi statusu „B" - łatwiejszy, ale też nie do załatwienia zgodnie z prawem. Czy mówię zrozumiale?

Maleńki Szary Człowieczek był czyimś tam drugim zastępcą, miał też imię i patronimik, których Lidka za nic w świecie nie mogła zapamiętać. Był Maleńkim Szarym - zewnętrznie i wewnętrznie. Ot, taka sobie mysz, która spokojnie pogryza pieróg gospodarza.

- Oczywiście - odpowiedziała Lidka, pozwalając sobie na okazanie rozdrażnienia.

- To dobrze. Za dwa, trzy dni otrzyma pani od tych ludzi podania z prośbą o przyjęcie ich do pracy. Znajdzie pani dla nich jakieś stanowiska; oczywiście, żaden z nich nie ma odpowiedniego wykształcenia, Będzie pani musiała coś tam im wymyślić... - uśmiechnął się Szary.

- Zdarzało się już, że czasami musiałam to robić - stwierdziła Lidka spokojnie. - Co dalej?

- A dalej... włączy pani tych ludzi w spis europejskiej delegacji...

- Dobrze - odpowiedziała Lidka, uprzedzając nową eksplozję złośliwości.

Szary kiwnął głową z zadowoleniem.

- Doskonale. Przyjmie pani do pracy i swojego syna. Może jako sprzątacza albo w innym charakterze, ale powinien się znaleźć wśród pracowników.

- W skład delegacji na razie włączać go nie muszę? - nie wytrzymała Lidka.

- Na razie nie - zachichotał człowieczek. - Ale kto wie... oprócz tego powinna pani jeszcze...

Rozstali się pół godziny później. Lidka złapała taksówkę i poprosiła, by kierowca pojechał tak szybko, jak tylko się da.

Biegiem pobiegła po schodach ku windzie. Otworzyła drzwi - niewiele brakowało, a złamałaby klucz w zamku - i pochlipując, zrzucając w biegu ubranie, skoczyła do łazienki, pod gorący prysznic.

Wydawało jej się, że oblano ją śmierdzącą, lepką masą. Zanurzyli ją w szczynach, poniżyli, pognębili, zgwałcili i wyrzucili niczym skrwawiony ochłap.

Wszystko ma swoje granice.

Profesor Sotowa... ale co tam. Po prostu uczciwy człowiek. Była nim. Była, dopóki nie stanęło przed nią to zadanie, które jednocześnie ma i nie ma rozwiązania.

Płakała i zmywała łzy gorącą wodą. Drogie, wodoodporne, stosowane przez nią kosmetyki poddały się wreszcie i spłynęły czarnymi smużkami, ujawniając ołowiane kręgi pod oczami.

Czy kiedykolwiek zdoła zapomnieć o tych gabinetach? O tych korytarzach, drzwiach, tkwiących za nimi sekretarkach i nadętych urzędniczych mordach?

Czy zdoła kiedykolwiek zapomnieć o rozmowie z Maleńkim Szarym Człowieczkiem - albo z dziesiątkami jemu podobnych, różnej

maści Człowieczków, których pełne były dziury i wiodące na skróty przesmyki pod paradnymi dywanami głównego korytarza?

Nigdy w życiu nikt jej tak nie poniżył. Nawet Rysiuk... Ona sama nigdy też nie stoczyła się tak nisko.

Łzy obeschły. Lidka umocowała słuchawkę prysznica na ścianie - i usiadła na dnie wanny, żeby woda lała się jej na głowę.

Andriuszka otrzyma prawo do ewakuacji poza kolejnością.

Otrzyma.

Teraz to już prawie pewne.

* * *

...i po cóż bać się *mrygi?*
Zrzuci zmurszałą korę
Nowa apokalipsa,
W piecu szkarłatnej nocy
Wypali stare, skostniałe
A na oczyszczonych ziemiach
Stanie nasze nowe miasto
Które sami zbudujemy...
[Gazeta „Sztandar Młodych", 17-go maja 20-go roku]

* * *

- Witalik, Zarudny się pomylił. Wszyscy nie mogą wejść we Wrota, to po prostu niewykonalne. Ludzkość nigdy do tego nie dojrzeje. Nigdy nie stanie się tak świadomą i zjednoczoną. Dlatego, że chama, który przedziera się po cudzych głowach, można ostatecznie zatrzymać albo przemówić mu do sumienia. Odpowiednio wychować, zaczynając od przedszkola... nie śmiej się, mówię - w zasadzie... Ale mnie, Witalik, zatrzymać się nie da. Jeżeli mi powiedzą, że mojego syna nie da się uratować, bez tego, żeby nie zginęło kilku ludzi, którzy w przeciwnym razie mogliby się uratować... cóż, zrobię wszystko, żeby Andriusza się o tym nie dowiedział. Tak. Ale... nie zrezygnuję. Takie ze mnie ścierwo, Witalik. Takie ze mnie bydlę.

Wielikow milczał. Niespiesznie mył brudne naczynia, które nagromadziły się w kuchni Lidki podczas kilku minionych dni.

- Nie gardzisz mną, Witalik?

Odwrócił się przez ramię i rzucił jej krótkie spojrzenie. A potem wrócił do mycia talerzy.

- Na tym sparzył się Mróz... przede wszystkim na tym. Wszystko by mu darowali, wszystkie te „izolatki" i alarmy. Sam chyba rozumiesz, że gdyby apokalipsa przeszła bez ofiar, Mroza ogłoszonoby świętym. Zwycięzców się nie sądzi. Ale on sam, bojownik o sprawiedliwość i rzeczywistą czystość listy do wcześniejszej ewakuacji... nie mógł z niej wykreślić wnuka. Nie mógł i już... No i się

zaczęło...

- Trafiają się ludzie - odparł Wielikow, nie odwracając się od kuchni - którzy dla dobra sprawy, szlachetnej i godnej z ich punktu widzenia, gotowi są syna albo wnuka zarżnąć własnymi rękoma...

- Być może tacy są! - żachnęła się Lidka. - Jesteś pisarzem, znawcą ludzkich dusz. Być może tacy są... Ale prawa ewolucji będą przeciwko nim... Jednostki, które ze względu na idee są gotowe na ofiary z własnego potomstwa, znikną z powierzchni ziemi jako gatunek.

Wielikow zakręcił kurek. Wytarł ręcznikiem zaczerwienione, mokre dłonie:

- A może Wrota wybierają właśnie wedle tej cechy? Do diabla z muzyką, przeżywają ci, których rodzice są gotowi poświęcić dla nich własne życie, sumienie, przekonania...

- Masz temat na nową powieść - stwierdziła Lidka z pogardą w głosie.

Wielikow podszedł bliżej, przysunął sobie taboret i usiadł obok:

- Lideczko... a może obejdzie się bez tego wszystkiego? I ty i ja przeżyliśmy po dwie apokalipsy bez żadnych spisów... Może...

- Nie - Lidka czuła, że ma spuchnięte powieki i przekrwione oczy. - Nie, Witalik. Była przecież jeszcze moja siostra, Jana. Byli nasi sąsiedzi, znajomi, z mojej byłej klasy tylu uczniów... zostało...

Pisarz milczał.

- Witalik - odezwała się Lidka zmienionym głosem. - Ja... miałam sen. O tym, jak Andriuszka... Od dawna mi się to śni, jeszcze był dzieckiem, kiedy... W rozmaity sposób śni mi się jedno i to samo...

- Ty się po prostu boisz go stracić.

- Wszyscy rodzice się boją!

- Ale twoja bojaźń jest szczególna. Dodaj do tego ten kretyński przesąd o dzieciach ze sztucznego zapłodnienia. Nijak się nie możesz od niego uwolnić.

Zapadła długa pauza.

- Witalik, jesteś fantastą... Czyli powinieneś wierzyć w sny i w zjawiska nadprzyrodzone.

- Owszem, jestem fantastą, ale nie wariatem - łagodnie sprzeciwił się Wielikow. - Lida, posłuchaj... Nawet jeżeli ci się nie uda...

- Uda mi się! - podniosła na niego spojrzenie suchych już oczu. - Dość o tym. Koniec sprawy.

* * *

...szczególnie wśród młodzieży. Czyż trzeba mówić o tym, jak szkodliwe i bezbożne w istocie są te wymysły? Jakże może jeden człowiek, choćby nie wiedzieć jak szlachetny i sprawiedliwy, wziąć na siebie grzechy wielu pokoleń? Jakim sposobem ofiara z człowieka może być miła Bogu? Stanowisko Kościoła jest niewzruszone i

jednoznaczne: sekciarze, mówiący o tak zwanym Zbawcy, są w istocie heretykami i kacerzami...

(Gazeta „Parafianin", 18-go maja 20-go roku)

* * *

Sasza zaczęła bywać u nich coraz częściej. Znacznie częściej, niż mogłaby sobie tego życzyć Lidka.

Lidka widziała Saszę jako pustą szklaną banieczkę, na powierzchni której namalowano lasy, oceany, oryginalny umysł i głębokie myśli. Ale... pierwszy lepszy deszczyk zmyje piękną powłokę, pierwsze zadrapanie albo skaleczenie obnaży mętną pustkę wewnątrz bańki. Lidka była tego pewna, jak tego, że dwa i dwa to cztery, cierpiała też w milczeniu, widząc, jak Andriusza ochoczo daje się nabrać na piękną powierzchowność szklanej dziewczęcej banieczki.

Ale to nic. Naprawdę nic; wszystko rozstrzygnie się nie teraz, a podczas pierwszych lat nowego cyklu. O, wtedy to już pójdzie na ostre, do tego czasu Sasza albo się czymś zdradzi, albo Andriej zmądrzeje. Nowy cykl, nowe życie...

Lidka wiedziała, co o niej teraz mówią w akademickim środowisku. Paskudnie mówiono, osiemdziesiąt procent z tego było prawdą i tylko pozostałe dwadzieścia należało do sfery domysłów, zgodnych z modą; dotrzymując umowy zawartej z Szarym Kurduplem, faktycznie postępowała po świńsku. Jednego tylko bacznie pilnowała - żeby plotki nie docierały do Andrieja - co prawda ukryć się go pod kloszem nie dało i niekiedy przychodził do domu ponury i osowiały, a czasami z siniakami na twarzy i zadrapaniami na knykciach.

Nigdy go wtedy o nic nie pytała - żeby nie popadać w kolejne łgarstwa.

On zaś dawał się zwieść jej spokojowi. I powoli odzyskiwał humor. „Człowiekowi na wysokim stanowisku zawsze nie brakuje zawistników..."

A potem nie bez zdziwienia Lidka odkryła, że pod jej skrzydłami syn prowadzi jednak jakieś drugie, osobne i nieznane jej życie. I że nawet Sasza była w tym życiu tylko dodatkiem.

- Mamo, nie wrócę dziś na noc, dobrze?

- A gdzie...

- U Witka. Będziemy do późnej nocy oglądać mecz piłki nożnej...

Tak rzadko ją okłamywał, że przyłapywanie go na kłamstwie akurat teraz uznała za niełądne i nieludzkie. Z pewnością nie idzie do Witka, ale w końcu to dorosły chłopak, przecież nie będzie go śledzić.

Zacisnęła zęby, ignorując ukłucie niepokoju. Z tą Saszą i tak widuje się codziennie. Takie są współczesne obyczaje, czy co? Czym oni będą się zajmować przez całą noc?!

Nie, nie chodzi o Saszę. Lidka szybko by się też połapała, gdyby

chodziło o jakąś inną dziewczynę. Co to za nocne posiedzenia? Karty? Gry hazardowe?

Udało jej się wziąć w garść tylko dzięki ogromnemu wysiłkowi woli. Odpowiedziała jakby nigdy nic:

- A, mecz? No, dobrze...

Spało jej się wyjątkowo źle. Cały czas słyszała bezczelny głos Saszy; śniło jej się, że w mieszkaniu pękła jakaś rura kanalizacyjna, spod porcelanowego zlewozmywaka chlusta jakaś mętna ciecz, ona zaś nieustannie zbierają brudną szmatą do zardzewiałej miski.

Syn wrócił o dziesiątej rano, kiedy zaczęła się już nie na żarty niepokoić. Spojrzawszy na niego, Lidka oparła się o framugę drzwi:

- Andriuszka! Co z tobą?!

- Nic takiego - odpowiedział, uśmiechając się spokojnym, jasnym uśmiechem. - Jestem zmęczony, to wszystko...

Niczego sobie nocne przyjacielskie zebranie. Takie, po którym człowiek przychodzi rano wychudzony, jak z tygodniowej głodówki i blady niczym jajko.

- Wiesz, mamo, prześpię się...

- No to się prześpij...

Przez następne dwa tygodnie zachowywał się normalnie, czytał jakieś książki, przygotowywał się do egzaminów, spotykał z przyjaciółmi; aż któregoś dnia, jakoś tak pod wieczór, znów wszedł do gabinetu Lidki, bardzo skupiony i poważny:

- Mamo, dziś znów nie wrócę na noc, dobrze?

Lidka długo patrzyła mu prosto w oczy, licząc na jakieś wyjaśnienia. On jednak stwierdził tylko, jakby nigdy nic:

- Uczymy się z chłopakami do egzaminu z chemii. W domu u Wadika.

Wadik nie miał telefonu. Lidka zresztą nie zniżyłaby się do tego, żeby sprawdzać prawdomówność Andrieja.

- No dobrze... tylko się nie zmęcz!

Uśmiechnął się i kiwnął głową.

Tej nocy wrócił bardzo wcześnie, zaraz po siódmej, o świcie. Lidka usłyszała szczęk klucza w zamku i natychmiast wynurzyła się z niespokojnego, płytkiego snu.

Chłopak zdjął buty w przedpokoju. W samych skarpetkach przeszedł do kuchni; jasne, nic mu nie jest. Kiedy młody człowiek zaraz po powrocie do domu rusza do lodówki - znaczy, wszystko w porządku.

Lidka włożyła szlafrok i bezszelestnie poszła za nim.

Andriuszka stał przed otwartą lodówką, w jednej ręce miał kawał kiełbasy, w drugiej trzymał butelkę kefiru. Był właściwie siny, wargi miał wyschnięte i popękane, a na jego nadgarstkach wyraźnie rysowały się ślady po bandażach; ujrzawszy Lidkę, wzdrygnął się,

jakby stanęła przed nim nie matka w szlafroku, ale co najmniej groźnie rozdymająca swój kaptur królewska kobra.

- Trochę zgłodniałem - stwierdził tonem usprawiedliwienia.

Lidka patrzyła, a jej niepokój rósł, gęstniał i przekształcał się w solidną pewność.

I nie zadawszy żadnego pytania, wróciła do swego pokoju.

* * *

- Nie mam do Andriuszy żadnych zastrzeżeń - stwierdziła wychowawczyni Andriuszy, dama mniej więcej w jej wieku, ucząca biologii.

Lidka kiwnęła głową.

Była to jej dawna szkoła, choć zmieniona nie do poznania i opustoszała, ponieważ starsza i średnia grupa pozdawały już egzaminy i zanurzyły się w odmęty dorosłego życia. Atmosfera szkoły żywo przypominała Lidce wydarzenia sprzed dwudziestu lat; wzdrygnęła się nawet, ujrzawszy przed tablicą z wywieszonym na niej szkolnym regulaminem czytającego ciemnowłosego chłopaka.

Co prawda natychmiast się wyjaśniło, że chłopak z zapałem ozdabia kredką twarz wywieszonej na tablicy fotografii wzorowej uczennicy, domalowując jej sumiaste wąsy. Ujrzawszy to, Lidka westchnęła z ulgą.

Nauczycielka biologii siedziała w opustoszałej klasie; profesor Sotowa została powitana ciepło, ale bez uniżoności.

- Andriusza mniej więcej jest przygotowany do egzaminów. Choć, o czym pani sama wie doskonale, młodsza grupa kończy szkołę z trudem. W przeddzień apokalipsy są roztrzepani, gadatliwi, podatni na rozmaite nastroje... osobliwie dziewczęta. Wie pani, u nas w liceum to jeszcze nic, ale w zwykłych szkołach prawie w ogóle nikt już się nie uczy. Tańce przytulani-obmacywanki, alkohol, narkotyki. Nie, u nas się tego pilnuje. Szkolny lekarz otrzymał dokładne instrukcje, codziennie przy wejściu stoi ochroniarz. W dziesiątej „B" dwóch chłopaków dosłownie zdjęto z igły, w dziesiątych „G" i „H" dziewczyny trafiły w złe towarzystwo... Dwie trzeba było nawet wyrzucić ze szkoły. Ale to bardzo niewiele w porównaniu z przeciętnymi wskaźnikami w mieście. Sądzę, że Andriusza jest czysty, to bardzo poważny chłopak, bardzo...

- A czy nie spostrzegła pani zmian w jego zachowaniu podczas kilku ostatnich miesięcy? - Lidka zadała to pytanie, starając się, żeby zabrzmiało absolutnie niewinnie i beztrosko.

Nauczycielka zamyśliła się.

Miała na głowie wiele spraw. Czterech wnuków, którzy także kończyli szkołę. W szufladzie biurka leżało na poły gotowe podsumowanie wyników nauczania, pod szkłem niezatwierdzone

jeszcze pytania egzaminacyjne, a w domu cierpliwie czekała pusta lodówka.

- N-no... Wie pani... skoro pani pyta... hm... w ciągu ostatnich miesięcy zachowuje się tak, jakby... wciąż o czymś myślał... Jest zamknięty w sobie... przypisywałam to pierwszej miłości, porywom serca...

Lidka ponownie cierpliwie skinęła głową:

- Owszem, to możliwe... I to wszystko?

- Tak - odparła nauczycielka z nutką zaskoczenia w głosie. - A o co chodzi? - obrzuciła Lidkę podejrzliwym spojrzeniem.

- Wie pani... - uśmiechnęła się Lidka. - Przed apokalipsą możliwe są... nerwowe załamania u młodych ludzi. Ostatnio wydawało mi się, że Andriej za bardzo się interesuje religijną literaturą, mistyką i innymi takimi bzdurami...

Nauczycielka wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Po trzech minutach Lidka przeprosiła ją za niepotrzebną stratę czasu i się pożegnała.

* * *

Kurator miał szarą ze zmęczenia twarz i nabrzmiałe, popękane wargi. Pewnie dlatego mówił jakby wbrew samemu sobie, ledwo poruszając ustami.

- Czy nie zauważyła pani ostatnio u syna jakichś niezwykłych reakcji albo zmiany sposobu życia?

Lidka uśmiechnęła się ze znużeniem i jednocześnie nieco pobłażliwie.

Mogłaby spokojnie zlekceważyć wezwanie i w ogóle nie przychodzić do tego spartańsko urządzonego pokoiku z kratami na oknach. Jej syn nigdy nie miał niczego wspólnego z kuratorium do spraw nieletnich. Zaproszenie jej tutaj jest w oczywisty sposób wynikiem pomyłki, czego była pewna i co miała wyraźnie wypisane na twarzy - a jeżeli kurator zechce przyjrzeć się bliżej jej głęboko skrytej trwodze, będzie musiał włożyć na nos okulary.

Krzesło dla interesantów było rozklekotane, żałosne i obite dyktą; Lidka dawno już zapomniała o istnieniu takich krzeseł.

- O co właściwie panu chodzi? - zapytała tak spokojnie, jakby sprawa dotyczyła kogoś innego.

Kącik ust kuratora drgnął lekko; ależ baba, mówiły jego zmrużone, gniewne oczy. Zjawiła się na jego wezwanie, a traktuje go jak podwładnego w swoim własnym gabinecie; kurator oczywiście wiedział, z kim ma honor i dlatego właśnie jej chłód i spokój szczególnie go irytowały.

- Jak często pani syn spędza noce poza domem?

Tak... pomyślała Lidka. I uniosła podbródek jak urażona caryca.

- No, wie pan... On ma już siedemnaście lat. Bywa, że zasiedzi się u przyjaciół do późna... i zostaje u nich na noc.

- Bywa? To znaczy jak często? Raz na tydzień? Dwa razy na tydzień? Co drugi dzień?

Lidka uniosła brwi, jakby się raczyła zdziwić natarczywości inspektora:

- Raz na tydzień. Czasami nawet rzadziej...

Kąciki kuratorskich ust opuściły się jeszcze niżej, przez co jego wargi upodobniły się do odwróconego okrągłego nawiasu.

- Lidio Anatoliewna, czy pani nigdy nie słyszała o tak zwanym Kręgu Ostatniej Ofiary?

Lidka musiała się mocno postarać, żeby na jej twarzy nie odbiło się żadne z nurtujących ją uczuć. „Ostatnia ofiara" - Wielikow - chlupot mleka w cysternie... Nie, co ma do tego mleko...

- O jakim Kręgu? A co, powinnam o nim słyszeć?

- To młodzieżowa organizacja, która opiera swoją ideologię - kurator poruszył kilkakrotnie wargami, jakby coś przeżuwał - na idei o konieczności składania ofiar. Ofiar z ludzi. Żeby otworzyć Wrota.

Lidka milczała.

Gdyby kurator walnął ją zza rogu woreczkiem z piaskiem, efekt nie mógłby być większy.

- Ofiary... z ludzi?

Kurator westchnął. Popatrzył na Lidkę ponuro i z demonstracyjnym współczuciem, a potem sięgnąwszy do szuflady biurka, dość długo grzebał się w papierach, jakby specjalnie zwlekając; Lidka utkwiła tępe spojrzenie w niewielkiej łysinie na czubku głowy rozmówcy.

W końcu urzędnik się wyprostował:

- Proszę...

Na stole znalazła się niewielka sterta czarno białych i słabej jakości fotografii.

- Lidio Anatoliewna, niech się pani uważnie przyjrzy tym zdjęciom.

Lidka zdusiła w sobie chęć natychmiastowego podniesienia fotografii ku oczom.

- Co to jest? I jaki to ma związek z moim synem?

- Niech pani popatrzy - poprosił inspektor tonem, który kazał Lidce wyjąć okulary, włożyć je na nos i wziąć ze stołu stosik połyskliwie lśniących kartoników.

Na pierwszej z nich Lidka zobaczyła płonące wśród nocy ognisko, które wyglądałoby zupełnie niewinnie i normalnie, gdyby tuż za nim, na drugim planie, nie było widać pionowej skały. Ze skały zaś zwisały bezwładnie czyjeś bose nogi.

Lidka patrzyła na fotografię, czując, jak bezgłośnie jeżą jej się

pokryte lakierem i starannie ułożone włosy.

- I cóż...

- Nie, niech pani obejrzy następne...

Lidka zdjęła okulary. Przetarła je starannie chusteczką i włożyła ponownie.

Twarze ludzi na fotografii były niezbyt ostre, ale od razu poznała Saszę. Dziewczyna siedziała na piętach obok ogniska - takich fotografii pełno jest w albumie każdego turysty - co prawda dłonie ku płomieniom Sasza wyciągała zbyt pięknym, wystudiowanym i teatralnym gestem.

Lidka oblizała pokryte pomadką wargi i zaczęła się przyglądać kolejnym fotografiom.

Przy samym ognisku siedzieli nieznani Lidce chłopcy i dziewczęta. Kamera cofnęła się nieznacznie i można było stwierdzić, że ognisko rozpalono na nadmorskich kamieniach, a chłopcy - na planie ogólnym Sasza też wyglądała jak chłopak - pozajmowali miejsca w regularnym kręgu. I że stojący płaski kamień zwrócony jest ku morzu, a podwieszony na nim człowiek wygina się w hak, próbując oprzeć się o skałę bosymi piętami.

Lidce zmartwiały policzki.

Na kolejnej fotografii było zbliżenie skały. Przykrępowany do kamienia zwisał już bezwładnie; jego nadgarstki objęte były ni to rzemieniami, ni to stalowymi kajdankami, do których przywiązano łańcuchy, bardzo przypominające Lidce te, które stosowano w karuzelach wesołych miasteczek. Głowę zwiesił na pierś, twarzy nie dało się rozpoznać, ale jego slipy wydały się Lidce znajome.

Naga ofiara - w slipkach ze wzorkiem z kotwic?

Prawie już niczego nie widząc, Lidka mechanicznie przekładała kolejne fotografie. Zdjęcia wykonano prawdopodobnie z łódki, obiektywem o długiej ogniskowej. Jeszcze kilka fotografii; świętość rytuału została naruszona, wściekli chłopcy machali rękoma i rzucali kamieniami, starając się przepędzić nieproszonego świadka i intruza. A chłopak wiszący na skale uniósł głowę, pozbawiając Lidkę ostatnich złudzeń - nie mogła już się okłamywać wiarą, że jakiś inny chłopak podwędził Andriuszy slipki, żeby sobie powisieć na skale.

Dzwoniło jej w uszach. Jakiż wstyd - profesor Sotowa zaraz zemdleje i zwali się na podłogę obok nędznego krzesła z dykty.

- Lidio Anatoliewna - przebił się przez wysoki dźwięk głos kuratora - może dać pani nitroglicerynę?

- Dziękuję - odpowiedziała przez zęby. - Będę zobowiązana...

Czyżby trzymał nitroglicerynę specjalnie pod ręką, by uspakajać nerwowych gości? Dla mamuś młodocianych przestępców, niepełnoletnich kapłanów i ofiar?

Tabletka miała paskudny smak. Urzędnik znów się skrzywił, jakby

to jemu wsunęli ją pod język:

- Poznała pani kogoś na tych fotografiach?

Lidka milczała.

- Widzi pani, Lidio Anatoliewna...

- Można stąd zadzwonić? - zapytała, z trudem poruszając zesztywniałym nagle językiem.

- Oczywiście - kurator podsunął jej pod rękę popękany aparat telefoniczny barwy dziecięcej khaki. - Proszę, niech pani dzwoni...

Lidka, myląc się kilkakrotnie i nie trafiając palcami w otwory tarczy, wybrała znajomy numer.

- Halo... mama? Gdzie jesteś?

Powoli, żeby kurator niczego nie dostrzegł, wypuściła powietrze z płuc. Głos Andrieja był absolutnie spokojny i beznamiętny..

- U ciebie wszystko w porządku? - zapytała, bacząc, żeby jej głos też niczego nie zdradził.

- Jasne - syn chyba nawet się zdziwił. Lidka niezbyt często pozwalała, by tkwiąca w niej strwożona kwoka ujawniała swoją obecność zbędnym telefonem, pytaniem, nadmierną troskliwością.. - Niedługo będę w domu - stwierdziła tylko i odłożyła słuchawkę. Kurator nie spuszczał z niej wzroku. Jego spojrzenie było natarczywie... badawcze.

- Co im... się zarzuca? - zapytała Lidka, zła na siebie, bo struny głosowe musiały ją zawieść akurat w tej chwili. Pytanie zadała nikłym, żałosnym, rwącym się głosem... właściwie głosikiem. Na domiar wszystkiego, w jej oczach pojawiły się pierwsze łzy.

- Jeszcze nitrogliceryny? - zapytał nagle nadmiernie ugrzeczniony kurator.

- Nie - Lidka pokręciła głową, od czego cały spartańsko umeblowany pokoik z kratami na oknach zawirował jak karuzela.

- Widzi pani, Lidio Anatoliewna... Na razie nikogo nie zabili i nikomu nie stała się jeszcze krzywda. Wszystko to przypomina teatr... Zabawę... Każde z nich po kolei odtwarza rolę ofiary. Pani syn był już „ofiarą", ale, jak pani zdążyła się przekonać, wrócił do domu cały i zdrowy...

Lidka wzrokiem pełnym nienawiści patrzyła w jego szare, otwarcie drwiące z niej oczy.

- ...na razie więc nie popełnili żadnego wykroczenia. Zachowują się spokojnie - szczególnie jeżeli uwzględnić zachowanie członków innych grup rozmaitych młodzieżowych subkultur. Ta akurat grupa składa się z młodych ludzi, będących dziećmi rodziców cieszących się szacunkiem społecznym, licealistów i abiturientów liceum. Za swego ideowego przywódcę uznają pisarza Wielikowa, choć on sam kategorycznie się od nich odcina. Chciałbym panią uprzedzić, Lidio Anatoliewna. Na razie tylko panią uprzedzam. Z tymi, którzy wspinają

się po rozmaitych ścianach, nawet z tymi, którzy gwałcą w bramach wracające późną porą pannice - z nimi wszystko jest jasne... A z tamtymi... Sekciarzami, fanatykami... Nie zdziwiłbym się, gdyby któregoś pięknego dnia popełnili grupowe samobójstwo albo wycięli podobny jakiś numer...

Lidka głęboko, aż do pięt, wciągnęła stęchłe powietrze gabinetu.

- Lidio Anatoliewna... może jednak weźmie pani jeszcze tabletkę?

- Nie - odpowiedziała przez zęby. - Dziękuję. Dam sobie radę.

* * *

Wielikow pisał tak, że potrafił wciągnąć czytelnika; wziąwszy jego książkę do ręki, Lidka zwykle czytała ją jednym tchem i dopiero potem wracała do rzeczywistości, za każdym razem przypominając sobie - nie wiadomo dlaczego - chlupot mleka w brzuchu wielkiej cysterny. Dobrze napisane, interesująco i z ikrą, ale przecież bzdura, wszystko to bzdura...

Chłopcy, którzy kiedyś otaczali pisarza pełnym uwielbienia kręgiem, wyrośli na młodzieńców, ale ich uwielbienie wcale nie zmalało. Głęboko ukryta miłość własna pisarza ciągle była podkarmiana słodką odżywką; tym bardziej więc dziwne było, że Lidka patrzyła na słynnego autora nie bez pewnej pobłażliwości. Oczywiście, nie było w tym żadnej ostentacji, ale też Lidka wcale nie starała się tego ukryć. Wedle milczącej umowy Lidka nie traktowała jego pisaniny poważnie, on zaś jej to wybaczał.

„Ostatnią ofiarę" przeczytała pięć razy. I wcale nie dlatego, ze książka jej się aż tak spodobała.

- Andriuszka... może przejdziemy się dziś do parku?

Syn natychmiast zaczął coś podejrzewać. W planach na dziś miał zadania z algebry i pytania egzaminacyjne z fizyki - o czym Lidka doskonale wiedziała.

- A nie możemy porozmawiać w domu?

Patrzył na nią jak szczeniak, który doskonale wie, że nabroił i czeka go bura.

Lidka westchnęła i usiadła na brzeżku stołu: - No, widzisz...

- Mamo... - odezwał się szybko, jakby chciał uprzedzić zarzuty. - Nie brałem żadnych narkotyków. Nawet nie palę, o czym dobrze wiesz...

Lidka zsunęła się ze stołu, przysunęła sobie krzesełko, usiadła na nim i założyła nogę na nogę:

- Kiedy miałam piętnaście lat, w jednym z telewizyjnych programów jakiś chłopak na oczach telewidzów oblał się benzyną i podpalił.

Andriej przez chwilę zwlekał z reakcją. Odsunął tylko podręcznik fizyki.

- I wszyscy na to patrzyli? Widzieli, jak oblewał się benzyną i nikt nie zareagował?

- On to zrobił bardzo szybko - wyjaśniała Lidka łagodnym głosem. - Nikt się tego nie spodziewał. A potem, kiedy się podpalił, w studio wybuchła panika...

- Zginął?

- Tak.

- Po co mi to opowiadasz?

Lidka głęboko odetchnęła:

- Wtedy, pod koniec przedostatniego cyklu, sporą popularnością cieszyła się pewna sekta. Oni wierzyli, że tym razem Wrota się nie otworzą. Cytowali dawne przepowiednie. Okleili miasto swoimi ulotkami... Wtedy wydawało się nam, że istotnie nastąpi koniec świata. Że cały świat zmierza ku zagładzie. Było strasznie i gdyby nie Zarudny...

Zająknęła się na moment. Przypomniała sobie, że chyba już o tym synowi opowiadała. Nie tak szczegółowo, ale opowiadała, i - co najważniejsze - nie pamięta teraz, co mu mówiła, a czego nie.

Andriej czekał w milczeniu, dopóki matka nie pozbiera myśli, Lidka jednak, zamiast ciągnąć dalej, położyła na stole „Ostatnią ofiarę" Wielikowa, kiedyś lśniący gładzią okładek, a teraz mocno już podniszczony tom.

Andriej przeniósł wzrok z twarzy matki na książkę i z powrotem. I zmarszczył brwi.

- Driuszka... - zaczęła Lidka, starając się mówić spokojnie i łagodnie. - Witalik *nie napisał* tego, co potem wyczytali w jego książce ci... chłopcy. To tylko fantastyka, wymysł... i nic więcej. Witalik był pewien, że wszyscy potraktują to jako artystyczny pomysł... metaforę... Przecież nie można z powagą podchodzić do...

Urwała. Andriej patrzył w bok.

- Opowiedz mi - poprosiła cicho. Długą pauzę wypełniło brzęczenie muchy, która uwięzła między oknem i firanką, i szum silników przejeżdżających samochodów. Wreszcie Andriej podniósł wzrok:

- Mamo... przecież ja cię nie wypytują o twoje... akademickie sprawy. Co ty tam robisz, z kim i po co...

Lidka odczekała, aż ucichnie w powietrzu dźwięk bezgłośnego, ale zamaszystego policzka. A potem oznajmiła, pocierając nieistniejący ślad wyimaginowanego uderzenia:

- Ja w Akademii nie robię niczego, o czym nie mogłabym ci opowiedzieć.

- Naprawdę? - zdziwił się Andriej.

Lidka zawrzała gniewem. W tej chwili niczego nie pragnęła bardziej, niż możliwości złapania smarkacza za włosy i uderzenia jego

twarzą w przeklętą książkę Wielikowa. Raz, drugi i trzeci...

Chyba się przestraszył. I pewnie było czego.

- Mamo...

- Milcz!

- Mamo... Człowiek powinien mieć prawo... To nie tragedia, a przeciwnie...

Lidka odwróciła się i wyszła.

* * *

- Znaczy, tak... - zaczął Wielikow. - On nie wie niczego o twoich sprawach i w jego słowach nie należy się doszukiwać żadnych aluzji. Po prostu żąda prawa do własnego życia; ja, powiada, w twoje sprawy nie będę się wtrącał, ale i ty nie pchaj nosa w moje... Zrozumiano?

Za oknem lał deszcz. Lidka stała przed otwartym lufciku i rzadkie, zimne krople cięły ją niczym lodowe iskry.

- Lido... zostało naprawdę niewiele czasu. Weź się w garść.

- Jestem absolutnie spokojna - Lidka odwróciła się do wnętrza pokoju. - Rozmawiałeś z nim o tych wygłupach na brzegu?

Wielikow kiwnął głową:

- Nic wielkiego. To swojego rodzaju próba, przechodzą przez nią wszyscy chłopcy. Chodzi o udowodnienie, że jesteś godny i potrafisz zdobyć się na wielką ofiarę...

Lidka milczała. Podczas kilku ostatnich dni zdążyła się już przyzwyczaić do smaku nitrogliceryny.

- Przysięgają, że w razie potrzeby będą zdolni do złożenia z siebie ofiary na ołtarzu powszechnego dobra, w imię całej ludzkości. I trenują - ochotnika podwieszają na skale. W samych tylko slipkach. Naprawdę ofiara powinna być naga, ale chłopaki trochę się wstydzą...

Wielikow uśmiechnął się lekko i Lidka poczuła nagle, jak zalewa ją fala wściekłości i rozdrażnienia. I nienawiści do tego pozera, który przed kilku laty napisał idiotyczną książkę.

- Stul pysk! Czego szczerzysz zęby?!

Wielikow skamieniał. Po chwili uśmiech spłynął z jego twarzy, a w wytrzeszczonych oczach pisarza Lidka ujrzała swoje odbicie - stukniętej baby z twarzą wykrzywioną grymasem nienawiści.

- Witalik... wybacz... Wybacz mi, bardzo proszę... Wyrwało mi się. Nie chciałam... naprawdę nie chciałam...

- Ale palnęłaś... - stwierdził Wielikow szeptem. - Lido... może na razie wrócę do siebie, do domu.

- Nie, nie - żachnęła się natychmiast. - Już nie będę. Obiecuję. Już się wzięłam w garść. Mów dalej.

Wielikow milczał długo i Lidka pomyślała, że pisarz jednak wyjdzie z przeprosinami i obietnicą, że zadzwoni wieczorem.

Wielikow zawahał się, a potem spojrzał na Lidkę z powagą w

oczach:

- Ty myślisz... że to wszystko moja wina? Że to przez moją książkę?

Drgnęła - i tym samym się zdradziła.

- Nie... no, co za głupoty... Czemu akurat ty...

Ale słowa były już niepotrzebne.

- Wiesz... ja sam, niekiedy... - pisarz uśmiechnął się dziwnie. - Zresztą, masz racje, to głupoty. Gdyby nie było mojej książki, znaleźliby inną... Wracając do sprawy... ochotnik wisi na skale od zachodu słońca do świtu, ale jego towarzysze gotowi są do uwolnienia go z pęt na jego pierwszą prośbę. Wszyscy siedzą obok, rozmawiają o ludzkiej naturze, o tajemnicy miłości i śmierci, o tym, czy jest Bóg, a jeżeli jest, to jaki - mówiąc krótko, rozprawiają o tym samym, o czym cała „oświecona" młodzież rozmawia obecnie przy stołach albo na biwakach podczas wycieczek... W ten sposób odwracają uwagę „ofiary" od niewygód, a sami siebie utwierdzają w słuszności obranej drogi. Z dziesięciu chłopaków jak na razie wytrzymało próbę czterech, w tym i Andriej...

Wielikow otworzył jeszcze usta, jakby chciał coś dodać, ale umilkł, przypomniawszy sobie o niedawnym wybuchu Lidki.

- To wszystko? - zapytała Lidka głuchym głosem.

- Tak, w zasadzie wszystko. Nic poważnego. Takie tam... dziecięce zabawy...

Lidka przypomniała sobie, jak wyglądała twarz Andrieja, kiedy syn wrócił po nocnej próbie. Przypomniała sobie bandaże na nadgarstkach; teraz nosi sportowe ochraniacze, mówi, że to modne. Ona zaś ani razu nie spróbowała zdjąć mu tych ochraniaczy i zobaczyć, co się pod nimi kryje...

Dziecięce zabawy, akurat...

- Witalik... a ty byś zgodził się tak powisieć? Całą noc? Na łańcuchach?

- Nawet bym nie próbował - przyznał się szczerze pisarz. - Do tego mam w sobie za mało...

Znów umilkł.

- Czego? - zapytała Lidka zwodniczo łagodnym głosem. - Fanatyzmu?

- Wiary - odpowiedział cicho Wielikow. - Jeżeli prawdziwie i głęboko wierzysz, że twoje cierpienia mogą komuś pomóc, kogoś uratować...

Ulewa za oknem powoli przechodziła. Lidka zamknęła lufcik; bardzo głośno tykał ścienny zegar, w kształcie pięknego, błyszczącego czajnika. Tykanie było wprost ogłuszające.

- W ciągu pary najbliższych dni mam otrzymać miejsce na liście dla Andrieja - stwierdziła Lidka, mówiąc przez zaciśnięte zęby. - I

wtedy... niech już jak najszybciej przychodzi *mryga*. Niech się to wszystko skończy.

- Nie skończy się - ledwo słyszalnie stwierdził Wielikow.

Lidka uniosła brwi:

- Mówiłeś coś?

- Nie, nie - zaprzeczył pisarz, podkreślając przeczenie ruchem głowy. - Nie...

* * *

Na szafie gniotły się jedna na drugiej dziecięce zabawki. Osobliwość godna uwagi. Nostalgiczne wspomnienia. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze i Lidka doczeka się wnuków, wszystkie te zajączki i myszki czeka drugie życie...

Na stole Andruszki leżał stosik książek. Głównie podręczniki chemii, biologii i anatomii - i nie wiadomo po co, broszura dotycząca udzielania pierwszej pomocy.

- Zdajecie z pomocy medycznej? - zapytała Lidka, przerzucając pożółkłe kartki z budzącymi strach rysunkami.

- Nie... Sam wziąłem z biblioteki. Walik spadł z kamienia, rozdarł sobie skórę na ręce, a ja nie potrafiłem mu jej nawet przewiązać jak należy...

- Walik? - odruchowo zapytała Lidka. - Z jakiego kamienia?

Andriej milczał.

- Wiem - stwierdziła Lidka głuchym głosem. - Twoje slipki z kotwicami... są jeszcze całe? Czy na lato trzeba ci kupić nowe?

Andriej odsunął gruby zeszyt, w którym obwiedzione ramkami, niczym napisy na klepsydrach, leżały martwe chemiczne wzory i formuły.

- Mamo... wybacz...

Lidka milczała.

- Wybacz... myśleliśmy... chcieliśmy. Chcieliśmy coś zrobić. Uwierzyliśmy... Ale okazało się to zwykłą dziecinadą.

Andriej się uśmiechnął i Lidka nie bez zdziwienia stwierdziła, że jej syn jest podobny do Wielikowa. W każdym razie uśmiech mają niemal taki sam...

Patrzył na nią, oczekując odpowiedzi, ona jednak milczała i nie spuszczała zeń badawczego spojrzenia.

- Rozumiesz... swego czasu uparliśmy się na tę mistykę... jakby niczego nas nie nauczono w szkole. Mistyczna natura Wrót - wszystko proste i jasne, nie trzeba sobie łamać głowy pytaniem, skąd się wzięły...

Umilkł. Lidka nadal patrzyła.

- ...a przecież jeżeli Wrota są podporządkowane jakimś prawom przyrody, to gwiżdżą koncertowo na wszelkie ludzkie rytuały. W

takim przypadku wychodzi na to, że niczym się nie różnimy od dzikusów, którzy biją pokłony błyskawicom.

Lidka nadal patrzyła - i nawet nie mrugnęła okiem.

- No, mamo... A jeżeli Wrota stwarza Bóg, wtedy te całe rozważania są jeszcze bardziej śmieszne. Bóg przecież nigdy nie będzie żądał ludzkich ofiar? Sama myśl o tym jest grzechem i herezją...

- No, wiesz... różni są bogowie... - stwierdziła Lidka przez zęby.

Andriej zmarszczył brwi:

- Nie. Ten prawdziwy - nie będzie. My z Witkiem... no, krótko mówiąc, poróżniliśmy się na tym tle. Posprzeczaliśmy się i jeden nie może przekonać drugiego. Witek chce władzy. Przyprowadził trzech nowych chłopaków, obcych. Chce stworzyć swoją grupę, z odrębnymi regułami i rytuałem przyjęcia... Takie tam... inne zabawy.

- Zabawy?!

- Zabawy, mamo, przecież tak naprawdę nikogo tam nie zabijają i nie kaleczą - Andriej urwał nagle; najwyraźniej nie do końca był przekonany o niewinności tego, o czym mówił. - Jak im się to podoba - niech robią, co chcą. Ja już tam nie pójdę. I Saszkę przekonam, ona teraz już mnie słucha...

Znów się uśmiechnął; Lidce wydało się nagle, że słówko „teraz" nabrało w ustach syna szczególnego znaczenia.

- *Teraz?*

Przez długą chwilę patrzyli na siebie i milczeli. Sasza. Dziewczyna. Co tam pomiędzy nimi zaszło, jeżeli ta agresywna pannica go słucha?

- Andriej... W jakich stosunkach zostajecie z Saszą?

Spojrzał na nią tak, jakby nie rozumiał pytania, a potem z urazą.

- Nie *o to* chciałam zapytać - poprawiła się pospiesznie Lidka.

Przez kilka minut panowało jeszcze milczenie, aż wreszcie matka zrozumiała, co znaczy to „teraz".

- Pokaż ręce.

Andriej przez chwilę się wahał.

Potem rozpiął skuwkę prawego ochraniacza, zdjął skórzaną bransoletę i Lidka zobaczyła szeroką, różową bliznę, prawie już zagojoną i pokrytą nową skórą.

- Mamusiu... to wcale nie boli.

- Na lewej ręce tak samo?

- Tak... to nic strasznego, słowo honoru!

- Na kamieniu? Od zmierzchu do świtu?

- Tak...

Lidka uciekła spojrzeniem w bok:

- Masz jeszcze jakieś lekcje do odrobienia?

- Ależ nie... Biologię powtarzam sam dla siebie. Chcę... No, wiesz,

dowiadywałem się już, kiedy będą egzaminy na Akademią Medyczną.

- Co takiego?!

- Postanowiłem, że nie pójdę na historię... chcę zostać lekarzem. Chyba nie będziesz się sprzeciwiała?

Po żółtych stronicach podręcznika pełzła, nie dbając o wzory i formuły, maleńka boża krówka.

Rozdział 14

Pod koniec maja nagle się ochłodziło, a potem równie nagle zrobiło się ciepło. Lidce pękała z bólu głowa - przed samym Nowym Rokiem, który w tym cyklu przypadał drugiego czerwca, na miasto zwaliły się upały.

W szkole przebrzmiał ostatni dzwonek. W ogóle ostatni - ostatni w tym cyklu. Było to wydarzenie jednocześnie radosne i smutne; aktualni maturzyści i absolwenci z lat poprzednich, ich rodzice, bracia i siostry wyrażali współczucie nauczycielom, którzy znów będą musieli się przekwalifikowywać. Kilku pewnie uda się zaczepić jako wykładowcom w jakiejś szkole wyższej albo w technikum, inni będą zapełniać sobie czas korepetycjami albo pracami, które można wykonywać w domu, żeby potem, już w nowym cyklu zacząć od pracy w żłobku...

O zbliżającej się apokalipsie mówiono niewiele. Zakładano milcząco, że wszystkich maturzystów czeka dorosłe życie; Lidka stała w tłumie, przysłuchiwała się przemówieniom i przyglądała ludziom.

Skrócone rękawy szkolnych sukienek. Spódnice, obcięte nożycami do bardzo ryzykownej i niepraktycznej długości. Białe wstążki na krótko podciętych fryzurach dziewczyn, w całej młodszej grupie nie znalazłoby się i dziesięciu dziewcząt z długimi, nie obciętymi włosami. Podobno tak jest modnie...

Najbardziej zuchwali z chłopaków poobcinali szkolne spodnie, zamieniając je w bermudy i teraz świecą kolanami w oczy dyrowi i nauczycielom. Zostanie im to wybaczone - upał... a zresztą to ostatni dzwonek w tym cyklu...

Spodnie Andrieja zachowały normalną długość. Nie chciał nawet wdziać letniej bluzy - przeciwnie, wybrał koszulę z długimi rękawami i mankietami. W całej grupie kolegów mocno się wyróżniał - i nie tylko wyglądem.

- Andriuszka jest taki przystojny - stwierdziła mama Wadika i uroniła łzę. Nie z powodu urody młodzieńca, ale ot tak... moment był wzruszający.

Lidka milczała.

Należało jej się miejsce raczej wśród babuń, niż pomiędzy matkami. Prawie każda ze wzruszonych matron mogłaby być jej córką; słoneczny dzień był bezlitosny i ujawniał światu siwe odrosty barwionych przez Lidkę włosów, zamaskowane kremem zmarszczki, nabrzmiałe powieki i cienie pod oczami.

Ludzie ją rozpoznawali. Uprzejmie pozdrawiali. Niedawno jeszcze była w szkole dość popularną osobą; zapraszano ją na otwarte lekcje

muzyki, a jej imieniem nazwano nawet szkolny zespół muzyczny.

A kiedy wydział Lidki przeniósł się pod daszek OP, szum wokół „uzdolnień muzycznych" stracił podtrzymujące go źródło. Przeciwnie - wszelkie uwagi na temat tego, że muzykalnie uzdolnione dzieci mają przewagę nad pozbawionymi tymi talentów, stały się niepożądane i nawet niebezpieczne. Zainteresowanie muzyką stopniowo malało i spadało zainteresowanie Lidią Sotową - do niedawna jeszcze uznawaną za wyrocznię pedagogiki muzykalnej.

Teraz Lidka stała w tłumie i patrzyła.

W jej oddziale założono specjalne dossier *każdemu* z młodych ludzi, stojących teraz w szyku na szkolnym placu. *Wszystkich* w swoim czasie przetestowano na okoliczność posiadania lub braku muzycznych uzdolnień. Niektórym z nich sądzone było zginąć podczas apokalipsy - nikt na razie nie wiedział, którzy to będą. Wszyscy uśmiechają się jednakowo. Wszyscy mają nadzieję na długie życie.

Andriej też.

A tymczasem Szary Kurdupel zwleka, przeciąga zabawę i wodzi Lidkę za nos. Apokalipsa może gruchnąć za pół roku, za rok albo za miesiąc, a Andriej do tej pory nie został wpisany na listę uprzywilejowanych do ewakuacji poza kolejnością.

Lidka zmrużyła oczy i uniosła dłoń do czoła, tworząc przeciwsłoneczny daszek. Trudno jej było długo stać - piekły ją stopy obute w modne, odświętne pantofle, bolały kolana... powinna gdzieś usiąść.

- Prawo do ostatniego dzwonka przyznano wzorowym uczniom - dumie naszej szkoły, uczennicy klasy dziesiątej „G", Aleksandrze Szepitko i uczniowi klasy dziesiątej „B", Andriejowi Sotowemu!

Lidka drgnęła zaskoczona. Andriej o niczym takim nie uprzedzał.

A, zaszeptały stojące za plecami Lidki mamy rówieśników jej syna, dlatego ubrał się tak oficjalnie.

Andriej szedł już ku podium, obok spieszyła Sasza, dość dziwacznie wyglądająca w króciutkiej spódniczce i z wielką kokardą we włosach.

Rozległ się trzask migawek aparatów fotograficznych. Wzorowi uczniowie szli, potrząsając dzwonkiem i dręcząc okolicę natarczywym, metalicznym jękiem; otaczający Lidkę ludzie znacząco trącali ją w łokcie, co oznaczało gratulacje. Ach, jakże udany syn!

Andriej się uśmiechał. Jego uśmiech był szeroki i tchnął spokojem; obok niego nawet Sasza wydała się bardziej sympatyczna, niż w rzeczywistości. Co prawda, zwykle dzieje się odwrotnie obok pięknego człowieka wyraźniej widać brzydotę drugiego.

Dzwonek brzęknął po raz ostatni - i ucichł. Tłum wyładował się w okrzykach entuzjazmu; Andriej podał Saszy rękę, ona zaś opierając się o nią, zeskoczyła z podium z nieoczekiwanym wdziękiem.

Słońce przygrzewało ostro, oni zaś szli, każde oddzielnie na swój koniec szyku,

* * *

- A-a-a... Lidio Anatoliewna, muszę przyznać, że się nie spodziewałem...

- Chce pan w przeddzień *mrygi* wylecieć ze wszystkich list i spisów? - zapytała Lidka, nawet nie próbując usiąść na podsuniętym jej krześle.

Maleńki Szary Człowieczek otworzył swoje maleńkie, szare usteczka: - A...?

- Be! - warknęła Lidka. - Jeżeli w przeciągu trzech najbliższych dni nie dostanę tego, co mi obiecano, cała historia zostanie opublikowana. Wszystkie wasze machinacje - i moje też. Wybór należy do pana.

Człowieczek milczał, patrząc na Lidkę z niedowierzaniem i prawie z rozbawieniem:

- No, Lidio Anatoliewna, przecież to niepoważne... usiłuje mnie pani, mówiąc wprost, przyprzeć do ściany. Ale przecież i pani się dostanie, dojdzie do skandalu, cała pani praca rozsypie się w proch, wyleci pani z Akademii, i z listy też...

Lidka uśmiechnęła się tak, że Szary Kurdupel umilkł:

- Ty... szczurze! Myślisz, że dla mnie ma jakiekolwiek znaczenia moja praca czy stanowisko w Akademii? A nawet moje dobre imię? Jeżeli mój syn nie znajdzie się na liście, wszystko pozostałe straci dla mnie jakiekolwiek znaczenie! Jeżeli nie dotrzyma pan słowa, nie będę miała nic do stracenia. Za trzy dni będzie tu siedzieć komisja śledcza, która znajdzie wiele ciekawych sprawek! Dam im w ręce tylko jedną niteczkę, ale to wystarczy, by dotarli do kłębka!

Szary Kurdupel natychmiast się przeistoczył w Bladego Kurdupla.

- Lidio Anatoliewna... - wydusił z siebie przez zęby.

Lidka uśmiechnęła się szeroko:

- *Przysięgam,* że to zrobię. Utopię pana i razem pójdziemy na dno. Wierzy mi pan?

Maleńki Szary puścił oczy w ruch, jak zagnany w kąt szczur.

- I niech pan się nie trudzi nasyłaniem na mnie zabójców... jeżeli taka kretyńska myśl w ogóle strzeliła panu do głowy. Wszystkie dokumenty są w dobrych rękach i w razie mojej nagłej śmierci... Koniec z panem. Czy to jasne?

Człowieczek milczał.

Lidka odwróciła się i wyszła, nie czekając na odpowiedź.

* * *

Przez dwa następne dni miała wrażenie, że jest śledzona. Nie

poddając się panice, zachodziła w te same miejsca, w których bywała zwykle. Sił dodawały jej gniew i poczucie niebezpieczeństwa - a współpracownicy rozpływali się w komplementach: „Ach, Lidio Anatoliewna, jak pani dobrze wygląda!”

Trzeciego dnia Szary Kurdupel zadzwonił do niej do pracy:

- Pani syn został wpisany na listę - stwierdził cichym, zwodniczo łagodnym głosem. - Będzie pani musiała przyjechać z nim do sztabu ABP... To jest... ostatnio przywrócono mu nazwę OP. Piątek, czternasta trzydzieści, pokój numer czterdzieści dwa. - I odłożył słuchawkę.

- Lidio Anatoliewna, co pani jest... Lidio Anatoliewna...

Za oknem leciał i kładł się niczym śnieg na chodniki, topolowy puch. Lidka czuła, jak palą ją spływające po policzkach łzy.

- Lidio Anatoliewna, czy coś się stało? Może wody...

- Tak... - na chwilkę zapomniała imię swojej nowej sekretarki. - Tak, Olu... Podaj mi wodę...

W pokoju słychać było tylko warkot klimatyzatora. Lidka czuła, jak w jej szerokim uśmiechu pękają spieczone wargi... ale bólu nic czuła.

* * *

- Andriuszka, co robisz w piątek?

- Mam konsultacje. Z chemii.

- O której?

- O dwunastej.

- A... zdążysz z tym do czternastej trzydzieści?

- Nie wiem... Mamo, co z tobą?

- Andriuszka... - stwierdziła Lidka, starając się, by jej słowa brzmiały normalnie i beznamiętnie. - W piątek o czternastej trzydzieści oboje musimy się stawić w sztabie OP.

- Po co? - zapytał syn po chwili milczenia.

- Nowy rozkaz - Lidka z rozmyślnym spokojem łyknęła herbatę z filiżanki. - W naszym oddziale krewni osób należących do kierownictwa zostali wciągnięci na listę osób do ewakuacji w ramach „umówionego opóźnienia”. Ciebie też wciągną na tę listę. Trzeba odebrać wszystko, co się z tym wiąże - tabliczkę identyfikacyjną, numer, instrukcje i tak dalej...

- Mamo, jakże to tak? - zapytał zbity z tropu Andriej i Lidka spięła się wewnętrznie, przeczuwając jakiś sprzeciw. - Jakże to? Wszędzie się mówi, że na tej liście są tylko ludzie najważniejsi ze względów strategicznych, przedstawiciele rządu, wojskowi, posłowie i deputowani. Po co tam ja, ode mnie nic ważnego nie zależy...

- Od ciebie zależy bardzo wiele - odpowiedziała Lidka, krztusząc się herbatą. - Takie są zasady, nie ja je wymyśliłam. Jestem

strategicznie ważna dla kraju, a ty jesteś strategicznie ważny dla mnie. Bez ciebie cała moja strategia traci sens. Zrozumiałeś? Jeżeli na konsultacjach będą cię zatrzymywać, to znajdź jakąś wymówkę i zwolnij się.

- Mamo... - Andriej wodził palcem po falistym brzegu talerza. - Mamo, może... może ja tam nie pójdę? Jestem młody, zdrowy, po co mi to? Mamo... co ty?!

„Wytrzymać! - pomyślała Lidka. - Można wszystko zepsuć... nie zdradzić się. Wytrzymać".

- Andriusza... Jeżeli choć trochę cenisz stan moich nerwów... wiesz co, zostawmy ten temat, dobrze?

To już był chwyt poniżej pasa. Nigdy przedtem się nie zdarzyło, żeby próbowała wywierać nań nacisk, odwołując się do stanu swego zdrowia. Obrzydliwy argument: „Jeżeli mnie nie posłuchasz, dostanę zawału...".

- Mamo, ale ja sam nie mogę... Po co mi miejsce na jakiejś tam liście, jeżeli...

Cały pokój wywinął nagle kozła. Róg stołu mocno uderzył ją w twarz, ale nie poczuła bólu. W ogóle niczego nie poczuła; w następnej sekundzie w nosie okropnie zakręciło jej amoniakiem i żeby się nie udusić, musiała się ocknąć.

Wspaniale.

Kanapa w pokoju gościnnym. Krępy mężczyzna w białym kitlu i młoda kobieta ze strzykawką w ręku. Blada, ściągnięta trwogą twarz Andrieja:

- Mamo... gdybym wiedział, że to takie ważne...

Lidka skrzywiła twarz w grymasie. Zastrzyk był bolesny, piekący, właściciel białego kitla coś tam wpisywał do formularza, o coś pytał i radził, by zajrzeć do dzielnicowej polikliniki, ponieważ w jej wieku z ciśnieniem nie ma żartów; mówił coś jeszcze, Lidka widziała, że jest zmęczony i strapiony, ale smuciło go wcale nie jej zdrowie. Być może pokłócił się z żoną. Nocował u przyjaciela i rano się nie ogolił...

Karetka odjechała. Andriej bez słowa przysiadł na kanapie i tak, w milczeniu, minęło ze dwadzieścia minut.

„Nie wytrzymałam - myślała Lidka z odrazą do samej siebie. - Wymiękłam. Wstyd. I szkoda mi Andriuszki".

- Mamo... niech będzie, zwolnię się z tych konsultacji. Pójdziemy...

* * *

Wszystko poszło jak po maśle. Andriej udawał milczącego, niespecjalnie ciekawego i nie za bardzo domyślnego chłopaka; co Lidce w pełni odpowiadało. Do ostatniej chwili czuła strach, że stanie się coś niespodziewanego.

Andrieja wpisano na listę kategorii „B” pod numerem piętnaście tysięcy sto dwunastym; Lidka zdążyła się nawet zdziwić, jak wydłużyła się ostatnio lista - jej osobistym numerem było dwa tysiące dziewięć.

Na „umówione opóźnienie” pójdzie przynajmniej półtorej godziny, pomyślała Lidka. Dużo czasu. Kogóż oni powciskali na tę listę? Jak zwykle, krewniaków, dzieci, wnuków?

Tym bardziej, pomyślała z gniewem i determinacją. Jeżeli wszyscy wciągają na listy swoich krewniaków, czemuż ona, profesor Sotowa, miałaby być pozbawiona tego prawa? Czy wiele czasu zajmie dodatkowa ewakuacja jednego Andrieja?

Formalności wreszcie dobiegły do końca. Andriejowi wręczono tabliczkę; chłopak zachował beznamiętny spokój. Podziękował bez szczególnego entuzjazmu, jakby szło o jakiś dyplom czy pismo dziękczynne ze związku miłośników kaktusów.

Łańcuszek z metką znikł pod kołnierzem koszuli. A dusza Lidki dała nura gdzieś w brzuch - uczucie, jakiego w tej chwili doznawała profesor Sotowa, można byłoby nazwać szczęściem tylko przy niezwykle szerokim rozciągnięciu granic tego pojęcia.

„Nie wierzę” - myślała Lidka, zstępując po szerokich schodach.

„Nie wierzę” - myślała, wychodząc z chłodnego półmroku bramy na zalany słońcem dziedziniec.

„Nie wierzę, nie wierzę...”

Zakręciło się jej w głowie.

- Mamo, znów się źle czujesz?

- Przeciwnie, bardzo się cieszę.

Andriej wzruszył ramionami. Też mi powód do radości.

- Odprowadzić cię do Instytutu?

- Coś ty, Driuszka, nic mi nie jest. Sama dojdę.

- No to polecę się przygotowywać...

- Odpocząłbyś, pospacerował... - odezwała się Lidka, unosząc twarz ku słońcu. - Zobacz, jaka pogoda...

- Dobrze - zgodził się Andriej z podejrzaną skwapliwością. - Pospaceruję...

Stała, oparłszy się o zakurzony pień lipy i patrzyła, jak odchodzi. I jak poruszają się jego łopatki pod płótnem cienkiej koszulki...

* * *

I oto zasiada Pan nasz na wysokiej górze, a po Jego prawicy staje Jasny Doradca, a po lewicy Doradca Mroku. I Mroczny szepce Panu w ucho: „Spójrz, Ojcze, na tych dwunogów, którzy się rozplenili na ziemi Twojej. Wzgardzili Tobą i nie przestrzegają Twoich przykazań. Nie są zdolni do miłości, kochają tylko siebie samych, swój pomiot - i nikogo więcej. Są pełni żądz, zdradliwi i nędzni; zetrzyj ich z powierzchni

Ziemi!”

I słucha go Pan przez dwadzieścia lat, aż wreszcie kończy się Jego cierpliwość. I zsyła na ziemię ogień, śmiercionośne wyziewy i morskie potwory.

I wtedy otwiera usta Doradca Światłości. „Oszczędź ich, Panie - mówi Jasny. - Spójrz, jak są przerażeni, jak patrzą na Ciebie błagając o litość, posłuchaj, jak przysięgają, że będą Cię szanować i że otworzą swoje serca dla miłości!”

I Pan znów nie wytrzymuje, mięknie jego serce, zsyła Wrota, żebyśmy w nie weszli i skryli się przed napaściami.

Ale teraz Jego serce nie zmięknie.

Odstąpił odeń Doradca Światłości, załamał się i upadł na duchu, od dwóch tysięcy lat patrząc w puste i szpetne ludzkie dusze. „Czy wy w istocie jesteście ludźmi? - zapytał Jasny. - Setki razy wstawiałem się za wami u Pana, ale tym razem nie będę, bo wszystkie moje prośby idą na marne! Pójdźcie więc precz w ogień wieczny, w kotły pełne siarki, w morze i w płomienie!”

I oto siedzi Pan na górze, a przy jego lewym uchu rozsiadł się Doradca Mroku, przy prawym zaś nie masz nikogo. Nikt się za nami nie wstawi! Powiadam wam więc, bracia, gotujcie się na śmierć, ponieważ nie otworzą się już żadne Wrota!

[Czasopismo „Nadzmysłowiec”, kolumna „Słowo łącznika”,
4-ty czerwca 21-go roku]

* * *

Nastanie nowego, dwudziestego pierwszego roku świętowano hucznie i burzliwie. Jakby przekroczono niewidzialną linię - i znów, jak w minionym cyklu, znikąd pojawiły się tłumy mrocznych proroków i zwiastunów zagłady. Przepowiadali straszną, ostatnią na ziemi apokalipsę, koniec świata i upadek cywilizacji. Świątynie, zwykle na poły puste o tej porze roku, teraz pękały od natłoku wiernych. Codziennie powstawały nowe sekty - nikogo już nie dziwiły pojawiające się na ulicach grupy młodych ludzi w brudnych, białych chlatnidach i habitach, które jeszcze niedawno były lnianymi prześcieradłami. Samozwańczy bosonodzy prorocy radzili, by troszczyć się nie o polisy ubezpieczeniowe, ale o dusze; co prawda, te rady różni ludzie pojmowali nieraz opacznie.

Jedna z pracownic Lidki zwolniła się z pracy i odeszła „do eremu”. Jak wygląda „erem” i gdzie można go znaleźć, Lidka nie wiedziała i wcale nie pragnęła się dowiedzieć. Sąsiadka z klatki schodowej przystąpiła do kolejnej Sekty Miłości - i niedługo trzeba było czekać, żeby stwierdzić, iż wychudła na szczapę, a jej oczy nabrały niezdrowego, szklanego, nieobecnego blasku.

Wszelkiego rodzaju psychozy osobliwie bujnie rozkwitały i

gnieździły się wśród młodzieży. Nikt już nie chciał się uczyć ani pracować; narkotykowych dilerów łapano tuzinami, ale wciąż wyrastały tuziny nowych, ponieważ popyt na narkotyki śmignął w górę niczym rakieta. Zapanowała moda na samobójstwa; zapoczątkowana przez trójkę młodych ludzi, którzy zostawiwszy pożegnalne listy, wypłynęli jachtem w morze na odległość setki kilometrów od brzegu i przebili dno łodzi. Wypadkowi nadano rozgłos: i za przykładem pierwszej trójki desperatów podczas burzliwych dni całe flotylle łodzi wychodziły w morze, gdzie młodych samobójców wyławiały załogi kutrów patrolowych. Jednych zatrzymywano, innych nie nadążano wyciągać z wody, a po jakimś czasie fale przyganiały do brzegu wraki łódek ze starannie poprzebijanymi kadłubami.

Dalfiny nie podpływały blisko do brzegu, ale i za bardzo się odeń nie oddalały. Przy pomocy dobrej lornetki można było zobaczyć migające w wodzie grzbiety czarnych wrzecion - każdego dnia i w dowolną pogodę.

- Chyba już podłożyły swoje „miny" - warczał jakiś obserwator, który na chwilę odstąpił Lidce swoją lornetę. - Uch, bydlaki... wystrzelałbym wszystkie... I te ich przeklęte jaja - bombami głębinowymi...

I obserwator, i Lidka doskonale wiedzieli, że rozmowy o głębinowych bombach są czczą gadaniną. Jaja dalfinów zalegały na głębokościach, wobec których współczesny oręż był bezradny.

W zwykłych szkołach egzaminy przekształciły się w czystą formalność i tylko w liceum starano się jeszcze zachować jako taki poziom. Dyrektor i pedagodzy udawali, że nic nadzwyczajnego się nie dzieje. Egzaminy toczyły się zwykłą koleją.

Andriej zdał na samych piątkach - z wyjątkiem matematyki, którą udało mu się wyciągnąć ledwie na cztery. Nie była to jego wina; matematyca uważała instytut profesor Sotowej za siedzibę szarlatanów i nie cierpiała jej syna.

- Nie przejmuj się - poradziła Lidka Andriejowi. - Na Akademii Medycznej matematyka się nie liczy...

Syn bez słowa zgodził się z tą opinią.

Bal maturalny odbył się z pełnym przepychem. Przy wejściu do szkoły - i na jej dachu - dyżurowali specjalnie na ten dzień wynajęci ochroniarze. Ich obecność była jak najbardziej wskazana, ponieważ jednoczesność balów we wszystkich miejskich szkołach sama w sobie była maleńką apokalipsą. Niewielkie ćwiczenia przed końcem świata.

W przeddzień uroczystości wszystkich mieszkańców miasta nie mających dzieci poproszono, żeby najbliższy wieczór spędzili w swoich czterech ścianach. I w żadnym wypadku żeby nie wychodzili z domu. Nie bez powodu mówiono, że matury starszych grup to

szczęście, średnich - radość, a młodszych - szaleństwo.

We wszystkich szkołach przeprowadzono zebrania rodzicielskie, rodzicom radzono, żeby do rana nie opuszczali terytorium szkoły, nie spuszczali z oczu swoich dzieci i nie dopuszczali do żadnych spacerów czy przechadzek. A mimo wszystko wiadomo było, że nie da się uniknąć szumnego karnawału, nasilenia gwałtów i samobójstw, święta szaleńców w przeddzień końca świata; i nie bez podstaw dyrekcja liceum, które uznawano za twierdzę rozsądku i spokoju, postanowiła odgrodzić się od nocnych szaleństw kordonem ochroniarzy.

Całe przedsięwzięcie rozpoczęło się równo o dziewiątej; tym razem Lidkę posadzono przy prezydialnym stole, obok dyrektora. Patrząc na salę, chwytała zaciekawione, a niektóre wrogie i pełne nienawiści spojrzenia. Cała jej burzliwa działalność kilku ostatnich lat, pełna upokorzeń pielgrzymka po urzędniczych gabinetach i podjęcie współpracy z Szarym Kurduplem nie mogły przecież pozostać niezauważone - wszystko obrosło plotkami i otoczyło imię Sotowej nimbem wyjątkowej świni i oportunistki, która zdradziła naukowe ideały za miejsce na liście uprzywilejowanych.

Lidka miała szczerą nadzieję, że te plotki nie dotrą do Andrieja ani że nie padnie na niego ich cień. Wymogła na synu przysięgę, że nikt się nie dowie *o jego* metce i o tym, że on także został włączony do spisu. Nikt, nawet Sasza. Syn w końcu taką przysięgę złożył i Lidka trochę się uspokoiła - jeszcze się nie zdarzyło, by złamał dane jej słowo.

Uroczysta część balu dobiegła końca i z estrady ryknął, będący dumą szkoły, zespół muzyczny. Powstał jeszcze w czasach, kiedy ze względu na badania Lidki każdego dzieciaka rodzice pchali do szkoły muzycznej, żeby określić jego zdolności muzyczne, a przy okazji je rozwinąć - i przetrwał aż do tej pory, pod dawną nazwą „Lidia".

Tysiące razy usiłowano zmienić mu nazwę. Ale nie wiadomo dlaczego, po zmianie nazwy zespół zawsze przepadał w rozmaitych konkursach i bywał zdejmowany z programów koncertowych; a po powrocie do starej nazwy wracało powodzenie i koniec końców wszyscy dali sobie spokój, zostawiając miano „Lidia" - tym bardziej, że niewielu już ludzi pamiętało, dlaczego zespół młodzieżowy, zamiast młodzieżowego miana, nazwano dość rzadkim kobiecym imieniem.

Członkowie zespołu podorastali, skończyli szkołą rok temu lub jeszcze wcześniej, zespół jednak do tej pory trwał i dawał koncerty. Lidka uznała to za dobry znak.

Wszyscy zostali zaproszeni do stołów, ustawionych w auli sportowej. Na „rodzicielskim", „profesorskim" i „młodzieżowych" stołach poustawiano w równych odstępach butelki szampana; Lidka przypomniała sobie, że przed dwudziestu laty, na maturalnym balu Maksymowa, alkohol był zakazany pod reżimem okropnych kar.

Wspomnienie o Maksymowie napłynęło i odpłynęło, nie zostawiwszy żadnego śladu.

Odszukawszy w tłumie Wielikowa, wsparła się lekko na jego ramieniu i podeszła z nim do „rodzicielskiego" stołu. Wokół nich natychmiast zrobiło się pusto - a może jej się tylko tak wydało.

Podczas gdy Wielikow otwierał butelkę i nalewał Lidce wino, ona sama odszukała wzrokiem Andrieja; na szczęście wokół syna nie było widać żadnej pustki. Przeciwnie, tłoczyli się przy nim jego rówieśnicy, on zaś mówił coś do nich z uśmiechem, trzymając w dłoni szklankę z pomarańczowym sokiem.

- No to wypijmy, Lido. Winszuję, winszuję...

Trąciła się z Wielikowem czarkami i wypiła, nie czując nawet smaku trunku.

Członkowie zespołu „Lidia" odłożyli instrumenty i przyłączyli się do biesiadników. Włączono magnetofon.

Lidka wypiła jeszcze jeden kielich; po trzecim coś miękko uderzyło ją w tył głowy - od środka. I światła w sali stały się jakby bardziej jaskrawe.

- Witalik, ty mną chyba nie gardzisz, co?

- Nie - odpowiedział pisarz z powagą.

- Ale mi nie współczujesz?

Tym razem Wielikow myślał nad odpowiedzią nieco dłużej:

- Nie... nie współczuję. Sama wybrałaś.

Lidka się uśmiechnęła:

- Dziękuję ci... Sama też się nie lituję. Ale chyba wkrótce zacznę sobą gardzić.

Wielikow ponownie zmilczał. W sali podnosił się stopniowo coraz głośniejszy gwar; gdzieś za stołem „młodzieżowym" już śpiewano, choć nie był to wcale pijacki chórek - śpiewano melodyjnie i na głosy. Lidka pomyślała, że ci młodzi ludzie są bardzo muzykalni. I że wejdą we Wrota... obowiązkowo wejdą...

- I jak. Lido, robimy podsumowanie?

Oblizała cierpkie od wina wargi:

- A co, już pora?

- Nie wiem - odezwał się pisarz po kolejnej chwili milczenia.

- Zdradziłam naukę - stwierdziła Lidka cichym głosem

- Wiem... Wielokrotnie.

- Zdradziłam Kostię Woronowa.

- Możliwe.

- Zabiłam w sobie uczonego.

- Nigdy nim nie byłaś.

Lidka poczuła się dotknięta:

- No, przecież idea selekcji... była moja?

Wielikow uśmiechnął się niewesoło:

- Ech, Lida... Wiesz, ile ja miałem podobnych idei? Rozmowy z dalfinami, kosmiczne zdjęcia oceanów, i co tam jeszcze chcesz... Aleja nie jestem uczonym, tylko marzycielem. I utalentowanym łgarzem.

Muzycy z „Lidii" najedli się i napili. Wspiąwszy się na estradę, ujęli w dłonie instrumenty... co wywołało lekkie ożywienie na sali.

- A ja jestem tubka - stwierdziła Lidka. - Tubka z pastą. I sama siebie wycisnęłam. Teraz została ze mnie puste opakowanie. Z ładną zakrętką.

Wielikow objął ją za ramiona.

- Ale przecież nie żałujesz? Zatraciłaś się dla Andrieja... a czy on nie jest tego wart?

„Lidia" szarpnęła struny. W przeciwległym krańcu sali, pod pozostawionym przez nie wiadomo kogo i nie wiadomo po co koszem, natychmiast powstał zaimprowizowany krąg taneczny.

- Zatańczymy? - zaproponował Wielikow.

Lidka przecząco pokręciła ciężką głową.

Nagle zachciało jej się spać. Wyjechać na bezludną wyspę - i nigdy się nie obudzić. I nareszcie się wyspać.

- Lido, a może wyjdziemy na powietrze?

Znów przecząco pokręciła głową.

Muzykanci przerwali rozpoczętą przez chwilą szybką i skoczną melodię. Przez pewien czas w sali słychać było tylko brzęk szklanek i gwar głosów, a potem nagle zabrzmiał walc, dobrze Lidce znany i niezbyt dobrze jej się kojarzący, stary i trochę sentymentalny.

- Mamo? - w następnej chwili tuż obok znalazł się Andriej. Miał rozpiętą marynarkę, nieco poluzowany węzeł cieniutkiego, modnego krawata, ale jego koszula wciąż raziła bielą - a może tak się tylko wydało rozpalonym oczom Lidki.

- Mamusiu, zamówiłem u chłopaków walc...

- Andriusza... - odparła bezradnie.

- Poczekaj, mamo, chcę cię poprosić do tańca!

- Andriusza, ja...

Wielikow puścił jej ramię - i leciutko popchnął ją w stronę syna.

Pod obcasami ich trzewików szeleściły zwoje pomiętych, barwnych serpentyn. Deptali ławice konfetti; oprócz nich nikt chyba nie tańczył. Wszyscy stali i patrzyli, twarze widzów zasnuwała mgiełka, podobna do tytoniowego dymu - choć w sali nie wolno było palić.

Jedna ręka Andrieja legła na jej talii, drugą podtrzymywał jej ramię; dotknięcie było pewne, ciepłe i Lidka nagle się uspokoiła.

Było strasznie i wesoło.

Andriej poprowadził ją po okręgu - albo po jakiejś skomplikowanej spirali; za jego plecami migały rozmazane plamki światła, pachniało winem i latem, i jeszcze - nie wiadomo dlaczego -

deszczem, deskami parkowego parkietu i ogórkami; Lidce kręciło się w głowie, ale był to miły, przyjemny zawrót, w takt niezwykłego walca.

Syn należał do niej. Tylko do niej. Nie było na świecie żadnych apokalips, śmierci ani żadnych dziewczyn o imieniu Sasza.

Lidka zrozumiała, że jej droga dobiegła końca, spełniła swój obowiązek i że jest szczęśliwa.

* * *

Dzień minął normalnie. Lidka dwa razy wszczęła ostrą sprzeczkę - pierwszy raz w schronie cennych materiałów, gdzie nie chcieli przyjąć dodatkowych dokumentów dotyczących jej projektu. „Wyczerpała pani swój limit, wszystkie półki mamy zapełnione, a zresztą po co pani schron, skoro i tak jest pani na liście uprzywilejowanych!"

Drugi raz - w kolejce po chleb. Ostatnio w mieście zdarzały się poważne opóźnienia w dostawach i Lidki żądanie dwóch bułek, zamiast jednej, wywołało burzliwy protest stojących za nią klientów.

Ale i tak wzięła dwie bułki.

Kolację zjadła samotnie; Andriej wrócił o dziesiątej wieczorem, zmęczony i poirytowany. Witkowi kompletnie odbiło - stwierdził, zachłystując się kefirem. - Zupełnie poważnie chce złożyć w ofierze jednego smarka. A ten szczyl wie, co go czeka. Zresztą, od urodzenia niemal jest pacjentem psychiatry. Biedny jest, powiada, i *mrygi* i tak nie przeżyje. Jak myślisz, może zadzwonić na milicję? To podłe, przecież wiem, że go zabiją... i co, mam milczeć?"

Do północy razem szukali wyjścia - i przełożyli ostateczną decyzję na rano; co prawda po dwóch godzinach okazało się, że problem stał się nieistotny. Całkowicie nieistotny.

- Mamo! - Andriej na bosaka wbiegł do sypialni Lidki. - Tam... nie mogłem zasnąć... A niebo jest takie... Takie. Sama zobacz, dobrze?

Niebo powoli zalewała czerwień. Znajoma, ciężka, czerwona poświata.

- Tak - stwierdziła, dziwiąc się własnemu spokojowi. - To wszystko. Ubieraj się, biegniemy do punktu zbiórki.

Andriej stał jak skamieniały. Było mu strasznie. Z pewnością sam się nie spodziewał, że *aż tak* się przestraszy.

Lidka odciągnęła łańcuszek na jego szyi. Metka ożyła i pulsowała zielonym światełkiem.

- Wszystko w porządku... - stwierdziła, tłumiąc westchnienie ulgi (ileż razy śniło jej się, że nastąpił koniec świata, a tabliczki się nie uaktywniły). - Wszystko w porządku. Za pół godziny znajdziemy się na miejscu zbiórki i wsadzą nas do samochodu. Albo do helikoptera. A reszta - to już nie nasze zmartwienie. Za kilka godzin wszystko się dla nas skończy. No, wdziewaj coś na siebie, nie pójdziesz przecież w

slipkach...

Migając bosymi piętami, pobiegł do swojej sypialni. Ubierając się, Lidka słyszała, jak syn miota się po pokoju, rzuca rozmaitymi przedmiotami i mruczy coś pod nosem.

Spojrzała w lustro i sprawdziła, czy wszystko w porządku. Zdążyła nawet złożyć nocną koszulę i zaścielić łóżko.

Wybrała numer Wielikowa - był zajęty. Zadzwoniła do Janeczki - numeru telefonu musiała poszukać w notatniku. Rzadko dzwoniła do krewnej, a spotykały się jeszcze rzadziej, dwa razy w roku, na cmentarzu nad grobem rodziców.

Spróbowała zadzwonić do młodszego brata, Paszki, ale nikt nic podnosił słuchawki.

Andriej skakał po korytarzu - nie mógł trafić stopą w nogawkę dżinsów.

- No, mamo... - stwierdził, ujrzawszy, że Lidka poprawia sobie kołnierzyk. - Zuch z ciebie nie lada. Jesteś jak pancerna płyta.

„I ty się za nią ukryłeś - pomyślała Lidka. - Teraz nie masz się czego bać".

Andriej nagle przestał podskakiwać i jakby sobie coś przypomniawszy, kopnął się do telefonu. Gorączkowo zaczął wybierać cyfry - Lidka po ilości obrotów tarczy poznała numer Saszy. Długie, długie sygnały...

I nagle - cisza.

- Mamo, wyłączyli telefony!

Lidka machinalnie kiwnęła głową:

- Nie przejmuj się, z pewnością już wyszła z mieszkania... niczego ze sobą nie bierz. Tylko termos. Ja już wczoraj wszystko przygotowałam, jak zwykle. Gotowy? To idziemy.

Wyszli na schody jako jedni z pierwszych; gdzieś tam trzaskały drzwi i dzwoniły naczynia. Potem w całym domu nagle wysiadła elektryczność; czerwona poświata z okien nadawała korytarzowi podobieństwo do laboratorium fotograficznego. Lidka doskonale pamiętała, że akurat taka myśl przyszła jej do głowy podczas pierwszej *mrygi.* Andriej z pewnością teraz pomyślał o tym samym.

W półmroku korytarza ktoś niby kleszczami chwycił Lidkę za rękę:

- Lidio Anatoliewna, niech się pani przyzna, jest pani na liście? Niech się pani przyzna! Proszę wziąć i nas, przecież my też mamy prawo! Mamy! Dlaczego tylko was?

Lidka rozciągnęła wargi w uśmiechu:

- Proszę powiedzieć, ma pan paszport przy sobie?

- Paszport?

Rozmówca na chwilę stracił rezon i osłabił chwyt. Lidka szarpnęła się, wyrwała i wlokąc za sobą Andrieja, biegiem skoczyła na ulicę.

- Stój, suko!

Na instruktażu uprzedzano ją o czymś takim. Człowiek wciągnięty na listę powinien trzymać to w tajemnicy, w przeciwnym razie nie zdoła dotrzeć na miejsce zbiórki. Inna sprawa, że trudno coś takiego zachować w tajemnicy.

Biegnąc, Lidka dziwiła się samej sobie. Pięćdziesiąt siedem lat, chore nogi, a skoczyła przed siebie jak sprinter. Andriej biegł tuż obok.

Lidka celowo kierowała się ku brzegowi, akurat tam, skąd za kilka sekund miał runąć ludzki potok. Nikt nie chce zbliżać się do morza, kiedy niebo zabarwiło się czerwienią; prześladowca został w tyle, zgubiwszy z oczu Lidkę i jej syna w szkarłatnym półmroku i szybko gęstniejącym tłumie. I dopiero wtedy Lidka poczuła, że trzęsie się jak zając.

Niewiele brakło, a wpadłaby w pułapkę. Z powodu własnej głupoty. Z domu trzeba wymykać się niepostrzeżenie, po dachach - jeszcze sekunda i rzuciliby się na nią sąsiedzi i do niedawna dobrzy znajomi, zerwaliby tabliczki i połamaliby żebra jej i Andriejowi, Boże, jak głupio, jak głupio mogło się to wszystko zakończyć...

Przywarła do ściany i zebrała myśli. Do punktu zbiórki zostały cztery dzielnice - miejsce spotkania „osób umówionych" wybierano starannie, z uwzględnieniem kierunku naporu tłumu, z uwzględnieniem pojawienia się glef i biorąc pod uwagę możliwość wybuchu paniki na ulicach.

- Ogólna ewakuacja - warczały głośniki OP na słupach.

- Andriusza, daj rękę.

Jego dłoń była zimna niczym lód.

Ludzie szli w milczeniu; mieli przed sobą niełatwą drogę za miasto, długie i męczące czekanie pośrodku pustego pola, sygnał o otwarciu Wrót - i dziki ścisk na ich progu. Z tym ściskiem chciał walczyć Zarudny przy pomocy ideałów i Mróz przy pomocy musztry - obaj ponieśli klęskę.

We wszystkich głośnikach rozległo się miarowe pokaszliwanie. A potem ryknęły nieco wyższym głosem:

- Mówi sztab OP. Uwaga, glefy. Zarejestrowano pojawienie się glef. Linia obrony - nabrzeże... Bulwar Krzywy, Wschodni...

Tuż nad ich głowami przeleciało kilka śmigłowców. Lidka na chwilę ogłuchła.

- Uwaga, glefy! Zagrożenie od strony morza! Zagrożenie dla dzielnicy Podolskiej, ulicy Jabłońskiego i Placu Pocztowego! Przyspieszyć ewakuację w rejonie ulic Wałowej Górnej i Wałowej Dolnej!

Ktoś nadepnął Lidce na stopę.

- Andriej, tam, za tą tablicą - widzisz? Musimy skręcić w prawo...

Nie zwracając uwagi na kuksańce i okrzyki: „Gdzie się pchasz?!" - Lidka przesunęła się ku prawemu chodnikowi. A potem, zrównawszy się z tablicą reklamową, szarpnęła Andrieja za rękę. Był silnym chłopakiem, ale brakło mu zdecydowania.

- Nie certuj się! - warknęła Lidka. - Naprzód!

Jego dłoń pokryła się potem.

Punkt zbiórki był już bardzo blisko.

- Uwaga, mówi sztab OP! Główny kierunek ewakuacji - Aleja Odrodzenia. Uwaga - oznaki aktywności sejsmicznej. Trzymać się z dala od mniej wytrzymałych budynków! Powtarzam - trzymać się z dala od mniej wytrzymałych budynków!

Lidka prychnęła pogardliwie. Po co dawać ludziom niewykonalne rady.

- Mamo, ten zaułek... tu są stare domy...

- Nie bój się!

W następnej chwili istotnie nastąpił wstrząs. Dwupiętrowy domek, widoczny na końcu uliczki, zachybotał się, jakby był z zastygłego kisielu. Na głowy Lidki i Andrieja poleciał deszcz drobnego pyłu i tynku. W odległości dziesięciu kroków od nich ciężko rąbnęła o ziemię połowa balkonu - z rabatką kwiatków, na której rosły jeszcze jesienne astry.

- Naprzód!

Lidka biegła, wlokąc za sobą Andrieja, potykała się o kamienie, dławiła się pyłem i wgniatała pod podeszwy butów rozdygotaną ziemię. Gotowa była choćby dłońmi odbijać spadające cegły. Gotowa była zębami rwać zwisające przewody, na szczęście nie były już pod prądem - mogły poranić czy pokaleczyć przebiegających ludzi, ale już nie raziły śmiercią.

Potem z kurzu wyłonił się nagle łańcuch ochronny. Ogromni ludzie w hełmach z maskami ułatwiającymi oddychanie wydali się Lidce robotami z dziecięcych książek o potędze nauki. Lidka targnęła tabliczkę metki - zielone światełko tętniło wezwaniem. Andriej zwlekał, więc Lidka pokazała ochroniarzom i jego tabliczkę - a wtedy łańcuch rozstąpił się na chwilę i przepuszczono ich do środka.

Nad ich głowami znów przemknęły śmigłowce. Człowiek w respiratorze mocno i boleśnie przyłożył palec Lidki do czujnika. Potem przesunął nad metką jakiś swój przyrząd, a ten mignął zielenią. Tę samą procedurę powtórzono z Andriejem.

- Do maszyny, Lidio Anatoliewna! Do maszyny, Andrieju Andriejewiczu!

Spod respiratora wydobywał się dziwny i groźny głos. Taki, jak wszystko, co się działo dookoła.

Maszyna z zewnątrz przypominała wojskowy samochód pancerny. A od środka - autobus. Wewnątrz siedziało już pięciu mężczyzn i dwie

kobiety - wszyscy milczeli. Jedna z kobiet przyciskała do piersi wyszywaną perełkami torebkę.

Lidka opadła na skórzane siedzenie. Objęła jedną ręką Andrieja, który przysiadł obok:

- No i po wszystkim. Nic strasznego. Odwiozą nas do Wrót i wejdziemy... - chciała powiedzieć, jako pierwsi", ale w porę się wstrzymała.

Andriej milczał. I drżał.

- Chcesz herbaty?

Lidka otworzyła termos. Nalała parującej herbaty do plastykowego kubka zakrętki; Andriej zakrztusił się płynem. - No, to wszystko. Teraz tylko czekać...

- Zaraz ruszamy - stwierdził nerwowo siedzący za nimi człowiek. - A na naszym punkcie został jeszcze jeden człowiek.

- Ile można czekać?! - załamującym się głosem krzyknęła kobieta z torebką. - Może już go stratowali. Trzeba jechać!

Andriej znów zadrżał. Obrzucił właścicielkę torebki szybkim spojrzeniem, a potem przeniósł wzrok za okno; patrząca w ślad za nim, Lidka zobaczyła, że łańcuch ochroniarzy przepuszcza kogoś w sięgającym do pięt płaszczu i że ten ktoś, zrobiwszy dwa kroki, pada na ziemię.

Jeden z ochroniarzy zajrzał do wnętrza maszyny:

- Hej, niech któryś z mężczyzn pomoże!

Pierwszy wyskoczył Andriej. Lidka nie zdążyła go zatrzymać.

Zaciskając dłonie na poręczy, patrzyła, jak pomaga iść ku maszynie starszej już kobiecie, która miała rozcięte czoło i twarz zalaną krwią.

- Drasnęło ją - stwierdził nerwowy jegomość. - Albo dostała kastetem. Dziś wszystko jest możliwe.

Migająca zielenią tabliczka zwisała kobiecie z płaszcza. Andriej podepchnął damę na pierwszy stopień; dwaj mężczyźni pomogli jej się usadowić, ktoś wyciągał apteczkę pierwszej pomocy. Lidka odruchowo sięgnęła po pakiet indywidualny, rozwinęła go i położyła na ranę sterylny opatrunek; ranna jęknęła z bólu.

- Andriej... pomóż... Andriej?!

Stał obok maszyny. Nie spieszył się z wsiadaniem; człowiek w respiratorze krzyknął coś do niego, Andriej odpowiedział, Lidka jednak nie zrozumiała ani słowa.

Potem syn odwrócił twarz i Lidce wydało się, że przez ciemne szkło widzi jego pełne poczucia winy oczy.

Maszyna drgnęła i ru...

Rozdział 15

Po nagrzanym promieniami słońca bulwarze powoli szła, uderzając w płyty chodnika ciężką laską, ostrożna, stara kobieta.

Płyty były ciepłe. Gumowa pięta laski, od dawna już będącej częścią ciała staruszki, miarowo uderzała w szorstką powierzchnię trotuaru. Albo wpierała się w grubo ciosane kostki bruku.

Płyty. Zapach morza. Zapach wiatru; stara kobieta zatrzymywała się co chwila, żeby głębiej odetchnąć.

Po przejściu jeszcze kilku metrów powinna trafić na schodki, wiodące na brzeg; a otóż i one. Staruszka skręciła ku nim niezdarnie; jej ciało nie za bardzo poddawało się rozkazom i było nim trudno kierować, prawie tak samo trudno, jak wielotonową wywrotką.

Podszedłszy blisko do schodków - dębowe, niepodatne stopnie zaczynały jednak butwieć - przełożyła laskę z prawej ręki do lewej. Uwolnioną od laski dłonią ujęła poręcz. Wypolerowane dotknięciami tysięcy dłoni ciepłe, włókniste drewno. Twarde słoje i miękkie odstępy pomiędzy nimi. Wypukłość ściętego sęczka; staruszka uśmiechnęła się lekko. Zawsze się uśmiechała, dotykając tej poręczy.

Ostrożnie przestawiając nogi i trzymając laskę w zgięciu lewego łokcia, ruszyła w dół. Trzeci od góry stopień uginał się pod jej ciężarem nieco bardziej od innych, a przedostatni, czternasty, lekko poskrzypywał.

Zmęczona jak po wielogodzinnym biegu staruszka zeszła wreszcie na plażę. Przełożyła znów laskę i weszła na pas żwiru. Była dalekowidzem i jej oczy od dawna już nie rozróżniały tekstu w gazetach czy książkach, ale doskonale widziały każdy kamyczek pod stopami.

Kamienie zresztą tylko pozornie wyglądały na szare. Były wśród nich białe, cętkowane, niebieskawe, różowe; staruszka słuchała, jak poskrzypują pod podeszwami jej walonek. Gdzieniegdzie na tych kamieniach leżały wysychające już pasma przyniesionych przez sztormowe fale wodorostów; staruszka zatrzymywała się co jakiś czas, żeby nie wiadomo po co tknąć w nie końcem laski.

Najtrudniej było okrążyć skałę. Staruszka szła po wilgotnym żwirze, ryzykując, że padnie prosto w wodę. Spełzające od brzegu, unoszone przez fale kamyczki uderzały o siebie i cichutko grzechotały.

Skała nareszcie została z tyłu. Staruszka odeszła od brzegu i postanowiła nieco odpocząć; wprost przed nią znajdowała się naturalna kotlinka, kamienny placyk osłonięty od postronnych spojrzeń, z trzech stron zamknięty przed podmuchami wiatru i otwarty na morze.

Na kamieniach widać było na poły zmyte przez wodę czarne plamy sadzy po ogniskach. Staruszka postała tu przez chwilę, odetchnęła, a potem wyjęła z ciemnej siatkowej torebki dziecięce, wełniane ubranko.

Starannie i niespiesznie rozłożyła je na płaskim kamieniu.

Potem, ciężko opierając się na lasce, usiadła i wyciągnęła przed siebie zbolałe nogi. Zmiana pozy napełniła ją oszałamiającym poczuciem krótkotrwałego szczęścia.

Tu, na brzegu, myślało jej się szczególnie dobrze. Na tyle dobrze, że wierzyła, iż lada moment pozna odpowiedź. Jedną jedyną odpowiedź na wiele dręczących ją pytań.

Właściwie to po to ciągle tu przychodzi - żeby zadawać pytania. Zadawać pytania samej sobie, morzu, wiatrowi, dalfinom.

Żeby przywrócić strumieniowi zaskorupiałych myśli choć część dawnej lekkości zaczyna wszystko wspominać od jednego dnia. Od tamtej chwili, w której szalejące żywioły, szykujące się do wypalenia ludzkości lekcji kolejnej apokalipsy, nagle się uspokoiły i rozmyśliły, jakby zmieniając zamiary.

Po raz pierwszy od tysiąca lat Wrota się nie otworzyły. Służba OP nie zarejestrowała nigdzie ich obecności - bo po prostu ich nie było.

Ale nie nastąpiła też apokalipsa.

Wulkany, które zaczynały już otwierać swe ogniste paszcze, pozamykały je spokojnie i zaczopowały się własną lawą.

Skorupa ziemska, która tu i ówdzie zaczynała się już wydymać przed kolejnym kataklizmem, zamarła i znieruchomiała.

Gigantyczne fale wstające w głębi oceanów zapadły się i wygładziły, deszcze meteorytów nie dotarły do powierzchni ziemi, glefy wróciły w morze, a kłęby jadowitych oparów nieszkodliwie się rozwiały na bezpiecznej dla ludzi wysokości.

Ludzkość zamarła z przerażenia. Długo dreptała w miejscu, czekając na otwarcie się Wrót, a potem, nie doczekawszy się ani śmierci, ani wybawienia, wszyscy ludzie cichutko i jak niepyszni wrócili do swoich prawie nietkniętych miast.

Nastąpiły lata zamieszania i zamętu. Nikt nie wiedział, czy zaczynać odliczanie lat nowego cyklu, zabierając się do płodzenia i rodzenia dzieci; ale wreszcie natura zrobiła swoje i w salach porodowych ponownie zapiszczały pierwsze noworodki. Nowy cykl - nowe życie; już siedemnasty rok na progu i nie wiadomo, czy się należy spodziewać nowej apokalipsy.

Patrząca w morze staruszka wierzy, że apokalipsy w ogóle nie będzie.

Co więcej, niekiedy jej się wydaje, że ona to *wie*. Wie to z absolutną pewnością. Apokalipsy nie będzie już nigdy więcej; ale patrząc w dal załzawionymi oczami, pyta, dlaczego? Dlaczego?!

Możliwe, że wtedy, w pełnym ewakuowanych oficjeli autobusie, nawiedziła ją, pogrążoną w histerii, szalona wizja.

Zwidział jej się prześwit tamtych, zniszczonych Wrót. Morze, zielonkawy przestwór, nieważkość i dążące ku powierzchni tęczowe bąbelki. Wydało jej się, że wyciągnięte w pustkę dłonie natykają się na złotą pajęczynę. I wszystkie jej siły, wszystkie pragnienia zlały się wtedy we wściekłość i furię, w jedno jedyne życzenie - rozerwać, przebić się, rozedrzeć. I ażurowa siatka pękła nagle, a na samej krawędzi szalonej wizji - o ile była to jakaś wizja - odkryła cudzą obecność. Jakby nagle otworzyło się przed nią czyjeś Oko. Wstrząs był tak silny i niespodziewany, że niemal natychmiast straciła przytomność... Staruszka wzdycha i podnosi wzrok ku nisko zwieszonemu niebu. - Dlaczego? - pytają bezsilnie jej zapadnięte wargi. Czy to możliwe, żeby postępek jej syna, egzaltowanego chłopaka... Że postępek wyrostka, który zrezygnował z darowanego mu przez los przywileju ewakuacji poza kolejnością, w sumie niemądra dziecinada, żeby coś takiego wstrząsnęło metafizycznymi podstawami budowy świata? Czy to możliwe, żeby zrodzone z wściekłości jej bezgłośne *wołanie* zostało usłyszane? Kto miałby je usłyszeć?! Nie, to niemożliwe, odpowiada sobie staruszka. I natychmiast zapytuje niepewnie: czy w istocie nie? A może był to przypadek? Ślepy traf, ona zaś nadaremnie łamie sobie głowę i zadaje monotonnie wciąż te same pytania? Czy to możliwe, iż gdzieś daleko, w zupełnie innym miejscu inne siły rozwiązały za nią i za całą ludzkość - ten rebus?

Tak czy inaczej, apokalipsa została odwołana i ludzkości zdjęło z twarzy kaganiec. Świat został spuszczony z powroza, choć staruszka wie, że nie doczeka czasów, kiedy ludzkość ostatecznie zazna swobody. Wie i wcale nie czuje z tego powodu urazy.

Jest już po prostu zmęczona.

A dziś zmęczyła się bardziej niż zwykle. Być może nawet nie powinna była schodzić na brzeg - po kilkugodzinnym i nieprzerwanym spacerze. Była na cmentarzu - ale okazało się, że grób jej syna, Andrieja Sotowa, został uporządkowany i ktoś zostawił na nim bukiet więdnących już tulipanów.

Andriej Andriejewicz Sotow zginął w wieku trzydziestu czterech lat; lekarz Pogotowia Ratunkowego tylko parę pełnych trwogi miesięcy zdążył popracować na froncie. Kolejna wojna wybuchła nagle - i równie nagle się zakończyła.

Staruszka zamknęła oczy. Na dnie jej pamięci pojawił się nagle cień śmigłowca. W tamtym wąwozie strzelano z helikopterów do ludzi - jak kiedyś do glef. Nie była tam, ale wydało jej się, że pamięta - ciemna sylwetka na tle słońca, obłoki kurzu, ryk silników i huk serii z karabinów maszynowych.

Cisza. Szum nadpływających fal.

Na szczycie skał pojawiła się grupka wyrostków; chłopaki prawdopodobnie szykowali się na zajęte przez staruszkę miejsce, bo w ich głosach dźwięczało niezadowolenie. Nienajlepszy już słuch nic pozwolił staruszce na rozróżnienie poszczególnych słów; szum fal słyszała wyraźnie, krzyki mew i świst wiatru też, a ludzkie słowa rozmywały się i nie chciały zostawać w pamięci; w głosach chłopaków tymczasem pojawiła się wrogość, ktoś nawet cisnął kamieniem, który upadł dwa kroki od siedzącej nieruchomo starej kobiety, a potem wszystko nagle ucichło, chłopcy wymienili kilka uwag - ale już znacznie ciszej - i odeszli, uznawszy jej prawo do kamieni, morza i samotności.

Na twarzy staruszki pojawił się uśmiech.

O pół tonu niżej. Nutka, nutka, półnuta; gamy, harmonia, partytura. Jej praca utraciła sens. Nikt już nigdy się nic dowie, czy miała rację. Nikt już nigdy nie usłyszy tego akordu, który czasami - jak na przykład teraz - dźwięczy echem w jej uszach. Pewnie to głos zaginionych Wrót.

I oczywiście nikt nie będzie sortował tych chłopców na godnych i nieprzydatnych Wrotom; wyboru dokona czas, los i ślepy traf, ten sam, który odwrócił się od jej syna w tamtym rozgrzanym wąwozie... Los. Szczęście.

Być może, ci właśnie chłopcy byli przedwczoraj na stadionie. I też tłoczyli się w ścisku, gdy wszyscy jednocześnie opuścili swoje sektory. Stratowano dwóch chłopaków i dziewczynkę. Przedwczoraj. Nie było żadnej apokalipsy - po prostu wszyscy chcieli szybciej opuścić stadion.

Pozbawionej kagańca ludzkości przyjdzie jeszcze zbierać swoją *mrygę* - po kawałeczku i stopniowo. Zbierać i rozwalać - ona zaś może jej tylko życzyć powodzenia. Ludzkość będzie musiała dokonywać swoich wyborów - ale już bez niej, bezsilnej staruchy na brzegu morza.

Chłopcy odeszli - a każdy z nich uniósł swoją cząstkę apokalipsy.

Staruszka ponownie zamknęła oczy, ale obraz morza pozostał jej pod powiekami. Pewnie się poprzecierały. Stały się półprzeźroczyste, niczym bibułki papierosowe; gdzieś na krawędzi widoczności mignęły grzbiety dalfinów. Wiedziała, że to złudzenie - dalfinów od dawna nikt już nie widział i nie zobaczy. Dalfiny stały się legendą.

Wydało jej się nagle, że patrzy w dół oczami bujającej nad morzem mewy - i widzi samą siebie, staruszkę siedzącą z wyprostowanymi plecami, która tak trafnie i przytulnie wrosła w nabrzeżne skały, że wydaje się siedzieć tak od początku czasu, złożywszy podbródek w siodełku splecionych, opartych na lasce dłoni.

Ona i ciepły kamień na brzegu - równoprawni partnerzy.

Dlaczego? - monotonnie pyta nadpływająca ku brzegowi fala.

Dlaczego? I co dalej? Co teraz będzie? Co będzie z nami wszystkimi?

Milczy ciepły kamień.

I staruszka milczy.

Czeka na odpowiedź.